

A vibrant, futuristic cityscape at night. The scene is dominated by neon lights in shades of blue, purple, and pink. Large, stylized palm trees frame the top and left sides. In the center, a flying car with a glowing cockpit is suspended in the air. Below it, a bus with a glowing front is moving along a street. People in futuristic attire are visible in the foreground. A large, circular sign with a white 'D' on a dark background hangs from a structure. In the background, a building has a sign that says 'ROGERIA' and another says 'CLUB'. The overall atmosphere is one of a bustling, high-tech urban environment.

IAN McDONALD

BRASYL

UCZTA WYOBRAŹNI

Ian McDonald

BRASYL

Przełożył
Wojciech M. Próchniewicz

Tym razem, wreszcie, dla Enid.

**ŚWIĘTA PANI
OD WIDOWISKOWOŚCI**

17-19 MAJA 2006

Marcelina obserwowała, jak biorą samochód z Rua Sacopã. Mercedes C-klasa, w sam raz dla dealera narkotyków, megaodwalony przez ekipę z *Odpicuj mi brykę: Brasileiro* – alufelgi, spoilery, niebieskie diody pod podwoziem, co tylko chcieć. Subwoofery wielkie jak walizy. Nieźle im wyszło, wyglądał na fuli kasy, o wiele więcej niż cztery tysiące reali, które Marcelina dała za niego na policyjnym parkingu.

Raz przeszli obok niego – trzech gości w koszykarskich szortach, koszulkach, czapkach. Za pierwszym razem się patrzy. Za drugim się sprawdza, udaje się zainteresowanie felgami, różańcem, brelokiem klubu Flamengo zwisającym z lusterka (fajny detal, udał się), a do muzy ma zmieniarke czy podłączenie do MP3?

Bierzcie, chłopaki, bierzcie, chcecie przecież, myślała Marcelina na tylnym siedzeniu samochodu pościgowego, zaparkowanego w zaułku dwieście metrów pod górę. To wszystko dla was, wszystko wam zorganizowałam, nie możecie się oprzeć, prawda?

Za trzecim razem się bierze. Odczekali dla bezpieczeństwa dziesięć minut, które Marcelina przesiedziała z nosem w monitorze, w obawie, czy wróca – może ktoś inny będzie pierwszy? Nie, oto szli z góry, wielkie, przystojne chłopaki-luzaki, o długich nogach i rękach. Dobrzy byli, bardzo dobrzy. Prawie nie zauważyła jak sprawdzają drzwi, ale miny, gdy się otworzyły, były nie do pomylenia. Tak, ktoś nie zamknął. Tak, zostawił kluczyki. I już byli w środku: drzwi zamknięte, silnik odpalony, światła zapalone.

– Jedziemy! – Krzyknęła Marcelina Hoffman do kierowcy i od razu walnęło nią o monitor, gdy terenówka ruszyła. Jezus Maria, jak docisnęli, wyjąc silnikiem i wlatując na Avenida Epitácio Pessoa. – Do wszystkich! Do wszystkich! – wołała Marcelina do interkomu, gdy jeep cherokee przeciskał się między samochodami. – Wzięli auto! Wzięli auto! Jadą na północ do tunelu Rebouças. – Szturchnęła mocno w ramię kierowcę, pracownika administracji, który przyznał się kiedyś, że lubi się ścigać. – Nie zgub ich, ale też nie wypłosz. – Nic nie widziała na monitorze. Walnęła go pięścią. – Co jest z tym szajsem? – Ekran wypełnił się obrazami z miniaturowych kamerek w mercedesie. – Potrzebny mi kod czasowy, nie widać go?

Żeby tylko kamer nie zauważyli, pomodliła się Marcelina do Świętej Pani od Widowskowości, swojej patronki. Trzech gości, czarno-złoty prowadzi, drugi w koszulce „Nike”, trzeci bez koszulki, z wiechciem sztywnych włosów na piersi pomiędzy sutkami. Syrena obniżyła się dopplerowsko – Marcelina podniosła wzrok i zobaczyła wóz policyjny zawracający przez cztery pasy i jadący za nimi.

– Gdzie jest dźwięk?!

João-Batista, dźwiękowiec, zamachał głową jak Hindus. Gest karykaturalnie podkreśliły ogromne słuchawki. Pomajstrował przy zawieszonym na szyi mikserze, niepewnie podniósł kciuk. Marcelina ćwiczyła to wszystko w kółko, sto razy – a teraz nie

mogła przypomnieć sobie ani słowa. João-Batista łypnął na nią: No jedziesz, to twój program.

– Podoba się auto? Podoba się? – Zabrzmiała jak piskliwa, rozwrzeszczana prezenterka. João-Batista zerknął na nią z ubolewaniem. Goście w aucie zrobili miny jakby pod LED-ami w podwoziu eksplodowała bomba. O Mario Panno, żeby tylko się nie spłoszyli. – Jest wasz! To wasza wielka nagroda! Jesteście w telewizji, to jest gra!

– Gówniany stary merc, byle jak podpicowany przez grafików – mruknął Souza, kierowca. – I oni to wiedzą.

Marcelina wyłączyła interkom.

– Ty tu jesteś reżyserem? Co? Co? Na pilota wystarczy.

Terenówka raptownie skręciła, Marcelina poturlała się po tylnym siedzeniu, zapiszczały opony. Jezus, jak ona to uwielbia.

– Do tunelu nie jadą. Skręcili do Jardim Botânica.

Marcelina zerknęła na GPS-a. Samochody policyjne wyświetlał jako pomarańczowe flagi, ich elegancki szyk przecinający Zonę Sul rozsypał się i uformował na nowo, gdy ścigany samochód nie zechciał wjechać w pułapkę. I o to właśnie chodzi, powiedziała do siebie. To właśnie jest telewizja. Wracamy do interkomu.

– Jesteście w programie *Ucieczka*. Nowy reality show kanału Quatro! Biercie w nim udział! Zostaniecie gwiazdami!

Zaczęli spoglądać po sobie. Gwiazdorzenie. Nie oprze się temu żaden prózny *carioca*. *Cariocas* to najlepsi uczestnicy programów reality na świecie.

– Auto jest wasze, gwarantowane, wszystko legalnie. Musicie tylko przez pół godziny nie dać się złapać psiarni. Już im daliśmy znać, gdzie jesteście. To jak, gracie?

Nawet na hasło reklamowe może się to nada? *Ucieczka. Grasz?*

Gość w koszulce „Nike” poruszał ustami.

– Nic ich nie słyhać! – krzyknęła Marcelina.

João-Batista przekręcił kolejną gałkę. Terenówką zatrzęsł *baile* funk.

– Słyszysz mnie? Za tego rzęcha? – „Nike” przekrzyczał basowy beat.

Souza z piskiem opon wziął kolejny zakręt. Pomarańczowe policyjne flagi gromadziły się, odcinając ulica za ulicą możliwe drogi ucieczki. Marcelina po raz pierwszy uwierzyła, że może będzie z tego program. Pstryknęła, wyłączając interkom.

– Gdzie jedziemy?

– Albo Rocinha, albo przez Tijucę na Estrada Dona Castorina. – Terenówka przemknęła przez kolejne skrzyżowanie, strasząc sypiących kaskadami piłek żonglerów i chłopaczków od mycia szyb, z wiadrami i gąbkami. – Nie. Rocinha.

– Coś od nich słyhać? – zapytała João-Batistę.

Pokręcił głową. W życiu nie spotkała dźwiękowca, który nie byłby milkliwym gburem. To samo dotyczyło kobiet.

– Ej wy, możecie trochę przykręcić muzę?

Rytm DJ-a Furação uspokoił się. João-Batista podniósł kciuk.

– Jak się nazywacie?! – zawołała Marcelina do typka w koszulce „Nike”.

– Myślisz, że ci powiem, w kradzionej furze, z połową Zony Sul na dupie? Wrobić mnie chcesz?

– Jakoś musimy was nazwać – przymiliła się Marcelina.

– No dobra. Słuchajcie Canal Quatro: ja jestem Malhação, to jest América. – Kierujący podniósł ręce z kierownicy i zamachał. – A to O Clono. – Sierściuch wydał usta do kamery w zagłówek kierowcy, w klasycznej pozie rockmena z MTV.

– To będzie coś jak *Ônibus 174*^[1]? – zapytał.

– A chcecie skończyć jak ten gość z *Ônibus 174*? – mruknął Souza. – Jak spróbują pojechać na Rocinhę, to 174 wypadnie przy tym jak impreza na pierwszą komunię.

– I co, będę wielką gwiazdą? – zapytał O Clono, cały czas puszczając buziaka do kamery.

– Będziecie w *Contigo*. Znamy ludzi, coś zorganizujemy.

– A spotkanie z Gisele Bundchen załatwicie?

– Możemy wam załatwić sesję z Gisele Bundchen, wszystkim, oprócz samochodu. Gwiazdy *Uciezki* i ich auta.

– Ja tam wolę Anę Beatriz Barros – mruknął America.

– Słyszałeś? Gisele Bundchen! – O Clono wetknął głowę między siedzenia i krzyczał Malhação prosto do ucha.

– Gównno, nie będzie żadnej Gisele Bundchen ani Any Beatriz Barros – powiedział Malhação. – To telewizja, wszystko ci powiedzą, żeby tylko program leciał dalej. Ej tam, Canal Quatro, a jak nas złapią, to co? My się do programu nie pchaliśmy.

– Ale brykę wzięliście.

– Chcieliście, żeby go wziąć. Zostawiliście otwarty z kluczykami.

– O, etyka, super – odezwał się João-Batista. – Za wiele etyki to w telewizji nie ma.

Ze wszystkich stron syreny, coraz bliżej, coraz bardziej zgodne w fazie. Radiowozy przemknęły po obu stronach, wycie, smuga dźwięku i błyskających świateł. Marcelina poczuła, jak serce dudni jej w piersi, ten wspaniały moment, kiedy wszystko się spina w całość, idealnie, automatycznie, bosko. Souza wrzucił najwyższy bieg i przyśpieszył wzdłuż rzędu pozasłanianych pancernymi roletami maszyn budowlanych na budowie kolejnego muru wokół faweli.

– I Rocinha też nie – powiedział Souza, wyprzedzając cysterne. – Co tam jeszcze zostało? Może Vila Canosa. Jezus.

Marcelina podniosła wzrok znad monitora, na którym już planowała montaż. Coś ją tknęło w jego tonie.

– Stary, wystraszyłeś mnie.

– Zrobili bączka na drodze.

– I gdzie są?

– Lecą prosto na nas.

– Ej, Canal Quatro. – Malhação szczyrzył się do kamery w osłonie przeciwsłonecznej. Miał bardzo ładne, białe i wielkie zęby. – Ten wasz program ma jeden błąd. Żadna atrakcja dla mnie, iść do pierdła za szajsowatego używanego merca. Ale jakby to było coś, co da

się ładnie opchnąć...

Mercedes przeleciał ślizgiem przez pas zieleni, siejąc po całej drodze efektami pracy grafików. Souza stanął na hamulcach. Terenówka zatrzymała się o włos od nich. Malhação, América i O Clono już wysiedli, stali z pistoletami trzymanymi bokiem, jak to się zrobiło modne po *Mieście Boga*.

– Wysiadamy, wysiadamy! – wrzasnęła Marcelina.

Ekipa wysypała się na jezdnię, pomiędzy pędzące samochody.

– Ale zostawcie mi chociaż dysk, jak nie mam dysku, to nie mam programu, zostawcie mi dysk.

America już siedział za kółkiem.

– Ten jest mega – obwieścił.

– No dobra, weź – zdecydował Malhação, podając Marcelinie monitor i terabajtowy przenośny dysk!

– W sumie to fryz masz prawie jak Gisele Bundchen! – zawołał O Clono z tylnego siedzenia. – Tylko kręcony, no i mniejsza jesteś.

Silniki zawyły, opony zadymiły, América okręcił się na ręcznym wokół Marceliny i pogonił na zachód. Parę sekund później zabłyaskały radiowozy.

– To się nazywa telewizja – powiedział João-Batista.

Czarna Ptaszyna paliła w montażowni. Marcelina nie cierpiała tego. Podobnie jak wszystkiego u Czarnej Ptaszyny, zaczynając od ciuchów z lat pięćdziesiątych, które nosiła kompletnie bez ironii, w pogardzie dla trendów i mód (*querida*, bez własnego stylu nie ma mody) i które mimo to wyglądały na niej fantastycznie, przez prawdziwe nylonowe pończochy, ze szwem – rajstopy, w życiu, żeby nie dostać strasznej strasznej grzybicy – aż po żakiet od Chanel. Gdyby mogła tu siedzieć w ciemnych okularach i chustce na głowie, toby siedziała. Nie cierpiała, że laska jest tak pewna siebie i tak jej z tym dobrze. Nie cierpiała, że Czarna Ptaszyna jest w stanie żywić się tylko importowaną wodą i papierosami „Hollywood”, w życiu się nie skalala żadną aktywnością fizyczną, a mimo to po nocce w studiu miała wdzięk jak Grace Kelly, a nie czaszkę rozsadaną od glukozy i guarany. A już najbardziej wkurzało ją, że Czarna Ptaszyna skończyła medioznawstwo rok przed nią i teraz była jej wydawcą. Marcelina na piątkowych drinkach w Café Barbosa tyle razy zanudzała researcherów i producentów opowieściami o przekrętach i podstępach, które Czarna Ptaszyna musiała urządzić, żeby zostać szefową Programów Dokumentalno-Rozrywkowych w Canal Quatro, że teraz potrafili je recytować jak mszę świętą. Nie wiedziała, że ma włączony mikrofon i wszyscy na nasłuchu słyszeli jak mówi... (Wszyscy razem): „Rznij mnie, aż będę pierdzieć...”.

– Muzyka to kluczowy wyróżnik produktu. Idziemy w klimat *Grand Theft Auto* i retro z lat osiemdziesiątych. Był taki angielski zespół new romantic, mieli numer o Rio, ale klip kręcili na Sri Lance.

– To był chyba numer *Save a Prayer* – odezwał się Leandro, podsuwając Czarnej Ptaszynie terakotową popielniczkę z doniczką w roli pokrywki. Był jedynym montażystą, który jeszcze wpuszczał do siebie Marcelinę i uchodził za ocean spokoju, niczym Dalajlama, nawet po nocce w studiu. – A w Rio kręcili *Rio*. Jak sama nazwa wskazuje.

– Normalnie guru od angielskiego new romantic z lat osiemdziesiątych – zadrwiła Marcelina. – Jeszcze się chyba wtedy nie urodziłeś, co?

– Według mnie ten konkretnie numer Duran Duran jest z 1982 – powiedziała Czarna Ptaszyna, starannie kipując peta w podsuniętej popielniczce i zamykając pokrywkę. – A wideo kręcili na Antigui. Aha, Marcelina, a co zrobili z naszym wozem?

– Policja go znalazła, na granicy Mangueirya, rozebrany do gołej ramy. Ubezpieczenie pokryje. Ale to pokazuje, że produkt zagrał, no wiesz, format trzeba trochę poprawić, ale obiecujący jest. Dobry show.

Czarna Ptaszyna zapaliła następnego papierosa. Marcelina kręciła się nerwowo przy drzwiach do montażowni. No daj mi ten serial, daj mi!

– Dobry show. Jestem zainteresowana.

Od Czarnej Ptaszyny trudno było o większy komplement. Serce Marceliny zadygotało na moment, ale to pewnie od energetyków. Wszyscy mówią, że trzeba schodzić powoli, a potem normalnie wieczorem położyć się spać. Z doświadczenia wiedziała, że tak najlepiej po nocce. Oczywiście, gdyby udało jej się to sprzedać, mogłaby pójść prosto do Café Barbosa, zastukać Augusto do drzwi specjalnym Masońskim Pukaniem i przez resztę dnia jechać na szampanie i patrzeć, jak suną przed nią chłopaczki na rolkach, z tyłkami niczym brzoskwinki.

– Dobrze wymyślane, ostre i idealnie trafia w naszą demografię, ale nie zrobimy tego. – Czarna Ptaszyna uniosła rękę w koronkowej mitence, powstrzymując protesty Marceliny. – Nie możemy. – Puknęła w bezprzewodowy pulpit i puściła kanał informacyjny Quatro.

Poranny program prowadziła Ausiria Menendes. W połowie dnia pewnie Heitor wezwie ją w przerwie obiadowej. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, były nerwy i niepokoje prezenterki w średnim wieku. Na ekranie wyświetliło się coś jakby żywcem wyjętego z jej mózgu – radiowozy otaczające samochód na poboczu szerokiej autostrady. „São Paulo”, głosił podpis. Cięcie, widok z helikoptera na wojskowe wozy i transportery do tłumienia zamieszek parkujące przed bramą więzienia Guarulhos. Ze środka więzienia unosiły się spiralnie kłęby dymu, parę postaci na częściowo zniszczonym dachu machało transparentem z prześcieradła z namazanymi czerwonym sprejem literami.

– PCC wypowiedział policji wojnę – powiedziała Czarna Ptaszyna. – Zabili co najmniej kilkunastu. Mają zakładników w więzieniu. A zaraz zacznie się na meczu Benfiki, a wtedy... No nie, nie możemy tego zrobić.

Marcelina stała pod drzwiami, powoli mrugając, gdy obraz telewizyjny kurczył się do rozmiarów maleńkiego pyłku na końcu długiego, ciemnego tunelu, buzującego puszkami kuata i amfetaminą, w którym goniły ją dziwaczne limuzyny Leandro i Czarnej Ptaszyny. Usłyszała własny głos, jakby z kieszonkowego głośniczka:

– Podobno miało być kontrowersyjnie i głośno.

– Kontrowersyjnie i głośno, tak, ale nie aż tak, żeby nam koncesji nie przedłużyli.

Czarna Ptaszyna wstała, otrzepała piękne mitenki z popiołu.

– Przykro mi, Marcelina.

Obleczone w nylon łydki zaszeleściły elektrycznie, gdy otwierała drzwi od montażowni. Oślepiające światło, Czarna Ptaszyna jak bezkształtny cień pośrodku snopu blasku, jakby weszła prosto w słońce.

– Uspokoi się zaraz, zawsze się...

Sprzeniewierzyła się własnej zasadzie. Nigdy nie kwestionować, nie pytać, nie błagać. Trzeba program polubić na tyle, żeby go dobrze zrobić, ale nie na tyle, żeby nie wytrzymać, jak go odwalą. W gatunku, który wybrała – dokumentalnej rozrywce – do produkcji wchodziło co najwyżej dwa procent. Wyhodowała sobie grubą skórę, nauczyła się kung-fu: nigdy niczemu nie wierz, póki nie zobaczysz umowy na piśmie, a i wtedy szef ramówki jedną ręką daje, a drugą odbiera. Ale każdy taki cios pozbawiał ją odrobiny energii i napędu; to coś, jakby zatrzymywać supertankowiec przez strzelanie do niego piłkami futbolowymi. Już nie pamiętała, kiedy ostatnio uwielbiała swoją robotę.

Leandro zamykał materiały i archiwizował listę montażową.

– Nie chcę cię poganiać, ale zaraz mam Lisandrę i jej *Plastykę w przerwie obiadowej*.

Marcelina zebrała papiery, dysk twardy i pomyślała, że teraz przydałoby się rozplakać. I to bardzo. Ale nie tutaj, w życiu nie tutaj, nie przy Lisandrze.

– O, cześć Marcelina, szkoda, że nie wyszło z *Ucieczką*, naprawdę szkoda. Ale widzisz, tak się pechowo złożyło...

Lisandra usiadła w fotelu Marceliny i precyzyjnie ułożyła na stole swoje notatki i butelkę z wodą. Leandro rozklikał nowe foldery.

– Ale to ciągle się tak dzieje, nie?

– Wiesz co, strasznie filozoficznie do tego podchodzisz. Ja na twoim miejscu po prostu poszłabym gdzieś i się porządnie nawaliła.

Rozważałam to, ale teraz, jak ty to powiedziałaś, to szybciej się umaluję gównem, niż pójde do Café Barbosa.

Marcelina wyobraziła sobie, że polewa twarz Lisandry kwasem z otwartego akumulatora samochodowego, kreśląc na brzoskwińowej cerze barwy lodów kleksy w stylu Pollocka. I niech ci to, pizdo jedna, naprawi *Plastyka w przerwie obiadowej*.

Gunga nadawała rytm, basowy puls, tętno miasta i góry. *Médio* brzmiało jak gawęda, beztroskie i bezczelne plotki z miasta i z baru, wieści o celebrytach. *Violinha* – jak śpiewak, wysoko ponad basem i rytmem, wyśpiewujący hymn do wszystkiego, to opadający na rytm *gungi* i *médio*, to oddalający się od niego, jak sam duch capoeiry, wdający się w rytmiczne ucieczki i parady, finty i improwizacje, kręcący tyłkiem po całej scenie.

Marcelina stała boso w kręgu muzyki, pierś falująca, ręce w górze. Z łokci i podbródka

pot obficie skapywał na podłogę. W *rodzie* dozwolone są wszystkie sztuczki, wszystkie podstępny. Zaprosiła przeciwnika uniesioną ręką, odpowiednio wyzywająco. Ten zatańczył *ginga*, gotowy do wyprowadzenia i przyjęcia ataku, wszystkie zmysły wyczulone. Takie bezczelne wezwanie przeciwnika do walki miało *jeito*, było *malicioso*.

É, poszedłem na spacer,

zaśpiewali capoeiristas,

W chłodny poranek

I spotkałem Wielkiego São Bento

Jak grał w karty z Psem.

Cała *roda* klaskała w kontrapunkcie do niecierpliwego, dzwoniącego rytmu berimbau. Taki z pozoru prymitywny instrument, ten berimbau, wywodzący swój rodowód z bojowego łuku, widoczny w krzywiźnie drewnianego pałaka i napiętej strunie. I taka samoróbka – tykwa, kawał drutu z samochodowej opony, kapsel od butelki przyciśnięty do struny, kij, żeby w nią uderzać, i tylko dwie nuty mieszczące się w okrągłym brzuchu. Instrument faweli. Marcelina, gdy zaczynała tańczyć capoeirę, pogardała berimbau: ona przychodziła tylko dla walki, taneczny aspekt *jogo* miała na drugim planie; ale nie ma tańca bez muzyki, i w miarę uczenia się kolejnych sekwencji zaczęła doceniać brzękliwe, jakby slangowe dźwięki, a potem, z czasem, także rytmiczne niuanse kryjące się w trio instrumentów mających do dyspozycji tylko sześć nut. Mestre Ginga niestrudzenie powtarzał, że lekceważąc berimbau, nigdy nie dojdzie do *corda vermelha*. Bo capoeira to coś więcej niż walka. Marcelina nawet zamówiła sobie *médio* z Fundação Mestre Bimba w Salvadorze, duchowej stolicy klasycznej Capoeira Angola. Leżało obok kanapy w wyściełanym futerale, nigdy nieotwarte. Marcelinie, w rybaczkach w czerwono-białe paski i krótkiej koszulce, cały czas czującej dławiacą w gardle gulę porażki w pracy, teraz mogła pomóc tylko walka.

Mestre Bimba, Mestre Nestor, Mestre Ezequiel i Canjiquinha. Oto ludzie znani w świecie. Nasi mistrzowie śpiewu i gry, skandowała *roda*, ludzie ustawieni w trzech rzędach na wilgotnym, zarośniętym prostokącie, wymalowani w umbandowych świętych i historycznych mistrzów uchwyconych w powietrzu, w skoku emanującym gracją unoszących się na linkach mistrzów kung-fu. Marcelina jeszcze raz zaprosiła go z uśmiechem. Rytm zwolnił z bojowego *São Bento Grande do canto de entrada*, zwyczajem angolańskiej szkoły, który Mestre Ginga przyswoił dla swojej własnej *Senzala Carioca*, opiewającej słynnych i zmarłych mistrzów. Jair przeszedł przez *rodę* i splótł uniesioną dłoń z ręką Marceliny. Stojąc twarzą do siebie, obeszli powoli, uroczyście jak *foro*, cały krąg dłoni, głosów i brzęczących berimbau. Jair był bezczelnym chłopakiem starszym o dziesięć lat od Marceliny, wysokim, czarnoskórym i przystojnym, choć ostentacyjnie i krzykliwie, pewnym siebie aż po arogancję. Z kobietami i białymi się nie bił. Biali ruszają

się jak drzewa, jak świnie wiezione ciężarówką do rzeźni. Kobiety nie są w stanie w ogóle zrozumieć *malicii*. To jest męska sprawa. A już drobne białe kobiety z niemieckim nazwiskiem i niemiecką cerą to jakiś absurd – w ogóle nie powinny tracić czasu na zabawę w capoeirę.

Jednakże drobna biała Niemka zaskoczyła go już dwa razy, najpierw lirycznym *S-dobrado*, które zaczęło się od pozorowanego kopnięcia z podłogi – tylko dłonie i stopy mogą jej dotknąć – po którym nastąpił obszerny cios prawą nogą, z podparcia na rękę; Jair uniknął go, opadając w obronną *negativa* i unosząc ramię, żeby ochronić twarz. Marcelina bez problemu przewidziała i uniknęła zamaszystego kopnięcia *meia lua*.

– É! É! – wykrzykiwali widzowie.

Za drugim razem sapnęli i rozklaskali się, gdy zanurkowała w *meia lua pulada*, kopnięcie z obrotu na rękę, będące wielkim wkładem Rio-Senzala w capoeirę. Kątem oka dostrzegła Mestre Gingę; kucnął ze swoją rzeźbioną lagą jak stary król Angoli, z kamienną twarzą. Stary dziad. Nic mu nie było w stanie zaimponować. Żaden z ciebie Yoda.

Potem poszedł *chapeu-de-couro*, z wyskoku, Jair znalazł się całkiem w powietrzu, tak że Marcelina ledwie zdążyła opaść w *queda de quarto*, opierając się dłońmi i stopami o parkiet, patrząc, jak stopa przelatuje nad jej twarzą.

Capoeira była z początku tylko kolejną falą ducha czasów, której dała się ponieść Marcelina, skuszona nieustającym, wampirycznym głodem tego, co świeże i modne. W Canal Quatro lunch był dla frajerów, przerwę trzeba było poświęcić na coś aktywnego. Przez czas jakiś rządził power walking – Marcelina pierwsza zapuściła się na skwarną plażę Botafogo w odpowiednich butach, lycrach, z pajęczynowym cieniem na powiekach, z krokomierzem, żeby odliczył owe mityczne dziesięć tysięcy kroków. Po tygodniu na ulice wyszli jej nieliczni przyjaciele i liczni konkurenci, do niej zaś doleciał przez uliczny zgiełk brzęk berimbau, wesołe dzwonienie *agogô* i śpiewy – gdzieś spomiędzy zieleni parku Flamengo. I następnego dnia już tam była, klaskała po swojemu, *loira* pochodzenia niemieckiego, a żyłaści faceci bez koszulek robili gwiazdy, salta i kopali się w *rodzie*. Był to tylko zwykły reklamowy pokaz szkoły Mestre Gingi, ale dla Marceliny okazał się Nowym Szałem. Przez jeden sezon capoeira rządziła, potem znad zatoki przywiałło Jeszcze Nowszy Szał. Ale Marcelina już oddała lycry i buty do sklepu z używaną odzieżą, krokomierz dała pani Costa z dołu, którą dręczył strach, że jej mąż lunatykuje i robi w nocy całe kilometry po ulicach, wdając się w drobne kradzieże; kupiła sobie klasyczne rybaczki w czerwone paski, elastyczny, krótki top i zaczęła dwa razy w tygodniu jeździć taksówką do *fundação* Mestre Gingi Silvestre, krętą drogą na górę Corcovado, zwieńczoną Chrystusem we własnej postaci, jak wzwiedzionym sutkiem. Stała się wyznawczynią tego tańca-walki. A moda? Moda wróci, zawsze wraca.

Capoeirzyści krążyli ze splecionymi dłońmi.

Wieczór był wilgotny, nad Tijuca nisko wisiały chmury. Wilgoć i ciepło wzmacniały zapachy; owocową, gęstą, mdlącą woń bugenwilli zwieszających się nad dziedzińcem do walk *fundação*, smrodliwy dym z odgraniczających *rodę* lamp naftowych, miodowo-solną słodycz potu spływającego po uniesionej ręce Marceliny, żyzną, energiczną kwaśność spod

pachy. Rozluźniła uchwyt i odskoczyła od Jaira. Jednym tchem berimbau i *agogô* przeskoczyły w São Bento Grande; na tym samym oddechu Marcelina przysiadła, chwyciła Jaira za nogawki spodni w czaszki, wstała i cisnęła go na plecy.

Roda zawyła z zachwytu; muzycy od berimbau wydobyli ze strun szyderczy śmiech. Mestre Ginga powstrzymał uśmiech. *Boca de calça* – posunięcie tak proste i tak głupie, że nikomu nie przyszłoby do głowy, że się uda – i właśnie dlatego zadziałało. I potem ostateczny cios. Marcelina wyciągnęła rękę. Kiedy wyciągasz rękę, koniec gry. Lecz Jair wyszedł z obronnej *negativa* z kopnięciem z półobrotu. Marcelina bez problemu przykucnęła pod jego bosą stopą i zanim złapał równowagę, weszła w jego zasięg i okrągłym ruchem, *podwójną galopante*, uderzyła go w oboje uszu. Jair upadł z krzykiem, śmiech ustał, zamilkły berimbau. Skrzeknął ptak; Mestre Ginga już się w żadnym razie nie uśmiechał. Marcelina znów wyciągnęła rękę. Jair pokręcił głową, pozbierał się, wyszedł z *rody* dalej kręcąc głową.

Mestre Ginga stał pod żółtą latarnią, gdy Marcelina czekała na taksówkę. Takie życie, jedni wożą, inni są wożeni. Obwisłe gałęzie drzew i falujący figowiec rzucały na niego, opartego na lasce, fragmentaryczne, ruchome cienie. Zakołysały się odstrasżające złe duchy amulety *patúa*, które miał na szyi.

Żaden z ciebie, kurwa, Yoda, pomyślała Marcelina. Ani choćby Gandalf Szary.

– Dobrze to było. Podobało mi się. A ta *boca de calça*, prawdziwe *malandro* w tym było. – Głos Mestre Gingi był chrypliwy, nikotynowy, cztery paczki dziennie. O ile było Marcelinie wiadomo, nigdy nie palił, nawet *maconhi*, a co dopiero innych substancji, a pił tylko w święta kościelne i państwowe. Przeważała teoria, że to guzki na strunach głosowych; niezależnie od fizjologii, brzmiało jak żywcem z *Karate Kid*. – Myślałem, że może, może, wreszcie nauczyłaś się trochę prawdziwego *jeito*, i wtedy...

– Przeprosiłam go, nic do mnie nie ma. Będzie mu dzwonić w uszach dzień czy dwa, ale to on nie chciał się poddać. Pokazywałam, ale odmówił. Ciągłe powtarzasz, że ulica nie zna reguł.

Gdy wytańczyła się z obronnego przysiadu, zobaczyła przed sobą nie twarz Jaira, ale Czarną Ptaszynę z całym jej urokiem i makijażem – pięści od razu wiedziały, co mają robić: cios po uszach, najbardziej upokarzający atak w *jogo*. I poprawić uderzeniem z liścia z twarz.

– Byłaś wściekła. Wściekłość to głupota. Nie uczyłem cię tego? Ten, kto się śmieje, zawsze wygra z tym, który się wścieka, bo wściekły to głupi, napędza go złość, a nie *malicia*.

– Dobra, dobra, gadaj se – powiedziała Marcelina, wrzucając torbę sportową na tylne siedzenie taksówki.

Liczyła, że taneczna walka wypali złość, zamieni ją, zgodnie z domowej roboty zen mistrza Gingi, w szyderczy śmiech prawdziwego *malandro*, beztroskiego, uwielbianego przez świat, który opiekuje się nim jak dobra matka. Ale i muzyka, i śpiew, i podstępne kroki gingi-rozgrzewki tylko wbiły tę złość głębiej, aż przebiła mroczny zbiornik z furją, tak starą, tak głęboko zakopaną, że zamieniła się w czarną, lotną ropę. Całe lata złości tam

były. Złość na rodzinę, oczywiście, na matkę, stopniowo, ostrożnie zamieniającą się w alkoholicką w swoim mieszkaniu na Leblon; na siostry, ich mężów i dzieci. Na kolegów, co byli rywalami i lizusami, których stale trzeba było mieć na oku. I przede wszystkim na siebie, na to, że w wieku trzydziestu czterech lat zaszła tak daleko i w takich magicznych butach, że teraz nie jest w stanie wrócić.

– Nie widzę, żeby mi dzieci zastąpiły karierę, którą zaraz zrobię. – Rodzina Hoffmanów zebrała się w restauracji U Leopolda na sześćdziesiąte urodziny matki, a ona, dwudziestotrzyletnia wówczas, świeżo przyjeta do Canal Quatro na młodszą researcherkę, była oszołomiona tymi światłami, kamerami, akcją. Cały czas słyszała swój ówczesny głos nad stołem, nad piwem, pełen pewności siebie: wypowiedzenie wojny jej starszym siostram, mężatom, ich mężom, jajczkom w ich jajnikach.

– Nie chcę jechać na Copę – zarządziła, wyciągnąwszy telefon. Kciuk zatańczył własną gingę na klawiszach z literami. – Jedź na Rua Tabatingüera.

– Świetnie – odparł taksjarz. – Na Copie pełno policji i wojska. W Morro do Pavão nieźle się kotłuje.

Nie pierwszy raz przyszła na cotygodniowe spotkanie na kacu. Sala konferencyjna Canal Quatro, pełna sprzyjających komunikacji kanap i niskich stolików, z panoramiczną szklaną ścianą, ze złotem i błękitem klubu piłkarskiego Botafogo, ze smogiem wiszącym nisko nad Niteroi po drugiej stronie zatoki, dudniła meganiską linią basu. Zgodnie z wizerunkiem stacji, mającym przemawiać do dorosłych dzieci, sala konferencyjna miała na ścianach wielkie tapety z wizerunkami postaci z Gwiezdných Wojen. Marcelina miała wrażenie, że Boba Fett ją gnębi. Wszystko będzie dobrze, o ile nie będzie się musiała odzywać; o ile Lisandra swoim pajęczym zmysłem wrednej mendy nie wyczuje, że Marcelina ma za sobą dwie trzecie butelki „Gray Goose”, a potem dużo, dużo zimnej bawarii z lodówki Heitora. Kolejny dzień, kolejna chemiczna miłość.

Bardzo by chciała nie płakać za każdym razem, gdy siedzi u Heitora.

Szefowie redakcji tematycznych, wydawcy, dyrektorzy, producenci. Czarna Ptaszyna w ciemnych szklach i chustce na głowie, jakby dopiero co zsiadła, wysmagana wiatrem i słońcem, z moto guzzi. Rosa, szefowa ramówki, rzuciła wczorajsze ratingi na ścianę. Minimalistyczne skórzane kanapy skrzypiały, gdy siadały na nich kolejne ciała. Nowa telenowela Rede Globo, *Nu Brasil*, zgarnęła średnio czterdzieści cztery procent widowni w ostatnich czterech badanych okresach, w tym krytyczne czterdzieści cztery procent w grupie wiekowej 18-30. *Szkoła ninja* Canal Quatro, w tym samym slocie czasowym, zgarnęła osiem i pół procenta, zgodnie z planem mocno skrzywione w stronę męskiej widowni, ale to i tak było o półtora punktu mniej niż *Kosmetyczki bez szkoły* w SBT i tyle samo, co najważniejszy segment Globo Sport. I Adriano Russo przychodził do nich coś na ten temat powiedzieć.

Dyrektor programowy Canal Quatro postarał się, żeby wyglądać, jakby dopiero co zaparkował w recepcji deskę surfingową, ale i tak miał zarezerwowany własny fotel na końcu wybiegu pełnego szklanych stolików, a wypielęgowane dłonie natychmiast zajęły się teczkami i dwoma blackberry.

– Po pierwsze, w tej sali zgromadzili się najbardziej kreatywni, twórczy, pracowici i ostrzy ludzie, jakich w życiu spotkałem. Bez dwóch zdań.

Protokół nakazywał potakiwać głową do tej gadki jak z czatu, nawet kiedy używał angielskich skrótów, albo, jak często podejrzewano, w locie je wymyślał.

– Jeden słaby wieczór, okay, ale żebyśmy nie mieli słabego sezonu. – Poprawił teczkę na szklanym stoliku. – Do waszej wiadomości, dyrektorzy produkcji i szefowie działów. Dostałem informacje o zimowej ramówce Rede Globo. – Nawet Czarna Ptaszyna podskoczyła. – PDF-y już dostaliście mailem. Najważniejsze: gwoździem sezonu jest nowa telenowela. Zanim mi tu zaczniecie stękać, że sztampa i nuda, podam parę szczegółów. Nazywa się *Gdzieś tam jest świat*, scenariusz Alejandro i Cosquim, ale USP: to będzie powrót Any Pauli Arósio. Partner: Rodrigo Santoro. Ściągnęli jedno i drugie z powrotem do Brazylii, i to do telewizji. Nakręcili w tajnym zamkniętym studiu gdzieś w Brasili, dlatego nikt nic nie wiedział. Wielki pokaz prasowy jest w przyszłą środę. Pilot idzie piętnastego czerwca; i potrzebujemy czegoś wielkiego, głośnego, czegoś, o czym się gada, chamskiego i ostrego, takiego „Jak oni śmia, te bezczele z Canal Quatro”, i tak dalej. Jak zwykle. Chcemy, żeby recenzenci mieli EPOOTH.

Eyes Popping Out Of Their Heads, Oczy Wyłazące z Orbit, domyślała się Marcelina przytłoczona dup-dup-dup zbyt intensywnego poranka. To nie ma być program, który będzie konkurował z telenowelą. Jeśli ktoś zaproponuje, żeby zawalczyć z Aną Paulą Arósio i Rodrigiem Santoro, padnie z dziesięcioma kulami w głowie, dobo kalkulowało coś innego: *Gdzieś tam jest świat* wygeneruje ogromną oglądalność, która utrzyma się przy telewizorach, gotowa na następny program – a doświadczenie Marceliny mówiło, że zawsze to będzie jakieś byle co, tanioccha, nibydokument z materiałami z planu, wywiadami z aktorami, zwiastunami, ale takimi, żeby nie zdradzały fabuły. I to tę oglądalność Adriano chciał wykorzystać. Po raz pierwszy od wielu miesięcy w sercu Marceliny Hoffman pojawiło się coś na kształt ożywienia. Fala adrenaliny zmyła kaca. Blond ambicja. Blond awans. Znow kręci się karuzela zamówień na nowe programy we wszystkich dużych sieciach. Rozrywka oparta na faktach znowu nabierze wiatru w żagle. Własny szklany kubik. Ludzie będą musieli pukać, żeby wejść. Własna asystentka. Wystarczy, że wspomni o gadżecie typu blackberry czy różowa motorola, i następnego dnia z rana już będą na biurku za sprawą technologicznej wróżki. Pierwsza rzecz, którą robi nowy wydawca: przestaje zamawiać wszystkie programy swoich wrogów. Wyobraziła sobie, jak podczas spotkań w Piątce Burzy Bluzgów utracą wszystkie propozycje Lisandry. Mogłaby kupić to mieszkanie na Leblon, może nawet z widokiem na morze. Matka by się ucieszyła. A ona sama dałaby sobie spokój z półśrodkami, strzałami z botoksu w przerwie obiadowej, i zrobiła pełen lifting, eliminując te wszystkie niepokojące zmarszczki pojawiające się po trzydziestce. O, dziękuję ci, o Święta od Wdowiskowości.

– Mamy sześć tygodni, żeby odwrócić kartę. Oferty do szefów działów na Piątek Burzy Bluzgów. – Adriano Russo zebrał papiery i wstał. – Dziękuję wszystkim.

Cześć Adriano dzięki Adriano do zobaczenia w piątek Adriano buziaczki Adriano.

– BTW. – Odwrócił się jeszcze w drzwiach. – Wprawdzie nie u nas, ale IMBWR jest

Mundial.

Dzięki Adriano serio Adriano będziemy pamiętać Adriano.

Boba Fett wciąż groźnie trzymał Marcelinę na muszce, za to Yoda jakby się uśmiechał.

22 WRZEŚNIA 2032

Piłka wisi nieruchomo w wierzchołku łuku, który obramowuje Cidade de Luz, pięćdziesiąt idących pod górę ulic; głowa dzielnicy zwieńczona cierniową koroną faweli, u kolan upalne szaleństwo *rodoviarrii*, pełne okien i lusterek wstecznych. Za wielopasmówką zaczynają się grodzone enklawy: czerwone dachy, błękitne baseny, zielone okiennice. W rozedrganym skwarze niekończące się wieżowce São Paulo niemal nikną, jak na wpół rzeczywiste architektoniczne zjawy o szczytach okolonych reklamami. Pomiedzy lądowiskami na dachach kłębią się i wiercą helikoptery – tam na górze zdarzają się ludzie, którzy nigdy nie dotknęli stopą ziemi. Natomiast jeszcze wyżej znajdują się Anioły Ciągłego Monitoringu. Przy czystym niebie można je czasem dostrzec, ledwie widoczne mignięcia, jak luźne komórki pływające w cieple szklistym oka. Kręcą się na swoich orbitach, łapiąc światło rozłożystymi, pajęczymi skrzydłami. Szesnaście takich dronów, kruchych jak modlitwa, bez przerwy krąży na skraju troposfery. I tak jak anioły, latają bez ustanku, też nigdy nie dotykają ziemi, bo muszą i mogą. I jak anioły, mają wgląd w ludzkie serca i zamiary. Monitorują i śledzą dwa miliardy erfidów, radiowych chipów identyfikujących, umieszczonych w autach, ubraniach, sprzętach elektronicznych, pieniądzach i kartach płatniczych dwudziestu dwóch milionów mieszkańców Miasta Świętego Pawła. Dwadzieścia kilometrów ponad tymi Aniołami, w tropopauzie manewrują balony wielkości całych kwartałów, utrzymując pozycję nad swoimi naziemnymi stacjami przesyłu danych. Przemykają między nimi eksabity informacji, gładka plecionka łączności spowijająca nie tylko Brazylię, lecz całą planetę. Jeszcze wyżej, poza zasięgiem rozumu i myśli, po przypisanych sobie orbitach turlają się satelity GPS, śledzące pozycję co do kroku, rejestrujące każdą transakcję, każdego reala i centavo. A najwyżej – Bóg na swoim tronie patrzy na Brazylię i jej 300 milionów dusz z nostalgią za czasami, gdy był jedynym wszechwiedzącym.

Wszystko to w bezruchu, póki w powietrzu wisi piłka z logo Mundialu 2030. Potem spada. Ląduje na prawej stopie dziewczyny w obcisłych lycrowych spodenkach z imieniem na tyłeczku: *Milena*, żółte litery na zielonym tle. Przytrzymuje piłkę na płaskim podbiciu swojego nike raptora, znów wyrzuca w powietrze. Okręca się, żeby odbić z woleja lewą nogą, robi obrót i przytrzymuje piłkę na piersi. Tam też ma imię, błękitne na słonecznie złotej koszulce piłkarskiej, obciętej, żeby wyeksponować brzuch. *Castro*. Błękit, zieleń i złoto.

– U góry mogłaby być trochę bardziej wyposażona – mówi Edson Jesus Oliveira de Freitas, cedząc poranne powietrze przez zęby. – Ale dobrze, że chociaż blondynka. Bo blondynka, nie?

– Co ty mówisz? To moja kuzynka.

Dwa Szlugi to kościsty *enxofrada* pozbawiony stylu i *jeito*, jeśli ta laska w krótkiej koszulce i obcisłych gatkach jest jego kuzynką, to Edson nie jest szóstym synem szóstego syna. Siedzą na składanych krzeselkach z demobilu za linią boiska do halówki, w usianym psimi kupami betonowym bunkrze, w zapomnianym przez wszystkich zaułku za kościołem zielonoświątkowców. Milena Castro, Mistrzyni Cidade de Luz w Odbijaniu Piłki, podbija ją teraz główką. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, grzeczne dziewczynki do nieba wieść. Szczególnie tuż za Zborem Bożym. Piłka odbija się od jej zadartego czoła z przyjemnym, plastikowym plaśnięciem. Siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia. Nigdy nie dotyka ziemi, jak bogacze i anioły.

– Długo tak umie?

– A ile tylko zechcesz.

Uśmiech i kiwnięcie głową. Dwa Szlugi też szczyrzy zęby i mruga do Edsona. Milena podbija piłkę kolanami. Ma na sobie podkolanówki w barwach narodowych. Edsona kręcą podkolanówki.

– Biorę ją. – Edson prawie widzi, jak w oczach Dwóch Szługów kręcą się reale, niczym w kreskówce. – Podejdźcie do mojego biura, pogadamy. – Biuro jest w przylegającej do domu Dony Hortense wąskiej szopie, śmierdzącej psimi szczynami i pleśnią, ale tam właśnie mieści się siedziba *De Freitas Global Talent*. Milena, Królowa Podbijania Piłki obraca się, pozuje, a piłka opada jej idealnie w zgięciu ręki.

– Nieźle to wygląda.

Jej alabastrowa skóra nawet się nie spociła.

– Według mnie masz talent. Niestety, takie czasy, że sam talent to za mało. I ja mogę wam w tym pomóc. Potrzebny jest unikatowy produkt. Wiesz co to takiego? Ślicznusie te spodenki, ale trzeba je będzie zdjąć.

– Ej! Mówisz o mojej kuzynce! – wykrzykuje Dwa Szlugi. Edson nie zwraca na niego uwagi. Miejscowe dzieciaki wchodzą trójkami i czwórkami na boisko, niecierpliwie odbijając małą, ciężką piłkę.

– Jak futbol, to tylko stringi. Kiedyś tam trzeba będzie i cycki poprawić. To jej nie zepsuje talentu, nie?

Mistrzyni Podbijania Piłki kręci głową. Chłopaczki od halówki gapią się na nią. Przyzwyczajaj się, myśli Edson. Jak wystąpisz w przerwie na Parque São Jorge, będzie się na ciebie gapić czterdzieści tysięcy ludzi.

– Super super super. Na razie co zrobię: postaram się was na próbę wkręcić do którejś z drużyn Série C. Atlético Sorocaba, Rio Branco, coś takiego. Na razie, powoli, wyrobić wam markę. Potem wyżej. Ale najpierw musicie wpaść do mojego biura i wszystko oficjalnie załatwić.

Milena kiwa beznamiętnie głową, wkłada połyskującą bluzę Timão i getry w barwach drużyny narodowej. Dobrze, że chociaż ona rozumie, na czym polega biznes, nie to co Dwa Szlugi, który jest tak tępy, że Edson aż się dziwi, jak dożył dwudziestu ośmiu lat. Ale tym razem coś z tego będzie. Pierwszy gruby kontrakt firmy *De Freitas Global Talent* – nie licząc dziewczęcej drużyny do siatkonogi i Drobniaka, pod-dzeja. To były tylko wprawki.

Edson jednym ruchem składa wojskowe krzeselka: zwijają się w okamgnieniu jak parasole, w cienkie patyki, które można zarzucić na plecy. Cwane te nowe inteligentne plastiki. Dwa Szlugi obejmuje ramieniem Królową Podbijania Piłki, gestem kompletnie niewyglądającym na kuzynowski. Dać mu premię rekrutacyjną i niech spada po cichu tylnymi drzwiami.

– Będę tam po dziewiątej! – woła za nimi Edson.

Dzieciaki od halówki przepychają się, chcą odzyskać swój teren, rozciągają siatki, zdejmują klapki.

Pośrodku Edsonowych iSzkieleł marki Chilli Beans wyświetla się paskudna gęba. Pyka palcem w oprawkę, żeby odebrać.

– No co tam, nieudany bracie? Muszę ci jedno powiedzieć, właśnie podpisałem zajebisty deal...

Edson mógłby wymienić z tysiąc głupot, w które wpakował się w życiu Gerson, ale tym razem przeszedł sam siebie. Dzwoni, bo za czterdzieści minut prywatni *seguranças* Brooklin Bandeira znajdą go i zabiją.

Struga kart monet kluczy tamponów szminek cieni pudrów sypie się z odwróconej torebki. Klucze i monety podskakują na chodniku, tampony turlają się, pchane gorącym wiatrem. Torebkowe wydanie plotkarskiego pisemka spada jak ptak z przetrąconym grzbietem. Puderniczka uderza krawędzią w chodnik i rozpada się na części, prasowany puder, puszek, lusterko. Lusterko toczy się kawałek.

Gerson João Oliveira de Freitas naskoczył na dziewczynę w martwym punkcie osiedlowego monitoringu. Przyuważył ją pod Hugo Bossem na Avenida Paulista; przykleił się do taksówki, wylądował pod domem taty i mamy w enklawie niższej klasy średniej, osiedlu pseudokolonialnych hacjend z zimnymi, zimnymi basenami, schowanym za cmentarzem na Vila Mariana. Zahacz ją, jak będzie grzebać w torebce. Zdarł pasek z jednostrzałowego pistoleciku. Wystarczyło, że raz spojrzała. Wysypał zawartość torebki, wyrzucił pistolet – od razu zaczął się rozkładać – okręcił motorower na tylnym kole. Nie było go, zanim zdążyła krzyknąć.

Kiedy daje w palnik, tylne koło rozgniata lusterko. Ktoś będzie miał pecha. Ściąga na szyję bandanę, którą zasłonił sobie twarz. Za sam widok czegoś takiego w dzisiejszych czasach ma się zatrzymanie i rewizję. Antyspołeczny ubiór. Jej iSzkła, zegarek, koszulka, taksówka – jakieś oko na pewno pstryknęło mu zdjęcie. Tablice rejestracyjne motorka ma w plecaku. Jak dojedzie do chiperii, założy je z powrotem. Śrubokręt i dwadzieścia sekund. Karty już będą czyste, kody zmieniają się co osiem godzin. Monety-żetony są warte mniej niż plastik, z którego je wyłoczono. Sprzęty do makijażu, tampony, babskie pisemka, to nie dla faceta. Ale torebka „Giorelli Habbajabba”, nowy model na sezon 2032 (awansowała z kategorii „trzeba mieć” do „zrobić wszystko, żeby mieć”), chodzi na ulicy po trzy tysiące. Torebka. Naprawdę. Z takim łupem przewieszonym przez ramię Gerson

wjeżdża ślimakiem w potężny galimatias Avenida Dr Francisco Mesquita.

Senhora Ana Luisa Montenegro de Coelho puka w swoje wielkie, ochrowe iSzkła, wysyłając zawiadomienie o napadzie i zdjęcie do Austral Insurance and Security. Bandana na twarzy. Oczywiście. Zero tablic. Oczywiście. Dziesięć kilometrów nad São Paulo Anioł Ciągłego Monitoringu, orbitujący w wiecznej pętli, odnotowuje skradzioną torebkę. Z zamieci ciągle poruszających się erfidowych sygnatur wyławia i lokalizuje chipy identyfikujące produkt firmy Anton Giorelli Habbajabba niedawno zarejestrowany na nazwisko „Ana Luisa Montenegro de Coelho”. Wywołuje zapisaną w swojej sieci neuronowej mapę dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych i dwudziestu dwóch milionów mieszkańców São Paulo; przeszukuje wszystkie dzielnice, *bairros*, śródmieście, centra handlowe, fawele, zaułki, parki, stadiony, tory wyścigowe i *rodovies*; po czym znajduje ją, dyndającą, fioletowo-różową, na łokciu Gersona João Oliveiry de Freitas, pochylonego nad kierownicą swojego rozklekotanego pierdzibączka, brzęczącego jak neon na ostatniej prostej – Ibirapuera. Na rynek wychodzi zapytanie. Zautomatyzowane systemy ofertowe kilkunastu prywatnych firm ochrony, które są w stanie dotrzeć do celu, mieszcząc się w budżecie, składają oferty. Piętnaście sekund później Austral Insurance zawiera umowę z Brooklin Bandeira Securities, renomowaną, średniej wielkości firmą, która ostatnio trochę traciła rynek na rzecz młodszych, agresywniejszych, ostrzejszych konkurentów. Po dogłębnej restrukturyzacji i mocnym przeszkoleniu kadry wraca do gry z nowym podejściem.

I to wszystko dla torebki? W fioletowe i różowe kwiatki? Ana Luisa Montenegro de Coelho może sobie kupić drugą przed wieczorem. Ale akurat jest akcja – zawsze gdzieś jest jakaś akcja, zaostrenie kursu wobec przestępczości albo wobec przestępców. Przeważnie mniej więcej wtedy, gdy przychodzą terminy odnawiania polis ubezpieczeniowych. Brooklin Bandeira Securities musi odbudować reputację, a jego *seguranças* niebezpiecznie się nudzą, oglądając O Globo Futebol 1. W garażu przegazowują dwa suzuki. Kierowcy wyświetlają sobie pozycję na HUD-ach w hełmach. Pasażerowie z tyłu sprawdzają broń i zapinają pasy. Gra się zaczyna.

W rynsztoku przed elegancką enklawą Any Luisy, porzucony pistolecik zamienia się w czarną, śmierdzącą ciecz i spływa po szczebelkach studzienki do kanalizacji. Przez parę dni deliryczne, podtrute szczury będą zataczać się i zdychać na trawnikach Vila Mariana, powodując wśród mieszkańców krótkotrwałą konsternację.

Edson delikatnie dotyka skroni palcami lewej ręki, w geście, który mu wyewoluował jako symbol złości na brata, nawet kiedy Gerson go nie widzi. Wzdycha.

– Co ty gadasz? Nie mogą wyzerować erfida?

– To jakaś nowa rzecz, mówią. Chip NP.

Gerson popijał kawę i rozkoszował się świetnymi słodkimi bułkami, jeszcze ciepłymi, w chipperii u Hamilcara i pana Smileasa. Stała zaraz na tyłach piekarni, co oznaczało

pyszne bułeczki i *pão de queijo* dla wszystkich klientów, podczas gdy chipperia sprawia, że kradzione rzeczy znikają z horyzontu Aniołów Ciągłego Monitoringu. Hamilcar i pan Smiles pracowali w wozie kempingowym z trzeciej ręki, tak wypchanym komputerami, że sami mieszkali na zewnątrz, pod namiotami i markizami. Skoro na chipperii urywały się wszelkie ślady, mobilność była kluczowa. O ile Gerson dobrze rozumiał, czas liczył się najbardziej. Skasowanie erfida trwało dziesięć, góra dwadzieścia minut; w takim czasie *seguranças* byli w stanie namierzyć go z dokładnością co najwyżej do pięciokilometrowego koła; a ich budżet nie wytrzymałby przeszukania takiego obszaru. Większość zawracała i jechała z powrotem, gdy tylko stracili sygnał.

– Ile sobie życzysz za tę torbę? – Hamilcar trochę czytał gazetę, a trochę zrywał płatki suchej skóry ze swoich popękanych stóp.

– Trzy tysiące reali.

– Nie, serio, ile?

– Po tyle chodzą. Nie do dostania, ani za seks, ani za kasę, ani za w łapę. Mówię ci.

– Osiem stów, po potrąceniu za zdjęcie chipa.

– Dwa pięćset.

Hamilcar skrzywił się, bo trochę za mocno zdarł szczególnie grube pasmo martwej, białej skóry, odsłaniając żywe ciało.

– Człowieku, ty nawet szkoły nie skończyłeś. Myślałem, że może zrobię prezent dziewczynie, spodoba się, ona lubi takie rzeczy, wszystkie te nazwiska i tak dalej. Ale nie za taką cenę.

Po czym otworzyły się drzwi. Pan Smiles wyszedł ze śmierzącego campera. Skończył informatykę na uniwersytecie São Paulo i był miejscowym hackerem. Wielki, chudy Cabo Verde z ogromnym, wypielęgowanym afro i uzębieniem, przez które wyglądał, jakby się nieustannie uśmiechał. Uśmiech kompletnie nie pasował do strzelby-pompki w jego łapach.

– Ej... ej... no... – wykrzyknął Gerson, plując okruchami słodkiej bułki.

– Gerson, to nic osobistego, ale masz trzydzieści sekund, żeby wsiąść na motorek i spadać.

– Co co co? – zdziwił się Gerson, łapiąc ciśniętą przez pana Smilesa habbajabbę.

– W tym jest chip NP. Ja się tego nie tykam.

– NP-co? Co to, kurna jest? Jesteś naukowiec czy nie jesteś? Powinieneś się na tym znać.

– Ja jestem informatykiem, magistra mam z baz danych. A to jest fizyka kwantowa. Znajdź sobie fizyka. Albo leć nad rzekę i wyrzuć to cholerstwo. Zresztą jak chcesz. Ja nie będę się bić z Brooklin Bandeirantes. Za to ciebie zabiję.

I właśnie wtedy Gerson zadzwonił do swojego młodszego brata-bystrzaka. A Edson powiedział:

– Wywał to cholerstwo do rzeki.

– Ale... trzy tysie?

– To tylko torebka.

– Potrzebna mi kasa.

– Znowu komuś wiesz? Jezus Maria...

Edson odgania dzieciaki od swojego motocykla. Yamaha X-Cross, dwieściepięćdziesiątka, enduro, żółtozielona jak papuga, jak koszulka piłkarska i Edson kocha ją ponad wszystko, z wyjątkiem matki i swojego planu na biznes. Emanuje stuprocentowym *jeito* i da się nią wjechać nawet na ścianę.

– Pogadam ze Smilesem.

– No dobra – mówi pan Smiles, kiedy Edson tłumaczy, że nie może dać zabić swojego brata-przygłupa dla jakiejś damskiej torebki. – Ja i tak myślę, że już nie żyjecie. Ale możesz spróbować u *quantumeiros*.

– Kogo? Jakich-eiros?

– *Quantumeiros*. Kojarzysz, te nowe kwantowe komputery? Nie? Kody nie do złamania? Oni to łamią. Fizycy. Dam ci ich numer rejestracyjny, oni krążą jeszcze bardziej niż my. Ale uważaj z tymi typami. Zawsze jakieś dziwne rzeczy się u nich dzieją.

Na chilli beansach Edsona wyświetla się mapa *rodovii* São Caetano; jedna rejestracja jest zaznaczona, jedzie na północ R118. Edson zastanawia się, ilu gości od chipów, łamaczy i *quantumeiros* wędruje w danej chwili po ekspresówkach wielkiego Sampa.

– Spróbuję u nich.

– Jak ten Gerson zasłużył sobie na takiego brata? – pyta pan Smiles. – Nieważne. Na twoim miejscu bym się śpieszył.

Yamaha startuje pod odciskiem kciuka Edsona. Wyciąga z torby dopalacz na koncentrację, łyka go, a kiedy świat wokół wyostrza się i rozjaśnia, powoli jedzie przez zaułki za kaplicą *crente*. Nie ma ochoty uchłapać sobie białych dzwonów błotem po nocnym deszczu.

Bracia de Freitas spotykają się dwadzieścia trzy minuty później pod wjazdem na Węzeł 7. Dwadzieścia trzy minuty, żeby Brooklin Bandeira mogli się zbliżyć i zawęzić koło możliwości do zasięgu strzału z pistoletu maszynowego. Edson wypatrywał już w kamerkach wstecznych, które sam zamontował, połyskujących oleistą czernią motocykli ochroniarzy. Yamahą by od nich uciekł, wjechał gdzieś, gdzie te ciężkie maszyny nie dadzą rady, on tak, ale nie Gerson, żyłujący alkoholowy silniczek swojego gównianego pierdzibączka. Edson nie może uwierzyć, że sam kiedyś na tym rzęchu jeździł. Kamery na bramkach odczytują jego numer rejestracyjny, satelity na niebie obciążają jego rachunek. Legalni biznesmeni nie mają łatwo.

I oto jest, wyłania się spośród ruchu, barkentyna *quantumeiros* – wielki czterdziestotonowiec jadący równą stową po lewym pasie. Kabinę ma wymalowaną w cherubiny w stylu Fleshbeck Crew{2}, a na dachu baterię chromowanych klaksonów, pięknych jak archanielskie trąby. *Catering gotowy/chłodzony*, mówi naczepa. Dobra przykrywka. Żaden pies nie zatrzyma do przeszukania kontenera z podłg kuchnią. Edson machnięciem ręki każe Gersonowi schować się w strumieniu powietrza za ciężarówką.

Dotknięciem iSzkiał dzwoni pod adres od pana Smilesa. Ciężarówka mruga na potwierdzenie światłami awaryjnymi i zjeżdża na prawy pas, zwalniając do siedemdziesięciu, sześćdziesięciu, pięćdziesięciu, czterdziestu. Unosi się tylna roleta; facet w średnim wieku w koszulce bez rękawów, z blackmetalowymi wzorami jednocześnie zawisa na łańcuchu i jakimś sposobem pali papierosa. Przyzywa ich bliżej, bliżej. Rampa załadownicza wysuwa się, opuszcza. Stal uderza w jezdnię. Wokół braci Oliveirów syją się iskry. Black Metal zaprasza ich raz jeszcze: No jazda, jazda na rampę. Obsypywany iskrami Edson przymierza się. Jest biznesmenem, nie kaskaderem. Wysuwa się naprzód: piguła na skupienie podaje mu mikroprzyśpieszenia i prędkości względne. Bliżej, dalej, bliżej, dalej, bliżej; nagle odkręca gaz, pędzi naprzód i jednocześnie hamuje i wciska sprzęgło.

Metal z papierosem klaszcze w dłonie.

Trzydzieści sekund później na platformie wyhamowuje Gerson, blady i roztrzęsiony. Edson próbuje wyobrazić sobie, co ludzie dojeżdżający do pracy *rodoviá* São Caetano myślą sobie o człowieku z różową damską torebką na szyi wjeżdżającym na tył jadącej ciężarówki. Pewnie sądzą, że to jakaś telenowela, i rozglądają się za latającymi kamerkami: O! Jesteśmy w „Którymś ze światów”, naprawdę!

Death Metal podnosi rampę i ze szczękiem zaciąga roletę. Zapalają się wpuszczone w ściany łagodne światła. Edson czuje, jak za zachodzącymi na boki twarzy iSzkiałami wytrzeszczają mu się oczy. Tył kontenera stanowi miejsce do dokowania; przednie dwie trzecie to dwupoziomowa siedziba firmy. Niższy poziom, recepcja, jest zbiorowiskiem kiczu w stylu Karma Café, włochate dywany, skórzane worki do siedzenia, dmuchane fotele i kanapy zdobione imitacją skóry zebry, na cienkich nóżkach. Wokół bateria zwijanych ekranów nastawionych na kanały sportowe i informacyjne, skomplikowana maszyna do kawy z baristą do kompletu i cicho grająca bossa nova. Na górze jest biuro – przezroczyta plastikowa kostka, w porównaniu z klimatycznym światłem na dole oświetlona do bólu ostrymi świetlówkami. Wypełniona po sufit farmami serwerów, duktami kablowymi i zbiornikami z rzucającym się w oczy napisem „ciekły hel”. Edson zauważa jakąś postać poruszającą się między stosami obudów, mignięcie burzy rudych włosów. Niebo i klub łączą spiralne schodki z jarzącego się, niebieskiego plastiku.

Z kanapy podnosi się rozkudłana drag queen w eleganckim kostiumie i błyszczącej bluzce. Ma spiczaste buty pirata, nieskazitelnie wyglansowane.

– Czyli to jest ta torebka? – *Bicha* obraca ją w dłoniach. – Tak myślałam, że to się wcześniej czy później stanie, niech tylko kwantowa technologia trochę stanieje. Prościej byłoby ją w cholere wywalić.

– Mój brat może ją dobrze sprzedać.

Ciężarówka przyśpiesza; *seguranças* namierzyli erfida i gonią ich *rodoviá*.

– Spokojnie damy radę to wykasować. Na szczęście, to nie jest najnowszy model. Fia?

Można się w kimś zakochać za same buty. Złote koturny ze skóry *jacaré*, z paskami w kostce. Schodzą górnym zakrętem spiralnych schodków. Nad nimi smukłe kostki, piękne, nie za pełne łydki, spodnie do pół łydki z małą strzałeczką z boku i białym lampasem

prowadzącym do pasującego paska z *jacaré*. Spodnie należą do czarnego kombinezonu, o kroju prowokacyjnie retro, z poduchami na ramionach i kiczowatymi suwakami na piersiach. Wszystkie te szczegóły olśniewają Edsona z jego podkreśloną percepcją. Potem z pomieszczenia na górze wyłania się głowa. *Japonesa* w trzecim pokoleniu, sądząc po kościach policzkowych i nosie – bo oczy sobie zrobiła, ma te okrągłe, sarnie, prosto z animy. Włosy superjedwabiste, proste, z tych, co wszyscy by chcieli mieć, ale tylko Japończycy mają odpowiednie DNA. Przycięte równo i tak starannie, że można by je mierzyć poziomą. Czerwone, ten kolor w tym roku znów wrócił do łask. A na nich zsunięte do góry topowe i Szklą Blu Manna.

– Niezła torba – rzuca.

Edson otwiera usta, ale nic się z nich nie wydobywa. To nie miłość. To nawet nie pożądanie. Najbliższe uczucie, które byłyby w stanie nazwać, to „podziw”. Gdyby miał w ciele choć jedną religijną komórkę, być może nazwałby to „uwielbieniem”, w tym najstarszym, boskim sensie. Fascynuje go. Jest wszystkim, czym chciałby się stać. Pragnie orbitować w jej polu grawitacyjnym, krążyć wokół jej fantastycznego świata, fantastycznych ciuchów, fantastycznych przyjaciół, fantastycznych miejsc, które podziwia, gdzie przebywa, gdzie pracuje. Wzięła *akt jeito*, które podobno w życiu sobie wypracował, i rozmazała na szosie jak rozjechanego kota. Czuje się przy niej jak szmaciarz z faweli. I słusznie. Przy niej jest szmaciarzem z faweli.

– Będą za dwie minuty – rzuca drwiąco *bicha*.

– Dasz mi tę torebkę?

– A... ten... mogę popatrzeć?

– Nic ciekawego. Rozczarujesz się.

– Nie sądzę. Chciałbym zobaczyć.

– Pewnie, że się rozczarujesz. Jak każdy.

– Półtorej minuty – mówi chłopaczek-*bicha*.

Gerson zarządził sobie *cafezinho*.

Pozwala Edsonowi wnieść torebkę na górę.

– Fia? Fia jak?

Wśród całego tego sprzętu ledwo mieszczą się dwa obrotowe fotele. Kubik jest oplątany taką ilością kabli, że można by z nich zrobić most wiszący.

– Kishida – wypowiada to szybko, z japońskim naciskiem, choć akcent ma czysto paulistański.

Fia stawia Giorellego na podświetlanej białej plastikowej tacy, pod płataniną mikromanipulatorów. Nasuwa szklą Blu Manna na twarz. Dłonie wirują w powietrzu, paluszki robota tańczą gawota nad torebką, wyszukując chip erfidowy. Edson widzi, jak na okularach Fii migocą duchy i układy elektroniczne w coraz to silniejszym powiększeniu.

– Znam ten kawałek, naprawdę jest niezły. Lubisz *bailei* – pyta Edson, napinając mięśnie do rytmu. – W piątek jest *gafieira*, mój klient gra.

– Mógłbyś się zamknąć na trzydzieści sekund, żebyśmy mogła popracować?

Ramiona wyszukują i naprowadzają się. Na szklach Fii pojawiają się piktogramy,

źrenice tańczą po nich, wydając polecenia. Edson stwierdza, że jego uwagę przykuwa świetlisty obiekt pod szklaną powierzchnią blatu. Szkło jest tak chłodne, że oddech osiada na nim rosą. Daleko w dole, na oko dalej niż mieściłoby się w ciężarówce – pod podłogą laboratorium, pod klubowym salonem, pod ramą ciężarówki, pod jezdnią – widzi jakiś przesuwający się, zmieniający kształty poblask.

– Co to? – Opuszcza głowę, aż dotyka nią chłodnego szkła.

– Rzeczywistość – mówi Fia. – Kropki kwantowe w superpozycji. To światło, to fotony pochodzące z fluktuacji kwantowej, wydostają się ze stanów równoległych, w których wykonują się obliczenia.

– A, czyli ty jesteś fizykiem – mówi Edson i gryzie się w język: czy to ta piguła każe mięśniowi, który nigdy go dotąd nie zawiódł, płuć wyłącznie głupotami? Patrzy na niego, jakby nasrał jej na szklany blat. Sięga przez niego, żeby nacisnąć guzik. Czujniki robota poruszają się o ułamek włosa, po czym wracają do pozycji wyjściowej.

– No dobra, załatwione. Nieszkodliwa i anonimowa.

– Co? Tak szybko?

– Mówiłam, że się rozczarujesz.

– Ale ty nic nie zrobiłaś.

– Przeleciałam przez wszystkie możliwe kombinacje w dziesięciu do osiemsetnej wszechświatach. To nie jest „nic”.

– Oczywiście – stwierdza bez przekonania Edson.

– W którymś zawsze jest odpowiedź.

Edson coś tam o tym słyszał – stara się w ramach biznesu wiedzieć odrobinę o wszystkim, co zajmuje sąsiadujące z nim nisze w szarej strefie – a teraz na własne oczy zobaczył, czego można dokonać, ale i tak wydaje mu się, że to czarna magia. Kropki kwantowe w superekstraczymś tam. Dziesięć do osiemsetnej wszechświatów. To nie jest rzeczywistość. Rzeczywistość to typki z Brooklin Bandejas wracające do biura bez kasy i bez łupu. Rzeczywistość to ludzie głupi na tyle, żeby dać trzy tysiące reali za torebkę, i inni, głupi na tyle, żeby taką torebkę ukraść. Rzeczywistość to konieczność dogadania się z tą magnetyczną i sztywną istotą.

– Skoro tak mówisz – mówi. Skoro ma go za tumaną, może trzeba to wykorzystać. – Ale może wytłumaczysz mi na lunchu.

– Wolałabym, żebyś mi zapłacił. Teraz.

W salonie rzuca torbę Gersonowi, a *bicha* w biznesowym kostiumie drukuje fakturę. Wzrok Edsona przykuwa jakiś ruch, coś lub ktoś pomiędzy kwantowymi komputerami u góry. Niemożliwe. Z nikim się na tych neonowych schodach nie minęli. Dziwne rzeczy się u nich dzieją, uprzedzał pan Smiles.

– Lepiej gotówką – mówi *bicha*.

Obojętne czym lepiej, i tak nie da rady zapłacić.

– Lepiej nam nie wisieć kasy – radzi Black Metalowiec. Zmysł pieniężny Edsona sugeruje, że to on jest finansowym zapleczem firmy.

– Mogę wziąć torebkę – mówi Fia.

Edson wrywa ją bratu.

– To jak, *gafieira*? – ryzykuje, gdy ciężarówka parkuje w bezpiecznym miejscu, a roleta zaczyna się podnosić. – José s Garage, Cidade de Luz.

– Nie przeginaj – mówi Fia *quantumeira*, ale Edson widzi, że gdzieś głęboko, na poziomie kwantowym, ona jest królową *baile*.

19 CZERWCA 1732

Na brukowanym nabrzeżu Cidade Baixa oszalał muł. Obłąd dopadł go znienacka, przed momentem jeszcze ciągnął wyładowany wóz z typowym dla swego gatunku uporem, w następnej chwili stanął jak wryty, uszy do tyłu, obnażone zęby, rżał. Wyrwał się bosonogiemu niewolnikowi, prowadzącemu zwierzę na wpeł śpiąc, takie było dotąd tępe i potulne – z *engenho* do portu, gdzie na falach Bahia de Todos os Santos kołysały się niskie, powolne karaki, obciążone cukrem i złotem z Vila Rica. Niewolnik chciał chwycić za uzdę – muł odsunął pysk, przewracając oczyma. Stanął dęba, wierzgnął. Platforma zakołysała się, wysypały się z niej białe poduchy cukru, rozkruszające się po uderzeniu o bruk. Portowe nierządnicę, które powychodziły na przywitanie *Cristo Redentor* – prosto z Portugalii, i to wojskowego okrętu – uciekły, wrzeszcząc i przeklinając. Z Izby Celnej wybiegli żołnierze w żółcieniach i karmazynach królewskiej piechoty, pod wodzą zbrojnego w miecz *teniente*. Muł miotał się, skakał, niewolnik tańczył wokół niego, usiłując chwycić wodze, ale pogłoska już rozchodziła się po porcie: wścieklica, wścieklica.

– Pomocy! – wołał niewolnik. Kopyto trafiło go w bok głowy; zatoczył się po kei, z rozciętego policzka popłynęła krew.

Muł skakał i rzucał się, usiłując oderwać się od ciężkiego wozu. Z pyska ciekla mu żółta piana, pierś falowała, na bokach miał plamy potu. Kobiety w chustkach i licznych spódnicach rozkrzyczały się, rozwrzeszczały. Niewolnicy porzucili pchane wagoniki, a ich panowie i panie otoczyli z wyciągniętymi rękami szalonego muła. Żołnierze zdjęli muszkiety z ramion. Muł wybałuszył oczy, znów stanął dęba i puścił się galopem wzdłuż nabrzeża. Żołnierze i niewolnicy rozpierzchli się.

– Proszę księdza! Ojcze, na miłość boską, ojcze! – wrzasnął *teniente*.

Ojciec Luis Quinn podniósł wzrok – nadzorował właśnie wyładunek z *Cristo Redentora* swojego skromnego kufierka z rzeczami osobistymi. Muł i podskakujący za nim wóz sunęły na niego jak płomienny rydwan z legend o Fenianach. Uniósł ręce. Był potężnym mężczyzną, a w prostej, czarnej szacie swojego zakonu wydawał się jeszcze większy i potężniejszy, jak okrucieństwo, który spadł w dzień. Muł wyskoczył wysoko w powietrze, spadł na cztery nogi i stanął jak wryty z pochyloną głową.

Każdy marynarz, każdy oficer, żołnierz, niewolnik i każda ładacznica w kolorowej łódeczce – wszyscy stanęli i zwrócili oczy na Luisa Quinna. Ten zaś powoli opuścił ręce i podszedł do rozdygotanej bestii, cmokając i mrużąc uspokajająco wszystkie znane mu słowa, jakimi zwracano się do koni w obu jego macierzystych językach, portugalskim i irlandzkim.

– Proszę ojca, radzę nie zbliżać się do tego stworzenia! – zawołał *teniente*, blada, europejska twarz pośród *caboclo*. – Zastrzelimy je, a ciało spalimy, żeby wścieklica się

nie rozeszła.

– Cicho już, cicho – powiedział Luis Quinn, sięgając po postronek.

Widział, jak żołnierze ustawiają się w szeregu, mierzą. Zacisnął palce na sznurze. Zwierzę, z krzykiem przypominającym bardziej ludzki wrzask niż jakikolwiek zwierzęcy, stanęło dęba, błyskając stalowymi podkowami. Quinn zszedł z drogi morderczemu kopytu; wtem muł skoczył. Przez chwilę wydawało się, że zawisł w powietrzu, potem i on, i wóz zanurkowały w zieloną wodę zatoki. Łodzie z ładacznicami rozproszyły się. Luis Quinn zobaczył, jak głowa muła wynurza się jeszcze z piany, oczy oszalałe pewnością śmierci, piana na pysku upstrzona krwią. Ciężar wozu ściągnął go w dół. Quinn zobaczył jeszcze jego kolana, wierzgające w zielonej wodzie. Przepadł. Puste worki po cukrze wychynęły na powierzchnię, gdy ich zawartość rozpuściła się w wodzie niczym białe, kwitnące w morzu wodne kwiaty.

– Och, nieszczęsne stworzenie. – To było tylko zwierzę, lecz Luis Quinn i tak wymamrotał modlitwę.

Teniente, teraz stojący mu przy boku, także się przeżegnał.

– Nic się ojcu nie stało?

– Nic mi się nie stało. – Quinn zauważył, że wszyscy żołnierze, niewolnicy, nawet ulicznice, czynią ten sam znak. Nie wątpił, że to tyleż przez wzgląd na jego habit, co nagły atak szału u muła. Tak samo było podczas powolnego, nękanego ciszą i szkorbutem rejsu *Cristo Redentor*, od samego ujścia Tagu: szepty, skrobanie, uroki i modlitwy. Pech dla całego statku: na pokładzie ksiądz, jezuita w czerni. – Słyszałem, że ktoś wspominał o wścieklicy.

– Najpierw szaleństwo u koni, ostatnio u wszystkich zwierząt pociągowych. Boże, broń nas ode złego. – *Teniente* machnął na jednego ze swoich żołnierzy, żeby poniósł ojcu kuferek.

Gdy młody oficer prowadził go do Izby Celnej, wszystkimi zmysłami chłonał to nowe miejsce, do którego dopiero co przybył. Na początek zauważył, że nie ma ani jednego konia. Ani zwierzęcia na całej wielkiej kamiennej płaszczyźnie pod urwistym cyplem *Cidade Alta*. Ani na stromej *ladeirze*, wijącej się po stromym zboczu pomiędzy dolnym i górnym Salvadorem. To miasto napędzały wyłącznie ludzkie mięśnie. Brukowane drogi i nabrzeża były pełne niewolników pchających wyładowane taczki, wózki na żelaznych szynach, ugiętych pod worami zaczepionymi pasem o czoło, ostrożnie lawirujących z lektykami pomiędzy stłoczonymi czarnymi i czerwonymi ciałami oraz pękatymi białymi worami z królewskim cukrem.

– I jak przy każdej chorobie, rozszalały się też plotki – ciągnął *teniente*.

Żołnierz, obdarty *mameluco* w półmundurze, kurtce i luźnych płóciennych pludrach, nieobuty jak niewolnik, szedł sześć kroków za nimi.

– Wścieklica to zaraza od *índios* z głębi lasu; to sprawa Holendrów albo Hiszpanów; to kara Boża. Niecały tydzień temu w Pelourinho widziano anioły, walczące świetlistymi nożami, przez trzy noce z rzędu. Potwierdzają to najlepsze osoby z Salvadoru.

– W Coimbrze nic o tym nie słyszeliśmy.

– Dużo jest rzeczy w Brazylii, które do Portugalii nie docierają. – *Teniente* zatrzymał się tuż przed pełnym ludzi podcieniem Izby Celnej. – Oj. Tak jak się obawiałem. Zawsze tak jest, gdy przybycie statku zbiegnie się z odprawą floty cukrowej. Izba Celna jest kompletnie zakorkowana.

Spodziewam się, że będzie ojciec czekał tu godzinami. Ale ja, jako oficer Korony, jestem w prawie udzielić ojcu pozwolenia na pobyt w kolonii.

– Za skromnym wynagrodzeniem – stwierdził Luis Quinn.

– Drobnym podatkiem, niczym więcej.

– Ja podlegam bezpośrednio brazylijskiemu prowincjałowi. – Luis Quinn mówił z intonacją typową dla swojego rodzimego języka; jako poliglota i lingwista był doskonale świadom, jaką korzyść daje mu ta osobliwość. Wielki mężczyzna, z dłońmi jak bochny, mówiący łagodnie, jak to często bywa u wielkich mężczyzn.

– Oczywiście, ojcze, ale Brazylia nie jest taka jak inne kraje. Przekona się ojciec, że bez zachęty niewiele się tu wskóra.

Brazylia nie jest jak inne kraje. Tyle osób już mu to mówiło, począwszy od ojca Jamesa, jego duchowego przewodnika, gdy powierzał mu to trudne zadanie, aż po tego bezczelnego żołnierzyka-gołowąsa w peruce i trójgraniastym kapeluszu z burzą kolorowych piór.

– Sądzę, że godności mojego habitu uchybiłoby traktowanie z pierwszeństwem. Zaczekam więc w pokorze na swoją kolejkę, *teniente*. Gdy Bóg tworzył czas, na pewno uczynił go dosyć.

Oficer skłonił się, choć usta miał skrzywione. Zabrał ze sobą swojego tragarza.

Proszę jedynie o powierzenie mi najtrudniejszego z zadań. W gabinetach i bibliotekach Kolegium w Coimbrze, prośba Luisa Quinna, powtarzana co roku jego przewodnikowi duchowemu, w dniu świętego patrona jego ojczystej Irlandii, brzmiała bardzo gorliwie i uczciwie. Blask świec i krążganki sprzyjają takim wrażeniom. I co roku, przez pięć lat, otrzymywał tę samą odpowiedź: „Gdy odpowiednia potrzeba spotka się z odpowiednim człowiekiem”. Jednak tego roku ojciec James, nauczający chińskich misjonarzy matematyki, tam bowiem sztuka liczenia cieszyła się niezwykłym szacunkiem, powiedział: „U mnie w pokoju, po komplecie”.

– Brazylia.

– Tak, Brazylia. Tam, gdzie zmyło wszystkie grzechy świata. Prowincjał Kolegium w Salvadorze prosi o admonitora.

– W jakim celu?

– Powiedział tylko, że potrzebuje admonitora spoza kolonii. – I dodał z uśmiechem: – To mi sugeruje właśnie najtrudniejsze z zadań.

Quinn raz jeszcze przywołał w pamięci obraz ojca Jamesa, niskiego, lakonicznego Ulsterczyka z twardym, typowym dla tego regionu akcentem i humorem. Podobnie jak on, uchodzące spod Penal Laws^[3], którego morskie prądy przywiodły do Portugalii.

Dźwignął swój niewielki żeglarski kuferek i wcisnął się w hałaśliwy tłum pod podcieniami. Statek był jak więzienie, za to świat wydawał się teraz zbyt rozległy, horyzont zbyt bliski, niebo zbyt odległe, kolory zbyt jaskrawe, a ludzie głośni i obcesowi.

Marynarze i oficerowie, *feitores* i *senhores de engenhos* robili mu miejsce, dotykając swoich cudownych amuletów i skłaniając głowy: „Proszę tędy, ojczu. Ojciec pierwszy”.

Za niekończącymi się pytaniami, kontrolami, otwieraniem i opieczętowaniem byli tragarze, kuczający na ziemi wokół swojego *feitora*, grubego *caboclo* w rozdartych pończochach i butach na obcasach.

– Ojciec ojciec, ponieść ponieść. – Niewolnik był Indianinem o zgiętych plecach i krzywych nogach, ale mięśnie miał jak ze stali. Na czole miał pas, którego końce opadały mu z tyłu poniżej łopatek. Na szyi wisiały sznurowe strzemiona. Klęknął na kamieniach przed wyszlifowanym od używania drewnianym podnóżkiem.

– Wstawaj, wstawaj! – krzyknął Quinn w tupi, tutejszym *lingua geral*. – To uprząż dla konia.

– Tak, tak, konia, konia dla pana – odpowiedział niewolnik po portugalsku, oglądając się niespokojnie na swojego pana. – Jedyne konie, co nie szalone albo zdechły, szalone albo zdechły. Silny. Wasza Świętobliwość.

– Wstań, wstań – rozkazał Quinn w tupi. – Nie będę używał człowieka jako zwierzęcia pociągowego.

Odwrócił się do *feitora*; ten aż zbladł, widząc jego pałającą słusznym oburzeniem chudą twarz.

– Co z ciebie za podła, chciwa kreatura? Za ile ten człowiek zaprowadzi mnie do Kolegium Jezuitów?

Caboclo podał sumę, którą nawet Quinn, ledwo zsiadłszy ze statku, uznał za lichwiarską. Wyobraził sobie, jak jego potężna pięść trafia tłuściocha w sam środek pucołowatej gęby. Zwalczył gniew, dysząc ciężko. Rzucił tamtemu garść drobnych miedzaków. *Caboclo* rzucił się, żeby je pozbierać. Niewolnik sięgnął po kuferek Quinna.

– Zostaw. Potrzebny mi tylko przewodnik.

Tragarze, każdy z uczepionym grzbietu pasażerem, przebiegli obok Luisa Quinna pnącego się zygzakowatą *ladeira*. Grupa marynarzy z *Cristo Redentos* urządziła sobie wyścigi, kopiąc niewolników obcasami, kłując w pośladki nożami, żeby ich popędzić. Mijając zakonnik, wykrzykiwali pozdrowienia, już uprzejmi, skoro zsiadł z ich statku i był w swoim Bożym żywiole.

– Zwierzęta! – krzyknął z furią za nimi. – Zwierzęta na grzbietach ludzi! Niech was piekło pochłonie!

Marynarze, zawstydzeni i więcej niż trochę wystraszeni oburzeniem potężnego zakonnika, zeskoczyli z wierzchowców. Gdy szedł pomiędzy ubranymi na biało tragarzami i przystrojonymi koronką lektykami, jeźdźcy zsiadali ze zmęczonych tragarzy i ruszali za nim pieszo przez upały. Słyszał ich szepty: „Wrócił czarny ksiądz, ognisty Vieira wrócił”.

Ojciec Luis postawił swój skromny bagaż pod schodami jezuickiej bazyliki. Sięgnął do kieszeni sutanny po drewniany, zaokrąglony na końcu walec, z jednej strony zatkany korkiem. Wyciągnął go i wydobyl cygaro. Przesunął nim pod nosem. Pierwsze od Madery. Podał aromatyczny liść niewolnikowi.

– Tyle możesz zrobić. Znajdź mi do tego ogień.

Niewolnik wziął cygaro, skłonił się i zniknął na zatłoczonym placu. Quinn zauważył, że chodzi bokiem jak krab; na wpół kaleka od pracy. Od osobnika do ogółu, od konkretnego do uniwersalnego. Społeczeństwo niewolnicze. W takim społeczeństwie nigdy nie mówi się wprost, a to, co wypowiedziane, nigdy nie ma dosłownego znaczenia. Tajemnice, niuanse, wybiegi – w tym Nowym Świecie nie należy oczekiwać niczego otwartego ani prostoliniowego. Prawda, owszem, będzie – prawda jest zawsze – ale ukryta. Tak samo jak na statku, gdzie ludzie muszą ukrywać swoje niechęci i sympatie wśród niepisanych zwyczajów i rytualnych zachowań, tak że każde słowo zachowuje jednocześnie znaczenie konwencjonalne i wprost przeciwne, a jego sens zależy od setki subtelnych społecznych nawiązań. Chleb codzienny dla lingwisty, który nauczył się *lingua geral* podczas jednego rejsu przez ocean, albo i dla kapłana, wprawnego w rozpoznawaniu fałszów w ludzkim sercu.

Twarze czarne, brązowe, kawowe. Nieliczni biali. Brak kobiet, oprócz garstki niewolnic z owiniętymi płótnem głowami. Nigdzie nie było białych kobiet, Portugalek. Potem dostrzegł delikatne poruszenie za rzeźbioną drewnianą żaluzją w oknie na piętrze, cień w cieniu. Panie pozaszywały się w swoich wielkich domach, za firankami lektyk, jeszcze mniej wolne od niewolników. Dla mężczyzny świat ulicy, dla kobiety świat domu. Casa i rua. Sprawy domowe i sprawy światowe. Ukryte i publiczne.

Niewolnik wrócił z tłącym się cygarem. Luis Quinn z czystą, daną przez Boga rozkoszą zaciągnął się liśćmi i poczuł, jak kłębi mu się w trzewiach aromatyczny, korzenny dym.

Cały zastęp trąbek i psalteriów, usadowiony na belkach pod dachem, odegrał niosące się echem *Alleluja*. Luis Quinn wszedł na tył chóru. Nie znał tej pieśni na zakończenie nabożeństwa, z akompaniamentem wiol, teorb i wielkim bębniem jak metronom, pogańskim niemal dla jego europejskich zmysłów, niepokojącym w swojej harmonii i dysonansie; kojarzył mu się mimo to z tanecznymi melodiami z dzieciństwa, harfistami i flecistami o palcach oświetlonych ogniem kominka w salonie. Duchowe i jednocześnie przyziemne. Podobnie jak te frenetyczne rokokowe paskudztwa – panowie i właściciele wyniesieni na poskręcanych, byle jak wyrzeźbionych ciałach niewolników, żeby sięgnąć sercami, twarzami i dłońmi ku świętym. A Bóg, jego Syn, jego gołębica? Pochyleni, skryci pomiędzy pułkownikami i donatorami, posiadaczami i *senhores de engenhos* otoczonymi stadkiem żon, dzieci i aurą bogactwa; rzeźbieni i pomalowani murzyńscy niewolnicy ścinający trzcinę; statki, dumne bandery zdobywców; bydło; niewolnicy spięci szczerozłotym drutem przewleczonym przez małżowiny uszne. W budowie były nowe płaskorzeźby, stare uzupełniano o nowe triumfy. Zachodnią ścianę kościoła tworzyły bambusowe rusztowania i płócienne płachty.

– Zauważyłem, że podczas *Avé* ojciec wydawał się poruszony.

Prowincjał João Alves de Magalhães zdjął stulę, przytknął ją machinalnie do ust i oddał ministrantowi, młodzieńcowi o tłustej cerze, synowi *feitora* z elitarnego, świeckiego

zakonu Misericórdia.

– Ojciec zalicza się do ludzi, których wzrusza muzyka?

– Uznaję ją za odbicie boskiej doskonałości. – Quinn podniósł ręce, aby ministranci zdjęli mu koronkową komżę. – Bardzo podobnie do matematyki. Muzyka bowiem, tak jak liczba, jest rzeczą samą w sobie, nieodzwierciedlającą żadnej rzeczywistości.

– A mimo to fizyczny ruch ciał, na przykład sam akt nawigacji na statku, którym ojciec przybył, najdokładniejszy opis znajduje właśnie w matematyce.

Ministranci odnieśli ciężką, wyszytą złotem kapę ojca de Magalhães do skrytki w kształcie wachlarza. W Coimbrze taki przepych uchodziłby za ostentację, jeśli nie nadmierne przywiązanie do rzeczy doczesnych. Żołnierzom Chrystusa Walecznego Króla wystarczały jedynie zgrzebne czerń i biel.

– Czy raczej te fizyczne zjawiska są prymitywnymi przejawami fundamentalnej matematycznej prawdy?

– Ha! Coimbra przysłała mi platonistę! – Ojciec de Magalhães zaśmiał się. – Cieszę się jednak, że chór się ojcu podobał. Kompozycje liturgiczne naszego Mestre de Capela są wykonywane aż po Potosi. Uczył się u świętej pamięci Zipoliego w misjach nad Parana. Wspaniałe, prawda? To połączenie głosów *índio* w wyższych partiach oraz murzyńskich tenorów i basów. Nieziemski dźwięk. – Obmył dłonie pod wodą ze złotego dzbanu i pozwolił indiańskiemu słudze wytrzeć je do sucha. Poklepał Luisa Quinna po plecach.

– A teraz na małą kawkę na krużganku, przed wieczerzą. Udzielę ojcu wskazówek.

Otoczony murem ogród na tyłach Kolegium oddawał nagromadzone w ciągu dnia ciepło, gęsto przesycając powietrze dziwnie stymulującymi wyziewami grubolistnych roślin i wilgocią. Przez zmierzch śmigwały ptaki i nietoperze. Co to za boskie prawo, zastanawiał się Quinn, że tam, gdzie ptaki mają fantastyczne barwy i upierzenie, tam ich pieśń razi ucho, w domu zaś zgrzebny kos zaśpiewa tak, że raduje się serce? Zanim chłopak zdążył przynieść kawę, niebo zmieniło się z akwamarynowego z fioletowymi smugami w rozgwieżdżone indygo. Na statku rozległość horyzontu łagodziła nagłość zwrotnikowych zachodów słońca; za to tu, w zamkniętym murami ogrodzie, noc opadała niczym kotara. Chłopak pozapalał latarnie. Gwiazdy spadły na ziemię. Twarz miał nieziemsko piękną. Ojciec de Magalhães odprawił go machnięciem ręki, wmieszał do kawy dwie łyżeczki cukru, upił, skrzywił się i przytknął dłoń do szczęki.

– Czasem mi się wydaje, że Bogu nie potrzeba innego piekła niż wieczny ból zębów. Proszę powiedzieć, co ojciec sądzi o Brazylii?

– Proszę ojca, ledwo dziś po południu zszedłem ze statku. Nie mogę mieć wyrobionego zdania.

– Można gdzieś być pięć minut i już mieć swoje zdanie. Na początek proszę opowiedzieć, co ojciec widział.

Quinn od dzieciństwa był w stanie odtwarzać zapamiętane sceny z najdrobniejszymi szczegółami – kolor sukni, miejsce butelki na stole, ptaka na drzewie – samą siłą własnej pamięci wzrokowej. Oczyma duszy opuścił bujny, miękki ogród kolegium i odtworzył, idąc wstecz, krótką drogę z Colégio, przez *Praça de Sé*, w dół zatłoczoną *ladeirą* do portu i

wzdłuż nabrzeża do zacumowanego statku. Za każdym zakrętem drogi widział pysk muła z wybałuszonymi oczyma i wychodzącymi z nozdrzy bańkami, pogrążającego się w zielonej wodzie Zatoki.

– Widziałem, jak szalony muł utopił się w zatoce – powiedział po prostu.

– A, tak, zaraza. Szał dopada je nagle jak kolka i jeśli nie zabiegają się na śmierć, to sieją tak ogromne spustoszenie, że najlepiej zabić je na miejscu.

– Dotyka to wszystkich gatunków?

– Na to wygląda. Już się przeniosło na woły pociągowe. A słyszał ojciec najnowsza fantazję o pochodzeniu zarazy? Od pojedynkujących się aniołów w Pelourinho?

– Widziałem też ludzi w końskich uprzężach. Wydaje mi się, że jedno i drugie ma związek.

– List z Coimbry mówił, że jest ojciec spostrzegawczym człowiekiem. Słyszałem, że ktoś spowodował zamieszanie na *ladeirze*. My, oczywiście, od czasów ojca Antonio Vieiry, zajmowaliśmy jasne moralne stanowisko w kwestii niewolnictwa. Ostatnio jednakże okazuje się, że to stanowisko jest kwestionowane.

Luis Quinn popijał kawę, szybko dochodząc do równowagi ze środowiskiem zewnętrznym. Niemiłosierny klimat, nawet w nocy niedający wytchnienia. Przydałoby się teraz cygaro. Po miesiącach wymuszonej wstrzeмиęźliwości na pokładzie *Cristo Redentora* stwierdził, że apetyt na dym powrócił ze zdwojoną siłą. Czy to początek przyzwyczajenia, niezdyscyplinowania?

– Niezupełnie rozumiem, o co ojcu chodzi.

– Towarzystwo nie jest w Brazylii zbyt lubiane. Uważa się, że za dużo się wtrącamy, uszczęśliwiamy ludzi na siłę. Występujemy przeciwko naturalnemu porządkowi ras: biała, czarna, czerwona. Wciąż cieszymy się wpływem w Conselho Ultramarino, ale Silva Nunes przez cały czas zatruwa nasze dobre imię na dworze wicekróla, a ludność, szczególnie posiadacze ziemscy, nie ufa nam. Niedługo Portugalia i Hiszpania podpiszą nowy traktat o podziale Brazylii. Kiedy to się stanie, zniszczenie naszych *reducciones* w dolinie Parany będzie niczym wobec przyszłego spustoszenia amazońskich *aldei* przez *entradas*. Nasi wrogowie już szukają dowodów przeciwko nam.

– A mają podstawy?

– Niestety, mają. Ojczyźnie Quinnie, w imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa, powierzam wam to oto zadanie: z największym pośpiechem wyprawić się statkiem do Belém do Pará, następnie Amazonką do São José Tarumás nad Rio Negro, gdzie jako admonitor Towarzystwa odnajdziecie ojca Diego Gonçalvesa i przywołacie go do zakonnego porządku.

– A na czym polega przewinienie ojca Diego?

– Obawiam się, niestety, że to święta gorliwość zawiodła silnego męża na manowce. Ojciec mi powie: ile razy od wyładowania mówiono mu, że Brazylia nie jest taka jak inne kraje?

– Zdaje się, że tylko kilkanaście razy. Ale dużo więcej jeszcze na statku.

– Zatem nie powtórzę tego po raz kolejny, dodam za to, że Rio Negro nie jest jak reszta

Brazylii. Mówi się, że powyżej São José Tarumás nie ma wiary, prawa, ani króla. Ale jest ojciec Diego Gonçalves. Relacje są bardzo skąpe, a te, które są, przywodzą na myśl legendy raczej niż prawdę: mówi się o monstrualnych pracach niby to na chwałę Pana, wymagających trudu i zasobów całych *aldei*, o imperium powstającym w imię Boże i jego Zakonu na tysiącach mil wokół Rio Negro. Boża winnica istotnie jest tam żyzna i dojrzała, lecz informacje sugerują, że ojciec zbiera tam nie tylko dusze czerwonych mężów.

Quinn zauważył:

– Wiem, że nawet taki drobiazg jak przewrócony krzyż może stać się pretekstem do Świętej Wojny przeciwko tubylczej wiosce. Ale sądziłem, że z tego wybiegu korzystają wyłącznie franciszkanie.

– Jeśli zbląkana dusza ojca Diego Gonçalvesa popadła w próżność i barbarzyństwo – a modłę się do Jezusa i Najświętszej Marii Panny, by tak nie było – musi ojciec natychmiast zadziałać. Nie można dopuścić, aby wieść doszła do Reconçavo; to mógłby być decydujący klin, który wykorzystają nasi wrogowie, żeby podzielić zakon. Sporządziłem zaświadczenia nadające ojcu pełną władzę wykonawczą. Proszę to dobrze zrozumieć, ojcze: pełną władzę admonicji.

– Ależ ojciec nie może chyba...

Na murze barwy indygo, na tle indygo, głośnym od owadów, pojawił się nagle prostokąt żółtego światła. Wypełnił go cień, rozszedł się po brukowanym dziedzińcu, stał się twarzą.

– Przepraszam, wielebni, gość do admonitora.

Pierwszy cień ustąpił drugiemu, wyższemu, o bardziej ekstrawaganckim konturze, z kapeluszem, peruką, peleryną i mieczem. Prowincjał de Magalhães rzucił szeptem:

– Jakby Bóg chciał za mało, to przychodzi Cezar po swój procent.

Luis Quinn poczuł perfumy przybysza oraz pot, który ledwo maskowały, przyjrzał się jego krokom, zauważył delikatne przygarbienie i domyślił się, że to agent rządu, zanim jeszcze wysokie, nieruchome płomienie latarni oświetliły twarz. Przybysz skłonił się głęboko, odstawiając prawą nogę.

– Do usług, ojcze. José Bonafacio da Nóbrega. Reprezentuję tutaj Jego Ekscelencję Wicekróla. Proszę się nie przedstawiać ojcze, natychmiast zostałem poinformowany o przybyciu ojca, wysoki rangą urzędnik Kościoła zawsze zwróci naszą uwagę. – Odrzucił poły surduta, poprawił miecz i usadowił się przy stole, krzyżując nogi w kostkach. – Towarzystwo Jezusowe zawsze cieszyło się łaską Korony, przynajmniej w tym kraju. Jesteście spowiednikami wicekrólów i *fidalgos*. Natomiast tercjarze świętego Franciszka cieszą się poparciem naszych kapitanów i *senhores de engenhos*, co widać po bogactwie ich świątyń.

Przytrzymał się koszowego jelca własnego miecza, ramiona zadygotały mu w bezgłośnym śmiechu z własnego żartu. Luis Quinn pomyślał: obnoś się, obnoś ze swoimi manierami i wyrafinowaniem pięknego surduta i elegancko złożonego kapelusza, i tak jesteś tu tylko gońcem, chłopcem na posyłki, nic więcej. W *fazendach* Porto widziałem takich na pęczki – angielskich szpiegów, mających wywęszyć księży, czekających na przerzucenie z powrotem do Irlandii.

Ojciec de Magalhães podniósł dłoń, prosząc o świeżą kawę. Da Nóbrega zaprotestował machaniem rąk.

– Ja dziękuję za kawę, proszę ojca. Zakłóca mi sen. Na wieczór zdecydowanie bardziej odpowiada mi to. – Wyciągnął z rękawa małą, płaską, srebrną szkatułkę, położył ją na stole.

W środku znajdowały się kulki ze zwiniętych liści wielkości opuszki małego palca. Nie odrywając oczu od Luisa Quinna, Nóbrega teatralnym gestem iluzjonisty wyciągnął z chusteczki dwie limonki, rozkroił je na ćwiartki kieszonkowym nożykiem, a z jednej wycisnął sok na trzy ziołowe kulki. Jedną delikatnie podniósł i umieścił na języku, drugą podał ojcu de Magalhães na srebrnym wieczku. Trzecią poczęstował Quinna.

– Nie zapoznałem się jeszcze z tą... przekąską.

– Och, proszę ojca, wspaniała rzecz. Hiszpanie mówią na to „*acculico*”. *Feitores* przywożą to aż z rejonu Pantanal. Kopalnie w Cuiabá po prostu nie mogłyby bez tego działać. Znakomicie wyostrza umysł, przyśpiesza myśl, wypełnia ciało i duszę energią i dobrym samopoczuciem. Szkoda, żeby tylko niewolnicy z tego korzystali.

– Znakomicie pomaga także na ból zębów – dodał de Magalhães. – Sądzę, że wpłynęłoby też korzystnie na całonocne medytacje i czuwania.

– Niestety, tutejszy klimat nie pozwala tego uprawiać – rzekł da Nóbrega.

– Dziękuję, ale pozwolicie panowie, że będę się trzymał moich starych, europejskich zwyczajów – powiedział Luis Quinn, wyjmując cygaro. Chłopak podał mu ogień. Quinn zaciągnął się mocno, wypuszczając powolne kręgi dymu w łagodnie rozświetloną gwiazdami noc. – Senhor da Nóbrega, czego pan ode mnie oczekuje?

– Mówi się, że jesteście uczonym zakonem, mężami nauki.

– Moje osobiste powołanie to lingwistyka, choć w Coimbrze powszechnie studiuje się także matematykę i filozofię naturalną.

– W mieście Belém do Para jest pewien szaleniec, który chce obmierzyć świat za pomocą wahadła. – Nóbrega nachylił się do Luisa Quinna, oczy miał rozszerzone, ruchy ożywione.

– To może mieć związek, jak sądzę, z teorią grawitacji tego angielskiego heretyka – powiedział Quinn, obserwując wpływ *acculico* na ciało i zachowanie Nóbregi. – Towarzystwo naucza teorii wirów Kartezjusza, która stanowi kompletne wyjaśnienie na gruncie fizycznym. A teoria tego Anglika, o ile rozumiem, jest czysto matematyczna.

– Skoro ojciec tak mówi. Ów człowiek, ów szalony uczony, to doktor Robert Falcon, geograf z francuskiej Paryskiej Akademii Nauk.

– Sądziłem, że Brazylia jest zamknięta dla cudzoziemców, z wyjątkiem członków regularnych zakonów. Takich jak ja, z urodzenia, choć nie z wyboru, poddany brytyjski.

– Jego Ekscelencja uznała jego obecność za nieodzowną. Przybył z bratem, niejakim Jeanem-Baptiste, matematykiem-samoukiem, niezwykle dumnym z pewnego urzędnika, które wynalazł, czyniącego tkanie łatwiejszym. Ja twierdzę, że do tego służą niewolnicy, i dzięki temu mają co robić, ale cóż, taka już jest ta drobna francuska inteligencja. Jean-Baptiste sześć tygodni temu wrócił do domu z krwawą biegunką, natomiast Robert Falcon

pozostał. Wdał się w jakiś desperacki wyścig z innymi uczonymi, kto pierwszy dokładnie zmierzy obwód Ziemi. Wydaje się, że w naszym nowoczesnym świecie panuje, jak w każdej innej kwestii, głęboka niezgoda, jaki właściwie kształt ma nasza ziemská kula. Zresztą, podobno to niezupełnie kula. Ojciec dopiero co zszedł ze statku, ma zatem z pewnością świadomość, jak niedokładną sztuką jest wciąż morska nawigacja, a Portugalia jest wszakże morskim, handlowym imperium.

Otrzymaliśmy informacje, że konkurencyjna wyprawa, mająca zmierzyć Ziemię za pomocą obmiarów i trygonometrii, otrzymała zgodę na wyjazd od hiszpańskiego wicekróla Peru i niedługo wyruszy do Cartageny. Doktor Falcon już od pięciu miesięcy oczekuje na wyjazd w Belém do Pará.

– Senhor, z całym szacunkiem, ale czego się ode mnie oczekuje?

Nóbrega przygotował sobie i spożył drugie *acculico*. Skutek był niemal natychmiastowy. Quinn zaczął się zastanawiać, czy zażywanie tego łagodnego, stymulującego zieleń nie weszło Nóbredzie w nawyk.

– Aby pomiar był należycie dokładny, doktor Falcon musi przeprowadzić swoje doświadczenie na linii równika. Wybrał miejsce około pięciuset mil w górę od São José Tarumãs nad Rio Negro, twierdząc, że jest najkorzystniejsze, bo tak zwane „wpływy kontynentalne” są tam w równowadze.

– Rozumiem. Mogę udać się razem z nim.

– Odwrotnie, proszę ojca. On wybierze się razem z ojcem. Gniew Korony jest słusznie zwrócony przeciwko holenderskim piratom i awanturnikom, ale wspomnienie o Duguay-Trouin i jego korsarzach paradujących po Rio dumnie jak bojowe koguty jest wciąż zbyt świeże. Czy prowincjał zapoznał ojca z sytuacją polityczną w Amazonii?

– Rozumiem, że prawa są właśnie renegocjowane.

– Francja od dawna żywi wobec Ameryki Południowej ambicje większe, niż mogą zaspokoić te ich nory z zarazą, Gujany. Nieokreślona zmiana granic mogłaby stać się dla nich okazją do zaanektowania wszystkiego na północ od Amazonki-Solimões. Byliby w stanie umocnić *aldeias* i uzbroić plemiona w nowoczesną broń, zanim my zdążylibyśmy dotrzeć flotą do Belém.

– Pan podejrzewa, że doktor Falcon jest agentem – zauważył Quinn.

– Wersal byłby głupi, gdyby się do niego nie zwrócił.

Teraz odezwał się Magalhães.

– Proszę ojca tylko, by obserwował i notował. Wspominałem już o szczególnie wyostrzonych zmysłach ojca, a także talencie do języków...

– Mianuje się mnie admonitorem czy szpiegiem?

– Służymy wyłącznie większej chwale Pana – powiedział de Magalhães.

– Oczywiście, ojcie. – Luis Quinn pochylił głowę.

Na stół i pachnące grubolistne krzewy padło nowe światło; niewolnice przyniosły koszyki i zabrały się za nakrywanie stołu jadalnego ustawionego w chłodzie kruzganka. Rozbłysły świece; na obrusie postawiono przykryte pokrywami srebrne tace.

– Znakomicie! – zawołał Nóbrega, zrywając się z fotela i zacierając ręce. – Te liście

koki, bardzo to dobre, ale człowiek robi się po nich potępieńczo głodny.

Trzepot i szum skrzydeł pośród nocy, tuż nad głową Quinna. Ciemne kształty zanurkowały na wygiętych skrzydłach i przysiadły na wykafelkowanym okapie altany w prywatnym ogrodzie. Światło odbiło się od zakrzywionych dziobów, okrągłych, bystrych oczu, uniesionych zręcznych szponów. Papugi, pomyślał Luis Quinn. Najtrudniejsze z zadań, z Bożą pomocą.

ŚWIĘTA PANI

OD LYCRY

24 MAJA 2006

Marcelina uwielbiała ten krótki, precyzyjny moment, gdy igła wbijała się w jej twarz. Była srebrna, była doskonale czysta. Przemoc, która leczy, gwałt, który przynosi doskonałość. Bólu nie było, nigdy nie było, jedynie uczucie niezmiernie delikatnej penetracji, jak komar ze smakiem ssący krew – precyzyjny technologiczny sprzęt wślizgujący się w obrzydliwe tkanki i komórki ciała. Kątem oka widziała igłę, w skróconej perspektywie maksymalnego zbliżenia wyglądała jak łodyżka stalowego kwiatu. Trzymająca strzykawkę odziana w lateks ręka była niczym dłoń Stwórcy: Marcelina patrzyła, jak płynie przez jej pole widzenia, wypatrując idealnego punktu, tak blisko, tak oszałamiająco, niebezpiecznie blisko bezbronnej gałki ocznej. I nagle delikatne dźgnięcie. Gdy palce przyciskały tłoczek, zawsze zamykała oczy. Chciała poczuć wnikającą w ciało truciznę, wyobrazić sobie, jak budzi panikę w tych opuchniętych, obwisłych, rozleniwionych komórkach, jak się budzą, dociera do nich, że są atakowane trucizną, jak w reakcji immunologicznej wydzielają się fale różnych związków; szlachetny stan zapalny, opuchlizna przynosząca pobrużdżonej, pomarszczonej skórze młodość, jędrność, napięcie.

Marcelina Hoffman była na najlepszej drodze do uzależnienia się od botoksu.

Taka prosta przyjemność – salon był na tej samej ulicy, co Canal Quatro. Stała się pionierką liftingu w przerwie na lunch, do tego stopnia, że Lisandra przywłaszczyła sobie ten pomysł i zrobiła z niego serial. Kurwa jedna. Radość zaczynała się już w foyer, gdzie Luesa, recepcjonistka, w białej sukience ze stójką mówiła: „Dzień dobry, Senhora Hoffman”. Gdzie był wspaniały aromat chemii i świeczek zapachowych, świetlistość i lekkość mlecznych szyb, podłoga z gołego drewna i kremowe na bieli ozdoby na ścianach, newage’owa muzyka, którą gdzie indziej pogardzała (Tropicalismo, hipisowski szajs) ale tu mówiła jej: „Jesteś cudowna, jesteś jedyna w swoim rodzaju, jesteś spowita w światło, świat cię uwielbia, musisz tylko wyciągnąć rękę i wziąć sobie, co tylko zechcesz”.

Leżąc płasko na rozkładanym fotelu, z zamkniętymi oczyma, czuła jak kurze łapki od nerwowej pracy wygładzają się, jak skóra nabiera energicznej, młodzieńczej sprężystości. Dwa lata temu była w Nowym Jorku na planie *Prawdziwego seksu w wielkim mieście* i uderzyło ją, że kobiety *ianque* stylizują się, żeby się dobrze czuć, a nie jak kobiety *carioca*, bo taki jest ich obowiązek wobec badawczego, krytycznego spojrzenia miasta. Obca rasa – buty za tysiąc dolarów, ale zero pedicure’u. Ona jednak wśród sterty toreb z zakupami przywiozła stamtąd jedną mantrę, podsłuchaną w reklamie kosmetyków z Jennifer Aniston. Powtarzała ją teraz sobie w pachnącym jaśminem i wetiwerią sanktuarium, gdy botulinowe trucizny przenikały przez jej skórę.

Jestem tego warta.

– Uwielbiam Mundial, naprawdę.

Dona Bebel przychodziła dwa razy w tygodniu. W poniedziałki na sprzątanie – ścieranie kurzu, odkurzanie, porządki. W czwartki – sprzątanie na mokro, łazienka, ubikacja, zmywanie naczyń i pranie; Marcelina rozrzucała brudne ciuchy po sypialni, tak że około środy wieczorem nie było widać podłogi. Dona Bebel była pulchną kobietą w nieokreślonym wieku pięćdziesiąt plus, sześćdziesiąt minus; włosy upinała w kok tak ciasny, że na sam widok bolała głowa; zawsze miała na sobie legginsy, workowatą koszulkę i japonki; a Marcelina ceniła ją sobie bardziej niż perły, złoto, kokainę i ramówkę.

– *Querida*, ona przyłazi dwa razy w tygodniu, pierze ci brudne gacie, potem wychodzi i nic nie ginie?

Vitor był starym gejem, dawnym uczestnikiem programu o jednodniowej metamorfozie, którego producentem była Marcelina. Mieszkał parę ulic od jej paskudnego bloku, tyłem przytkniętego do gołej skały *morro*. Stary i odwieczny mieszkaniec Cocy, co wieczór o tej samej porze pił herbatę w tej samej kawiarni i patrzył, jak ulicą przechodzi całe jego *bairro*. Marcelina nabrała zwyczaju, by spotykać się z nim raz w tygodniu na *doces* i marudzenie, w ramach swojej ogromnej alt kropka rodziny, związanej z nią wdzięcznością lub lizusostwem.

– Obojętne co zamówi, ty płacisz.

Po szeregu Chudych Marii, które kradły co popadło, jakby to był dodatkowy podatek na ubezpieczenie społeczne, a pod łóżkiem zostawiały całe gniazda kotów z kurzu, Marcelina niechętnie przyjęła kolejną pomoc domową z Pavão. Ale cena była nie do pobicia, fawela upchnięta jak zawinięty pępek pomiędzy wzgórzem za Arpoador była niewymownym jak przysłowiowy słoń na środku salonu źródłem taniej siły roboczej, bez której Copa stanęłaby w miejscu. Szklanki po Bebel lśniły jak diamenty, biel ubrań oślepiła, a kiedy dowiedziała się, jak Marcelina zarabia na życie, podrzuciła jej pomysł na program: „Powinnaś zrobić taki program, gdzie chodzą i sprzątają ludziom dom, kiedy są w pracy. To bym obejrzała. Ludzie mało co tak lubią, jak gapić się na czyjeś brudy”.

Syfiarze oznaczali wrzaski na ekranie, bijatyki, rozwalanie kamer, zrujnowane tysiącletnie przyjaźnie, otwarte przepaście międzypokoleniowe między dziećmi i rodzicami, zniszczone związki, rozbite małżeństwa; doprowadziły też do co najmniej jednej strzelaniny. Oglądalność patrzyła, zasłaniając sobie oczy i mruczając: „No nie. No nie”. Raimundo Sifuentes grzmiał w rubryce z recenzjami „O Globo”, że „prawdziwi syfiarze siedzą w Canal Quatro”. To był pierwszy program Marceliny, o którym mówiło się na mieście.

Przez trzy lata wszystkie najlepsze sprzedane przez Marcelinę programy pochodziły od Dony Bebel. *Kicz i ciota*, który przyniósł sławę Vitorowi i zmienił jego maleńki sklepik z fantastycznym XX-wiecznym kiczem w obowiązkowy punkt wizyty, wymieniany w samolotowych pisemkach, wziął się z jej luźnego spostrzeżenia, gdy wieszła pranie w ukochanym ogródku na dachu Marceliny: zawsze pozna, że facet, u którego sprząta, jest gejem – właśnie po tym, że oni zawsze mają pełno plastików z lat pięćdziesiątych.

Poczucie winy i wyrzuty sumienia były Marcelinie obce jak habit zakonnicy, ale za każdym razem, gdy sprzedawała program, honorowo wtykała Donie Bebel do koperty ułamek swojej premii. Nigdy nie zapytała jej, co myśli, widząc swoją luźną uwagę w pełnej krasie grafiki komputerowej na panoramicznym ekranie. Nie wiedziała nawet, czy Dona Bebel w ogóle ogląda Canal Quatro. W profilu demograficznym zdecydowanie się nie mieściła.

– O tak, Mundial. – Białe rzeczy Marceliny kręciły się w pralce w Mokry Czwartek. Gołe, terakotowe podłogi mieszkania pachniały chlorem i sosną. – W barze Gatinha postawią taki wielki ekran. Wszystko będę oglądać. W finale Brazylia kontra Włochy. Nawet kasę postawię. Tym razem wygram. Może i mają najlepszą obronę w Europie, ale nasz Magiczny Czworobok przejdzie przez nią jak nóż. Wiesz co, myślę, że program o Mundialu też byłby niezły, ja bym oglądała. Ale jak chcesz coś kontrowersyjnego, to musisz się zająć Feralnym Finałem.

– Czym? – zdziwiła się Marcelina, gdy pralka wchodziła na tysiąc dwieście obrotów.

Dona Bebel po raz pierwszy się skonsternowała.

– Jak to, to nic nie wiesz o Feralnym Finale? Każdy prawdziwy Brazylijczyk powinien mieć wrytą w serce datę 16 czerwca 1950. To nie był tylko mecz. To była Hiroszima. Nie przesadzam. Po Feralnym Finale nic już nie było takie samo.

– Opowiedz mi – poprosiła Marcelina, siadając na odwróconym plastikowym koszu na pranie.

– No wiesz, byłam wtedy mała i nie mieliśmy telewizora, nikt nie miał, ale...

To nie historia. To legenda. Maracanã została zbudowana na Mundial 1950 – i wtedy, jak i teraz, była największym stadionem na świecie. To na nim, na oczach dwustu tysięcy ludzi, mieliśmy pokazać światu piękno i poezję brazylijskiego futbolu. Skończyła się wojna, z popiołów powstał nowy świat. To był Puchar Świata Przyszłości w Kraju Przyszłości.

Drużyna była taka: największa ze wszystkich *Seleção*, większa nawet od tej z roku siedemdziesiątego, ale nie ma ich nazwisk na pomniku przed Maracanã. Trener – Flávio Costa. Od przodu: Chico, Jair de Rosa Pinto, Ademir, Zizinho, Friaça; Bigode, Danilo, Bauer; Juvenal, Augusto; Barbosa. Pięciu, trzech, dwóch. Piękna sprawa. Moaçir Barbosa: o nim będzie jeszcze dużo więcej. Ale uwaga: w latach pięćdziesiątych system był inny niż teraz. Do samego finału grało się grupami.

Ojciec pracował wtedy na mostach i miał pieniądze, kupiliśmy radio, specjalnie na Mundial. Podłączył je do latarni. To było jedyne radio na całej ulicy, wszyscy się zeszli, żeby posłuchać. W naszym dużym pokoju ruszyć się nie dało, tyle było ludzi.

Wystartowaliśmy dwudziestego czwartego czerwca, mecz z Meksykiem. Bum! Nie ma Meksyku. Cztery do zera. Następny! Szwajcaria. Tu trochę się zacięliśmy, ale lepiej się zaciąć wcześniej niż później. Remis, dwa dwa. Potem, żeby przejść do grupy finałowej, musieliśmy pobić Jugosławię. Z każdej grupy jest tylko jeden. Zagraliśmy na nowej Maracanie i wygraliśmy, dwa zero. Przeszliśmy do grupy finałowej!

Jest Szwecja, Hiszpania i Urugwaj, niebiescy Celestes.

Trzeba postawić radio na oknie, bo chętni do słuchania nie mieszczą się w domu. Ojciec postawił je na beczce po ropie, ludzie stali na calusieńkiej ulicy.

Mecz numer jeden, miażdżymy Szwecję siedem do zera. Mecz dwa, Hiszpania, sześć do zera. Nic nie powstrzyma Brazylii. Nic. To będzie największe *Seleção* w historii. Między nami i chwałą stoi tylko maleńki Urugwaj. Rio się spodziewa, kraj się spodziewa, świat się spodziewa, że podniesiemy puchar Julesa Rimeta na najpiękniejszym stadionie na świecie, w najpiękniejszym mieście na świecie. „O Mundo” nawet drukuje w porannym wydaniu zdjęcia drużyny, pod nagłówkiem *Oto mistrzowie świata!*

Szesnastego czerwca w tym jaju siedzi całe Rio. Jedna dziesiąta miasta. Reszta Brazylii słucha przez radio, wszyscy dokładnie pamiętają, gdzie byli, gdy sędzia pierwszy raz zagwizdał. Pierwsza połowa bezbramkowa, ale w dwudziestej ósmej minucie dzieje się coś bardzo dziwnego: kapitan Urugwaju, Obdulio Valera uderza Bigodego, i to jest jak *macumba*. Wszyscy wiedzą, że energia na stadionie się zmieniła, czuje się to nawet przez radio. Brazylija już nie ma *axé*. Tylko że potem, w pierwszej minucie drugiej połowy, Friaça widzi uliczkę... strzela. *Gooooool do Brasil!* Jeden zero, jeden zero, jeden zero! Wszyscy tańczą i śpiewają, w naszym domu, w każdym domu, aż na dół po Copę. Potem, w sześćdziesiątej ósmej minucie, Gigghia z Urugwaju podejmuje tę *macumbę* i biegnie z piłką. Mija Bigodego prawym skrzydłem, dośrodkowuje. Odbiera Schiaffino i ogrywa Barboşę. Sam Pan Bóg by tego strzału nie obronił.

Ale jeszcze możemy wygrać. Z gorszych tarapatów się podnosiliśmy. Jesteśmy w końcu Brazylią. Ale nagle, o szesnastej trzydzieści trzy, stają wszystkie zegary. Gigghia jeszcze raz mija Bigodego, leci w pole karne. Ale tym razem nie podaje. Jest przy samej linii, ale strzela. Barboşie w ogóle nie przyszło do głowy, że ktoś może strzelić pod takim kątem. Reaguje za wolno i za późno. Piłka siedzi w siatce. Gol dla Urugwaju, mówi Luis Mendes w radiu i jakby sam w to nie wierzył, powtarza. „Gol dla Urugwaju”. I jeszcze raz. Sześć razy to powtarza. I to jest prawda. Urugwaj dwa, Brazylija jeden. Na stadionie cisza jak makiem zasiał, to samo na naszej ulicy, w całym Pavão, w całym Rio. Gigghia zawsze mówił, że tylko trzech ludzi w historii jednym ruchem uciszyli całą Maracanę: Frank Sinatra, papież i on.

Rozległ się ostatni gwizdek, Urugwaj zgarnia Puchar Świata, a tu ani jednego dźwięku. Ojciec przez tydzień nie był w stanie pracować. Jakiś facet ze wzgórze rzucił się pod autobus, bo nie mógł tego znieść. Całe Rio zamarło. Cały kraj był w szoku. I nigdy się z niego nie podnieśliśmy. Może za dużo chcieliśmy, może to politycy tak to nadmuchali, że to już nie był tylko mecz, to była cała Brazylija. Ludzie, co byli wtedy na Maracanie, wiesz jak na siebie mówią? „Ocaleni”. Naprawdę. Prawdziwy ból to nie była utrata pucharu, ale to, że dotarło do nas, że może nie jesteśmy tacy świetni, jak się wszystkim wydawało. Nawet w naszej ruderze na Morro do Pavão, gdzie słuchaliśmy radia podpiętego do latarni, z beczką po ropie za wzmacniacz, wszyscy i tak myśleliśmy, że przed nami wielka przyszłość. A może jednak nie jesteśmy nacją przyszłości, której wszyscy zazdroszczą, podziwiają, może jesteśmy tylko kolejną republiką bananową, co się puszy i chodzi jak ten

paw w złotych sznurach i piórach, a nikt jej nie bierze poważnie. Francuz de Gaulle powiedział kiedyś „Brazylia to nie jest poważny kraj”. Po Feralnym Finale wszyscyśmy w to uwierzyli.

Oczywiście szukaliśmy kozłów ofiarnych. U nas tak zawsze. Barbosa został tym znienawidzonym. Był naszą ostatnią linią obrony, kraj na nim polegał, zawiódł Brazylię i Brazylia nigdy mu nie da o tym zapomnieć. Tylko raz jeszcze zagrał w *Seleção*; potem zrezygnował z gry, zerwał kontakty ze wszystkimi kolegami, zniknął z towarzystwa, a potem zniknął całkiem. Brazylia urządziła mu pięćdziesiąt lat piekła. Nawet za morderstwo się tyle nie dostaje.

– Czyli format „sąd” – powiedziała Marcelina Hoffman.

Piątek Burzy Bluzgów, czyli sesja przedstawiania pomysłów, odbywał się w sali konferencyjnej Adriano, szklanej kostce z równikowym paskiem, w którym wyryto tytuły największych i najgłośniejszych hitów Canal Quatro. Parę rzeczy Marceliny też tam było. Na podłodze celowo porzrucano zabawki i najnowsze łamigłówki, żeby pobudzić kreatywność. Tydzień temu była *Gimnastyka mózgu* na PSP, w tym tygodniu papierowe książeczki do origami, z wytłoczonymi liniami zgięć. Sauna, jak wskazywała jej obiegowa nazwa na Rua Muniz Barreto, słyneła z kiepskiej klimatyzacji, lecz pot, który płynął Marcelinie po bokach, to nie był pot z gorąca. Pot z *rody* – ta szklana sala była tak samo jak każda *capoeira roda* miejscem do ćwiczenia sztuk walki. Tu też pokonanie tańcem rywali będzie wymagać całego jej *jeito*, całej *malicii*, na jaką ją stać. Pomóż mi, *Nossa Senhora da Valiosa Produção*.

– Wyśledzimy go, zgarniemy, i urządzimy mu sąd przed całą Brazylią. Przedstawimy dowody obu stron, będzie mieć sprawiedliwy proces. Tak sprawiedliwy, jak tylko zechcemy. Może poprosimy prawdziwego sędziego, żeby ogłosił werdykt. Albo Pelégo. Potem widzowie zdecydują: wybaczyć mu czy nie.

Szklane stoły w szklanej sali, ustawione w czworokąt, promujący wspólnotę i demokrację, gdyby nie fakt, że Adriano i Czarna Ptaszyna, dziś bardzo bardzo zrobiona na Audrey Hepburn, siedzieli po stronie najdalszej od słońca. Lisandra i jej ekipa kreatywna po prawej stronie Marceliny; ober-szefowie po lewej. Wrogów zawsze widzieć kątem oka, ale żeby nie dostrzegli, że patrzysz, bo to głupota. Dokładnie naprzeciwko miała Arlindo Pernambucano z Rozrywki; był dużo za stary, żeby krzyzczeć i popiskiwać nad pisemkami o gwiazdach i ogólnie dziewczynskimi tematami, ale i tak miał niesamowity procent hitów. Ale w tej *jogo* nie brał udziału. Teraz w *rodzie* stały Lisandra i Marcelina.

– A jeśli okaże się winny? – zapytał Adriano.

– Każemy mu na żywo przeprosić w telewizji.

Adriano skrzywił się. Ale nic nie szkodzi, to jest ta telewizja, od której ludzie się krzywią i wzdrygają, wypadki samochodowe, grzeszne przyjemności. Telewizja Wstyd. Podobało mu się.

– On w ogóle żyje?

– Sprawdziłem w archiwach – powiedział Celso, młody researcher Marceliny i najnowszy członek jej alt kropka rodziny.

Był onieśmielająco bystry, otwarcie ambitny i zawsze siedział za biurkiem, kiedy przychodziła, i zostawał, kiedy wychodziła. Nie miała wątpliwości, że kiedyś sięgnie po jej koronę, ale jeszcze nie dzisiaj, nie dzisiaj, kiedy ta radość, ten żar nowego pomysłu, który pojawia się znikąd idealny i bezbłędny, jakby miał na podstawie napis *Madę in Heaven*, ta rozkosz, którą, wydawało się jej, już całkiem zatraciła i odnajdywała tylko momentami w zachodach słońca na Botafogo albo w śmiechach i blasku ulic Copy widzianych z jej ogródka na dachu – ta radość rozpałała jej jajniki. Wracam do gry, pomyślała.

– Poszukiwania mogłyby być częścią programu – stwierdził Adriano.

Ma pomysły, zauważyła Marcelina. Już się z tym utożsamia. Może będzie to miała. Może.

– Musi być bardzo stary – odezwała się Czarna Ptaszyna.

– Osiemdziesiąt pięć lat – dorzucił w okamgnieniu Celso.

– Pomysł ciekawy, ale czy to jest klimat Canal Quatro, ośmieszyć i upokorzyć starego człowieka? To nie będzie po prostu telewizyjne *pelourinho*?

„Tak!”, miała ochotę wrzasnąć Marcelina. Nic nie jest bardziej Canal Quatro niż pręgierz, chłosta, piętnowanie żelazem. To właśnie najbardziej kochamy – cierpienie innych, galerię cudaków. Poprosimy o obłęd i mękę, o publiczne pranie brudów i obrzydlistwa, o laski, co się rozbierają. Jesteśmy lubieżnym, potwornym gatunkiem. Wiedzieli to już w XVIII wieku, znali radość z publicznego upokorzenia. Gdyby teraz urządzano publiczne egzekucje, Canal Quatro puszczałaby je w prime time i rządził ratingami.

– To jest okazja, żeby zamknąć temat, który ciągle się jątrzy, nawet po pięćdziesięciu latach. Potem masę razy wygrywaliśmy, ale nie wtedy, kiedy się to naprawdę liczyło, na własnym terenie, na własnym stadionie, przed własną publicznością.

Adriano kiwnął głową. Lisandra ułożyła z karteczki z bloczku do origami dwa pieprzące się króliczki i pomachała nimi na skraju pola widzenia Marceliny.

– A nie, mnie się to podoba – obwieścił dyrektor programowy. – Ostre, głośne, podzieli ludzi, będzie głosowanie SMS-ami winny/niewinny. Cały Canal Quatro. IPTRB.

It Presses The Right Buttons, naciska te guziki co trzeba, domyśliła się Marcelina.

– Programy typu „top ktoś tam” zawsze się u nas świetnie sprawdzały – stwierdziła Czarna Ptaszyna, pochylając nieznacznie głowę w stronę Lisandry. – Najlepsza *Seleção* Wszech Czasów, będzie się o tym mówiło.

Celso złożył karteczkę ze swojego zeszytu w zielonego penisa i powoli podniósł go w kierunku Lisandry.

– Dobra, dziękuję wam wszystkim – powiedział Adriano, odsuwając się o milimetr od szklanego stolika. Niecierpliwie oczekiwanie trzeszczało w powietrzu jak pioruny. – Wiedziałem, że dacie radę. IRTAMD.

Im Ready To Announce My Decision. Mogę ogłosić swoją decyzję.

– Wszechświatowi zostało do przeliczenia dziesięć do sto dwudziestą obliczeń – powiedział Heitor, z nogami na biurku w swoim narożnym gabinecie, gapiąc się na jadące na plażę samochody i prostokąt złota i błękitu na końcu, jak flaga na jubileusz. – Potem wszystko staje, jest ciemno, zimno i wszechświat rozszerza się dalej, aż wszystko będzie nieskończenie daleko od wszystkiego innego. I wiesz co, doszedłem do wniosku, że robi mi się alergia na pszenicę.

– A mogłeś powiedzieć: „Super, Marcelina, gratuluje, Marcelina, zajebista sprzedaż, Marcelina, idziemy do Barbosy i stawiam szampana”.

Newsroom był przyzwyczajony, że Marcelina Hoffman wypada z bałaganiarskiej, hałaśliwej Rozrywki na Faktach w klarowną, skupioną atmosferę poważnego dziennikarstwa, jak pęknięty tłumik, jadący z grzmotem pomiędzy rzędami gorących biur, do małego sanktuarium Heitora, w którym kontempluje swą rolę jako dostarczyciel złych wieści milionom oraz bezsens mediów w ogólności. Drzwi się zamykały, zaczynało się mendzenie, dziennikarze opuszczali głowy albo zaczęli szukać w sieci miejsc na urlop. Więc kiedy przyszła wyszczerzona, jakby właśnie wciągnęła sześć kresek, prosto z kibla, z wypiętym małym biustem i rozfalowanymi złotymi lokami, na chwilę się zdenerwowali. Od Heitora nie dobiegały żadne wrzaski. Wszyscy w biurówcu, a co dopiero na ósmym piętrze, wiedzieli, że oni się od czasu do czasu pieprzą, ale nikt nie miał pojęcia dlaczego. Mało kto rozumiał, że związek może się zrodzić z chęci uniknięcia uprawiania seksu z każdym, kto potrzebuje uprawiać z tobą seks. Zachowali to przemyślenie dla siebie. Obawiali się, że któregoś dnia sami będą musieli zagrać tą kartą.

– Pełne finansowanie na produkcję, dwa tygodnie na skompletowanie oferty i zielone światło pod koniec miesiąca. Napalili się na mnie, czy jak?

Heitor zdjął nogi z biurka i odwrócił się do Marceliny, która – królowa capoeiry w aureoli sukcesu – jakby wypełniała dwie trzecie pokoju.

– Świetna robota, Marcelina.

Nie przytulił jej do swojego wielkiego, niedźwiedziego cielska w szarym garniturze. To nie była tego typu relacja.

– Co masz dziś jeszcze do roboty? Café Barbosa: proszę, zawsze jest jakiś omen. O dzięki, Święta Pani od Widowiskowości.

– Wczesny wieczór, skrót, i główne wydanie o siódmej.

Heitor, depresyjny prezenter. Cała branża z tego żartowała, nie tylko Canal Quatro; Marcelina wiedziała jednak, że jego miła, kontemplacyjna melancholia nie brała się z przelewającej się przez jego życie nieustannej powodzi pędzących za sensacją, pełnych przemocy i skupionych na celebrytach wiadomości; brała się z tego, że czuł się za to odpowiedzialny. Był jak Śmierć zaproszona na wszystkie kolacje z mikrofalówki przed telewizorem. Marcelina przeciwnie: z zadowoleniem przyjmowała karierę opartą na

banalach bez znaczenia.

– Taki mam plan. Najpierw mam spotkanie z igłą. Muszę pójść do Café Barbosa z moją ekipą, moją alt kropka rodziną i każdym, kto chce mi postawić piwo. Przychodzisz, idziemy dalej, do jakiegoś lokalu w Łapie. Wracamy do ciebie. Rżniemy się, aż się zesrasz. Ale najpierw musisz mi pomóc.

– Tak myślałem, że jakaś taryfa będzie.

– Cały program wisi na tym, że znajdziemy Barbosę. Masz pomysł, do kogo by z tym pójść?

– No, nie bar...

– Ale znasz kogoś, kto ma. – Standardowy żart dziennikarzy i prawników.

– Spróbuj do tego gościa. – Heitor zapisał coś na różowym stickersie. – Może trochę ciężko go będzie znaleźć, ale nikt tak nie zna Rio jak on. Spróbuj na plaży Flamengo, wcześniej rano.

– Jak wcześniej?

– Dużo wcześniej niż twoje „wcześnie”. On mówi, że wtedy plaża jest najlepsza. – Heitor odwrócił wzrok i skrzywił się, widząc wpadające do skrzynki nowe maile. – Coś z tego będzie. Ja już się tym nie zajmuję, sama załatw. Powinnaś to przeczytać.

Książka w twardej oprawie leżała na biurku grzbietem do góry, jakby się modliła. Heitor był namiętym czytelnikiem, próbującym znaleźć na drukowanych stronicach idee, z których byłby w stanie upleść wytłumaczenie dla tego obłąkanego świata, o którym mówił ludziom dwa razy dziennie. Marcelinie też wciskał jedną książkę tygodniowo, a ona przekazywała je, nieruszone, Donie Bebel. Czytanie tekstów było takie statyczne, takie zesłowieczne.

– To o teorii informacji, czyli najnowszej teorii wszystkiego. Mówi, że wszechświat to jeden wielki kwantowy komputer, a my wszyscy to chodzące na nim programy. To bardzo uspokajające, nie wydaje ci się?

– Postaraj się zdążyć, Heitor. Przyda ci się dużo piwa i gorącego gorącego seksu.

Uniósł dłoń, pochłonięty nacierającym nań światem.

Taksówka nie czekała na nią na Rua Muniz Barreto. Marcelina popatrzyła w lewo, potem w prawo i wróciła do recepcji.

– Zawołaliście mi taksówkę?

– Zawołaliśmy, przyjechała, pojechałaś – powiedział Robson pilnujący drzwi, przepiękne stworzenie, wysokie, wielkie kości policzkowe, mięśnie pływaka i tak czarny, że aż lśnił. Regularnie był wybierany Najbardziej Całusnym w bożonarodzeniowym konkursie. Marcelina nie mogła uwierzyć, że tak się bez chirurgii udał.

– Jak to „pojechałam”?

– Sama mi powiedz. Pojechałaś i tyle. – Robson spojrział na własne dłonie, jak to się robi, kiedy gadasz z kimś otwarcie walniętym. – Wyszłaś z windy i powiedziałaś tak jak teraz. „Zawołaliście mi taksówkę?”. I ja powiedziałem, że tak, już czeka. Wsiadłaś i pojechałaś.

– Jedno z nas chyba brało coś bardzo mocnego. – To mogła być ona. To mogły być

guarana i zmęczenie po całej nocce. Zeszło ciśnienie i teraz płacisz za to wszystko, mózg tryska gejzerami jak cola plus mentosy.

– Widziałem na własne oczy. – Ludzie, którzy wybierali Robsona na Najbardziej Całusznego, nigdy nie mieli okazji z nim rozmawiać, kiedy się wkurzał, gdy w jego głosie pojawiała się to rozkapryszenie pedalskiej primadonny.

– A co miałam na sobie? – zapytała Marcelina. Zegar tykał. – A, chuj z tym, idę piechotą.

Tajemnicze zdarzenia mogą poczekać. A ona jest umówiona z cienką stalową igiełką miłości.

– Czarny kostium! – zawołał za nią Robson. – Miałaś czarny kostium i zajebiste szpile.

25 WRZEŚNIA 2032

Śliczna śliczna laska, w kozakach na szpilach, wysoko wyciętym body z kołnierzykiem i przepięknej czarnej motocyklowej kurteczce, krótkiej jak bolerko, Efrim obchodzi *gafieirę*. Cidade de Luz aż pulsuje. Dzisiejsza *gafieira* jest zaręczynowa, takie są najlepsze. Otwarte wejście do Josés Garage jest sceną, głośniki podniesione na warsztatowych wielokrążkach. Mały DJ, owinięty flagą narodową jak Superman peleryną, nakręca publiczność. Zwijany ekran wyświetla ruchomą konstelację świetlistych wzorów – erfidy z terenu *gafieiry*, śledzone przez Anioły Ciągłego Monitoringu i pokazane jako przepiękny rój. Mały DJ unosi palce w powietrze, wyciska z publiki słaby okrzyk, klaszcze w dłonie i podnosi je nad głowę, ryk jest głośniejszy. *Senhors, senhoras...* Jej wejście zatracą się w powodzi ruchomych świateł i narastającym werblu rozpoczynającym *Pocotocopo*, największy przebój tego roku, publiczność widzi jednak, jak w powietrze wzlatuje srebrna piłka futbolowa, upstrzona lustrzanym brokatem. Milena Castro, Królowa Podbijania Piłki, idzie z piłką przez scenę, tam i z powrotem: głowa, cycki, tyłek, kolano. Uśmiech przy każdym odbiciu, a na stringach w kształcie litery V żółty romb i niebieski glob brazylijskiej flagi. *Ordem e Progresso*. Odwraca się plecami do tłumu, kręci tyłkiem. Rozlega się chrypliwy aplauz.

Dobra dziewczyna, myśli Efrim. Pierwszy z dwóch numerów na dziś, w jej drugim wcieleniu, jako szefa *De Freitas Global Talent*. Dzisiaj jednak jest w trybie imprezowym, na głowie wielka peruka afro, ciało promienieje złotem, zarzucona tableteczka TalkTalk od Uliczki, dostawcy neurologicznych wspomagaczy, tak żeby mógł powiedzieć wszystko do każdego, tak że mucha nie siada. Dziewczyny gapią się, kiedy przechodzi, kołyszając torebką. Tak ma być. Wszyscy mają się gapić. Dzisiaj Efrim/Edson – chłopak o kilku twarzach – wyszedł na polowanie.

– Cześć Efrim! – Steku stoi za barem, jedną ręką unosi *caipi*, drugą obejmuje narzeczoną, Serenę. Ma połowę udziałów w jednej siłce z Emersonem, bratem numer jeden Edsona. – Dobrze się bawisz? – Sądząc po tym, jak jest nakręcony i jak się chwieje, już nieźle skorzystał z gościnności własnej *gafieiry*.

Serena Siła Spokoju mruży oczy, patrząc na Edsona. Powinna nosić okulary, ale jest na to zbyt próżna. W prezencie zaręczynowym Steku obiecał jej laserową operację w porządnej klinice na Avenida Paulista.

– Super wyglądasz.

Efrim przed nią dyga. Serena zerka na jego wspaniałe uda.

– W końcu znalazłeś sobie gwiazdę. Długo ona tak może? – pyta Steku.

– Dłużej niż ty – odpowiada Efrim, elokwentna od TalkTalka, przybierając pozę możliwą tylko dzięki obcasom i gigantycznemu afro.

Serena Siła Spokoju parska śmiechem. Steku odgania go, ale ktoś inny zaprasza go

machnięciem za zbiorniki z gazem: Ej Edson, chodź no tutaj. Indycza Noga z paroma gośćmi z Penas, dawnego gangu Edsona. Stoją z tyłu warsztatu, tam gdzie się trzyma podrabianą wódkę.

W sumie to nigdy nie był gang, w sensie honoru, pistoletów i trupa na brzegu rzeki; bardziej grupa gości, co trzymają się razem, czasem ukradną coś designerskiego i drogiego, czasem sprzedadzą trochę zielska albo nielegalny soft, czasem podprowadzą samochód, trochę zajmują się pilnowaniem porządku, na ile pozwoli sam Szeff na szczycie faweli. Tak zostało, bo młodszy chłopcy już nie widzieli innego wyjścia z Cidade de Luz, niż pójść na górę faweli i dać sobie zrobić blizny żołnierza barona narkotykowego. Wtedy dawny Penas już poszedł w coś innego, powyprowadzali się, pożenili, popłodzili dzieci, utyli i rozleniwili się. Edson nie miał wyjścia, poszedł do Penas wzorem starszych braci, ale od razu widział, że w pewnym momencie będą przeszkodą dla jego ambicji. Delikatnie zaczął luzować więzy łączące go z gangiem, odlatywać coraz dalej i swobodniej, rozwijając swoje indywidualne tożsamości, aż w końcu, niczym kometa, pojawiał się, ciągnąc jaskrawy warkocz, tylko na imprezach, *gafieirach*, weselach i pogrzebach. Jak dobra wróżba. Teraz sam był dla siebie gangiem.

– Jestem Efrim, skarbie.

– Efrim Efrim, musisz to zobaczyć.

Rozprasza światło na krzyżownie ostrza jak nóż, pasuje do ręki jak nóż, pachnie jak nóż – Efrim widzi jednak rozedrganie na krawędzi ostrza, jakby jednocześnie istniało i nie istniało, jakby ktoś utkał je ze snów. To coś więcej niż tylko nóż.

– Skąd to wzięłeś?

– Kupiłem od jakiegoś typa z Itaquery, podobno z wojska to ma. Chcesz spróbować? – Indycza Noga macha nożem w stronę Efrim.

– Ja się tego nie tykam.

Indycza Noga pokrywa rozczarowanie trzema gwałtownymi machnięciami, tnącymi powietrze ze świstem. Efrim czuje zapach elektryczności.

– Popatrz na to. To jest niezłe.

Kuca, ustawia cegłę na umazanym olejem betonie. Z delikatnością odważającego działki dealera opiera nóż rękojeścią na ziemi, ostrzem na cegle. Ostrze przechodzi przez cegłę jak przez wodę. Indycza Noga szybko podpiera rękojeść paczką papierosów. Ostrze sunie dalej w dół, wchodzi łukiem w beton podłogi, aż zaczepia się na rękojeści.

Q-nóż. Tak, Efrim słyszała o tym. Nikt nie ma pojęcia, skąd się biorą: z wojska, z amerykańskiej armii, od Chinoli, z CIA, ale odkąd zaczęły się pokazywać w funk-barach jako ulubiona broń, wszyscy wiedzą, co one potrafią. Przecinają wszystko. Tak ostre, że wchodzi między same atomy. Ze swoich spotkań z panem Morelem Edson wie, że nawet ostrzejsze. Ostre aż po poziom kwantowy. Jak się złamie – a tylko drugi q-nóż może złamać q-nóż – to odłamek wbije się w ziemię i będzie spadał aż do jej środka.

– Super sprawa, nie?

– Skarbie, to śmierć. – Czuje, jak emanuje z ostrza, jak oparzenie od słońca. Empatia ulicznego pirata nabiera odrobiny świeżego, synestetycznego klimatu.

Warsztat Joségo trzęsie się, Mały DJ startuje z nowym setem. Efrim zostawia Penas grających w noże kwantowym nożem. Jak się tak będziecie zachowywać, w życiu nie wydobędziecie się z Cidade de Luz. Pora na debiut drugiego numeru *De Freitas Global Talent*.

– *Senhors, senhoras*, bitwa pod-dziejów! Bitwa pod-dziejów! – drze się DJ, pogłos zmienia jego głos w przesterowany zgrzyt. – Pierwsza runda!

Remixado João B kontra PJ Suleimannnnnn! Przeżyje! Tylko! Jeden! Start!

Ściana aplauzu, gdy rywale wchodzą na scenę. Drobniak będzie musiał walczyć ze zwycięzcą tej rundy, z tym, który zdobędzie serca, dłonie i stopy tłumu. Efrim zajmuje pozycję przy grillu *churrasco*, żeby przyjrzeć się konkurencji.

– Laska, Efrim – odzywa się Regina, królowa *churrasco*.

Efrim szczyrzy zęby. Uwielbia te spojrzenia przy specjalnych okazjach, gdy wychodzi na miasto w roli *travesti*. Podnosi do wyblyszczkowanych ust bambusowy szpikulec z tłustą, spieczoną na czarno wołowiną. PJ Suleiman rozwala João B tak łatwo, że aż przykro: dzieciak w ogóle nie ma rytmu, sprowadza wszystko do vaqueirowskiego riffu gitarowego, który wydaje mu się funky, ale dla publiczności brzmi jak motyw z telenoweli o gauczach. Obrzucają go pustymi kubkami po *caipiroshkach*.

Senhors, senhoras, a teraz... D-d-d-drobniaaaaak!

Drobniak kiedyś był dla niego idealnym alibi: spokojny koleś, żadnych gangsterskich konszachtów, stuprocentowo oddany rytmom dzwoniącym mu w słuchawkach. W mieście Sampa, pod Ciągłym Monitoringiem, nawet najbardziej szanowany biznesmen czasami potrzebuje alibi, potrzebuje zamienić się z kimś tożsamością. Bywało sporo takich popołudni, kiedy Edson chodził po Cidade de Luz, zapuszczał się nawet na fawelę wgraną na swoje okulary z tożsamością Drobniaaka, a Drobniak siedział i miksował jako Edson Jesus Oliveira de Freitas. Aż pewnego dnia Edson, gdy zamieniali się z powrotem, naprawdę przysłuchał się muzie tańczącej na jego iSzkłach i po raz pierwszy przysły mu do głowy słowa: „O, z tym to ja mogę coś zrobić”. Na tej werandzie z blaszanym daszkiem narodziła się firma *De Freitas Global Talent*. A teraz świat go zobaczy, jak sprawia, że kręci się tysiąc tyłków.

Drobniak od razu wkręca się w rozkołysaną sambę paulistano PJ Suleimana, wyciąga z baterii swoich sampli bas w stylu *mangue* i dorzuca rytm, od którego basowe głośniki wrywają się z kolumn. Tłum aż osiada, łooooo! A w pół taktu wszyscy są w powietrzu, na cztery spadają, pulsuje całe *bloco*. Suleiman próbuje czegoś bardzo sprytnego, puszcza klasyczne blackmetalowe solo i szybki drum-n-bassowy rytm, rzezi, drapie, ale tańczyć się do tego nie da. Drobniak bierze solo gitarowe, wypruwa z niego sekcję basową i zalewa funkiem w ilościach przemysłowych, dodaje starą amerykańską linię basu z poprzedniego stulecia i rytm tak świeży, że jeszcze zafoliowany. Efrim widzi na jego iSzkłach przesuwające się ścieżki, gdy gałki oczne próbują i miksują w czasie rzeczywistym. Publiczność go kocha, klaszcze, łyka wszystko: nie ma wątpliwości, kto wygrywa ten pojedynek.

Potem Bóg mówi: „Dzisiaj wieczorem, Efrim/Edson/kimkolwiek jeszcze jesteś albo

będziesz, uśmiecham się do ciebie sponad satelitów, balonów i Aniołów Ciągłego Monitoringu”.

Jest. Ona. Stoi przy barze, z *caipiroshką* w ręce i grupką koleżanek. Różowe kozaki z *jacaré* (co ona ma z tą likwidacją populacji kajmanów?) i mała, srebrna, rozkloszowana sukienka, tak krótka, że prawie odsłania majtki. Ale porusza się wspaniale, leniwie, zmysłowo; iSzkła od Korra, zsunięte na czubek głowy. Kosmiczna laska. Włosy ma dziś różowe. Róż i srebro – idealnie pasują do nieodzownej w tym sezonie torebki „Giorelli Habbajabba” na ramieniu. Przyszła.

– PJ de Piiiiipooooo! – Mały DJ zapowiada kolejnego uczestnika, a Efrim przeciska się przez tłum ku barowi.

– Efrim, Efrim, Efrim! – Krzyki brzmią mu w uchu jak strzały z pistoletu. Kiedy był w Penas, Łakoć chodził za nim jak piesek za suką. Teraz jego oczy i maniackalna natarczywość zdradzają, że jest po uszy napchany narkotykami. – Trampo nie żyje! Zabili Trampo!

Trampo jest – był – małym, wrednym *favelado*, na tyle głupim, żeby chcieć uchodzić za groźnego gangstera. Pewnie kiedy Edson odszedł z gangu, zastąpił go w roli słońca w życiu Łakocia. Niektórzy rodzą się ze śladami od kul na ciele, takimi stygmatami. Nawet w na wpół przyzwoitym Cidade de Luz zabójstwo to najczęstsza przyczyna śmierci młodych mężczyzn. Dopiero jeśli dożyjesz trzydziestki, naprawdę dojrzewasz.

– Przecięli go na pół, rozumiesz? Przecięli go, kurwa, na pół. Zostawili na poboczu *rodovii*. A w jezdni wycięli znak.

Pewnie ukośny prostokąt z kopułką na górze, stylizowany kosz na śmieci. Śmieci won. Wycięte taką samą bronią, jaką Penas tak nonszalancko bawili się w warsztacie Josého. Stąd właśnie wszyscy znają q-noże. To one są prawdziwą gwiazdą tego, co od sześciu sezonów jest topowym programem telewizyjnym w São Paulo. Żadna sieć nie zatwierdziłaby programu, w którym Zwykły José konkuruje o wejście do miejscowej bandy *bandeirantes*, prześladowanej ulicznych przestępców. Ale to są czasy mediów totalnych, gdy każdy może produkować treści, czasy wiki-wizji. Partyzancka piracka telewizja rozsyła to za opłatą *pay-per-view* na dwadzieścia milionów iSzkieł. Reformatorzy, ewangelicy, księża teologii wyzwolenia, wojujący prawnicy i socjaliści wołają, że trzeba coś zrobić, wiadomo przecież kim są ci ludzie, trzeba ich zamknąć, wygonić z wielkiego São Paulo. Policja udaje, że nie widzi. Ktoś musi wyrzucać śmieci. Efrim w życiu nie pobrudziłaby sobie siatkówek tym syfem, ale biznesplan podziwia. Teraz przyszli do Cidade de Luz. To nie jest rozmowa na teraz. Groźni ludzie na zaręczynowej *gafieirze* i Efrim na łowach. Ona cały czas tu jest, stoi przy zaimprovizowanym barze ze stołów na kozłach pożyczonych od kościoła. Ksiądz ma dość rozumu, żeby nie przychodzić i nie patrzeć, co się dzieje z jego stołami, ale *crentes*, niezawodnie wyczuwając potępionych, rozdają im ulotki o tym, że piekło jest straszne i istnieje, wszystkie, co do jednej, udeptywane potem pod nogami w przesiąknięte alkoholem papier-mâché. Kobiety nalewają *caipiroshki* z miednic do plastikowych kubków. Dwóch mężczyzn w koszulkach bez rękawów ugniatą limonki w wielkich drewnianych moździerzach. Trzeba się szybko pozbyć tego głupka. Efrim wygrzebuje z torebki odrobinę zawiniętej w folię aluminiową

maconhi.

– Proszę, *querida*, to dla ciebie. Bierz. – Dzieciak i tak już ledwo stoi, ale Edson chce, żeby znalazł się tak daleko stąd, żeby już nikogo nie straszył. Co za cham. – Bierz, to twoje, i spadaj stąd.

Senhors, senhoras, PJ Raul Glooriiii-ja! G-g-g-gloriiija! Kolejne zwycięstwo Drobniaka.

– Heeej, dziewczyny! – Efrim żegluje ku nim, kołysząc biodrami w rytmie samby, taksując je od góry do dołu, od dołu do góry. – Jej, jakie paskudne paskudne buty.

Fia i koleżanki gwizdzą i wiwatują. Efrim jedzie na TalkTalku, spaceruje tam i z powrotem w parodii przeglądu wojska, przypatrując się każdej po kolei.

– Skarbeńku, nikt ci nie powiedział, że stopy pterodaktyla to źle źle źle? A tu, słodka Mario Panno? Róż i oranż? Efrim pomodli się za ciebie, ciebie może uratować tylko Święta Pani od Zajebistych Bucików. A ty, ty potrzebujesz ruchu. Trochę się postaraj. Efrim się tobą zajmie. Ramiona będziesz mieć jak w telenoweli, bo teraz obwisają jak fiut starego klechy. A ciebie, kochana, ciebie uratuje tylko plastik. Efrim to załatwi, Efrim zna paru niedrogich fachowców... każdy by chciał takich znać, nie? – Zatrzymuje się przed Fią. Habbajabbę ma w zgięciu ręki, ułożoną wygodnie jak śpiący kot. Nie wiesz, kim jestem. Ale ja wiem, kim ty jesteś. Efrim uwielbia anonimowość swojej maski.

– Za to dla ciebie mam trochę czarów *travesti*. Nie wierzysz? Wszystkie mamy taką moc, siłę, wszystkie dziewczyny mają. Daj mi torebkę, a wyczaruję ci różne rzeczy.

Fia zaśmiewa się z jej bezczelności i podaje habbajabbę. Efrim pociera ją dłońmi, obwąchuje, lize.

– A więc: torebka mówi, że ją dostałaś, nie kupiłaś za pieniądze. Mężczyzna ci dał... zaraz... torebka mówi, że to biznesmen, człowiek, co ma kontakty, ma znajomości, ma ludzi. – Przytyka torebkę do ucha, wydyma wargi, wytrzeszcza oczy w udawanym szoku. – Torebka mówi, że on ci ją dał, bo wyświadczyłaś mu wielką przysługę. Uratowałaś jego głupiego brata od *seguranças*.

Efrim delikatnie odkleja Fię od koleżanek. Myślą, że to śmieszne, machają, posyłają buziaki – a ona dzisiaj, w noc *gafieiry*, nawet daje się prowadzić. Edson podnosi torebkę i szepce do niej, kiwa głową, przewraca swoimi wielkimi oczyma.

– Torebka mówi: biznesmen wciąż jest ci coś winien. Chodziło przecież o jego brata, który może nie jest nic wart, ale i tak więcej niż torebka. Choćby i taka.

Fia się śmieje. Jak brzęk toczących się po chodniku monet.

– I co ten wielki biznesmen chce mi zafundować?

– Właśnie jest w trakcie dogadywania dealu z arabską *lanchonete*. Mają takie *kibe*, że na kolana psy. Chciałby, żebyś pierwsza spróbowała tego, co niedługo będzie najbardziej przebojową siecią knajp na Sampie, na której zarobi kupę, kupę kasy i kupi sobie dom na Ilhabeli.

To odwieczne wielkie marzenie Edsona – dom nad oceanem. Pewnego dnia, zanim średni wiek rozleniwi go na tyle, żeby już się tym nie cieszył, będzie mieć dom na Ilhabeli, w którym co rano będzie mógł się budzić i patrzeć na ocean. Póki się nie zbuduje, nigdy do

niego nie zajrzy, ale kiedy będzie gotowy, przyjedzie nocą, żeby czuć zmysłami tylko dźwięk; żeby ocean był pierwszą rzeczą, którą zobaczy, gdy się obudzi. Santos jest o pół godziny szybkim pociągiem, mimo to Edson nigdy nie widział morza.

– Kwiaty są tańsze. I ładniejsze.

– Kwiaty już uschły.

– Torebka ci to powiedziała?

– I trochę czarów *travesti*.

– Myślę, że na dziś dosyć już tych czarów, wiesz... jak ty się tam naprawdę nazywasz. Serce Efrim podskakuje.

– Dzisiaj wieczorem jestem Efrim.

– Ile jeszcze masz takich sekretów, co, Efrim/Edson, czy kim ty jesteś?

Tylko jeden, myśli Edson/Efrim, i jego nie zna nawet rodzona matka. Oburza się, potrząsając wielką peruką afro, bo Efrim może sobie na to pozwolić.

– Widzisz, na *gafieirę* przyszedłeś, to chyba na *kibe* też ze mną pójdziesz. Tak mówi torebka.

– A pamiętasz, co powiedziałam ostatnim razem?

– „Nie przeginaj”.

Widzi, jak Fia przelatuje przez powody, by odmówić, i skreśla je po kolei. To tylko lunch. W peryferyjnym polu widzenia jej korrsów pojawia się rozmowa telefoniczna. Twarz jej się zmienia. Efrim słyszy blaszany, cienki męski głosik, przebijający się przez sejsmiczny bas bitwy PJ-ów. Ma ochotę przywalić temu facetowi. Fia przyciemnia iSzkła, ukrywając twarz rozmówcy. Zaciną usta. Marszczy czoło. To nie jest radosna wiadomość. Rozgląda się, zerka na dwóch facetów stojących na obrzeżu *gafieiry*. Dotyka ręki.

– Muszę iść.

– Zaraz zaraz, skarbie, nie zostawiaj mnie tak. To co z tą knajpką? Odwraca się, zanim tłum ją zasłoni, dotyka swoich korrsów. Na iSzkłach Efrim wyskakuje adres kontaktowy.

– Uważaj na siebie. Tu chodzą mordercy.

– Wiem! – woła. – Wiem aż za dobrze.

I już jej nie ma.

Dona Hortense i jej Księga Płaczu też to wiedzą. Wiedzą wszyscy porzuceni, chorzy, załamani, zrujnowani, zadłużeni, wiedzą żony niezaradnych mężów i matki lekkomyślnych dzieci, wiedzą wszyscy upamiętnieni przez nią w tej książce. Wie to beznadziejny Gerson, który wrócił już do domu i marnuje popołudnie na bujanie się w hamaku brata. Wiedzą to wszyscy żyjący jego bracia, w tym syn numer cztery, Milson, który pojechał z brazylijskimi siłami pokojowymi ONZ na Haiti. Wie to Décio, który właśnie goli Edsona pod drzewem *araça* w swoim czarnym skórzanym fotelu, gładkim i miękkim jak cipka. Wie to jego broker, wie to jego dealer, wiedzą bracia, co serwisują jego yamaszkę, wiedzą dzieciaki, co grają w halówkę za Bożym Zborem, wszyscy jego dawni *irmãos* z bandy Penas,

wszyscy, co robią mu za alibi i za alibi dla jego alibi.

Edson się zakochał.

Jeden tylko pan Morel nic nie wie. I teraz Edson, przebrany za Cud-Chłopaka, próbuje mu to jakoś powiedzieć.

W São Paulo akurat nie dzieje się nic złego, więc para superbohaterów może sobie po prostu poleżeć na łóżku w *fazendzie*. Cud-Chłopak pali *maconhę*, wydmuchując pod sufit małe, piękne kółeczka dymu. Maskę i pelerynę wiszą na słupku ogromnego, rzeźbionego mahoniowego łóża. Długie buty zostawił. Kapitan Superb tak lubi.

Czasem bawią się w bohatera i złoczyńcę. Czasem w złoczyńcę i bohatera. A zdarza się też, jak dzisiaj, że są dwójką bohaterów. Superbohater i pomocnik. Lycrowy kostium Cud-Chłopaka jest dwukolorowy, po połowie zielony i żółty. Lewą stronę, żółtą, ozdabia sięgająca od przodu po tył ogromna niebieska szóstka. Wielka szóstka, mała szóstka. *Sextinho*. Przez pół życia pan Morel, o przepraszam, Kapitan Superb, tak go nazywa. Kostium jest trochę tandetny i wrzyna mu się w pachwiny. Ma *cameltoe* jak cholera.

Cud-Chłopakowi pasuje, że bawią się w dwóch bohaterów. Zestawy złoczyńca/bohater i na odwrót przeważnie wymagają, żeby się trochę nawzajem powiązać. W piwnicy *fazendy* jest masa starego sprzętu z czasów niewolnictwa, na przykład żelazna maska do kneblowania nieposłusznych *peças*, która go przeraża. W ogóle w tym domu jest pełno starych rzeczy, które pan Morel po kolei oddaje Edsonowi; ale przecież i tak nikt tego po nim nie odziedziczy. Edson zarobiłby na nich więcej w sieci, woli jednak dostawać kasę szybko i dyskretnie, opycha je więc przez znajomego w banku spółdzielczym Cidade de Luz. Cała firma *De Freitas Global Talent* wyrosła na antykach z posiadłości Alvaranga.

W tym scenariuszu obaj są na siłowni i dużo oglądają się nawzajem w lustrach. Podaje Kapitanowi Superbowi blanta, ten zaciąga się delikatnie przez maskę i wypuszcza aromatyczny dym dziurkami na nosie. Kapitan Superb jest cały w tytanie i czerni: długie buty, spodnie, pas, rękawice, okrywająca głowę maska. Nawet potem, gdy odpoczywają, lubi zostawić sobie maskę. Widzi, a nie jest widziany. Gdy leży na plecach, nie wystaje mu brzuch. Edsonowi zresztą ten brzuch aż tak strasznie nie przeszkadza. Lubie tego starego pierdzielą.

– Słuchaj, superbohaterze?

– Co?

– Znasz się na komputerach kwantowych?

– A czemu pytasz?

Superbohater oddaje blanta Cud-Chłopakowi.

– Bo z kimś rozmawiałem.

– Rozmawiałeś z kimś o komputerach kwantowych?

– Biznesowo. Możesz nie drażnić? To jak to w ogóle działa?

W cywilu Kapitan Superb nazywa się pan Morel i jest w zasadzie emerytowanym profesorem fizyki teoretycznej na Uniwersytecie Sio Paulo, ostatnim dziedzicem dawnej kawowej *fazendy* Alvaranga, fetyszystą superbohaterów i pełniącym wobec Edsona Jesusa Oliveiry de Freitas funkcję popołudniowego mentora i partnera do rozrywek.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o cieniach i żabach?

Edson/*Sextinho* wierci się w kostiumie i przywiera do pana Morela. Od czasów ich pierwszego, niezdarnego kontaktu – pan Morel o wiele bardziej zawstydzony od nastoletniego, buńczucznego *Sextinho* – każde spotkanie było wynagradzane opowieścią. Edson czuje, że jest w stanie wzlecieć, wysoko jak superbohater, aż po zawrót głowy, na tym, co fizyka mówi mu o rzeczywistości.

Historia o cieniach i żabach jest z tych lepszych, prostych, ale zaskakujących, przechodzących od rzeczy zwykłych do niezwykłych, dziwnych, ale niezmiernie ważnych. Edson wcale nie jest pewien, czy dotarły do niego wszystkie jej filozoficzne i emocjonalne konsekwencje. Może nikt nie jest pewien. Tak jak to bywa w najlepszych bajkach, zaczyna się od niesamowicie prostego pytania: z czego zrobione jest światło? Nie jest to takie proste pytanie, nie da się na nie odpowiedzieć, po prostu siekając badany przedmiot coraz drobniej i drobniej, aż dotrze się do elementów podstawowych, które już nie dadzą się podzielić (choć podczas superbohaterskich sesji Edson dowiedział się także, że choć to zapewne prawda, to i te elementy składają się z innych elementów, a te z kolei, być może, ze strun drgających jak w gitarach, choć pan Morel nie podziela takiej interpretacji rzeczywistości). Albowiem cząstki elementarne światła, fotony, różnie się zachowują, zależnie co się z nimi robi. Strzelisz jednym fotonem do pewnych metali, a wzbije się kurz, tak jak wtedy, gdy Edson patrzył, jak starsi bracia trenują strzelanie z wiatrówki do znaków drogowych. Ale gdy strzelisz jednym fotonem w dwie wąskie, wąskie szczeliny, to zrobi coś całkiem innego. Po drugiej stronie pojawi się wzór z ciemnych i jasnych linii, jak krzyżujące się na stawie dwa kręgi fal. Jak to możliwe, żeby jeden foton przelatywał przez obie szczeliny? Jedna rzecz nie może być naraz w dwóch miejscach. A fizyka przecież, jak zawsze powtarza pan Morel, służy do opisywania rzeczywistości. No więc czym jest ten foton, falą czy cząstką? To pytanie jest sednem fizyki kwantowej i każda odpowiedź na nie oznacza, że fizyczna rzeczywistość bardzo, bardzo się różni od tego, co się nam wydaje. Pan Morel ma na to taką odpowiedź: kiedy foton przechodzi przez jedną szczelinę, przez drugą przechodzi widmowy foton, który interferuje z nim po drugiej stronie. A właściwie to każdy prawdziwy foton ciągnie ze sobą bilion widmowych fotonów, tylko że większość leci gdzie popadnie i w ogóle nie jest w stanie interferować ze swoim oryginałem z tego świata. Edson oczywiście chciał wiedzieć, co jest w fotonach takiego szczególnego, że mają duchy. Na co pan Morel odpowiedział: „Nic”. Prawa fizyki dotyczą wszystkiego tak samo, jeśli więc fotony mają duchy, ma je każda inna cząstka (a to omawiali na Podstawach Fizyki, wiele lat temu) i wszystko, co jest z tych cząstek złożone. Bilion widmowych *Sextinhos*. Bilion widmowych *Fazend Alvaranga*, bilion widmowych Brazylii, całych globów i Słońc. Wszystkiego. A na to fizyczne „wszystko” jest nawet słowo, brzmi „wszechświat”. Bilion i więcej, dużo, dużo, więcej wszechświatów, dla swoich *Sextinhos* i panów Morelów, Cud-Chłopaków i Kapitanów Superbów realnych tak samo jak ten. Na co Edson pomyślał, a mózg już mu się gotował: może w którymś z nich nigdy nie wziąłem moreli od kierowcy, który nie miał drobnych dla trzynastolatka pilnującego aut... Fizyczna rzeczywistość to wszystkie te

widmowe wszechświaty upchane jeden przy drugim, multiwersum, wieloświat – a pomiędzy tymi światami potrafią otwierać się drzwi, bardzo, bardzo małe i na bardzo, bardzo krótką chwilę. Edson wciąż o tym myśli: stało się to jeszcze bardziej realne, odkąd ma obsesję na punkcie dziewczyny, która używa tych dziesięciu do osiemsetnej wszechświatów do pracy. A co ma do tego żaba?

A, to proste, odparł pan Morel. Żaba ma tak czułe oczy, że potrafi dostrzec jeden foton światła.

– Żaby widzą na poziomie kwantowym, potrafią zajrzeć do wieloświatamówi Cud-Chłopak, gdy Kapitan Superb przesuwa dłonią w rękawicy po jędrnej krągłości jego tyłka. – Dlatego tak siedzą i wytrzeszczają oczy.

– Ale skąd to nagłe zainteresowanie kwantowymi obliczeniami? – pyta Kapitan Superb.

Posiekane szczelinami okiennic światło słoneczne blednie. W pokoju robi się ciemno. Powiew wiatru kołysze wiszącymi na werandzie koszami kwiatów. W dachówki łomocze nagły deszcz.

– Poznałeś kogoś, co? Ty szmaciarzu! Kim ona jest, gadaj, no szybko! – Kapitan Superb podnosi się, prostuje palce, żeby łaskotkami zmusić Cud-Chłopaka do posłuszeństwa. Ale w jego głosie nie ma złości ani goryczy. To nie jest taki romans, to nie jest takie miasto. Tutaj można prowadzić jednocześnie różne życia, mieć różne tożsamości. Pan Morel widział już, jak *Sextinho* przeżywa niejeden zawód miłosny, ale na to, co robią w *fazendzie* na górcie, nie wpływa to w żadnym stopniu. Są całe połacie życia Edsona, o których nie ma pojęcia, wiele takich, których nigdy nie pozna.

– Powiedz mi, to może i ja ci powiem – odpowiada Cud-Chłopak, odskakując spod łaskoczących palców z niedopałkiem blanta w dłoni. Edson ciągle ma nadzieję, że któregoś dnia awansuje z Cośtam-Chłopaka na Człowieka-Cośtam, albo może nawet Kapitana-Cośtam.

– Dobra. Wracaj do łóżka, ale potem powiesz, okay? – Bierze w dłonie na wpół sztywnego fiuta Cud-Chłopaka i zaczyna opowieść.

Jak powiada Kapitan Superb, są dwa rodzaje obliczeń: takie, co dają się zrobić, i takie, co rozsadzają budżet. W biznesie zawsze czas to pieniądz, więc trzeba wiedzieć, ile potrwa liczenie – czy wynik będzie teraz-zaraz, czy po śmierci wszechświata. I zadziwiająco dużo codziennych problemów zalicza się do tej drugiej kategorii. Mówi się na nie „NP”. Najbardziej popularny z tych problemów to rozkład liczby na czynniki pierwsze.

Cud-Chłopak odzywa się:

– Liczby pierwsze to kojarzę. To takie magiczne liczby, z których zrobione są wszystkie inne. Coś jak pierwiastki chemiczne w matematyce.

– Świetna analogia, *Sextinho* – mówi Kapitan Superb. – Dwie liczby pierwsze da się łatwo i szybko pomnożyć, nieważne jak duże, choćby stycyfrowe. Ale nie tak łatwo rozłożyć wynik na nie z powrotem. Nazywamy to faktoryzacją. Jest trochę różnych matematycznych sztuczek, pozwalających pozbyć się oczywistych złych kandydatów, ale w którymś momencie trzeba po prostu dzielić liczbę przez wszystkie kolejne nieparzyste, aż

znajdzie się taką, przez którą dzieli się bez reszty. Jeśli wydłużysz liczbę o jedną cyfrę, czas takich obliczeń wydłuży się trzykrotnie. Liczba dwustupięćdziesięciocyfrowa zajęłaby naszym najszybszym konwencjonalnym komputerom ponad dziesięć milionów lat. Dlatego duże liczby pierwsze są najlepszym przyjacielem szyfrantów. Łatwo przyjąć, że dwie liczby pierwsze po dwa tysiące cyfr są kluczami odblokowującymi twojego erfida i pomnożyć je przez siebie. Ale rozebrać ich milionocyfrowy iloczyn z powrotem – nie ma tyle czasu we wszechświecie, żeby pojedynczy komputer był w stanie to zrobić. Jednak kwantowe komputery radzą sobie z takimi problemami w parę milisekund. Bo na przykład: gdyby tak wziąć liczbę, której faktoryzacja zajmuje dziesięć miliardów lat, pokroić na mniejsze zadania i rozesać po wielu komputerach? Na dziesięciu komputerach zajmie to tylko miliard lat. Na milionie komputerów tysiąc lat. Na dziesięciu milionach sto lat, na stu milionach... W São Paulo jest co najmniej tyle procesorów. Ale nowoczesna kryptologia wymaga co najmniej dziesięć bilionów razy dłuższych obliczeń. Tylu komputerów nie ma na całym świecie. Nawet gdyby każdy atom na Ziemi był małym nanokomputerkiem, to i tak byłoby za mało.

– Ale są widmowe wszechświaty – odzywa się Cud-Chłopak.

Słońce siecze promieniami dach, potem odpuszcza. Z okapów coś kapie. Słońce przebija się przez szczeliny w okiennicach.

– Właśnie. W najmniejszej skali, kwantowej, wszechświat, wszystkie wszechświaty wieloświata wykazują tak zwaną koherencję, spójność. W pewnym sensie to, co wygląda na oddzielną cząstkę w każdym ze światów, jest tą samą cząstką, tylko w innym aspekcie. Informacja o ich stanie przechodzi pomiędzy światami. A gdzie mamy przepływ informacji, tam mamy informatykę.

– Powiedziała „dziesięć do osiemsetnej wszechświatów”. I miała takie świecące coś, trzeba to było chłodzić. – Myśli o żabach, które zaglądną do kwantowych światów.

– Wygląda mi to jak wysokotemperaturowy kondensat Bosego-Einsteina, taki stan materii, gdy cała zachowuje się z grubsza jak jedna kwantowa cząstka. Taka ich macierz może wykonywać obliczenia w... niech pomyślę, dziesięciu do stutysięcznej wszechświatach. Na torebkę wystarcza aż nadto. To już jest prawie tak zwany uniwersalny komputer kwantowy. Bo większość komputerów kwantowych jest, jak to się mówi, wyspecjalizowana, służą do łamania szyfrów. Ale uniwersalny komputer kwantowy to coś dużo potężniejszego i groźniejszego.

– I co da się na nim robić?

– A czego się nie da? Od razu przychodzi do głowy jedna rzecz: żaden sekret starszy niż trzy lata nie jest już bezpieczny. Otwierają się drzwi do Pentagonu, Białego Domu, CIA, FBI i tak dalej. Ale większy temat to symulacja, tak zwany uniwersalny symulator, czyli taki, który potrafi zejść na poziom kwantowy. Bo jak już symulujesz tak dokładnie, to jaka jest różnica między prawdziwą pogodą a symulacją?

Cud-Chłopak próbuje wyobrazić sobie huragan wiejący pomiędzy światami. Wzdryga się.

– Myślisz, że coś jej grozi? – pyta.

Kapitan Superb wzrusza ramionami w swoim lycrowym stroju.

– A komu teraz nie grozi? Teraz każdy jest potencjalnie winny. Kurde, możesz dostać nożem dla programu telewizyjnego. Ale *gringos* i rząd strasznie pilnują kwantowej technologii, jeśli ona tam ma nielicencjonowany komputer, to ktoś się na pewno zainteresuje. Nawet na uczelni kwantowe procesory były tak monitorowane, że przez cały czas siedział z tobą oficer bezpieczeństwa. Strasznie niebezpieczną laskę sobie znalazłeś, *Sextinho*. Kim ona jest, ta Kwantowa Dziewczyna?

– Nazywa się Fia Kishida.

Wygląda to całkiem jakby Kapitana Superba trafił Biały Błysk i zamienił go w prawdziwego superbohatera, bo na chwilę wlatuje nad łóżko. Cud-Chłopak widzi go zawieszony w powietrzu. Kapitan Superb nachyla się nad Cud-Chłopakiem, wokół ust wydyma mu się z sykiem lateks. Szarpie się z suwakami, ściąga maskę, wytrząsa ze środka siwiejące, kręcone włosy.

– Jak powiedziałeś? Fia Kishida? Fia Kishida?

22 CZERWCA 1732

– Czyli jest ojciec szermierzem – powiedział biskup Grão Pará, gdy Luis Quinn przytknął usta do nadstawionego pierścienia. – Młodszy niż się spodziewałem. I potężniejszy. Większość fechtistrzów, których spotkałem, to były drobne, rachityczne kurczaki. Wątle. Z drugiej strony, wiem, że wielu potężnych mężczyzn porusza się bardzo lekko.

– Wasza Ekscelencjo, miecz zostawiłem w poprzednim życiu. – Quinn podniósł się i stanął z pokornie złożonymi rękoma.

Komnata biskupa Vasco da Mascarenhas była ciemna, zastawiona grubo rzeźbionymi meblami z drewna z Tocantins, ciemnoczerwonego i czarnego. Ozdobne putta i serafiny miały nosy i usta Afrykańczyków, ale indiańskie oczy i kości policzkowe. Gorąco aż dusiło, światło wpadające przez szczeliny w okiennicach oślepiało.

– Jesteście przecież żołnierskim zakonem, czyż nie? Naturalnie, nie mogę wam niczego nakazać, lecz nie byłoby źle, gdyby poważano was tu za... siłę. W Brazylii bowiem szanuje się siłę i niewiele poza tym. Mamy tu ogrom takich ludzi, wielkich, znudzonych leniów, którzy zjechali się z kapitanatów, żeby się tu dorobić. I oni przeważnie lubią sobie pomachać mieczem. O właśnie, powinienem wam zorganizować parę takich pojedynków.

– Wasza Ekscelencjo, ja przysiągłem...

– Naturalnie, oczywiście, że tak. Drewniane miecze. Porządnie sprać tyłek i tak dalej. Świetnie byłoby pokazać tym nadętym pawiom to czy owo. Nauczyć odrobiny szacunku dla władzy Kościoła i żeby trzymali ręce z dala od indiańskich dziewczuch. Jak się ojciec domyśla, niewiele mamy tu rozrywek. – Biskup wstał z ozdobnego fotela. Drewno zgrzytnęło głośno o kamień. – A czy ojciec lubi fizyczne zajęcia? Znamy tu pewną wspaniałą grę, przysłała od *índios*, gra się kulą odlaną z lateksu, ale najlepsi w to nie są wcale *índios*, lecz czarni. Wszystko robi się nogami, wolno używać też głowy, ale nigdy rąk, rąk wcale. Kulę popycha się w stronę bramki przeciwnika tylko nogami. Wspaniały widok. Ojciec przejdzie ze mną do ogrodu, o tej porze dnia upał w domu jest nie do zniesienia.

Biskup Vasco był potężnym mężczyzną, ale wcale nie poruszał się lekko. Chodząc po zacienionym ogrodzie, pocił się obficie. Dekoracyjne *tableaux* z ręcznie malowanych niebiesko-białych portugalskich kafli przedstawiały alegorie cnót boskich. Pośrodku placu z wydeptanych wapiennych płyt ciurkała fontanna – dźwięk delikatny i głęboki jak stulecia. Spod okapów wyglądały pokrzykujące ptaki.

– Szkoda, że ojca do mnie nie przysłali. Chwilami ubolewam, że Belém to nie pies, którego można by chwycić za gardło i potrząsnąć. Nic tylko cielesność i żądza, powiadam, cielesność i żądza. Żądza złota, nie po prostu złota z Vila Rica, ale złota czerwonego i czarnego, zwłaszcza teraz, w czasach zarazy i szaleństwa. Wie ojciec, o czym mówię. Ach, żeby na tych kilkunastu, na kilku, upartych ojców misjonarzy, mieć choćby jednego

inspektora ze Świętego Oficjum! To by ich nauczyło moresu. Słyszałem o tej awanturze ojca między tragarzami w Cidade Baixa. Dokładnie czegoś takiego nam tu potrzeba. Rozumiem, że rejs był męczący?

– Przeciwnie wiatry i prądy, Wasza Ekscelencjo, ale na żegludze się nie znam. Spędziłem ten czas na modlitwach i przygotowaniach.

– Tak, tak, moi kapitanowie mówią, że szybciej i łatwiej dopłynąć na Maderę i stamtąd do Belém niż przez niepewne morza wokół Pernambuco. Ale, ale, do czego Towarzystwu tak pilno, że aż przysyła admonitora z samej Coimbry? O tym Francuzie wiem, jakże miałbym nie wiedzieć, skoro przechadza się promenadą jak paw, ze swoimi fatałaszkami i błyskotkami.

– Ekscelencjo, to jest dość delikatna wewnętrzna sprawa Towarzystwa.

Biskup Vasco stanął jak wryty, twarz poczerwieniała mu nie tylko od popołudniowego skwaru. Walnął laską w kamienie. Ptaki spłoszyły się z krzykiem spod wykafelkowanych okapów. Z ciemnych korytarzy wyjrzały twarze.

– Przeklęta jezuicka... chodzi o tego Gonçálvesa, nieprawdaż? Proszę, nie odpowiadaj, nie chcę cię zmuszać do kłamstwa. Miej sobie swoje jezuickie tajemnice, ja mam własne informacje. – Pochylił głowę, z długiej, kręconej peruki pociekł pot. – Proszę wybaczyć, ojczu. Od tego upału człowiek robi się zapalczywy. I od tego kraju. Proszę zrozumieć jedno: Brazylia nie jest jak inne kraje. Nawet tu, w mieście, Towarzystwo Jezusowe, franciszkanie i karmelici nie kochają się nawzajem i walczą o swój status. Tam daleko, w górze Amazonki, to jest otwarta wojna. Kościół to tutaj tylko machina karmiona czerwonymi duszami, a i ciałami. Zaraz, zaraz, co to ma być? – Przed biskupem z ukłonem pojawił się sekretarz. Ukłakł, nadstawił skórzaną tacę z dokumentami. – Ha. Wzywają mnie. No cóż, ojczu Quinn, poinformuję was, gdy zorganizuję tę rozrywkę, o której wspominałem. Może nawet sam zaryzykuję drobny zakład? Bardzo się cieszę, że zobaczę was w działaniu.

Quinn skłonił się, a biskup machnął swoją laską jak mieczem i uprzedzając słowa sprzeciwu, pokuśtykał ciężko za białym odzianym sekretarzem do dusznego wnętrza.

Targowisko Ver-o-Peso buchnęło śmiechem, gdy młodzian o czerwonej twarzy, w rozdartej koszuli, poleciał na kamienie, pchnięty nogą w tyłek. Śmiech czerwony, śmiech czarny, od odgradzonych sznurami wozów i platform, stojących od strony miasta na nabrzeżu, gdzie cumowały po cztery obok siebie statki z góry Amazonki i Tocantins. Biały śmiech z krzesel i tymczasowych podestów z desek położonych na beczkach. Z ulicy i stopni wokół Quinna – śmiech mężczyzn. Z drewnianych balkonów na papuzich ścianach domów *feitores* i gospód, nieskromnie otwartych na skwar i wzrok gapiów – śmiech kobiet. Luis Quinn stał zwycięski przed kamiennym blokiem, gdzie licytowano niewolników. Koledzy odciągnęli młodego pretendenta, przy akompaniamencie szyderstw i ciskanych przez niewolników owoców; gruby, arogancki syn nuworyszowskiego hodowcy trzciny, z pretensjami do

szlachectwa, upokorzony w dwóch walkach, oklepany po tyłku płazem drewnianego miecza Quinna, jak błazen z lunaparku, pojękujący i podskakujący przed roześmianą publicznością. I ten ostatni kopniak: zejź mi z oczu. Luis Quinn przypatrywał się twarzom, rozdziawionym, zadowolonym. Wielka różnorodność kolorów skóry, ale wszystkie otwarte usta wyrażały to samo, czerwone, wygłodzone.

Uniósłszy wzrok, dostrzegł oczy ponad trzepocącymi wachlarzami, za obszytymi paciorkami woalkami. Obszedł ring z uniesionymi do góry rękoma, sycąc się oklaskami mieszkańców Belém do Para.

– Niektórzy ludzie mają grzech wypisany na twarzach – powiedział biskup Vasco, odchylając się w krześle. Choć ocieniony baldachimem z frędzlami i chłodzony przez dwóch chłopaczków-niewolników wachlarzami z piór, pocił się obficie.

– Kobiety? – odezwał się królewski sędzia Rafael Pires de Campos. Szlachetny brat z towarzystwa Misericórdia, wygnany na dręczony zarazą zaścianek, interesował się każdym sportem, który choć na chwilę przerywał monotonię sądzących się *feitores*. Było tajemnicą poliszynela w Grão Pará, że to Pires de Campos finansował biskupie zapędy w sferze prywatno-kupieckiej oraz, że episkopalna flota zaznała licznych i kosztownych rabunków ze strony bazujących w Curaçao holenderskich piratów.

– Nie, dobry człowieku, duma. Duma. Jestem przekonany, że nasz admonitor, zanim złożył pierwsze śluby, był szermierzem nie od parady. Poproszę kolejne pięćdziesiąt escudo. Jak ty sobie w ogóle wyobrażałeś, że ten tłusty kmiotek pokona jezuitę? Gotówką czy w rozliczeniu?

– Dolicz mi do całości. A skąd on w ogóle pochodzi, ten jezuita? Trudno określić, co to za akcent.

– Z Irlandii.

– Gdzie to jest? Nie ma takiego kraju, „Irlandia”.

Biskup Vasco objaśnił mu pokrótce geografii i represyjne ustawy przeciwko heretykom. Pires de Campos zasnuował wargi, pokręcił głową.

– Dzięki Ekscelencji jestem odrobinę mądrzejszy. Myślę jednak, że to dobrze, że nasz jezuita niedługo wyjeżdża z Belém. Habit czy nie habit, jest tu paru, którzy chętnie by przyszli do niego z pistoletem, kiedy śpi.

Quinn obmył twarz i sklezione potem włosy w wodzie z beczki ulicznego woziwody. Walki się skończyły; ludzie będą teraz musieli poczekać na kolejną licytację. Tłum poruszył się, otrzepał ubrania, zaczął zamykać okiennice, lecz jego krótkie cielesne życie zamarło natychmiast, gdy przy wejściu na targowisko od strony portu rozległy się pierwsze szmery, zafalowały odwracające się głowy. Aplauz wzmógł się do gardłowego ryku, gdy na ring wszedł szczupły, drobny mężczyzna. Ubiór miał formalny aż po fircykowatość, europejski, jak na Brazylię nadmiernie wyrafinowany. Nosił ekscentryczne, okrągłe okulary z zielonymi szklami, budzące wśród widzów zaciekawienie i śmiech. Skłonił się dwornie.

– Ojciec Luis Quinn?

Quinn skłonił głowę. Woda ściekała mu z twarzy razem z potem; stał na arenie i pod tym strasznym południowym słońcem uświadomił sobie, że to znów wywołało w jego duszy tę

dawną radość, przyjemność, jak morska fala, jak żar, co domaga się krwi. Przestań natychmiast. Nigdy jednak nie potrafił darować sobie wyzwania, obojętne, boskiego czy ludzkiego.

– Do usług, ojczy. Jestem doktor Robert François St Honoré Falcon, geograf i geometra z paryskiej Akademii Nauk. Gość tutejszej kolonii. Zauważyłem u ojca pewną łatwość we władaniu mieczem. Ja sam uczyłem się u Mistrza Obrony Teillagory w Paryżu i z wielką przyjemnością skorzystałbym z okazji, żeby się z ojcem zmierzyć.

– Bardzo chętnie, monsieur – odrzekł po francusku Quinn. – Z wielką przyjemnością zmierzę się z kimś, kto potrafi poprawnie wymówić moje nazwisko. Mam nadzieję, że nie sprawi panu przykrości, jeśli pokona pana kapłan.

Tłum zawył z podziwem.

– Proszę nie myśleć, że ochroni pana szata – powiedział Falcon, oddając laskę, kapelusz, perukę i ciężką pelerynę niewolnikowi. Zachował jednak osobliwe, prześwietlające duszę okulary. – Pochodzę ze znanego rodu wolnomyślicieli.

Luis Quinn zasalutował drewnianym kijem. Falcon podniósł porzucony drugi kij i odpowiedział tym samym. Obaj schowali swobodne ręce za plecy i zaczęli okrążyć się nawzajem. Ver-o-Peso zamilkło jak trafione mieczem anioła.

– Znowu pięćdziesiąt na jezuitę – powiedział biskup Vasco.

– Naprawdę? Ja myślę, że ten Francuzik jeszcze go zaskoczy. – Pires de Campos delikatnie otarł spoconą twarz perfumowaną chusteczką. – Widzi Ekszelencja?

Widzowie sapnęli potężnie i zaczęli wiwatować, gdy Quinn źle wyliczył wypad, a Falcon zręcznie go uniknął i walnął przemykającego obok zakonnika po plecach. Quinn pokręcił głową, uśmiechnął się, odzyskał równowagę. Znowu zaczęli krążyć w popołudniowym skwarze.

– Wasz mnich tłukł tu łobuzów od samego rana. Francuz jest świeży jak skowronek – rzucił Pires de Campos, po czym stwierdził, że zaciska chusteczkę w pięści, a w gardle wzbiera mu krzyk, ponieważ Falcon wykonał serię oszałamiających markowanych ciosów, którymi zepchnął Quinna na sam skraj ringu, a potem piękną *flèche*, po której nawet ocięzają Vasco zerwał się z krzesła.

Napięcie przerodziło się w zachwyty, a potem w ogłuszającą owację, gdy Quinn rzucił się w tył i zanurkował pod dźgającym go kijem. Czubkiem własnego trafił w punkt na tylnej części obleczonej w pończochę łydki Falcona.

– W Paryżu by się to nie liczyło – powiedział Falcon, wracając do postawy i oddalając się tanecznie od Quinna.

– Jak może pan zauważył, nie jesteśmy w Paryżu – odparł Quinn i śmiejąc się radośnie, szaleńczo, przypuścił serię ataków, które zepchnęły Falcona prawie nad samą wodę.

– Grubo, nawet jak na jezuitę! – krzyknął Falcon, blokując ostrze Quinna i odpychając je.

Gdy pomiędzy dwoma walczącymi pojawiła się przestrzeń, mały Francuzik kopnął z wysokoku mnicha w środek piersi. Quinn potoczył się ku środkowi ringu. Cały krąg Ver-o-Peso ryknął jak jeden mąż.

– Teillagory czegoś takiego nie uczył – odparł Quinn.

Znów stanęli naprzeciwko siebie w gardzie. Cios na cios, wypad i odparowanie, markowanie i okrażanie. Drwiny i cięte riposty walczących zmieniły się w sapnięcia i pomruki. Knykcie biskupa Vasco zbieleły, zaciśnięte na złotej, rzeźbionej gałce laski. Okrzyki widzów ścichły, oddaliły się. Rozpętała się prawdziwa bitwa. Quinn krążył przed roztańczonym, wyelegantowanym Francuzikiem. Furia zamigotała jak odległa letnia błyskawica pomiędzy wiszącymi chmurami. Luis Quinn stłumił ją, odepchnął od siebie. Strząsnął pot z posklejanych kosmyków włosów. Zmęczony, tak potwornie zmęczony, a jeszcze słońce z każdą sekundą wysysa zeń siły; ale nie może pozwolić, żeby ten mały człowieczek pokonał go na oczach niewolników i drobnych posiadaczy. Znów odezwała się dawna wściekłość, ten odwieczny przyjaciel, ta siła przychodząca spoza rozumu, spoza podziału na słuszne i niesłuszne. Przychodzę. Nigdy cię jeszcze nie zawiodłam. Miał wrażenie, że całe słońce na placu skupiło się i zaczęło palić go w pełen mdłości brzuch. Luis Quinn zobaczył oczyma wyobraźni, jak rzuca się na tego roztańczonego szermierza, jak jednym ciosem przetrąca mu ten żaloszny kijek, przewraca go i wbija mu czubek swojego drewnianego miecza w klatkę piersiową, przebijając ją na wylot, wypruwając skrwawione, pulsujące organy.

Wyprostował się gwałtownie, oczy rozszerzone, nozdrza rozchylone. Rozprostował gardę, pozwolił ręce opaść do boku. Uniósł miecz do twarzy, dotknął nim nosa w salucie i odrzucił na bruk. Falcon zawahał się. Co masz w oczach za tymi zielonymi szkiełkami? – pomyślał Quinn. Falcon kiwnął głową, prychnął przez nos, po czym sam zasalutował mieczem i rzucił go obok tamtego.

Rozległy się gwizdy i szyderstwa, wezbrały w grzmot dezaprobaty. Rzucane owoce rozpękały się na nagranych słońcem kamieniach, buchając aromatem. Kątem oka Quinn dostrzegł, że niewolnicy biskupa Vasco pośpiesznie wynoszą go w lektyce. Niektórzy jego podwładni pozostali na miejscu, kłócąc się zawzięcie ze świętą *fidalgo* w jasnoniebieskiej szacie. Poddałeś mnie próbie i ja jej sprostałem, pomyślał. Brazylia szanuje tylko siłę, lecz siła bez kontroli jest niczym.

Falcon skłonił się po dworsku.

– Zatem, ojczy, cieszę się na naszą wspólną podróż. Mamy wiele do zbadania.

Grad sypiących się na walczących skórek ustał, widzowie rozchodzili się, porządek niewolniczego dnia wracał do normy. Tropikalne owoce, leżące porozgniatane na słońcu, zaczęły wydzielać mdlący odór i przyciągać muchy. Damy Pelourinho jedna po drugiej pozamykały swoje *gelosias*.

Dona Maria da Maia da Garna znów spoglądała to na cytrynę, to na pomarańczę.

– Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, jak zegar może nam wyjawić, czy świat jest spiczasty, czy spłaszczony? Raz jeszcze i na pewno pojmem.

Doktor Falcon westchnął i po raz kolejny popchnął kołyszący się na przegubie mały ołowiany ciężarek. Dona wciąż udawała zainteresowanie przez uprzejmość dla swojego

kształconego gościa; pozostałe kobiety dawno porzuciły pokaz i zajęły się towarzyską pogawędką, która, wydawało się, nigdy im się nie nudzi, choć widywały się codziennie. Falcon przez pięć miesięcy tkwił w towarzyskiej izolacji w swoim butwiejącym, wynajętym za paskarską sumę domu przy samym nabrzeżu, codziennie antyszambrując u magistrackich biurokratów za pozwoleniem na to, koncesją na tamto, wskórawszy tylko tyle, że odsyłano go z żądaniem dostarczenia kolejnych wniosków, deklaracji i oświadczeń. Teraz pojawienie się tego jezuita sprawiło, że wszystkie przeszkody zniknęły – pozwolenia i gwarancje kredytowe dotarły, specjalnym posłańcem, w ciągu jednego dnia, a drzwi kulturalnego towarzystwa, dotąd zamknięte na głucho, stanęły otworem. Podejrzewał, że jako geograf, uczonej, jest tu kimś o wiele mniej interesującym niż jako Francuz ćwiczony w sztukach walki.

Dona Maria istotnie liczyła na poobiedni pokaz; czarny niewolnik z Bahii, znający taneczną sztukę walki nogami był gotowy, a w magazynie na cukier urządzono odpowiednie miejsce. Jak na razie, jedyną sztuką walki, jaką wykazał się ów Francuz, było parę lyońskich portowych sztuczek z nożami do filetowania ryb, których każdy mógł się w tym porcie nauczyć. Zamiast tego musiała gapić się na wahadło, bujające się tik-tak-tik-tak oraz na cytrynę w jego prawej ręce i pomarańczę w lewej.

– Siła przyciągania – siła grawitacji – działająca na wahadło, jest wprost proporcjonalna do jego odległości od środka masy je przyciągającej, czyli w naszym wypadku od środka Ziemi. Moje wahadło – ponieważ to pochodzące z mechanizmu państwa zegara jest niestety zbyt prymitywne, żeby wykryć tę zmienność – będzie kołysać się szybciej, jeśli jest bliżej środka Ziemi, a wolniej, gdy jest dalej.

João, lokaj, stał nieruchomo jak śmierć przy drzwiach do jadalni, z tą samą surową miną, jaką przybrał, gdy doktor Falcon biegał szybko jak jaszczurka między wszystkimi zegarami wielkiej rezydencji, unosząc te swoje nieeleganckie zielone szkiełka, żeby zajrzeć im w cyferblaty. Uniósł odrobinę brwi, gdy doktor otworzył drzwi wielkiego, stojącego niemieckiego zegara szafkowego, dumy pana domu i głównego domowego chronometru, według którego nastawiało się wszystkie inne, a potem zręcznie odczepił wahadło od mechanizmu.

– Tym oto sposobem możemy dość dokładnie określić kształt naszego globu. Ustalić, czy jest wydłużony, jak ta cytryna, czyli w osi biegunów dłuższy niż w równiku, czy spłaszczony, jak ta pomarańcza.

Chichot od stołu: Dona de Teffé. Za dużo wina.

Doktor Falcon skinął jej głową. Ledwie dotknął ustami kieliszka – w tym morderczym upale wino mu nie służyło, a poza tym to było jakieś portugalskie ohydztwo. Natomiast przyjemnie, niewypowiedzianie przyjemnie, było spożywać wieczerzę w towarzystwie kobiet. W domu to było nie do pomyślenia – nawet w Cayenne nie pozwalano sobie na takie rzeczy. Jednakże, jak każdy z uporem mu przypominał, Amazonia to zupełnie inny kraj – tu senhores i portugalscy kupcy wyjeżdżają z domu w interesach na całe miesiące.

– Tak, tak, proszę wybaczyć doktorze, pewnie jestem głupia, to jest bardzo mądre, matematyczne i naukowe, nie wątpię, ale w ogóle nie wyjaśnia, co to wszystko trzyma w

górze.

– Trzyma co? – Falcon spojrział spod swoich okrągłych zielonych szkieł, nie rozumiejąc.

– Tę cytrynę. Albo pomarańczę. Rozumiem bez trudności, jak kręcimy się wokół słońca, jak nas przywiązuje do niego ta wasza siła grawitacji. Niczym się to nie różni od *bola*, których używają *vaqueiros* na naszej *fazendzie*. Ale nie rozumiem, co to wszystko trzyma w górze, dlaczego nie spadamy bez końca w pustkę.

Falcon odłożył owoc. Westchnął, rozdrażniony.

– Madam, nic tego nie trzyma. I nie musi trzymać. Nas grawitacja ciągnie do środka Ziemi, a Ziemię przyciąga do środka Słońca, ale jednocześnie – w minimalnym stopniu, ale jednak – Słońce jest przyciągane do Ziemi. Wszystko przyciąga się nawzajem, wszystko jest razem w ruchu.

– Przyznaję, że dawniejsze wytłumaczenie wydaje mi się prostsze i bardziej satysfakcjonujące. – Dona zręcznie podzieliła owoc na ćwiartki i obrała go małym, zakrzywionym nożykiem. – Mózg w naturalny sposób buntuje się przeciwko okrągłej Ziemi, która przyciąga wszystko do ciemnego, piekielnego środka. To nie tylko wbrew naturze, to jest niechrześcijańskie; jeśli już do czegoś ma nas przyciągać, to przecież ku górze, do nieba, do naszej nadziei, naszego domu?

Falcon zmilczał ripostę. To nie była Paryska Akademia, ani choćby Towarzystwo Księżycowe spotykające się w jakimś mieszczańskim salonie. Zadowolili się obserwowaniem zmysłowej zręczności, z jaką wsuwała nagie cząstki pomarańczy do karminowych ust. I pani chce nazywać niebo swoją nadzieją, swoim domem? Dona da Maia da Garna z ulgą przeniosła uwagę z cytryn i piekła na drugi koniec stołu. Jej przyzwoitka, wysoka *preto* kobieta z przepaską na oku, niegdyś przystojna, obecnie nieco otłuszczona, wychyliła się ze swojego miejsca za krzesłem dony i przypatrzyła wahadłu. Falcon zobaczył, jak przyciska kciuk do przegubu, żeby zmierzyć okres własnym pulsem. Nawet podczas swojego nieoficjalnego aresztu domowego Falcon utrzymywał na tyle bliskie kontakty z belemską socjetą, by wiedzieć, co oznacza przepaska na oku. Zazdrosne żony często mściły się na niewolnicach-kochankach swoich mężów, wykłuwając im oko nożyczkami.

– Proszę wybaczyć, ojczy, przeoczyłam, co ojciec mówił? – odezwała się do Quinna dona Maria.

Od Quinna, nawet w księżej czerni, biła siła, przyciągał uwagę i rozmowy, jakby sam emanował ludzką grawitacją. Patrzył donie da Maia da Garna prosto w oczy, bez głupkowatej pokory pobożnych, która tak denerwowała Falcona. A i dona też nie uciekała spojrzeniem. Jak mężczyzna, zauważył Falcon.

– Ja tylko opowiadałem o jednej z interesujących cech mojego ojczystego języka, to jest irlandzkiego – powiedział Quinn. – W irlandzkim nie ma słów na „tak” i „nie”. Jeśli ktoś zada wam pytanie, można tylko potwierdzić to, co mówił, albo mu zaprzeczyć. Na przykład, na pytanie: „Jedziesz do Galway?” odpowie się „Jadę”.

– Rozmowy muszą być przez to bardzo męczące – zauważyła dona.

– Absolutnie nie – odparł Quinn. – To tylko sprawia, że Irlandczykowi jest bardzo

trudno pani odmówić.

Śmiech kobiet rozbrzmiał wokół stołu. Falcon poczuł ukłucie zawiści, widząc tę nonszalancką zalotność Quinna. Ci, którzy nie potrzebują, dostają najwięcej darów. Sam zawsze lubił towarzystwo kobiet i uważał się za zręcznego w tej materii, bystrego w konwersacji i skrzącego się dowcipem, tu jednak to Quinn błyszczał przy stole, angażował się w rozmowy, słuchał, obdarzał każdego po kolei swoją wyłączną uwagą. Talenty lingwisty czy libertyna? – pomyślał. Teraz Quinn oczarowywał wszystkich płynnym, rytmicznym monologiem. Jak twierdził, był to wybitny wiersz w jego ojczystym języku.

– A czy to wiersz miłosny? – zapytała dona.

– Jakiś inny byłby wart deklamacji, moja pani?

Oklaski. Falcon machinalnie dźgnął nożykiem zapomnianą cytrynę. Wtrącił:

– Ale proszę ojca, czy niezdolność powiedzenia „tak” lub „nie”... czy to czasem nie dowodzi bezpośredniego związku pomiędzy językiem i myślą? Słowo jest myślą samą w sobie, można zatem domniemywać, że czego nie da się powiedzieć, nie da się i pomyśleć.

Rozmowa zamarła. Goście zmarszczyli czoła w konsternacji. Ojciec Quinn postukał palcem w stół i pochylił się.

– Mój kolega doktor dotyka tu interesującej kwestii. Jedną z fascynujących cech Amazonii, przynajmniej dla lingwisty jak ja, jeśli nie dla ogółu ludzkiego, jest właśnie jej bogactwo języków. Rozumiem, że pośród Indian nad dalekimi dopływami Amazonki żyją tacy, którzy nie mają określenia na kolor niebieski, albo na stopnie pokrewieństwa poza synem i córką, albo na przeszłość i przyszłość. Byłaby to całkiem zajmująca rozmowa, zastanowić się, jak to wpływa na ich postrzeganie świata. Skoro nie potrafią nazwać niebieskiego, to czy widzą niebieski?

– Albo wręcz, jak wpływa na ich zdolności duchowe – odparł Falcon. – Jeśli nie rozumie się pojęcia przeszłości i przyszłości, jaki sens może mieć doktryna grzechu pierworodnego? Czy są w stanie w ogóle objąć umysłem ideę przyszłej obietnicy, przyszłego życia? Bez piekła, bez nieba, jedynie w wiecznej terażniejszości? Ale przecież to nie jest wieczność, to jakieś miejsce obok czasu? Może oni już żyją w raju, w bezgrzesznej niewinności? Może niewiedza naprawdę jest błogosławieństwem?

Część kobiet zaczęła się wachlować, skrępowana radykalnymi, prowokacyjnymi słowami przy własnym stole. Nie żył już nikt, kto by pamiętał wizytę Świętego Oficjum w Recife, ale trauma *auto-da-fé* na *Praça* była na tyle świeża w ludowej pamięci, by lękać się tyrad biskupa Vasco atakujących wszystkie grzechy Belém. Gospodyni powiedziała z godnością:

– Słyszałam, że niektórzy świeżo przywiezieni *peças* pochodzą z plemion tak zacofanych, że potrafią wyrazić tylko jedną ideę naraz. Jakby każde zdanie mogło być tylko jedną myślą. My ich język rozumiemy, z pewną trudnością, natomiast oni nigdy naszego nie pojmą. Jest więc tak, jak twierdzi doktor Falcon: jeśli czegoś nie umie się powiedzieć, nie umie się tego pomyśleć. Komu w ogóle przyszło do głowy przywieźć ich tutaj? Do żadnej pracy się nie nadają.

Doktor Falcon już miał znów odpowiedzieć, wszedł jednak Anuncão, kamerdyner,

potrzęsnał małą drewnianą grzechotką, żeby zwrócić uwagę wszystkich obecnych, i obwieścił, że teraz, przy kawie, odbędzie się występ muzyczny.

– Ojej, całkiem zapomniałam! – zawołała dona, klaszcząc w dłonie z zachwytem. – Ojciec, wielbny ojciec, to się naprawdę ojcu spodoba. Prześliczna mała istotka, obdarzona prawdziwie anielskim głosem.

Damy towarzyszące nalały kawy ze srebrnych imbryków, wycierając dziobki miękkimi, bawełnianymi szmatkami. Anuncão wprowadził maleńkie indiańskie dziecko, chude jak szczapa, ubrane w zgrzebne białe płótno. Falcon nie był w stanie powiedzieć, chłopiec to czy dziewczynka. Dziecko uklęknęło i ucałowało kamienną podłogę.

– Dostałam je za grosze na licytacji w tawernie. Biedactwo było o włos od śmierci. Zdecydowanie pochodzi z najazdu na jakieś *reducione*, tylko jezuici, ojciec wybaczy, potrafią tak wyszkolić głos. Proszę, dziecko.

Dziecko stanęło, ujęło się pod boki, oczy miało nieobecne, zwierzęce. Głos, który się zeń dobył, był tak delikatny, tak daleki, że właściwie wydawało się, że dochodzi nie z otwartych ust, lecz z ukrytego miejsca, poza ziemią i niebem. Falcon wcześniej, z powodu dokuczliwego upału, oddał domowym niewolnikom swoją perukę – teraz poczuł, jak jeżą mu się krótko ogolone włoski na karku. Głosik wzniósł się na wyżyny czystej, ostrej jak brzytwa doskonałości: to było *Avé*, ale nie żadnego znanego Falconowi kompozytora; rytmy były nierówne, metrum zmienne i nerwowe, a harmonie niepokojące, dysonansowe. Mimo to czuł, że łzy płyną mu obficie po twarzy. Uniósłszy wzrok, zauważył, że i Quinn jest podobnie poruszony. Kobiety z Belém były jak kamień, nieporuszony kamień. Oczy panien służących, każda stojąca za swoją panią, odwróciły się od białych twarzy. Wbrew zapowiedzi dony, to nie był głos anioła. Ten głos miał dawniejsze, głębsze źródło; był to głos głębokiej puszczy, głębokiej rzeki, głos, który dziecko mogłoby odnaleźć, gdyby spłynęło tą rzeką aż na targ niewolników w Belém do Pará.

Gdy śpiewało, João zabrał wahadło sprzed doktora Falcona i stukając obcasami na kamieniach, poszedł założyć je z powrotem w stojącym zegarze swego pana.

**ŚWIĘTA PANI
OD ŚMIECI**

25-28 MAJA 2006

Ostatni Prawdziwy *Carioca* rzucił żyłkę z ciężarkiem w różowy blask Zatoki Guanabara. Była Godzina Yemanji. Słońce wciąż kryło się za wzgórzami po drugiej stronie zatoki, a niebo było tak różowe, jak bywa tylko na pocztówkach z Rio, tych, na których szczupły chłopak w bermudach robi salta na plaży. Wzdłuż parku Flamengo i łuku Botafogo ciągle paliły się latarnie, kreśląc u stóp *morro* falistą linię klejnotów. Po moście Niterói sunęły światła aut. Nocna zmiana sunęła jak karnawałowy pochód na pas lotniska Santos Dumont, gdzie stały misterne, długonogie jak pająki pojazdy latające, spowite migotliwym blaskiem. Dyskretnie przyczajone sylwetki Bractwa Wędkujących o Świcie, elegancko jak żurawie zarzucające wędkę i wybierające żyłkę, na tle wschodu słońca niewidoczne pogrubienia i ociężałości wieku i wieku średniego. Ciche głosy niosły się daleko w idealnie klarownym, upajającym powietrzu, natomiast grzmot odpalających się jeden po drugim do startu silników odrzutowych był stłumiony i ściszony. Marcelina stwierdziła, że sama ścisza głos do szeptu. Ze wzgórz dobiegało wycie policyjnych syren, a unoszące się w powietrzu resztki dymu z opon dodawały jeszcze świętości całemu obrazowi. Marcelina nie była tak blisko duchowości od czasu, gdy kręciła *Polowanie na UFO* w Válo de Amanheçer pod Brasilią. Róż zmieniał się w lila, a potem w maryjny błękit, w miarę jak wschodziło słońce.

– Znam setki opowieści z Mundialu. – Raimundo Soares patrzył, jak ciężarek spada w świetlistą wodę.

Twierdził, że jest ostatnim zawodowym *cariocą* czasami dziennikarzem, czasami pisarzem, mającym na koncie dobrą książkę o nowej bossa *novie*, jeszcze lepszą o Fenomenie Ronaldo, i taki sobie poradnik, jak zostać zawodowym *cariocą*. Trochę powędrować z samego rana z bractwem, jak zacznie się upał, zrobić *cafezinho*, wyklepać parę setek słów na laptopie, a resztę popołudnia spędzić w kawiarni, podziwiając dupy idące na plażę albo przechadzające się po jego mieście, zapamiętując je, rejestrując. A wieczorem – przyjęcia, imprezy, wernisaże, liczne kochanki. Późno spać i o świcie znowu na ryby. Twierdził, że od prawie dwudziestu lat nie włożył niczego innego niż surferskie koszulki i bermudy, nawet na pogrzeb własnej matki. To był ten wzór lesera, ten *malandro*, który do niczego nie musi się za bardzo przykładać, największy *carioca* ze wszystkich, powinni go zrobić Dziedzictwem Narodowym UNESCO.

– Wszystko to prawda. Przyjeżdża do Rio David Beckham, będzie grał na Maracanie w meczu charytatywnym na rzecz Pelégo. Jest gościem Brazylijskiej Konfederacji Futbolu, czyli przyjeżdża z żoną, z dziećmi i tak dalej. Mieszka w Copa Pałace, Senhor Becks staje na rzęsach: apartament prezydencki, limuzyna, i nie wiadomo co jeszcze. Ale i tak wieczorem wychodzi sobie pokopać piłkę na plaży i naskakuje na niego banda gangsterów. Pistolety, raz dwa trzy do samochodu i nie ma. Porwany. Pod samym nosem ochroniarzy.

No i Beckham siedzi sobie z tyłu, pomiędzy oprychami z połączanymi pistoletami i myśli: „Jezu, już nie żyję, Posh Spice będzie wdową, Brooklyn i Romeo będą dorastać bez tatusia”. Wiozą go wiozą, Rocinhã, potem w górę Estrada da Gávea, a potem jeszcze mniejszą drogą, i jeszcze mniejszą, aż docierają do takiej stromej i wąskiej, że auto już nie przejedzie. No to go wyciągają i prowadzą pod muszką, a jak ktoś wytknie z domu choćby czubek nosa, od razu celują do niego z uzi; idą cały czas pod górę i pod górę, na sam szczyt faweli, a tam pakują do malutkiego betonowego pokoiku pod samą linią drzew. I siedzi tam Bem-Te-Vi, ten baron narkotykowy. Bo to było zanim go zastrzelili. Stoi, ogląda Beckhama z tej, z tamtej, z jeszcze innej, jakby oglądał używany samochód, a potem macha ręką i wchodzi gość z wielkim worem. Beckham myśli sobie: „Jezus Maria, co tu się dzieje?”. I wtedy Bem-Te-Vi staje obok niego, a gość wyciąga z wora Puchar Świata, oryginalnego Julesa Rimeta, szczerę złoto i tak dalej. Bem-Te-Vi bierze za jeden uchwyt, Beckham za drugi, a gość wyciąga jeszcze cyfrowy aparat i mówi: „Uśmiech, panie Beckham”. Pstryk, błysk! I Bem-Te-Vi odwraca się do Becksa, ściska mu rękę i mówi: „Bardzo dziękuję, Mr Beckham, to był dla mnie prawdziwy zaszczyt... Aha, i jeszcze jedno... jeśli ktoś się kiedyś o tym dowie...”.

Raimundo Soares klepnął się w udo i zakołysał na malutkim wędkarskim stołeczku. Przysadzisty, szeroki facet, gołe ramiona potężnie umięśnione, włosy czarne, raczej sztucznie niż naturalnie – podejrzewała Marcelina. Bractwo Wędkujących o Świcie uśmiechnęło się i pokiwało głowami. Słyszeli te jego opowieści setki razy, teraz już brzmiały jak litania.

– To jest niezły materiał na film.

– Heitor Serra powiedział, że pan mi pomoże z jednym pomysłem na program. – Marcelina usiadła na jeszcze chłodnym piasku, przyciągnęła kolana do brody.

Raimundo Soares miał rację: plaża była teraz najpiękniejsza. Wyobraziła sobie, jak dołącza do tych pozbawionych wstydu starych dziadów z obwisłymi cyckami, w speedo i japonkach oraz ufarbowanych na blond kobiet o kasztanowej skórze, w pewnym wieku, ale jeszcze w pełnym makijażu, jak leniwie idą na poranne słońce, morze, pływanie. Nie ma lepszego i prawdziwszego sposobu na rozpoczęcie dnia.

Świetny pomysł. Tylko że cały jej świat składał się ze świetnych pomysłów, a mało który miał ręce i nogi. Pijąc kawę i paląc papierosa w ogródku na dachu, patrzyła, jak wracają znad morza, kapiąc wodą na chodniki Copacabany. Telewizyjny zawodowiec z nawyku nadmiernie identyfikuje się ze swoim obiektem. Kiedy robiła *Polowanie na UFO*, chciała uciec, zamieszkać w szalasie i sprzedawać poszukiwaczom amulety *patúa*.

– A co w ogóle u niego? Dalej jest przekonany, że życie jest brutalne, głupie i bez sensu?

Marcelinie przypomniało się, jak wychodziła od Heitora, stąpając na palcach wokół chrapiącego jak prosiak ciała, ubierając się w świetle od laguny przeświecającym przez balkonowe okno jego mieszkania na Rua Tabatingüera. Lubił, gdy spacerowała nago przed tym oknem, w pończochach i kozakach, albo w przezroczystym obcisłym stroju, który jej kupił – a nie chciała mu powiedzieć, że według niej pozbawia ją tyłka. Ona też uwielbiała

anonimowy ekshibicjonizm tego aktu. Najbliżsi sąsiedzi byli o kilometr stąd, po drugiej stronie laguny. Na większości balkonów wychodzących na Lagoç Rodrigo de Freitas stały statywy i teleskopy – niech się napatrzą, proszę bardzo. I tak ich nigdy nie spotka. Heitora zaś podniecała bierna strona voyeuryzmu: podglądacze w życiu się nie dowiedzą, że mieszkanie, w którym drobna *loira* chodzi tam i z powrotem jak *puta*, należy do człowieka, który codziennie mówi im o zamieszkach i napadach, tsunami i samobójczych zamachach.

Obrócił się ciężko, ze stęknieniem, a potem obudził się. Przyszedł wcześniej do Café Barbosa. Celso i reszta zespołu Marceliny – Agnetta i Cibebe – pili piwo, Marcelina – wódkę i guaranę, Heitor – wódkę martini. Ani nie poszli potaćzyć, ani nie zerznęła go, aż by się zesrał.

– Gdzie ty idziesz, która jest, kurna, godzina?

– Idę na plażę – odparła Marcelina. Prąd guarany przeświecał przez muł wódki jak latarnia szstormowa. – Sam mówiłeś, że im wcześniej, tym lepiej. Zadzwoń do mnie później, albo coś.

Dziennikarze, tak jak żołnierze i personel latający, uczą się wykorzystywać każdą okazję na sen. Zanim dotarła do drzwi wejściowych, Heitor zaczął emitować z powrotem ten chrapliwy terkot, w każdej chwili mogący przerodzić się w gadanie lub krzyki. Bibliotekę miał w krótkim przedpokoju. Gdyby były tam półki, wielki facet w błyszczącym garniturze nie przecisnąłby się między nimi, książki – przypadkowa zbieranina tytułów w rodzaju: *Klucze do wszechświata*, „*Długi ogon*” i *nowa gospodarka; Kronika roku Fluminense FC 2002; Wbrew śmierci* – stały zatem jedna na drugiej w stosach, niektóre zaparte o sufit, inne kołyszące się, gdy Marcelina przechodziła obok. Ktoś kiedyś trzaśnie mocniej drzwiami, może po dniu pełnym kiepskich wiadomości, wszystkie się zwałą i pogrzebią go swoją masą erudycji.

– I o wiele za szybko się kończy – uzupełniła Marcelina. – Heitor powiedział, że pan może mi pomóc znaleźć Moaçira Barbose.

Bractwo Wędkowania o Świecie zamilkło nad kołowrotkami.

– To lepiej mów, jaki jest ten pomysł na program – stwierdził Raimundo Soares.

– Przyszło nam do głowy, że chyba najwyższy czas wybaczyć mu Feralny Finał – skłamała Marcelina.

– Jest jeszcze garstka ludzi, którzy by się z tobą nie zgodzili, ale ja myślę, że to już o wiele lat za późno. Owszem, byłoby niezłe zainteresowanie, jakbyście zrobili program o Maracanaço. Ja oczywiście byłem wtedy za mały, żeby to dobrze pamiętać, ale są tacy, co wspominają ten czerwcowy wieczór, a jeszcze więcej nadal wierzy w legendę. Taki jeden dziennikarz z Arpoador, João Luiz, z mojego pokolenia, wziął taśmę z oryginalnym nagraniem i tak ją zmontował, że wygląda, jakby piłka trafiała w słupek, tu wkleił kawałek z innego meczu, jak Bigode ją wybija. Inny koleś, młodszy chyba od ciebie, parę lat temu zrobił krótki film o takim dziennikarzu sportowym, wzorował się chyba na mnie, który cofa się w czasie, żeby odmienić Feralny Finał, ale cokolwiek by zrobił, piłka zawsze mija Barbose i ląduje w siatce. Słyszałem nawet jakiegoś innego gościa, w programie naukowym na Discovery, czy coś takiego, mówił o jakiejś kwantowej teorii, o tym, że

wokół nas pełno tych równoległych wszechświatów. I on użył takiej przerośni, że są setki, tysiące wszechświatów, w których Brazylia wygrała Feralny Finał. Dalej tego nie rozumiem, ale pomyślałem, że to niezła alegoria. Jest taka historia o Barbosie: parę lat po Maracanaço, jeszcze zanim się załamał i zniknął, zaprosił na grilla paru kumpli z dawnej drużyny, rozumiesz, samych czarnych, nikogo więcej. Piją dużo piwa, gadają o piłce i nagle któryś zauważa, że drewno pod grillem bucha płomieniem i śmierdzi, jakby paloną farbą. Przygląda się dokładniej, faktycznie farba. Część drewna jeszcze się nie spaliła i jest na nim biała farba. Barbosa porąbał słupki od bramki z Maracany i użył na podpałkę.

– I to prawda? – Marcelina zdjęła buty i wsunęła stopy w chłodny piasek, czując, jak jedwabiste ziarenka przesypują jej się między palcami.

– A czy to ważne?

– A wie pan, gdzie on jest?

– Barbosa? Nie. Dziesięć, piętnaście lat temu zniknął całkowicie. Może nawet nie żyje. Ciągłe ktoś twierdzi, że widział go w centrum handlowym, jak Elvisa Presleya. Jest stary, od pięćdziesięciu lat jest stary. Jakbym myślał, że chcecie się znowu nad nim poznać, w życiu bym z tobą nie gadał. Biedak dość już przecierpiał. Ale to...

– W życiu by nam coś takiego nie przyszło do głowy. – Marcelina skłamała po raz drugi.

– Nawet Zizinho już zmarł... Ale. Został jeden, co może wiedzieć. Feijão. Fasolka.

– A to kto? Piłkarz?

– Ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia, co? Feijão to był masażysta, właściwie pomocnik masażysty. Jeszcze się uczył, jego ojciec był w CBD, tak się wtedy nazywała, zanim zmieniła się na CBF, i załatwił mu pracę przy drużynie. Właściwie miał tylko pilnować, żeby gąbki były namoczone, ale stał się dla nich jakby taką maskotką – zanim zeszli w tunel, wszyscy musieli mu potargać włosy. I nic im szczęścia nie przyniósł. Potem był szefem masażystów we Fluminense, a potem otworzył takie małe spa. Sprzedał je z pięć lat temu i jest na emeryturze; spotkałem go, kiedy zbierałem materiały do książki o Ronaldo, i o Stowarzyszeniu Dziennikarzy Sportowych. A wiesz, że wylądowałem w sądzie za oszczerstwo, w kwestii długości fiuta Ronaldo?

„To prawda”, zamruczeli *irmãos* wędki.

– Właściwie to sędzia go dla mnie znalazł. Bo kto miałby wiedzieć, jak nie Feijão? Mieszka w Niterói. Masz tu numer do niego. – Soares wyciągnął z bocznej kieszeni swoich bermudów mały, spięty gumką reporterski notesik i ogryzkiem ołówka nabazgrał numer. – Powiedz mu, że ja cię przysłałem. Wtedy może będzie z tobą gadał.

– Dziękuję bardzo.

– Ale zaraz, zaraz, będziecie do tego programu potrzebować kogoś, kto mu to powie. Kto będzie lepszy niż jeden z najlepszych brazylijskich autorów i ostatni zawodowy *carioca*.

„To musi być on”, zaśpiewał chór Królów Rybaków. To jest ten malandro.

– Przekażę wydawcy – powiedziała Marcelina, kłamiąc po raz trzeci. Nie zapał kur, ale podskoczył spławik na żyłce Raimundo.

– Ej, patrzcie no! – Przesunął bejsbolówkę na tył głowy i pochylił się nad

kołowrotkiem.

Gdy Marcelina się obejrzała, już z zielonego cienia parku Flamengo, Bractwo Wędkujących o Świcie odczepiało zdobycz i wrzucało ją z powrotem do morza. Ryby z Zatoki Guanabara były trujące, ale Marcelinie miło było myśleć, że ci starszkwowie składają je w ofierze Yemanji.

Elektryczne organy słyszała już nad zatoką, gdzie wysiadła z taksówki. *Aquerela do Brasil* – rytm samba-exaltação, głównie dolny manual, spływający falami po balkonach, pomiędzy antenami satelitarnymi i zbiornikami z wodą. Ulubiony numer matki. Złapała się na tym, że przyśpiesza kroku do rytmu, kiwając głową Malwinie w recepcji budynku. Na klatce schodowej muzyka nabrzmiewała dalej. Gdy Dona Marisa grała na organach, uśmiechał się cały blok – nawet muzyczka w windzie nie była w stanie pokonać akordów i granego staccato cha-cha-cha dudniącego wokół bloczków i przeciwwag.

Każdemu dziecku wydaje się, że ma normalne dzieciństwo. Czyż nie każda matka jest Marisą Pinón, Królową Organów z Beija-Flor? Jej najlepsze dni, gdy rządziła nad nocną krainą jak Wenus wyłaniająca się z muszli w stylu art déco organów Wurlitzera w Beija-Flor, już miały się ku końcowi, kiedy rodziła się Marcelina. Jej dwie starsze siostry miały do opowiedzenia setkę coraz bardziej gorzkich i pełnych złości opowieści o babciach i ciotkach, dziewczynach od papierosów i gejach-sprzątaczkach po kolei się nimi zajmujących, podczas gdy matka, w satynie i sztrasach, z diamentową tiarą na czole, wystukując rytm złotym pantofelkiem, grała rumbę, pagode i foro na użytek paru dyskretnych srebrnych stolików. Były w domu jej zdjęcia z Tomem Jobimem, flirtującej z Chico Buarque, grającej duet z Władziu Liberacem. Marcelina miała jednak tylko niewyraźne wspomnienie, że gapi się na wirującą pod sufitem lustrzaną kulę, oszołomiona roztańczonym pochodem światełek.

Ojca natomiast nie pamiętała w ogóle. Była ledwie drobinką, gdy Martim Hoffman włożył garnitur, wziął skórzaną teczkę, pojechał w interesach do Petropolis i nigdy nie wrócił. Przez wiele lat myślała, że jej ojcem jest Liberace.

Zadygotała z rozkoszy, kiedy drzwi windy otworzyły się równo z zamaszystym glissando w górę klawiszy. Matka grała coraz mniej i mniej, odkąd zdiagnozowano u niej artretyzm, mający z czasem zamienić kostki palców w brazylijskie orzechy. Wstrzymała się, chłonąc muzykę, przed naciśnięciem dzwonka. Jej alt kropka rodzina by się śmiała, ale wszystko się zmienia, jeśli chodzi o matkę. Nacisnęła guzik. Muzyka urwała się w połowie taktu.

– Nie dzwonisz, nie przychodzisz...

– Właśnie przyszłam. I wysłałam ci SMS-a.

– Tylko dlatego, że ja wcześniej napisałam.

Objęły się, pocałowały.

– Znowu jesteś taka napięta – powiedziała matka Marceliny, przytrzymując córkę na długość ramienia, żeby przyjrzeć się jej twarzy. – Znowu robiłaś botoks? Daj mi do nich

numer.

– Powinnaś sobie założyć łańcuch w drzwiach. Każdy może tu wejść, odepchnie cię na bok i tyle.

– Ty będziesz mnie uczyć bezpieczeństwa? A sama mieszkasz na tej paskudnej Copie. Posłuchaj, znalazłam ci takie fajne trzypokojowe mieszkanie na Rua Carlos Góls; tylko dwie przecznice ode mnie. Kazałam agentowi wydrukować szczegóły'. Nie zapomnij zabrać.

Organy stały przy otwartych drzwiach balkonowych, paliły się kontrolki. Na balkonie stał mały stolik; Marcelina wcisnęła się w plastikowe ogrodowe krzesło. Najbezpieczniej było gapić się na horyzont. Złoci chłopcy surfowali na niestrudzenie załamującej się fali. Nie była w stanie patrzeć na surferów, żeby nie ubolewać nad innym życiem, które mogłaby prowadzić. Dona Marisa przyniosła piętrowe talerze z *doces*: ciasto cytrynowe, orzechowe kwadraciki z Minas Gerais, od których bolą zęby, oraz miodowe wafelki. Kawa w dzbanku, popołudniowa wódka dla gospodyni. Trzecia, wywnioskowała Marcelina po pustych szklankach na organach i oparciu sofy.

– To co tam chcesz mi opowiedzieć?

– Nie, nie, najpierw posłucham ciebie. Ja mieszkam piętnaście pięter nad konfliktami i emocjami. – Matka podsunęła jej ciasteczka z orzeszkami ziemnymi z Minas Gerais.

Marcelina wybrała jednak wafle z miodem, jako mniej rujnujące jej dzienną dawkę kalorii.

– No, to ja sprzedałam program.

Matka przycisnęła dłoń do piersi. W odróżnieniu od wszystkich innych matek, o których opowiadano jej w Canal Quatro, Marisa Pinzón doskonale rozumiała, na czym polega praca córki. Marcelina była jej prawdziwą dziedziczką – Gloria i Iracema rozczarowywały swoimi udanymi małżeństwami i rodzinami w drogich ciuchach. Pospolitość jako najostrejszy nastoletni bunt. Natomiast to, że Marcelina od niechcenia rzucała znanymi nazwiskami, ocierała się w pracy o największe gwiazdy, a od czasu do czasu romansowała z inteligentnym facetem, który na bladoniebieskim tle co wieczór opowiadał krajowi straszne rzeczy – o, to był ogon perfum z epoki, gdy Królowa Klawiatur rządziła od Copa Pałace po Barrę. Na mężczyzn i dzieci czas przyjdzie później, na razie gwiazdy są tak nisko, że można ich dotknąć, a czary jeszcze działają.

Nigdy nie była w stanie pogodzić tego zachwytu matki tysiącem świateł Ipanemy z własną bolesną wątpliwością, czy aby to jej siostry nie postąpiły właściwie, czy aby nie przehandlowała własnych jajeczek za odrobinę emocji i dwie sekundy nazwiska w napisach końcowych. Wyjaśniła jej ideę programu. Matka łyknęła pobrzękującej lodem wódki i nachmurzyła się.

– Barbosa, zły czarny człowiek.

– Nie gadaj, pamiętasz Feralny Finał?

– Każdy *carioca* pamięta, co robił, kiedy było Maracanaço. Ja miałam głupi, szalony romans z prawnikiem Deana Martina. Dino dał pięć występów w Copa Pałace. Zasługuje na to, co mu chcecie zrobić, sam zrobił z nas pośmiewisko.

– Co takiego? Kto?

– Barbosa. Zły człowiek.

Dona Marisa była nieomylną jednoosobową grupą focusową Marceliny. Dopijała wódkę.

– *Querida*, zrobisz mi jeszcze?

Marcelina pokroiła cytrynę na ćwiartki i łyżką wrzuciła do szklanki lód. Matka zawołała:

– Będę robić *feijoadę*.

– Jakaś okazja jest?

Gotowanie Dony Marisy: doskonałość jednego dania ma zapewnić odpuszczenie wszystkich innych kulinarnych grzechów. Zastępca szefa kuchni w Café Pini dał jej swój przepis na *feijoadę* dziesięć lat temu, świeżo po jej przeprowadzce na Leblon, i odtąd produkowała to cudo w sobotę przed każdą rodzinną uroczystością.

– Iracema znowu jest w ciąży.

Marcelina poczuła, jak jej dłoń zaciska się na tłuczku ostrożnie miazdzącym lód.

– Bliźniaki będzie miała.

Huk, brzęk. Dno szklanki leżało na podłodze wśród lodu, cytryny i śmierdzącej wódki, odbite zbyt mocnym ciosem marmurowego tłuczka.

– Oj, przepraszam. Wymknął mi się z ręki.

– Nie szkodzi, nie szkodzi, i tak już za dużo piję. Klęska wielu dobrych kobiet, picie w domu. No, ale bliźniaki! A ty co myślisz? W naszej gałęzi rodziny nigdy bliźniaków nie było. U Patricii i tamtych innych z Florianopolis, to co rusz, i takie podobne jak fasolki z jednego strączka.

– Zagraj coś dla mnie. Ostatnio nic mi nie grasz.

– Eee, nikt już nie chce mnie słuchać. Same starocie gram.

– Nie, dla mnie nie. No, dawaj. Fantastycznie było to słyszeć, kiedy wchodziłam. Już na parkingu słyszałam, jak grasz.

– O rany, nie! Co sobie ludzie pomyślą?

Doskonale wiesz, co pomyślą, Królowo Piętnastego Piętra, pomyślała Marcelina. Tak jak ja, widzieli cię jak grasz, na balkonie, w tiarze i kolczykach z perłami. Uśmiechali się.

– Dobra, namówiłaś mnie. – Dona Marisa wyprostowała się na ławeczce, przebiegła stopami po basowych pedałach jak sportowiec rozgrzewający się przed biegiem przez płotki.

Marcelina obserwowała, jak palce przefruwają niczym kolibry nad przełącznikami rejestrów i rytmów. Po czym pogłaskała, błyskając paznokciami, wyłącznik sieciowy, i *Desafinado* wylało się pomiędzy bloki Leblonu jak wysypujące się z nieba anioły.

Feijão Fasolka miał paczkę amerykańskich papierosów zatkniętą za gumkę swoich speedo. Kąpielówki, klapki i goła skóra, wygarbowana na miękką zamsz. Łaził, niespokojny i podenerwowany jak osa, po swojej obrośniętej roślinami werandzie, przysiadł to na

drewnianej ławce, to na wykafelkowanej krawędzi donicy, to na składanym stoliku. Był chudy jak szczapa i zadowolony z własnego ciała; ona jednak i tak cieszyła się, że nie ma włosów na ciele. Na samą myśl o siwej, druciastej szczecinie na piersi sześćdziesięcioletnich facetów ogarniało ją zimne obrzydzenie.

– Raimundo Soares. I co tam u starego drania?

– Dużo wędkuje ostatnio.

Feijão nalał herbaty ziołowej z japońskiego imbryka. Pachniała zaparzoną lasem.

– I to jest właściwa odpowiedź. Bo wiesz, dzwonił do mnie. Powiedział, że o niczym nie masz pojęcia, ale jesteś w porządku. Bo media ciągle za nim węszą, nie myśl, że jesteś pierwsza. W żadnym razie. Przeważnie mówię, że zmarł, że go nie ma. Nie odzywał się od dziesięciu lat. I w sumie dobrze. Ale ty miałaś dobre podejście.

Święta Pani od Widoskowości, którą Marcelina wyobrażała sobie jako Maryję Dziewicę skrzyżowaną z wielorękim hinduskim bóstwem, dzierżącym w dłoniach kamery, tyczki z mikrofonami, budżety, ramówki – uśmiechnęła się w swojej opatrzonej kodem czasowym aureoli. Feijão osobliwie erotycznym gestem wystukał z paczuski papierosa.

– Wszyscy tu z czasem wylądowali, wszyscy czarni z lat pięćdziesiątych. Mówią, że w Brazylii nie ma rasizmu. Gównu prawda. Po Maracanaço wina skupiła się głównie na czarnych piłkarzach. Zawsze tak jest. Juvenal, Bigode, nawet i sam mistrz Ziza, Panie świeć nad jego duszą. Ale przede wszystkim Barbosa. Niterói to nie Rio. Ta zatoka może być tak szeroka, jak tylko zechcesz.

Mieszkanie Feijão miało antresolę i taki widok, na który można sobie pozwolić tylko sprzedając świetnie prosperującą firmę. Patio w środku było długie i wąskie, wilgotne i pełne bujnie kwitnących krzewów i uczepionych ścian gęstych pnączy. Żakarandy i pnący hibiskus obramowywały widok na Rio po drugiej stronie zatoki. Marcelina w poszukiwaniu tego, co świecące i krzykliwe, obleciała już całą planetę, ale nigdy jeszcze nie jeździła przez stojący na szczudłach most Rio-Niterói. Stąd Boskie Miasto wydawało się mniejsze, wredniejsze, mniej pewne; Niterói było jak lustro, które odbija nadęty narcyzm Rio.

Feijão siorbnął herbaty.

– Świetna na układ immunologiczny. Raimundo Soares opowie ci tysiąc świetnych historii, ale wszystko to gównu prawda. Bo prawda jest tylko jedna: piętnaście lat temu Barbosa wszedł do sklepu po kawę, a baba obok odwróciła się i wrzasnęła na cały sklep: „Patrzcie no! To przez niego płakała cała Brazylia!”. Wiem, bo byłem przy tym. Jak przeszedł na emeryturę, przychodził do mnie do sali, żeby poćwiczyć, bo chciał zachować kondycję, a także dlatego, że znał mnie ze starych czasów. Powoli tracił kontakt z resztą drużyny z lat pięćdziesiątych, ale nie ze mną. A potem odnalazł religię.

– Coś takiego jak Zbór Boży? – Ostatnio była taka moda: sportowcy robili się *crente*, dziękowali panu Jezusowi za gole, medale i rekordy, które wcześniej zawdzięczali świętym i Matce Boskiej.

– Nie słuchałaś. – Feijão zdeptał niedopałek podeszwą japonki i natychmiast wyciągnął kolejnego papierosa. – Powiedziałem, że odnalazł religię, a nie, że odnalazł Boga.

W odpowiedzi na papierosa Marcelina wyciągnęła cyfrowy notatnik.

– *Umbanda terreiro?* – Czarni odnajdowali śnieżnobiałego Jezusa; do białych przemawiały afrobrazylijskie *orixás*. Całe Rio.

– Mogłabyś dla odmiany posłuchać, a nie sypać pytaniami. Barquinha de Santo Daime.

Marcelina wstrzymała oddech. Przeklęty Barbosa nawrócił się na Zielonego Świętego. Oglądalność będzie po orbitę.

– Czyli Barbosa żyje.

– Czy ja tak powiedziałem? Znowu uprzedzasz fakty. Wyszedł z tego mieszkania trzy lata temu i nikt go odtąd nie widział i nie słyszał, nawet ja.

– Ale w tym Santo Daime będą wiedzieć... zaraz znajdę. – Marcelina otworzyła na cyfrowym notatniku Google.

Feijão sięgnął ręką przez stół i zakrył nią ekran.

– Nie nie nie. Tak szybko to nie będzie. Piekło Barbosy trwało dłużej niż ty żyjesz, młoda. I bardzo mało było ludzi, którym ufał; sama siedzisz u mnie w ogródku tylko dlatego, że Raimundo Soares ci zaufał.

Porozmawiam z Barquinhą. Znam tam *bença*. I potem do ciebie zadzwonię. Ale powiem ci jedno: jeśli spróbujesz mnie obejść, będę wiedział.

Chudy, ogorzały od słońca facet dopił herbatę i gniewnie zdusił niedopałek w porcelanowej popielniczce.

Dopiero w taksówce, jadącej po długiej, smukłej cięciwie mostu Rio-Niterói, Marcelina, wyszukując obrazki w Google, uświadomiła sobie, że rozpoznaje święte pnącze. *Psychotria viridis* – to jej lśniące, owalne liście i grona czerwonych jagód okalały widok Feijão na Boskie Miasto.

Aleijadão jeździł na A-bike'u środkiem Szklanej Menażerii, lawirując pomiędzy pudłami z taśmami i stosami plotkarskich magazynów. Koła ten rower miał jak rolki od przemysłowych wózków. Dwa razy zakołysał się przy Marcelinie.

– Na czym ty jeździsz, co to jest?

– Podoba ci się? To jest przyszłość dojazdów do pracy.

– Po Rio? Po tych górkach? A może spróbujesz w godzinach szczytu pojechać tym do tunelu?

– Nie, ale coś w tym jest. Składa się do wielkości laptopa. – Aleijadão spróbował skrócić i omal nie wpadł do pudła do recyklowania wydruków. Robił w długim otwartym biurze zwanym Szklaną Menażerią za chłopaka na posyłki.

– Sterowanie jest trochę trudne, ale nie przerzyna tyłka na pół. Najnowszy wynalazek tego Anglika, tego, co wynalazł komputer.

Jak zawsze. Najnowsze.

– Alana Turinga? Ale on...

– Nie, jakoś inaczej się nazywał. Wynalazł te takie sprzęty na kołach, gdzie się siedzi i

pedałuje, Dalekowie się nazywały? Jakiś Hawking czy jakoś tak?

Był czas, gdy ta beztroska Canal Quatro, ta żądza, by stanąć oko w oko z załamującą się falą nowoczesności i popłynąć na niej, oszałamiała i porywała Marcelinę; potem był inny czas, gdy nienasycony apetyt stacji na to, co nowe i błyszczące, męczył ją, zasypując lawiną plastikowego gówna; na koniec, gdy już wszystko wiedziała, nawet ironia tego trendu stała się ponura i pozbawiona radości.

Pracowa alt kropka rodzina Marceliny uniosła wzrok spomiędzy szklanych przepierzeń, gdy do sali weszła ich ober-szefowa. Tyle dało się wyczytać z ich lunchów – jedli oczywiście przy biurku. Celso unosił do ust sushi, z delikatnością i zręcznością zawodowca trenującego na osobności. Agnetta, ubrana jak zawsze idealnie – zdarzało się, że zamawiała sobie nowe buty z dostawą do biura, żeby pójść w nich wieczorem do domu – przeżuwała ponuro dietetyczną przekąskę barową zastępującą jej lunch. Cibelle, jedyna, której Marcelina nie tylko się bała, ale i szanowała, dziobała domowe *bauru*. Przynosiła je codziennie. Mówiła, że domowe jedzenie to nowe sushi. Cibelle wiedziała, jak to się robi, jak dorzucić na wierzch fali mody własną niedużą falkę, a potem patrzeć, jak teoria chaosu i prawo skali powiększają ją do rozmiarów nowej fali. Już co najmniej połowa ekipy produkcyjnej Lisandry przynosiła lunche z domu. Bystra laska, ale ja cię znam.

– O rany, to teraz wszyscy będziemy musieli tak robić, przebierać się w inne ciuchy w przerwie na lunch? – wystraszyła się Agnetta.

– O co ci chodzi?

– No, tak jak ty: dopiero co byłaś w czarnym kostiumie, a teraz jesteś w rybaczkach.

Marcelina pokręciła głową. I tak nie rozumiała osiemdziesięciu procent tego, co mówi Agnetta.

– Nikt nie dzwonił do mnie?

– Odpowiedź ta sama co pięć minut temu – odparł Celso, mieszając wasabi.

Marcelina rozłożyła ręce w konsternacji.

– Co to ma być, Międzynarodowy Dzień Robienia Wała z Marceliny?

Wtem zobaczyła, jak Adriano przerywa kreatywną naradę z Lisandrą i Czarną Ptaszyną, żeby zawołać ją do siebie skinieniem palca i podniesieniem brwi.

– Bardzo śmieszny był ten mail. Kiedyś ktoś zrobi taki program i będzie mieć taaakie ratingi, ale to raczej nie będzie Canal Quatro. Tak właściwie, jakbym pomyślał, że na serio proponujesz cykl, w którym zwykli ludzie gonią i mordują *favelados* jak w jakimś koreańskim *Running Manie*, to... MBATC.

Might Be A Tad Concemed. Odrobinę Bym Się Zaniepokoił.

– A, no, więc... – zapłula się Marcelina.

– W przyszłości, IMBAGI sprzedawać pomysły tylko przez normalne kanały kreatywne.

Wróciła do swoich wazeliniarzy, płonąc jak rakietka kosmiczna, która eksplodowała. Lunche w sekundę poszły na bok.

– Nie wiem czyj pomysł to był, ale o jednym musicie pamiętać. Z tego zespołu nigdy, nigdy, rozumiecie, nie wychodzi nic, co nie przeszło przeze mnie. Nigdy.

– Szefowa, przecież zawsze tak robimy.

Włączyła laptopa.

– No to ciekawe. Ktoś wysłał maila do Adriano, żeby go wkłócić, i to nie byłam ja.

– Przecież ty – mruknęła słabiutko Agnetta. – Widziałam na własne oczy.

Rozjazgotany, rozdzwoniony, rozpiszczany tunel Szklanej Menażerii nagle stanął dęba: Marcelina poczuła, że spada pomiędzy biurkami, komputerami i zwałami papierów, by rozbić się o wielkie okno, które było teraz podłogą.

– Założmy, że jestem idiotką i nie mam bladego pojęcia, o czym ty mówisz.

– Jakies pięć, sześć minut temu weszłaś, powiedziałaś „cześć”, weszłaś na laptopa i wysłałaś maila – powiedział Celso.

Cibelle siedziała prosto w krześle, ze splecionymi rękoma.

– Ale mój laptop był zablokowany, ma czytnik palców. – Standardowe zabezpieczenie w świecie, gdzie pomysły są walutą.

– No a teraz nie jest – powiedział Celso.

Marcelina podeszła do ekranu. Ikonka zalogowania kręciła się na pasku. Otworzyła firmową pocztę.

Do: Adriano@canalquatro.br

Od: capoeiraqueen@canalquatro.br

Temat: Śmieci won...

Szklana rura biura zawirowała wokół niej, Marcelina jak lśniący okruch w obracającym się kalejdoskopie obłądu.

Piła tę herbatę.

Zielony Święty to święty od wizji i majaków.

U Feijão w ogródku rosło święte pnącze.

Barquinha do Santo Daima była kościołem halucynacji.

Piła tę herbatę. Nie było innego racjonalnego wytłumaczenia.

Zamknęła program i dotknęła kciukiem czytnika, żeby się wylogować.

12 PAŹDZIERNIKA 2032

Wycieczka na targ. Wycieczka w mgłę biodieslowskich spalin pod nieskończonym skrzyżowaniem Todos os Santos, brakującą klamrą pasa oplatającego miasto świętego Pawła. Wycieczka do drukarni po nowe buty.

Edson i Fia wysiadają z taksówki na skraju Świętej Pani od Śmieci. Nie dlatego, że taksiarze nie chcą tam wjeżdżać – a nie chcą, obojętne jak wysoki obieca się napiwek. Dlatego że nie mogą. Todos os Santos, tak jak piekło, składa się z koncentrycznych kręgów. Ale w przeciwieństwie do piekła, tu one idą pod górę – środek wielkiej śmieciowej góry ledwo widać ponad dachami zaimprovizowanych sklepów i fabryczek, pomiędzy słupami energetycznymi i łącznościowymi. Na zewnątrz – wir taksówek, busików, mototaksówek, prywatnych aut, wysadzających i zabierających pasażerów. Przebijają się przez niego ciężarówka, rycząc melodyjkami z cyfrowych klaksonów. Pod lasem wielkich parasoli, stanowiącym *rodoviaric* Todos os Santos, księża odprawiają mszę, pomiędzy rzędami równiutko rozłożonych plandek, zawalonych przyzmami zielonych pomarańczy i jeszcze zieleńszych limonek, główek sałaty i pak choi, czerwonych pomidorów, zielonej papryki, pomiędzy palisadami czekającej na ręczny młynek trzciny cukrowej, pomiędzy prychającymi słodką parą destylarniami *cachaçy*. Pierwszy krąg Todos os Santos to targ warzywny. Codziennie, o każdej godzinie, towarowe motorki, rowery, pikapy, furgonetki chłodnie zwożą tu plony z miejskich ogrodów. Nigdy nie brakuje klientów tłoczących się wokół farmerów, rozładowujących skrzynki i worki na rozłożonych na ziemi plandekach, na pospinanych jeden z drugim plastikowych straganach, w płacących czynsz sklepikach z półkami i lodówkami. Nocą kupno i sprzedaż niewzruszenie trwa dalej, przy świetle miliona energooszczędnych neonów albo lamp naftowych, u tych, których nie stać na agregaty na biodiesel, a ci, którym marzę zjadłoby nawet to, korzystają z kradzionego prądu.

– Moja mama się tym zajmuje – mówi Fia. – Ma taką miejską faremkę, parę malutkich działek i kilka dachów jeszcze wynajmuje. Ale tu by nie przychodziła, specjalizuje się w designerskich kapustowatych dla japońskich restauracji. Nuda. A tu jest pięknie.

Jest skryta. I lubi powoli. Edson nawet jeszcze jej nie pocałował, nie mówiąc nawet o seksie. Nad *kibes* w tej małej arabskiej knajpce, które jej obiecał (i które nie rozczarowały – niedługo sieć Żółtych Psów dołączy do portfolio firmy *De Freitas Global Talent*), zaciekawiał ją swoją rodzinną telenowelą. *Synowie Dony Hortense*. Udział biorą: Emer, murarz, który dorobił się na wieżowcach São Paulo i kupił sobie udział w siłowni; Ander,

ten co zginął osiem lat temu od noża w faweli; Denil, konstruktor pięknych samolotów w wielkim Embraerze; Mil, żołnierz w niebezpiecznym dalekim kraju, co wieczór wspominany w *Księdze płaczu* Dony Hortense, żeby żaden podkalibrowy pocisk nie znalazł jego niebieskiego beretu; Ger, początkujący *malandro*, który nie potrafi się przyłożyć do pracy choćby przez dzień; oraz Ed, człowiek interesów, od załatwiania, odkrywania talentów, o wielu twarzach, który pewnego dnia kupi tę *lanchonete*, rozwinie ją w imperium i będzie odpoczywał w swoim domu nad oceanem, patrząc na wschodzące z morza słońce. Bracia Oliveirowie: podczas świąt kościelnych i państwowych w domu tak buchało testosteronem, że Dona Hortense wyganiała ich wszystkich na ulicę, żeby pograli w piłkę, żeby wypalić choć trochę tej męskiej agresji.

Fia reagowała entuzjastycznie, ale pytania o swoją rodzinę zbywała. Edson podejrzewa, że jak się jest tajnym quantumistą, nie powinno się mówić za wiele.

Spotkali się już dziesięć razy. Teraz umówili się, że ona weźmie go do Świętej Pani od Śmieci, żeby kupić sobie buty, i wreszcie mówi coś o rodzinie.

– A tata ma stajnię softu księgowego, ale naprawdę lubi się zajmować pisaniem tekstów do takiego obciachowego newage’owego strumienia newsów z Brazylii. Ma idée fixe: połączenie buddyzmu mahajana z paulistańską *umbandą*. Jakby w Brazylii było za mało religii. A młodszy brat, Yoshi, zrobił sobie roczną przerwę w studiach i surfuje po całym świecie. Wszystkie dziewczyny uważają, że jest fantastyczny. Wychowałam się w takim małym domku na Libertade, czarne balkony, czerwony dach. Tak jak sześć pokoleń Kishidów przede mną. Był basen, miałam lalki i różowy rowerek ze wstążkami w paski na kierownicy. Widzisz? Mówiłam, że nuda.

– Oni wiedzą, co robisz? – pyta ją, gdy prowadzi go za rękę przez tymczasowe przejścia pomiędzy ciężarówkami i autobusami.

– Mówię, że robię za freelancera. I to nie jest kłamstwo. Staram się im nie kłamać.

Edson wie, że ta randka to próba. Święta Pani od Śmieci to władczyni krainy przesądów i ulicznych legend. Szepty o nocnych wizjach; dziwne nakładanie się tego miasta i innych, widmowych, krajobrazów; anioły, zjawy, UFO, duchy, *orixás*. Niektórzy, podobno, otrzymują od nich niezwykle, wielkie dary – jasnowidzenie, zdolność rozpoznawania prawdy albo przewidywania pogody. Inni zaś całkiem się zatracili, wywędrowali pomiędzy światy, nigdy nie wracając do domów i rodzin, choć czasem migną swoim krewnym pomiędzy górami śmieci, blisko, choć daleko, jak odbici w labiryncie luster. Mówią, że to cię odmienia. Widzisz dalej; widzisz wszystko takie, jakie jest naprawdę.

Edsona prędzej szlag trafi, niż da się przestraszyć Todos os Santos. Lecz to zdecydowanie miejsce, gdzie trzeba wyglądać na pewnego siebie cwaniaka, ubrał się więc w biały garnitur i gniecioną koszulę. Strój Fii na zakupy składa się z eleganckich kozaków, połyskujących złoto szortów z zapinanymi kieszeniami, opalizującego płaszczyka do pół łydki i torebki „Habbajabba”.

– Ej!

Omal nie wyrywa jej ręki ze stawu, szarpiąc ją, żeby się zatrzymała. Odwraca się,

wytrzeszczając kreskówkowe oczy, żeby się na niego wściec, i nagle widzi ciężarówkę ze śmieciami hamującą gwałtownie i trąbiącą na nią wszystkimi piętnastoma klaksonami. Kierowca się żegna. Za nim powstaje śmieciowy zator z kolejnych ciężarówek. Do serca Todos os Santos prowadzi tylko jedna droga, opanowana przez ogromne miejskie *caminhões da lixo*, mozolnie pełznące przez pył i smród spalin. Ich bliźniacze koła na wielu osiach żłobią w czerwonym gruncie głębokie koleiny; w deszczu droga zamienia się w błoto i ciężarówki grzęzną w nim po osie, rycząc jak dinozaury. Ta droga wychodzi z jedyne gotowego wjazdu na nieukończone bezkolizyjne skrzyżowanie; a stamtąd pną się wyżej, jak na zabawkowym torze Hot Wheels, krętymi zaułkami, aż dojadą na krawędź urwiska, tyłem, błyskając i trąbiąc, żeby wypróżnić się z zawartości na rosnącej bez przerwy górze śmieciowej Todos os Santos.

– Uratowałem ci życie – mówi Edson.

Fia przez trzy sekundy patrzy mu w oczy. To wystarczająco długo, żeby zasugerować pocałunek. Edson waha się jednak i chwila przemija. Fia pozwala się wymknąć jego ręce i kieruje się do drugiego kręgu. To dzielnica sklepików z softem, handlarzy bezprawiem autorskim, czarnej farmaceutyki. Dzieciak ma gruźlicę, grypę, malarię? HIV-a? Proszę, oto lekarstwo, po niekorporacyjnej cenie. Ciężko pani rano wstać, mąż nic tylko siedzi i cały dzień ogląda telenowele, dzieci nie chcą do szkoły i gryzą ściany? Mamy coś na to. Ostatnią erekcję miał pan... kiedy? Ależ mi przykro. Proszę bardzo. A wytrysk będzie jak fontanna. Bardzo ci się podoba piosenka, film, ostatni odcinek *Bang bang!* albo *Świata gdzie indziej*, ale nie stać cię na kolejne wpłaty, a nie chcesz go stracić z końcem miesiąca? Fachowiec raz myknie i muza nie zniknie. Rozrywka jest na zawsze, a nie na wynajem. Chciałbyś mieć strumienie z meczami, ale są za drogie? Na to też mamy chipa, na wszystko jest jakiś chip. Siedzisz w długach, masz kochanki, naruszyłeś prawo? Ścigają cię *seguranças*, policja, księża, prawnicy, kochanki, żony? Proszę bardzo: oczy, nówka sztuka, odciski palców, nazwiska, twarze, alibi, sobowtóry, duchy i ludzie, których nie było. Oczyszczymy cię lepiej niż ten Jezus u *crentes*. A wśród tego wszystkiego pomazane sprejem drzwi prowadzące do ruderowatego biura na piętrze i wymalowany wałkiem szyld-*pichação* wiszący na samoprzylepnym kołku: *Atom Shop. OTWARTE*.

Nie zawsze chodzi tylko o seks i lycrę. Dzisiaj pan Morel robi Edsonowi *moqueçę*. Trzeba cię podkarmić, *Sextinho*. Sam o siebie nie zadbasz. Marniejesz jak zakochany głupek. Kostiumy superbohaterów zawisły w szafie z Batmanem na drzwiach. Pan Morel miał teraz na sobie obszarpane szorty i koszulę w palmy. Edson, w odprasowanej bieli, powiedział:

– Nie mogę uwierzyć, że znasz ją ze studiów.

Cebule z sykiem lądują na patelni. Odwieczny rodzinny przepis, potrawa niewolników z czasów plantacji kawowych. Alvarangowie – to był ród kapitanów i panów, ale podupadał i wymierał, aż z rodu został tylko jeden nosiciel nazwiska. Edson ciągle fantazjuje, że pan Morel go usynowi i uczyni spadkobiercą *Fazendy Alvaranga*.

– A skąd to zdziwienie? Multiwersum jest wielkie, a świat mały, a świat kwantowej informatyki jeszcze mniejszy. Byłem recenzentem jej doktoratu z fizyki obliczeniowej i fizyki informacji. Stawiała w nim hipotezę, że każdy umysł jest multiwersalnym komputerem kwantowym, a zatem fundamentalnym elementem rzeczywistości, a jego składniki w różnych wszechświatach są połączone przez splątanie kwantowe. Bardzo lubiłem, gdy przychodziła na konsultacje, była jedną z moich najlepszych studentek. Bystra, że aż strach. Kłóciliśmy się jak nie wiem, wściekała się na mnie. Super się sprzeczała. Już do tego doszedłeś? Miała teorię, że multiwersum jest komputerem masowo równoległym, a zatem jego stan przypomina umysł. Ja argumentowałem, że to w najlepszym razie metafizyka, a w najgorszym – religia; jakkolwiek by na to spojrzeć, łąduje się z powrotem w silnej zasadzie antropicznej, a to właściwie to samo, co solipsyzm. Nie ma w tym nic szczególnego. Zakładając odpowiednio dużo wszechświatów, coś takiego musi się zdarzyć, i to nie raz.

Silny zapach czosnku, potem cierpki aromat pieprzu.

– Żadna niespodzianka, że pracuje z *quantumeiros* – na uczelni czy nawet w badaniach nie ma nic, co by dawało taki strzał adrenaliny, ale nie mogę powiedzieć, że bym był tym zachwycony.

Teraz idą raczki, prosto ze stawków na górze pod turbinami wiatrowymi. Farmy energetyczne, pełne wiatraków i pól złotego rzepaku, rozprzestrzeniały się po *Fazendzie* Alvaranga od góry, od dołu wchodziły nowe osiedla, ulica za ulicą z oślepiającymi latarniami, a pan Morel po kawałku oddawał swoje dziedzictwo Edsonowi, lampa stołowa, potem obraz, potem wazon. Całkiem jakby chciał, by Alvarangowie zniknęli, całkowicie przepadli. Teraz zsunął danie z patelni prosto na talerz; sypnął na wierzch trochę siekanej natki kolendry, zielonej na żółtym tle. Patriotyczne jedzenie.

– Prawdziwe pytanie brzmi: czy już ją posunąłeś?

– Myślałem, że się dogadaliśmy, że możemy się spotykać z kim tylko chcemy, że to jest nieważne. – Wiedział, że pan Morel ma masę kumpli, homo i hetero, ale żaden z nich w życiu nie ubierze się w lycrę i pelerynkę.

– Bo to jest nieważne, chyba że dotyczy mojej byłej studentki.

Edsona dawne związki Fii i pana Morela uwierały już na etapie Kapitana Superba/Cud-Chłopaka. Od tego czasu przeszli przez Kapitana Prawdę/Chłopaka-domina, Człowieka w sznurach/Chłopaka-kucyka i Lorda Lycrę/Chłopaka-lateksa, i cały czas miał wrażenie, że się nią z nim dzieli.

– Pewnie, jest superbystra, ale chyba w życiu nie miałeś pojęcia, że ogląda *Świat gdzie indziej*. Uzależniona jest. Ściąga odcinek, siadamy sobie z piwem, albo coś jemy, albo nawet w klubie, jeśli nie podoba jej się muzyka, ogląda go na iSzkłach. Zawsze tak miała.

Edson odsunął talerz.

– Nie jestem głodny.

– Właśnie, że jesteś. Ciągłe jesteś głodny. Matka cię nie karmi?

– Matka mnie kocha. Nie mów tak o mojej matce.

Pozarli się o kobietę. Niesamowite, Edson nie mógł w to uwierzyć. Pozwolili babce,

żeby ich poróżniła. A przecież pan Morel nauczył Edsona dużo więcej niż tylko postkoitalnej fizyki. Dał mu wiedzę z wielu innych dziedzin: golenie się, kupowanie i picie wina, mieszanie koktajli; ubieranie się ze stylem, a nie modnie; dziesięć sposobów wiązania krawata; savoir-vivre i sztuka prowadzenia rozmów z ludźmi, tak by cię zapamiętali i oddzwonili; czego oczekują i co lubią kobiety, czego oczekują i co lubią mężczyźni oraz jak być kulturalnym, a mimo to postawić na swoim w hierarchicznym społeczeństwie.

Kiedyś, gdy był bardzo mały, przed domem stał jakiś facet. Edson zapytał Donę Hortense, czy to jego ojciec. Daj spokój, dziecko, ależ skąd. Czasy, gdy mężczyźni przychodzili na karty i drinki, dawno minęły, Edson jednak wciąż pamięta płonące od zażenowania policzki.

Obejrzał się teraz na niego – śniada skóra, sztywne siwe włosy wystające z kołnierza koszuli, chude, kościste nogi w workowatych szortach. Jesteś ojcem, którego nigdy nie znałem, ojcem, któremu obciążam.

– Zjedz, zjedz – powiedział pan Morel. – Zjedz dla mnie. Lubię dla ciebie gotować.

Edson podejrzewał, że pan Morel może nie był mistrzem świata w fizyce kwantowej, ale jedno trzeba mu było oddać. Super przyrządzał dawne żarcie niewolników.

W Atom Shopie Edson wypatruje okazji, żeby ją pocałować. Kiedy przeciska się pomiędzy nim i wielkimi polimerowymi drukarkami 3D, kiedy nachyla się, żeby wrzucić do maszyny projekt, który ma na swoich iSzkłach, kiedy pochyla się wraz z nią, żeby podziwiać na ekranie holograficzny obraz nowych bucików. Dotknięcie, szept, zapach perfum, słodkiego potu i płynu do płukania tkanin, ale nie kontakt.

– Ładna torebka – mówi dziewczyna z recepcji, która od oparów ma źrenice jak mango i kompletnie odklejony wyraz twarzy. Mocno śmierdzi plastikiem, jak w rajcu wączacza kleju. – Oryginalna?

Fia podaje jej torbę. Dziewczyna unosi ją pod światło, obraca tam i z powrotem, mruży oczy, patrzy. Atom Shop drukuje naszyjniki, czapki, kolczyki, maski, pancerze ochronne, zegarki, kostiumowe okulary, inteligentne ubrania, wszystko, co da się utkać z inteligentnych polimerów. Torebki topowych marek.

– Tak wygląda. W takiej rozdzielczości nie jesteśmy w stanie drukować.

– Wiem – odpowiada Fia, ściskając z powrotem torebkę. – Ale możecie zrobić dla mnie takie buty. – Dotyka iSzkła i ładuje wzór do systemu Atom Shopu.

Edson nie ma wątpliwości, że jest kradziony. Głupio dostać karę za coś takiego, naruszenie praw autorskich do pary markowych butów. Dziewczyna ładuje kasety z surowcami, zamyka przezroczyste wieko. Mrugają światła, przeważnie żółte. Głowice drukujące unoszą się jak atakujące węże, a potem zabierają do misternej roboty – cząsteczka za cząsteczką, milimetr za milimetrem budują podeszwy i obcasy pary Manolo Blahników z odkrytą piętą.

Wydrukowanie całych butów zajmie mniej więcej godzinę, Fia prowadzi więc Edsona w trzeci krąg Todos os Santos, krąg handlarzy. Tutaj specjalność to wszystko, co odzyskane, odremontowane, przerobione, posklejane do kupy. Części samochodowe, silniki do pralek, narzynki i gwintowniki, elektroniczny sprzęt rozrywkowy, poskładane z materiałów odpadowych sprzęty AGD, zmajstrowane na zamówienie motorowery, roboty domowe i uliczne, kamery i czujniki do monitoringu, komputery i pamięci, szkła i broń – wszystko to sklecone z części płynących wielkim spiralnym strumieniem z jednego kręgu wyżej, kręgu Demontażu.

Płytki elektroniczne pieką się na węglowych rusztach, wydzielając lutowie niczym wieprzowina tłuszcz. Kąpiele rtęciowe wychwytyują złoto z połączonych wtyczek i gniazd. Partyzanckie destylarnie zamieniają ciekły metal w parę i rozkładają na frakcje. Dwóch chłopców wysypuje strugę nanoprocesorów jak ziarenka piasku do kadzi z rozpuszczalnikiem, żeby odkleić od podłoża nanorurki węglowe. Dwóch ośmiolatków siedzi po turecku na worku po soi i po kolei sprawdza plastik ze sterty obok, podgrzewając je zapalniczką i wachając opary. Młodsze dzieciaki pędzą z kolejnymi taczkami elektronicznych odpadów z głównego wysypiska. To jest krąg niewolników, sprzedanych w niewolę przez rodziców przyłoczonych pięcioma tysiącami procent odsetek. Zasuwiają jak maszyny, przerywają pracę tylko na chwilę, żeby podrapać się po wypryskach. Najgłośniej słychać tu kaszel. Wszechobecny jest zniszczony układ nerwowy i zatrucie metalami ciężkimi. Nieliczni dożywają dwudziestki, a jeśli już, to ze zrujnowanym zdrowiem. Edson dławi się powiewem kwasu. Zewsząd napierają żar i zanieczyszczenia, powietrze składa się chyba wyłącznie z toksycznych oparów. Przykłada do ust chusteczkę. Fia natomiast beztrąsko maszeruje naprzód, niewzruszona, niepokonana, przestępuje przez strumyczki jadowitej żółci kadmowej, idzie ku sercu Todos os Santos.

Edsonowi nie wydaje się, żeby przyszła tu tylko po buty.

Ekonomia podaży sprawiła, że z jednego małego chipa wyrosła cała Nossa Senhora da Lixão. Zacieniona przestrzeń pod skrzyżowaniem, na uboczu, niewidoczna, świetnie nadawała się na miejsce do przetwarzania elektronicznych odpadów. W tamtych czasach *catadores* musieli chodzić z taczkami dziesięć kilometrów poboczem autostrady, na dawne miejskie wysypisko na São Bernardo do Campo. Pierwszy śmieciarz, który wykrzesał z siebie *jeitinho*, żeby wywalić swój ładunek pod niedokończoną krzyżówką, zapoczątkował powolny wzrost śmieciowego lodowca, który po dwudziestu latach stał się największym wysypiskiem półkuli południowej. Przeszukiwaniem stoków technologicznego śmiecia zajmuje się całe nieduże miasteczko. W nocy jest tu niesamowicie pięknie: na grzbietach i w dolinach migocze dwadzieścia tysięcy pochodni i lamp naftowych. Todos os Santos jest na tyle wielkie, że ma własną geografie: Las Plastikowych Drzew, gdzie mokre, podarte reklamówki zwisają niczym oplątwa z każdej belki i każdego wystającego elementu. Dolina Opilków, gdzie warsztaty obróbki metalu wyrzucają spiralne zwoje opiłków z tokarek. Grzbiet Zapomnianych Lodówek, gdzie dzieciaki z nasączonymi środkiem dezynfekcyjnym chusteczkami na twarzach zbierają freony do pustych plastikowych butelek po coli, powiązanych jak pasy amunicyjne. Nad tym wszystkim góry: Szczyt Microsoft i

Wzgórza Apple; chwiejne zigguraty kostek procesorowych i interfejsowych. Zbieracze rozwalają je młotami i łomami, zręcznie rozkręcają na elementy. Ciężarówka wypluwa ładunek śmiertelnie niemodnych iSzkieł, spadających jak umierające nietoperze. *Catadores* uganiają się po zdradliwym, śliskim śmieciowym rumowisku. Fermentujące śmieci podnoszą lokalną temperaturę o trzy stopnie. Parująca wilgoć i substancje lotne koncentrują się w martwym punkcie pomiędzy owiewającymi skrzyżowanie wiatrami: Święta Pani od Śmieci to prawdziwa miejska dżungla, parująca, trująca, pełna chorób, wilgotna. Śmieciarze używają peleryn z worków po nawozach do ochrony przed nieustającą ciepłą mżawką – tu wyciągną płytkę drukowaną, tam silnik od pralki – wszystko to ładują do zawieszonych na plecach koszów. A ich dzieci – drugie pokolenie *catadores* – to sortowacze i gońcy, porządkujący łupy według typów i zwożący je taczkami do Trzeciego Kręgu.

Fia przystaje pomiędzy rozpędzonymi taczkami, odwraca się, kładzie Edsonowi rękę na piersi.

– Dalej idę sama.

Edson napiera na tę dłoń.

– Co? – Głupio brzmi. To źle.

– Ed, wiesz dobrze: są nasze sprawy i są moje sprawy. To jest moja sprawa. Spotkamy się z powrotem w Atom Shopie.

Edsonowi przychodzi do głowy tuzin protestów. Gryzie się jednak w język – w najlepszym razie brzmią zaborczo, w najgorszym – jęklwie.

– Chodzi o moje zabawki – mówi Fia.

Przyciąga jego twarz do swojej, całuje mocno, z otwartymi ustami, z języczkiem i śliną. Lecz on dalej nie chce, żeby widziała jak odchodzi, staje więc i patrzy, jak ona schodzi po śmieciowym piargu w niepraktycznych butach, zasłoniwszy głowę kapturem przed kwaśnym deszczem. Wchodzi w Dolinę Kwantową.

Każdemu mężczyźnie wydaje się, że chciałby mieć Tajemniczą Kobietę, tak naprawdę jednak chcą być w stu procentach pewni wszystkiego i nie mieć żadnych luk w ewidencji. Pan Morel zna jeden koniec historii Fii Kishidy, Edson zna drugi, ale te połówki nie przystają do siebie. Zbyt wiele niewytłumaczalnych zdarzeń pomiędzy ukończeniem uniwerku São Paulo a naczepą ciężarówki z napisem *Catering gotowy! chłodzony*. Edson zrobił dyskretny wywiad – tego nigdy nie odpuszcza. Firma *Catering gotowy/chłodzony* to nazwa zastrzeżona, oficjalnie zarejestrowana w Ministerstwie Handlu. Intuicja go nie zawiodła: właścicielem wszystkiego jest Pan Metal, Floyd. Pierwsze pieniądze zarobił na pretoi morte-metalu, na zaopatrywaniu metalowych kapel we wszelkie możliwe przed- i pokoncertowe używki, jakich tylko zapragną: kokainę do palenia, cheerleaderki, amerykańską whiskey, upadłe zakonnice, żywe kozy, broń automatyczną i lekkie moździerze, Chinki w lateksach i zgłoszenia udziału do programu *Śmieci won*. Kasę i napiwki zainwestował w tę małą firemkę cateringową. Kierowca to Aristides, kiedyś kursował alko-cysternami z Goias do São Paulo. *Bicha* zapewniająca dwanaście warstw przykrywki, wzmocnionej jeszcze szerokim wachlarzem łapówek, to Titifreak. A Fia

obsługuje macierz czterech używanych rdzeni kwantowych, na których łamie problemy NP. Natomiast Edson ma teraz inny problem – dlatego właśnie, zanim puści się za nią parującym grzbietem monitorów LCD, odczekuje, aż zniknie mu z oczu – skoro on był w stanie to wszystko znaleźć, zadając sześć dyskretnych zapytań, kto jeszcze oprócz niego zadał sobie ten trud?

To, że jakieś kwantowe śmieci w końcu wylądują na wielkiej gólgocie Todos os Santos, było nieuniknione jak śmierć. To właśnie dziwność wyciekająca jak freon z ogromnej ilości spiętrzonego kwantowego złomu daje górze Nossa Senhora de Lixão otoczkę mitów i legend. Technologia kwantowa jest licencjonowana, a rządy monitorują jej wykorzystanie i ostro pilnują produkcji i utylizacji. Śmieci mają jednak własną moralność i własne prawa ciężenia – plastikowe obudowy nie różnią się aż tak bardzo od siebie; wywieź to na południe, bo nam się tu już przesypuje. Raz na parę miesięcy *catadores* zdarza się wykopać działającą kwantową macierz. W takie dni wieść rozchodzi się po mieście jak błyskawica, jak skandal. Oferty spływają nawet aż z Rio, z Belo Horizonte, z Kurytyby. Fia przyszła właśnie skontrolować świeży łup.

Rozdziera sobie mankiet dzwonów o jakąś ostrą krawędź. O mało co nie przeklina, lecz przecież nie wypada. Chłopcy z koszami, w podartych spodenkach i klapkach, nie zwracają na niego uwagi. Edson przysiada prawie na samym szczycie, zerka spomiędzy połamanych plastikowych szkieletów. Fia rozmawia z tymi dwoma facetami, którzy zawołali ją na bok na *gafieirze*. Pomiedzy nimi na odwróconej skrzynce stoi przysadzisty walec. Fia kuca, przygląda mu się swoimi iSzkłami, odwraca głowę ciekawsko jak papuga. Odrobinę za nimi stoi postać, której Edson nie kojarzy, wysoki facet o ostrych rysach, z włosami spiętymi z tyłu w przetłuszczony kucyk. Ma na sobie, kompletnie absurdalnie, szatę księdza. Ci *quantumeiros* to potrafią się wystroić jak pojebani. Mówi coś. Edson nie słyszy, ale Fia unosi wzrok i kręci głową. Tamten znów się odzywa, i znów Fia kręci głową: nie. Wygląda teraz na przerażoną. Edson, wstając, słyszy jakiś szmer za plecami. Kurtka spada mu z ramion. Dwie rozcięte poły zsuwają się z ramion wzdłuż rękawów, łopocą wokół mankietów. Wytrzeszcza oczy, zdumiony, oszołomiony, po czym odwraca się. *Bicha*-chłopak Titifreak robi gest rodem ze sztuk walki, kreśląc q-nożem w powietrzu świetlisty niebieski wzór. Zatrzymuje go nieruchomo, idealnie poziomo. Patrzy na Edsona spod obwisłej czupryny, ponad ostrzem. Chowa je do magnetycznej pochwy. Ranione powietrze pachnie ozonem.

– Wy *favelados* to za grosz kultury nie macie, nie?

Edson przestępuje z nogi na nogę, głupio, głupio, głupio, z ramion zwisa rozpruta biała skórzana kurtka.

– Mówiła, że masz nie iść, ale ty musiałeś, co? Wiesz, co ci powiem? Nie jesteś nikiem specjalnym. Przed tobą były takich dziesiątki. Ona lubi pewien typ chłopaków, ale gra w całkiem innej lidze. To nic nie znaczy. Co, myślałeś inaczej? To jest biznes, choćbyś się zesrał, nie ogarniesz, co my tu robimy, i wiesz co? Ciesz się. Naprawdę. Myślisz, że takie rzeczy dodają do chrupek? – Odsuwa połą kurtki, odsłaniając nóż. – Teraz sobie idziesz. I już nie wracasz. Zostawiasz ją w spokoju. Jesteś Sorocaba, co gra z São Paulo. W życiu

już jej nie zobaczysz. No. Idziesz. Idziesz, bo cię potnę.

Twarz mu płonie ze złości, w uszach dzwoni upokorzenie. Strząsa z ramion połówkę kurtki. Zawartość kieszeni niech zostanie. Nie będzie zginać grzbietu, żeby to pozbierać.

– *Bicha!* – krzyczy w próbie zachowania godności, schodząc po zdrażliwym rumowisku elektronicznych śmieci.

Nożownik wzrusza ramionami.

– Nie zawracaj dupy, *favelado*.

Trzeciego dnia Gerson przychodzi do swojego młodszego brata, szóstego syna szóstego syna i staje nad nim, kołyszającym się ze złością w hamaku obok biura. Nie odbierał od niego telefonów. Jedno jest pewne: to ta *puta*, ta *bicha* go odtrąciła. Trzy dni łazi wściekły po domu; trzy dni wywraca spodeczki z farofą i ciasteczka pozostawione przez Donę Hortense dla Bogini; nic nie robi; nic nie zarabia.

– Zejdź mi ze światła.

– Wiesz co, jakbyś miał choć w połowie takie jaja jak mówisz, tobyś zaraz tam wrócił, obojętne, machają q-nożem czy nie.

I Edson myśli: ma rację. Kurwa, kurwa, kurwa. Oraz: naprawdę źle ze mną, skoro Gerson ma rację. Trzydzieści minut później z zaułka za domem wypada zielonożółta endurka, ale nie ściskają jej zgrabne uda Edsona; jedzie Efrim, w krótkiej srebrnej sukience na ramiączkach, podobnej do tej, w której Fia była na *gafieirze* (choć Efrim w życiu nie przyzna się do naśladownictwa), w miękkich różowych kozakach do pół łydki z cielejącej skórki, z bujnym afro na głowie. I jeszcze jedna warstwa przebrania: zamienił się tożsamościami z Drobniakiem, najpewniejszym z jego alibi.

Podskakuje na pełnym śmieci podjeździe do walącego się centrum handlowego, gdzie *quantumeiros* stawiają swoją ciężarówkę. Okrąża zawaloną rampę wyładowniczą. Wodzą za nim wzrokiem matki i dzieci – uciekinierzy z niewoli za długi, kasta niższa nawet niż mieszkańcy faweli. Edson nie zostawiłby tu nawet pustej puszkę po coli, ale reputacja *quantumeiros* sprawia, że dzieciaki trzymają się z daleka. Wielki parking jest pusty. Efrim podpira się jednym różowym butem o asfalt, okręca motor, przyspiesza przez zachwaszczony parking, wyjeżdża na *rodoviq*.

Korek na długości trzech kilometrów, mówi informacja drogowa na jego chilli beansach, Efrim jednak przemyka się wzdłuż kawalkady ciężarówek z żywnością z Santos. Ponad autami i uwięzionymi w korku luksusowymi busami widzi dach naczepy *quantumeiros*, przechylony pod dziwnym kątem. Policja rozstawiła słupki i usiłuje machaniem przegonić wszystkich na jeden pas. Trzy radiowozy i jedna karetka, cała masa obrotowych pomarańczowych kogutów. Nad wszystkim krążą dwa drony z kamerami. Efrim, tłumiąc mdłości ze strachu, przeciska się yamahą pomiędzy samochodami. Nikt nie zauważy kolejnego gapia wśród tyłu wychylających się przez okna pasażerów.

Ciężarówka stoi przechylona, jakby nagle stopiła się pod nią droga. Linia cięcia

zaczyna się tuż poniżej zderzaka i przechodzi czysto przez kabinę, silnik i siodło. Na kole od strony kierowcy widać wyciętą z niego równą spiralę błyszczącego metalu. Efrim wie, że gdyby go dotknąć, przeciąłby skórę lepiej niż brzytwa. Ostry aż po poziom kwantowy. Cięcie idzie wzdłuż naczepy, kreśli ten sam dziwny wzór na tylnych kołach i wychodzi tyłem. Odcięty metal leży jakies sto metrów dalej na drodze. Z przeciętych przewodów cieknie płyn hydrauliczny i olej.

Pewnie było tak, myśli Efrim, sunąc motocyklem wzdłuż wraka *Catering* gotowego/chłodzonego. Gość czekał na poboczu, jak autostopowicz. Aristide pewnie go otrąbił: Za blisko stoisz, bałwanie. On jednak musiał być blisko, na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło, żeby rozłożył q-ostrze i poczekał aż ciężarówka przejedzie, robiąc cięcie. Na oponach będzie miało kształt krzywej wynikającej z przecięcia się ruchu obrotowego i prostoliniowego. Cud, że kierowcy udało się ciężarówce nie wywalić. W boku naczepy wycięte jest równe koło.

Analizuj, opisuj, odtwarzaj w myślach. Przestanie być realne. Przestanieś się bać. Przeciągłe spojrzenie na człowieka pod czarną folią będzie wynikać tylko z ciekawości. To nie jest płyn z hydrauliki. Jezdnia jest czarna od much. Nad wszystkim krążą czarne sępy. Spod folii wystaje ręka, wnętrzem do góry, błagając Anioły Ciągłego Monitoringu. Mankiet, srebrne spinki, dziesięć centymetrów eleganckiej marynarki. Wystarczy, żeby rozpoznać Titifreaka, a co dopiero złamane ostrze, prawie u nasady. Czyli walczył. Nie ma sensu szukać reszty noża. Jest w drodze do środka Ziemi.

– Ej ty tam, co się gapisz?

Przyłapany. Efrim podnosi bezradnie ręce. Pies wbija w niego wzrok zza lustrzanej szyby hełmu.

– No dawaj, zbieraj się stąd, bo cię zamknę za utrudnianie pracy policji.

– Dobrze dobrze dobrze – mamrocze Efrim, pochylając głowę.

Bo się gapił. Gapił się na sanitariuszy w zielonym i odblaskowym żółtym, wstawiających nosze do karetki. A na tych noszach ciało pod folią, ale folia jest za krótka i wystają stopy, majtające się bezwładnie stopy w butach. Efrim poznaje podeszwy tych butów. Ostatni raz widział je w drukarni na Todos os Santos, jak powstawały z warstwy po warstwie inteligentnego plastiku.

22-28 SIERPANIA 1732

Fé em Deus

Amazonka, powyżej Fortu Pauxi.

Moja droga Heloizo.

Nareszcie, siostrze, nareszcie – wypłynąłem na spokojne wody wielkiej Amazonki i znalazłem się w krainie mitów. Wyspa Marajó, w dawnych czasach będąca siedzibą wielu rozwiniętych szczepów Indian, jest wielkości Bretanii i Normandii razem wziętej, a mimo to mieści się swobodnie w ujściu rzeki. Codziennie przepływa przez nią tyle wody, co przez wszystkie europejskie rzeki razem wzięte. Nasz kapitan Acunha powiedział mi, że woda w morzu jest słodka w promieniu siedemdziesięciu mil od ujścia. Mimo to, Amazonka na całej swej długości opada jedynie o pięćdziesiąt sążni, a jej nurt jest tak powolny, że liść, który wpadł do wody na dusznym, pełnym wyziewów podnózu Andów Peruwiańskich, dopiero po miesiącu przepłynąłby pod kadłubem naszego Fé em Deus.

Kiedy tkwiłem w Belém na łasce i niełasce generał-gubernatora, każdego dnia stał mi przez oczyma La Condamine i jego ekspedycja, odpływająca z wybrzeża pod pełnymi żaglami. Teraz jednak nasz statek płynie w górę rzeki pod wodzą kapitana Acunhi, ponurego i wyniosłego rzeczniczego kupca, który jednak, jak zapewniono mnie w Belém, nie ma sobie równych w żeglowaniu po zdradliwych mieliznach i prądach, zmieniających się wiecznie w tym wielkim strumieniu. Mamy tyle manioku, fasoli, prochu strzelniczego i kul, wszystko to niezbędne, by wyposażyć ekspedycję w górę Amazonki – a zapewniono mnie, że tragarzy, przewodników i służbę znajdę w obfitości w São José Tarumás – nie mówiąc już o licznych skrzyniach z wyposażeniem badawczym – tak, że kapitan Acunha ciągle narzeka na zanurzenie swojej łodzi. Płyniemy jednak bardzo szybko – już zostawiliśmy za sobą wąskie przesmyki pod Fortem de Pauxis; przed sobą zaś mamy São José Tarumás. Tak daleko w głąb lądu wiatry są zbyt słabe, a rzeka zbyt kręta, byśmy mogli pokusić się o postawienie żagla, płyniemy zatem w górę potężnej Amazonki tylko siłą ludzkich mięśni za wiosłami, jak prawdziwa, klasyczna niewolnicza galera.

Niewolnictwo jest dla mnie czymś obcym, ci nieliczni, jakich widywałem w Paryżu, byli ciekawostkami; my, jako społeczeństwo praktykujemy subtelniejszą opresję senioratu. Boże uchoj, żeby do Francji trafiła tutejsza zaraza nękająca zwierzęta pociągowe! Nie ma ani dnia, by nie minęła nas flotylla powiązanych ze sobą tratw, wyładowanych, aż ledwie wystają z wody, ciągniętych przez zaprzężonych doń niewolników, mężczyzn, kobiet, dzieci, bez wyjątku czerwonoskórych i nagich jak ich Pan Bóg stworzył. Potworny jest ten ruch. Ceny w Belém do Pará są aż obraźliwie niskie; Indianin nie ma naszej odporności na choroby, a życie w engenhos jest tak ciężkie i trudne, że niewielu przeżywa tam dłużej niż pięć lat – i niewielu chce dłużej przeżyć. Taka gospodarka bardzo służy senhores de engenhos; niewolnik amortyzuje się w dwa mordercze zbiory trzciny cukrowej, potem stanowi już tylko czysty zysk. W pięć lat zdąży dwukrotnie się zwrócić, nie ma zatem bodźca, żeby nie zamęczać ich na śmierć. Mówią mi, że wielu Indian woli samemu ze sobą skończyć niż prowadzić taką egzystencję. A jednak podaż czerwonego mięsa znad wielkiej rzeki jest równie nieskończona jak jej nurt – całe nacje jedna za drugą się tu „spuszczają”, jak to nazywa obiegowy eufemizm.

Cóż mogę Ci napisać o moim towarzyszu podróży? Po pierwsze, jest dla mnie przywoitką raczej niż towarzyszem. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że to właśnie jego pojawienie się zapewniło mi zgodę na podróż w górę rzeki, że dopiero wtedy przydatność moich badań dla praktycznych, merkantylnych Portugalczyków zrównoważyła się z ich czułością na punkcie niepewnej władzy nad potężnym, przeważnie nieobjętym mapami i prawie całkowicie niebronionym terytorium, na które nasze królestwo tradycyjnie patrzy poządkliwym wzrokiem. Mniejsza jednak, to i tak najdrobniejsza z nieuprzejmości, by nie rzec, że pochlebstwo: uważają mnie wszakże za tak ważnego szpiega, że oddali mnie pod obserwację człowiekowi tak nadzwyczajnemu jak Ojciec Quinn SJ.

Znasz dobrze mój niewielki szacunek dla wierzących, od czasu do czasu spotka się jednak człowieka należącego do świętego obrządku, obdarzonego taką siłą charakteru, taką charyzmą i takimi przymiotami, że mimo woli zaczyna się spekulować: co na świecie mogło pchnąć tego człowieka do złożenia ślubów? I

Luis Quinn zdecydowanie się do takich zalicza. Pochodzi ze starego katolickiego rodu, wywłaszczonego i zmuszonego do zajęcia się handlem po objęciu tronu przez dynastię Orańską, jest potężny niczym niedźwiedź – Irlandczycy to rasa powolnych, nieokrzęsanych olbrzymów, wielce skłonnych do zamyśleń i biorących wszelkie urazy do siebie – a jednak w Ver-o-Peso, gdy urządziliśmy sobie udawany pojedynek, poruszał się z gracją, energią i oszczędnością ruchów, jakiej nigdy nie widziałem u żadnego z jego rodaków, a do tego z niepoprawną zajadłością, wskutek której przychodzi mi ochota spekulować, co popchnęło go do ślubów i habitu.

Jest też człowiekiem inteligentnym. Nigdy nie spotkałem jezuitę, który nie byłby w najgorszym wypadku dobrym rozmówcą, w najlepszym – świetnym intelektualnym adwersarzem. Zawsze też uważałem, że umysł osobliwie poszerzają języki obce – mówić to myśleć, język to kultura. Ojciec Quinn mówi dwoma dialektami swego ojczystego irlandzkiego, zachodnim i północnym; zna naturalnie łacinę i grekę, angielski, hiszpański, francuski, portugalski, włoski, jest w stanie porozumieć się w marokańskim arabskim, a utrzymuje także, że podczas rejsu z Lizbony nauczył się miejscowej lingua geral, języka tupi, którym na tych wodach mówi się powszechniej niż po portugalsku. Interesujące pole do namysłu, jak ta hałaśliwa gromadka języków musiała ukształtować to, co ma człowiek pod czaszką.

Wczorajszej nocy, w tej długiej i męczącej ciemności, która pod tą szerokością zapada wcześniej i nagle, pokazałem mu działający model Maszyny Rządzej. Zademonstrowałem, jak ciąg kart wchodzi do niej z podajnika i dyktuje, jak mają poruszać się nicielnice podnoszące nitki osnowy w krośnie.

– Tym oto sposobem najbardziej skomplikowany splot można przedstawić jako ciąg dziurek lub pełnych miejsc na kartach; matematycznie: coś lub nic, jedynek lub zero. W pewnym sensie, można sprowadzić cały ścieg do jednego ciągu cyfr; jedynek lub zer. – Poruszał urządzeniem, bawiąc się inteligentnie drewnianym mechanizmem, obserwując, jak kołeczki na nicielnicach wpadają w dziurki i obniżają osnowę, podczas gdy w miejscach nieprzeziurkowanych podnoszą ją. – Wyobrażam sobie, że byłoby możliwe użyć takich kart do odgrywania muzyki przez muzyczną maszynę – zauważył przenikliwie. – To o wiele bardziej elastyczny system niż te kołeczki w pozytywkach, jeden mechanizm mógłby odegrać każdą melodię, jaką da się przedstawić przez dziurki i pełne miejsca, jedynek i zera, jak to pan nazywa. Idealnie by się do tego nadał jeden z tych nowomodnych fortepiano, w swojej budowie nie tak znowu odległy od krosna. Takie muzyczne krosno, można by rzec.

Potem ja z kolei spekulowałem o innych zadaniach, które mogłyby skorzystać z automatycznego kierowana Maszyną Rządczą: łatwo byłoby uprościć obliczenia, a Jean-Baptiste, którego geniuszu wytworem była karta dziurkowana, stworzył zestawy kart, które potrafiły wykonywać operacje matematyczne tak skomplikowane, jak rozkład na czynniki pierwsze albo wyliczanie pierwiastka kwadratowego, znane jako męczące i czasochłonne.

– Muszę wyznać, że ta myśl przepęnia mnie intelektualną ekscytacją – powiedziałem Quinnowi, gdy staliśmy na rufie *Fé em Deus*, napawając się wieczorną odrobiną chłodu. – Skoro takie proste arytmetyczne obliczenia dają się sprowadzić do ciągu jedynek i zer, czy możliwe, aby cała matematyka sprowadzała się do tego prostego kodu? Czy wielkie newtonowskie prawa ruchu, jego reguły sił grawitacyjnych rządzących fizycznym światem, także dałyby się sprowadzić do zer i jedynek, czegoś i niczego? Czy ta prosta machina, gdyby dać jej odpowiednio duży stos odpowiednio podziurkowanych kart, byłaby w stanie wyliczyć cały wszechświat? Uniwersalna Maszyna Rządczą?

Długo nie zapomnę, co mi wówczas odpowiedział:

– Pana słowa, przyjacielu, niebezpiecznie zbliżają się do bluźnierstwa.

W jego oczach sprowadzałem cały potężny porządek Stworzenia i wszystko, co w nim zawarte, do czegoś jeszcze prymitywniejszego niż tępy mechanizm Newtona, gorzej: do ciągu jedynek i zer. Nie umknęła umysłowi tego przenikliwego człowieka sugestia, że zatem Ziemią i niebem da się zarządzać *ex nihilo*, z niczego, bez obecności Boga. Powiedział:

– Matematyka jest tworem umysłu, nie zaś umysł matematyki, a wszystko to jest wyrazem Bożej doskonałości.

Powinienem wtedy zrozumieć, że daje mi okazję, by przerwać, czy wręcz wycofać się z tego, co postrzega jako logiczne i według niego heretyckie konsekwencje moich spekulacji. Lecz nigdy nie potrafiłem oprzeć się zewowi rozległych krajobrazów abstrakcji umysłowych, wabiących, by biec po nich bez końca, jak koń, co się zerwał po latach w kieracie; a może jak te szalone, zdychające brazylijskie konie? Poprosiłem go, by rozważył to automatyczne fortepiano; ten sam mechanizm, który zamienia cyfry na kartach w nuty, dałby się odwrócić, by zamieniał uderzenia klawiszy w dziurki na kartach. Tym sposobem moglibyśmy uzyskać dokładny zapis występu muzyka w tym momencie i w żadnym innym, innymi słowy, na zawsze zachować intencję i myśl muzyczną pana Händla czy ojca Vivaldiego. I ten zapis dałby się powielić wiele razy, tak jak drukuje się księgę, stanowiąc trwałą pamięć koncertu, niecierpiącą na wady i niedostatki ludzkiej pamięci. Model jednego elementu umysłu: i tu zasugerowałem, że parę lat po rozpowszechnieniu się w przemyśle Maszyny Rządzej znajdują się sposoby, by zanotować także inne aspekty ludzkiego umysłu.

– Należy zatem dziękować Bogu, że nasze dusze to coś więcej niż proste liczby – powiedział Quinn.

Podniósł Maszynę; przez moment obawiałem się, że ciśnie ją do rzeki. Odstawił ją jednak na pokład, delikatnie, jak dziecko z kolką. – Model modelu umysłu. Pana maszyna, panie Falcon, z nas wszystkich uczyni niewolników.

Tak to już jest, że ludzki intelekt jest niewolnikiem doktryny, skowany i sprzedawany tak samo jak ci nieszczęśnicy, którzy mijali nas na ledwo wynurzonych z wody tratwach. Przywołuje się imię boskie, i to koniec dalszej dyskusji. Przeklęta jezuicka wyższość! Ta arogancja jego założenia, że zjadł wszystkie rozumy, że nie ma sensu dyskutować, bo rację mogę mieć tylko zgadzając się z jego doktryną. Więcej tej nocy nie rozmawialiśmy, położyliśmy się w hamakach, on, by odstraszać moskity dymem z potężnych cygar, które tak lubi, ja, by się pienieć i opracowywać argumenty i kontrargumenty, demaskować błędy logiczne i pustkę myślową. Bezowocne to; prawdy się nie odkrywa, prawda się ujawnia. Złości mnie niepomierne, gdy widzę człowieka o takich talentach i takim umyśle zredukowanego do stanu dziecka dogmatem swojej religii.

Niech Pan Bóg ma Cię pod opieką, moja kochana sestro! Przesyłam ucałowania dla Jeana-Philippea oraz małych Bastiena, Anette i Josepha – zapewne już całkiem spory z niego chłopak! Jean-Baptiste na pewno już wrócił do Francji i dochodzi do siebie po utracie krwi; przekaz mu moje najserdeczniejsze braterskie pozdrowienia. Po Sao José Tarumás będzie niewiele okazji do korespondencji, o ile w ogóle, więc to jest być może ostatni list, jaki ode mnie otrzymacie przed zakończeniem doświadczenia. Gdybyście widzieli się z Marie-Jeanne, przekażcie jej proszę te oto słowa. Na pewno dodadzą jej otuchy i pewności podczas naszej koniecznej rozłąki: „Przemyślałem wszystko i podjąłem decyzję: tak, chcę. Tak, całym moim sercem, tak”.

Całuję Was mocno,

Twój brat Robert.

Luis Quinn odbył o świcie pierwsze ze swoich ćwiczeń. *Fé em Deus* stała zacumowana długimi linami do północnego brzegu, dla ochrony przed ucieczką niewolników, choć ci spali przykuci do wiosła. Nad wodą zwijały się wiechcie mgły i zawisały na drzewach, schodzących gęstym lasem do popękanego, błotnistej brzegu. Rzeka była jak ocean, drugi brzeg niewidoczny za oparem powstałym z wydzielanego z jej głębi ciepła. Dźwięki niosły się nisko nad powierzchnią, zepchnięte warstwami ciepłego i zimnego powietrza; wydawało się, że dochodzą ze wszystkich stron jednocześnie i z wielkiej odległości. Quinn stwierdził, że wstrzymuje oddech, stara się uciszyć skrzypnięcia stawów i pulsowanie krwi, by rozłożyć na czynniki pierwsze splecione, niesione rzeką głosy. Pogańskie wrzaski wyjców nie przerażały go już tak jak pierwszej nocy po wyjściu z Belém, kiedy wydawały mu się piekielnym głosem Babilonu – żaby, owady, pohukiwania i skrzekot porannych ptaków, ale oprócz tego... chlupot? Wiosła? Natężył słuch, ale fale chłodu i ciepła stłumiły odgłos, wtopiły go w ogólny chór. Nagle wszystkie pozostałe zmysły przytłoczył zapach wodnej otchłani, chłodny i święty. Błogość tak intensywna, że aż sprawiała ból – Quinn musiał chwycić się nadburcia. Czuł, jak płynie rzeka, jak pod jego stopami obraca się świat. Był znikomą istotą, skąpaną w chwale i nic niewiedzącą, niczym orzech w grubej skorupie wiszący na gałęzi wielkiego drzewa. Zwrócił twarz ku perłowoszaremu, ukrytemu słońcu; potem przycisnął dłoń do serca. To grzech mieć Stworzenie przed Stwórcą. A mimo to... Oparł o reling swą oprawną w skórę książeczkę, rozsypał rzemień, otworzył zapisane odręcznie stronice. Innej natury radość, przyjemność, mozolne tłumaczenie *Ćwiczeń duchownych*{4} na irlandzki. *Drugi tydzień. Dzień czwarty. Rozmyślanie o dwóch sztandarach.* Loyola, ten wyrafinowany wojownik. Nieprzetłumaczalna gra słów{5}.

Nagły dźwięk tego głosu, gdy Quinn akurat przygotowywał się do wyciszenia, był jak

cios. Podskoczył, napierając na trzeszczący, niepewny reling.

– Proszę wybaczyć, ojciec. Nie chciałem przestraszyć.

Falcon stał na rufie statku, w połowie w cieniu płóciennego daszka. On także miał opartą na nadburciu książkę, szkicownik oprawny w miękką zamsz, w którym rysował węglem.

– Nasz generał uznaje świt za najlepszy moment do medytacji.

– Wasz generał ma rację. A o czym ojciec dziś medytuje?

– O dwóch sztandarach, Chrystusa i Lucyfera.

Luis Quinn podczas licznych przejęć i kolei swego życia uciekał się do nauk z *Ćwiczeń duchownych*. Na statku pocztowym z Coimbrzy do Lizbony warunki miał spartańskie, był na nim tylko kolejnym pakunkiem. Nękany ciszą rejs do Salvadoru był czasem na przygotowanie, naukę *lingua geral* oraz lekturę pism wielkich badaczy i misjonarzy. Powolna podróż wzdłuż wybrzeża do Belém do Pará – okazją do studiów nad swoim towarzyszem podróży i obiektem kontroli, tym drobnym, zajadłym człowieczkiem pełnym dziwnie poskładanych poglądów, wątpliwości i żywych, nieskrywanych emocji. Natomiast rzeka, owa domena tyleż czasu, co odległości, niby niezmienna, a jednak z oddechu na oddech ciągle inna, doskonale sprzyjała ćwiczeniu dyscypliny. – Poleca się nam wyobrażenie rozległej równiny pod Jerozolimą, na której stają wojska Pana Naszego pod jego sztandarem; i jednocześnie, tymi samymi oczyma umysłu, innej wielkiej równiny, pod Babilonem, gdzie pod sztandarem Kłamcy zebrane są siły Lucyfera.

– Naprawdę, proszę ojca, przepiękny poranek.

– I jak ojciec wyobraża sobie ten sztandar Lucyfera? – *Fé em Deus* budziła się; ruchy załogi wzbudzały w szklistej wodzie gęste zmarszczki.

– Oczywiście złoty, jak dumny ptak drapieźny z płomiennymi piórami i diamentami w miejscu oczu. Przecież Lucyfer był Panem Światła. Bardzo, bardzo piękny i uczyniony tak zręcznie, że diamentowe oko oczarowuje i uwodzi każdego, kto je zobaczy. Widzi w nim swoje odbicie i myśli: „Tak, tak, to moje odbicie i piękny jestem. Dobry. Znakomity”. Kogo przyciągnąłby taki sztandar, gdyby nie odbijał jego próżności i nie budził nadziei?

Falcon oparł się całym ciężarem o reling i rozejrzał wokół: mgła parowała, pojawiały się pasma błękitu.

– Ojciec ma znakomitą umiejętność obrazowania. Ja stwierdziłem, że muszę wspierać pamięć materialnymi pomocami.

Quinn zerknął na zeszyt doktora. Obie kartki pokrywał rysunek widzianego stąd brzegu, z linią drzew, niektórymi, wyższymi, sterczącymi poza linię koron, plataniną ptasich gniazd, strefami nadbrzeżnej roślinności – zarośla, z krzyżującymi się czarnymi liniami symbolizującymi *jacaré* schowanego za wybieloną słońcem, uschniętą gałęzią – nadbrzeżne trawy oraz połacie spękanego, odsłoniętego błota i mułu. Kapitan Acunha ciągle powtarzał, że nigdy nie widział, żeby rzeka była tak niska. Wszystko było opatrzone komentarzami i przypisami. Dziwnym odręcznym pismem.

– Nie mam zdolności do rysunku – powiedział Quinn. – Ale pana pismo jest dla mnie obce. Mogę zapytać, jaki to język?

– To kod, mojego własnego pomysłu – odparł Falcon. – Wśród uczonych nierządka jest chęć zabezpieczenia swoich notatek i obserwacji. Nasz fach jest pełen zawiści.

– Niektórzy mogliby uznać, że to zapiski szpiega.

– Czy szpieg pokazałby komuś, że pisze szyfrem? O! Proszę popatrzeć!

Quinn przeskoczył wzrokiem tam, gdzie pokazywał doktor, wychylony z zaciekawieniem przez poręcz. Tak, już miał powiedzieć, gdyby ów szpieg myślał, że w jego notatniki może ktoś później zajrzeć albo je ukraść.

Wypukłość na wodzie, wytryśnięta z sapnięciem rozpylona mgiełka, która opadła i rozproszyła się w drobne falki. Chwilę później wynurzyła się druga istota i zniknęła, pozostawiając mżawkę wydechu. Dwa kręgi fal spotkały się i przepłotły, to wzmacniając, to tłumiąc się nawzajem. Falcon popędził z rozwianymi połami surduta, falując luźnymi kartkami, ku bukszprytowi, którego się złapał i zaczął zawzięcie patrzeć na wodę przez swoje osobliwe okulary.

– Tam! Tam! – Dwa garbki przemknęły lukiem przez wodę, jeden za drugim, tuż przed statkiem, wydmuchując z płuc zużyte powietrze. – Wspaniałe, czy ojciec widział? Ten dziób, wyraźny szpic, prawie jak róg narwala. – Podekscytowany bazgrał węglami po papierze, nie spuszczając z oka bliskiego, zamglonego horyzontu. – *Boto*, amazoński delfin rzeczny... czytałem... widział ojciec, jaki miał kolor? Różowy, naprawdę różowy. *Boto* jest niezwykle i wydaje mi się, że niesklasyfikowany. Gdyby takiego złapać, to byłoby dopiero osiągnięcie, nazwać go *Cetacea Odontoceti falconensis*. Ciekawe, czy kapitan, załoga, czy choćby moja służba mogłaby takiego złapać do celów taksonomicznych. Mój własny waleń...

Luis Quinn wciąż wpatrywał się w wiszącą nad rzeką nieprzezroczystą, perłową mgłę. Jakaś płaszczyzna cienia, coś geometrycznego, wyłaniającego się z mgły przed *Fé em Deus*. Mignęła i znów zniknęła. Tam! Tam! Poczul zabobonne ciarki, gdy ciemna masa rysowała się wyraźniej, niczym otwierające się w mrok drzwi, a za nimi inny, nieco jaśniejszy szary prostokąt. A cóż to za rzeczny upiór? Bezgłośny, całkowicie bezgłośny, płynący bez jednej zmarszczki, jakby unosił się nad wodą. Otworzył usta, by krzyknąć, w tej samej chwili, gdy wachtowy wrzasnął ostrzegawczo. Kapitan Acunha na rufowym pokładzie przytknął lunetę do oka. Quinn zobaczył, jak wytrzeszcza mu się nieuzbrojone oko.

– Do wiosła! Do wiosła! – ryknął Acunha, gdy z rozfalowanej mgły wyłonił się dom.

Sternik i jego marynarze zaczęli sieć knutami jeszcze zaspanych wiosłarzy, a pływający dom tymczasem zakotłosał się na swoich pływakach i przedryfował o włos od *Fé em Deus*. Za nim zaś ten drugi dojrzany przez Quinna obiekt – kolejny dom pontonowy, a jeszcze dalej powoli wychynęła z mgły cała pontonowa wioska, obracająca się powoli w głębokim, silnym nurcie rzeki.

– Wiosła na port! – wykrzyknął kapitan Acunha, przebiegając środkiem pokładu z bosakiem, na miejsce gdzie dwa rzędy przykutych wiosłarzy gapiły się przez ramię na pozbawiony dachu dom pędzący na nich jak taran, narożnikiem naprzód. – Jak powiem, odpychacie. Jedna taka *puta* wystarczy, żeby nas zatopić. Ostrożnie, ostrożnie... Teraz!

Galernicy wysunęli wiosła jak najdalej w przód i na komendę kapitana pchnęli je w tył, łagodnie napierając na bok pływaka, na którym stał dom i powoli, mozolnie odsuwając go od burty statku. Kapitan dźgał bosakiem, szukając oparcia, napierając nań całym ciałem, z twarzą rozedrganą z wysiłku. Dziobowe wiosła przekazały dom rufowym – napięte mięśnie połyskiwały mokro pośród mgiełki. Dom o włos minął rufę *Fé em Deus* i zniknął na horyzoncie w dole rzeki.

Quinn patrzył z dziobowego pokładu na przepływające domy. Pływająca wioska rzucona w dryf. Ostatnie chatki, często poszczepiane przez podstępny nurt w duety i trójce, nosiły ślady pożarów: mało która miała dach, a niektóre były spalone aż do linii wodnej, sterczały z nich zwęglone drewniane kikuty, niczym powybijane zęby. Dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt. Sześć razy wiosłarze musieli odpychać od statku taki dom, za którymś tracąc jedną trzecią lewych wiosł. Nie wioska. Miasteczko. Opuszczone miasteczko, porzucone, splądrowane, zniszczone.

– Halo, wioska! – zagrzmiał Quinn, tubalnym, wprawionym podczas żeglugi głosem, który poniósł się nad gładką powierzchnią wody. I w *lingua geral*: – Hej, wioska!

Nikt nie odpowiedział ani słowem, nie zaszczekał choćby pies, nie chrząknęła Świnia. Wtem dom, spalony prawie do linii wodnej, obrócił się w nurcie i przez ziejące wejście mignął Quinnowi ciemny przedmiot i unosząca się nad nim blada dłoń.

– Ktoś tam jest! – krzyknął. – Jeszcze żywy!

– Rwać kotwicę! – zawołał Acunha. Zagrzechotały handszpaki kabestanów. Kotwice uniosły się z wody, szare i oślizłe od szlamu. – Sterburta naprzód! Na komendę. – Załomotał bęben, wiosła unosiły się i opadały. *Fé em Deus* skręciła przez stalowoszarą wodę. – Wszyscy wstecz.

Galernicy naparli na wiosła. *Fé em Deus* wyrwała naprzód, wyprzedzając wypatrzony przez Quinna dom. Acunha zręcznie komenderował wiosłarzami, by przeprowadzić statek pomiędzy dryfującymi, kręcącymi się pontonami.

– Jeszcze raz, chłopcy! Mocniej!

Ostatni wysiłek i *Fé em Deus* ustawiła się obok. Quinn wyteżył wzrok; widać było człowieka leżącego na podłodze pomieszczenia, które, wnosząc po przewróconych figurach i osmalonym ołtarzu, musiało być kościołem. Tropiciele Acunhi, co do jednego drobni, zwinni Pauxi, wskoczyli tam z linami i przyciągnęli dom bezpiecznie do statku.

Quinn przeszedł na tratwę w ślad za Acunhą. Stopy ślizgały mu się na mokrym, zwęglonym papierze, gdy szedł przez zawaloną, wciąż dymiącą, wciąż ciepłą ruinę. Acunha i Pauxi klęczeli wokół półprzytomnej kobiety, przyciskającej do siebie niczym dzieci strzępy habitu karmelickiej postulanki. *Caboclo*, sądząc po kościach policzkowych i kształcie oczu – twarz miała zbyt poparzoną, by rozpoznać cokolwiek ponad to. Gapiła się nieprzytomnie w pierścień otaczających ją twarzy, lecz kiedy padł na nią cień Luisa Quinna, wydała przenikliwy krzyk, od którego nawet kapitan Acunha się odsunął.

– Co, co się stało, moja córko? – zapytał Quinn w *lingua geral*, klękając koło niej; lecz nie odpowiedziała, nie mogła odpowiedzieć, odepchnęła jego błogosławiące dłonie, parskając ze strachu.

– Niech ojciec ją zostawi – polecił Acunha. – Sprowadzić doktora Falcona ze statku.

Pomogli mu przejść przez wąską szczelinę między łodziami.

– Jestem geografem, nie lekarzem – mruknął, ale i tak ukląkł nad siostrą. – Cofnijcie się, cofnijcie, niech ma trochę powietrza, niech widzi światło.

Po krótkim badaniu podzielił się wnioskami z Quinnem i kapitanem.

– Jest okropnie poparzona na znacznej powierzchni ciała; nie wiem, czy nawdychała się ognia, ale oddech ma płytki, nierówny i ciężki od flegmy: w najlepszym razie płuca ma zniszczone dymem. W Lyonie widziałem wiele pożarów tkalni, zdarza się tam samoistny zapłon pyłu bawełnianego. Dobrze mi wiadomo, że najczęściej to właśnie dym zabija. Tu jednak, obawiam się, że najgroźniejsze jest to. – Pokazał botaniczną pensetkę; trzymał w niej maleńkie białe jajeczko wielkości ziarnka ryżu.

– Jajo gzika – stwierdził Acunha.

– Istotnie, sir. Zaległy jej się we wszystkich oparzeniach, niektóre już zaczęły się nawet wykluwać. Można z tego wywnioskować, że wioskę podpalamo nie mniej niż trzy dni temu.

– Jezusie i Mario, one ją zjedzą żywcem. – Acunha przeżegnał się, ucałował dwa palce.

– Obawiam się, że niewiele możemy zrobić, żeby zmniejszyć jej cierpienia. Kapitanie, w Belém do Pará widziałem, że używa się do tego ziołowego leku, nazywa się *acculico*, to ziele o działaniu pobudzającym, ale także znieczulającym. To zapewne pomogłoby tej kobiecie.

Kapitan Acunha pochylił głowę na znak potwierdzenia.

– Galermistrz ma zapas w swoim szabeltasie. Pięknie dodaje iskry niewolnikom przy wiosłach.

– Świetnie, świetnie, parę kulek powinno wystarczyć. A teraz trzeba ją przenieść. Delikatnie, delikatnie.

Za pomocą hamaka zawieszzonego na bambusowym drągu przenieśli postulantkę, najostrożniej jak mogli, na *Fé em Deus*, choć nadal krzyczała i płakała przy każdym szarpnięciu, gdy odsłonięte rany ocierały się o materiał. Niewolnicy złożyli ją pod płóciennym daszkiem na rufie. Falcon podał jej liść i lamentsy szybko się uspokoiły, zastąpione monotonnym, gorączkowym, nieprzerwanym mamrotaniem.

Quinn pozostał na łodzi-kościele. Ukląkł przed ołtarzem, przeżegnał się i podniósł jeden z nadpalonych papierów. Zapis nutowy, msza autorstwa Tassary z Salvadoru. Na większą chwałę Pana. Prosta, nadrzeczna świątynia; Quinn minął wiele takich przy pływających wioskach na *várzei*, sezonowo zalewanych terenach na rzekę, wznoszących się i opadających razem z wodą, na pływakach. Były wszystkie, bez wyjątku, posterunkami handlowymi lub zaopatrzeniowymi, służącymi poruszającym się po rzece statkom, wyprawiającym się daleko w głąb kraju; zawsze miały kapliczkę w postaci prostego pontonu z budowlą z drewna i sitowia, podwyższeniem służącym za prezbiterium, rogami i grzechotkami zamiast zwołujących wiernych dzwonów. U stóp ołtarza leżał zdarty zeń obrus, wyszyty w błyszczące, fantastyczne wyobrażenia czterech Ewangelistów, ozdobione warkoczami i wplecionymi piórami. Był na wpół spalony. Można było wziąć za niego godziwą cenę na dowolnym wodnym targowisku, a jednak profanatorzy postanowili go

spalić – spalić wszystko.

To była kara, sąd, pomyślał.

Ołtarz był cały zasłany grudkami rozmiękłych od deszczu ludzkich odchodów. Quinn zmiotł je wszystkie, oczyścił stół liturgiczny strzepami dawnego obrusa, dławiąc się od smrodu nieczystości, dymu i mokrego popiołu. Przyniósł krzyż ze stosu na wpuł spalonego śmiecia, gdzie go ciśnięto. Był równie misterny i piękny jak obrus; precyzyjnie wyrzeźbione i malowane paneau przedstawiały stacje Drogi Krzyżowej. Quinn pocałował paneau z Chrystusem Ukrzyżowanym pośrodku, przytrzymał krzyż przy ustach przez dłuższą chwilę, potem dopiero odstawił na miejsce. Cofnął się o krok, skłonił głowę, wreszcie ukląkł i po raz kolejny się przeżegnał.

Przewrócony krzyż. Pretekst do Sprawiedliwej Wojny.

Postulantka nie była w stanie znieść obecności Quinna, póki ten nie przebrał się w białą koszulę i spodnie.

– Boi się mojej szaty, nie twarzy – zauważył, zapalając świece przeciwko moskitom. – Misja karmelicka, biedna bardzo, chociaż wzorują się na jezuitach. Muzyka w kościele, ściany z gliny i tak dalej. Kto by atakował taką nadrzeczną misję?

– Na pewno nie *bandeirantes*, co to to nie. – Acunha pokręcił głową. Był krępy, przysadzistym człowiekiem, o paskudnej cerze i sztywnych, tłustych włosach, z gęstą brodą; raczej handlarz niewolnikami niż kapitan statku. – W życiu by nie zaatakowali pływającej wioski.

– Czasy są takie, że wielki jest popyt na ciała – stwierdził Quinn.

Acunha łypnął na niego oczyma ciemnymi jak u małpy pośród gęstwiny zarostu.

– To byli Holendrzy, holenderskie łotry, ciągle ich ciągnie do północnego brzegu! Rwać kotwicę! Rwać, płynmy stąd, za długo już tu tkwimy.

Prosty, wydany bez namysłu rozkaz; Quinn jednak usłyszał w jego głosie nutkę niepokoju. Holendrzy to kupcy, nie handlarze niewolników. Atak nastąpił trzy dni temu. Ludzie porwani z tej wioski musieli już ich minąć, anonimowi, nierozpoznani, nawleczeni na drut przeciągnięty przez ucho lub nos, jak przykute do pługa zwierzęta.

Wołania znad wody; Pauxi-zwiadowcy opłynęli pozostałe spalone domy i wrócili z wieściami, które przekazali Acunhi krótkimi, urywanymi słowami jakiegoś języka, brzmiącego jak dźgnięcia nożem.

Acunha przywołał Quinna do siebie.

– W innych domach znaleźli ciała zakonników – powiedział półgłosem.

– Nie żyją – odparł Quinn.

– Oczywiście... i strasznie zmalretowani. Okropnie. Ohydnie.

– Nie muszę wiedzieć – odpowiedział z naciskiem Quinn. – Sprofanowali... zajrzałem do kościoła... ołtarz, odchody, ludzkie odchody...

Podszedł do nich Falcon.

– Zaczęła mówić.

– Jakieś informacje? – zapytał Quinn.

– Majaki. Wizje. Cały czas powtarza się halucynacja o sądnych aniołach, aniołach-mścicielach, całym zastępie. Stopami dotykali koron drzew. Srebrne i złote anioły. Mnisi i świeckie siostry wyszli im na spotkanie. Anioły powiedziały, że ich osądziły i oceniły niedostatecznie, po czym zaczęły siec wioskę ognistymi mieczami. Ona sama schowała się pod ołtarzem, gdy anioły paliły kościół wokół niej. Resztę zebrano, powiedziano im, że zawiedli i że będą sprzedani w niewolę.

– Anioły? – zapytał Quinn.

– Jej umysł jest w strasznym stanie.

– A mnie to mimo wszystko kojarzy się z legendą z Salvadoru, o aniołach walczących nad Pelourinho świetlistymi mieczami. Aniołach, które sprowadziły końską zarazę.

– A przecież nosi ojciec habit...

– Towarzystwo Jezusowe nie zna habitu. Nasz strój to tylko zwykła księży szata, zgrzebna, prosta, praktyczna.

Spod daszka dobiegł suchy, łamiący się krzyk. Quinn pośpieszył do karmelitki, uniósł jej głowę, żeby napić kobietę wodą z cynowego kubka. Falcon patrzył, jak delikatnie zwilża gąbką poranioną twarz i oczyszcza ropiejące rany z jajeczek gzików. Litość, wściekłość, smutek, bezradność – sam był wstrząśnięty miotającą nim gwałtownością emocji i skomplikowaniem ich wzajemnych wpływów. „Brazylia, czyś oszalał?!” – wykrzyknął Orsay z Akademii, gdy Falcon zwrócił się do niego o sfinansowanie ekspedycji. Chciwość, próżność, zachłanność, przemoc i pogarda dla życia, we wszystkich wielkich krajach świata tego są to grzechy. W Brazylii zaś gorliwie praktykowane cnoty.

Znużony, mający dość świata Falcon przeszedł między przykładającymi się do wiosł skutymi niewolnikami i położył się w przewieszonym na dziobie hamaku. Niewolnicy, statek, rzeka i jej nieuchwytni mieszkańcy, splądrowane *aldeie* i zniszczone misyjne kościoły, były tylko trybami i blokami ogromnego, mrocznego *engenho*, wciąż nieubłagane mielącego i wypluwającego towar na handel. Budowanie państwa, oświecanie i rozwijanie tubylców, tworzenie kultury, nauki, sztuki – wszystko to poszło tutaj do śmieci: jedynym kryterium było bogactwo, prywatny majątek i awans. W całej Brazylii – ani jednego uniwersytetu, ani choćby prasy drukarskiej. Wiedza była domeną szlacheckiej, królewskiej Portugalii. Brazylia ma mieć grzbiet przygięty do kieratu.

Peças napaarli na wiosła, *Fé em Deus* popełzła potężną rzeką. Falcon patrzył na Quinna siedzącego z okaleczoną kobietą. Chwilami z nią rozmawiał, chwilami w ogromnym skupieniu czytał swoje *Ćwiczenia duchowne*. Falcon próbował naszkicować w dzienniku wyprawy swoje wspomnienia z pływającej wioski. Płaszczyny i krawędzie z mgły i cienia, nic nieznaczące, hieratyczne.

To rzeka strachu, napisał. Wyształcona dusza stroni od melodramatyzmu, lecz ta Brazylia zmienia hiperbolę w rzeczywistość. Wisi tu duch, groźny, tłamszący, przerażający. Wysysa z serca energię równie niezawodnie, co potworne gorąco i wilgoć, bezlitosne owady i codzienne ulewy; deszcz ciepły jak krew, który mimo to mrozi do szpiku kości. Stwierdzam, że jestem prawie gotów uwierzyć we wszystko, co się o Amazonii opowiada: że boto to coś w rodzaju syreny i wychodzi z rzeki, żeby wziąć sobie ludzkie kochanki i splodzić dzieci o różowej skórze; że curupaira, strażniczka lasu, ma stopy skierowane w przeciwną stronę,

aby mylić myśliwych. W te upalne, bezsenne noce bardzo łatwo jest usłyszeć uakiego, ogromnego jak statek, pędzącego przez nocną dżunglę, z wiatrem, który wygrywa dziwną melodię na fletowych otworach w jego ciele. A jeszcze kobiety-wojowniczkę, od których (mylnie) nazwano tę rzekę, same Amazonki?

Cienie wydłużyły się, zapadł zmierzch, *Fé em Deus* rozbrzmiało okrzykami, jak to kotwiczący na noc statek. Falcon poczuł się stary, wąły i chudy jak zasuszony patyk, bliski śmierci. Postacie na achterdeku, najciemniejsze ze wszystkich, jak atrament na tle indygo. Palmowe knoty w naczyniach z terakoty rysowały w przestrzeni studia twarzy Quinna, modlącego się nad umierającą kobietą. Falcon poznawał te gesty, te ruchy warg.

Quinn przyszedł po świeży dzbanek z wodą. Falcon zapytał go cicho:

– Ojciec udzielił tej kobiecie ostatniego namaszczenia?

Quinn pochylił głowę.

– Tak.

Lęk, że jest tylko wycięciem na pasku sunącym przez jakąś duszną, napędzaną krwią maszynię, nie pozwalał mu łatwo zasnąć. Jednakże, gdy delikatne kołysanie *Fé em Deus* sprawiło, że zafalowała nad nim rozłożysta połać południowych gwiazd, zasnął i śnił o aniołach, wielkich jak burzowe chmury, sunących powoli acz nieubłaganie przez koryta i dopływy Amazonki, z palcami u stóp wielkości żagli, kreślącymi w białej wodzie spienione ślady.

Rano postulantki nie było na statku.

– Ojciec był przy niej, jak to się mogło stać? – Głos Falcona zabrzmiał oskarżycielsko.

– Spałem – powiedział po prostu, łagodnie, Quinn.

Falcon się uniósł.

– Ale gdzie ona jest, człowieku? Była pod twoją opieką.

– Niestety, chyba wpadła do rzeki. *Acculico* przestało działać. W obłędzie spowodowanym cierpieniem mogła ze sobą skończyć.

– Ależ to jest desperacja, to grzech śmiertelny.

– Wierzę w łaskę i miłosierdzie Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Kłamiesz, jezuito, powiedział do siebie Falcon. Ty jej pomogłeś; wyznała ci ten ostatni, śmiertelny grzech, a ty ją rozgrzeszyłeś. Nie powstrzymałeś jej. A może jej nawet pomogłeś, z hamaka, na burtę i przez reling do miłosiernej wody?

– Gorzko ubolewam, że nie byłem w stanie uratować naszej bliźniej – powiedział Quinn, jakby odczytując jego wątpliwości. – Będę się modlić za spokój jej duszy, kiedy dotrzemy do São José Tarumãs, a sam odbędę pokutę. A teraz, jeśli pan pozwoli... zaniedbałem swoje *Ćwiczenia Duchowne* i muszę się nimi zająć.

**ŚWIĘTA PANI,
KTÓRA SIĘ UKAZAŁA**

30 MAJA – 4 CZERWCA 2006

Wyznawcy Santo Daime jeździli niezłymi samochodami, skandynawskimi, niemieckimi, lepszymi japońskimi. Stały w dziesięciu rzędach wokół prywatnej siłowni na Recreio dos Bandeirantes. Parkowacze myli okna i odkurzali w środku; świeżo nawoskowane przez nich karoserie przyciągały do opływowych kształtów żółty blask parkingowych latarni. Prywatna ochrona w beretach, ze spodniami wsuniętymi w wojskowe buty, patrolowała dwójkami, z dłońmi swobodnie spoczywającymi na lekkiej broni maszynowej. Kobieta z blond pasemkami ściągniętymi boleśnie do tyłu pod zielonym beretem trzy razy czytała list polecający Marceliny. Na naszywce na czapce miała dłoń w kolczej rękawicy ściskającą skrzyżowane pioruny. Trochę przegiecie, pomyślała Marcelina. Kobieta zabrała jej cyfrowego asystenta i komórkę.

– Żadnych zdjęć.

Jej kolega, oprych z wygoloną czaszką, napadł na taksówkarza, zaczął porównywać jego numer rejestracyjny z koncesją, pomrukując do mikrofonu na kołnierzu jakieś groźne bzdury. Marcelina nie cierpiała ochroniarzy. Przez nich odbiła się od zbyt wielu o wiele ciekawszych wejść niż to. Lecz nagle przez pachnące, chłodne powietrze parkingu usłyszała falę bębnow i poczuła, że rytmy Zielonego Świętego zaczynają na nią działać.

W hallu po raz kolejny skontrolował list *abiá* z białą szmatą zwiniętą wokół głowy w luźny turban. Bardzo młody i bardzo stuprocentowo *alva*. Marcelina podejrzewała, że tak wygląda większość *ião* kościoła Barquinha do Santo Daime. Sam nie miał pojęcia, co czyta.

– Ten list pozwoli pani wejść do *terreiro*. Potem już wszystko zależy od pani, moja przysługa na tym się kończy.

Raz gdzieś wejdiesz, a znów tam pójdziesz. Po raz drugi w tym tygodniu Marcelina pojechała łukiem nad zatoką Guanabara, żeby zostać poczęstowaną herbatą ziołową w wilgotnym, aromatycznym buduarze Feijão. Postawiła porcelanową japońską czarękę na niskim plastikowym stoliku i nie tknęła jej więcej. Naćpałeś mnie, nakarmiłeś świętymi sekretami? Wyczuwała jednak, że Feijão przez jakiś czas był blisko z Barquinhą; potem jakoś się poróżnili i wtedy przypomniał im o jakimś niewygodnym długu. Taka intryga, i wszystko to dla upadłego bramkarza.

Exu, Pan Rozstajnych Dróg, stał po obu stronach podwójnych drzwi prowadzących na boisko do halówki – tanie, lane z betonu figury bóstwa w jego aspekcie *malandro*; wyszczerzony, krzykliwie pomalowany *preto* w białym garniturze, panamie i pantoflach. Marcelina pchnęła drzwi. Bębnienie uderzyło ją w twarz.

Uwielbiała to szaleństwo tutejszych domorosłych religii; w Nowy Rok lubiła wychodzić ze swojego bloku frontowymi drzwiami i zatracać się w chaosie dwóch milionów napierających na siebie dusz na Copacabanie, rzucając kwiaty w fale na ofiarę

dla Pani Morza. Potem nad morzem przez tydzień śmierdziało wyrzucanymi na plażę gnijącymi płatkami, Marcelina zaś biegła po nich bosą, czując gołymi stopami pamięć wody tego szaleństwa. Najprawdziwsze religie to te, które najbardziej zbliżają się do tego, co ekstatyczne, irracjonalne, a Santo Daime pod tym względem był mniej absurdalny od innych. Klimat w sali był napięty, pozbawiony tchu, obcy. Wiedziała, że wierni tak bębnią, tańczą, wirują od wczesnego wieczoru. To już niedługo. Jej wystarczy, że będzie obecna na samym trzecim akcie.

Znalazła sobie miejsce pod niską, zakrzywioną ścianą boiska do halówki, wśród szurających nogami, unoszących ręce wiernych. Gdy tancerz ze środka, wirując, wracał pod ścianę, inny, z zamkniętymi oczyma, wchodził spiralą na jego miejsce, bosymi stopami marszcząc starannie ułożoną na podłodze folię.

Marcelina wiedziała, do czego ona służy.

Wszyscy wierni mieli na sobie coś białego – minimum był biały turban *abiás*, czy biała tunika nowicjuszy, z czegoś, co Marcelinie wyglądało na wstrętne, błyszczący, klejący się elektrostatycznie poliester. Rzucaliby się wśród nich w oczy, ale wierni byli już tak nakręcenii dwuipółgodzinnym bębnieniem i tańcem, że i Godzilli by nie zauważyli. Choć jeszcze bardziej rzucaliby się w oczy starszy, czarny były bramkarz. Rozejrzała się po sali. Białe mięsko, bielsze nawet niż jej niemiecko-*carioca* DNA. Dobrze rozumiała, jaką atrakcją dla białej klasy średniej, zamkniętej za płotami, kamerami i ochroniarzami, jest wszystko co szamanistyczne, wspólne i pozbawione hamulców. Dziki świat, duch z głębi dżungli, ale w rozsądnych granicach i oddalony o dwadzieścia minut drogi samochodem, w co drugi wtorek wieczorem. Uniosła nieco brwi, widząc garstkę Ogólnonarodowo Rozpoznawalnych Twarzy – dwie gwiazdki telenowel i jedną popu, słynną z naśladowania wszystkiego, co zrobiła Madonna, ale w stylu *brasileiro*. Nic dziwnego, że ochroniarki w beretach rekwirowały aparaty. Marcelina zabawiała się, przeliczając, ile magazyn „Caras” zapłaci za zdjęcia nieuniknionego zakończenia obrzędu.

Przykrytą białym płótnem urnę ustawiono na małym ołtarzu pod pergolą ocieniającą pole karne. *Bateria* stała za linią bramki: jak na białych, grali całkiem nieźle. Bardzo odklejona dziewczyna bębniła w zawieszony na biodrze wielki bęben. Wysoki facet o długich, siwiejących włosach spiętych w kucyk, z jeszcze bardziej siwą brodą Świętego Mikołaja – to mógł być tylko Bença Bento. Działacz ekologiczny, jak dowiedziała się, robiąc wywiad. Pojechał bronić Roraimy i wrócił, spotkawszy Boga. Albo co tam według Santo Daime rządzi światem. Boską siłę. Ciekawe, ile z tych wyglansowanych terenówek przed wejściem jest na biopaliwa. Bença Bento był rozluźniony, jakby siedział we własnym salonie, gawędził sobie przyjaźnie z *alabé baterii* i *ekedi*, którymi były prawie bez wyjątku ubrane na biało kobiety po menopauzie, poruszające się machinalnie, choć sztywno do rytmu bębnow. W chwilowym przeblasku wyobraźni Marcelina wyobraziła sobie wśród nich własną matkę i jej organy do bossa novy akompaniujące *baterii*. Kolejny przeblask: chwilowy kontakt wzrokowy z postacią po drugiej stronie *barracão*. Głowę miała całkowicie owiniętą białym turbanem, tak że widać było tylko oczy. Nie wiedziała, kobieta to czy mężczyzna, lecz oczy były jednocześnie znajome i niepokojące. Odwróciła

wzrok. Rytm zmienił się, tancerze, luźno wywijający rękoma, spoceni od stóp do głów, wrócili na obrzeża boiska. Bença Bento wszedł do pergoli i zdjął z urny biały obrus.

Zaraz się zacznie komunia. *Eguni* wyszli naprzód z rurami plastikowych kubeczków z supermarketu, kalibru na *cafezinho*. To też niespecjalnie eko. Czemu jesteś taka szydercza? – zapytała sama siebie Marcelina, gdy kobiety podeszły do urny i zaczęły napełniać kubeczki. To, co ty uprawiasz w ogrodzie za murem na Silvestre, z pieśniami i berimbau, tak strasznie się znowu różni?

Muzyka umilkła. Bença Bento uniósł ręce.

– W imię Santo Daime, Zielonego Świętego i Świętej Pani Roślinnej Jedności, podejdźcie bliżej, przyjmujcie z miłością i jednoczcie się z porządkiem wszechświata.

Wygląda jak Christopher Lee jako Saruman, pomyślała Marcelina i zachichotała. Wierni zrobili krok w przód, po czym puścili się biegiem. *Cariocas* z klasy średniej napadli na sztywne damulki pełniące rolę *eglinów*, jeden przez drugiego wyciągali ręce, przepychali się, wrywali im kubeczki z naparem z ayahuaski. Marcelina zauważyła, że *abiás* trzymają się z tyłu, podobnie jak Turban Groźne Oko. Jej najbliższy sąsiad, chudy trzydziestoparolatek, brzydki i plackowato łysiejący, wrócił, oczy miał wytrzeszczone, źrenice zwężone do rozmiaru główek od szpilki pod wpływem halucynogennej herbatki. Dostrzegła skurcz i odsunęła się w tył w samą porę, żeby uniknąć parabolicznego strumienia wymiocin spadającego na plastikową płachtę.

Prawdziwi *iãos* powstrzymywali wymioty, efekt uboczny mieszanki leśnych pnączy i krzewów, znanej jako Zielony Święty i przynoszącej tyleż błogosławione oczyszczenie, co halucynacje, którymi siekł płyty czołowe jak biczem. *Bateria* znowu zabiła – Marcelina zauważyła, że ani oni, ani *bença* nie brali Daime – wierni zatańczyli, zawirowali, każdy pogrążony we własnych halucynacjach. Niektórzy tarzali się konwulsyjnie po brudnej folii – *bolar*, opętani przez duchy spoza fizycznej rzeczywistości. Nastolatkwie w bieli, chłopcy i dziewczyny, w białych turbanach i białych koszulkach klęczeli razem z nimi – to byli *ekedi*, którzy chronili ich przed podeptaniem przez innych wiernych.

Marcelina brała Daime – albo coś podobnego do niego jak dwie krople wody – dwa lata temu podczas pracy nad *Najdziwniejszymi religiami świata* w koprodukcji z National Geographic Brazylia. Katolicyzm w każdym razie kasował z palcem w nosie. Patrzyła teraz, jak laska, która chce być Madonną, i dwie gwiazdki telenowel rzygają ekstatycznymi strugami na podłogę. Kabałę też kasował, tak swoją drogą. Zastanowiła się machinalnie, kto tu ma umowę na sprzątanie. W całej Brazylii nie było takiej kasy, za którą podjęłaby się ścierania halucynogennych rzygów.

Poczuła się obserwowana; obejrzała się przez ramię; Groźne Oko wychodził z boiska. Mało brakowało, by go chwyciła i zapytała: „Ej, co jest?”. Wzdrygnęła się. Na tym boisku wszystko się może zdarzyć; sama doświadczyła kiedyś potęgę Daime. O ile to był Daime.

Odczekała, aż msza się skończy, postawią wiernych na nogi, zdejmą z nich brudne, białe szaty i wrzucą je do worków na śmieci, a potem każą im odejść w pokoju. Pozwalacie im prowadzić w takim stanie? – pomyślała. Ale policja z *Recreio dos Bandeirantes* ma na głowie ważniejsze rzeczy, niż zgarniać bujających w kosmosie białasów, którzy i tak będą

w stanie zapłacić *jeitinho*: muszą pilnować, żeby fawela znalazła swoje miejsce. Marcelina przeszła przez folię, którą *ekedis* już na środku zwijali. *Bateria* pakowała bębny.

– Pan Bento?

Bença miał wielkie brwi czarownika, które uniósł w szczerym powitaniu.

– Marcelina Hoffmann, jestem producentką w Canal Quatro. – Podała mu wizytówkę, przekazał ją *egun*. – Od Feijão.

Teraz inny ruch brwiami.

– Ano tak. Dzwonił do mnie, że pani przyjdzie. Ale nie pomyślałem, że podczas mszy.

– Próbuję zrobić taki program, w którym odnajdujemy Moaçira Barbozę i wybaczymy mu Maracanaço. – Sama już prawie wierzyła w to kłamstwo. – Feijão powiedział mi, że Barbosa przychodził kiedyś do tego *terreiro*. Zatem przysłałam, bo miałam nadzieję, że go tu zastanę.

– Nie zastanie go pani.

Nadzieja Marceliny zachwiała się, jakby dostała nagłym *meia lua de compass* którego nie przewidziała, bo miała za mało *malicii*.

– Przykro mi, pani Hoffmann, że jechała pani na darmo.

– Feijão mówił, że Barbosa kiedyś się u was udzielał.

– Feijão za dużo mówi. I jak się pani zapewne domyśla, w wielu kwestiach się z nim nie zgadzamy.

Zmysł detektywistyczny Marceliny rozpędził się: jakiś skandal pomiędzy dawnym masażystą Fluminense a przywódcą wziętego, bogatego i mającego pozycję wśród klasy średniej kościoła Daime? Uczucie pomysłów wirujących wokół niej jak burza liści – za to odpowiadał odwieczny demon, Saci Pererê, jednonogi, w czerwonym kapeluszu, z fajką, demon przewrotności i przeciwieństwo Nossa Senhory da Valiosa Produção; za każdym razem, gdy pomysł odbił się od niego, umysł pędził, żeby go dogonić, podskakiwał, rzucał się na każdą ideę, jaka przeleciała mu w zasięgu ramion, żeby udowodnić samemu sobie, że jeszcze jest kreatywny, jeszcze ma „to coś”.

– A nie wie pan, dokąd on wyjechał?

Bença był jak szary kamień.

– A powie mi pan chociaż, czy on żyje?

– Pani Hoffmann, my już kończymy.

Ekipy *ekedi* atakowały boisko mopami i wiadrami. Marcelina wyobrażała sobie, że wyciska z *Bençy* Bento tę informację. Kłamiesz, stary dziadu, gadaj, gdzie on jest. Brygadzie od Wiader pewnie dałaby radę, ale dziewczyny ze spodniami wpuszczonymi w buty i lekką bronią automatyczną to zupełnie inna liga. Pierwsza zasada telewizji według Heitora: nigdy nie dać się zabić dla programu.

Ale pokonana nie była.

Miała wciąż w uszach ten wysoki pisk, bliski łez, którego nie słyszała od czasu, gdy pierwszy raz weszła na *rodę*, pełną spermy i *jeito* – i została upokorzona na oczach całego *fundaçã*o przez szesnastolatka.

Znajdzie jakiś sposób. Znajdzie Barbozę.

Jej *malicia* i zawodowe *jeito* taksówkarza drgnęły w tym samym momencie na Avenida Sernambetiba – ona obejrzała się przez ramię, on dłużej niż zwykle patrzył w lusterko wsteczne. To coś jak mdlący zawrót głowy, gdy z chaosu ruchu ulicznego wykształca się prawidłowość, że ktoś za tobą jedzie. Czujesz ich światła jak kciuki u podstawy czaszki. Siedzisz z tyłu taksówki, nie masz dokąd pójść i dokąd pojechać, bo oni będą zawsze za tobą. Nie patrzysz, boisz się oglądać, ale zaczynasz wyobrażać sobie charaktery i motywacje. Kim jesteś, czego chcesz, gdzie chcesz, żebym cię doprowadziła? Zaczyna się niemal telepatyczna łączność, jak empatia myśliwego – wiesz to, co ja wiem? A gdybyś wiedział, to czy to by wystarczyło, żebyś dał sobie spokój i pojechał gdzie indziej?

Marcelinę już kiedyś śledzono: kiedy kręciła *Próbe miłości – sprawdź swojego narzeczonego*, za wozem jej ekipy jechała zazdrosna przyszła żona jednego z uczestników. Zgarnęła ją ochrona planu, Marcelina jednak trzęsła się potem przez wiele godzin – całe jej miasto nagle stało się pełne oczu. Nic w tym ani trochę nie przypominało *Policjantów z Miami*.

– Widzi pan, kto prowadzi? – zapytała.

– To taksówka – odparł kierowca.

Widziała jego oczy w lusterku wstecznym. Poznawała po nich wszystkich taksówkarzy i taksówkarki korporacji, z której korzystał Canal Quatro.

– Pan przeczyta numer do nich. Zadzwoń i powiem, że jeden z ich kierowców mnie prześladowuje.

– Zwolnią go.

– A co mnie to?

– I tak nie widzę numeru – mruknął taryfiarz. – Ktoś jest z tyłu.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Wie pani, ja jeszcze próbuję prowadzić.

Marceliną wstrząsnął nagły dreszcz. Chłopaki od efektów specjalnych kiedyś na imprezę z okazji Halloween zamienili całe skrzydło biura w nawiedzony dom. Miała tam ciarki; ogarniał ją niewytłumaczalny, obezwładniający niepokój. Bała się czegoś, co było w zamkniętym magazynku na końcu korytarza. Okazało się to sprytną sztuczką z infradźwiękami, prądami powietrza i delikatnym zniekształceniem perspektywy. Tu za to – czysty dreszcz irracjonalnego lęku. W tym aucie siedziało coś, co ją prześladowuje, wszystkie jej grzechy zebrane ze wzgórz i plaż, zatok oraz krętych zaułków miasta, i ucieleśnione. W tej taksówce jechała Antymarcelina, a kiedy się spotkają, anihilują się nawzajem.

Przestań. Ciągłe masz retrospekcje po tej ziołowej herbatce. Albo może oni w tym *terreiro* coś rozpylają.

– Daleko on jest? – zapytała taksówkarza.

– Jakies pięć samochodów.

– Pan skreśli w Rocinbę.

Kierowca przepłynął przez pasy do wjazdu na Auto-Estradę Lagoa-Barra. Marcelina zaryzykowała spojrzenie w tył. Ścigająca ją taksówka też wysunęła się pomiędzy strumienia aut i usiadła im na ogonie, cały czas utrzymując przyzwoitą odległość pięciu

samochodów. Sama jesteś teraz w swoim programie. Proszę bardzo: *Ucieczka*, najnowszy program reality. Ale cię dopadnę, pomyślała Marcelina. Rocinha sterczała niepokojąco jak proteza pomiędzy drapaczy chmur z mieszkaniem po milion reali, na São Conrado. Wielka fawela rozpostarła się jak wachlarz pełen światełek na skalistym siodle pomiędzy wielkim parkiem Tijuca a gołymi kamiennymi szczytami Pedra Dois Irmãos. Przyciśnięte jeden do drugiego zaimprovizowane bloki mieszkalne, niektóre kilkupiętrowe, stały o parę metrów od wylotu tunelu Gávea. Żandarmeria miała stały posterunek przy wiadukcie Largo da Macumba: dwa transporterzy opancerzone, kilku młodych ludzi w jasnym brązie żandarmerii, stojących wokół i posilających się fast foodami z baru po drugiej stronie drogi. Te same znudzone i złe miny, które widziała u ochrony na parkingu pod Barquinha; spodnie tak samo wetknięte w buty. Ale karabiny o wiele większe.

– Pan tam zjedzie.

Wszyscy jak jeden mąż podnieśli wzrok, gdy przed pierwszym z ich transporterów zatrzymała się taksówka. Nerwowe czasy. Dopiero co udało im się zepchnąć *favelados* z powrotem do ich slumsów. Wzdłuż drogi jeszcze stały maszyny budowlane, na noc pozakrywane ocynkowanymi blachami i pilnowane przez prywatną ochronę. Kolejny mur odgradzający fawelę. Wysoki dwudziestoparoletni żandarm chwycił karabinek szturmowy i podszedł do taksówki. Marcelina włączyła aparat w telefonie. Jedno zdjęcie i będzie dowód. Już. Już nadjeżdża.

Taksówka minęła ich ze sporą szybkością, przyspieszając do wjazdu w tunel Gávea, prowadzący pod Rocinhą do Zony Sul. A z tyłu, z tyłu, o... Telefon błysnął fleszem. W elektrycznym rozbłysku ujrziała postać z głową owiniętą luźnym białym turbanem. Człowiek z *terreiro*. Marcelina poczuła, jak nabrzmiewa w niej fala ulgi. Nie zwariowałaś. Wszechświat jest racjonalny. Za dużo pracowałaś, za duża presja, za dużo nerwów i tyle.

Stukanie w szybę. *Militar* gestem nakazał opuścić szybę.

– Coś się stało? – Pochylił się i zajrzał do środka.

– Nie, proszę pana, nic się nie stało.

– Ale poproszę pani dokumenty.

Nie do końca zapach, ale przesycił powietrze; nie do końca przecucie, ale kłuło jak prąd; nie do końca zmiana, ale zakłócenie domowego porządku – nic postrzeganego rozumem, a mimo to wiedziała od razu, gdy tylko otworzyła drzwi do mieszkania. Marcelina, gdy była kiepsko opłacaną i uwielbiającą to, co robi, dziewczyną na posyłki, prosto po magisterce z mediów, mieszkała w parszywej klitce przy samym cmentarzu razem z *travesti* z Fortalezy, który przyjechał szukać szczęścia w Rio. Pracował na nocki w barze na Łapa, a potem wypijał jej piwo, wyzerał jedzenie, używał proszek do prania, oglądał kablówkę, wyłukiwał sztuka po sztuce japoński serwis do herbaty, i nigdy nie dorzucił się choćby jednym centavo do czynszu, za to wyobrażał sobie, że jego wrodzona barwność równoważy to z nawiązką, bezmyślnie lekceważąc oczywistą oczywistość: transwestytów

było na Łapie jak psów. Marcelina wracała, kiedy wychodził, więc nigdy go na niczym nie przyłapała, ale zawsze poznawała, że grzebał w jej szufladzie z majtkami. Choćby nie wiem jak starannie się zamaskował, zawsze pozostawał jakiś ślad, jakaś fala w eterze, pozostałość obcego, choć nieznośnie znajomego zapachu.

To samo czuła teraz w małym, wyłożonym kafelkami przedpokoju. Ktoś był w jej domu.

To była jedna z niewytłumaczalnych cech jej alt kropka rodziny, że choć ich życie było rozsiane po całym Centro i Zonie Sul, to zawsze przychodzili razem i wychodzili razem. Marcelina przyjęła ich w ogródku. Imprezy przeważnie robiła na dachu – był u niej nawet sam Adriano, na Stones Party, razem z resztą gości kręcił się po narożniku ogródka, z którego było widać ocean, zerkając prze tę szczelinę na maleńką pajęczą postać podrygującą i płasającą pod światłami, które widać było z orbity. A ten to Rick. To znaczy, Mick. Dach był jej świątynią i azylem; dach oznaczał powietrze oraz liliowe i różowe wieczorne światło; dach łączył ją z oceanem równoległobokiem plaży, morza i nieba; to dla dachu kupiła to brzydkie, głośnie, dziwnie pachnące mieszkanie w domu stojącym plecami do *morro*, jakby napadła go ulica; a przez ostatnie trzy noce spała tylko na dachu.

Mieszkanie było bowiem skażone.

Od razu poszła do Glorii, konsjerżki. Nic nie widziała. Przez hall Fonseca Apartments mogłaby przemaszerować cała szkoła samby Mangueira w piórach, skórach i cekinach, z pełną *baterią*, a ona gadałaby przez telefon i nic nie zauważyła.

Celso, Cibelle, Agnetta, Vitor ze swojej kawiarni z widokiem na ulicę, Moises i Tito, których poznała przy produkcji serii *Homo-dżungla* (reklama w trzech słowach: czy jedenastu gejom porzuconym w domu na palach pośrodku amazońskiej dżungli uda się przekabacić jednego hetero?) i zwerbowała do swojej alt kropka rodziny. Ludzie z mediów i geje. Widać, do kogo się idzie w kryzysie. Wszystkich gości przywitała splifem. Kiedy agent nieruchomości otworzył prowadzącą na dach zardzewiałą kłapę, Marcelina wyszła za nim na oświetloną, falującą plantację *maconhi*. „To jest w cenie?” – zapytała wtedy. Pod zbiornikami na wodę i talerzami satelitarnymi rosło według ulicznej ceny co najmniej dziesięć tysięcy reali marokańskiej trawy. Dona Bebel pokazała jej, jak ją wysuszyć w przewiewnym kredensie. Przepalenie tego zajmie jej z pięć lat.

– Zebrałam was wszystkich tutaj...

Wiwaty, oklaski.

– Wiecie, co mam na myśli. Jesteście moją miejską rodziną, moimi homo-tatusiami. Mówię wam rzeczy, których nie powiedziałabym rodzonej matce i siostrze.

Cmokanie, gruchanie.

– Nie. Serio-serio, jeśli nie wam mam zaufać, to komu? Chciałabym myśleć, że i wy możecie mi ufać, nie tylko w sprawach służbowych. W innych też. – Źle to wychodziło, brzmiało głupio i nieszczerze, jak wtedy, gdy próbowała powiedzieć koleśiom, co zgarnęli samochód, że są w programie telewizyjnym *Ucieczka*. Tylko, że nigdy jeszcze nie prosiła

ich o coś tak wielkiego, nigdy się tak bardzo nie obnażyła. – Potrzebuję waszej pomocy. Część z was zauważyła, że ostatnio byłam trochę... rozkojarzona. No, nie pamiętam, co robiłam, a potem wpadam w ostrą paranoję.

Nikt nie odważył się odpowiedzieć.

– Musicie mi powiedzieć, czy jest coś jeszcze, czego nie pamiętam; na przykład coś powiedziałam, czy zrobiłam.

Alt kropka rodzina popatrzyła po sobie. Wygięły się stopy, zasznurowały się usta.

– Przedwczoraj przeszłaś i mnie nie zauważyłaś – powiedział Vitor. Głos mu się wzmocnił, wyostrzył, nabrał pewności. – Nawet się nie obejrzałaś, jak za tobą zawołałem. Zmroziło mnie, mówię ci szczerze. Mało brakowało, żebym dzisiaj nie przyszedł, rozumiesz? O, tyle brakowało.

– O której to było?

– Eee... no nie wiem, mniej więcej o mojej godzinie, wiesz, jak ja patrzę na zegarek. Wpół do herbaty.

– Vitor, muszę wiedzieć.

– No... gdzieś piąta, wpół do szóstej. W środę.

Marcelina złączyła dłonie, prawie jak do modlitwy – cały jej zespół świetnie znał ten gest z chwili, gdy próbowała skonkretyzować jakiś mętny pomysł.

– Vitor, musisz mi uwierzyć: dokładnie wtedy byłam w Niterói i brałam od Feijão list polecający dla Barquinhi. Dam ci jego numer, zadzwonisz, sprawdzisz.

– Przesłaś tuż obok mnie. Uraziło mnie to do szpiku kości, *querida*, do szpiku kości.

– W którą stronę szłam?

– Tak jak zawsze, stąd na postój.

Teraz Marcelina uniosła dłonie do ust.

– Vitor, to nie byłam ja. Mnie tu nie było. Byłam w Niterói. Naprawdę.

Wszyscy nagle pogasili skrzęty.

– Ktoś jeszcze miał coś takiego?

Teraz Moises zawiercił się niespokojnie. Był wielką, sześćdziesięcioletnią ciotą, prowadzącą sieć sklepików z tajemniczymi dziełami sztuki; prawdziwym oldschoolowym *cariocą*, wyróżniającym się niespożyty, choć nie zawsze trafnym dowcipem, za to wygłaszanym głosem brzmiącym jak brzytwa owinięta w aksamit. Od czasu *Homo-dżungli* Marcelina cały czas kombinowała, jak tu dać mu własny cykl telewizyjny.

– No... przedwczoraj wieczorem dzwoniłaś do mnie. Poczuję się jak w *Kodzie Leonarda da Vinci*, tajemnicze zaszyfrowane wiadomości i tak dalej.

Marcelinie zakręciło się w głowie. To nie było od biernie wchłoniętej *maconhi*.

– Kiedy dokładnie?

– Hmm. Wiem, sam siedzę do późna, ale to było o wpół do czwartej w nocy.

– Na domowy czy komórkę?

– Oczywiście, że na komórkę. Wiele godzin nie mogłem potem zasnąć, wszystko szumiało mi w głowie.

– Moises, a powiesz mi, co wtedy mówiłam?

– Oj, kochana, dziwne rzeczy, strasznie dziwne. Coś, że czas i wszechświat i nasz porządek rzeczy, że to nie jest prawdziwe, czy coś. Wkręciłaś się w jakąś teorię spiskową? Niesamowite.

– Ja próbuję zrobić program telewizyjny o bramkarzu z Mundialu. Tyle. – Marcelina przysiadła na gzymsie. – Słuchajcie, ludzie, a w pracy, coś jeszcze było, o czym nie wiem?

– Poza tym mailem to chyba nic – odpowiedział Celso.

Agnetta dodała:

– Ale powinnaś chyba wiedzieć, że Czarna Ptaszyna podrzuciła Lisandrze parę tysiący na development jej pomysłu o Ultimate *Seleção*.

Rozpruwała się, rozstrajała, roztopiała, jak wotywna laleczka z wosku oferowana świętemu.

– Wszystko w porządku? – zapytała Cibelle.

– Dzieje się coś, czego nie potrafię wyjaśnić – powiedziała Marcelina. – Mogę tylko powiedzieć tyle: znacie mnie, to mi zaufajcie. Jeśli ktoś wygląda jak ja, ale nie zachowuje się jak ja, to nie jestem ja. Wiem, że to się kupy nie trzyma. Dla mnie jeszcze bardziej niż dla was. Ktoś mnie prześladowuje.

– Ktoś? Duch? – Tito, trzeci homo-tatuś, sam był jak duch człowieka, blady i nocny. Znał osobiście każdą zjawę dawnej Copacabany, witał się z nimi każdego ranka, wracając ulicami do domu.

– Nie, ktoś inny. Ktoś, kto jeszcze nie umarł.

– Wiesz co, gdzieś w tym jest pomysł na program – stwierdził Celso, ale jej alt kropka rodzina już odwracała od niej wzrok.

Po raz pierwszy w historii pożegnali się każdy oddzielnie i wyszli osobno.

Nie dotarło do was, pomyślała Marcelina. Duch *maconhi* czekał w powietrzu. Obramowane kamienicami morze jeszcze zachowywało liliowy, późny kolor. Była duża fala, a powietrze tak spokojne, że ryk oceanu niósł się ponad hałasem aut na Copie, a powietrze pachniało, jak sobie wyobrażała, że muszą pachnieć kolibry – słodko, kwiatowo, opalizującym kolorem. Wielki, blady księżyc Yemanji wydostał się spomiędzy zbiorników na wodę i anten. Gdzieś daleko trzaskały strzały – mała fawela Pavão na zachodnim krańcu Copy wciąż rzucała się i gryzła. Wspomniała inną liliową noc sprzed wielu lat; wysoka królowa z filmów Disneya, nic tylko szelest sukni i rozkołysane diamenty, zerwała ją nagle z łóżka. Szybko, ubieraj się. Trzy siostry Hoffman siedziały ściśnięte wokół matki na tylnym siedzeniu taksówki sunącej bulwarami. Grzmiało ciemne morze. „Czy to karnawał?” – zapytała Marcelina, gdy zobaczyła tłum przed rzęsiście oświetlonym hotelem, białym i wielkim jak skalny klif. „Nie, nie”, odparła matka, „coś o wiele wspanialszego”. Wcisnęła się w tłum. Niektórzy ludzie łypnęli groźnie, a potem: „O! Ojej!” i z ukłonami zeszli jej z drogi; innych po prostu odepchnęła na bok. „No, dziewczynki, chodźcie, no chodźcie”. Gloria, Iracema i Marcelina ciągnęły jedna drugą za ręce, aż znalazły się na samym przedzie tłumu. Zadzierając głowę, patrzyła na mężczyzn w mundurach, mężczyzn z aparatami, mężczyzn w smokingach, kobiety jeszcze bardziej szykowne niż jej matka. Pod stopami miała czerwony dywan. Barczysty facet, z

siwiejącymi włosami, ale intensywnie niebieskimi oczyma, przeszedł po dywanie, podchodząc do błyskających aparatów, owacji i okrzyków. Marcelina przestraszyła się tego krzyku, tych świateł, naporu tych ciał, matka powiedziała jednak: „Krzyczeć! Krzyczeć! Juhuuu! Juhuuu!”. Mężczyzna obejrzał się, zrobił zdziwioną minę, po czym uniósł rękę, uśmiechnął się i odszedł alejką świateł.

W powrotnej taksówce zebrała się na odwagę i zadała pytanie, na które Gloria i Iracema były zbyt duże i zbyt nieśmiałe:

„Mamo, a kto to był?”.

„Skarbie, to był Frank Sinatra”.

Twarz matki promieniała jak u kobiet na nowennie u świętego Marcina.

Jedna srebrna chwila. Błysk na ekranie. Matka jej pokazała jak to wygląda, na schodach Copa Pałace, w każdej przepięknej, starej melodii, którą wygrywała na organach. Marcelina pogoniła za nią, skoczyła, wyciągnęła rękę, złapała i utrzymała, zmienny, płynny kształt, przepływający z jednego w drugi, i w okamgnieniu zrozumiała, na czym polega ta sztuczka.

Wyciągnęła materac i cienki śpiwór, rozebrała się do majtek i koszulki w odbitym od zbrocza *morro* rozproszonym świetle.

27 STYCZNIA 2033

Jak się płacze na Cidade de Luz.

Każdy nowy wpis w księdze wymaga Ciasta Płaczu. Mąka, margaryna, cukier, orzechy, jeszcze więcej cukru – święci lubią słodkości – i solidny chlust *cachaęy*, która świętym w ogóle nie przeszkadza. Upiec. Pokroić w kwadraty nożem zmoczonym w święconej wodzie, jeden kwadrat na jeden wers. Resztę zostawić na tacy na murku, dla sąsiadów. Wybrać świętego/świętą; iSzkła mówią Donie Hortense, że dla tej pozycji najlepsza będzie święta Krystyna (Przedziwna). Drukuje sobie obrazek, starannie wycina go nożyczkami, nakleja na karteczkę pełną innych katolickich ozdóbek, wydartą z parafialnego pisemka, a brzeg ozdabia plastikowymi koralikami, sreberkiem i kawałkami potłuczonej bombki. Ikonę oczyścić solą i kadzidłem. Najlepiej ułożyć zgodnie z chińskim kompasem; potem otworzyć przed ołtarzykiem Księgę Płaczu, wpisać imię i potrzebę grubym flamastrem, dającym ładną, grubą linię, łatwą do przeczytania w półmroku *barracão*; posypać to wszystko farofą, a następnie zsypać ją środkiem książki do rożka na ofiarę przed wizerunkiem świętej Krystyny Przedziwnej. Odtąd do zakończenia płaczu, wpis w Księdze, razem z innymi na ten dzień, otrzyma jedną łzę.

Święta Krystyno, wysłuchaj mnie, modliła się Dona Hortense. Zadziew mnie. Albowiem mój najmłodszy i drugi ulubiony syn cierpi. Leży w hamaku, a po błyskach oczu widzę, że gra na okularach w gry albo siedzi na czacie; jedzenie na talerzu mu stygnie i muchy się zlatują; zaniedbuje swoje interesy, kontakty i plany; a był to chłopak pełen energii, sprytu i upor. Wiem, że to Gerson – głupi mięczak Gerson – wrzuca Edsonowi do coli i kawy tabletki, które kradną mu energię, pozbawiają woli. Zmusz go proszę, żeby wstał, żeby poszedł do kolegów i klientów, którzy mu pomogą. A zanim to się stanie, pozwól mi prać jego ubrania, układać papiery, przynosić mu kawę, zostawiać talerze z kurczakiem, fasolą i ryżem i powtarzać Gersonowi, żeby przestał z tymi tabletkami, a raczej zajął się przynoszeniem do domu prawdziwych pieniędzy.

Z samego rana w dniu święta Nossa Senhora Apareçida Dona Hortense zastaje swojego najmłodszego i drugiego ulubionego syna, jak wspina się na dach domu. Jest w szortach, koszulce bez rękawów i japonkach, obmacuje rury otaczające kolektor słoneczny do grzania wody. Cidade de Luz dumnie obnosi się ze statusem oficjalnego *bairro*, ale partyzanckie rury biegnące w górę i dół ulic oraz wronie gniazda kabli na każdym chwiejnie stojącym słupie zdradzają, że rodowód ma z faweli.

– Trzeba będzie wymienić te rury. – Edson staje z rękoma na biodrach i rozgląda się wokół siebie. Nie po rurach i wodociągach, wie Dona Hortense. Patrzy na miasto, na niebo, na świat. Zaczęło się.

– Zrobiłam *kibe* – mówi.

– Zejdę za trzy minuty.

Tego wieczoru Dona Hortense obraca wizerunek świętej Krystyny Przedziwnej twarzą w dół, a resztę Ciasta Płaczu kruszy na ofiarę dla ptaków.

Z rana zniżkę na siłownię mają emeryci. Edson mija bieżnie zaludnione przez starszych facetów w bejsbolówkach i workowatych szortach, albo kobiety w obcisłych rybaczkach i luźnych T-shirtach. Wieczorem z Cidade Alta schodzą się *soldados* barona narkotykowego, żeby powyciskać. Wielki Szef wynegocjował dla nich firmową kartę. Kasa jest z tego całkiem dobra, ale mają zwyczaj zostawiać maszyny na maksymalnym obciążeniu, żeby wyglądać macho w oczach następnego ćwiczącego. Emerson siedzi na zapleczu i próbuje zespawać złamaną maszynę, patrząc zmrużonymi oczyma przez przydymione szkło na pierwotny łuk.

– Cały czas łupisz staruszków z kasy? – pyta Edson.

Emerson podnosi głowę, uśmiecha się, najpierw trochę, potem szerzej.

– Przynajmniej coś zarabiam. – Wyłącza pistolet spawalniczy, zsuwa rękawice, przytula brata.

Mała Szóstka zawsze był taki wściekle niezależny, nigdy nikogo nie pytał o zgodę, ale ze wszystkimi planami przychodził do Emersona, jakby po błogosławieństwo, którego nie mogła mu dać Dona Hortense i jej wszyscy święci. W sklepowej lodówce stoi parę piwek „Skol” w chłodzących koszulkach. Emerson wygania z biura recepcjonistkę, Marię-Marię – „ona i tak nic tylko gada z czat-botami” – i zasiadają za jego obdrapanym biurkiem. Emeryci tupią i syczą za pofalowanym szkłem.

– A więc.

– Przeszło mi. Najwyższy czas, nie? Trochę minęło. Ale wróciłem. Rozumiesz to? Nie było mnie, byłem jakby na wakacjach we własnym domu, a teraz wróciłem, jakby skończyła się wiosna i zaczęło lato.

Emerson nie mówi: „Ale to trwało trzy i pół miesiąca”. Ani nie rzuca durnymi tekstami z telenowel, w stylu: „Chyba nigdy nie zrozumieć, jaka była dla ciebie ważna”. Emerson przypomina sobie, jak się czuł, kiedy zabili Andersona. Był na górze faweli, robili mieszkanie dla nowożeńców na ostatnim piętrze bloku. Pracowali razem – murarz i elektryk, bracia Oliveira. Potem ze wszystkich stron eksplodowały fajerwerki, jak w dzień jakiegoś świętego. Policja. Na stromych *ladeiras* żołnierze Wielkiego Szefa wyrzucili wszystkie iSzkła, karty gotówkowe, wartościowe przedmioty z erfidami – wszystko, co mogłoby zdradzić ich pozycję Aniołom Ciągłego Monitoringu. Policyjne drony z paralizatorami spadły na Cidade Alta jak czarne sępy. Strzały zagrzechotały nawet na skrzyżowaniach, gdzie Cidade Alta wyrastało z Cidade de Luz. A Anderson poszedł akurat kupić taśmę izolacyjną. Wszędzie strzały. Nie ma gdzie się schować. Nie można się ruszyć, można tylko czekać na dachu. Zadzwoił do niego, żeby mu powiedzieć, że ma wracać do domu, wracać na Luz, a jeśli się nie da, to się schować, obojętne gdzie, aby były drzwi i ściany. Zero odpowiedzi – policja wyłączyła sieć. Wtedy się przeraził. Włączył lokalizowanie jego iSzkiał. Pozycja była dokładna, co do milimetra. Środek okularów Andersona znajdował się osiem centymetrów nad ziemią. Wysokość nosa, jeśli głowa leży bokiem na ziemi. I tak go znalazł Emerson, w wielkiej kałuży zasychającej już krwi.

Wyglądał na takiego zdziwionego i rozżłoszczonego. Policja próbowała zrobić z niego *soldado*, ale oburzenie Rady Dzielniczy Cidade de Luz było takie, że zmusiło ją do przyznania się, że dostał się w krzyżowy ogień, próbując uciec w bezpieczne miejsce. Na więcej nie można było liczyć. Banał do dorzucenia do kondolencji od znajomych i sąsiadów. Słowa nie wystarczały, sięgnęli więc po frazesy, z nadzieją, że Dona Hortense i jej pięciu pozostałych synów doczytają się skrytej między nimi niewypowiedzianej prawdy. Czasem wystarczają i frazesy.

Edson mówi:

– Muszę cię o coś zapytać.

Emerson nauczył się uważać na pytania poprzedzone wstępem, ale mówi:

– No dawaj.

– Było jakieś wideo?

– Jak to wideo?

– No, jak *Śmieci won*. Widziałeś?

– Ja nie oglądam takich rzeczy.

– Wiem, ale...

– Nic mi nie wiadomo.

– Mi też.

– A co myślisz?

Znów słyszy ten dygot w jego oddechu.

– To był q-nóż, więc każdy automatycznie zakłada: *Śmieci won*. Ale może nie?

– Mów dalej.

Edson kręci na biurku Emersona butelką w plastikowej koszulce.

– Kiedy ją ostatni raz widziałem, na Todos os Santos, kiedy ten jej gejowski współpracownik chciał mnie zastraszyć, gadała z jakimiś ludźmi. Jeden był księdzem. Białym księdzem. W każdym razie tak był ubrany, wiadomo, że biali mają coś na punkcie księży. A w wieczór *gafieiry* zawołało ją paru takich, co też nie byli na liście gości.

– I co ty właściwie chcesz zrobić?

– Pójść tam i się rozejrzeć.

– Za czym?

– Za koszem na śmieci.

– A jak go znajdziesz?

– To będzie koniec.

– A jak nie?

– To nie wiem.

– Daj temu spokój.

– Wiem, wiem. Powinienem. Ale chyba nie dam rady.

– No to, bracie, uważaj na siebie, jak, kurwa, nie wiem co.

Wysportowani staruszkowie tupią i skrzypią.

Edson przejeżdża najpierw drugą stroną drogi, potem zawraca przez alkostację Ipiranga pośrodku pasa zieleni i zjeżdża na pobocze. Jest w stanie odtworzyć z pamięci całą scenę masakry, w zwolnionym tempie, ale teraz, przy pustym asfalcie, zupełnie jej nie widzi. Żadnych kwiatów, żadnych świętych obrazków, żadnego jedzenia na ofiarę. Zsiada z yamaha i chodzi tam i z powrotem poboczem, obrzucany żwirem przez pędzące ciężarówki. Od czasu do czasu widzi strzęp opony, jak wylinkę węża. Zwój zdartej blachy – uliczna biżuteria. Ustawia się tam, gdzie czekał morderca, wyciągając rękę na stopa. Edson też wyciąga rękę, odkreśla wyobrażoną linię graniczną, dzielącą samochody, bloki, wieżowce, niebo. Nic nie czuje. To miejsce jest tak odklejone od wszystkiego, że nie ma się go ani ból, ani choćby wspomnienie.

Na przeciwnym poboczu przystaje mototaksówka. Wysiada kobieta z długimi włosami. Przejeżdżające samochody kadrują ją jak kamera filmowa. Chodzi tam i z powrotem poboczem. Pochyliła się z rękoma na biodrach, patrzy na drugą stronę. Edson aż podskakuje, prostując się. Ten obraz ma wypalony w ośrodkach wzrokowych. Opadające włosy, krzywizna kości policzkowych, fałszywa niewinność sarnich oczu z animy. To ona.

Spotykają się wzrokiem ponad dachami aut. Serca zamarły, czas się zatrzymał, zestaliła się przestrzeń. Edson robi krok ku niej. Ryk klaksonów odrzuca go z powrotem na żwir. Ona zaś biegnie do mototaksówki, machając na kierowcę: Jedź, jedź!

– Fia! – Autostrada połyka wołanie. Widział ją na tym samym poboczu, dokładnie w miejscu, gdzie stoi. Widział ją nieżywą. Twarz zakryta. Logo na podeszwach butów. Widział, jak ją stąd wywożą.

Mototaksówka włącza się do ruchu. Czar pryska. Edson wie, że za nią swoimi chilli beansami i strzela wideo. Wskakuje na motor, odpala silnik. Ona ma na sobie zieloną skórzaną kurtkę. Zielona skóra i długie, długie, rozwiane włosy. Da się ją znaleźć. Niebezpiecznie, bardzo niebezpiecznie przecina pas zieleni i przeskakuje na drugą stronę. Jest dwanaście aut przed nim, przeskakuje po pasach. Yamaha Edsona przegoni wszystko, co się rusza na tej autostradzie – lawiruje między ciężarówkami na biopaliwo z konwoju do Santos, przybliży się. Ona ogląda się przez ramię, włosy owiewają jej twarz. „To ja, to ja!” – wrzeszczy Edson pod wiatr. Dziewczyna klepie kierowcę po ramieniu, pokazuje kciukiem naprzód, potem w prawo. Kierowca pochyla się nad kierownicą, dodaje gazu, motor wrywa jak myśliwiec. Edson jest tuż za nim. A mówiła, że nigdy nie jeździ z tyłu. Przez nagłe spowolnienie ruchu omal nie wbija się w tył szkolnego mikrobusu. Typowy dla São Paulo chwilowy zator. Zgubił ją. Przejeżdża pomiędzy unieruchomionymi pojazdami. Nie ma jej tu. Przeprowadza motor między dwoma autami, tak blisko wielkiej RAV-ki, że kierowca drze się na niego: „Uważaj na lakier, favelado!”. Na środkowym – nie ma. Na wewnętrznym – nie ma. Więc gdzie? Widzi zieloną skórę przyspieszającą wjazdem po przeciwnej stronie szosy. Zrobiła go jego własną sztuczką. Ale on wie, dokąd prowadzi tamta droga – do Świętej Pani od Śmieci, Todos os Santos.

– Weź to. – Pan Morel podaje pistolet kolbą naprzód *Sextinho*.

Przyjemny, groźny sprzęt, którzy trzymał w szafce nocnej na noc, gdy pańszczyźniani robotnicy z farmy na górze i osiedla mieszkaniowe z dołu zetkną się – i dla *Fazendy Alvaranga* skończy się świat.

– Ja nawet nie wiem, co się z tym robi.

– To proste, przecież ci pokazywałem. Tak, tak, i gotowe. Mówię ci, kurwa, weź. – Nigdy nie przeklina. Pan Morel nigdy nie przeklina. – Przepraszam... – Przyciska dłoń do głowy. – Tylko, że po prostu ty nie wiesz, na co się porywasz. Bierz pistolet i nie pierdziel.

Edson unosi w miękkich palcach kościaną kolbę. O wiele cięższy, niż sobie wyobrażał. Rozumie teraz, co chłopcy widzą w tych sprzętach, ten sexy metal, tę moc. Pośpiesznie wtyka go do torby. Dona Hortense w życiu nie powinna go zobaczyć. To byłoby dla niej jak gwóźdź w serce – najmłodszy i drugi ulubiony syn sięga po pistolet.

– Widziałeś nagranie. Jak myślisz, co to było? – mówi szybko.

– Duch – odpowiada pan Morel.

– Nie wierzę w duchy.

– A ja wierzę. Duchy to najbardziej realna rzecz na świecie. Weź broń, *Sextinho*, i proszę, proszę, *querida*, uważaj na siebie.

Tego wieczoru, w hamaku, Edson bierze garść pigułek i wymyśla nową tożsamość: Bisbilhotinho, Wścibol, prywatny detektyw. Jest kulturalny i bardzo wolno mówi. Wszystko starannie planuje, porusza się powoli i z rozmysłem, żeby ludzie nie mieli wątpliwości, że jest poważny. Zawsze zostawia sobie drogę ucieczki. W końcu ma do czynienia z mordercami. Wścibol to młoda postać, jeszcze nie rozwinęła skrzydeł i nie pokazała kolorów, ale podoba się Edsonowi – już widzi, że Wścibol jeszcze go zaskoczy.

– Jedziesz gdzie? – pyta Drobniak, gdy Bisbilhotinho zamienia się z nim tożsamością. – Wiesz co, no nie wiem, jak cię zabiją, to ja nie będę żył.

– To odziedziczysz moich klientów – odpowiada Wścibol.

– Jakich znowu klientów? – woła za nim Drobniak.

To spore ryzyko, zostawić motocykl z kompletnym silnikiem, ale może będzie musiał szybko uciekać. Płaci za pilnowanie go dwóm różnym dzieciakom, z zapowiedzią, że po powrocie jeszcze dołoży. Będą się mieć nawzajem na oku. Todos os Santos w nocy płonie światłami. Reflektory ciężarówek opadają i podnoszą się, gdy pną się pełną kolein drogą w samo serce Świętej Pani od Śmieci. Wszędzie tlą się śmieciowe ogniska, dzieciaki zbierają się wokół płomieni w beczkach po ropie, przegarniając ogień odłamkami desek. *Churrasceiros* pilnują swoich małych rusztów, żarzących się czerwienią węgla pod białym, lotnym popiołem. Chłopcy grają w bilard pod neonami przypiętymi do podejrzanych *lanchonetes*. Edson widzi broń zatknętą z tyłu za gumkę szortów. Sam też tak ma. Ale wcale nie czuje się przez to bezpieczniej. Gdy idzie pod górę serpentynową drogą, odwracają się głowy. Atom Shop jest zamknięty.

W barze tłoczą się klienci oglądający mecz na wielkim ekranie. Wścibol zamawia colę i pokazuje nagranie wideo barmanowi. Edson oglądał je tyle razy, że jest dla niego jak wizualna modlitwa – twarz odwracająca się od niego, gdy mototaksówka przyśpiesza.

– Jej rodzice się denerwują – mówi do barmana.

– Ja też bym się denerwował, jeśli tutaj musisz szukać – odpowiada ten przystojny dwudziestoparolatek. – Nie, nie kojarzę.

– A mogę pokazać klientom?

Kibice przekazują i Szklą z ręki do ręki, przelotne spojrzenie, zaciśnięcie ust, pokręcenie głową, lekkie westchnięcie. Niektórzy mówią, że niezła laska. „Gooooooooool!” – drze się komentator, kiedy Wścibol wychodzi z powrotem na ulicę. Pół baru zrywa się na nogi.

Wścibol kulturalnie, cierpliwie idzie w górę spiralą. Ponieważ transporty śmieci i zbieracze nigdy nie śpią, nigdy nie zasypiają też warsztaty rozbiórkowe. Dzieciaki z taczkami zwożące części na ruszty i do pieców ledwie zerkają na wideo. Widziałeś ją, widzieliście ją? Rozbieracze i przetapiacze, pochyleni, wśród syku gazu z butli, kręcą głowami, rozdrażnieni, że się im przeszkadza.

– Rodzice, co? – Kobieta jest wielka, tęga, fałdy tłuszczu przemieszczają się łagodnie, gdy siada, z jedną nogą wyprostowaną, na schodkach rafinerii złota. Majątek trzyma w zębach, na szyi, na palcach, widoczny jest i w krótkim, grubym, słodko pachnącym cygarze, które pali z wyraźną przyjemnością. – I ciebie wynajęli, tak? Synu, żaden z ciebie prywatny detektyw. Ale i nikt inny, więc co odpowiem? Kojarzę tę twarz.

Serce Edsona podskakuje w piersi tak mocno, że ona chyba słyszy to miękkie puknięcie.

– Sprzedawała rzeczy, elektronikę, dobry sprzęt. Sprzęt, którego w życiu na oczy nie widziałam, nikt go tu nie widział. I oprócz tego trochę biżuterii.

– W ostatnim miesiącu?

– W ostatnich dwudziestu czterech godzinach, synu.

Za blaszanymi szopami ciemne góry śmieci roją się od gwiazdek – diodowych czołówek i świecowych latarń, pełgających jak świetliki. Wyziwy wydzielane nieustannie przez wysypisko jarzą się niebiesko i żółto. Pięknie to wygląda, promiennie. Uliczne legendy i zabobony mówią, że dzieją się tutaj dziwne rzeczy. Szepcze się o nocnych zjawach; o dziwnych nakładających się na to miasto widmowych krajobrazach; aniołach, objawieniach, UFO, *orixás*. Duchach.

– A wie pani, kto to kupował?

– Synu, tutaj ciągle ktoś coś kupuje. Część to regularni handlarze, ale o tej porze ich tu nie będzie. Mają więcej rozumu.

– Nie wie pani, czy ona gdzieś tu nocuje?

– Byłaby jeszcze głupsza od ciebie. Synu, mam tylko jedną parę oczu, a pamięć już mi szwankuje. Bądź wdzięczny, że tyle usłyszałeś.

Schodząc po serpentynie, Wścibol zachodzi do baru dla kibiców i każe posłać babie w złocie butelkę porządnej, importowanej whiskey. Drogo, ale tak to miasto działa. Przysługa za przysługę. A jego yamaszka stoi nietknięta, nienaruszona, nieskazitelna.

Jedenasta trzydzieści osiem, a Edson ma dupę jak odlaną z zastygniętego betonu. Na dachu hotelu jest jedna bezpieczna kryjówka, za to ciasna, niewygodna i zimna, że jaja zamarzają.

Dzielnica jest nieciekawa, zapomniana jak brudna bielizna za wypisanymi kanji szyldami i różem prosto z Harajuku, zdobiącym bary sushi i teatralne restauracyjki teppanyaki.

Czujniki kroków i jeden dron na trzyminutowej orbicie wspomagają pilnującego szlabanu znudzonego nastolatka z głupawym rzadkim wąsikiem. Edson obserwuje, jak w ślepią uliczkę wjeżdża przez szlaban hilux wyładowany warzywami. Tuż za łyżkowatym, pokrytym czerwoną dachówką dachem wznoszą się cienkie jak ołówki mieszkalne wysokościowce, zwieńczone animowanymi reklamami piwa i telenowel. Nigdy jeszcze nie był tak blisko mitycznego serca miasta. *Praça de Sé* jest o dziesięć przecznic stąd.

Ona się tu wychowała, myśli Edson. Jej życie ukształtowało się na tej długiej ulicy, rozszerzającej się na końcu jak wagina. Wokół tego rondka jeździła na takim różowym rowerku ze wstążkami na końcach kierownicy. Tutaj rozstawiała straganik zrobiony z ogrodowych sprzętów, żeby sprzedawać sąsiadom *doces* i herbatę z lodem. Tu, za tym schodkiem, gdzie nie widzi *segurança*, całowała się z języczkiem ze swoim pierwszym chłopakiem. Jej rodzice wyładowują teraz pikapa, skrzynki pełne zieleni i ciemnej czerwieni, tak miękkiej, że można by się w niej umościć do spania.

– Duchy. Znaczy, duchy w tym twoim znaczeniu, nie? – powiedział wcześniej do pana Morela; pistolet wrzynał mu się w tyłek.

– Mów dalej. – Pan Morel tak właśnie się zachowywał – skwapliwie, pochylając się ku niemu, zaciskając dłonie, kiedy spodziewał się po *Sextinho* czegoś więcej niż tylko seksu i czułości.

– W innych wszechświatach, innych częściach multiwersum istnieją miliony innych Fii.

– Tak.

– I jedna z nich...

– Mów dalej.

– Się przedostała.

– Ładnie powiedziane. Przedostała się.

– Ale to niemożliwe.

– To, co według ciebie jest niemożliwe, a co jest niemożliwe według kwantowej teorii, to dwie bardzo różne rzeczy. Co jest niemożliwe – o tym mówi zasada nieoznaczoności Heisenberga oraz zakaz Pauliego. A reszta to tylko różne odcienie prawdopodobieństwa. Kwantowe komputery opierają się na czymś, co nazywamy „superpozycją”, połączeniem pomiędzy wersjami tego samego atomu w różnych stanach, w różnych wszechświatach. I z któregoś z tych wszechświatów, nie wiadomo którego, przedostaje się odpowiedź. A czasem coś więcej niż tylko odpowiedź.

Po prawej. Na dachu garażu. Jakiś ruch, sylwetka. Serce Edsona podskakuje tak mocno, że aż boli. Musi się ruszyć. Przesuwa się do niskiego gzymsu, wygląda. Ciężko rozróżnić szczegóły w tym cholernym żółtym świetle. Unosi rękę, żeby podkręcić zoom w chilli beansach; wtedy postać stawia na okapie puszkę z farbą. Jakiś dzieciak, *pichaçeiro*, przechyła się przez krawędź, żeby wymalować wałkiem swój znak. Serce się uspokaja, ale mdłości dochodzą do szczytu.

Po lewej. Idzie powoli ulicą, kaptur na głowie, ręce wetknięte w przednią kieszeń

jakiejś dziwnej, krótkiej, jakby robionej na drutach kangurki, która mogłaby należeć do ulicznej zakonnicy. Obcisłe szare legginsy wpuszczone w wysokie, seksowne kozaki. Kozaki. Kozaki fajne, ale kto je nosi do legginsów? Dobrze zna ten zbyt krótki krok. Kaptur zasłania twarz, ale mignięcia włosów, spojrzenia to dla niego wystarczający dowód. Fia/Niefia. Włosy ma dłuższe. Ale to Fia. Jakaś Fia. Kolejna Fia. Przystaje i ogląda się w głąb strzeżonej ulicy. I ty też się tu urodziłaś, nie, w tym innym Liberdade, nie? Miasto, ulice, domy są takie same. Ale co cię sprowadziło? Ciekawość? Chęć udowodnienia czegoś? Co ty czujesz? Czemu w ogóle jesteś na tym świecie? Ochroniarz porusza się w budce. Fia odwraca się, idzie dalej. Edson schodzi z punktu obserwacyjnego, siada tyłem do obmurówki, dyszy, kolana ma przyciągnięte do chudej piersi. Nigdy w życiu tak się nie bał, nawet wtedy, gdy wyprawił się na szczyt wzgórza, żeby dostać od Szefa błogosławieństwo na otwarcie *De Freitas Global Talent*, nawet nie w noc, gdy Cidade Alta wybuchło strzelaniną wokół Emersona i Andersona.

Rozpoznałeś ją. To teraz złaż z tej grędy i tam idź. Edson spada trzydzieści metrów za Fią. Chłopak z ochrony przygląda mu się. Edson podbiega do Fii. Ta ogląda się przez ramię. Jeszcze dwadzieścia kroków. Wie, jak ma to zrobić. Ma to wszystko w głowie. Nagle przed nimi w poprzek drogi zatrzymuje się samochód.

– Fia!

Otwierają się drzwi, wysiadają faceci. Fia odwraca się na dźwięk imienia, którego nikt nie powinien wymawiać. Edson wyciąga zza gumki spodni wielki chromowany pistolet. Ochroniarz zrywa się na nogi. Wszystko to w jednym przepięknym nieruchomym bąblu czasoprzestrzeni.

– Fia! Do mnie! Biegnij do mnie! Fia, ja cię znałem, rozumiesz? Znałem cię!

Podaje decyzję w ułamku sekundy potrzebną Edsonowi, żeby unieść oburącz broń. Ucieka do niego, takim dziewczęcym krokiem, wymachując rękoma z przyciśniętymi do ciała łokciami. Dwaj mężczyźni rzucają się za nią. Są wielcy, umieją biegać, rozwiewają im się poły marynarek. Edson chwyta Fię za rękę, ciągnie ją za sobą. Staje jak wryty. Fia zderza się z nim. Z drugiego końca uliczki wybiega trzeci człowiek, wokół prawej ręki tańczy mu migotliwy niebieski płomyk, w miejscu, gdzie nagie kwantowe ostrze kaleczy czasoprzestrzeń. A ten durny, durny chłopak z ochrony wyciągnął pistolet, trzyma go oburącz, jakby nauczył się tego z gry, i woła:

– Nie ruszaj się! Nie ruszaj się kurwa! Rzuć broń! Rzuć broń!

– Nie bądź głupi, oni nas wszystkich zabiją! – krzyczy Edson. – Uciekaj! Już!

Chłopaczek panikuje, rzuca broń i ucieka pomiędzy palmy ogrodów *decasségui*. Kiedy Edson ciągnie Fię w boczny zaułek, gdzie zaparkował yamaszkę, za bambusowymi roletami zapalają się światła. Jezusie i wszyscy święci, jak to się uda... Ona obejmuje go ciasno w pasie. Ruszaj. Ruszaj. Ruszaj. Silnik odpala. Edson jedzie przez zaułek, kierując jedną ręką, lawiruje między pojemnikami na śmieci i śmieciami.

– Weź to. Weź pistolet. Zobaczysz kogoś przed sobą, strzelasz.

– Ale...

Ale on już pędzi. Pistolet grzmi/błyska dwa razy tuż obok jego głowy, słyszy kule

odbijające się z wizgiem od ścian i belek. Widzi, że dwa ciemne kształty odpadają na boki. Załatwieni. Ale trzeci, z nożem, zastawia wyjazd z uliczki. Łuk błękitu. Trzyma poziomo q-noż, tnąc powietrze. Tak to miało być – niech do ciebie przyjadą, niech się przetną na pół własną prędkością. Bach. Bach. Nożownik przewiduje, nurkuje, podnosi się z ostrzem w pogotowiu. Edson, krzycząc ze strachu, wystawia nogę i kopie. Cios z bekhendu ścina pasek gumy z jego nike'ów, facet jednak pada. Edson odkręca przepustnicę i wyjeżdża na jednym kole z zaułka. Za nim podnosi się dwóch pozostałych morderców. Syk silniczków odrzutowych – drony ochroniarskie przybywają na miejsce przestępstwa i odpalają środki zapobiegawcze. Syreny zbliżają się ze wszystkich stron, lecz Edson przemyka między nimi, wypada w światło i nieskończony ruch uliczny Sampa.

Na Rua Luís Gama chłodna lufa pistoletu zakrada mu się do wgłębienia za uchem.

– Nie ma naboí.

– Pewien jesteś? Liczyłeś?

– Chcesz mnie zastrzelić w tym ruchu?

Wyciąga ręce obok niego i kładzie jedną na manetce gazu.

– Zaryzykuję.

Taka nadpobudliwa. Cała Fia.

– Więc kim ty, do cholery, jesteś?

– Odłóż to, a ci powiem. Bóg jeden wie, ile kamer już to widziało.

– Kamer?

– Ty naprawdę nie jesteś stąd, co?

Zimną lufę zastępuje gorący szept:

– Oczywiście, że jestem.

– A ja jestem Edson Jesus Oliveira de Freitas.

– To nic nie znaczy. To tylko nazwisko. Od kogo jesteś? Z Zakonu?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– A ona... cię znała? Moja... alterka?

– Pewnie, że tak. Była moją dziewczyną.

Ona dodaje pośpiesznie i ostro:

– Ja nie jestem nią. Niech to do ciebie dotrze.

– Ale jesteś Fia Kishida.

– Tak. Nie. Jestem Fia Kishida. Tam na *rodovii* to byłeś ty, prawda? Dokąd my jedziemy?

– W bezpieczne miejsce.

Gdzieś. Nie do domu. Niektóre rzeczy jeszcze trudniej niż broń wyjaśnić Donie Fiortense. Emerson położy w biurze parę materaców; na razie wystarczy, póki Edson nie wymyśli, co począć z sobowtórem zamordowanej dziewczyny, który przedostał się z równoległego São Paulo i jest ścigany przez *pistoleiros* i gości z q-nożami. Czuje, jak ramiona Fii zaciskają się mocniej wokół jego talii, gdy pędzi pomiędzy rozmazanymi światłami samochodów. Nie odzywa się do niego. Wie, gdzie jest – to cały czas jest São Paulo.

Uchwyt zaciska się mocniej, gdy skręca z obwodnicy w serpentynową drogę stanowiącą układ pokarmowy Cidade de Luz. Ona patrzy na mototaksówki, autobusy, wielką kolumnową fasadę Zboru Bożego jak na zbudowany po partyzancku raj, pełen zwisających kabli energetycznych i płataniny białych rur wodociągowych pod nogami, pnących się po domach i murach ku chaotycznej masie dzielnicy na górze, prawdziwej, bezkompromisowej faweli.

Droga skręca po raz kolejny; nagle Edson z całej siły daje po hamulcach. Ma kogoś na drodze, dokładnie pod kołami. Motocykl zarzuca, Fia – Fia 2, tak o niej myśli – spada, sunie po zaolejonym betonie i uderza w wysoki krawężnik. Ten kretyn na drodze to Łakoc, który wybiegł ze swojego zwyczajowego posterunku na stacji Ipiranga, gdzie molestuje tankujących kierowców, żeby pozwolili mu umyć szybę.

– Edson, Edson, Edson, Drobnia! Drobnia nie żyje, zabili go, weszli jak do siebie.

Edson chwyta Łakocia za dekolt zbyt dużej koszykarskiej koszulki i ciągnie go na tył stacji paliw, w cień, pomiędzy zbiorniki z gazem.

– Drobnia, oni...

– Cicho bądź. Siedź tutaj.

Podnosi swoją piękną, delikatną yamaszkę i podprowadza ją do Fii 2. Trzeba ją przestać tak nazywać, jak jakiś film. Fia. Ale nie pasuje.

– Nic ci się nie stało? – Już ma powiedzieć coś o swojej rozdartej bluzce, ale Edson nie ma na to czasu. – Nie zdejmuj kaptura, omijaj kamery i zamknij się w damskiej toalecie. Są tu ludzie, którzy mogą cię rozpoznać. Przyjdę po ciebie. Ale muszę natychmiast załatwić jedną sprawę.

Edson rozkazuje Łakociowi, żeby poleciał do Dony Hortense i zabrał jego torbę z rzeczami.

– Będzie wiedziała, co to znaczy. I kulturalnie się wobec niej zachowuj, ty nieuku.

Pędzi uliczkami i *ladeiros* pod zwisającymi przewodami i bugenwillą. Z trąbieniem przelatują mototaksówki, przyciskając go do ścian w wąskich, stromych zaułkach. Karetka ciągle stoi przed domem. Edson słyszy krążące wysoko policyjne drony. Mały tłumek ludzi stoi w cierpliwej postawie – przeszedł z trybu świadka w tryb żałoby. W bramce i części ściany ktoś wyciął czysto dziurę wielkości człowieka. Druga, identyczna, jest w drzwiach i framudze. A z tej dziury... całkiem jakby wyleciał z niej rój czarnych ptaków, celujący prosto w głowę Edsona, oślepiający go skrzydłami, dziobami, szponami, ptak za ptakiem, zbyt dużo ich, wymachuje rękoma, ogania się, ale jest ich coraz więcej i więcej, i ciągle się pojawiają, tak że wie, że jeśli raz, jeden tylko raz, nie trafi, przewrócą go i wbiją mu szpony w plecy.

– Co się stało? – pyta Edson panią Moraes, siedzącą na drodze w szortach i klapkach, z włosami jeszcze w foliowym czepku i dłońią nieruchomo przy ustach. Otaczają ją sąsiedzi.

– Przyjechali na motorze. I ten z tyłu go zabił. Jezus tak kochał moje biedne dziecko moje dziecko, przecież on nikomu nic złego nie zrobił?

Teraz widzi koło karetki Starocia, jego handlarza antykami. W tłumie stoją wszystkie jego alibi. I wszystkie mają taką samą minę: „Zginął zamiast ciebie”.

„A co, jak cię zabijają?” – żartował Drobniak. A tymczasem zabili jego. To jego wynoszą w czarnym worku sanitariusze: trupa mającego na nosie iSzkła, które mówią „Edson Jesus Oliveira de Freitas”. Edson jest teraz nikim, nieosobą. Nie ma dla niego miejsca w Cidade de Luz. Na stacji Ipiranga widzi mijającą go karetkę, migocze światłami, syreny wyciszone. Łakoć ma jego torbę z rzeczami.

– Jeszcze jedna sprawa, Łakoć. Wróć i powiedz Donie Hortense, że jestem u Sióstr.

– U Sióstr.

– Ona będzie wiedzieć. Dzięki. – *Jeitinho* jest w pełni spłacone. Następnym razem to Edson będzie coś Łakociowi winien.

Yamaha jedzie na zachód przez świetlne smugi. Edson woła do Fii na tylnym siodełku.

– Masz jakąś kasę?!

– Trochę drobnych, ze sprzedaży elektroniki, biżuterii, innych śmieci, ale większość wydałam na jedzenie i kapsułę do spania. A bo co?

– Bo ja nie mam nic. Ja nie istnieję. Ta karetka, co pojechała, właśnie mnie powiozła.

Nie zadaje pytań, gdy Edson tłumaczy jej swój świat. Anioły z włókna węglowego obserwujące miasto dniem i nocą, które nigdy nie ustają i nigdy się nie śpieszą. Wszechobecne znaczniki erfidowe, monitoring, w którym zdradzają cię ciuchy na grzbiecie, buty na nogach i gadzety w kieszeni. Permanentna inwigilacja od kamer poboru opłat na *rodovii*, przez koszulki czy iSzkła przechodniów robiące przypadkowe zdjęcia; prywatność mają tylko bogaci i umarli. Informacji się nie posiada, informację się wynajmuje; muzyka ma daty ważności, designerskie logo trzeba nieustannie aktualizować; naruszenia prawa o własności intelektualnej są karane śmiercią, ale w płatnej za obejrzenie telewizji w najlepszym paśmie leci program rozrywkowy, w którym mordują, a policja też jest płatna za śledztwo. Każde kliknięcie chilli beansów, każda wiadomość, telefon, wywołanie mapy, ściągnięcie informacji na żywo z *Goooo!*, każda opłata drogowa i każda *cafezinho* generuje chmurę informacji marketingowej, jak smugę kondensacyjną w przestrzeni informacyjnej Sampa. Alibi, wiele tożsamości, zapasowe osobowości – tu niebezpiecznie być zbyt długo tą samą osobą. Szybkość to życie. A ona będzie musiała wymyślić, jak tu bezpiecznie żyć – musieć żyć – w świecie Ładu i Postępu, bez skanu, bez odcisków, bez numerów, jak zmartwychwstała. I on tak samo nie żyje, jadąc na zachód przez nocne ulice.

16-17 WRZEŚNIA 1732

DZIENNIK EKSPEDYCJI ROBERTA FRANÇOIS ST. HONORÉ FALCONA

Codziennie coś wspaniałego, nie wątpię, że powinniśmy żyć wiecznie! Urządziłem się komfortowo w Kolegium przylegającym do karmelickiego kościoła Nossa Senhora da Conceição, jestem ogolony, mam czystą bieliznę i oczekuję pierwszej przyzwoitej kolacji od wielu tygodni, choć mój umysł wraca ciągle do zjawiska zaobserwowanego dzisiaj na styku wód.

Kapitan Acunha, chcąc pokazać dumnemu Francuzowi wspaniałości swego kraju, przywołał mnie na dziób, bym podziwiał nadzwyczajny widok dwóch rzek, jednej czarnej, drugiej mlecznobiałej, płynących obok siebie tym samym korytem; czarny nurt Rio Negro, od której ujścia dzieliły nas wciąż dwie mile, płynący równolegle do mulistego nurtu Solimões. Żeglowaliśmy dokładnie wzdłuż linii podziału, a ja zapełniałem szkicami stronę za stroną, widząc z bliska, że czarna i biała woda opływa się nawzajem jak misterna tycinancka, spirale w spiralach wewnątrz spiral i tak w nieskończoność w coraz mniejszej skali, co obserwowałem już w przypadku wzorów na liściach paproci i niektórych drzew. Tak się zastanawiam, czy owo samo podobieństwo powtarza się ad infinitum? Czy to jest nasze przyzwyczajenie do makroskali? Czy w mikroskali kryje się jakaś niewidoczna geometria, jakaś matematyczna energia, propagująca się ku skali makro, będąca siłą napędową tego samoorganizującego się porządku? Sądzę, że jest w tym jakieś prawo, które kryje się i w nurcie rzeki, i w liściu paproci.

A teraz dla kontrastu przyglądam się São José Tarumãs do Rio Negro. Jest fort, obsadzony przez garstkę oficerów, na wpół oszalałych od malarii, oraz kompanię tubylczych muszkieterów; nabrzeża; rządowa izba celna; sąd; faktorie kupców przyprawowych; tawerny i przyległe do nich caçaras; stłoczone rzędy bielonych chat z taipa dla osiedlonych tutaj índios, praça, Kolegium i nad tym wszystkich kościoł. Kościół Nossa Senhora da Conceição to pstrokaczna pełna manierystycznych dodatków i krzykliwych malowanych ozdób; kiedy przybijaliśmy, wyglądał, jakby wylał się wprost z wody. Puszy się tak, bo podobno jest ostatni: za São José są już tylko rozproszone aldeias oraz rzadkie reducciones nad Rio Negro i Rio Branco. Właśnie ten klimat pogranicza, potwornego ciśnienia napierającej zewsząd dziczy, przydaje São José owej osobliwej energii.

Przy pomostach tłoczą się kanoe i większe statki, w rzece czekają na redzie tratwy z pau de brasil {6}. Targowisko jest kolorowe i hałaśliwe, a kupcy są spragnieni dobicia ze mną targu. Wszędzie się buduje, wszędzie krzątania; wzdłuż brzegu rzeki powstają nowe magazyny, a wyżej na lądzie – otoczone murami domy, piękne nowe siedziby kupców. Brakuje im już tylko dachów. W każdym mieszkańcu, od księdza po niewolnika, czuje się tu zapał do pracy. Byłaby to, jak sądzę, dobra i sprawna stolica regionu.

Imię ojca Luisa Quinna wyprzedza go. Karmelici przywitani wizytującego jezuickiego admonitora muzyczną paradą. Tubmaryny, tambury, nawet mały portatyw na lektycie oraz istne zastępy ubranych na biało índios – mężczyzn, kobiet, dzieci – z głowami przystrojonymi we frędzle z palmowych liści, powiewających nimi i śpiewających chóralnie przepiękną kantatę, łączącą europejskie melodie i kontrapunkty z miejscowymi rytmem i ozdobnikami. Człapiąc obok Quinna, obok wozu z moim bagażem, poczułem, jak krok dostosowuje mi się do rytmu. Quinn, jako wielce muzyczny człowiek, był zachwycony, zastanawiam się jednak, ile z owego zadowolenia maskowało irytację, że wieść o wizycie dotarła przed nim. Mimo wystawnej gościny u przeora wyczuwałem podskórny niepokój.

Ojciec Quinn przyjął sakramenty; ja pogodziłem się z Mamonem, przedstawiając pozwolenia na podróż kapitanowi de Araujo z fortu, a następnie poddając się długiemu przesłuchaniu, które nie było ani nieprzyjemne, ani inkwizytorskie w tonie, a jedynie zrodzone z długiej izolacji i braku jakichkolwiek ciekawych nowin. I tu dowiedziałem się o pierwszej przeszkodzie w moich planach – nowe rozkazy z Salvadoru zabraniały jakimkolwiek uzbrojonym statkom zapuszczania się poza São José, z obawy przed holenderskimi piratami, którzy znów zaczęli działać na tym terenie i mogliby łatwo opanować taki statek i użyć

go do ataku na garnizon w Barra. Miałem szczerą ochotę skomentować, że wały z drewna, piasku i suszonej cegły mogą się śmiać z pukawek, które wieziemy na pokładzie Fé em Deus, lecz Brazylia nauczyła mnie jednej rzeczy – nigdy nie zrażać do siebie miejscowych potentatów, od których dobrej woli się zależy. Kapitan zaś zakończył rozmowę stwierdzeniem, iż słyszał o mojej reputacji wielkiego szermierza i że, jeśli czas pozwoli, chciałby spróbować się ze mną na brzegu obok fortu, na ich tradycyjnym miejscu do pojedynków. Myślę, że powinienem mu odmówić. To cymbał, ale całkiem życzliwy, odmowa będzie dla niego jedynie frustracją, niczym więcej. Pod pontonowymi domami w pływającym porcie są całe setki kanoe. Jutro zacznę się targować.

PS

Wstrząsnęła mną scena, którą dostrzegłem z okna Kolegium. Podniesione głosy i piekielny ryk kazały mi wyjrzeć; przy świetle pochodni na praça przed kościołem ciągnięto potężnego wołu; miał sznur przyczepiony do każdej racicy, rogu i nozdrzy, za wszystkie ciągnęli mężczyźni i mimo to mieli trudność z opanowaniem potężnego, przerażonego zwierzęcia. Wszedł człowiek z ogromnym toporem, ustawił się przed nim, uderzył wołu pomiędzy uszy. Trzeba było siedmiu uderzeń, by oszalałe zwierzę padło i znieruchomiło. Odwróciłem wzrok, gdy zaczęli je tam ćwiartować, jestem jednak pewien, że padło ofiarą zarazy, owego szaleństwa.

Dotarła do São José Tarumás, ostatniego miejsca na świecie – czy może raczej stąd wyszła?

Mam nadzieję, że to krwawe barbarzyństwo nie zepsuje mi apetytu na gościnność przeora.

Napastnicy rzucili się na nich od razu po wylądowaniu. Z twarzami skrytymi za chustami wyszli spod osłony pontonowych domów po obu stronach rozkołysanego pomostu. W wąskim przejściu nie dawało się ani uciec, ani ich ominąć. Quinn nie miał czasu na reakcję, gdy wielki, szeroki stolarski młot wychynął z cieni nadrzecznego miasta i trafił go prosto w pierś. Padł, a napastnik w tym samym momencie uniósł młot, by rozprawić się z jego głową. Jednak na drodze jego nadgarstka już znalazła się stopa Falcona. Trzasnęła kość, człowiek krzyknął przenikliwie, piskliwie, gdy ciężar młota wyłamywał mu rękę, odtąd bezużyteczną i obolałą. Źle zaplanowali swój atak, wąski pomost zmuszał ich do atakowania w pojedynkę. Gdy Quinn dochodził do przytomności, drugi napastnik zepchnął z drogi rannego kompana i wyciągnął pistolet. Falcon, krzyknąwszy, precyzyjnym kopnięciem posłał go na deski. Złapał broń, gdy koziołkowała ku wodzie i zgubie, wymierzył w drugiego zamaskowanego napastnika, gdy ten już unosił stopę, by przetrącić Quinnowi zgięty kark.

– Stój albo zginiesz na miejscu – rozkazał.

Mężczyzna łypnął na niego, pokręcił głową i dalej się zamierzał. Falcon szarpnął kciukiem kurek. Teraz trzeci z zamachowców łokciami zepchnął kompana z drogi. Miał w dłoni odsłonięty nóż, stanął naprzeciw Falcona na dystans oddechu, rozkładając ręce w na wpół błagalnej pozie wprawnego nożownika.

– Nie wydaje mi się...

Tamten uderzył. Falcon zobaczył, jak górna część pistoletu, odcięta na długość palca, pada na deski. Twarde drewno, stal i mosiądz, przecięte gładko jak jedwab. Napastnik wyszczerzył zęby, machnął szeroko nożem. Falconowi wydało się, że widzi ciągnący się za ostrzem błękitny płomień. Uniósł rękę, by osłonić twarz, i mimo wszystko pociągnął za spust. W ciasnym labiryncie drewnianych werand i pomostów zabrzmiało to jak wystrzał z działa. Kula poszybowała wysoko w niebo, spudłowała. Falcon nie planował zresztą trafić. Wykorzystując zamęt i hałas, uderzył nożownika dwoma szybkimi, prostymi ciosami pięści, żywcem z lyońskiego portu. Ostrze wypadło mu z ręki, trafiło w deski i leciało

dalej, jakby to była woda, aż zatrzymało się na jelicu. Teraz do walki włączył się Quinn, energiczny i wściekły. Podniósł porzucony nóż, który, wychodząc, przeciął deski całkiem – pomost z trzaskiem opadł pod jego ciężarem. Quinn rozprostował się, wypełniając potężnym ciałem wąski jak trumna zaułek. Ranny młociarz i *pistoleiro* już uciekli. Nożownik też się odsuwał, ale w panice potknął się o krawędź deski i padł jak długi na plecy. Quinn, ryknąwszy jak bestia, rzucił się za nim; trzymał nóż od dołu, do patroszącego, niechrześcijańskiego ciosu.

– Luis. Luis Quinn.

Przez wspaniałą, dumną furie przebił się głos. Luis Quinn przez chwilę rozważał, czy nie odwrócić się i nie użyć ostrza, boskiego, diabelskiego noża przeciwko temu cienkiemu, jęklivemu głosikowi, który śmie mu się sprzeciwiać, wyobrażał sobie, jak tnie i tnie, aż zostaje tylko mokra plama. Potem dostrzegł, jak wokół zaciska się pierścień domów, drzwi, okien, poczuł, jak ich strzechy ocierają mu się o ramiona, dostrzegł człowieka pod ostrzem, bezbronno, żalnego, zauważył w jego oczach ponad maskującą chustą przepiękny strach. Choć za chwilę staniesz oko w oko z wiecznością, zachowujesz swoją maskę, pomyślał.

– Uciekaj! – zagrzmiął. – Uciekaj!

Napastnik odpełził jak krab, pozbierał się, pobiegł.

Quinn precyzyjnie się obok bladego, wstrząśniętego Falcona i zeskoczył na niższy pomost, gdzie chwilę temu – w spowolnionym czasie walki, który tak dobrze znał ze swojej ery pojedynków, wydawało się to wiecznością – targowali się z właścicielami kanoe. Rzucił ostatni raz ciekawym wzrokiem na ostrze, którego nie uczynił żaden warsztat w całej Brazylii – i cisnął je z całą siłą nad głowami ludzi z kanoe, do wody. Aż rozbolały go żebra – czyżby ten anielski nóż wyciął w powietrzu błękitny ślad, powietrzną ranę? Falcon zaraz znalazł się przy nim.

– Ledwo przybyliśmy, a już jesteśmy niemile widziani.

Kościół był ciemny jak śmierć, oświetlony tylko świeczkami wotywnymi u stóp świętych i czerwoną lampką w tabernakulum, Falcon jednak i tak łatwo znalazł Quinna, kierując się dymem z cygara.

– We Francji to byłby potworny grzech, palić w kościele.

– Nie widzę w tym złego uczynku. – Quinn stał oparty o pulpit w ambonie, umieszczonej niebezpiecznie wysoko na ścianie prezbiterium, niczym gniazdo jakiegoś leśnego ptaka, aż gęste od wymalowanych aniołków i alegorycznych postaci. – Szacunek Krzyżowi oddaje się sercem i umysłem, a nie wdechem i wydechem. I czyż w tym najświętszym z miejsc nie pije się wina?

Upał Rio Negro w kościele jakby się koncentrował. Falcon był przegrzany, przytłoczony, przestraszony. Dwa razy już widział furie Luisa Quinna.

– Zauważono przy kolacji ojca nieobecność.

– Musiałem odbyć serię ćwiczeń przed przystąpieniem do swojego zadania.

– Tak właśnie im powiedziałem.

– A czy zauważyli ów atak na pomoście?

– Nie zauważyli.

– To osobliwe, że w tak małym mieście jak São José, przeor nie ma nic do powiedzenia na temat śmiertelności ataku na przybywającego admonitora. – Quinn przyjrzał się dogasającemu węgielkowi cygara i zgniótł go, gasząc do końca na wykafelkowanej podłodze. – Zło jest tu tak mocno, tak głęboko zakorzenione, że obawiam się, że zgładzenie go okaże się ponad moje siły.

– „Zgładzenie” to bardzo bojowe słowo, jak na człowieka wiary.

– Mój zakon jest zakonem żołnierskim. Wie pan, dlaczego w Coimbrze wybrano akurat mnie na admonitora?

– Za talent do języków. A także, proszę wybaczyć, dlatego, że zabił ojciec człowieka.

Quinn parsknął śmiechem, płaskim i paskudnym.

– No tak. Chyba nie tak trudno było to wydedukować. A domyśli się pan jeszcze, jak go zabiłem?

– Oczywiście wniosek to, że w gorączce i zapomnieniu w pojedynku.

– To byłby oczywisty wniosek. Tymczasem nie, zabiłem go cynowym kuflem. Uderzyłem w skroń, a kiedy padł, rzuciłem się na niego i tym samym kuflem wytlukłem mu życie z ciała, a potem waliłem dalej, aż nawet jego pan nie był w stanie go poznać. A wie pan, kim był ten człowiek?

– Wnosząc po słowach ojca, służącym. Z własnego domu?

– Nie, niewolnikiem w tawernie w Porto. Brazylijskim *Indio* w istocie; przypomniawszy sobie teraz, jak mówił, zapewne z Tupiniquinów. Jego właściciel zarobił fortunę w koloniach, a potem wrócił z całym dobytkiem i niewolnikami do Królestwa. Właściwie prawie się do mnie nie odezwał, powiedział tylko, że ma polecenie nie podawać mi kolejnych trunków. A zatem, na oczach wszystkich moich przyjaciół, kompanów do wypitki i wybitki, wziąłem pusty cynowy kufel i pobiłem go. Teraz się pan domyśla, dlaczego oddałem się w służbę Towarzystwu Jezusowemu?

– Oczywiście, wyrzuty sumienia, pokuta, nie tylko za zabójstwo – bo, nie owijajmy w bawełnę, to było zabójstwo – a to dzięki temu, że pochodzi ojciec z owej wyższej klasy, która może bezkarnie mordować.

– To wszystko prawda, ale nie dotarł pan do sedna. Mówiłem, że jesteśmy zakonem żołnierskim: liczy się dyscyplina, przyjacielu, dyscyplina. Bo kiedy zamordowałem tego sługę – ja też nie lubię owijać słów w bawełnę – wie pan, co poczułem? Radość. Radość, jakiej nigdy wcześniej czy później nie zaznałem. Chwile, kiedy przyjąłem czy udzieliłem Eucharystii, albo kiedy modłę się samotnie i czuję, że przenika mnie Duch Święty, czy kiedy muzyka wzruszy mnie do łez – te chwile nie są choćby wątlwym cieniem tego, co czułem, gdy wziąłem jego życie w swoje ręce i rozdarłem na strzępy. Nic, Falcon, nic nie jest w stanie się z tym równać. W dawnych czasach, kiedy walczyłem, ledwo to musnąłem. To była potworna i przepiękna radość, Falcon, i trudno było mi z niej zrezygnować.

– Ja to znam – powiedział słabo Falcon. W upale nie był w stanie oddychać, pot ciekł mu po karku. Zdjął perukę, ścisnął ją nerwowo, jak konkurent do ręki panny kapelusza.

– Niczego pan nie zna – odparł Quinn. – Niczego pan nie rozumie. Nie da się.

Poprosiłem o najtrudniejsze z zadań; Pan Bóg spełnił moją prośbę, ale zadanie okazało się większe i trudniejsze, niż wyobrażał sobie ojciec James, czy w ogóle ktokolwiek w Coimbrze. Ojciec Diego Gonçalves z Towarzystwa przyjechał nad tę rzekę dwanaście lat temu. Osiągnąć mogliby mu pozazdrościć sami apostołowie; całe narody zdobyte dla Chrystusa i uspokojone, krzyż zaniesiony na dwieście mil w głąb Rio Branco, *aldeias* i *reducciones*; które mogłyby stanowić wzór tego, co da się osiągnąć w tym dzikim kraju. Pokój, obfitość, nauczanie, wiedza o Bogu i jego Kościele – każda dusza umiała śpiewać, każda umiała czytać i pisać. Episkopalni wizytatorzy rozpisywali się o pięknie i wspaniałości tych osad, o okazałych kościołach i wykwalifikowanych robotnikach, dobrowolnie służących swoją pracą, nie przez przymus czy zniewolenie. W drodze z Salvadoru do Belém czytałem jego listy. Ojciec Diego poprosił prowincjała o zgodę na zainstalowanie maszyny drukarskiej; był z niego prawdziwy mąż wizji, prawdziwy prorok. Do swojej petycji dołączył szkice planowanego miasta nauk, wysoko nad Rio Branco, nowej Jerozolimy, jak ją nazwał, uniwersytetu w środku dżungli. Widziałem szkice w bibliotece Kolegium w Salvadorze, było to aż grzesznie ambitne, maniakalne w swojej skali. Całe miasto w środku Amazonii. Oczywiście mu odmówiono.

– Polityka kolonialna Portugalii jest jasna. Brazylia służy do eksploatacji handlowej, nic więcej. Ale proszę, niechże ojciec mówi dalej.

– Dalej już nic nie ma. Ojciec Diego Gonçalves siedem lat temu wypłynął z tego fortu na wyżyny ponad Rio Branco. *Entradas* i niedobitki *bandeiras* opowiadały o monstrualnych budowlach, o całych plemionach wziętych w niewolę i zapędzonych do pracy. Państwo w państwie, wyrąbane w głębi dżungli. Krew i śmierć. Gdy nie wróciło trzech kolejnych wizytatorów z Salvadoru, mających ustalić, ile jest prawdy w tych plotkach, Towarzystwo poprosiło o admonitora.

– I ojca zadaniem jest odnaleźć Diego Gonçalvesa.

– I przywołać go do zakonnego porządku, wszelkimi środkami.

– Obawiam się, że doskonale rozumiem, co to znaczy.

– Tak, w razie konieczności mogę go zamordować. Takiego słowa pan użył, prawda? Same plotki o nim wystarczą, by szkodził naszemu Towarzystwu, a nasza obecność w Brazylii jest niestabilna jak nigdy.

– Zabić brata z własnego zakonu.

– Moje własne Towarzystwo zrobiło ze mnie hipokrytę, ale i tak usłucham, jak słucha rozkazów każdy żołnierz.

Falcon rękawem koszuli otarł pot z karku. Stęchły zapach kadzidła był potwornie nużący. Piekł go oczy.

– I ojciec uważa, że ci, którzy nas tam zaatakowali, to byli ludzie ojca Diego?

– Nie, uważam, że wynajął ich ten sam ojciec, który ostatnio pana tak świetnie ugościł. Jest zbyt bogaty i za dobrze odżywiony, żeby być wielkim intrygantem, ten nasz brat Braga. Po mszy go przesłuchałem; kłamie dobrze i z dużą wprawą. Bogactwo karmelitów zawsze opierało się na czerwonym złocie; podejrzewam, że toleruje ich się tu tylko dlatego, że zapewniają *engenhos* stały dopływ niewolników.

- Myśli ojciec, że on mógł być odpowiedzialny za zniszczenie pływającego miasta?
- Nawet karmelici nie są aż tak zdemoralizowani. Ale ja i tu nie jestem bezpieczny; pan, przyjacielu, cieszy się pewną ochroną ze względu na swoją królewską misję. Ja jestem tylko księdzem, a pod tą szerokością księży od zawsze było w nadmiarze. Z rana wyjeżdżamy, ale ja nie wracam do Colégio, nie tej nocy.
- W takim razie będę czuwać razem z ojcem – zaproponował Falcon.
- Nie radziłbym spędzać zbyt wiele czasu w moim towarzystwie. Ale mógłby mi pan chociaż pożyczyć swój miecz.
- Z miłą chęcią – powiedział Falcon, odpinając pas z bronią i podając go, dzwoniącego kłamrami, Quinnowi. – Niemniej ubolewam, że ojciec musiał wrzucić do wody ten osobliwy nóż.
- Musiałem – odparł Quinn, unosząc pochwę pod światło, żeby ocenić jej wygląd i charakter. – To było coś złego. Przerazało mnie. Niech pan już idzie, za długo już pan tu siedział. Będę się modlić i czuwać. Tak mi brakuje modlitwy, całą duszę mam brudną, splamioną kompromisem.

Światło na czarnej wodzie; milion zmarszczek-odłamków rozświetlonych wschodzącym słońcem, kreślących na rzece złotą linię. Drugi brzeg był już skąpany w blasku, nadbrzeżny piasek złoto-żółty; choć o francuską milę stąd, każdy szczegół był ostry jak brzytwa, a każde drzewo w leśnej koronie widoczne tak wyraźnie, że Falcon mógł odróżnić nawet liście i gałęzie. Pandemoniczne wrzaski wyjców czerwonych dobiegały czysto i klarownie do jego uszu. Stał przez dłuższą chwilę na szczycie schodzących ku wodzie stopni, mrugając od światła i ocieniając oczy ręką; nawet zielone okulary nie były w stanie pokonać tak triumfalnego słońca. Od rana upał się nasilał, owady były nieliczne i odrętwiałe; liczył, że znajdzie się pośrodku nurtu, zanim i jedno, i drugie stanie się nie do zniesienia. Ale ta chwila była świeża, czysta i nowa, i tak intensywna, że wszystkie nocne lęki i szeptki wydały się zjawami ledwie – dlatego chciał ją przeciągnąć, aż wybrzmi ostatnia nuta.

Quinn już siedział w swoim kanoe. Całą załogę stanowili on, dziobaty Indianin w misyjnych białych szatach oraz ogromny, barczysty czarny. Resztę pirogi wypełniały maniok i fasola. O wiele liczniejsza flotylla Falcona kołysała się na oślepiających falach – kanoe z markizą dla niego, trzy dla załogi, pięć na sprzęty, kolejne trzy na zapasy, wszystkie dobrze obsadzone niewolnikami z São José Manao.

– Piękny poranek, dziękować Bogu! – zawołał Quinn po francusku. – Nie mogę się doczekać wyjazdu.

– Niewiele ma ojciec ze sobą – zauważył Falcon, zszedłszy po schodkach.

W nocy rzeka opadła jeszcze bardziej, pośpiesznie rozłożono na już splekany błocie kolejne deski, ale wciąż, by dotrzeć do pirogi, trzeba było zrobić parę kroków w lepkiej, zapadającej się mazi.

– Tylko tyle można kupić za mityczne złoto jezuitów?

– Lekko i szybko, jak Bóg da – odparł Quinn, dla odmiany po portugalsku. – Wiosła trzech ochotników z pewnością są warte więcej niż cała flota skutych niewolników.

Czarny mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Falcon, z determinacją na twarzy, przeszedł po rozkołysanym kanoe ku swojej ławce, pośrodku, pod płóciennym daszkiem. Czuł milczącą pogardę załogi i słyszalny śmiech skąpej świty Quinna, czuł, że czerwienieje mu twarz. Usiadł na plecionej ławeczce, skryty pod markizą przed owadami i wzdardą. Uniósł chusteczkę.

– Ruszajmy więc.

Gdy wiosła wbiły się w wodę, złota rzeka rozpadła się na świetlne monety. Falcon chwycił się burt, na które chlusnęła rozcięta dziobem woda. Chwila strachu; potem flotylla się uformowała, wiosłarze machinalnie wyrównali rytm, ustawiając się w szyk strzały skracającej na środek Rio Negro. Mniejsza i lżejsza łódź Quinna, krucha jak łupinka, sunęła na przędzie. Falcon zwrócił uwagę, jak łatwo potężna sylwetka Quinna, mimo otrzymanego niedawno potężnego ciosu, dopasowała się do rytmu pozostałych wiosł. Falcon nie mógł się oprzeć dziecinnej chęci, by pomachać mu chusteczką. Quinn odpowiedział na pozdrowienie szerokim, beztróskim uśmiechem.

Powolny nurt połykał czas; gdy po raz pierwszy obejrzał się spod markizy, São José Tarumãs zniknęło za zakrętem tak delikatnym, że nie zauważył go mimo swej wyćwiczonej spostrzegawczości, a jednocześnie tak ostrym, że ściany zieleni jakby się za nim spotykały. Wbrew woli i rozumowi, poczuł, że przenika go duch tej rzeki. Objawiał się jako bezruch, niechęć do wszelkich ruchów, do uniesienia któregośkolwiek z przyrządów, które poustawiał, by mierzyły wysokość słońca, odległość i czas, do wykonywania jakichkolwiek działań, od których myśl i wola rozeszłyby się falą po czarnej wodzie. Nawoływania ptaków i nadrzewnych zwierząt, chłupot wodnej fauny, to napierające, to wynurzające się wiosła, szmer opływającej kadłub wody, wszystko to wydawało mu się głosami w wielkim chorale, sumującym się w gigantyczną, kosmologiczną ciszę. Nieruchome nitki dymów spoza zielonych koron, nadrzeczne osady, przysadziste stożkowate strzechy kaplic, stojące przed nimi drewniane krzyże, gęsty ruch łodzi na rzece, a w każdej ktoś woła, macha, uśmiecha się – wszystko to wydawało się tak odizolowane, jak akwarela na papierze od kropli wody spływającej po szkle ramy. Dłonie powinny mierzyć, dłonie powinny szkicować, kreślić mapy, notować; tymczasem dłonie ścisnęły burty kanoe, zahipnotyzowane rzeką, godzina za godziną.

Czar prysł, gdy Quinn zawołał. Jego piroga stale ich wyprzedzała, aż zaczęła wyglądać jak moskit na powierzchni wody. Teraz jednak, w miejscu, gdzie kanał rozwidłał się w płataninę bagnistych wysepek i ostrowów, kazał sternikowi zawrócić i czekał w połowie nurtu. Dryfując ku flotylli Falcona, uniósł wiosło nad głowę i trzykrotnie podniósł je raptownie w powietrze. Na ten sygnał wszyscy wiosłarze Falcona zatrzymali swe wiosła. Łodzie straciły impet, nieubłagana ręka Rio Negro pociągnęła je, poprzestawiała, poobracała, zmieniając szyk w chaos.

– Wiosłować, krowy! – ryknął Falcon, a do Juripariego, swojego tłumacza manao,

dodał: – Rozkaż im, żeby wiosłowali, i to już.

Tłumacz jednak milczał, wiosła ani drgnęły. Falcon uderzył w grzbiet najbliższego niewolnika. Ten zniósł cios beznamietnie jak obrośnięte korzeniami przyporowymi drzewo. Quinn i jego załoga powiosłowali bystro ku dryfującej flotylli. Podpłynęli bokiem do przeklinającego, rozkrzyczanego Falcona.

– Przepraszam, przyjacielu, ale dalej ze mną nie płyniesz.

– Co ty zrobiłeś? Co to za bzdury? Jakaś przeklęta jezuicka intryga?

– Raczej to bajeczne jezuickie złoto, do którego pan wcześniej nawiązywał, doktorze. Towarzystwo, w odróżnieniu od niektórych innych zakonów, nigdy nie obawiało się potęgi bogactwa. Ale pan, doktorze Falcon, nie może ze mną dalej podążać. Przed sobą mamy Arquipélago das Anavilhanas, który, jak mi mówi Manoel, jest niepokrytym mapami labiryntem wiecznie zmieniających się piaskowych łąch i lagun. Poleciłem pana załodze, by rozbiła tu na wyspie obóz, na pięć dni. W tym czasie zdążę wyprzedzić waszą ekspedycję tak bardzo, że już mnie nie znajdziecie. Ponieważ, przyjacielu, nie bylibyście bezpieczni, jadąc ze mną; szczerze mówiąc, moje zadanie może popchnąć mnie do czynów, dla których nie chciałbym mieć świadka spoza mojego zakonu. Pozostając w São José Tarumás, też nie byłby pan bezpieczny. Ale w Anavilhanas nikt was nigdy nie znajdzie. – Quinn podniósł z dna pirogi miecz Francuza i wyciągnął go ku niemu. – To pana broń, nie moja; i jeśli mieć jej nie będę, z łaski Maryi Dziewicy nie będę miał pokusy, by go użyć.

Rzucił miecz; Falcon złapał go z ręcznie w dwie ręce. Kanoe zakołysały się na nieruchomej wodzie, jak związane razem pośród ciemnego nurtu.

– Dyskusja, przyjacielu, jest bezcelowa, zwłaszcza z jezuicką władzą i jezuickim złotem.

Kiwnął na swojego *indio*-pilota; wiosła ruszyły, piroga oddaliła się od bezradnego Falcona.

– Muszę, panie doktorze, przyznać się do jeszcze jednej zbrodni wobec pana; choć oddałem pański miecz, była to w istocie wymiana. To pańskie urządzenie, Maszyna Rządca, w tej krainie stałoby się przyczynkiem do najokropniejszego ludzkiego zniewolenia w historii. Proszę wybaczyć; zabrałem ją z pańskich bagaży, razem z planami. Ta maszyna to zło.

– Quinn! Quinn! – krzyknął Falcon. – Moja maszyna, Maszyna Rządca, cóżeś z nią zrobił, ty niewierny czarnosukienny!

– Szukaj mnie w okolicach ujścia Rio Branco! – odkrzyknął Quinn, po czym rzeka ich rozdzieliła.

Piroga, żałośnie mała i krucha wobec zielonej ściany *várzei*, zatraciła się w wąskich, gęstych od mułu kanałach.

Dopiero nagły skrzekot przelatujących ptaków, ciche chlupnięcia wyskakujących z wody ryb, oślepiający błysk słońca w kropli wody spadającej z wiosła były w stanie sprawić, by

ojciec Luis Quinn ocknął się ze swojej ekstazy i stwierdził, że spędził całe godziny rozmarzony rzeką. Od rozstania na Anavilhanas przestał liczyć dni; poranek przychodził po poranku jak kolejna perła na sznurze – wielki chór dżungli nad ranem, wypłynięcie na mętłą wodę i pochłaniające czas machanie wiosłami, przyziemny sakrament pracy fizycznej. Ani potrzeby, ani chęci, by się odzywać. Żadne inne ćwiczenia nie dawały mu dotąd tak łatwego i całkowitego roztopienia jaźni w świecie. Niezdarne wśliznięcie się *jacaré* do wody; nagle nurkujące kapibary, gdy piroga wpływa na bagniste *furo* pomiędzy zawijasami rzeki, ich wystające ponad powierzchnię ryjki i małe uszka; przelot tukana w poprzek kanału, z piskłaniem w absurdalnym dziobie, ściganego przez obrabowaną matkę. A raz – wyobraził to sobie, czy naprawdę zobaczył? – szerokie, dumne oczy samotnego jaguara, kucającego nieufnie przy solnej lizawce. Ich wyzute z myśli zwierzęce ruchy stanowiły jedność z automatycznym posłuszeństwem jego mięśni napędzających wiosła. Prawdziwe roztopienie jaźni jest w fizyczności.

Dalej, i dalej, i dalej. Duch Quinna, zapuszczając się coraz dalej w fizyczny świat, coraz częściej cofał się w przeszłość. Wspomnienia plątały się z rzeczywistością. Nie klęczał pośrodku pirogi, wątlęgo skrawka kory, lecz stał przy relingu rufowym karaki z Porto, kierującej się prosto na Łuk Hiszpański w Galway, pod wiosennym niebem pełnym rozpędzonych, szarych u dołu, ciężkich deszczowych chmur. Piętnaście lat – pierwszy powrót od czasu dzieciństwa; myślał, że ledwo pamięta stary język, lecz kiedy kapitan Suibhne poprowadził go przez magazyny, domy kupieckie, do tawerny, a goście przywitali go jak krewnego, który dawno wypłynął na morze, przypomniał sobie i gramatykę, i frazę, a słowa i zwroty grzecznościowe złożyły się w całość jak bale drewnianego domu. Syn Seamusa Og Quinna, wyrósł chłopak na schwał, świetnie widzieć jednego z Quinnów z powrotem wśród znajomych ludzi i okolic. I kolejne wspomnienie: wielka sala na piętrze rezydencji w Porto; Pederneiras, nauczyciel szermierki, prowadzi go z klasy do tego wielkiego pomieszczenia wypełnionego alegoriami bogactwa i potęgi portugalskich kupców i nawigatorów. Gdy zerknął przez okna za kolumnadą na ruchliwą ulicę, Pederneiras otworzył długą, wąską, obitą szagrynem skrzynkę. W środku, otulone w grube sukno, leżały ostrza.

– Weź jedno, zważ je, podziwiał.

Dłoń Quinna opadła na rękojeść i całą rękę przeszedł dreszcz, ogień w lędźwiach, sztywnienie i napór – teraz wiedział, że to ma seksualny charakter, i nadal, po dwudziestu latach, pokornie klęcząc, wciąż był w stanie poczuć tamto pobudzenie.

– Widzę, senhor Luis, że nie potrzebuje pan ode mnie zachęty – powiedział wtedy Pederneiras, widząc nabrzmiałą dumę w spodniach ucznia. – A teraz *garde*.

I znów błyszczący metal w dłoni, spłaszczony metal solidnego kufła, zniekształcony po wielu ciosach w czaszkę człowieka. Pan mi kazał już panu nie podawać. Ciało wciąż pamiętało tę silną, ekstatyczną radość.

Aby wygnać z myśli zbyt kowne i grzeszne wspomnienie, uciekł się do dyscypliny swoich *Ćwiczeń. Modlitwa wstępna*: proś Chrystusa, by pobłogosławił wszystkie zamiary, czyny i prace, tak, aby były ku służbie i chwale jego Boskiej Dobroci. *Punkt I*: Grzech

aniołów. Byli nadzy i niewinni, albowiem mieszkali w raju pełnym obfitości i łagodności, a i tak pośród ich lasów i wielkich rzek Wróg ich zdeprawował. Zaczęli spożywać ludzkie mięso, radowali się z mięsa swoich wrogów, więc potępiliśmy ich jako pogan, zwierzęta, wyzbyte duszy i ducha, nadające się tylko na niewolników. I czyniąc to, sami siebie potępiliśmy. *Punkt II: Grzech naszych prarodziców.* Pamięć Quinna przeskoczyła od obitego metalu w dłoni do roztrzaskanej czaszki na podłodze. Ponownie usłyszał zwierzęce wycie kompanów zagrzewających go ogniem żądzy i alkoholu. *Punkt III: Grzech duszy potępionej za jeden grzech śmiertelny.* Ojciec Diego Gonçalves, co o nim wiesz? Manoel, pilot i pobożny ministrant, nie śmiał powiedzieć choćby słowa przeciwko Kościołowi, lecz opuszczone ramiona i pochylona głowa, jakby przeraził się ogromem Rio Negro, powiedziały Quinnowi o dawnych lękach. Co innego Zemba, wyzwoleniec, który od czasu uzyskania wolności w Belém podróżował w górę rzeki, zwabiony plotkami o El Dorado w dżungli ponad São José Tarumãs, krainą przyszłości, gdzie będzie mógł zapomnieć o swojej przeszłości. „Miasto Boga”, powiedział. Buduje się tam Królestwo Niebieskie.

Luis Quinn poddał pod rozważanie owe trzy grzechy i dostrzegł, że są nierozdzielne: pycha królewska, pycha ducha, pycha władzy. Teraz rozumiem, ojczu Jamesie, dlaczego wysłałeś mnie. *Zakończyć rozmyślenia odmawiając Ojczu Nasz.* Lecz gdy artykułował świetnie znane słowa, rzeka wokół niego eksplodowała, wyrrywając go z zamyślenia: z wody wokół pirogi całymi dziesiątkami wynurzyły się *botos*, niektóre wystawiły wypukłe grzbiety, by zaczerpnąć powietrza, inne zaś ekstatycznym skokiem całkiem wyrwały się ze swego żywiołu. Serce Quinna też podskoczyło w zachwycie i radości; a potem, gdy śledził lecącego, wyginającego się *boto* aż po zenit łuku, zachwyty zmienił się w nieme osłupienie. Nad *varzeq* sunęły anioły, szły nad koronami drzew, anioły dzierzące harfy i psalterze, bębny i marakasy, miecze i podwójnie zakrzywione łuki. Niebiańskie zastępy. Nie przeciw ludziom występujemy, lecz przeciw ich potędze i władzy.

Piroga wyłoniła się z wąskiego *juro*, wpłynęła w główny nurt, a Quinn mimo woli zerwał się na równe nogi w zadziwieniu. W kanale było aż czarno od pirog, które wypełniały go od brzegu do brzegu; mężczyźni kucali na rufach popychając swe rozkołysane skorupki naprzód, kobiety i dzieci siedziały w połowie kadłuba. Na niektórych były wyłącznie roześmiane, obryzgane wodą dzieciaki. A pośrodku tej licznej flotylli wznosił się obiekt podziwu Quinna. Po rzece płynęła bazylika. Nawa, prezbiterium, apsydy, przypory i klerestoria; kościół pod każdym względem, od krytej gontem kopuły po krzyż pomiędzy dwiema wieżami. Każdy cai bazyliki pokrywały rzeźbione i malowane płaskorzeźby ze scenami z ewangelii, katechizmu, męczeństwa świętych i zstąpień aniołów, iluminacje świeciły odbitym blaskiem zachodzącego słońca promiennie jak witraże. A każdy gont na dachu miał wymalowany kwiat. Na otoczonym balustradą tarasie nad portykiem stały postacie, maleńkie jak owady. Taki w każdym razie obraz pozostał w osłupiałym umyśle Quinna – wydawało się, że cały wielki kościół idzie po wodzie na tysiącu cienutkich nóżek. Drugie, chłodniejsze spojrzenie wyjaśniło, że są to tysiące wiosel popychających niebotyczną budowlę przez kanał. Bazylika nie była poruszana wyłącznie siłą ludzkich mięśni; ze zwieńczeń przypór wyrastały maszty obwieszane

olinowaniem i brązowymi żaglami z palmowej tkaniny; na wieżach także stały rozprze, umocowane sztagami. Zwisały z nich proporce. Jeden przedstawiał Matkę Boską z Dzieciątkiem, drugi – kobietę stojącą na jednej nodze, o ciele oplecionym leśnymi pnączami i kwiatami. Wokół lin i na pertach uwijały się nagie czerwone postacie wymalowane *genipapo* w czarne wzory. Nagle wzrok Quinna przykuły czubki masztów. Każdy maszt zwieńczała gigantyczna rzeźba anioła: trąba, harfa, miecz o rombowej klindze, tarcza, kastaniety. Twarze miały jak ludzie z kanoe – wysokie kości policzkowe, wąskie oczy, czarne włosy aniołów znad Rio Negro.

Później w bazylice odezwały się dzwony. Postacie na balkonie ożywiły się nagle, od rzędu polerów cumowniczych na dziobie statku-kościół odbiło wielkie kanoe. Quinn przeczytał napis nad głównym portykiem wejściowym, choć dawno wiedział, co tam będzie napisane: *Ad maiorem Dei gloriam*.

ŚWIĘTA PANI
OD LASU ZALEWOWEGO

6-8 CZERWCA 2006

Marcelinę Hoffman obudził srebrzysty deszcz. Twarz i włosy miała pokryte rosą, a śpiwór lśnił pod warstwą drobnych kropelek jak poczwarka jakiejś niesamowitej ćmy księżycowej. Nad jej twarzą sunęła powłoka miękkich, postrzępionych chmur; wydawało się, że wiszą tak nisko, że można je było polizać. *Morros* były ucięte jak nożem, ich szczyty niewidoczne we mgle. Patrzyła, jak szare pasma rozdierają się na cierniach i kolcach anten i czułków wieńczących co wyższe z wieżowców. Wysunęła język, nie do pocałunku, lecz aby posmakować, pozwoliła, by padała na niego ciepła mżawka. Odgłosy ulicy były przytłumione, przygaszone; chłopot opon na mokrym, tłustym asfalcie. Mewy szlochały, to pojawiając się, to znikając, zawieszane we mgle; pod ich żółtymi żarłocznymi oczyma rozciągała się nasiąknięta deszczem Copacabana. Skrzekliwi prorocy od pogody. Wzdrygnęła się w śpiworze, krzyki mew zawsze drażniły Marcelinę – jak głos morza przyzywający ją zza horyzontu, nowe światy, nowe wyzwania.

Mieszkanie na dole wydawało się zimne i opuszczone; meble zimne w dotyku, wilgotne i obce; ubrania w szafach należały do poprzedniego najemcy, który uciekł. Dom odzyskał swój naturalny zapach, ten charakterystyczny lokalny feromon, który uderzył ją niemal fizycznie, gdy tylko agent nieruchomości otworzył przed nią drzwi, który usilnie starała się wypędzić pachnącymi świecami, lampkami oliwnymi, kawą i *maconhą*, który jednak zakradał się z powrotem, przez szczelinę pod drzwiami, przez wyloty klimatyzatora, za każdym razem, gdy zostawiała go na dłużej niż parę dni. Zrobiła sobie kawę, cały czas czując, że kuchnia ją obserwuje. Skradać się po własnym domu.

Komórka, ładująca się na biurku, mrugała. Poczta głosowa. Z godziny 2:23. Numer wyglądał znajomo, ale nie kojarzył się z żadną twarzą czy nazwiskiem.

Bip.

Męski głos rozwrzeszczał się na nią. Marcelina odrzuciła telefon. Zakręcił się na gołym, niemal chirurgicznie czystym blacie, cały czas mamrocząc. Podniosła go z powrotem. Raimundo Soares, wściekły – nie wyobrażała sobie, żeby Ostatni Prawdziwy *Carioca* mógł być aż tak wściekły. Skasowała wiadomość i od razu oddzwoniła.

Rozpoznał jej numer. Przez siedem godzin nie zdołał się uspokoić, był tak zły, że nie miał czasu nawet na proste „cześć” czy „dzień dobry”.

– Zaraz, zaraz, zaraz. Rozumiem, że jest pan na mnie wściekły, ale właściwie za co?

– Jak to za co? Nie pogrywaj ze mną w żadne durne gierki! Cholerne baby, wszystkie takie same, nic tylko gierki i podstępny.

– Zaraz, zaraz, zaraz. – Ile razy musiała już powtórzyć to słowo w ciągu zaledwie siedmiu dni? – Załóżmy, że ja o niczym nie wiem, proszę zacząć od samego początku. – Nie była w stanie słyszeć tych słów, żeby jednocześnie nie kojarzyły się z graną przez matkę wiązanką przebojów z *The Sound of Music*. Przerobionych na rytm samby. Jezusie o

kulach; przecież jest Sobota z *Feijoada*; *feijoada* i organami, pełne szczęścia Objawienie stanu błogosławionego Iracemy. Niesamowite, jakimi absurdalnymi, odklejonymi ścieżkami porusza się ludzki mózg, kiedy jest ciemno i strasznie.

– Nie ma mowy, ja się na to telewizyjne badziewie nie nabiorę. Wiem, jak wy tam działacie. Ten mail, to jest żart moim kosztem, co? Pewnie mi tu założyliście kamerę, która teraz na mnie patrzy, pewnie nawet w kiblu mam kamerę, żebyście mogli patrzeć, jak się drapię po jajach!

– Panie Soares, o jakim mailu pan mówi?

– Daruj sobie to „panie Soares, panie Soares”. Słyszałem, że to się zdarza, naciska się nie ten guzik i mail idzie do kogoś, do kogo nie powinien; w każdym razie ja go przeczytałem i już wiem, o co chodzi. Mnie może oszukałaś, ale całego Rio nie oszukasz, o nie.

– Co to był za mail?

– Wiesz co, może faktycznie niewiniątko z ciebie, może nie wiesz, może to był przypadek. Przecież nie wysłałabyś mi specjalnie oferty na wasz program o Barbosie, nie?

Naturalny zapach jej własnej kuchni przytłoczył Marcelinę, duszący i oszałamiający. Słowa na nic się tu nie zdadzą. Robiła to przecież. Kłamała, oszukiwała, radośnie knuła, żeby zrobić karierę na postawieniu starego człowieka pod publicznym pręgierzem. A Święta Pani od Widowskowości odwracała oczy. Ale i tak coś się w tym nie kleiło.

– Ja nie wysłałam takiego maila.

– Posłuchaj mnie, dziewczynko, nie kończyłem kursu komputerowego dla seniorów, ale nawet ja rozpoznam adres w mailu. Wy myślicie, że jesteście tacy cwani, a my starzy, powolni i można się z nas śmiać do woli. Ale ja jeszcze znam paru ludzi w tym mieście, rozumiesz? I mówię ci: to jeszcze nie koniec, o nie. Powiem tak: odpierdolcie się ode mnie razem z całą waszą telewizją; nawet za milion reali nie poprowadzę wam tego programu.

– Ale, ale... panie Soares, to ważne... o której godzinie... – Cisza na linii. – O której godzinie wysłałam panu tego maila?

I tak nie miałaś prowadzić tego programu, wściekała się bezgłośnie do rozłączonego telefonu. Wiedziała, że to drobny, głupawy grzeszek, ta jej potrzeba, by mieć ostatnie słowo, choć wróg już nie może odpowiedzieć. Choćbyś był, kurwa, ostatnim jebanym *cariocą* na całej kuli ziemskiej. Panie Jezu, Jezu z Rio, Jezu z Garbatej Góry z rękoma wyciągniętymi do morza, Jezusie we mgle, pomóż mi teraz! Zerknęła na zegar w mikrofalówce, stale śpieszący się o osiem minut. Miała na styk czasu, żeby zdążyć do firmy i potem do matki.

Robson nie pracował w soboty, a zastępujący go nerwowy, choć miły jawny homoseksualista, ksywa Lampião, był nowy i poprosił ją o pokazanie karty wejściowej. Nie odgryzła mu głowy. Jeszcze się jej przyda.

Mżawka zagaściła się do regularnej ulewy; smugi kropel zamieniały Szklaną Menażerię w dziwną elektroniczną dżunglę. Folder „Elementy wysłane” na jej komputerze potwierdził: oferta programu *Barbosa: proces stulecia* wysłana do raicariocão@wonderfish.br, 5 sierpnia o 23:32. A jej alt kropka rodzina osobliwie nie

potrafiła jej uspokoić. Porządne hasła, loginy i cała reszta. Marcelina otworzyła opcje bezpieczeństwa i wcisnęła przycisk zmiany hasła. Kropki jedna po drugiej znikwały, gdy je kasowała. A nowe hasło? Palce zawahały się na klawiszach w połowie „mestreginga”. Ona cię zna. Każdą myśl, każdy szczegół i wpis w dzienniku twojego życia. Wie, że uprawiasz capoeirę. Zna twój numer buta, rozmiar sukienki, listy utworów, wie, ile butelek piwa masz w lodówce i jakie baterie pakujesz do Króliczka. I nagle zmroziło ją pośród szarych deszczowych smug, aż musiała się objąć.

To o to chodzi, prawda? Jesteś w programie telewizyjnym wewnątrz innego programu – to pilot najbardziej zakreconego serialu Reality TV – „Zwariujmy Marcelinę”. Nawet w tej chwili kamery w biurze obracają się pod dyktando zaciemnionej reżyserki. Wszyscy są wtajemniczeni: Celso, Cibelle i Agnetta, Czarna Ptaszyna, nawet Adriano. Twojego programu nigdy nie zamierzali robić, Adriano zgodził się w ostatni Piątek Burzy Bluzgów po prostu dlatego, że tak było w scenariuszu: sprytna, och, jaka sprytna komedia o twórczyni programów, która nie ma pojęcia, że sama występuje w takim programie. *Dziewczyna, która się sama zagryzła*. Lisandra. Ta krowa. Na pewno ona to robi. Stanie na rzęsach, żeby zostać Kreatywnym Wydawcą. I w tej chwili się z ciebie śmieje, gdzieś na galerii, z paroma asystentami i Leandro, montażystą.

To musi chodzić o program. Każda inna teoria to obłąd.

Marcelina wyciągnęła z półki książkę na chybił trafił, otworzyła na stronie 113, wpisała w pulsujące pole 113. słowo. „Testament”. Dobre słowo. Mało prawdopodobne, żeby w Canal Quatro ktoś wpadł na nie przypadkiem.

Sobotni Chłopak Lampião SMS-ował za swoim biurkiem, tak szybko, że kciuki mu się rozmazywały.

– Zrobiłbyś coś dla mnie?

Zasznurował usta zirytowany, że przerywa mu się pisanie.

– No nie wiem, a jak narobię sobie problemów, czy coś?

– Znam parę osób w produkcji.

Przewrócił oczyma.

– No to mów, czego chcesz.

– Siedziałeś tu wczoraj w nocy?

Pokręcił głową.

– No to muszę spojrzeć na nagrania z monitoringu.

– Z czego?

– Z kamer. – Pokazała jej jak personel pokładowy wskazujący położenie wyjść awaryjnych. – Wszystko się zapisuje na stugigowy dysk. Tam. – Spojrzał w łagodnej panice pod własne biurko. – Bardzo łatwo stamtąd ściągnąć nagrania.

– Nie wolno mi kogokolwiek wpuszczać za ten blat.

– Ale to do programu.

– To powinienem mieć coś na piśmie.

– W poniedziałek ci przyniosę.

– Dobra, zgram to dla ciebie.

- Ale prościej by było...
- Już był przy czarnym dysku LaCie.
- A ile potrzebujesz?
- Parę godzin. Powiedzmy od 22:30 do 0:30.
- Wypalę ci płytke.

Wolałabym przegrać na mój cyfrowy notatnik, już miała powiedzieć Marcelina. Skłoniła głowę posłusznie. Nie wolno nie doceniać brazylijskiego talentu do biurokracji. Patrzyła na deszcz i na wagoniki kolejki linowej znikające w chmurowej czapie Głowy Cukru. Nad Dois Irmãos bzycał helikopter. Nawet zimowy deszcz nie był w stanie ugasić węgielków po niedawnych niepokojach. Pod naszymi pięknymi ulicami płynie gorąca, gęsta magma; a my chodzimy, biegamy, wyprowadzamy psy na jej cienkiej skorupce, prężymy się i napinamy, jakbyśmy byli w Nowym Jorku, Paryżu, czy Londynie, póki z dołu nie przebije się ukryty porządek – i kobieta, która sprząta ci dom, gotuje posiłki, pilnuje dziecka, facet, co wozi cię taksówką, dowozi kwiaty, naprawia komputer, nagle stają się twoimi wrogami, a ogień spływa do morza.

Po czym pomyślała: a gdyby helikopter zderzył się z wagonikiem? To byłaby chwila godna CNN.

- Dobra, masz. A do jakiego to programu?
- Nie mogę powiedzieć. Ale wszyscy bierzemy udział.

Chmury wisały nisko wokół Dois Irmãos i długiego grzbietu Tijuca, zmieniając Leblon w ofiarowaną morzu miseczkę pełną wieżowców. Odważni chłopcy w jaskrawych jak tukany piankach rzucali wyzwanie wielkim szarym falom. Marcelina zdążyła przemoknąć i zmarznąć, tylko przebiegając z taksówki do hallu z windami. Dziś nie było słycać rozwirowanych glissand Królowej Beija-Flor. Wilgoć szkodzi elektronice. Taksówkarz kupił kwiaty i butelkę zadziwiająco porządnego francuskiego wina. Większość jeżdżących dla nich regularnie kierowców była lepszymi asystentami produkcji niż aspirujący do tej roli pracownicy stacji. Z flaszką w jednej ręce i kwiatami – z wypisanym bilecikiem – w drugiej Marcelina wjechała lustrzaną klitką na górę, kapiąc wodą na-podłogę z fałszywego marmuru.

Nacisnęła dzwonek do drzwi. Po melodyjce nastąpiła fermata, odwrotność echa, bardziej wyczuwana niż słyszalna cisza nagle kończących się rozmów. Canal Quatro wyczulił Marcelinę na subtelności tego bezgłośnego cykania. Otworzyła matka.

- O, czyli postanowiłaś przyjść. – Odsunęła się, gdy Marcelina chciała ją pocałować.

Wszyscy siedzieli w równiutkich rzędach na całej dostępnej powierzchni ciasnego saloniku – Gloria i Iracema na sofie, pomiędzy nimi małe dzieci, większe na podłodze, całe w karmelu ze stojących na stole słodyczy; mąż numer jeden przysiadający na boku fotela, mąż numer dwa na plastikowym krzeselku z balkonu wciśniętym pomiędzy stojącą lampę i organy. Na małym stoliku obok siedziska matki stała wysoka szklanka z wódką. Pomiedzy kostkami lodu przemykały bąbelki, na krawędzi wisało mieszadełko z tukanem na końcu. Całe mieszkanko przenikał intensywny zapach długo duszonego mięsa z fasolą, łagodna ostrość warzyw, świeża, wysoka nuta krojonej pomarańczy. *Feijoada* zawsze była

dla Marceliny świętem. Zaparowały wszystkie okna.

– Co to ma być, jakaś ława przysięgłych? – zażartowała Marcelina, ale wino w jej ręku zaczęło wyglądać jak maska Ronalda McDonalda na pogrzebie, a kwiaty – jak kostucha we własnej osobie.

– Tupet to ty masz, trzeba ci przyznać – odezwała się Gloria. Marcelina usłyszała, jak matka zamyka za sobą drzwi.

Zapach *feijoady* zrobił się duszący i mdlący.

Iracema przesunęła kartkę po stole. Para identycznych niemowląt w futrzastych strojach aniołków, unoszących się do nieba wśród kolibrów i pierzastych obłoczków. *Gratulacje: dwójka!* Marcelina otworzyła ją... *Mam nadzieję, że poronisz, a jak nie poronisz, to przynajmniej będą miały zespół Downa...* Zatrasnęła kartkę. Pokój zawirował wokół niej. Rodzina wydawała się jednocześnie odległa, jak w kosmologicznej skali, i tak bliska, że czuła smak śliny na ich zębach.

– Musicie wiedzieć, że to nie ja pisałam.

– Ale to twoje pismo. – Gloria rozpoczęła akt oskarżenia.

– Wygląda jak moje, ale...

– Bo kto jeszcze wie, że Iracema będzie miała bliźniaki?

Mąż Glorii, Paulo, wstał ze swojej grzędy.

– Dzieci, chodźcie do kuchni, zobaczymy, jak tam *feijoada*.

– Nie ja to pisałam, po co miałabym pisać coś takiego?

Gloria odwróciła kartkę.

– Przepisz to samo tu z tyłu.

...taka zadowolona z siebie, z idealnych dzieci i idealnego męża, że nawet nie podejrzewasz, że spotyka się z innymi kobietami. Jak myślisz, czemu cztery razy w tygodniu lata na siłownię?

Identyczne co do przecinka. Co do zawijasa. Co do kreski.

– To nie ja pisałam!

– Nie podnoś głosu – zasyczała matka. – I tak narobiłaś tyle, brakuje, żeby jeszcze dzieci coś usłyszały.

– Po cholerę miałabym coś takiego wysyłać? – Jedyne pytanie, które była w stanie zadać, lecz, jeszcze zanim je wypowiedziała, uświadomiła sobie, jak jest zgubne.

– Bo zazdrościsz. Zazdrościsz, bo mamy coś, czego nie masz. – Gloria zmierzyła ją zimnym, siostrzanym spojrzeniem, prosto w oczy.

Gdyby tego nie zrobiła, Marcelina może wzięłaby się w garść, może by przeprosiła, odwróciła się i wyszła. Ale teraz padło wyzwanie i już nie mogła wyjść, nie mając ostatniego słowa.

– A co wy takiego macie, czego bym wam zazdrościła?

– Oj, chyba wszystkie dobrze wiemy.

– Co, niby twojego superdomu, superauta, superkarty na siłownię, superopieki medycznej i supersuperopłat za przedszkole? Na to, co ja mam, to przynajmniej sama zapracowałam. – Marcelina, przestań. Marcelina, cicho bądź. Ale nie umiała. Nigdy nie

umiała. – Nie, nie, to nie ja tutaj mam problem z zazdrością. To nie ja jeszcze sobie nie poradziłam z problemem, że nie jestem ulubiona. Od zawsze ten problem. To ty mi zazdrościsz, zazdrościsz, że ja mam życie.

– Bezczelna! Tylko nie próbuj odwracać kota ogonem i mówić, że to wszystko przeze mnie. Ja tej kartki nie wysłałam i nie ma tu co dyskutować.

– Ja też nie, ale z tobą dyskutować nie będę, bo z tobą nie ma dyskusji, tobie się nic nie wytłumaczy, ty zawsze jesteś nieomylna, najlepsza i wszystko masz idealne.

Brzęczenie głosów w kuchni, basu i pikolo, ucichło. Dobrze słyszycie, dzieci. Wasza ciocia jest potworem. Nie spodziewajcie się choćby pół prezentu, dopóki nie skończycie studiów. Ale za to pokryję koszty waszej terapii. Iracema zalała się łzami. Mąż, João-Carlos, wstał-z plastikowego krzeselka, klęknął koło niej i zaczął gładzić ją po nadgarstku. Od odświeżonego, przepysznego zapachu *feijoady* chciało jej się rzygać; zapach to najlepszy wywoływacz wspomnień, a teraz zepsuł się na zawsze. Marcelina, uciekaj, póki nie przywalisz tak, że się już nie zagoi. Jednak jeszcze w drzwiach odwróciła się, żeby wypalić:

– A którejś z was w ogóle przyszło do tępego łba, że może coś jest nie tak, że może nie można po prostu na głupa zakładać, że to Marcelina i tyle? Nie zastanowiłyście się choćby przez chwilę, że coś tu jest nie tak? Nie? To pierdolcie się. Nie potrzebuję was.

Trzasnęła drzwiami najmocniej jak się dało mimo nadmiernie sprężystej gumowej wycieraczki. Drzwi windy zamknęły się na dwuwymiarowym pasku podbiegającej do nich matki i wołającej: „Marcelina! Marcelina!”.

Potem zmieniła się w linię i w ciszę.

Ze wzgórz wiał wiatr, rozpraszający niskie, rozszlochane chmury i rozwiewający czubki szarych fal. Tuż nad nimi wisały mewy, rozpostarte błony na stopach, skrzydła przesuwające się tu o milimetr, tam o jedno piórko, by utrzymać się nad szczytami fal. Przystojni chłopcy w ślicznych piankach wylegiwali się na piasku, czekając, aż się wypogodzi. Na biało-czarnym chodniku Avenida Delfim Moreira, brukowanym w czarno-białe wzorki, Marcelina uświadomiła sobie, że wciąż ściska w garści przemoczone kwiaty. Wyciągnęła z celofanu storczyk i rzuciła go surferom. Zaśmiali się i zamachali. Rzucali kwiatami jak oszczepami w przyszczaty od deszczu piasek Leblon, dopóki się nie skończyły. Przypływ. W głowie znów miała ten dźwięk, ten gwizd na koniec świata, wyciskający z pustych przestrzeni czaszki ostatnie łzy.

Powiedziałaś to, powiedziałaś, powiedziałaś. Ale to nie ja, nie ja... No to co to było? Program Reality TV? Marcelina w życiu by nie zrobiła czegoś takiego, jak wysłanie tej kartki, choćby nie wiem jak była żadna szoku i okrucieństwa. Rodziny się nie tyka. Ale czy w *Syfiarzach* nie tak to właśnie było? Zniszczone przyjaźnie, matki poróżnione z córkami, wojny w rodzinach?

Przy moście nad kanałem łączącym lagunę z oceanem, gdzie kończyło się Leblon i zaczynała Ipanema, zębami zdarła folię z butelki wina, kciukiem wepchnęła korek do środka i pociągnęła prawdziwego importowanego francuskiego margaux za stowę. Mijający ją ludzie na rowerach i rolkach, w mokrych lycrach oglądali się za nią,

przemykając, wzbijając spod kół małe strużki deszczówki. Gapcie się, gapcie się ile chcecie. Do Arpoador osuszyła całe wino i cisnęła pustą flaszkę łukiem w powietrze i butelka rozprysnęła się pomiędzy uprawiającymi power walking. Odgarnęła mokre włosy z twarzy, żeby łypnąć groźnie na gapiące się twarze.

– No i co? No i co?

Krótkie wycie syreny sprawiło, że z jękiem klapnęła na tyłek. Siedziała, gapiąc się z rozdziawionymi ustami na radiowóz, jakby spadł z nieba. Policjantka pomogła jej wstać. Z daszka policyjnej czapki deszcz pociekł prosto na twarz Marceliny.

– Pani ma spodnie wpuszczone w buty – zauważyła Marcelina.

– No już, już. Dużo pani wypła?

– Jedno wino, proszę pani. Jedno wino.

– Powinna się pani wstydzić. I to jeszcze w miejscu publicznym.

– Ja mam *cordę vermelhę*, wie pani? – powiedziała Marcelina. – Bez problemu mogę panią ośmieszyć. – Ale chwyt za łokieć był niepodważalny. Poprowadziła ją do samochodu. Jej partner, *mulatinho* o szerokiej twarzy, zatrzęsł się ze śmiechu.

– Bardzo mi miło, że was rozśmieszyłam – dodała Marcelina, gdy policjantka wciskała ją na siedzenie. – Ojoj, całą tapicerkę wam pomoczyłam. – Spróbowała wytrzeć krople rękawem. – Dokąd mnie wieziecie?

– Do domu.

Marcelina chwyciła policjantkę za koszulę.

– Nie, nie chcę do domu, nie mogę, ona tam jest.

Policjantka szybko i stanowczo odczepiła od siebie jej pięści.

– No cóż, nie może pani być w tym stanie na ulicy. Może mam panią zamknąć?

– Do Heitora – oświadczyła Marcelina. – Wieźcie mnie do Heitora. Heitoooraaa!

Ten bardzo uprzejmie podziękował policjantom, którzy z nabożnym zachwytem patrzyli na telewizyjną gwiazdę, już ciesząc się z okazji do zyskownych plotek. Marcelina usiadła na szczycie tarasowych schodów, gdzie opływała ją woda ciekąca ze skalnej ściany *morro*, prawie przylegającej do apartamentowca Heitora.

– W poniedziałek to będzie w „Quem” na pół numeru – powiedział Heitor. Co innego dyskretny ekshibicjonizm osoby w przezroczyściej koszulce, paradującej przed obiektywami patrzącymi z drugiej strony zatoki, a co innego ta sama kobieta, nawalona i rozwrzeszczana na jego własnych tylnych schodach. – Jezus Maria. Wchodzisz czy nie? Za pięć minut przyjeżdża po mnie samochód, a jeszcze muszę się przebrać, ten garnitur się już nie nadaje.

– Buuuuu, jak mi szkoda garnituru! – wykrzyczała Heitorowi w przemoczone plecy, kiedy wchodził przez przesuwane drzwi do sypialni. – A mi się życie, kurwa, skończyło.

Heitor rzucił jej ręcznik. Owinęła go wokół głowy jak Carmen Miranda, po czym pozbierała się, ostrożnie stąpając brokatowymi pantofelkami po zdradliwym wodospadzie schodów, i chwiejnie poszła do sypialni. Heitor stał w bokserkach i skarpetkach, wiążąc dziany jedwabny krawat, który Marcelina przywiozła mu z Nowego Jorku. Z niej zaś kapłała woda na jego dywan.

– Myślisz może, że to jest coś jak *axé*, moc, która może wyjść na świat i przybrać

fizyczny kształt?

Heitor wciągnął spodnie, sprawdził ostrość kantów.

– O czym ty mówisz?

Marcelina wyplątała się z butów, gdy Heitor wkładał swoje za pomocą szylkretowej łyżki. Próbując wyciągnąć nogi z džinsów do pół łydki, upadła na łóżko.

– Na przykład, jakby bardzo silne uczucia, albo stres, albo to, że za bardzo się czegoś pragnie, i to potem z ciebie wychodzi, zbiera się i się ucieleśnia, nabiera życia – powiedziała. – Tak jak mówiono o *mestres* z *umbandy*, że potrafią urwać kawałek swojej duszy i zrobić z niego psa albo małpę.

Uniosła ręce i zdjęła przemoczony top na ramiączkach. Potem stanik. Heitor przypatrywał się w stojącym lustrze jej małym piersiom o skurczonych sutkach. Wzruszając ramionami, włożył marynarkę.

– To legendy. Czary. Zabobon. Żyjemy w naukowym, entropicznym świecie.

– Ale jakbyśmy, jakbyśmy, jakbyśmy założyli... – powiedziała Marcelina w samych stringach.

Zabrzączał domofon. Taksówka. Heitor pocałował ją, zakreślił kciukami kółka wokół sutków. Marcelina przywarła do niego, próbując wsunąć mu język do ust. Heitor delikatnie położył ją na łóżku.

– Przyjdę potem. A ty spróbuj napić się trochę wody.

– Heitor!

Deszcz ciekący przez wąski jak trumna betonowy ogródek miał teraz barwę ochry od zmytej z góry gleby. Marcelina usiadła okryta prześcieradłem i, podciągawszy kolana pod brodę, patrzyła, jak *morro* przelewa się pomiędzy roślinami w doniczkach i spływa po schodach, dygocąc z przerażenia. O śnie nie było mowy. Poczłapała bosą po polerowanych parkietach, w poszukiwaniu wody. Powoli wypięła się i pokazała tyłek teleskopom po drugiej stronie laguny. Panie i panowie, proszę przetrzeć obiektywy. Klepnęła się po pośladku.

I tak cały czas życzyła własnej siostrze, żeby poroniła bliźniaki.

Pstryknięciem włączyła plazmowy ekran. Jazgot, gadanina, gładzenie. Przestań myśleć o sobie. I oto Heitor, zdalnie sterowana kamera podjeżdżająca do zbliżenia, w tle animacja tytułowa. Najważniejsze dziś. Płonące faweły, policyjne helikoptery, trupy w krótkich spodniach. Mury wokół faweli wyższe o kolejne parę cegieł. Lula żyje nowymi oskarżeniami o korupcję. Brazylia, kraj przyszłości. Po czym Marcelina dostrzegła, że Heitor czyta następną linię na prompterze i wytrzeszcza oczy. Nastąpiła krótka pauza. Heitorowi coś takiego się nie zdarzało. Heitor był prezydentem starej daty, mężem zaufania publicznego, w stu procentach oddanym Dobrze Przedstawionej Prawdzie, pośród dżungli demografii docelowej 18-30 i hałaśliwej, agresywnej pstrokaczny. Heitor był profesjonalny we wszystkim, z połyskiem na butach włącznie. Skupiła całą uwagę na ekranie.

– Następną informacją dotyczy nas: w jutrzejszym „Jornal de Copacabana” dziennikarz Raimundo Soares ma oskarżyć Canal Quatro, że stacja planuje program telewizyjny o

Maracanaço. Sugeruje, że otrzymał poufny list od producenta Canal Quatro, że ekipa programu chce wytropić osiemdziesięcioletniego Moaçira Barbozę, przez wielu nadal uznawanego za głównego sprawcę tamtej klęski, a następnie publicznie go upokorzyć podczas programu będącego parodią procesu.

Wstawka z wywiadem z Raimundo Soaresem w surferskiej koszuli i szortach na deszczowej plaży Flamengo, w tle jego bractwo kiwające głowami nad spławikami. Cynizm. Okłamano go. Planowano wykorzystać starego człowieka. Potem Marcelina przestała cokolwiek słyszeć, bo dźwięk w jej głowie, w uszach, wydostał się na świat.

To już koniec. Święta Pani od Widowskowości ją opuściła.

Wycelowała pilotem i odesłała Heitora w ciemność. Bicie jej serca było najgłośniejszym dźwiękiem w pokoju.

– Kim ty jesteś?! – wrzasnęła Marcelina. – Czemu mi to robisz?! Co ja ci zrobiłam?!

Uciekła do sypialni, wysypała zawartość torebki na łóżko. O, jest, przezroczyista plastikowa okładka. Wsunęła płytkę DVD w szczelinę z boku plazmowego ekranu.

Palec zawahał się nad przyciskiem „Play”.

Ale musiała wiedzieć. Musiała zobaczyć na własne oczy.

Przewinęła fragment, przedstawiający wymykający się do domu personel Canal Quatro – kiwających głowami ludzi, albo bezgłośnie mówiących coś do Lampião. Poszedł Leandro. Parę przyspieszonych minut Lampião gapiącego się tępo w migoczący telewizor. Ależ mało się ruszał. Potem zobaczyła, że na skraju kadru poruszają się obrotowe drzwi. Weszła postać w ciemnym kostiumie. Marcelina, próbując zwolnić tempo, nie trafiła w przyciski. Cofnij. Cofnij. Dysk zahuczał. Znow weszła. Kobieta. Kobieta przeskakująca z klatki do klatki w eleganckim kostiumie. Ciemnoszarym. Niska, z długimi, naturalnie kręconymi blond włosami. *Loira*. Lampião oderwał wzrok od telewizora i uśmiechnął się.

Klatka po klatce, kobieta obracała się, żeby sprawdzić, gdzie jest kamera.

Marcelina wcisnęła pauzę. Na ekranie sypnęło śniegiem, jedynym, jaki zna Rio.

Jej twarz. Patrzyła na własną twarz.

28-29 STYCZNIA 2033

Po północy *axé* najmocniej przepływa przez kościół Irmandade da Nossa Senhora da Boa Morte. Taksówki i busiki zwożą wiernych ze wszystkich północnych przedmieść – gdy święci są zmęczeni, granice między światami się osłabiają i można się pokusić o potężniejsze obrzędy. Edson rzuca monetę świętemu Marcinowi, chrześcijańskiemu aspektowi Exu, Pana Rozstajnych Dróg, Cwaniaka i Chłopaczka na Godziny dla *orixás*, patrona wszystkich *malandros*.

Siostry Dobrej Śmierci orbitowały wokół życia Edsona niczym wróżki-matki chrzestne. Jego babka z północnego wschodu kraju oddała Siostrzeństwu swoje dwie córki, Hortense i Marizete, w zamian za sukces jej synów w trudnym i ciężkim Sampa. Jednakże Dona Hortense lubiła pirackie radia, tańce, chłopaków w szybkich samochodach, więc *madre* zwolniła ją ze ślubów (zaprawdę żaden Bóg nie uzna za wiążące przysięg składanych przez czternastolatkę). Tia Marizete zaś znalazła spokój ducha i cel życia w dyscyplinie postkatolickiego zakonu – została, a przez dwadzieścia pięć lat zdołała zorganizować w *bairros* i fawelach północnego São Paulo Godny Pochówek oraz nieoficjalne służby społeczne. W odróżnieniu od macierzystego zakonu w Bahii, paulistańskie siostry nie praktykowały klauzury – ich bahiańskie krynoliny i turbany były często i mile widziane na ulicach, gdzie uzdrawiały, przepowiadały przyszłość i zbierały reale do koszyków. Dwa razy w roku, w święta maryjne, Tia Marizete odwiedzała swoją rodzoną siostrę i siostrzeńców – wtedy na werandę domu Dony Hortense zwałało się całe *bairro* z litanią drobnych choć przykrych problemów zdrowotnych.

– A matka wie, gdzie jesteś? – pyta Tia Marizete, uprzątając pokój dla gości w części dla *abiás-gejów* („niech to szlag, znowu jesteśmy ikonami popkultury”). Ustawia amulety z liści palmowych i świętego ciasta w drzwiach i na parapetach okien.

– Wie. Ale ma nie przychodzić i mnie nie szukać. Nie pozwólcie jej. Potrzebne mi pieniądze. I może będę musiał zostać trochę dłużej.

– Możesz zostać, ile będzie trzeba. Ale ja muszę odprawiać posługę. I pamiętaj, Edson: to jest Dom Boży.

Wtedy rozlegają się bębny, tak głośne, że czuje je w brzuchu – mimo to uspokajają; czuje, jak poddaje się ich rytmowi. Kiedy podenerwowana nowicjuszka wsuwa mu pod drzwi tacę z fasolą z ryżem oraz dwiema colami, przysypia wyczerpany, kiwając się.

Siostry już wiele razy go ratowały. Gdy miał dwanaście lat, dostał jakiś podejrzaną antybiotyk, który spowodował silną reakcję alergiczną: gęstą białą wysypkę w ustach, na języku, na wargach oraz wysoką gorączkę, w której majaczyła mu się wciskana w

nieskończoność do gardła gula, jednocześnie dławiąco mała i tak wielka, że wyłamywała szczękę. Lekarz przewrócił oczyma i pokręcił głową. Biologia musi wziąć co jej. Bracia zawieźli go na pace hiluxa do Sióstr, owiniętego w przesiąknięte potem prześcieradła. Tia Marizete ułożyła go w jednym z pokoiów dla akolitów, wykąpała w aromatycznych ziołowych naparach, namaściła słodkimi olejkami, obrzuciła modlitwami i poświęconą farofą. Trzy dni gorączkował na granicy życia i śmierci. Wysypka zeszła mu do gardła. Gdyby dotarła do migdałków, umarłby. Ale zatrzymała się na języczku. Axé. I pamięta, że przez cały czas słyszał bębny, klaszczące dłonie, tupanie i dzwonienie Sióstr rozwirowanych w ekstatycznych tańcach; okrzyki, łzy i modlitwy do Pani Naszej, Naszej Cudownej Pani. Osuwa się w te bębny.

Płacz. Cichy, nierówny, wypłakane morze łez, raczej łkanie niż szloch. Edson zsuwa się z cienkiego piankowego materaca. Dźwięk dochodzi z *camarinhy*, najświętszego, wewnętrznego sanktuarium, samego serca axé. Fia siedzi pośrodku podłogi, nogi skrzyżowane, palce splecione. Wokół niej o ściany opierają się figury świętych na drągach, każda okryta draperią w swoich sakramentalnych barwach.

– Hej. To tylko ja. Wiesz, tak naprawdę nie powinniśmy tu być. To miejsce dla Sióstr i wysokich wtajemniczonych.

Fia długo nie jest w stanie wyartykułować słów. Edson po śnie jest zmarznięty i rozdygotany; uleciała zeń cała nocna energia. Mógłby ją przytulić, dodałaby mu otuchy, dałaby trochę ciepła. Ale to nie jest ona.

– Miałeś kiedyś taki sen, że jesteś w domu, znasz wszystko i wszystkich, ale oni cię nie poznają, pierwszy raz cię widzą na oczy i choćby nie wiem jak długo im tłumaczyć, nie mogą sobie ciebie przypomnieć?

– Każdy miał taki sen.

– Ale ty mnie znasz, a ja ciebie w życiu na oczy nie widziałam. Mówisz, że jesteś Edson Jesus...

– Oliveira de Freitas.

– Więc chyba muszę się teraz dowiedzieć: kim ja byłam?

Pomiędzy okrytymi tkaniną świętymi Edson opowiada o jej ojcu i jego newage'owych artykułach, tajni botów księgowych, matce z miejską farmą oraz bracie na drugim końcu świata, który zrobił sobie rok przerwy od nauki i uganiania się za falami do surfowania i dziewczynami lubiącymi surferów...

– Zaraz, co takiego?

– Yoshi, twój brat. W twoim świecie masz brata?

– Jasne, ale on jest na pierwszym roku w seminarium w São Paulo.

Zdumiony Edson mruga.

Fia pyta:

– Edson, a ja jaka byłam?

– Ty? Nie ty. Lubiała torebki, ciuchy, różne dziewczynskie sprawy. Buty. Ostatniego dnia, kiedy się widzieliśmy, szła do sklepu, żeby wydrukować sobie takie buty.

Widzi podeszwy, podskakujące mu przed oczyma logo na nich, gdy sanitariusze ładują

nosze na tył karetki.

– Wydrukować buty?

Edson tłumaczy jej o co chodzi, na ile sam rozumie. Fia, gdy się skupia, przechyla głowę. Nigdy nie widział, żeby prawdziwa Fia tak robiła. Przez to wydaje się jeszcze mniej realna, jak martwa lalka.

– Nigdy nie chciała wsiąść ze mną na motor, zawsze brała taksówkę. Nienawidziła się brudzić, nawet kiedy chodziliśmy na Todos os Santos, była nieskazitelna, zawsze nieskazitelna. I miała masę koleżanek. – Jak ja mało o niej wiem, uświadamia sobie. Parę szczegółów, garść spostrzeżeń. – Bardzo bezpośrednia była. I chyba lubiła mieć dystans do wszystkiego. Tyle przyjaciół, ale chyba z nikim nie była naprawdę blisko. Lubiła być outsiderką. Lubiła być tą buntowniczką, tą quantumeirą.

– To ja nie jestem ani taka zbuntowana, ani romantyczna – stwierdza Fia. – Doktor informatyki kwantowej, ze specjalizacją w wieloświatowym modelowaniu ekonomicznym. Mój świat jest mniej paranoiczny. Nie obserwujemy się wszyscy przez cały czas. Ale za to jest bardziej... zepsuty, uszkodzony. Wszyscy są. Ja też. Ciągłe gubimy różne kawałki samych siebie, wspomnień, zapisów, przeżyć, wiedzy, znajomości, nawet może własnych osobowości. Spakowałam sobie wszystko, co mogłam, ale i tak wiele rzeczy zostało, zdjęcia, wspomnienia z dzieciństwa, koledzy ze szkoły. Cały świat jest zepsuty. Tu jest zupełnie inaczej. Tu jest... jak w rajku.

Edson próbuje wyobrazić sobie punkt, w którym świat Fii odgałęził się od jego świata. Ale pan Morel uczył, że to pułapka. Nie ma jakiejś bazowej rzeczywistości, od której rozchodzą się inne. Każda część wieloświata istnieje, istniała i będzie istnieć niezależnie od wszystkich innych. Wzdryga się. Jak można żyć z taką świadomością? Fia jednak zauważa ten dreszcz.

– Masz, zimno ci. – Ściąga rozdartą kangurkę. Pod spodem ma obcisłą koszulkę bez rękawów, podciągniętą aż do piersi przy ściąganiu bluzy.

Edson wytrzeszcza oczy. Na skórze jest tatuaż, jakiego w życiu nie widział na oczy. Kółka, tryby, przekładnie: łuki, spirale, mozaiki, fraktalna piana i matematyczne kwiaty. Srebrzysta maszyna z ciemnoszarego tuszu pokrywa jej tułów od mostka po gumkę legginsów. Powstrzymuje jej dłoń, kiedy chce obciągnąć koszulkę.

– Rany boskie, co to jest?

Fia wstaje, znów podciąga koszulkę i nieśmiało opuszcza legginsy, aż po śliczną różową kokardę na gumce majteczek, gdzie tatuaż zwija się jak wąż na wzgórkach łonowych. Nie spuszczając Edsona z oka, odgarnia rude włosy za lewe ucho. Nad uchem i wzdłuż linii włosów ma wykaligrafowane szare litery, trochę jak jeden z abstrakcyjnych zawijasów Zezão, teraz co do jednego obklejonych ostrzeżeniami, by nie niszczyć.

– Wy swoje komputery nosicie ze sobą – mówi Fia, ubierając się z powrotem. – My z naszymi jesteśmy... trochę bliżej...

Edson unosi palec, obraca się i kuca.

– Co to było?

Wyciąga pistolet pana Morela zza paska spodnek i przesuwa go po wypolerowanej

stopami podłódze ku Fii. Będzie wiedziała, co z tym zrobić. Edson ostrożnie jak kot wkrada się pomiędzy świętych w całunach. Układ *terreiro* jest równie stały jak jego wierni. Za świętą *camarinha* jest wielkie publiczne pomieszczenie, potem hol, z *ilê*, gdzie stoją ci święci, kiedy nie śpią. Sprawdza drzwi wejściowe. Pieczęcie z papki maniokowej są nienaruszone, trumny Świętych Zmarłych rozłożono na podłódze i obsypano białą farofą. Niepotrzebnie się przestraszył. Pewnie któryś *ab id* wstał, żeby się wysikać. Ich pokoje są na tyłach *terreiro*, wychodzą na *barracão* i tylny dziedziniec, gdzie się hoduje kury i wietnamskie brzuchate świnki, a w donicach udających terakotę rosną święte zioła. Siostry mają prywatne pokoje na górze. Edson otwiera drzwi prowadzące z korytarza do wielkiej kuchni, gdzie przygotowuje się jedzenie dla bogów, żarłocznych jak dzieci.

Stopa uderza go w mostek, przewraca bez tchu na podłogę, na *barracão*, tak że rozrzuca ofiary. Widzi postać, która w ciemności obraca się z postawy *meia lua de compasso* w napiętą gingę. Biała kobieta, w sportowej koszulce, luźnych dresach „Adidasa” i boso. Na przedramionach ma dziwne metalowe ochraniacze. Edson z trudem odzyskuje mowę, dech, umysł, siłę.

Strzał. W samym środku świętej *camarinhi*.

– Cholera jasna. Już tu jest – syczy kobieta i zaciska prawą dłoń w pięść.

Z ochraniacza nad dłonią błyska ostrze. Ostre aż po długość Plancka migoce niebieskimi iskrami. Robi gwiazdę na jednej ręce, *dobrado*, wtaczając się przez drzwi do *barracão*. Edson, łapiąc dech, kuśtyka za nią.

Camarinha jest pełna męczenników, porozcinanych na kawałki świętych. Fia broni się przed mężczyzną z q-nożem, osłania się posągami Senhora do Bonfim na długim drażu, łopocąc draperią ze złotymi frędzlami. Słaba nadzieja w świętym – q-nóż przecina go jak dym. Piękny srebrny pistolet pana Morela jest już w częściach, przecięty w poprzek komory. Smuga błękitnego światła spycha Fię pod samą ścianę. Zgodnie z tradycją, święta sala ma tylko jedno wejście. I morderca zna tę tradycję. Blondynka wskakuje do *camarinhi* i opada w obronny przysiad, *negativa*. Zabójca okręca się, staje twarzą do niej. Młody człowiek, blady, z długimi włosami i kozią bródką. Ostrza rozmazują się, mijają, capoeirzystka zadziera nogę, by zadać facetowi z q-nożem ogłuszający cios w bok głowy. On jednak robi unik i przetacza się w poprzek *camarinhi*, żeby zyskać dystans. Fia szuka otwarcia, zastawiając się obciętą *orixá*, lecz zabójca już znalazł się pomiędzy nią i drzwiami. Oszałały ze strachu Edson rozgląda się za jakąś okazją. Głosy za plecami. *Terreiro* się pobudziło. *Abiás* w bieliźnie, szortach, dresach, Siostry w koszulkach nocnych. Unoszą ręce w przerażeniu, widząc rozmiary profanacji.

– Zabierzcie stąd wszystkich! – krzyczy Edson.

Chłopcy rozumieją i zaganiają Siostry z powrotem do kuchni i bezpiecznego ogrodu. Ale Tia Marizete stanęła jak sparaliżowana na widok pomordowanych, sprofanowanych świętych. Wyciągając ręce, rzuca się im na ratunek. Edson chwyta ją w pasie, odciąga. Wzrok zabójcy przeskakuje ku niemu. Capoeirzystka wykorzystuje moment, żeby spiąć się do potężnego wyskoku, odrzucając w tył rękę z ostrzem. Mężczyzna wyskakuje z rykiem jej naprzeciw. Ścierają się, mijają w jonizacyjnym rozbłysku w powietrzu, nad samym sercem

camarinhi. I już oboje z powrotem w przysiadzie, jak koty, łypią, dyszą. Rozbite ostrza wirują na drewnianej podłodze, na płask, tępą stroną do dołu.

– No tak – mówi kobieta. – Ale ja mam jeszcze jedno. A ty? – Zaciska w pięść lewą dłoń i z magnetycznej pochwy na przegubie wyskakuje nowe kwantowe ostrze.

Zabójca jednym błyskiem oka ocenia szanse. Nurkuje płasko, z wyciągniętą ręką, czubkami palców łapie tępą stroną q-ostrza i ciska je ku capoeirzystce. Kwantowa krawędź zabije nawet przy takiej szybkości. Wtem wzrok Edsona przełącza się w tryb zwolnionego tempa, jak w filmach walki. Kobieta wygina się w tył w biodrach, próbuje zejść z drogi ostrzu sunącemu ku jej gardłu, ciągnącemu za sobą niebieską smugę zjonizowanego powietrza. Fia zamierza się od spodu Senhorem do Bonfim. *Orixá* błogosławi cios. Trafia w niegroźną, płaską stroną odłamka. Odłamek wiruje w powietrzu, ale uderzenie jest zbyt słabe, by odbić go w bezpieczne miejsce. Kwantowa drzazga opada i elegancko, gładko przecina mężczyźnie bark i górną część prawego uda, po czym znika w podłodze *camarinhi*. On zaś gapi się przez moment na swoją rękę, na odciętą nogę. Dopiero wtedy bucha krew.

Capoeirzystka chwytą Fię, wciąż znieruchomiłą, i ciągnie ją do *barracão*.

– Cholera, cholera, cholera – klnie kobieta. – To nie tak miało być. Trzeba było się dowiedzieć, czy on jest z Sesmarii, czy z Zakonu. – Choć raz stoi nieruchomo na tyle długo, żeby Edson zdążył się jej przyjrzeć. Niska, chuda jak kotka, skóra *loiry* i kręcone blond włosy. – Oni wiedzą, że tu jesteś. Uciekaj.

Małe azjatyckie świnki są spłoszone, wiercą się w swoich ciasnych zagrodach, chrząkają nerwowo. Syreny, Siostry, podenerwowani nowicjusze, Fia zaraz wpadnie w szok. Obudziła się cała dzielnica. Na niebie wybucha mnóstwo alarmowych rac. Dłonie Sióstr Dobrej Śmierci udzielały błogosławieństwa i policjantom, i baronom narkotykowym. Na pomoc przyjdą i jedni, i drudzy.

Edson odwraca się do kobiety, żeby pomogła mu z Fią, ale jej już nie ma. Zniknęła tak samo, jak się pojawiła. Jest za to Tia Marizete, obejmuje Fię ramieniem. Wytrzeszczonymi oczyma patrzy na jej tatuaż.

– Przepraszam cię – szepcze Edson do ciotki.

Nowicjusze-geje są niepocieszeni, niektórzy płaczą, większość patrzy gniewnie, mściwie. Aż trudno sobie wyobrazić rozmiary profanacji w *camarinhie*, a wszystko to przez niego.

– Edson, w co ty się wplątałeś? Ci ludzie od *Śmieci won*, my nic do nich mamy, oni nic nie mają do nas. Po co tu przyszli, czemu przyszli po ciebie?

– To nie są *Śmieci won* – wyjaśnia Edson. – To są...

Kto właściwie, Edsonie Jesusie Oliveiro de Freitas? Kwantowe noże i kwantowe komputery. Księża i zakony. Pierdyliard wszechświatów jeden przy drugim. Capoeiristas i zabójczynie. I ta Fia na dokładkę, uciekiniarka w kiepskich ciuchach, z komputerem wytatuowanym na brzuchu.

– Właściwie to nie wiem, ale nie możemy już tu zostać.

Yamaszka już go nie zawiezie w bezpieczne miejsce. Leży rozcięta od lampy po rurę

wydechową, w kałuży alkoholu i oleju. Z Edsona wycieka cała ta szalona energia, upór, by nie uwierzyć w to, co mu się przydarza, dzięki któremu mógł biec, jak mu się wydaje, przez całe życie. Czuje się stary, przerażony i zmęczony bardziej, niż może być człowiek. A znów musi uciekać. Wpatruje się tępo w dwa filety swojego ukochanego motocykla.

– No chodź, synu – rozkazuje Tia Marizete. Bierze go za rękę i ciągnie za sobą z boską siłą. – Tam jest taka *ladeira*.

Mijają rozhisteryzowane świnie, wchodzą ponad tarasy z uprawą ziół. W murze jest mała furka, prowadząca do wąskich, stromych schodków, przeciskających się między domami, wychodzących w wilgotną ciemność, pachnącą mokrą zielenią. Edson potyka się, idąc za ciotką, ślizga po wilgotnych betonowych stopniach. Ogląda się jeszcze na Fię. Za jej zadartą ku górze, oszołomioną, bladą twarzą, za dachówkami kościoła, ulica pulsuje od niebieskich i czerwonych policyjnych kogutów. I nagle wychodzą w chłód, w pleśń, ponad linię domów, w lasek na szczycie wzgórza. Przedwieczne południowe lasy północnego São Paulo zawsze stanowiły azyl i drogę ucieczki dla ściganych, od *índios*, przez zbiegłych niewolników, po handlarzy narkotykami. A teraz *quantumeiros*.

Tia Marizete znajduje w swojej koszuli nocnej garść reali – takie jest *axé* ciotek i ministrów sprawiedliwości Siostrzeństwa – i wciska je Edsonowi. I coś jeszcze.

– Uważaj na siebie, bądź sprytny, nie ryzykuj. On cię ochroni.

Edson bardziej dotykiem niż wzrokiem poznaje, co ma w dłoni – małą tandetną figurkę z brązu, odlaną z przetopionego drutu – *malandro* w garniturze i miękkim kapelusiku: Exu, Pan Dróg Rozstajnych.

Ostatnim miejscem, które wypełnia światło słońca, jest kodinka, gdzie woda ścieka ze skalnej półki do płytkiego stawku. Zimna, zimna woda zmywa nocne oszołomienie i sny. Edson aż sapie, sparaliżowany chłodem. Pomiędzy cienkimi słupami drzew prześwieca snop światła, z każdą chwilą jaśniejszy, bardziej oślepiający, aż wchłonie w siebie sylwetki drzew. Edson wychodzi w światło. Fia siedzi tak, jak ją zostawił, z kolanami pod brodą, żeby się ogrzać. Niebo z brązu, miasto z mosiądzu. Słońce wlewa się do niecki São Paulo, najpierw muskając płaskie dachy i talerze satelitarne faweli tuż pod ich nogami – tam ludzie są już od wielu godzin na nogach, w długich podróżach do pracy przez nieskończone miasto. Potem jak rozlany miód spływa ze wzgórz na drogi, dotykając lusterek i chromów, zmieniając wijące się po zboczach *rodovie* w złote łuki. Później rozświetla szpikulce kominów: kłęby dymu z przemysłowych i energetycznych, bardziej rozproszone aury rozsiane po *bairros*; jeszcze później szczyty wielkich wieżowców wystających ponad poranny smog, rozciągających się dalej i dalej, niż Edson jest sobie w stanie wyobrazić, miasto bez końca, rozszerzające się z każdą chwilą, gdy szybko pnące się ku górze słońce wydobywa z cienia coraz to mniejsze drapacze chmur. Patrzy, jak samolot chwyta światło i rozpala się jak gwiazda, jak fantastyczny gwiazdolot, przechylając się do lądowania. Wielki samolot, z innego kraju, może nawet z innego kontynentu. Przylatuje z

daleka, a jednak nie z tak daleka, jak ta kobieta koło mnie, myśli Edson.

– My straciliśmy słońce – mówi Fia. – Zrezygnowaliśmy z niego, zabiliśmy je. Przez cały czas mamy szaro, musieliśmy tak zrobić z niebem, żeby zwalczyć ocieplenie. Stale jest pochmurno i szaro. Cały świat jest szary. Tak sobie myślę, że każdy stamtąd powinien tu przejść, usiąść sobie, popatrzeć, żeby nie było to dla nich takie oczywiste. – Chichocze. – A tutaj, siedzę sobie, patrzę w światło, ale myślę: „oparzenia słoneczne, Fia, oparzenia słoneczne”. Na uczelni byłam kiedyś w takim klubie rowerowym i co roku robiliśmy jedną szaloną rzecz: nagi rajd rowerowy. Wszyscy robili kółko, z Liberdade przez *Praça de Sé* i z powrotem, ubrani tylko w farbę. Malowaliśmy się nawzajem w najdziwniejsze wzory. Ale nigdy się nie spiekłam na słońcu. – Dotyka głową zgiętych kolan. – Tak mi przyszło do głowy, oni będą się zastanawiać, co się ze mną stało. Zniknęła. Gdzie poszła. Wyszła i nie wróciła. A tak, ta Fia Kishida, nie wiecie, co się z nią dzieje? Nawet z nikim się nie mogłam pożegnać. Dość okrutne z mojej strony. To chyba najbardziej bolesna rzecz, tak pójść sobie i nie wrócić. Ale mogłabym nawet pójść do ich domów, zapukać do drzwi, a oni by mnie nie poznali.

– Mówisz, jakbyś już nie miała ich nigdy zobaczyć – zauważa Edson.

Fia patrzy w święte słońce.

– Przejście działa tylko w jedną stronę. Stamtąd tutaj.

Edson myśli: ten problem musi mieć jakieś sprytne, kreatywne, edsonowskie rozwiązanie. Wokół nie widać nic takiego. Tylko słoneczny poranek. Każdy kiedyś dochodzi ze swoimi umiejętnościami do ściany. Impresariowie nie rozwiązują problemów z informatyki kwantowej. Ale dobry impresario, jak każdy człowiek interesu, zna kogoś, kto to potrafi.

– Chodź. – Wyciąga rękę. – Idziemy. Spotkamy się z takim jednym człowiekiem.

Pięć wzgórz dalej Edson słyszy głosy i nurkuje w poszycie, czołga się pod osłoną. Zza przewróconego pnia obserwują z Fią grupkę ośmiu chłopców z faweli, obozujących pod starą tamą z epoki kawy. Wokół obłożonego kamieniami ogniska, wypalonego do białości popiołu, walają się puszki po piwie „Antarctica” i niedopałki jointów. Trójka nastolatków chłapie się na golasa w bajorku; reszta wyleguje się na bąbelkowych matach, rozebrana do surferskich spodenek. Gadają o piłce i seksie. Świetnie zbudowani, świetnie wyglądający, roześmiani chłopcy – jak przyłapani na zabawie bogowie seksu. I jak bogowie, są istotami kapryśnymi.

– Śliczni chłopcy – szepcze Fia. – Czemu się chowamy?

– Popatrz tylko.

Jeden z nich przewraca się na bok. Nie da się nie zauważyć szkieletowej kolby pistoletu za paskiem.

– *Malandros* zawsze tu przychodzą, żeby urwać się na trochę policji. Tu nie mają szans ich złapać, bo w wojsku wszyscy uczą się przetrwania w dżungli.

– Ty też?

– Człowiek interesu nie może sobie pozwolić, żeby dwa lata oddać armii. Wyszedłem po dwóch miesiącach, załatwiłem sobie zwolnienie z powodów zdrowotnych. Okradliby

nas ze wszystkiego, i dlaczego mieliby też nie zabić? Idziemy, ale bardzo, bardzo powoli i bardzo, bardzo cicho.

Idą bardzo cicho; idą powoli; głosy chłopców z ferajny giną w szelestach lasu. Słońce pnie się coraz wyżej, siejąc przez liściaste sklepienie skwarem i blaskiem. O parę minut drogi w obie strony od tej ścieżki są *rodovio*, jadłodajnie, kawa i plotki; poranne wiadomości są na jedno dotknięcie iSzkieł, tu jednak Edson czuje się jak pradawny, dzielny paulistański *bandeirante*, przedzierający się ku obcym, nieznanym światom.

– Jeśli mam ci pomóc, muszę się dowiedzieć paru rzeczy – mówi. – Na przykład, o tych księżach, Zakonie, tym gościu z q-nożem i kto to była ta capoeirzystka?

– Tylko jak mam ci to wyjaśnić, żeby to nie brzmiało jak najbardziej zwariowana bzdura na świecie? Jest taka organizacja, czy może raczej stowarzyszenie, które kontroluje kwantową łączność pomiędzy światami.

– Coś jak policja, władze?

– Nie, coś o wiele większego. Obejmuje wiele wszechświatów. Rządy nie mają nic do gadania. I oni działają na dwóch poziomach. Pierwszy jest lokalny, każdy wszechświat ma swoich agentów, nazywa się to Sesmarias. Przeważnie to idzie w rodzinach – i te same osoby mają te same role w innych wszechświatach.

– Jak to możliwe, że w rodzinach?

– Mówiłam ci, że będzie brzmiało absurdalnie. Czasami to są bardzo stare i bardzo szanowane rodziny. Ale Sesmarias jest tylko elementem czegoś dużo większego. Nazywa się to Zakon.

– Już dwa razy słyszałem to słowo. Od ciebie, potem od tej capoeirzystki. Czyli ten człowiek, który nas zaatakował w świątyni, był z Zakonu, tak?

– Nie, pewnie był tylko z Sesmarii. Oni nie są za dobrzy. Wolno im się kontaktować ze sobą nawzajem, ale nie przechodzić. Ja liczyłam, że Sesmarias z mojego świata nie będą w stanie prześledzić, dokąd ja idę. Ale się myliłam. Za to Zakon może się dowolnie poruszać po wieloświecie.

Mają takich agentów, admonitorów. Ale kiedy takiego wysyłają, muszą uprzedzić wszystkich, od prezydenta USA do papieża.

Edson ściska oburącz czaszkę, jakby mógł wycisnąć z niej obłąd, albo wcisnąć rzeczywistość.

– A ta capoeirzystka to kto?

– W życiu jej nie widziałam ani nie słyszałam. Ale jedno wiem.

– Co?

– Wygląda na to, że ona jest po naszej stronie.

Przyda się nam, myśli Edson, po czym słyszy jakiś odgłos, szum, który każe mu zadrzeć głowę; do serca wraca lęk. Nie są to policyjne drony przeciskające się ostrożnie między gałęziami. Edson uśmiecha się, szczerząc zęby – wysoko ponad koronami drzew kręcą się wiatraki elektrowni.

– Zostańcie, ile chcecie.

– Ty nie rozumiesz...

– Pewnie, że rozumiem. Zostańcie, ile chcecie.

Gdy pan Morel zobaczył Edsona w kamerze, razem z dziewczyną z tyłu, od razu się domyślił, że już nic nie będzie proste. Pod zdobnym w cherubinki sufitem barokowego salonu *Sextinho* i dziewczyna leżą nieprzytomni na sofie, niewinnie przytuleni do siebie jak śpiące kocie rodzeństwo. *Sextinho* – o nie, już nie może go tak nazywać. Młoda dziewczyna na kanapie jest uciekinierką z innej części wieloświata. Przełknąć tę intelektualną pigułę i wszystko z niej wyniknie. Oczywista rzecz, że ścigają ich rytualni asasyni wielowymiarowego spisku oraz tajemniczy wybawcy. Oczywista, że trzeba im dać schronienie, choć przez to sam nieodwołalnie wejdzie do gry.

Edsonowi coś wypadło z ręki. Pan Morel podnosi to. Brzydka, masowo produkowana figurka Exu. Przejścia, rozstajne drogi. Uśmiecha się, stawiając ją w równowadze na oparciu kanapy. Strzeż go pilnie, mały panie. Dziewczyna śpi na plecach, ramiona odrzucone w tył, koszulka zadarta. Pan Morel nachyla się, żeby obejrzeć tatuaż. Obwody z ciekłych białkowych polimerów. Nieskończenie plastyczne i zmienne. Pewnie jakieś samoorganizujące się nanostruktury. Quasi-żywe. Niesamowita technika. Bezpośredni interfejs do neuronów; nie potrzeba tandetnej, plastikowej technologii i szkła i inteligentnych tkanin. Jak musiała się zsumować historia w jej części poliwersum, żeby powstało tak podobne społeczeństwo, a tak diametralnie odmienna technika? Ale przecież tam są wszystkie możliwości. Każdy możliwy stan kwantowy po Wielkim Wybuchu ma swój wszechświat, niektóre tak podobne, jak świat tej dziewczyny, inne tak odmienne, że życie jest w nich fizycznie niemożliwe.

Edson się zbudził. Jedno oko otwarte, patrzy.

– Cześć.

– Cześć. Zrobiłem wam śniadanie.

1-2 PAŹDZIERNIKA 1732

– Piękna konstrukcja i pomysłowa wielce, tak, tak, już widzę dla niej zastosowania w mojej pracy. – Ojciec Diego Gonçalves pokręcił korbką Maszyny Rządczej, obserwując trzepot kart przefruwających przez czytnik oraz opadanie i wznoszenie się nicielnic. – Koniec z mozołem, całkowita przemiana mechanicznej pracy. Człowiek uwolniony spod kieratu.

– Albo subtelniejszy rodzaj niewolnictwa. – Luis Quinn spojrział przez misterną drewnianą kratę na rzekę.

Prywatne mieszkanie ojca Gonçalvesa znajdowało się na rufie statku-bazyliki – i wysoko, by chwycić nieliczne chłodne powiewy znad wody. Tego dnia ani jeden taki się nie zdarzył – tylko duchota, skwar i pomruki odległych gromów. Quinn przycisnął czoło do drewna.

– Ktoś musi tym kołem kręcić, ktoś musi robić te dziurki w kartach i musi być ktoś, kto zapisze kolejność tych dziurek.

Patrzył na małego chłopca kucającego na rufie łódeczki, sterującego tą lekką jak listek skorupką pomiędzy większymi kanoe świty ojca Diego Gonçalvesa. Młodsza siostrzyczka chłopca, małeństwo o okrągłej twarzączce, siedziała smutna pośrodku łodzi. Quinn przez trzy dni obserwował, jak chłopak wiosłuje przez czerń Rio Negro, potem biel Rio Branco, karmiąc małą maniokowymi plackami, które ostrożnie odwijał ze zwitków szerokich leśnych liści.

I znów ten cichy terkot piekielnej maszyny Falcona.

– Ojczy, to przecież niezwykle proste: przemysłową maszynę można zaprząć do koła wodnego, czy nawet wiatraka. A pierwsza zbudowana machina służy do kopiowania wzorów dziurek dla wszystkich pozostałych. Natomiast trzecie twierdzenie ojca prowadzi do interesującej kwestii filozoficznej: czy możliwa jest maszyna, która zapisuje kolejność otworów dla dowolnej innej, a tym samym, logicznie, dla samej siebie?

Przetoczył się grzmot, teraz bliżej, jakby przywołany terkotem Maszyny Rządczej. Wszechświat rządzony liczbami, przebiegający jak karty dziurkowane przez Boże krosno. Luis Quinn chciał to dyskretnie zniszczyć, wrzucić do wielkiej wody, a tymczasem dostarczył to wrogowi.

Nossa Senhora da Várzea, Święta od Terenów Zalewowych: tak nazywała się zielona święta na proporcu, będąca patronką tej budowli, kompletnie obca hagiografii Luisa Quinna. Dopiero kiedy zobaczył chudą, niską postać w czerni schodzącą po stopniach bazyliki, uświadomił sobie, że z każdym zamachem i z każdym pociągnięciem wiosła przedstawiał sobie w myślach ojca Diego Gonçalvesa, naszkicowanego, jak mapy wywiadowcze doktora Falcona, niezdarnym węglem przypuszczeń. Teraz, gdy wymienili braterski pocałunek Chrystusa, odkrył, że te linie całkiem się zmasały, nie pozostały nawet

w jego fenomenalnej pamięci – bo Diego Gonçalves, którego sobie wyobraził, nie był w najmniejszym stopniu podobny do tego energicznego, ruchliwego, niemal chłopięcego człowieka.

Oto jest brat, którego mam przywołać do zakonnego porządku, pomyślał Quinn. Otwórz oczy, uszy, wszystkie zmysły, tak jak w Salvadorze, dostrzeż wszystko, co się da.

– Ojciec wie, kim jestem?

Diego Gonçalves uśmiechnął się.

– Admonitorem prowincjała de Magalhães z Kolegium w Salvadorze.

A zatem to będzie jednak pojedynek.

– Chciałbym, żeby informacje szły w dół rzeki tak szybko, jak idą w górę. Proszę, niech ojca ludzie natychmiast przestaną.

Indiańscy wioślarze, nadzy, nie licząc czarnych geometrycznych wzorów z soku *genipapo* na twarzach, tułowiach i udach, z opaskami z piór na ramionach i łydkach, wyładowywali z pirogi bele i worki Quinna. Zemba patrzył podejrzliwie, w obronnej postawie trzymając oburącz wiosło.

– Proszę wybaczyć, bracie, sądziłem, że skorzysta brat z mojej gościnności. – Portugalski ojca Diego był doskonały, choć w długich samogłoskach Quinn usłyszał dawną baskijską przeszłość.

– Jeśli rozumie ojciec moje zadanie, powinien ojciec także rozumieć, że muszę pozostać poza wszelkimi podejrzeniami. Będę spać w pirodzie z moimi ludźmi.

– Jak ojciec chce. – Diego wydał rozkazy. Quinn rozpoznał w nich garstkę zapożyczeń z języka tupi. – Ale może przyjmiemy wspólnie Sakrament?

– Powinienem przynajmniej przekonać się, czy wewnątrz ojca... misji... odpowiada jej wyglądowi zewnętrznemu.

– Przekona się ojciec, że Nossa Senhora da Várzea swymi wszystkimi aspektami służy wyłącznie większej chwale Pana. – Pod schodami Gonçalves zawahał się. – Ojciec Quinnie, mam nadzieję, że nie będzie to nietakt, jeśli powiem, że przed ojcem doszła tu wieść, że cieszy się ojciec sławą także ze względu na miecz.

– Uczyłem się u Jesusa y Portugal z Léon. – Quinn nie był w nastroju do fałszywej skromności.

– Moim mistrzem był Montoya z Toledo – odparł ojciec Diego z minimalnym uśmiechem, z nieznacznym skłonieniem głowy. – Byłoby to ciekawe doświadczenie.

Kiedy wszedł pod *memento* swego zakonu do bazyliki, Luis Quinn stanął jak wryty, widząc panującą w środku ciemność. Z okien wysokiego klerestorium padały snopy światła, rozcięte misternymi okratowaniami w plamki przypominające listowie. Wyłaniały z cienia ekstrawaganckie płaskorzeźby. W nieokreślonej odległości jarzyło się światełko tabernakulum, czerwony Mars wobec rozproszonych gwiazdozbiorów świec wotywnych. Całość przemawiała do jakiegoś bardziej intymnego zmysłu niż zawodne oko. Zaciągnął się głęboko i wyteżył zmysł węchu. Ogrzane słońcem drewno, nieświeży odór dymiącego oleju palmowego, kadzidła znajome i obce – rośliny, zioła, liście. Wzdrygnął się, poczuwszy nagły, duszący zapach roślinności, zgniłej i żywej, rosnącej. Teraz wyostrzyła

mu się wyobraźnia przestrzenna i geometryczna – poczuł nad sobą wielką masę ciężkiego drewna, ozdobne przypory i guzy, sieć sklepienia jak przyłgi pnącej figi, galeryjki i balkoniki. Z góry patrzyły na niego posągi. Na koniec orientacji nabrał także wzrok. Szał twórczy snycerzy ozdabiających zewnętrzne ściany bazyliki, w środku przerodził się w religijną ekstazę. Nawa była gigantycznym wyobrażeniem Sądu Ostatecznego. Chrystus Sędzia zajmował całe lektorium; wychudzony, ukrzyżowany Mesjasz, ażur lektorium zbudowany z jego kości, głowa odrzucona w tył w cierpieniu zadawanym przez ciernie długości ramienia Quinna. Rozrzucone ręce osądzały żywych i umarłych, z czubków palców wyrastały kwitnące pnącza, rozchodzące się po bocznych kwaterach. Po jego prawicy radowali się odkupieni, niewiniątka i nadzy *índios*. Ze złożonymi dziękczynnie dłońmi baraszkowali w płatkach kwiatów wyrastających z palców Chrystusa. Po lewicy potępieni wili się w zwojach ciernistych lian, wypatrując z niebios wytchnienia, które nie miało nadejść. Wzdłuż lian kolejnych zagubionych prowadziły demony – Quinn rozpoznał leśne potwory: podstępnego *curupirę*, jadącego na świni pana polowań Tupi; jednonogiego czarnego homunkulusa w czerwonej czapce frygijskiej, jak się zdaje, palącego fajkę. Ojciec Gonçalves czekał u boku Quinna na reakcję, a gdy się jej nie doczekał, zapytał spokojnie:

– Co się w Salvadorze o mnie sądzi?

– Że naruszył ojciec granice swoich przysiąg i swojej wiary, niebezpiecznie narażając na szwank dobre imię Towarzystwa.

– Ojciec nie pierwszy przychodzi tu z takim zarzutem.

– Wiem, lecz ja pierwszy mam prawo interwencji.

Gonçalves skłonił pokornie głowę.

– Ubolewam, że Salvador uznaje interwencję za konieczną.

– Z moich poprzedników nikt nie wrócił. Jaki los ich spotkał?

– Proszę, by ojciec uwierzył, gdy powiem, że opuścili to miejsce pełni woli i wiatru, przekonani o walorach mojej misji. Jesteśmy jednak daleko od Salvadoru i tak na duszę, jak i ciało, czyha tu wiele niebezpieczeństw. Tygrysy z dżungli, potworne węże, nietoperze żywiące się krwią człowieka, zębate ryby, które potrafią w okamgnieniu objeść ciało do kości, nie mówiąc już o licznych chorobach i przypadłościach.

Ojciec Gonçalves skinieniem ręki zaprosił Quinna do prezbiterium. Ażurowe drzwiczki były w kształcie Najświętszego Serca; Gonçalves pchnął je i znów kiwnął.

Ołtarz był konwencjonalnym drewnianym stołem, w typowym dla rzemieślników Gonçalvesa stylu gorączkowych majaków: cały przypominał splecione gałęzie, a jedyną inną ozdobą był krzyż z doskonale wykonanym Chrystusem-Indianinem, na którego twarzy i ubiczowanym, przebitym ciele malowało się niezrozumiałe dla nikogo ze Starego Świata cierpienie. Jednak to nie krucyfiks zaparł ojcu Quinnowi dech w piersiach, choć był imponujący i obcy; nastawa ołtarzowa z tyłu przyćmiewała go tak, że wydawał się jedynie nieistotnym dodatkiem. Wschodni kraniec kościoła, gdzie w kamienno-szklanej bazylice znajdowały się świece i kaplica Marii Panny, tu był zastawiony gigantycznym retabulum. Przedstawiało kobietę, zieloną świętą, Panią Zalewu, spowitą w bujne życie. Była w stroju

Ewy, ale w żadnym razie nie naga: odziana w dżunglę – jaskrawe jak klejnoty papugi i tukany były jej diademem; z obfitych piersi i wypukłych sutków wyrastały kwiaty, owoce i tytoń, z pępka zaś, boskiego omfalosa, liany i pnącze spowijające tułów i uda. Z łona wychodziły zwierzęta *várzei*, by klęczeć w adoracji u stopy, którą dotykała ziemi, zapuszczając korzenie sięgające aż na tył ołtarza: kapibara, paka, pekari, tapir, zielony leniwiec i przyczajony jaguar. Drugą nogę miała zgiętą, z podeszwą przyciągniętą do uda, niczym tancerka; owijała ją anakonda przyciskająca głowę do wzgórek łonowego. W prawej dłoni dzierżyła krzew manioku, w lewej kręty łuk myśliwski z dżungli; adorowały ją ryby, gwiazdny rój jak odbicie Drogi Mlecznej w czarnej wodzie, przepływający przez tkaną scenerię z pni i pnączy, na których tle tańczyła. Adorowały ją i prawdziwe gwiazdy – Pani migotała łagodnymi światełkami, robaczkami świętojańskimi przyszpilonymi do nastawy cierniami. I znów Quinn pochwyił zmysłowy zapach roślinności – gdy oczy przyzwyczyły się do większej ciemności za ołtarzem i uświadomił sobie monstrualną skalę samego dzieła, dostrzegł, w miejscach gdzie przez okratowania klerestorium przebiły się promienie światła, że we wnękach w drzewiastym tle posadzono drogocenne storczyki i bromeliowate: żywy las. Święta Równina Zalewowej była piękna i groźna, nakazywała podziw i cześć. Luis Quinn czuł, że zmusza go do ugięcia kolan, wiedząc jednocześnie, że ukłonienie przed nią byłoby prawdziwym bluźnierstwem.

– Ojcie Gonçalvesie, nie mogę przyjąć od ojca komunii.

Znów to nieśmiałe pochylenie głowy – Quinn już wiedział, że skrywa wściekłość.

– Czyż ojca dusza nie pragnie pociechy w Sakramencie?

– Oczywiście, że pragnie, jednak nie mogę.

– Chodzi o Świętą czy o dłoń, która go udziela?

– Ojcie Gonçalves, czy ojciec zaatakował i spalił misję karmelicką, a jej ludzi wziął w niewolę?

– Tak. – Quinn nie spodziewał się wykrętów i zaprzeczeń, jednak całkowita beznamietność tego potwierdzenia wstrząsnęła nim jak nagły wystrzał z pistoletu.

– 1 zrobił to ojciec wbrew ustawie z roku tysiąc pięćset siedemdziesiątego, zabraniającej niewolenia tubylczych ludów i mówiącej, że nasz zakon ma służyć wzorem i przykładem?

– Zaraz, zaraz, ojcie, nie wychodźmy z ról. Ojciec – admonitorem, ja – egzaminatorem. Ojciec jest świadom, co to oznacza.

– Ma ojciec prawo do osądzania i wypowiedania Sprawiedliwej Wojny tym, którzy wzgardzą zbawieniem w Kościele Chrystusowym. Widziałem Dom Boży spalony do samej linii wodnej, naszych braci i siostry w Chrystusie zasieczonych mieczem. Rozmawiałem z postulantką, która przeżyła, potwornie poparzona. Zanim zmarła, powiedziała mi, że widziała anioły idące po czubkach drzew, jak te, które ozdabiają wieże tej samowolnie wyświęconej bazyliki.

Gonçalves pokręcił ze smutkiem głową, jak tępy uczeń.

– Ojciec mówi o zniewoleniu, a ja wyzwolenie widzę. Gdy zobaczy ojciec, ile tu uczyniłem w imię Chrystusa, dopiero wtedy mnie ojciec osądzi.

Quinn wyszedł z prezbiterium. Dzień był płaszczyzną oślepiającej bieli za drzwiami.

– Przyjdę do ojca dziś wieczór, aby rozpocząć badanie duszy.

Jednakże to ostatnie słowa Gonçalvesa, rzucone za jego plecami, zapadły mu najbardziej w pamięć.

– To były zwierzęta, ojczcie. Nie miały dusz i ja dałem im swoją.

Błyskawica rozświetliła na moment zakrystię. W krótkim rozbłysku Quinn dostrzegł twarz ojca Gonçalvesa, który zaczął rozmontowywać Maszynę Rządczą – zachwyty, energia, duma, inteligencja. To nie duszę Diego Gonçalvesa badano w tym dusznym, gorącym pomieszczeniu. Badano tu jego własną i uznano za niedostateczną. Jestem tak nieważny, że wolisz badać tę maszynę. Wreszcie usłyszał grzmot. Linia chmur znalazła się niemal nad nimi; Luis Quinn poczuł na twarzy napór ciepłego wiatru. Załoga pobiegła na maszty, żeby zrefować żagle. Pukanie do drzwi, świecki brat w białej szacie.

– Ojczcie, zwołaliśmy Miasto Boga.

Gonçalves uniósł wzrok znad badanego przedmiotu, twarz miał jasną i promienną.

– To musi ojciec zobaczyć. Mówiłem, żeby mnie ojciec nie oceniał, póki nie zapozna się z moim dziełem. A lepszej okazji nie będzie.

Gdy admonitor i *pai* wspięli się po drabinach na balkon nad portykiem, bazylikę jednocześnie oświetlały błyskawice i wstrząsały nią grzmoty, przetaczający się bez przerwy łoskot, tłumiący wszelkie słowa i myśli. Quinn wyszedł w potop; wisząca od rana burza w końcu się rozpętała. Ulewa była tak gęsta, że prawie nie widział brzegu przez mokrą szarość, oczywiście było jednak, że Nossa Senhora da Várzea przygotowuje się do przybicia do lądu. Większa część flotylli kanoe została z tyłu, tak że przed nimi znalazły się tylko dwa wielkie czółna, po trzydziestu ludzi w każdej, oba ciągnące po grubej jak udo linie odchodzącej od bloku pod narteksem. Odgarniając z oczu mokre jak u wydry włosy, był w stanie rozróżnić teraz wychodzące daleko w rzekę pomosty i polery cumownicze zrobione z całych pni leśnych gigantów zatopionych po biodra w mule, który szybko powracał do przyrodzonego stanu. W najwyższym punkcie brzegu stał krzyż, trzykrotnego wzrostu człowieka.

Otworzyły się podwójne wrota. Mężczyźni i kobiety w piórach i *genipapo*, niosący bębny, grzechotki, marakasy, instrumenty stroikowe i gliniane okaryny. Stali nieporuszeni na stopniach, ulewny deszcz spływał im po ciałach. Ojciec Gonçalves uniósł dłoń. Na wieży rozległy się dzwony, obłędny grom słyszalny nawet poprzez nawałnicę. W tej samej chwili zgromadzeni wierni zaśpiewali. Błyskawica podświetliła monstrualny krzyż; gdy odzyskał widzenie, Quinn dostrzegł dwie rzeki ludzi spływające z wysokiego brzegu, ślizgające się i przewracające na błocie, w deszczu. Przywołały ich dzwony. Gonçalves po raz wtóry uniósł dłoń. Nossa Senhora da Varzea zadygotała od narteksu po tabernakulum, wciągnąwszy wiosła do środka. Teraz ludzie z brzegu, stojący po pas w wodzie, starali się złapać cumy. Z każdą chwilą przybywało ich coraz więcej, mężczyzn, kobiet i dzieci, stłoczonych razem na pomostach. Liny trafiły do nich, mężczyźni wyszli z ciepłej jak krew wody, by przyłączyć się do wysiłku. Dłoń za dłonią, ramię za ramieniem, zaholowali kościół Nossa Senhora da Várzea do przystani.

– Chodźmy, chodźmy – zarządził ojciec Diego, biegnąc po niebezpiecznej, mokrej od deszczu kapie.

Quinn nie był w stanie sprzeciwić się ani jego dziecięcemu zachwytowi ani elektryzującemu autorytetowi. Gonçalves podniósł rękę do błogosławieństwa. Pomosty, mola i kanoe, burłacy w wodzie, ludzie na całym wzgórzu, wszyscy jak jeden mąż padli na kolana w rześnym deszczu i się przeżegnali. Wtedy Gonçalves uniósł ręce i wszystko – chór, bicie dzwonów, gromy, deszcz – utonęło w ryku zebranych ludzi. Chór ruszył za nim, na czele niosąc krzyż na drągu, na końcu pochodu ociekający wodą, upierzony proporzec z Panią Várzei. Quinn przytrzymał się ramienia Gonçalvesa, gdy przedzierali się przez tłuste, czerwone błoto. Po obu stronach wyciągano na brzeg kolejne kanoe. Z góry wciąż schodzili kolejni ludzie, całe strome zbocze zajmował tłum.

– Obywatele niebios, poddani Chrystusa Króla! – zawołał Gonçalves do Quinna. – Przychodzą do mnie jako zwierzęta, pozory w ludzkiej skórze. Ja daję im wybór, jaki Chrystus daje każdemu: przyjąć jego sztandar i żyć pełnią życia, stać się człowiekiem, zyskać duszę. Albo wybrać drugi sztandar i pogodzić się z nieuniknionym losem zwierzęcia, w jarzmie, przykutego do kieratu.

Quinn otarł z twarzy strugi wody. Stał z Gonçalvesem na wzniesieniu przy samym brzegu, za nimi stały w koncentrycznych kręgach kryte palmowymi liśćmi długie domy, pokrywające całą gołą równinę, aż po odległą, rozmazaną przez deszcz linię drzew. Cień dawały w nim tylko niedobitki palm, nanerczy i rzewni, poza nimi miasto – nie była to bowiem skromna *aldeia* – było łyse niczym wojskowy obóz. W pustym kręgu pośrodku wznosiła się figura Chrystusa Zmartwychwstałego, z ramionami rozpostartymi, by okazać stygmaty męki. Była dziesięciokrotnie wyższa od człowieka. Z doliny niósł się dym z dziesięciu tysięcy ognisk. A mimo to ludzi wciąż przybywało: matki z niemowlętami w zawieszonych na czole uprzężach, dzieci, staruchy z obwisłymi, płaskimi piersiami, wszystko to wylewało się z *malocas* w błotniste przejścia. Stopy i łydki mieli pochłapane czerwienią. Pasiaste pekari ryły w błocie pod nogami; psy skakały i ujadały. Na bambusowych grzędach podskakiwały papugi.

– Musi tu być ze czterdzieści tysięcy dusz – powiedział.

Deszcz uspokajał się, szedł razem z burzą na północ, pożegnany dzwonami. Na południu, poza masztami i wieńczącymi je aniołami pływającej bazyliki, przez rzednące chmury przebijały się snopy żółtego światła, sunące po białej wodzie.

– Dusz... tak. Guabirú, Capueni, Surara, całe narody jak jedno w Cidade de Deus.

Luis Quinn skrzywił się od gorzkiego trunku. Chłopak Guabirú, który podał mu tykwę, skulił się. Burza całkiem przeszła, plantację omiatały przenikliwe niczym psalmy promienie słońca. Liście ociekały wodą i parowały; w kałuży podrygiwał przewrócony na grzbiet żuk, spazmatyczny, konający. Z oględzin brzegu Quinn wywnioskował, że ten skraj wielkiego i nieprzeniknionego lasu był bramą do ciągu sadów i plantacji tak wielkiego, że

nie było widać jego końca. Maniok, trzcina cukrowa, palmy, nanercze, bawełna i tytoń oraz te cieniste drzewa, które tak chciał mu pokazać Gonçalves, nazywający je „jezuicką korą”.

– To klucz, który otwiera Amazonię.

– Z goryczy wnoszę, że to skuteczne zioło przeciwko pewnej chorobie.

– Przeciw malarii, tak jest, bardzo dobrze, ojciec. Albowiem, co nas powstrzymuje przed objęciem tej ziemi w całkowite władanie, jak dał ją nam nasz Pan? Nie jadowite węże i nie gorąco, nawet nie wrogość *índios*, choć wielu z nich ma iście dziecięcy zapał do przemocy. Choroba, zaraza, a zwłaszcza malaria od złego powietrza, gorączka i dreszcze. Prosty napar z kory tego drzewa stanowi doskonałe lekarstwo i zapewnia odporność, jeśli przyjmuje się je regularnie. Wyobraża sobie ojciec, jakie to dobrodziejstwo dla rozwoju i eksploatacji tej danej przez Boga ziemi? Tysiąc takich miast jak moje Miasto Boga; Amazonia mogłaby być rogiem obfitości obu Ameryk. Hiszpanów interesuje tylko złoto, zatem zlekceważyli ten teren, jako pustkowie, dzicz; nie dostrzegli bogactw, które rosną tu na każdej gałęzi, kryją się w każdym liściu, tuż pod ich okutymi buciorami! Bo oprócz mojej jezuickiej kory mamy tu wiele ziołowych lekarstw na wszelkie choroby; mamy silne środki znieczulające na wszelkie bóle, ziołowe wywary, którymi można leczyć sepsę, ba, nawet gangrenę, jeśli się ją odpowiednio wcześniej wykryje; potrafię kurować nawet choroby umysłu i ducha. Nie potrzeba zabobonnych egzorcyzmów, gdy starannie dawkowana tynktura potrafi rozprawić się z melancholią czy furią i uspokoić demony.

Luis Quinn wciąż czuł na języku i wargach gorzki, wysuszający smak niemal świeżego soku. Zniknąłby po przeżuciu trzciny cukrowej albo, lepiej, po dobrym cygarze. Z suszarń zapachniało aromatycznym liściem, serce od razu mu mocniej zabiło. Nagle na jeszcze wilgotnym grzbiecie poczuł świeży chłodek – obejrzawszy się, zobaczył, że słońce tworzy aureolę wokół olbrzymiego Chrystusa, a jego długi cień pada wprost na niego. Dzwon Nossa Senhora da Várzea uderzał na Anioł Pański; w *malocach*, na polach, w sadach ludzie uklękli.

Gdy wracali utwardzoną przez wiele stóp ścieżką, a pracujący w polu kłaniali się w pas swemu Ojcu, Quinn trochę się poociągał, by zrównać się z Zembą. Od nieba nadciągał szybki zmrok, przesuwające się znad wody warstwy powietrza przyciskały gęsty jak mgła dym ognisk do ziemi.

– I jak, przyjacielu, czy to jest Miasto Boga, którego szukałeś? – odezwał się w języku imbangala.

Kiedy tygodniami podążali szlakiem legend do ujścia Rio Branco, Quinna tak zafascynował język Zemby, że nauczył się go na tyle, by z nim płynnie rozmawiać. Poznaj język, poznasz człowieka. Zemba – to było nie tyle imię, ile tytuł, quasi-stopień wojskowy, czy drobny książę, wydany portugalskim handlarzom niewolników przez ród konkurentów do tronu N’gola. Jego listy wyzwolenicze, opieczetowane przez królewskiego sędziego z São Luis, były falsyfikatami; naprawdę Zemba był uciekinierem od drobnego *lavradora de cana* w Pernambuco, który mieszkał pięć lat w *quilombo*, zanim je zniszczono, tak jak zniszczono wszystkie kolonie zbiegłych więźniów, i odtąd poszukiwał prawdziwego

Miasta Boga, miasta wolności, *quilombo*, którego nikt nie pokona.

– Miasto Boga jest wybrukowane złotem i nie potrzebuje ani słońca ani księżyca, bo Chrystus jest jego światłem – powiedział Zemba. – Ani żołnierzy, bo sam Pan jest jego tarczą i włócznią.

Wszędzie było pełno chodzących parami patroli; skóry mieli wymalowane we wzory, w których już rozpoznawał znaki plemienne Guabirú, a uzbrojeni byli w zręcznie wykonane drewniane kusze, sprytnie składane pośrodku, z magazynkiem nad łożem. Quinn rozpoznał chińską samopowtarzalną kuszę, o której czytał podczas swoich studiów nad tym najpotężniejszym z imperiów, kiedy liczył, że jego najtrudniejsze z zadań zaprowadzi go właśnie tam, a nie do prywatnego imperium nad Rio Branco. Quinn nie wątpił, że lekkie drewniane bełty są śmiertelnie głośnie dzięki truciźnie. Mruknął coś po irlandzku.

– Słucham, ojciec?

– Taki wiersz w moim ojczystym języku, po irlandzku:

*Po co iść do Rzymu,
Wielki trud i próżny wysiłek,
Nie będzie tam króla, którego szukacie,
Chyba że przyjdzie tam z wami.*

– Jest w tym ziarno prawdy, proszę ojca. – Zemba przysunął się do Luisa Quinna. – Ja też zająłem się paroma sprawami, kiedy ojciec Hiszpan pokazywał ojcu pola. Zajrzałem do paru chat. Ojciec też powinien zajrzeć. I kościół, w kościele proszę patrzeć w dół, pod pokład.

– Proszę ojca! – zawołał pogodnie Gonçaves. – Zaufanie do Pana Naszego to ważna cecha chrześcijanina, a czy ojciec, zobaczywszy, co mu pokazałem, staje po mojej stronie? Pomoże mi ojciec w moim wielkim dziele?

Zemba opuścił głowę i cofnął się, Quinn nie przeoczył jednak ostatniego błysku oczu.

– A co to za dzieło, proszę ojca?

Gonçaves zatrzymał się i uśmiechnął, rozbawiony niewiedzą wielkiego dorosłego człowieka, rozłożywszy ręce w mimowolnym naśladownictwie wielkiego posągu Chrystusa dominującego nad jego miastem.

– Biorę pracujące w polu zwierzęta i daję duszę tym, którzy chcą ją przyjąć; jakież inne dzieło może być na świecie?

Chcesz mnie sprowokować, pomyślał Quinn. Chcesz, żebym zareagował na to, co postrzegam jako arogancję i samouwielbienie. Luis Quinn wsunął ręce we wciąż wilgotne rękawy habitu.

– Powoli zbliżam się do osądu, proszę ojca. Już niedługo, bardzo niedługo, obiecuję.

Wieczorem przyszedł do *maloki*, w której Diego Gonçaves miał swoją prywatną kwaterę.

Ojciec Diego klęczał za pulpitem, pisząc coś przy żółtej, smrodliwej lampie na oleju palmowym, w książce z papieru ze szmat. Luis Quinn obserwował skupienie na jego twarzy, gdy pióro poskrzypywało na papierze. Poziome linie, ptaszki i staranne pismo, jakaś rachunkowość. Quinn podszedł niepostrzeżenie, bezgłośnie; zawsze poruszał się cicho i dyskretnie jak na tak potężnego mężczyznę.

– Ojcie Diego.

Nawet się nie wzdrygnął. Wiedział od samego początku? Odłożył pióro w bezkształtnej obsadce.

– Wieczorne ogłoszenie wyroku?

Klęcznik był jedynym solidnym meblem w tym długim, pachnącym palmą budynku. Quinn uklęknął na bogato aplikowanych poduszkach.

– Ojcie Diego, kim są ci ludzie pod pokładem statku?

– To potępieni. Ci, co odrzucili Chrystusa i Jego Miasto, tym samym skazując się na zwierzęcą niewolę. W swoim czasie wszystkich ich sprzedam.

– Mężczyźni i kobiety. Dzieci, ojcie Diego.

– Sami to na siebie ściągnęli, niech ojciec ich nie żałuje, ani na to nie zasługują, ani tego nie rozumieją.

– A chorzy?

Chłopięca twarz Gonçalvesa była samą niewinnością.

– Nie do końca rozumiem.

– Zajrzałem do jednej *maloki*. Nie wierzyłem własnym oczom, więc zaszedłem do kolejnej, i jeszcze jednej, i jeszcze. To nie jest Miasto Boga, to Miasto Śmierci.

– Ojciec nadmiernie dramatyzuje.

– Nie widzę nic zabawnego ani teatralnego, gdy całe rodziny padają ofiarą chorób. Ospa i odra niszczą *maloki* i nikt nie wychodzi z tego żywy. Ta ojca księga, z tymi równymi rubryczkami... Liczy tam ojciec, ilu ludzi umarło, odkąd zostali wyzwoleni przez Miasto Boga?

Gonçalves westchnął.

– *Índios* to rasa, nad którą mamy panować. Bóg nam ich dał, abyśmy ich sprawdzili, poddali próbie i... tak, pouczali jak admonitor, proszę ojca. Droga do duchowej doskonałości prowadzi przez dyscyplinę, przez ćwiczenie. Bóg nie wymaga od nich mniej niż od najlepszych z ludzi i narodów świętych w Jego oczach. A te choroby to ogień oczyszczenia. Bóg ma wobec tych ziem wielkie plany, jeśli pozwoli, zbuduję tu lud godny Niego.

– Cisza. – Akcent Quinna ciął jak szpadlem. – Widziałem wszystko, czego ojciec tu dokonał, ale nic z tego nie zmieni mojego osądu, który brzmi jak następuje: jest ojciec winien głoszenia fałszywej doktryny, mianowicie takiej, że ludzie, do których posłano ojca z misją, urodzili się bez dusz, co daje ojcu prawo, by ją nich obdarzać. To śmiertelne wykroczenie, wskutek którego uznaję ojca winnym także grzechu pychy, grzechu śmiertelnego, atrybutu samego naszego Wroga. W imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa i miłości, którą ojciec do niego żywi, żądam, by ojciec oddał się pod moją władzę i

powrócił ze mną do São José Tarumás, a stamtąd do Salvadoru.

Usta Gonçálvesa poruszyły się, jakby odmawiał różaniec, albo robił rachunek sumienia.

– Błazen.

W sercu Quinna zapłonęła wściekłość, gorąca, mdląca i wspaniała.

On właśnie tego chce.

Ciągnął tym samym płaskim, beznamiętnym głosem:

– Wyruszymy o świcie moim kanoe. Proszę poinstruować swoich ludzi i *morbichas*, jak należy zarządzać *aldeiá* do czasu przysłania z Salvadoru następcy.

– Naprawdę spodziewałem się czegoś więcej. – Gonçálves złożył dłonie pobożnie na kolanach. Lampy na olej palmowy rzucały na jego twarz cienie. – Poliglota, z samej Coimbry, nie żaden z tych miejscowych *pionów*, którzy ledwo przeczytają własne imię, a co dopiero mszał, którzy słyszą diabły w każdym grzmocie i w każdym rechocie żaby na *várzei*, człowiek uczony i spostrzegawczy. Czyż ma ojciec pojęcie, jak mi brakuje tu bliźniego, z którym mógłbym rozmawiać o ideach i spekulacjach, dalekich jak niebo od zrozumienia tych prostych, poczciwych ludzi? Jestem rozzarowany, Quinn; boleśnie rozzarowany.

– Ojciec sprzeciwia się mojej władzy?

– Władza bez siły to pusta władza, proszę ojca. A w Brazylii pusta władza się nie liczy.

– Widział ojciec moje listy, dobrze ojciec wie, jakie uprawnienia dał mi prowincjał Magalhães.

– Naprawdę? I ojciec sobie wyobraża, że mu się uda? Przeciwno mnie? Właściwie nawet chciałbym spróbować. Lecz to byłaby strata czasu. – Palec wskazujący uniósł się o włos, dwanaście kusz wycelowało prosto w Luisa Quinna.

Ten pozwolił dłoniom pokornie opaść: „Widzicie, tak jak Chrystus nie stawiam oporu”. Jak szybko zapomniał o podstępności i zřeczności ludzi z dżungli.

– „Proszę o najtrudniejsze z zadań”, tak ojciec kiedyś powiedział.

Czy wiedza tego człowieka naprawdę nie ma granic?

– I ja mam dla ojca takie zadanie. Liczyłem, że przyjmie je ojciec dobrowolnie, chętnie nawet. Teraz okazuje się, że muszę ojca nakłonić.

– Nie obawiam się męczeństwa z ojca dłoni – stwierdził Quinn.

– Naturalnie, że nie, i nie wyobrażam sobie, by na ojcu coś wymóc, grożąc życiem. Niech ojciec tylko rozważy, że na każdą kuszę wycelowaną w ojca są trzy, które celują w doktora Roberta Falcona, kiedy śpi w hamaku u zbiegu Rzeki Białej i Czarnej.

Obaj klęczeli bez słowa. Wokół las odprawiał kompletę – owady, żaby, pokrzykujące nocne ptaki. Luis Quinn skinął nieznacznie głową. Palce ojca Diego ledwo drgnęły, jednak kusznicy zniknęli jak złe myśli.

– To jest najtrudniejsze zadanie ojca. Za rzeką Iguapará żyje wędrowne plemię Iguapá, wypędzone ze swoich tradycyjnych terenów przez inne, uciekające przed *bandeirantes* i pomniejszych zakonami. Z pewnością ojca zainteresuje, że ich język to nie pochodna tupi, ani żaden wariant języków aruak-carib. Pomiędzy ludami znad Rio Catrimani i Rio Branco znani są jako plemię proroków. Wierzą, jak się zdaje, w czas snu, podobny czasowi

rzeczywistemu, ale odwrócony. Wszystkie ludy i plemiona przychodzą do nich po radę, a oni się nigdy nie mylą. I ta legenda zapewnia im nietykalność: Iguapá nigdy nie padli ofiarą żadnej z wojen, które te ludy tak lubią. Moim obowiązkiem jest sprowadzić Iguapá na łono Chrystusa, jego miłości i jego Zbawienia, lud ów jest jednak nieuchwytny i wędrowny. A inne nacje ich bronią, nawet te, które zjednoczyłem w mieście Boga, tak że moi misjonarze nic u nich jak dotąd nie wskórali.

– Moi poprzednicy – odezwał się Luis Quinn. – Ci, co według ojca wyjechali pełni woli i wiatru. Ojciec posłał ich na męczeństwo.

Gonçalves zasznurował wargi z namysłem.

– Zasadniczo w ten sposób tego nie ujmowałem, jednak, tak, tak, ma ojciec rację, to zapewne męczeństwo. Z całą pewnością żaden nie przeżył.

– Wrócili do ojca?

– Wrócili, rozpaleni wizjami, majakami, szaleństwem i niemożliwością. Mózgi mieli całkiem zniszczone, niektórzy bełkotali bezładnie, inni wręcz stracili umiejętność mowy lub nawet czucia. – Gonçalves mimochodem złożył dłonie do modlitwy, dotknął nimi ust w geście pokory i zadziwienia zarazem. – Większość poddała się po kilku dniach, jeden tylko, potężny Niemiec, wytrzymał dwa tygodnie. Właśnie ojciec Kaltenbacher nasunął mi spekulację, że osoba o jeszcze mniej rozwiniętym umyśle mogłaby przeżyć, być może nawet w pełni sił umysłowych, by przekazać, co widziała pomiędzy Iguapá.

– Wybujala pycha ojca prowadzi do szaleństwa, jeśli sądzi ojciec, że mój przyjazd tutaj jest spowodowany czymkolwiek innym niżli rozkazem prowincjała de Magalhães.

– A to ojciec tak sądzi? – zapytał Gonçalves. – Naprawdę? – Znów dotknął ust złożonymi dłońmi. – Jutro ojciec wyjedzie, ze swoim niewolnikiem-tubylcem, załogą moich Guabirú, i popłynie w górę Catrimani i Iguapará. Ludzie korzystający ze zdolności Iguapá wiedzą, jak ich znaleźć w razie potrzeby. Ojciec zrozumie, że to żadna ujma na honorze, podróżować tam w eskorcie.

– Manoel nie jest moim niewolnikiem. Ani Zemba. Ma dokumenty wyzwolenicze, jest wolny.

– Już nie. Zostanie odtąd członkiem mojej osobistej świty. A teraz życzę ojcu dobrej nocy; jutro ma ojciec przed sobą długą i męczącą podróż, więc dobrze byłoby, gdyby należycie wypoczął. Proszę jeść, odpoczywać, oddawać się modlitwie i rozmyślaniom. I proszę się radować, ojciec, doświadczy ojciec wspaniałości, których nikt dotąd nie widział. Nikt, kto przeżył.

I znów nieznaczne kiwnięcie palcem i z ciemności bezgłośnie wyłoniły się kusze. Luis Quinn, jak olbrzym wśród malowanych oprawców, obejrzał się jeszcze za siebie. Gonçalves klęczał przy swoim pulpicie, pióro znów miarowo sunęło po papierze. Czując wzrok Quinna, uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko, z czystą przyjemnością.

– Zazdroszczę ojcu. Naprawdę zazdroszczę.

**ŚWIĘTA PANI
OD TELENOWELI**

9-10 CZERWCA 2006

W „O Dia” dali to na pierwszą stronę. W „Jornal do Brasil” trafiło na drugą, zepchnięte przez zdjęcie żony prezesa CBF, ubranej tylko w futbolowe getry i strategicznie umieszczoną piłkę. „O Correio Brasiliense” dał materiał na drugiej stronie, ze streszczeniem w części rozrywkowej i trzystronicową analizą w sportowej, kończącą się wnioskiem, że może trzeba wreszcie spojrzeć obiektywnie na Maracanaço, które położyło kres samozadowoleniu i w rezultacie doprowadziło do wyłonienia potężnych reprezentacji na Mundiale z 1958 i 1970, oraz że Carlos Alberto Pereira powinien wziąć sobie do serca tamtą lekcję. Nawet „Folha de São Paulo”, uznające wszystko co z Rio za niegodne uwagi, miało wzmiankę na dole pierwszej strony: REALITY SHOW Z RIO MIAŁ PUBLICZNIE TORTUROWAĆ OFIARĘ MARACANAÇO. Specjalne niedzielne wydanie „Jornal Copacabana” na całą jedynekę dał zdjęcie „zawodowego Carioca”, Raimundo Soaresa, z założonymi rękami i wyrazem świętego oburzenia na twarzy, na tle Głowy Cukru, podpisane ZMUSIŁA MNIE DO ZDRADZENIA PRZYJACIELA. A „O Globo” sięgnął po pełną opcję atomową. Jego paleta mediów była dziesięciokrotnie większa od Canal Quatro, mimo to postrzegał drapieżny, niezależny, młodzieżowy kanał za śmiertelne zagrożenie dla kluczowego segmentu demograficznego i nigdy nie przegapił okazji, żeby im przywalić. Sześćdziesięciopunktowy krzykliwy nagłówek obwieszczał: WITAMY Z POWROTEM W PIEKLE. Pod spodem było znane wszystkim zdjęcie Barbosy, klęczącego jak do modlitwy w brazylijskiej bramce, z piłką elegancko umieszczoną w siatce. W lewej szpalcie u dołu – zdjęcie Adriano w surferskich szortach, zrobione na Konferencji Telewizyjnej Intersul we Florianopolis.

Adriano Russo, odpowiedzialny za niesmaczne programy dla młodzieżowej widowni, takie jak Homodżungla, Gwiazdy spod celi i Syfiarze, twierdzi, że program był we wczesnej fazie rozwoju jako jeden z licznych projektów na Mundial i że jeszcze nie otrzymał zielonego światła. Natomiast zapytany, czy zamierzali wytropić emerytowanego, osiemdziesięcioletniego byłego bramkarza i poddać go „telewizyjnemu procesowi” i publicznemu upokorzeniu, dyrektor Canal Quatro stwierdził, że stacja zamierza zachować pozycję wiodącego producenta programów ostrych, głośnych i kontrowersyjnych, natomiast upokarzanie starszych czy słabszych członków społeczeństwa nie jest i nigdy nie było jej celem.

Zadzwonili do Adriano w trakcie kolacji z żoną i prywatnymi gośćmi w Satyriconie, kazali mu się tłumaczyć na oczach tych ludzi i wszystkich kelnerów.

Na stronie drugiej było zdjęcie ich siedziby na Rua Muniz Barreto pod nagłówkiem KRÓLESTWO KŁAMSTW. Poniżej, jako LISTA HAŃBY, widniała tabelka ich najprymitywniejszych programów, od *Nagiego Big Brothera* przez *Królowa dnia: ujawniam orientację!*

A na stronie trzeciej była ona sama, ziarniste komórkowe zdjęcie na posprzedazowej imprezie w Café Barbosa (znak, to był znak, ale zupełnie nie taki, jak go zrozumiała). Stała na stole, potrząsając przydatkami, z litrowym skolem w plastikowym chłodzącym etui, a Celso przewracał oczyma, udając, że liże ją po tyłku.

KRÓLOWA BRUDU

Oto pracownica Canal Quatro odpowiedzialna za tę oburzającą aferę z Barbosą, sfotografowana podczas firmowej imprezy, napędzanej alkoholem, narkotykami i seksem. Marcelina Hoffman to jedna z najbardziej kontrowersyjnych producentek tej stacji – jej program Gwiazdy spod celi, konkurs talentów dla osadzonych w żeńskim więzieniu, zebrał rekordową liczbę skarg, gdy się okazało, że zwyciężczyni wyjdzie na wolność, obojętne jakie popełniła przestępstwo. Natomiast w tym przypadku to sama Senhora Hoffman, paradoksalnie, zdradziła swoje plany, przypadkiem wysyłając maila ujawniającego prawdziwy cel programu do wojującego dziennikarza Raimundo Soaresa, po tym jak okłamała go, Króla Carioców, w zamian za pomoc w odnalezieniu Barbosy. Senhora Hoffman jest świetnie znana w imprezowych kręgach Zony Sul – z tego, że dużo pije i bierze kokainę, a współpracownicy określają ją jako osobę znajdującą się „na pograniczu uzależnienia od operacji plastycznych”. Łączy się ją także ostatnio z Heitorem Serrą, szanowanym prezenterem wiadomości Canal Quatro...

Gazeta wypadła jej z rąk. Marcelina ze zwierzęcym skowytym padła na podłogę pośród rozrzuconych po całym salonie Heitora tabloidów i poważnych dzienników, w aureoli krzyczących tytułów. *Pomóż nam! Pierwsi znajdziemy Barbosę! Nagroda 50 000 R\$! Uratujmy Barbosę! 50 lat wystarczy.*

Kroki. Marcelina otworzyła oczy. Heitor stał nad nią jak Kolos Rodyjski, jak perspektywa seksu ze złotym deszczem, dziwnie skrócony.

– Ja już nie żyję.

Heitor kopnął gazetę na drugą stronę pokoju.

– Dawno tu jesteś?

– Od stu lat. Nie mogłam spać, a kiedy mogłam, śniło mi się, że nie śpię. Muszą ci przynosić do domu te wszystkie gazety?

– Taka praca.

Heitor wpadł na chwilę ze studia po wiadomościach o 11.30, spodziewając się, że *Furacao* Marcelina roznieśnie mu mieszkanie na strzępy, porozrzuci książki, powywraca stoły, potłucze szkło i drogą porcelanę, potnie garnitury, obrazy, rozbije figury religijne i obrazy, tak pieczołowicie kolekcjonowane przezeń w ciągu dwudziestu lat duchowych poszukiwań. Zastał jednak coś o wiele bardziej przerażającego: Marcelina siedziała pośrodku podłogi, tylko w stringach, z jedną nogą przyciśniętą do piersi, drugą podwiniętą pod siebie. Oburącz ścisnęła się za łydkę. Jedyne światło pochodziło z telewizora. Kiedy uniosła wzrok, Heitor zobaczył twarz tak udręczoną przez upiory, tak obcą, że omal nie krzyknął, że ktoś wdarł mu się do domu.

– Zobacz.

Marcelina otworzyła pięść, w której ścisnęła pilota do DVD, wycelowała nim w ekran.

– Co to?

– Nie widzisz?! – zawyła, a w jej głosie odezwał się ów huragan. – To ja.

Heitor wyjął jej pilota z palców, zgasił zjawę zatrzymaną w momencie patrzenia w kamerę.

– Z rana.

– Nie, nie z rana.

– Wypij to.

Napełnił szklankę wodą z lodówki.

– Co to?

– Woda. – Plus kapsułka z kuchennej farmakopei. – Musisz się nawodnić.

– Ona chce się mnie pozbyć – powiedziała wtedy Marcelina, siorbiąc wodę.

– Kto?

– Tamta ja.

Lek zaskoczył, nim wypić cały płyn. Heitor zaniósł ją na łóżko. Była mała i lekka jak bezdomny pies. Heitor poczuł wstyd, że tyle razy przyciskał ją swoim szerokim cielskiem; wyginają się cienkie, kanciaste kości, żylaste uda owijają się wokół jego szerokiego, włochatego grzbietu.

Większość lekarstw w szafce Heitora była przeterminowana. Marcelina przebiła się przez tabletkę nasenną jak wystrzeliwany spod wody pocisk raketowy. On chrapał, a ona poszła do salonu, żeby znów patrzeć na to, czego nie rozumiała. Po raz setny obejrzała, jak postać w pięknym czarnym kostiumie wchodzi przez obrotowe drzwi, idzie do Lampião, a na koniec zadziera głowę do kamery. Szukała jakiejś wskazówki, jakiejś prawdy. Zwolniła tempo odtwarzania tak, że obraz przeskakiwał klatka po klatce. Tak właśnie wypatrzyła na jej twarzy cień uśmiechu, jakby ona – ja – chciała, żeby Marcelina zobaczyła, że się pod nią bezczelnie podszywa. Jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze – póki nie rozległ się terkot silniczka i skrzypnięcie hamulca Małego Asa, ich gońca, kroki na schodach i łupnięcie ciasno zwiniętych papierów pod tylnym wejściem.

Komórka Marceliny w drugim końcu pokoju zaśpiewała „Doncha Wish Your Girlfried Was Hot Like Me” w brazylijskim remiksie.

– Odbierzesz to czy nie? – Heitor był stworzeniem medialnym do szpiku kości i nieodebrany telefon mógł wywołać u niego stany lękowe.

– To będzie Czarna Ptaszyna.

– Ja odbiorę za ciebie.

– Nie! – Po czym, łagodniej: – Nie chcę, żeby wiedziała, że jesteś ze mną. Bo te gazety...

– Gazety widziałem. I tak musisz z nią kiedyś pogadać.

Rozjazgotał się sygnał SMS-a, nagranie bardzo wysokiego głosu *travesti* rapującego na karnawałowym party na Copie o swojej nadchodzącej operacji.

– To daj mi jakąś bluzę, czy coś.

Marcelina wyszła na balkon, zaczęła chodzić tam i z powrotem w majtkach i starej, dziurawej kangurce. Bloki mieszkalne po drugiej stronie laguny wyglądały jak święte miasto srebra i złota; ostatnie strzępki wczesnej mgły wysychały nad zielonymi wzgórzami, a wysportowane dziewczyny biegały wokół jeziora. Heitor próbował wyczytać coś z rąk

Marceliny.

– I co?

Opadła na skórzaną kanapę.

– Słabo. Kazała mi zrobić sobie nieoficjalne wolne. Całkiem jakbym była zawieszona z prawem do wynagrodzenia.

– A mogli cię zwolnić.

– Odwiodła Adriano od tego. Jest skłonna rozstrzygnąć wątpliwości na moją korzyść: że nie wysłałam tego maila, że to było jakieś szpiegostwo przemysłowe, albo ktoś mi się włamał do komputera. Chyba się myliłam co do Czarnej Ptaszyny.

– A program?

– Adriano Russo myśli, że to wszystko nawet nam trochę pomogło. APRIGPR.

– My w Dziale Informacyjnym nie rozumiemy tego jego SMS-owego slangu.

– „Ali PR Is Good PR”, każdy PR jest dobry. Odczeka, czy stracimy w ratingach do Rede Globo. Może się uda.

– Musisz zadzwonić. Jeszcze w jedno miejsce.

Ekspres Heitora wypełnił cały aneks kuchenny piskami i burczeniem.

– Wiem. Pewnie, że wiem. – Matka na pewno będzie pijana, na pewno pije przez całą noc, powoli, miarowo, po jednej długo sączonej wódce, patrząc w krzyżujące się snopy świateł aut na deszczowych ulicach Leblonu. Frank Sinatra odwrócił się od niej. To zawsze były tylko odbłaski z lustrzanej kuli, nic więcej. Twoje własne „ja” rozbite na tysiąc świecidełek i odbite w twoją stronę. – Zadzwonię, pewnie, że zadzwonię. Ale nie mogę tu zostać, Heitor.

– Oswaldo coś sugerował, że to nie najlepiej rzutuje na moją zawodową obiektywność. Ale możesz zostać, ile chcesz. Żaden ze mnie Jezus.

– Nie chodzi o ciebie. Nie rozumiesz? Nie chodzi o ciebie. Po prostu, póki ona chodzi po tym mieście, potrzebuję, żebyś mi ufał. A to się uda tylko wtedy, gdy będziesz wiedział, w razie jakiegoś telefonu, maila czy wizyty, że to nie jestem ja. To będzie ona, i wszystko, co powie, to będzie kłamstwo.

– Ja bym ją poznał. Kiedyś robiłem wywiad z policjantem, który zajmował się fałszywymi banknotami. Zapytałem go, jak się nauczył poznawać fałszywki. Powiedział, że dzięki patrzeniu na oryginały. Wszędzie bym cię poznał.

– A Raimundo Soares coś poznał? A ludzie, przed którymi przeszła tanecznym krokiem po całym Canal Quatro, coś poznali? A moje siostry, matka? Nie, tak będzie bezpieczniej.

– A skąd będę wiedział, że to już koniec?

– Tego jeszcze nie wymyśliłam! – warknęła Marcelina. – Czemu ty mi to utrudniasz? Nie wiem jak mi się to ma udać, ale wiem, że w wywiadzie i zbieraniu materiałów jestem bardzo, bardzo dobra i pora, żebym przestała być ścigana i sama zaczęła ścigać. A co będę ścigać? Siebie. Na razie tylko tyle mogę powiedzieć. Coś, co wygląda jak ja, brzmi jak ja, myśli jak ja, wie, co zrobię, zanim to zrobię, i do tego jeszcze postanowiło mnie zniszczyć. Czemu – nie mam pojęcia. Ale się dowiem. Wiem za to, że jak coś wygląda jak ja i gada jak ja, to to jestem ja. Jak to się dzieje, też nie mam pojęcia. Ty mi powiedz, masz tu stos

książek na każdy temat pod słońcem. Na wszystko masz jakąś teorię. Powiedz mi, żeby tylko się jakoś trzymało kupy.

– Nic tu już się nie trzyma kupy. – Heitor usiadł ciężko na minimalistycznej skórzanej sofie-kostce naprzeciwko niej, po drugiej stronie szklanego stolika.

– No i co z tego? Chcesz jeszcze raz zobaczyć to nagranie i powiedzieć mi, że to nieprawda?

– Może zegar źle chodził na tym nagraniu?

– Zapytaj całej mojej ekipy. Wszyscy siedzieli wtedy u mnie i palili moją trawę.

– Słuchaj, a skoro twoja zła bliźniaczka działa z otwartą przyłbicą, na tyle, żeby dać się nagrać na kamerę w Canal Quatro, to czemu w tym *terreiro* się maskowała?

– Nie wiem. Może to nie była ona. Może jest ktoś jeszcze. Dowiem się. – Marcelina obróciła filiżankę w dłoniach. – Myślisz, że może mam złą bliźniaczkę? Że moja matka...? Miała swoją wspaniałą karierę, sławę, była Królową Beija-Flor i zawsze czułam, że jej trochę przeszkadam. Czy mogłaby... no nie. Choćby nie wiem jak porąbany...

Idea była jednak ponętna, taki odwieczny archetyp: bliźnięta rozdzielone po urodzeniu, jedno rzucone pomiędzy neony i cekiny Copacabany, drugie w zapomnienie i głód. A teraz wróciło, żeby odzyskać, co mu się należy. Nie widziała tego czasem w jakiejś telenoweli?

– Zapytaj ją – stwierdził Heitor.

Może to była kawa, może psychoterapeutyczne ustawienie kanap, a może po prostu dźwięczna klarowność, kiedy przyjaciel cię wysłucha i zada jedno jedyne pytanie, od którego wszystko rozpadnie się na lśniące odłamki. Nagle twarz na stop-klatce, rozrzucone po podłodze gazety, wszystko stało się jasne i proste. Oczywiście, że nie ma żadnej Marceliny-ducha, utkanej ze stresu i zawiewających spomiędzy *morros* obłoczków *axé*. Ani na wzgórzach, ani w mieście nie ma żadnej magii – przygnębiająca filozofia Heitora nie dopuszczała istnienia magii. Żadnych duchów, żadnych *Saci-pererê*^[7], żadnych zmienników, ani równoległych wszechświatów. Tylko dawny rodzinny sekret, który właśnie wyszedł na jaw. Ale wy jeszcze nie znacie Marceliny Hoffman. To capoeirzystka, zwyciężająca bystrych chłopaków *swoją jeito* i *malicią*; to prawdziwa *malandra*.

Ciuchy wysuszyła o północy w suszarce Heitora – jego sprzątający był wyznawcą poniedziałkowego prania, a Heitora nie było sensu prosić, sprzęty AGD go nienawidziły. Nie umiał obsłużyć nawet własnej mikrofalówki, a piekarnika nie użył nigdy w życiu. Spodnie zrobiły się twarde i sztywne, koszulka zbyt obcisła, jakby skurczona, a buty były jeszcze wilgotne. Na wkładkach widziała plamy. Zarzuciła torbę na ramię.

– A dokąd pójdziesz?

– Na pewno nie do domu. Coś sobie znajdę.

– Skąd będę wiedział, kiedy już zrobisz to, co tam masz zrobić?

– Będiesz wiedział, jesteś z wiadomości. – Stała na palcach, żeby go ucałować, tego wielkiego, kosmatego, niedźwiedziowatego faceta. Tak łatwo byłoby zostać pomiędzy książkami i minimalistycznymi skórzanymi meblami, telewizorem i erotycznymi ubrankami, zdać się ze wszystkim na niego i zatopić się w jego masie i głębokości. I tak niebezpiecznie. Nikt nie jest bezpieczny, póki tajemnica nie padnie w *rodzie* pod jej

ciosem. – Jak właściwie mam zapytać matkę: „Mamo, czyja mam siostrę bliźniaczkę, którą oddałaś zaraz po urodzeniu?”

Blackberry Heitora skrzeknęło. Nie pierwszy raz dźwięk nowej wiadomości RSS przerwał im seks. Poczuła, jak spina się na niej, mięśnie się opancerzają.

– Co tam, tłusty misiu?

– Ten gość, którego odwiedzałaś w *terreiro*.

– Bença Bento?

– Znaleźli go. Zabity. Pocięty na plasterki. W nocy. – Heitor przytulił ją mocno, i jednocześnie delikatnie, jak robią to duzi mężczyźni, obawiający się kogoś zmiążyć. – Uważaj na siebie. Bardzo uważaj.

Kapelusz miał kształt wielkiego ogromnego odwróconego buta, podeszwa opadająca nisko na loczek na czole, obcas solidny, pełny, w stylu panamy, jak dumny grzebień. Marcelina uniosła go z szacunkiem.

– No dalej, przymierz – namawiał Vitor, z twarzą promieniejącą jakby był telewizji.

Marcelinaomal nie parsknęła śmiechem, widząc swoje odbicie w wysokim lustrze, podparła się pod boki i zaczęła przybierać pozy wampa, Carmen Mirandy, ryjek, dzióbek. Cmok. Potem światło się zmieniło, jak to miało w zwyczaju w tym teatrze snów, i w nagłym światłocieniu zobaczyła Marcelinę Hoffman, o jakiej marzyła matka – srebrzystą, pokrytą puszkami nocną ćmę, dumę całej Copacabany wychodzącą z ciemnej głębi lustra. Wzdrygnęła się i zerwała kapelusz, ale słońce przebiło się mocniej przez dachowe świetliki – w łuszczącej się srebrnej powłoce lustra dostrzegła i srebrzyste skrzydła, i srebrny pancerz, pobrużdżony, pomarszczony, spatynowany, i obrzmiałą maskę dziecka z horroru, w stylu chińskich bibelotów.

– To jest z... – powiedziała z niedowierzaniem.

– Było napisane „Brazil” i komuś się pomyliło – wyjaśnił Vitor. – Po zdjęciach był strajk, zrobił się wielki zamęt i ktoś pomyślał, że to jest adres, na jaki trzeba wysłać.

Vitor był z pokolenia, którego obowiązki i zobowiązania sięgały daleko poza alt kropka rodzinę; które wciąż szanowało tradycję *carioca*, nakazującą zapewnić nocleg i piwo, nieważne, na jedną noc czy jeden rok, nie zadając żadnych pytań. Otworzył przed nią swój mały sklepik z kiczem, rozłożył dmuchany materac w magazynku zagraconym kartonami ze starymi pismami filmowymi i programami meczów, a kiedy zapytała, czy skądś da się dyskretnie obserwować jej mieszkanie, bez słowa otworzył drzwi na końcu kuchni i wprowadził ją w świat pełen jedynek prawdziwych czarów, jakie jeszcze znało Rio. Zawsze zachodziła w głowę, skąd Vitor bierze te wszystkie skarby w stylu art déco, które tak doskonale wykańczały wnętrza w programie *Kicz i ciota*. Jego mieszkanie, o cudacznym rozkładzie, z nieustawnymi pokojami, dziwnymi schodkami i wewnętrznymi balkonikami, kiedyś stanowiło foyer zapomnianego kina, klejnociku z lat czterdziestych zadławionego przez tanie, ceglane bloczyska, jak leśne drzewo pasożytniczą figą. Pod

sklepiiony sufit przychodziły umierać wszystkie stare filmy. Rekwizyty, dekoracje, zastawki, reflektory i kostiumy, kompletny myśliwiec z II wojny światowej, sprzęty z transatlantyku, kawiarni i hacjend, wszystko stłoczone razem na kupie.

– Złożyli to wszystko tutaj, na wypadek gdyby miało się kiedyś przydać – powiedział, prowadząc ją na górny balkon. – A potem ktoś zamknął drzwi i sobie poszedł, i wszyscy zapomnieli, dopiero ja pogrzebałem w starych „Jornalach” i to znalazłem. Uważaj, gdzie stajesz, trochę tu się wilgoć wdała.

Jest w tym jakiś pomysł na program, pomyślała – i ta myśl okazała się zakotwiczeniem w zdrowym rozsądku, zdrowym umyśle, w nieuchronnej, banalnej prawdzie. Wciąż było słońce na niebie, Chrystus wciąż stał na górze. Jednak, odkładając na miejsce surrealistyczny but-kapelusz, wydała z siebie zduszony okrzyk: na plastikowej głowie siedział oryginalny kapelusz tutti frutti, obwieszony woskowymi ananasami i zakurzonymi bananami.

– Tu będzie dobre miejsce. – Vitor otworzył drzwi na oślepiające światło; aż zamruła; mały pokój, z jednej strony mający wielki, okrągły taras, jakby obrośnięty dzikim winem. Poklepał wiklinowy fotel. – Wszystko widać, a ciebie nikt nie zobaczy, bo kto by patrzył w górę. Później przyniosę ci tu herbatkę.

Piękny taras pod kopułą; kiedyś pewnie kino miało tu bar, teoretyzowała Marcelina, absorbując obszerny fragment ulicznego życia – sklep spożywczy, dwie knajpy, kilometrów restaurację i pralnię chemiczną, wypożyczalnię wideo, chińską restaurację i halle wejściowe trzydziestu kamienic, w tym jej własnej. Ileż razy, zastanowiła się, Vitor patrzył stąd na nią, jak wychodzi, jak przychodzi? Ukłucie strachu – może wróg obserwował ją dokładnie stąd i poznał jej wszystkie zwyczaje? Vitor by się nie zorientował. Vitor już raz ją spotkał, zignorowała go na ulicy, i niczego nie poznał. Paranoja. Paranoja jest zrozumiała.

Raz, dwa, trzy razy budziła się raptownie z drzemki, w którą zapadała w przytulnym, pełnym kurzu ciepłe kopuły. Praca śledcza, obserwacja, to nigdy nie były jej mocne strony. Latanie z kamerami, mikrofonami na wysięgnikach, cyfrowymi notatnikami i formularzami do podpisania – to była jej gra. Vitor przyniósł herbatkę, dwa razy. Ani razu nie zapytał, co ona tu robi, patrząc na srebrne drzwi wejściowe swojej kamienicy, ani razu nie wspomniał o jej przelotnej niedzielnej sławie – przez tę prawdziwie mundialową aferę trafiła na rozkładowki wszystkich gazet, oprócz tych należących do Globo. Staruszkowie wracali z plaży. Uliczni handlarze obstawiali skrzyżowanie. Bary wystawiały stoliki i odpalały telewizory, nieprzerwany strumień ludzi wracających z pracy wchodził do sklepów spożywczych i wychodził z wodą, piwem, fasolą. Na podstawie pulsu pieszych na ulicach poznała rozkłady pociągów metra na stacji Copacabana. Zobaczyła, jak Vitor zasiada na swoim miejscu na zewnątrz, zamawia herbatę i rozkłada gazetę. Przyjaciele i znajomi przystawali, żeby pogawędzić, na chwilę, na minutę, na godzinę.

Wygląda, że fajne ma życie, pomyślała Marcelina. Nieskomplikowane, oddane relacjom międzyludzkim, spokojne, kulturalne. A potem: w pół godziny znudziłabyś się do urzygu. Dajcie mi *Sekrety supermodelek* i *Jak się kochać jak gwiazda porno*.

Dłużej już nie mogła zwlekać. Zadzwoiła do matki.

– Cześć. To ja. Nie rozłączaj się, proszę. Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? A czy, ten... no wiesz? Nie rozłączaj się.

– Iracema jest strasznie obrażona. Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo ją zraniłaś. Głorię też; a ja, no cóż, ja raczej jestem rozczarowana. Rozczarowana i zaskoczona. Bo to zupełnie do ciebie niepodobne. Czemu ty coś takiego zrobiłaś? – Cień chryпки w głosie, kończący się kac po trzydniowym ciągu.

Zapytaj ją, no pytaj, masz już wstęp. Przez całe popołudnie, gdy wydłużały się cienie, bawiła się różnymi taktykami, otwarciami, wstępami, gambitami, przyznaniem do winy, ostrymi narzędziami z jej zawodowej skrzynki, w końcu zawsze zawieszając się na jednej strategicznej kwestii: przeprosić, a z Trudnym Pytaniem zgłosić się później, czy też wywalić wszystko prosto z mostu.

Postanowiła.

– Wiem, że nie uwierzysz, kiedy powiem, że to nie byłem ja. Wiem, że trzeba było przeprosić wtedy, od razu, z miejsca. Nie wiem, czemu zaczęłam tę kłótnię, ale jednak zaczęłam i przykro mi za to. Przepraszam cię. – Na razie to prawda. Przyznać się do drobniejszych oskarżeń. Kolejne sprytne małe narzędzie z branży informacyjnej. – Pewnie już widziałaś, co piszą gazety.

– A tobie nic nie jest? Wszystko w porządku?

„To kłamstwo czy hipokryzja?” – zapytała sama siebie Marcelina. Powtarzane tak długo i tak wymęczone, że już stało się prawdą?

– Mamo, posłuchaj... to dziwnie zabrzmiało, dziwnie jak nigdy... ale: czy ja jestem jedna? Głucha cisza.

– Co, skarbie? Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

– No, rozumiesz, czy jest... – Zdanie zawisło niedokończone. Usłyszała gdakanie matki:

– Co co co?

Stoi w otwartych drzwiach bloku, poprawia szminkę, zamyka torebkę od Chanel, drzwi kołyszą się łagodnie i mocno zatrząskują za nią. Ona. Tamta. Zła bliźniaczka.

– Dobra, mamo, muszę lecieć. Całuję.

Przebiegła przez ciemny korytarz, przewracając manekiny, kołysząc kostiumami na wieszakach. Przeskoczyła przez zbutwiałe deski, zbiegła po schodach po dwa stopnie. W ulice wlewał się bżowy wieczór; paliły się latarnie, ludzie wytrzeszczali oczy, gdy ich wyprzedzała. Gdzie, gdzie, gdzie? Jest. Przebiegła przez skrzyżowanie; auta raptownie hamowały, agresywnie trąbiąc klaksonami.

– Kochana, uważaj! – zawołał za nią Vitor.

Porządny kostium. Świetne, pewne siebie szpilki – widzi je tupiące po trotuarze dwadzieścia, dziewiętnaście, osiemnaście osób przed nią.

Chodzi jak ja. Jest mną.

Skręt w lewo.

Dokąd ty idziesz? Mieszkaś tak blisko ode mnie, mieszkałaś tu od zawsze, a ja nic nie wiedziałam, bo zawsze rozmijałyśmy się o ten jeden krok, ja i ty, dwie Marceliny?

Piętnaście osób, czternaście. Marcelina przepychała się pomiędzy wieczornymi spacerowiczami, ludźmi z psami albo uprawiającymi power walking. Już ją widziała. Jakby trochę tęższa? Dłonie trochę szersze, paznokcie – nic szczególnego. Dziesięć, dziewięć, osiem osób.

Jestem za tobą, tuż za tobą, gdybyś się obejrzała, tobyś mnie zobaczyła. Mnie.

Stwierdziła, że wcale się nie boi. W ogóle. To już była ta gra, ten napęd, ten samochód ukradziony z Rua Sacopã, zdjęcia składające się w całość na montażu, handlowa gadka, kiedy ktoś to ogląda, patrzy, a materiał rozwija się przed nim; chwila, gdy pomysł ucieleśnia się jako program.

Jestem tuż za tobą.

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ramienia bliźniaczki.

– Przepraszam.

Kobieta odwróciła się. Marcelina aż się zachwiała. To nie była bliźniaczka. U bliźniaczki można by zauważyć jakieś różnice, jakieś niedoskonałości, subtelne niuansy utkane z tego samego DNA. A to była ona: co do pieprzyka, co do włoska, do drobnej blizny na górnej wardze, co do zmarszczek wokół oczu.

– O – powiedziała Marcelina. – Aha.

Ostrze usłyszała, zanim je zobaczyła, pisk energii, potem łuk błękitu. Od razu zaskoczyła *malicia*, przed rozumem, długo przed świadomą myślą. Opadła na ziemię w *negativa angola*. Ostrze świsnęło jej nad twarzą. Wrzaski, krzyki. Ludzie uciekali. Samochody się zatrzymywały, trąbiły klaksony. Wyszła z obronnego przysiadu kopnięciem. Ostrze cięło jeszcze raz. Marcelina przeszła w *dobrado*, potem okręciła się w potężnym ciosie nogą. Dwie dłonie chwyciły ją za spodnie w kostkach i odciągnęły. Nóż świsnął jeszcze raz, jakby ciął nawet powietrze; potykacz z reklamą jedzenia na wagę restauracji „Teresina” rozpadł się z brzęknięciem na dwie połówki. Kobieta odwróciła się i uciekła. Marcelina zaszamotała się, ale dłonie nie puściły.

– Zostaw. – To był męski głos. – To nie twój poziom. Zostaw.

I teraz to dopiero się naprawdę wściekła. Ten głos bowiem, te dłonie, twarz, należały do *mestre* Gingi.

2-10 LUTEGO 2033

Pan Morel jest nią zachwycony.

– Pierwsza choć trochę stymulująca rozmowa, jaką odbyłem od miesiący – mówi Edsonowi w chwili prywatności przy śniadaniu, gdy Fia siedzi pod prysznicem. Lubi mieszkać w łazience, odgłosy radosnego pluskania niosą się daleko chłodnymi, wykafelkowanymi korytarzami *fazendy*.

– Mniejsza o to – stwierdza Edson. – Sprzęt jest pochowany?

Pan Morel pokazuje wielki, żelazny klucz. Pojawia się Fia, osuszająca ręcznikiem końcówki włosów. Dla niej pan Morel nazywa się Carlinhos i jest kimś w rodzaju wuja Edsona, z dalekiej rodziny rozsianej po święcie, jak gwiazdy połączone w gwiazdozbiór. Znowu będą gadać o nauce.

Edson nie cierpi tego. Kiedy dyskutują o kwantowej teorii informacji, łomoce w kuchni aluminiowymi naczyniami.

Jest w stanie zrozumieć mniej więcej tyle: Fia należała do zespołu badawczego, który wykorzystywał kwantowy superkomputer Uniwersytetu São Paulo do wieloświatowego modelowania ekonomicznego – splątywał tak wiele kubitów – tak się to chyba, jak rozumie Edson, nazywa – w tak wielu wszechświatach, że powstała konstrukcja miała tyle elementów, co prawdziwa gospodarka. „A skoro”, mówi pan Morel, „model jest tak samo złożony, jak to co modeluje, czy jest między nimi jakaś istotna różnica?”

Edson ma wrażenie, że w São Paulo Fii – w świecie Fii – technologia poszła inną drogą, gdzieś w późnych latach nastych albo wczesnych dwudziestych. Świat Edsona rozwiązywał problem procesorów i obwodów tak małych, że zjawiska kwantowe stawały się w nich kluczowym elementem, natomiast świat Fii nauczył się wykorzystywać jako procesory białka i wirusy. Półżywe komputery, które można sobie wytatuować na dupie, w odróżnieniu od modnych iSzkieł i potrzeby ciągłego rozwijania coraz bardziej skomplikowanych zabezpieczeń, żeby zadowolić paranoiczne, wszechwiedzące miasto. Jednak ludzkość Fii zabiła swój świat. Nie potrafili odzwyczaić się od ropy naftowej, wypalili wszystkie lasy i zmienili niebo w bezsłoneczną, upalną szarość.

Znowu zaczęli gadać o superpozycjach. To coś takiego, że jeden atom znajduje się jednocześnie w dwóch sprzecznych stanach. Tyle że fizyczny obiekt nie może być jednocześnie dwiema różnymi rzeczami. To, co się obserwuje, to jest ten atom i odpowiadający mu atom w innym wszechświecie. A najbardziej prawdopodobna sytuacja, w której są w superpozycji, to kiedy oba są w swoich wszechświatach elementami kwantowego komputera. Zatem w pewnym sensie (i tu Edsona swędzi w mózgu, gdzieś z tyłu, gdzie nie da się podrapać) w tych milionach wszechświatów nie ma wcale wielu kwantowych komputerów. Jest tylko jeden, rozproszony po nich wszystkich. To właśnie wykazał ekonomiczny model Fii. Potem stworzyła kwantowy model samej siebie i odkryła, że to coś więcej niż martwa podobizna. To był ten wichur szalejący między światami, o

którym mówił pan Morel. To były drzwi do wszystkich innych Fii Kishid, z którymi była splątana. Te widmowe Fie, co mignęły Edsonowi na górze w ciężarówce cateringowej, to właśnie były związane kwantowym zaklęciem jej odpowiedniczki z innych światów.

Edson brzęka patelniami i kubkami.

– Carlinhos, muszę pożyczyć twój samochód.

Edson wybiera się na zakupy. Wyrusza na ulice swojego wielkiego, brudnego miasta, z rękoma na kierownicy, przybrawszy jedną z wielu awaryjnych tożsamości, które ma poukrywane po całym północnym Sampa, na iSzkłach wyświetlają się policyjne mapy. Czuje, jak wraca mu *power*. Ostrożnie. Nadmierna pewność siebie przychodzi łatwo i jest niebezpieczna. Normalnie do takiej akcji wzięłby jakieś alibi, ale po tym, co zrobili biednemu Drobniakowi, to zbyt ryzykowne. Może i Sesmarias wypadli z gry, ale są jeszcze ci inni dranie – Zakon, ktokolwiek to jest; no i psiarnia, zawsze jest psiarnia. Nie, dla *malandro* nigdy za wiele ostrożności. Jedzie wolnymi od kamer lokalnymi drogami i kanałami do centrum handlowego. Błogo jest chodzić między wieszakami i stoiskami. Super jest kupować, ale nie zdobywa się na odwagę, by użyć własnego konta. Jeśli sklep nie chce mu dać rabatu za gotówkę – a wiele nawet nie przyjmuje banknotów – idzie do innego.

– Hej, mam tu parę rzeczy dla ciebie, żebyś nie wyglądała jak dziwadło. – Z radości, z jaką rzuca się na kolorowe reklamówki, Edson wnioskuje, że Fie Kishidę kręca jeszcze inne rzeczy poza fizyką.

– Wybierałeś dla mnie czy dla siebie? – pyta, pokazując małe skrawki elastycznego, obszytego cekinami materiału.

– A chcesz wyglądać jak Paulistana? – ripostuje Edson.

– Ale nie jak panienka z ulicy – rzuca Fia, obciągając dół opinających pośladki szortów.
– Ale kozaki są super.

Podróba kajmana, elastyczne, na solidnych obcasach. Edson wiedział, że będzie mruścić i cmokać, jak tylko je włoży. Krótki top eksponuje szczegóły jej komputerowego tatuażu – we wpadającym znad pół soi paliwowej niskim słońcu błyszczy jak złoto. Edson wyobraża sobie, jak kręca się te kółka i spiralki, młynek do cyferek.

– W moim świecie nieładnie się gapić.

– A w moim świecie ludzie nie mają wytatuowanych takich rzeczy.

– Tobie się zdarza w ogóle za coś przeprosić?

– Czemu miałbym? Chodź, zjemy coś. Carlinhos robi *moqueçę*. A ty musisz więcej jeść.

Gdy nadchodzi chłodek wieczoru, Edson zastaje pana Morela opartego o balustradę balkonu z wielkim blantem w ręku. Przedmieścia żarzą się w dole jak piasek, gwiazdy nie mogą się z nimi równać. Nawet świetlny taniec Aniołów Ciągłego Monitoringu, niczym przygaszonych świecących owadów z Amazonii, na pograniczu kosmosu, jest przytłumiony, astrologiczny. Nocne powietrze przynosi mruczenie elektrowni wiatrowych na dawnych

plantacjach kawy – a ten dźwięk zawsze się Edsonowi wydawał uspokajający i stymulujący. Nieskończona energia.

– Cześć, *Sextinho*. – Pan Morel częstuje Edsona wielkim, apetycznym skrętem.

– Mówiłem, żebyś mnie tak nie nazywał – burczy Edson, ale i tak bierze solidnego bucha i czeka, aż zawiruje mu pod czaszką.

Pan Morel nachyla się ku niemu. Bierze blanta od Edsona, pociąga bucha i swobodnie obejmuje go ramieniem. Unosi skręt do góry, kontempluje go jak święte zioło.

– Tylko to mnie powstrzymuje, żeby nie wybiec przez bramę tak jak stoję i nie wsiąść do pierwszego samolotu do Miami – mówi, patrząc na zwój dymu z *maconhi*.

– Do Miami?

– Wszyscy mamy jakieś własne meliny. Jakieś Shangri-La. Rzeczy abstrakcyjne, na przykład to, że wszechświatów jest więcej niż gwiazd na niebie, niż atomów we wszechświecie – z tym sobie radzę. Z liczbami, teoriami, wygodnymi intelektualnymi gierkami. Tak jak działania arytmetyczne na nieskończonościach – niby przerażające, ale kompletnie abstrakcyjne. Zabawy w głowie. *Sextinho*, ona mnie nie poznała.

Edson puszcza przezwisko mimo uszu.

– Nie poznała mnie. Powinna mnie znać, takiego samego jak... tamten tam. Jezus Maria, jakie to trzeba wygibasy słowne uprawiać. Kwantowa teoria, kwantowe komputery, wszystko kwantowe-srantowe; na tym podoktoranckim poziomie badania są interdyscyplinarne. Ale mnie nie poznała. Nie ma mnie tam. Może umarłem, może siedzę w więzieniu, może nigdy nie zostałem fizykiem, a może w ogóle nigdy nie było żadnego Carlinhosa Farah Baroso de Alvarangi. Ale ja wiem: siedzę tam w Miami. Mogłem pojechać. Dwadzieścia lat temu mogłem pojechać. Przyjęliby mnie z otwartymi ramionami. Piękni kubańscy chłopcy o sarnich oczach, z paskudnymi konszachtami z mafią. Ale musiałbym oddać tatę do domu opieki, a nie mogłem tego zrobić, nie mogłem zostawić go z obcymi. Więc odrzuciłem tę ofertę, a tato żył jeszcze trzy lata i jak mi się zdaje do samego końca był szczęśliwy. A potem byłem już za stary, za bardzo wplątany w to wszystko. Za bardzo się bałem. Natomiast on pojechał. Żyje życiem, które mogłem przeżyć ja. Powinienem przeżyć.

Pan Morel szybko ociera łzy, zanim nabiorą ciężaru.

Edson mówi łagodnie:

– Pamiętam, że kiedyś mi powiedziałeś, że to wszystko jest ustalone, od początku do końca; że wszechświat to jedna całość, zbudowana z przestrzeni i czasu, a nam się tylko wydaje, że mamy wolną wolę.

– Wcale mnie nie pocieszasz.

– Próbuję tylko powiedzieć, że nic nie mogłeś zrobić.

Blant spalił się do gorzkiego niedopałka. Edson zdeptuje go podeszwą klapka.

– *Sextinho*... Edson. Naprawdę potrzebuję, żebyś dziś ze mną był.

– Myślałem, że się dogadaliśmy.

– No tak, wiem, ale czy to ważne, skoro to nie jest ona?

Edson kocha tego starego dziada i chętnie by do niego poszedł, bez żadnych gier,

kozaków, kostiumów, masek, grałby rolę tego groźnego kubańskiego *malandro*, udawałby kogo tylko trzeba, żeby pan Morel mógł się w wyobraźni przenieść do tego swojego Miami. Czuje jednak, że to ważne. A pan Morel odczytuje to z jego ciała i mówi:

– Widocznie to też nie jest mi w tym wszechświecie pisane.

Fia, ubrana w majteczki we wzorek retro w Hello Kitty, pływa na grzbiecie w basenie. Edson z cienia werandy przygląda się, jak rozświetlona słońcem woda opływa jej płaskie, chłopiące piersi. Wypatruje żądz, pożądania, erekcji. Nic z tych rzeczy. Ciekawość, chęć, żeby się przyjrzeć, jakby to był dowolny facet. Nic więcej.

– Ej. – Pływa w miejscu, twarz oświetlona w kreski odbitym słońcem. – Daj mi ręcznik.

Wychodzi z wody, rozkłada ręcznik na mahoniowym leżaku, sama kładzie się na ręczniku. Sutki i malutka kokardka na majteczkach.

– Pierwszy raz od wielu tygodniu czuję się czysta – oświadcza Fia. – To nie jest twój wujek, co nie? Znalazłam wasze rzeczy. Nie mogłam spać, więc zaczęłam szperać. Ja tak mam, że wszędzie szperam. Znalazłam te przebrania i inne rzeczy. Są... no, niezłe są.

– A mówiłem mu, żeby sprawdził, czy są pod kluczem.

– Po co? Jeśli coś jest między wami, mnie to nie przeszkadza. Nie musicie niczego przede mną ukrywać. Myślałeś, że mnie to ruszy? A ona wiedziała? Aha, to o to chodzi, prawda? Ona nie wiedziała.

– Ale ty nie jesteś nią. Wiem przecież. I ciebie to nie rusza?

– Mnie? Nie. Może. Nie wiem w sumie. Przeszkadza mi, że jej nie powiedziałaś.

– Ale mówiłaś...

– No wiem, wiem. Nie oczekuj, że to będzie w stu procentach spójne. Ale co właściwie robiliście w tych przebraniach, z tymi rekwizytami i tak dalej?

– Seks na superbohatera.

Wytrzeszcza oczy.

– Jak w tych homo-opowiadankach, slashach o Batmanie i Robinie? Super. Ale co właściwie robicie?

– A co cię to?

– Mnie nic. Jestem wścibską cholera i tyle. Już parę razy wpakowałam się przez to w kłopoty.

– Przebieramy się. Bawimy. Czasem udajemy, że walczymy, no wiesz, walki. – Wypowiedziawszy to na głos, zdradziwszy tajemnicę, Edson czuje palący wstyd. – Ale często po prostu rozmawiamy.

– Próbuję sobie wyobrazić Carlinhosa w takim pełnym rynsztunku...

– Nie śmiej się z niego – mówi Edson. – Ja mówię na niego „pan Morel”. Bo jak się pierwszy raz spotkaliśmy, dał mi parę moreli za popilnowanie samochodu. Nie miał drobnych. I patrzył, jak je jem. Sok ciekł mi po brodzie. Pewnie myślisz, że to coś strasznego. Pewnie masz na ten temat jakieś mądre, wyedukowane poglądy klasy średniej.

Ale on był bardzo nieśmiały i bardzo dla mnie dobry. Mówi na mnie „*Sextinho*”.

W jego głosie jest jakaś ostrość, z powodu której Fia czuje się onieśmielona, z gołymi cymbalami w obcym wszechświecie. To ich pierwsza kłótnia. Za bramą przejeżdża motocykl. Edson zauważa go, wspomina czule swoją zamordowaną yamaszkę. Parę sekund później motor przejeżdża z powrotem, w drugą stronę. Powoli, bardzo powoli. Edson czuje, jak rozszerzają mu się oczy. Unosi wzrok. Dron obserwacyjny z bzyčeniem kończy rundę nad nowym, grodzonym osiedlem, ale czy nie za długo się waha, robiąc zakręt? Tak na wszystko uważał w aucie pana Morela, ale zawsze mogły się zdarzyć jakieś kamery, które przeoczył, nowo zainstalowane, jedno oko na ciężarówce, autobusie, czyjejś koszulce, albo nawet na iSzkłach przechodnia, który później wplątał się w napad, kradzież, czy coś innego, przez co policja przegrzebała im pamięć. Paranoja zagnieżdżona w paranoi. Ale w wielkim São Paulo każdy jest paranoikiem.

– Jak długo ty już tu siedzisz? – pyta.

– Trzy dni – odpowiada Fia. – A czemu pytasz?

– I cały czas gadacie o fizyce?

– O teorii informacji.

– Wszystko, kurna, jedno, ale muszę zapytać: znaleźliście sposób, żebyś wróciła?

– To znaczy?

– Mówiłaś, że to była droga w jedną stronę, że nie ma powrotu.

– No cóż, jakby mieć kwantowy komputer wielkości uniwersytetu São Paulo, to on by dał radę. A czemu pytasz?

– Bo wydaje mi się, że oni nas szukają. – Siada raptownie. Hello Kitty. – Wydaje mi się nawet, że wiedzą, gdzie jesteśmy. Nie jesteśmy tu bezpieczni. Mogę cię przenieść w bezpieczne miejsce. Ale jest jeden problem. Potrzeba będzie bardzo dużo kasy.

Edson stoi goły jak święty turecki na pseudo-Niemeyerowskiej mozaice w fale, przy zielonym, zielonym basenie. W jednej dłoni trzyma ręcznik i pyta *soldados*:

– To gdzie mam iść?

Zaganiają go do otoczonej zielenią sauny z tyłu spa. I Górne, i Dolne Miasto wie, że Szeft śmiertelnie się boi starości i niedołęstwa, wydając tony kasy na obronę przed nimi. Nikt z obu miast nie spodziewa się, że długo pożyje, on jednak utrzymuje w swojej rezydencji na górze sztab chińskich medyków i gorące źródła zen. Jakieś dźwiękowo-elektryczne pole trzyma ciepło. Wielki Szeft zaprasza Edsona, by usiadł na drewnianej ławie. Wokół siedzą *soldados*, nadzy jak on; pistolety w zasięgu ręki na gorących deskach – „Ekipa Surferska Luz”, mówią na siebie. Mają surferskie mięśnie i dumnie prezentują zawijasy wypukłych, kropkowanych blizn na piersiach i brzuchach, gdzie przebijali sobie skórę i ostrożnie, rytualnie wcierali w nią popiół. Edson siada, wstydząc się wygolonych genitaliów, niepewny, co mówi protokół na temat gapienia się na fiuta barona narkotykowego.

– Co tam, synu, u ciebie, wszystko w porządku?

Szefa okrywa tyle tożsamości, ile warstw ma struktura jego firm. Dolne miasto, gdzie jego władza nie jest całkowita, zna go jako Senhora Amarala; w górnym mieście jest Euclidesem. Tylko ksiądz, który go ochrzcił, zna prawdziwe imię. Warstwy, piramidy – jest gruby, zwały tłuszczu zwężają się ku łysej głowie, ogolonej gładko jak jaja Edsona.

– A jak tam dona, jak się czuje przy tej pogodzie?

Kiedy zginął Anderson, Wielki Szef Euclides przysłał kwiaty i kondolencje oraz obraz Matki Boskiej Pocieszycielki. Wydaje mu się, że jest wszechwiedzący jak Anioły Ciągłego Monitoringu, ale nie ma pojęcia, że Dona Hortense podarła kartę, a kwiaty cisnęła podczas nowiu do śmierdzącego, zatkanego butelkami po energetykach i zdechłymi prosiaczkami ścieku, którym jest kanał burzowy Cidade de Luz.

– Słyszałem, że przysparzasz tej dobrej kobiecie siwych włosów.

– Senhor, w żadnym wypadku nie narażałbym na nic rodzonej matki, proszę mi wierzyć.

– Edson słyszy drzenie we własnym głosie. – Mogę panu coś pokazać? Na pewno się panu spodoba. – Podnosi rękę.

Ekipa surferów spogląda na pistolety. Szef kiwa głową. Edson kończy gest i z przebieralni wyskakuje Milena, w topie z monogramem, patriotycznych stringach i piłkarskich getrach, piłka posłusznie podskakuje przed nią jak szczeniaczek. Beznamiętnie żuje gumę przed widownią złożoną z gołych facetów.

– I jak, senhor, co pan myśli? – Po czymś takim, przychodzi do głowy Edsonowi, sto tysięcy kibiców w Morumbi to pikuś.

– Podoba mi się. Laska ma talent. Jasne, u góry potrzebna będzie drobna operacja, na pewno już to zaplanowałeś, ale tyłek ma świetny. Prawdziwy brazylijski. Ile czasu ona tak umie? – Szef klepie z całej siły w udo siedzącego obok żołnierza. – Co, podoba się biały tyłeczek? Już ci staje, co? – Klep, klep. Na jego miejscu bym to sobie zapamiętał, myśli Edson. – Kręci, kręci, co? – Klep, klep, klep. – Komu stoi, no pokażcie? – Wszystkim oprócz Szefa, zauważa Edson. Edsonowi też. – No dobra, to udało ci się mnie rozbawić, naprawdę, ale przecież nie przyszedłeś tutaj, żeby mi pokazać Królową Podbijania Piłki.

– To prawda – mówi Edson. – Przyszedłem, bo planuję pewną akcję i potrzebuję pana zgody.

Pena! Pena! Pena! Słowo biega w górę i dół *ladeiros*, spływa jak ulewa serpenrynową główną ulicą Cidade de Luz, powtarza się je w jadłodajniach i supermarketach, na boiskach do kosza i pod latarniami, gdzie majstrowie od aut podpinają swoje aerografy i spawarki. Czarne kogucie pióra wetknięte w błoto na poboczu, zatknięte w siatce furtki, włożone pod wycieraczki. Nasprejowany od szablonu kogut na roletach sklepów, krawężnikach, na marginesach większych i ambitniejszych graffiti; bezczelny, bojowy mały kogucik. Jego pianie rozbrzmiewa na całym wzgórzu, od *rodovii* po dworzec autobusowy, od Zboru Bożego do Szefa wysoko ponad wszystkim; zwołać chłopaków, całą dawną

ekipę, gang zbiera się na nowo.

Spotykają się w pakamerze na tyłach siłowni Emersona, pomiędzy zepsutymi maszynami do ćwiczeń – sam Emerson, Wielki Kotlet, mógłby pochodzić trochę na własną siłownię, Indycza Noga ze swoim q-nożem; głupek Łakoć, bo gdyby go nie zaprosić, i tak by wszystko zepsuł; potem chłopaki z warsztatu, Edimilson i Jacku Czekolada; Waguinho i Furaçao, kierowcy; oraz honorowi członkowie Penas, Hamilcar i pan Smiles, od dyskrecji i bezpieczeństwa. Patrzą jednocześnie z wyższością i strachem.

– I jeszcze ja – powiedziała wcześniej Fia. – Wziąłeś moją kasę. Chcę wiedzieć, na co ją wydasz.

– To nie była twoja kasa. Ktoś musiał umieć porobić te zakłady. A niektórzy z tych gości kojarzyli cię z poprzedniego życia.

Edson musi przyznać: przekręt był wymyślony super. Fia załomotała do jego drzwi w środku nocy, z oczyma wytrzeszczonymi ze zdumienia. Edson w sekundę wyskoczył goły z łóżka i chwycił nowiutki pistolet pana Morela, myśląc: mordercy, Sesmarias, *pistoleiros*.

– Nie wierzę, wy tu macie „Któryś ze światów”!

O Globo 12 puszczał telenowele przez całą dobę, a Fia, nie mogąc spać, skakała po kanałach i znalazła to kwantowe чудо. („Wszystko się gdzieś zdarza, w którymś świecie wieloświata”, powiedział pan Morel następnego dnia przy śniadaniu, gdy nad jajecznicą z kiełbasą wyłożyli mu plan). Nie dość, że w świecie Edsona też był „Któryś ze światów”, ale wyglądał identycznie jak ten, od którego Fia była poważnie uzależniona – taka sama obsada, postacie i fabuła. Z jedną zasadniczą, wartą kupę kasy różnicą – w świecie Edsona serial był opóźniony o tydzień. Edson pamiętał nawet dlaczego: Fia – poprzednia Fia – wyjaśniła mu, że był strajk personelu technicznego. Wszystko było już prawie dogadane, ale oni i tak przerwali pracę. Z jakiegoś powodu było to wtedy dla niej ważne. Za to w świecie tej Fii ekipy się dogadały.

– Identyczny, słowo w słowo?

Kiwnęła głową, osłupiała.

– Pewna jesteś?

Wielkie, wielkie oczy.

– Informacja to władza – obwieścił nad jajecznicą z kiełbasą. – Ale jak na tym coś zarobić?

– Proste – stwierdziła Fia. – Seks dwóch chłopców.

Pan Morel niewzruszony mieszał jajka. Od dwóch miesięcy „Któryś ze światów” zmierzał do kulminacyjnego momentu namiętności – sceny seksu oralnego pomiędzy Raimundo i Ronaldão. Gdyby Edsonowi zechciało się kiedykolwiek obejrzeć telewizję, przeczytać jakąś gazetkę, zajrzeć na plotkarskiego czata, wiedziałby, że najważniejsze pytanie dzisiejszej Brazylii brzmi: „Zrobią to czy nie zrobią?”. Stawki u bukmacherów spadały w miarę jak zbliżał się termin emisji Słynnego Odcinka – to się musi stać, scena homoerotyczna w paśmie największej oglądalności. Aby jeszcze bardziej pobudzić emocje, twórcy serialu zaszyli się w hotelu, pod uzbrojoną ochroną. Emocje sięgały zenitu, a ceny reklam były kosmiczne.

Ale Fia już ten odcinek oglądała.

Zakład był skomplikowany – drobne kwoty z upłynniania antyków podarowanych przez pana Morela rozsiano po szemranych bukmacherach w całym północnym São Paulo, nigdy tyle, żeby zmienili stawki, i w odpowiednio dużych odległościach, żeby nikt nie zauważył prawidłowości. Edson, Fia i pan Morel wędrowali po bulwarach, nonszalancko zaglądając do obskurnych bukmacherni i kładąc reale na blatach z dykty.

Edson był tak zajęty rozsyłaniem *pichaçeiros* z szablonami i czarnych piór po całym Cidade de Luz, że przegapił Słynny Odcinek.

Starość wyciągnął sejf spod podłogi i wysypał z niego tyle reali, że można by się w nich kąpać.

– Skąd wiedziałeś, że w ostatniej chwili zdygają? Wzięłeś matkę scenarzysty na zakładniczkę, czy coś w tym stylu?

– Czy coś w tym stylu – odparł Edson.

Kiedy stanął w pakamerze siłowni Emersona przed dawnym gangiem Penas, pod stołem mając sportowe torby pełne banknotów, poczuł, że lata ulatują jak spłoszone ptaki. Znów miał dwanaście lat, rzeczywistość znów rozprawiała się z marzeniami o osiągnięciach, pojawiała się przykra świadomość, że mimo swojej ogromnej ambicji nie był w stanie polecieć tak wysoko, by wydostać się z zasięgu grawitacji Cidade de Luz. Skończysz jako kolejny malandro, w gangu, z pistoletem.

– Dziękuję wam wszystkim, że przyszliście. Mam akcję i mam plan. Sam tego wszystkiego nie zrobię, potrzebuję waszej pomocy. To jest nielegalne.

Tu śmiechy. Co ty nie powiesz, Edson.

– I niebezpieczne. Dlatego właśnie nie proszę was jako przyjaciół, nawet przez wzgląd na dawną bandę Penas. Nie obrażajcie się, że proponuję wam kasę. A zapłacę dobrze. Ostatnio nieźle nagarnąłem. Parę zakładów się udało. Znaie mnie. Zawsze jestem zawodowcem. – Bierze głęboki wdech i cały pokój wstrzymuje oddech wraz z nim. – Proszę was o bardzo dużo. Chcę zrobić coś takiego...

– Nie widzę politycznych przeciwwskazań, żebyś zrobił tę akcję – mówi Wielki SzeF, wychylając się wupał, tak że pot skapuje mu z sutków. – Edson, bardzo szanuję twoje konkretne biznesowe podejście. Proponuję ci piętnaście procent upustu od mojej standardowej ceny koncesji.

Edson uświadamia sobie, że wstrzymywał oddech. Wypuszcza powoli powietrze, niedostrzegalnie, tak że krople potu na jego chudej piersi nawet nie drgną.

– Dziękuję za dobrą ofertę, senhor, ale w mojej sytuacji każde obciążenie finansowe mocno mi szkodzi na płynność.

SzeF się śmieje. Zgodnie falują wszystkie części ciała.

– No to słucham, jaki masz plan spłaty.

Edson wskazuje głową Milenę, wciąż podbijającą piłkę i uśmiechającą się przy każdym uderzeniu.

– Mówił pan, że robi wrażenie.

– Mówiłem, że potrzebuje operacji.

– Wkręciłem ją na okres próbny do Atlético Sorocaba. – To nie do końca kłamstwo. Zna tam jednego człowieka, nawet jego imię. Zostawił u sekretarki prośbę o spotkanie.

– To nie bardzo São Paulo.

– Ale to wyrabianie nazwiska. Mam cały plan rozwoju kariery.

– Nikt nie może powiedzieć, że nie jesteś skrupulatny – mówi Wielki Szef. – Ale...

– Dołożę całą moją drużynę siatkonogi.

Szef marszczy czoło. Ekipa Surferów powtarza jego minę, wzmocnioną do „srogo”.

– To są laski.

Szef kręci głową na obłej, pofałdowanej szyi.

– Ale grają topless.

– Deal – oświadcza Szef, nagle zanosząc się śmiechem. Kiwa się tam i z powrotem, marszcząc wielki, włochaty brzuch, klepiąc się po udach. – Przekręcę się, kurwa, przez ciebie, ty bezczelny małpiszonie. Masz swoją koncesję. A teraz gadaj, po co ci ona?

– Proszę bardzo. Senhor, za pana pozwoleniem: planuję włamać się do bazy pojazdów żandarmerii na Guapirá i ukraść cztery kwantowe komputery.

29 PAŹDZIERNIKA 1732

PARĘ ZAPISKÓW O HYDROGRAFII RIO NEGRO I RIO BRANCO PIÓRA

DOKTORA ROBERTA FRANÇOIS ST. HONORÉ FALCONA,
CZŁONKA FRANCUSKIEJ AKADEMII NAUK

Rio Negro, czyli Rzeka Czarna jest jednym z największych dopływów Amazonki, łączącym się z Rio Solimões około dwustu pięćdziesięciu francuskich mil od ujścia Amazonki, trzy mile powyżej osady São José Tarumãs, nazwanej na cześć już wymarłego szczepu Tarumã, zwanej także São José do Rio Negro. Najbardziej uderzającą cechą Rio Negro jest ta, od której wzięła swą nazwę – czarna woda. I nie jest to legenda, wytwór wybujałej wyobraźni – tak jak wody oceanu są niebieskie, tak tej rzeki są czarne jak smoła. Natomiast Rio Branco, dopływ większej Negro, ma, jak sama nazwa wskazuje, wodę białą. Rzeki w głębi Amazonii są właśnie takie, dwóch rodzajów, czarne lub białe. Ponad Rio Branco wszystkie północne dopływy Rio Negro mają czarną wodę – a te od południa są poprzecznymi kanałami łączącymi ją z Solimões.

Z Arquipelaga Anavihanas przeniosłem się do bardziej obiecującego obozu u zbiegu Rzeki Czarnej i Białej, gdzie przeprowadziłem szereg badań nad wodą i składem obu rzek. Obie są nadzwyczajnie głębokie i wykazują wyraźne uwarstwienie w kwestii żyjących w nich gatunków ryb. Jednak sondowane liną z ciężarkiem dno Rio Negro przynosi ciemny osad, bogaty w materię roślinną, a w przypadku Rio Branco jest to drobny, nieorganiczny muł. Natychmiast nasuwa się spekulacja, że rzeki mają różne dorzecza – Rio Branco hydrologicznie zbliżone do Rio Solimões, która spływa z kordyliery andyjskiej; można chyba wyciągnąć rozsądny wniosek, że Rio Branco także pochodzi z rejonu górzystego, na razie nieobjętego mapami, choć prawdopodobnie leżącego na rozległym terenie pomiędzy Gujanami a wicekrólestwem Wenezueli...

Doktor Robert Falcon odłożył pióro. Głos lasu oszukiwał – podczas obozowania w dżungli wiele razy wydawało mu się, że słyszy własne imię, albo odległe wołanie, by po dłuższym wsłuchiowaniu się, z iście łowczym skupieniem, zrozumieć, że była to fraza ptasiej pieśni albo rechot jakiegoś małego płaza o głosie sto razy potężniejszym od ciała. Raz jeszcze: tym razem to nie był ptasi flegik ani ćwierknięcie żaby. Ludzki głos wołający w *lingua geral*, którym rozmawiali między sobą jego tragarze i wioślarze, z wielu różnych szczepów. Kanoe na wodzie. Co w tym takiego dziwnego, żeby jego ludzie tak się rozkrzyczeli?

Starannie zasypał kajet piaskiem i osuszył. Moskitiera z gazy, tylko trochę skuteczna przeciwko pladze owadów, wisiała prawie na linii drzew. Kilkanaście kroków zaprowadziło go na spękany, wciąż parujący brzeg – rzeka, mimo niedawnych nawałnic, cały czas opadała. W życiu nie widział tak obfitych deszczów – a tu, wobec objętości wody w amazońskich rzekach była to kropla w morzu.

Jego ludzie ustawili się wzdłuż brzegu. Ich uwagę zwróciło samotne kanoe, wielkie czółno wojenne lub handlowe, dryfujące z nurtem. Założył zielone szkła, żeby lepiej

odróżnić szczegóły, było jednak za daleko. Wycelował w nie kieszonkową lunetę; chwila na wyostrenie i kanoe ukazało się wyraźnie. Na rufie siedział niesamowicie barczysty czarny człowiek i sterował ku brzegowi. Falcon znał tę sylwetkę i tę determinację – Zemba, wyzwolenc, którego Luis Quinn wziął ze sobą na wyprawę w górę Rio Branco.

– Halo, obóz! – zawołał Zemba potężnym głosem. – Czy to obóz Francuza Falcona?

– To ja! – odkrzyknął Falcon.

– Potrzebuję pomocy. Wiozę chorego.

„Szukaj mnie przy ujściu Rio Branco”.

Falcon wskoczył do rzeki, gdy Zemba kierował kanoe ku brzegowi. Na dnie pirogi leżał na wznak Luis Quinn. Odsłoniętą skórę miał popękaną i pokrytą pęcherzami od słońca; w ranach i wysiękach już zaległy się larwy owadów. Ale żył, choć ledwo – powieki mu trzepotały, na ustach drżały strzępy suchej skóry przy wdechach tak płytkich, że z pozoru nie mogły podtrzymać życia.

– Pomóżcie mi, pomóżcie, weźmy go pod dach – rozkazywał Falcon, gdy kanoe wciągnięto na brzeg. – Teraz ostrożnie, ostrożnie, wy osły. Woda, dajcie czystą wodę do picia. Płótno i bawełnę. Ostrożnie, już. Tak, ojciec Quinn, znaleźliście mnie.

– Który to świat?

Doktor Robert Falcon odłożył pióro na składany pulpit. Namiot jarzył się blaskiem glinianych olejówek; dym tłęcej się aromatycznej kory odstraszał owady, które przeniknęły przez szczeliny i otwory. Te na zewnątrz, bezsensownie zwabione do światła, tłukły się mechanicznie, bezmyślnie o napiętą tkaninę, każde uderzenie niosło tępy odgłos. W długie noce, czuwając przy hamaku, czuł się więźniem wewnątrz gigantycznego, napędzanego ćmami zegara – Maszyny Rządzej.

– Zauważmy, ojciec Quinnie, że to bardzo osobliwe pytanie. „Który mamy dzień? Gdzie ja jestem?”, to by mnie nie zdziwiło. Czy nawet „kim pan jest”? Ale „który to świat”? Czegoś takiego w życiu nie słyszałem.

Luis Quinn zaśmiał się słabo, śmiech przerodził się w suchy, spazmatyczny kaszel. Falcon podszedł do niego z bukłakiem. Gdy wypił połowę łapczywymi haustami, dodał chrypliwie:

– Przypominam sobie, brzmi pan zupełnie jak uczony doktor Falcon. Ile czasu?

– Leżysz złożony gorączką od trzech dni.

Quinn próbował usiąść. Dłoń Falcona na piersi delikatnie, ale zdecydowanie go powstrzymała.

– On tu przyjdzie, już jest w drodze, jest bardzo blisko.

– Jesteś bezpieczny. Zemba mi wszystko powiedział. Jesteśmy poza zasięgiem tej twojej Nossa Senhora da Várzea, choć nie ukrywam, że jestem zaintrygowany i chętnie zobaczyłbym to чудо.

Błysk, jak piorun pod czaszką. Chwila przytomności, Zemba ściągający kanoe na ciemną wodę i kładący się w środku, gdy oddala się, niesione prądem, od Nossa Senhora da

Várzea. „Jesteście ze mną, *Pai*, będziecie bezpieczni”. Potem wpatrywał się w gwiazdną kopułę, daleko poza wyczerpaniem, poza rozumem, w czern wypełnającą się gwiazdami, a potem za nimi kolejne gwiazdozbiory i kolejne, aż czarne niebo w całości wypełniło się oślepiającą plataniną obcych konstelacji, a on już nie patrzył w twarz wieczności, lecz spadał w nią głową naprzód, w to nieskończone, coraz jaśniejsze światło. Krzyknął. Falcon wziął go za rękę. Była sucha od gorączki, skóra cienka jak pergamin.

Trzy dni trudzili się z Zembą nad opatrywaniem oparzeń maścią, którą Manaosi przygotowywali z leśnych liści, pincetą wybierali jedna po drugiej larwy, obmywali spocone czoło i rozdygotane wargi, rozwierali na siłę przykurczone usta, żeby wlać do nich cienką, biedną zupkę lub napar z matę, tylko po to, by parę chwil później wyleciała z nich strumieniem – i mając nadzieję, że choć odrobina się przyjęła. I woda, ciągle woda i woda, ciągle mu było za mało wody. Noce pełne gorączkowych majaczeń, wyjących demonów i halucynacji, prorocत्व i mamrotań, aż Falcon myślał, że musi zatkać sobie uszy woskiem niczym Odyseusz, inaczej zwariuje.

– Cały czas tak było – powiedział Zemba, gdy paskami bawełny przywiązywali Quinnowi ręce do hamaka, żeby nie wydrapał sobie oczu.

Później wrzaski ustały, nastąpiła bardziej przerażająca od nich cisza, a Falcon podkradł się do hamaka, by sprawdzić, czy Quinn jest przytomny, czy umarł.

– Zemba...

– Czeka na zewnątrz.

– Uratował mnie. Nie da się wyrazić wdzięczności, którą dla niego żywię... Falcon, posłuchaj mnie. Muszę ci opowiedzieć, co widziałem.

– Kiedy wypoczniesz i nabierzesz sił.

Uścisk Quinna na ramieniu Falcona był silny, szaleńczo silny.

– Nie. Teraz. Nikt nigdy tego nie przeżył, może to jeszcze nie koniec. Może jeszcze umrę, jeśli Bóg nie wybawi mnie ode złego. Może tylko chwilę będę przytomny. Jezu, pomóż mi!

– Wody, przyjacielu, proszę wody.

Wszedł Zemba ze świeżym bukłakiem; we dwóch pomogli Quinnowi się napić. Położył się z powrotem w hamaku, wyczerpany.

– Przez sto francuskich mil wzdłuż Rio Branco znak Zielonej Świętej budzi przerażenie. Zielona Pani i szata jezuita. Moja własna, czarna szata. Przez niego ta ziemia to pustkowienie, bezludne wioski gniją, plantacje zarastają, dżungla pochłania wszystko. Ludzi nie ma – nie żyją, puciekali, albo wzięto ich do Miasta Boga lub tego obozu w São José Tarumás. Bracia z São José nic nie powiedzieli, taką mają cenę. Jego zwiastunem jest zaraza, a strażą przednią ogień: całe plemiona uciekały na *igapó* i *terra firme*, tylko po to, by do ostatniego dziecka wybiły ich choroby białych ludzi. On jednak widzi w tym palec Boży – biały mąż musi poddać czerwonego męża próbie, by ten się wzmocnił albo zniknął z tego świata. Od Miasta Boga do Rio Catrimani jest pięć dni i kolejnych osiem do Iguaparą. Nie wyobrażałem sobie, by tyle wody mogło być w całym świecie. Nieskończony, pusty las, do towarzystwa tylko głosy zwierząt. Manoel zapadł w milczącą, podobną do transu

introspekcję, zamilkli nawet przewodnicy Guabirú. Słyszałem wcześniej, że *índios* potrafią siłą woli przestać żyć, wpadają wtedy w melancholię, podupadają i umierają. Wielu wybrało tę drogę, by uciec z niewoli. Wydaje mi się, że Manoel był na pograniczu tego stanu; takie były plotki o tym, co Iguapá z nami zrobią. Iguapá to plemię wizjonerów i proroków, *pagés* i *caraibas*. Przychodzi się do nich po radę tylko w najważniejszych sprawach i nigdy się nie mylą. Dlatego przeżyli tysiąc lat nietknięci wojną, głodem czy chorobą. Ich legenda mówi, że dzięki amazońskim leśnym ziołom są w stanie zobaczyć wszystkie możliwe odpowiedzi na pytanie proszącego i wybrać z nich tę prawdziwą. Lecz cena za to jest zaiste straszna. Zaraz po wyjściu z rytualnego transu *caraiba* popada w dezorientację, potem w silne halucynacje, na koniec przychodzi obłąd i śmierć. Za dużo widzą. Próbują ogarniać to rozumem, tracą równowagę, upadają, umierają... Ale po kolei. Skoro cena jest taka, Iguapá nie chcą poświęcać swoich. Nie, ich prorocy to jeńcy wojenni, zakładnicy, przestępcy, konkurenci, wyrzutki. I oczywiście czarnosukienni kapłani tej obcej, nieskutecznej wiary. Czymże jest nasza żalosna modlitwa, wątpliwe cuda, w porównaniu z ich żelazną pewnością prawdy, pewnością, że jest odpowiedź i zawsze ją poznają? Moglibyśmy zapytać ich o tajemnice naszego Boga i wiary, a powiedzieliby nam prawdę. Ale czy się odważymy? Czy pozwolimy im zbrukać nasze wyobrażenia? Przez pięć dni obozowaliśmy na umówionym brzegu, zostawiając znaki i sygnały, dla mnie niedostrzegalne, dla tubylca oczywiste jak kościelny krzyż dla Europejczyka. Gdy ich potrzebujesz, przychodzą do ciebie. I szóstego dnia przyszli. Byli nieufni – od zawsze zazdrośnie strzegli swoich sekretów, lecz dziś, w czasach śmierci i wędrówek ludów przez *várzeę* zrobili się jeszcze ostrożniejsi. Wyszli z lasu jak duchy, tak bezgłośnie, że znaleźli się między nami ze strzałami wycelowanymi w nasze serca, zanim ktokolwiek się spostrzegł. Z początku wydało mi się, że nie są z tego świata, tak niesamowicie wyglądali – twarze lśniły złotem, bo mają zwyczaj smarować je tłuszczem z orzecha zwanego *urocum*, a czoła, które golą prawie do szczytu czaszki, wyginały im się mocno do tyłu, niczym dno łodzi. Oni ściskają noworodkom czaszki deskami i skórą, by zmienić je, póki są jeszcze plastyczne. Manoela i mnie związali i prowadzili za sobą, natomiast przewodnikom Guabirú zawiązali oczy. Ich tłumacz, imieniem Waitacá, powiedział mi, że to uprzejmość, którą praktykują od niedawna – wcześniej wszystkim oprócz pytającego wykłuwali oczy bambusowymi drzazgami. Oczywiście nie spodziewano się, byśmy wrócili zdolni do normalnej mowy. Nie pamiętam, jak długo przedzieraliśmy się przez las, ale z pewnością były to dni. Iguapá obstawiają swoje leśne szlaki sidłami i pułapkami, byliby w stanie powstrzymać nimi całą kolonialną armię. Gdy lawirowaliśmy pomiędzy duszącymi pętlami, zatrutymi strzałami i dołami z kolcami, tknęła mnie jedna kwestia: czego chciał od nich Gonçalves? Po prostu podbić ich chciał? Przecież celem tyrana nie jest prosty triumf. Uważa się za politycznego filozofa, społecznego eksperymentatora. Czy miał pytania – takie, jak ja odważyłem się sformułować o wierze i naturze świata – na które potrzebował mieć pewną, niechybną odpowiedź? Uważa się za ramię Boga czy chciał osiąść tę proroczą moc, aby ją zniszczyć? A może jego wybujała próżność jest tak wielka, że chciałby tę moc zagarnąć dla siebie, żeby wiedzieć bez wiary, żeby jeść owoce z drzewa

wiadomości dobrego i złego? Mimo wyrafinowania pułapek, sama wioska była biedna i brudna, pełna odchodów pekari i psów, chaty walące się, strzechy przegniłe i poprzerastane. Nie było ani jednego dziecka, które nie miało by na złotej twarzy ran, pęcherzy, jęczmieni i krost. Mieli specjalną chatę dla *caraibas*, jak się nazywa proroków-ofiary – Waitacá powiedział mi, że to bardzo zaszczytny tytuł – ja do tego czasu już rozumiałem podstawy ich własnego, dość osobliwego języka. Była to najohydniejsza chata we wsi, z dachu spadały owady, w kilkunastu miejscach przeciekał deszcz. Czekaając, poznałem główne prawdy wiary Iguapá. Nie czczą żadnego boga, nie mają historii o stworzeniu i odkupieniu, nie znają grzechu, piekła ani nieba. Mimo to ich system wierzeń, bo teologią nie da się tego nazwać, -jest złożony, obszerny i wyrafinowany. Totemicznym zwierzęciem jest dla nich żaba – nie najgłośniejsza i nie najbardziej jadowita z leśnych żab, choć jej skóra ma wspaniałą złotą połysk, który naśladują, malując twarze. Ta żaba, którą nazywają *curupaim*, była pierwszym stworzeniem i zobaczyła pierwsze światło, prawdziwe światło świata – czy raczej światów, oni wierzą bowiem w wielość światów reprezentujących wszystkie możliwe wyniki działania ludzkiej wolnej woli – całego i kompletnego. Żaba zachowała pamięć świata niepodzielonego i całkowitego, tej księgi przed rozcięciem stron. Ona dalej widzi prawdziwe światło, światło wszystkich słońc, i z łaski istot zamieszkujących te pozostałe światy potrafi przekazać owe wizje ludziom. I to właśnie ekstrakt z *curupairy*, powoli żywcem gotowanej w zamkniętym glinianym garnku z dzióbkiem, tę proroczą wizję przynosi. Obrzęd był tak pomyślany, by i pytający, i ofiary wpadli niemal w ekstazę. Bębnienie, gwizdanie glinianych okaryn, tańce w kole, postacie przemykające w kółko na tle blasku ognia, wszystkie te dawne sztuczki. Wywlekli nas z chaty, namaszczonych złotym olejkiem – wciąż mam go trochę na sobie – i przywiązali do krzyży świętego Andrzeja. Pamiętam, że padał deszcz, rześista ulewa, lecz kobiety i dzieci tańczyły nadal, krążąc wokół dymiącego ogniska. Ich *pagé* wszedł w taneczne koło z bukłakiem w dłoni. Podszedł do Manoela, potem do mnie, rozwarł nam usta drewnianą śrubą i wtrysnął do środka płyn. Próbowałem go wypluć, ale lał dalej, jak w dawnej próbie wody.

Quinn znów chwycił Falcona za rękę.

– To zadziało tak szybko, bracie, tak szybko. Nie miałem czasu na słowo modlitwy, na przygotowanie się choćby myślą. W jednej sekundzie byłem ukrzyżowanym złotym bożkiem, w kolejnej poniosło mnie między światy, Robercie, między światy. Widziałem wszystko z wysoka, siebie, ukrzyżowanego, jakbym stał obok własnego ciała. Ale to nie byłem ja, albowiem, gdziekolwiek spojrziałem, wszędzie byłem ja, na tym krzyżu, inni Quinnowie, wspólny los i wspólny wzrok. Sto „ja”, tysiąc „ja”, jak odbicia odbić we wszystkich kierunkach, a im dalej patrzyłem, tym mniej podobni do mnie byli. I nie fizycznie się różnili, ani, jak sądzę, wolą czy intelektem, lecz kolejami swoich losów. Oto byli Luisowie Quinnowie, którzy ponieśli klęskę, którzy nie przyjęli brzemienia misji od ojca Jamesa w Coimbrze, którzy nigdy nie wstąpili do Towarzystwa Jezusowego. Oto byli Luisowie Quinnowie, którzy zabili w Porto niewolnika i nawet się nie obejrzel. Oto byli inni, którzy nigdy tego niewolnika nie zabili. Quinnowie prowadzący bogate życie kupca,

zonaci, z dziećmi, dowodzący wielkimi statkami czy domami handlowymi. Oto Quinnowie żywi i martwi, na tysiąc różnych sposobów, milion różnych sposobów. Wszystkie życia, jakie mogłem wieść. Robercie, Robercie, chociaż to jedno zrozum: wszystkie były tak samo prawdziwe. Okazało się, że moje życie nie jest pniem, od którego z każdą koleją losu i z każdą decyzją odchodzą gałęzie. To wszystko były niezależne, kompletne... nie inne życia, lecz inne światy, oddzielne od momentu stworzenia przez Boga aż po Sąd Ostateczny. Światy bez końca, Robercie. I ja nagi wzleciałem pomiędzy nie, mój rozpostarty umysł spojrział po szeregach Luisów Quinnów w innych światach – i nie widział końca. Nie było końca, Robercie. A ich głosy, milion, tysiąc milionów, jeszcze tysiąc razy więcej głosów, wołały wszystkie naraz, zlewając się w potworny, nieartykułowany ryk niczym wycie potępionych w piekle. Nagle przez tę kakofonię przebiło się słowo, jeden głos, który był jak tysiąc głosów; to *pagé* powtarzał w kółko: „Pytaj! Pytaj! Pytaj!”. Jego także otaczała świetlista aureola innych jaźni; tak jak wszystko i wszystkich, zrujnowaną wioskę, mego bliźniego w cierpieniu Manoela; każdego widziałem w kopiach z niezliczonych światów. „Pytaj”. Cóż to może znaczyć? I nagle usłyszałem, jak Paguana, wódz Guabirú mówi głosem jak huragan: „Kiedy Guabirú zwyciężą i zapanują nad swoimi wrogami?”. I wszystkie te niepoliczalne głosy, Robercie, usłyszały te słowa: usłyszały zadane sobie pytanie i każdy odpowiedział. Wiedziałem, że gdzieś pomiędzy nimi, w gąszczu możliwych odpowiedzi kryje się prawda: prosta, cała i niepodważalna. Obok mnie Manoel, nieskończeni Manoela, więcej ich niż kwiatów na jabłoni, zapytali siebie o to samo. Wiedziałem, że otrzymają tę samą niechybną odpowiedź. Po raz wtóry zawirowałem pośród moich innych jaźni, pośród światów, tylko szybciej, jeszcze szybciej, wyprzedzając światło i myśl, modlitwę nawet. Z Bożą chyżością przebyłem milion światów, aż echo wróciło mnie do pewnego pokoju, zgrzebnego, bielonego, o prostych meblach z twardego, cennego drewna; pokój ten był w Irlandii, poznałem to po smaku powietrza i po małym kwadraciku zieleni, który wypatrzyłem przez wąskie okno. Potem zobaczyłem siebie, z chartem u boku i niemowlęciem u stóp. Spojrzałem sam sobie w oczy i powiedziałem: „Guabirú nigdy nie zapanują nad swoimi wrogami, ich wróg bowiem już nad nimi panuje; woda rzeki spłynie ich krwią i nie zostanie po nich nic, poza wspomnieniem nazwy”. I wiedziałem, że to jest prawdziwe proroctwo, bo... Robercie, Robercie... to się już stało. Zastanawiałeś się, czy prosta machina jest w stanie zamodelować cały wszechświat – oto masz odpowiedź. Na każdy możliwy uczynek przypada świat i one wszystkie są zapisane, predestynowane.

Ciąg kart sunie przez maszynę. Wolna wola to złudzenie. Wyobrażamy sobie, że mamy wybór, ale wynik jest już postanowiony, zapisano go w momencie, gdy tworzono świat, od razu kompletny.

– Nie wolno mi w to wierzyć – powiedział Falcon. – Muszę wierzyć, że świat kształtują nasze czyny i wola.

– Rio Branco spłynie krwią Guabirú i znikną oni z tego świata, to się stanie, to się już stało. Pierwszy wypowiedział te słowa Manoel, a Paguana w ataku furii chwycił dzidę i zaczął go nią dźgać, raz za razem. To samo zrobiłby i mnie, gdyby Iguapá go nie

powstrzymali, zresztą, co by to zmieniło? Słów raz powiedzianych już się nie cofnie. Guabirú zginą niezależnie od tego, czy wyrocznia przemówi, czy nie. To jest prawdziwe przekleństwo daru Iguapá – z góry wiesz o czymś, czego nie jesteś władny zmienić. I tylko przez tę jedną chwilę prawda wybijała się spomiędzy wszystkich możliwych odpowiedzi; zaraz ryk głosów wzmógł się, zdwoił i znów zdwoił – milion milionów głosów, a ja, Robercie, słyszałem je wszystkie. Rozproszyłem się tak, że zapomniałem kim jestem i gdzie jestem. Uciekłem pomiędzy światy, jak duch, jak demon. Wiem, że potem odcięto mnie z tego krzyża i Guabirú bez zbędnych ceregieli położyli mnie na noszach, żeby zabrać z powrotem do Miasta Boga. Sądzę, że uwolnili mnie tylko dlatego, że byli pewni, że zaraz umrę. Później zdarzały mi się przebliski przytomności, gdy wiedziałem, co się ze mną dzieje – sunąłem wśród drzew, niesiony przez tragarzy z zawiązanymi oczyma, kolejny raz nad rzeką, gdy Iguapá chwycili Paganę i włali mu truciznę do oczu, popełnił bowiem świętokradztwo, zabijając *caraiba*. Pamiętam Nossa Senhora w nocy, z tysiącem świateł i patrzącą na mnie z góry twarz Diego Gonçalvesa. Pamiętam własną twarz w lustrze, wymazaną resztkami złota Iguapá, mój oddech, od którego zaparowywał ten obraz. A w głowie przez cały czas kołatała się jedna, jedyna świadoma myśl – że nie można dopuścić, żeby on to dostał, że muszę się wysilić, postarać się, zdyscyplinować, żeby nie wyjawić mu prawdy, której dowiedziałem się w chwili obłędu, widząc inne światy. Zataić to przed nim, zataić – sądzę teraz, że to ta potężna wola uratowała mnie przed zniszczeniem. Nie miałem jednak siły, zdradzało mnie własne ciało. A potem usłyszałem gdzieś spomiędzy światów własne imię, wołało mnie i zjawił się Zemba, dobry Zemba. To on zabrał mnie z hamaka, położył na łodzi, wypchnął na rzekę, a wtedy zaświeciły na mnie wszystkie gwiazdy wszystkich wszechświatów i zatraciłem się w tym świetle. Wody, Falcon, błagam.

Falcon drżącymi rękoma przytknął bukłak do ust Luisa Quinna. Ten znów napił się łapczywie, desperacko. Płótno namiotu rozświetlało się obietnicą nowego dnia: przegadali całą noc, teraz przyłączyły się do nich wszystkie ptaki lasu, jednym rozćwierkanym, piskliwym, klekocącym chórem.

– Przyjacielu, przyjacielu, aż trudno uwierzyć w to, co mówisz. Jeśli to prawda... Odpoczywaj, dochodź do siebie. Wciąż jesteś bardzo słaby i widać, że na twój umysł wciąż działają resztki *curupairá*.

Mary-Jeanne dała Falconowi w prezencie piersiówkę – drobny, ładny, drogocenny bibelot ze żłobkowanego srebra, idealnie pasujący do kieszeni na sercu – podczas przyjęcia w hotelu Faurichard w przeddzień wyjazdu do Brestu. „Na te chwile, kiedy będziesz daleko od domu i będziesz chciał go wspomnieć. I mnie”. Jakże brakowało mu teraz łyka świetnego, starego koniaku. Ta potworna rzeka, straszna kraina, przerażający, nieskończony, milczący las, który skrywał w sercu okropności, ale nie odzywał się ani słowem, nie zdradzał ani znakiem. Jeden łyk Francji, łyk Marie-Jeanne i jej perlistego, ptasiego śmiechu – lecz piersiówkę pakował, wypakowywał i pakował z powrotem, aż się zgubiła. Świat nie jest jeden, jest wiele światów. Narkotyk, który pozwala ludzkiemu umysłowi widzieć rzeczywistość i porozumiewać się ze swoimi odpowiednikami w innych światach – wynika z tego, zakładając, że wszechświat opiera się na wytłumaczalnych

prawach fizyki, a nie na kapryśnej woli boskiej i cudotwórstwie, że wszystkie umysły muszą być aspektami jednego gigantycznego umysłu. Przypomniawszy sobie znowu postać Quinna i ten stosik dziurkowanych kart, przeskakujących jedna za drugą przez zębaty podajnik Maszyny Rządzej.

Quinn podniósł się z wysiłkiem, wychudzona twarz zacięta od energii i manii.

– Cały czas to widzę, Falcon, nawet teraz, choć wizja słabnie: żaden umysł nie jest w stanie zobaczyć czegoś takiego i przeżyć. Gonçalves miał rację, przypuszczając, że mój osobliwy kształt umysłu, mający związek z moim talentem do języków, jakąś wrodzoną umiejętnością wychwytywania prawidłowości i znaczeń, pozwolił mi przeżyć tam, gdzie zginęli wszyscy poprzedni, których posłał do wyroczni. Dręczy mnie jednak potworny lęk, że w delirium zdradziłem Iguapów i ta monstrualna, bluźniercza bazylika już sunie rzeką, by ich zniewolić. Falcon, ja muszę tam wrócić. Sprzeniewierzyłem się swojemu zakonowi i ślubom. Nie dokończyłem tego, co było moim obowiązkiem. Nie pomogłem. Doktorze, chyba jeszcze raz będę potrzebował twojego miecza.

– A o tym mowy nie ma – odparł Falcon, przygotowując maniokowy kleik. – Bo sam będę go potrzebował, u twojego boku.

Daliśmy sygnały, rozłożyliśmy znaki, a mimo to Iguapá nie nadchodzi. To nasza czwarta noc na tym brzegu i dręczy mnie lęk, że już zostali uwięzieni w obozie pod São José Tarumãs. Trzeciego wieczoru naszej podróży w górę Catrimani i Rio Iguaparą mineliśmy ukradkiem Nossa Senhora de Várzea, tę monstrualną narośl, ale czy ona płynęła w górę, czy już wracała wyładowana czerwonym złotem?

Falcon przerwał, by zamachnąć się na natarczywego owada, i znów pochylił się nad dziennikiem.

Starannie spisuję całą tę podróż, przebyte mile, wyrysowane na mapach rzeki, choć cel mojej ekspedycji dawno przepadł. Notuję wsie i misje, niebezpieczne miejsca i zdadne do obrony pozycje; lecz coraz częściej zapytuję siebie: po coś? Zbyt łatwo przekonałem sam siebie, że nikt nigdy moich zapisków i wiadomości nie przeczyta. Quinn powiedziałby mi, że desperacja to grzech, ja jednak lękam się, że już nigdy nie wyjdę z tego zielonego piekła, że moje kości spoczną w tym skwarze, zgniliżnie i zarazie, że zarosną roślinami i wszelki ślad po mnie zaginie. A mimo to piszę...

Kłapa namiotu zafalowała. Do skryptorium wszedł Zemba.

– Mair prosił, żeby powiedzieć, że przyszli.

Mair: bohater, nadprzyrodzony przywódca, niezwykły mąż. Obrastał legendą. Manaosi Falcona już tak go między sobą nazywali – niedługo zapewne zwrócą się tak do Quinna, zamiast zwyczajnego *Pai*. Zemba mianował się jego zastępcą, ale kim jeszcze był? Falcon zdawał sobie sprawę, że przemawiają przez niego uprzedzenia wobec potężnej fizyki i koloru skóry Zemby. A jest człowiekiem wielu umiejętności i bystrych przemyśleń, które przyniósł ze swego domu, od swojego ludu, mając pewność, że nigdy w życiu ich więcej

nie zobaczy, że są dla niego jak umarli, że wszelkie życie musi sobie wypracować tutaj, wykorzeniony, sprowadzony do roli owada, pyłka pośród ogromu Brazylii.

– Idę.

Falcon wyszedł z namiotu prosto w pierścień dmuchawek. Niesamowite złote twarze, wydłużone, odgięte do tyłu czoła skojarzyły się Falconowi ostro i nieprzyjemnie z ołtarzem pewnego szalonego flamandzkiego malarza, przedstawiającym sąd, mrocznych zbawicieli i dziwaczne, ostre narzędzia przesłuchań. Celowało w niego dwanaście luf. Quinn siedział, nonszalancko oparty, na beczce solonej wieprzowiny, niemal pogodny, choć jeden z Iguapá, mówiący *lingua geral* stał przed nim w wyraźnie oskarżycielskiej pozie. Wyglądało to jak taniec: Iguapá występowali, dźgali dmuchawką, wykrzykiwali pytanie i cofali się do kręgu. Quinn odpowiadał w tym samym języku, powoli, cierpliwie, spokojnie.

– *Indio* pyta, czy Mair to człowiek, czy duch. Mair odpowiada: „Dotknijcie moich dłoni, mojej twarzy” – przetłumaczył Falconowi Zemba.

Quinn rozpostarł dłonie, jak czarny krucyfiks. Waitacá wyprostował się pomiędzy swoimi, po czym wyszedł odważnie naprzód i przycisnął palce do dłoni Quinna.

– *Indio* prosi o wybaczenie, ale odkąd pamięcią sięgnąć, Iguapá nie znają *caraiiba*, którego dusza wróciłaby do ciała ze światów *curupairy* – szepnął Zemba.

Quinn odpowiedział, a krąg łowców wydał pomruk zdumienia i złości. Falcon zauważył, że niektórzy złoci wojownicy byli wciąż nieobrzezаныmi chłopcami. Och, gdzież jest mój szkicownik! – pomyślał. Ten niesamowity kształt czaszki, na pewno wiąże im się głowy w niemowlęctwie, jak to miały w zwyczaju liczne wymarłe ludy z Andów.

– I co ojciec powiedział?

– Mair powiedział: „Zadajcie mi pytanie, dowolne pytanie”.

Iguapá zaczęli wołać do siebie we własnym języku. Manaosi czekali na skraju kręgu światła, podejrzliwi, gotowi do walki. Falcon pochwycił wzrok Juripariego, tłumacza manao. Jedno słowo i Manaosi uderzą. Jedno słowo i na piasku rzeki legną kolejne anonimowe trupy, niewidziane, niesłyszane, nieopłakiwane.

Waitacá dźgnął dmuchawką Quinna, dźgając go jednocześnie pytaniem:

– On mówi: „I gdzie, kapłanie, był twój bóg?”.

Falcon już zbyt długo czuł się celem wszystkich zatrutych strzałek. Wtem Quinn wyrwał Waitace dmuchawkę z dłoni i szybko, bezczelnie, puknął go nią w pochyłe czoło. Ręka Waitaki przeskoczyła do zębatego drewnianego noża wiszącego na piersi, oczy wyszły mu z orbit w furii. Quinn wytrzymał jego spojrzenie; po chwili twarz mu się zmarszczyła i rozjaśniła uśmiechem, bezradnym śmieszkiem. Absurd był zaraźliwy: urażona duma Waitaki ulotniła się jak poranna mgła; trzęsąc się od ledwo hamowanego śmiechu, zabrał Quinnowi dmuchawkę i z groźnym namaszczeniem postukał jezuitę w czubek głowy. Quinn zarechotał, wszyscy Iguapá rozluźnili się i wybuchnęli tłumionym dotąd śmiechem. Waitacá, zanim zgiął się wpół, zdołał wykrztusić chrapliwe zdanie. Falcon, wbrew woli, rozsądkowi i rozumowi, też poczuł pod żebrami skurcze śmiechu.

– I co, i co ten *índio* powiedział?

– Powiedział: „Oczywiście. Gdzieżby miał być?”.

Śmiech cichł powoli, przemieniwszy szaleństwo strachu.

– Ale zaraz, przyjaciele, to nie koniec – powiedział Quinn, ocierając oczy rękawem brudnego habitu. – Muszę was ostrzec, że ten drugi ojciec, Czarny Pai, nadchodzi tu. Jego wielki kościół jest o niecały dzień drogi stąd i myśli tylko o was.

W okamgnieniu zamilkły wszystkie śmiechy.

– Jego celem jest zniszczenie Iguapá i nie powstrzymają go wszystkie wasze kryjówki i pułapki, wojowników ma bowiem tylu, ile gwiazd na niebie. Wszystkich was, co do jednego, będzie chciał wcielić do swojego Miasta Boga. Wasi przodkowie i bogowie będą się tułać, zagubieni; zapomniane będzie wasze imię.

Wojownik wykrzyczał pytanie. Waitacá przetłumaczył.

– A skąd Czarny Pai to wie?

– Bowiem w moim szaleństwie sam mu to wyjawilem – odpowiedział Quinn.

Wśród wojowników przeszedł szmer konsternacji. Młody chłopak, jeszcze odrobinę pulchny, zapytał:

– I Czarny Pai nas weźmie w niewolę?

Quinn usiadł z powrotem na beczce, zwrócił spojrzenie ku gwiazdom.

Dobrze znacie odpowiedź, pomyślał Falcon. Wciąż je widzicie, ja myślę, że zawsze je widzicie, te gwiazdy z innych nieboskłonów. Wszystkie światy, o których mi mówiliście, są dla was cały czas otwarte.

– Zbierzcie kobiety i dzieci – odezwał się Quinn. – Zwierzęta, broń, sprzęty i garnki. Zarzućcie hamaki na grzbiet, zbierzcie *urocum* i kości przodków. Dla *curupair* zróbcie klatki, weźcie ich tyle, ile zdołacie unieść. Samce i samice także. A kiedy to wszystko zrobicie, spalcie wioskę do gołej ziemi i idźcie za mną. Jest dla was miejsce. Ja je widziałem, ukryte miejsce, bezpieczne, nie tylko dla Iguapá, ale dla wszystkich, którzy uciekną z łańcuchów i spod bicia. Nie będzie tam niewolników. Będzie obfitość ryb i zwierzyny, manioku i owoców, a miasto będzie mocne i łatwe do obrony. – Quinn pochylił głowę ku Zembie. – I nikt tego miasta nie zdobędzie, ani *bandeirantes*, ani Czarny Pai i jego wojownicy Guabirú. A nazywać się będzie Cidade Maravilhosa, Cudowne Miasto. Falcon, zbierz sprzęt i zapasy, wszystko co uznasz za niezbędne. Kanoë i to, co niepotrzebne w podróży, spal. Wyruszamy natychmiast. Ja prowadzę.

– Quinn, Quinn, to obłąd, to szaleństwo! – wykrzyknął Falcon, lecz Quinn już zniknął w mroku lasu.

Złoci Iguapá jeden za drugim zniknęli w ślad za nim.

**ŚWIĘTA PANI
OD ZŁOTEJ ŻABY**

10-11 CZERWCA 2006

Księga leżała w dłoni jak zaczytany, zacałowany brewiarz; mała, zwarta, oprawna w miękką skórę w kolorze nakrapianego złota; w dotyku wydała się Marcelinie dziwnie ciepła i jedwabista, jakby wciąż żywa. Ręcznie obszyte brzegi, zakładka z tej samej mosiężno-złotej skóry, obrzeżona nową, lśniącą złotą folią; ewidentnie był to tom, który wiele razy oprawiano ponownie. Ręcznie malowane wyklejki okładek były oryginalnymi akwarelowymi szkicami podróży po rzece, przedstawiającymi oba brzegi – prawy na górze, lewy na dole, z zaznaczonymi wszystkimi charakterystycznymi drzewami, misjami, kościołami. *Índios* w fantastycznych pierzastych nakryciach głowy i pelerynach stali w kanoe lub na bambusowych tratwach; z wody wyskakiwały różowe słodkowodne delfiny. W koronie uschniętego drzewa skrupulatny kronikarz narysował rude wyjce, za duże, ale bardzo szczegółowe. Wszystko było opisane legendą, której Marcelina nie była w stanie odcyfrować.

Mestre Ginga machnął, pokazując, żeby odłożyła tomik. Na okładce był tylko pozłoczony wytłoczony kontur żaby. Dłońmi w rękawiczkach odłożył go z nabożeństwem na sam koniec składanego stolika, dopiero potem postawił przed Marceliną kawę. Ona też miała na dłoniach rękawiczki i została poinstruowana, żeby pod żadnym pozorem książki nie zmoczyć. Upiła łyk kawy. Dobra, mocno palona, w kubku klubu Flamengo. Ściany małej kuchenki na zapleczu *fundação* były wymalowane na żółto, ręcznie robione kredensy i blaty na niebiesko i zielono. Kuchnia patriotyczna. Jaszczurka, dotąd w kamiennym bezruchu, śmignęła po ścianie pomiędzy oprawnymi w ramki zdjęciami wielkich *mestres* i *capoeiristas* z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, zanim joga stała się legalna, a co dopiero modna; mężczyźni grali na nich w kapeluszach panama, na *rodach* przy samym nabrzeżu, rozebrani do podkoszulków, spodnie z zaszewkami przy pasie podwinięte do kolan. Te same klasyczne kopnięcia i ruchy, ale z papierosem w ustach. To dopiero była prawdziwa *malandragem*.

– No dobra – powiedział Mestre Ginga. – To co ci się w tej książce rzuciło w oczy?

Auto wystartowało spod krawężnika jak odrzutowiec, a Marcelina, oszołomiona, zdezorientowana i zszokowana, ale przede wszystkim przytłoczona jedną oślepiającą ikoną własnej twarzy poza nożem, była w stanie wykrztusić tylko:

– Nie wiedziałam, że masz samochód.

– Bo nie mam – odparł Mestre Ginga, zgrzytając biegami. – Ukradłem go. – Zaraz stało się jasne, że i prowadzić nie potrafi: jechał zręcznym, siejącym grozę zygzakami pomiędzy taksówkami na Rua Barata Ribeiro, sunął na grubość farby od ściany tunelu Nóvo, wymuszał pierwszeństwo pośród klaksonów na liliowym zmierzchu Botafogo. – Nie może być zbyt trudne, skoro taksówkarze to robią, nie?

Marcelina zauważyła nad linią zabudowań podświetloną, niebieską, abstrakcyjną

rzeźbę, zwieńczającą biurowiec Canal Quatro. Stanowiła otuchę i żałobny psalm, tęsknotę za ziemią obiecaną, z której ją wygnano. Odetchnęła głęboko, mocno, wciągnęła w siebie uspokajający, dodający energii strumień powietrza, który tak jej pomagał w *rodzie* albo przy sprzedaży programów.

– Trzeba mi parę rzeczy wyjaśnić.

Teraz na Laranjeiras, pod kolanami góry.

– Tak, tak, trzeba – zgodził się Mestre Ginga, odwracając się na siedzeniu i kierując jedną ręką. – Żebyś wiedziała, od czego zacząć. Liczyliśmy, że się nie wmieszasz, że poradzimy sobie z admonitorem, zanim się zorientujesz, ale kiedy zginął *bença*, już nie mogliśmy się powstrzymać.

– Tam w *terreiro* to byłeś ty.

– Zawsze byłaś zbyt sprytna, żeby być naprawdę inteligentna.

Wokół Marceliny znajome ulice – jechali w stronę *fundação*.

A ty ciągle masz kompleks Yody.

– Miałem cię na oku, odkąd ten błazen Raimundo Soares posłał cię do Feijão. Jakby nie mógł trzymać języka za zębami... Ale pokłócił się z *bença* i czuł się źle. To jego powinni pociąć; uniknęłoby się całego tego bajzlu.

– Zaraz, zaraz, jakiego bajzlu?

Ślimakiem na górę, ocierając się o ochrowe i żółte mury osiedli.

– Trzeba zredukować bieg – odezwała się Marcelina, zdenerwowana klekotem pracującego z trudem silnika. – Za niskie są obroty.

– A odkąd to ty jesteś Rubens Barrichello? {8}

– Patrę, co robią taryfiarze. No dobra: ta babka z nożem, co to była za jedna?

– A wyglądała jak kto?

– Jak ja.

– Czyli tobą była. Da się to tak wyjaśnić, żeby się kupy trzymało. Poza tym, wierz mi, w tej grze nie ma żadnych przypadków.

Nagle kradziony Ford zahamował pod wymazanymi graffiti ścianami *fundação*, ozdobionymi postaciami kolorowych, fikających koziołki, zadowolonych capoeirzystów – a Mestre Ginga, z pośpiechem i nerwowością, jakich w życiu u niego nie widziała, otworzył furtkę i wpuścił ją tyłem do patriotycznej kuchni.

– Ta księga to coś w rodzaju dziennika pewnego osiemnastowiecznego francuskiego badacza, z wyprawy przez Amazonię. Prawie nic nie przeczytałam, trochę ciężko się czyta takie stare pismo.

– Nie pytałem, co to jest za księga. Pytałem, co ci się w niej rzuciło w oczy.

– Była oprawiana, parę razy, a treść jest pisana ręcznie, ale chyba nie oryginalna; w obrazkach na wklejkach jest jakieś zaszyfrowane pismo, a po drugie, wszyscy wiemy, jak wyglądała Brazylia w osiemnastym wieku, więc można się domyślać, że pierwotnie wszystko było napisane szyfrem.

– Dobrze. Coś jeszcze?

– Tak jak mówiłam: za wiele nie przeczytałam. Ale jestem przekonana, że ta stara księga

ma jakiś związek z moją złą bliźniaczką, która chce mnie zabić. Prościej by było, gdybyś już przeszedł do konkretów.

– Coś jeszcze?

Marcelina wzruszyła ramionami; po chwili zadygotała, bo przyszła jej do głowy nowa, mroząca krew myśl. Kuchnia Mestre Gingi była gorąca i duszna od zapachu kwiatów, ona jednak zobaczyła, że drobne, jasne włoski na przedramieniu stają jej dęba. Gęsia skórka.

– Była zaraza, zaraza wśród koni. – Znała tę minę Mestre Gingi, tyle razy kucał w *rodzie*, opierając się na lasce: „Dalej, córko, dalej”. – Wszystkie konie, wszystkie osły, nawet woły, wszystkie wyzdychały. Ale to się nigdy nie wydarzyło. To fikcja, bajka.

– Nie, to jest prawda. To jest historia. Tylko że nie nasza historia.

– To jakiś obłąd.

– Poliz księgę – rozkazał Mestre Ginga. – Weź ją i po prostu dotknij czubkiem języka.

Mroząca krew świadomość przerodziła się w paraliżujący lęk. Królowa Organów Beija-Flor opływała w dostatki i przywileje, a jednym z nich był darmowy i nieograniczony dostęp do prywatnego basenu i plaży hotelu Ilha Grande w Ajpoador, skalistej szpicy pomiędzy złotymi łukami Copacabany i Ipanemy. Przewiewne korytarze i krużganki kipiały igraszkami miłosnymi i romansami, lecz dzieci chlapiące się wśród kamieni zwracały na to tyleż uwagi, co na satelity. Najlepszy był Wielki Skok, pięciometrowa skała zwieszająca się nad błękitnym jak Yemanja basenem – złapać się za nos, szybko przeżegnać i runąć jak harpun w przejrzystą, zimną wodę. Marcelina w wieku ośmiu lat ciągle zazdrościła starszym koleżankom, które wypełniały swoje kostiumy kąpielowe, oraz niezdarnym chłopakom, którzy nie bali się skoczyć. Przez upalne wakacyjne tygodnie zbierała się na odwagę, by wejść na Wielki Skok; wreszcie, ostatniego dnia lata, tuż przed rozpoczęciem szkoły, poczuła się na siłach i wspięła na skałę. Matka i siostry, rozłożone na drewnianych leżakach, machały i wołały: „Da-waj, da-waj, da-waj!”. Przeżegnała się. Spojrzała w dół. Głęboka, błękitna woda zajrzała jej w duszę. I nie mogła skoczyć. W dole było szaleństwo, które ją pochłonie. Nie mogła. Zejście z powrotem, tyłem, po omacku, ręka za ręką, noga za nogą, trwało najdłużej w całym jej życiu.

Spojrzała na księgę. Złote oko żaby przytrzymało jej wzrok. Dokąd pójdzie, wróciwszy z tego malowanego sanktuarium? Nie może wrócić do żadnego znanego sobie życia. Starzy capoeirzyści na ścianach, wielcy *mestres*, czerwone sznury, szydzili z niej w swoim *jeito*. Święta Pani od Widowiskowości, któraś jest naszą Matką Jeito, zmiłuj się nade mną.

Uniosła księgę do twarzy i dotknęła czubkiem języka oka złotej żaby. I otworzyła się księga, otworzyła się kuchnia, otworzyło się miasto, otworzył się świat.

Uniosła rękę. Za nią poszło cieniem tysiąc rąk, jak w staroświeckim efekcie montażowym. Stół był Kościołem Wszystkich Stołów, zielone i niebieskie szafki picassowską mozaiką przenikających się kostek. A Mestre Ginga był duchem duchów, indyjskim bogiem pełnym ruchomych rąk i głów. Księga w jej dłoni rozpostarła się w strony, strony stron, nieskończone origami. Głosy, chór głosów, milion głosów, milion miast głosów, ryczących, śpiewających, gadających, jednocześnie. Marcelina chwyciła się stołu – którego stołu, którymi rękoma – i zerwała się na nogi wśród płątaniny obrazów.

Nagle przyskoczył do niej Mestre Ginga, siłą rozwierał jej usta, wlewał do gardła gorącą, mocną, oszałamiającą kawę. Marcelina rozkaszała się, odbiło jej się żółcią czarnego *cafezinho* i wróciła do siebie, samotnej, odizolowanej, całej. Opadła z powrotem na aluminiowe kuchenne krzeselko.

– Co ty mi zrobiłeś?

Mestre Ginga przepaszająco pochylił głowę.

– Pokazałem ci porządek wszechświata.

Marcelina pchnęła książkę wzdłuż stołu. Mestre Ginga złapał ją, wyrównał schludnie do ocynkowanej krawędzi.

– Naćpałeś mnie! – Wyciągnęła oskarżycielsko palec.

– Tak. Nie. Znasz moje metody. Samo ciało cię uczy. – Mestre Ginga rozparł się w krzesło i roześmiał. – Więc czemu mnie oskarżasz?

– To co innego. Księga jest z narkotykiem.

– Księga jest oprawiona w skórę *curupairy*, świętej złotej żaby.

Marcelina była kiedyś w Amazonii, zbierając materiały do *Dwudziestu sposobów na zabicie kogoś*, i doświadczyła morderczej siły jaskrawo ubarwionych żab z dżungli.

– Mogłeś mnie zabić.

– Po co miałbym? Marcelina, wiem, co o mnie myślisz. Masz o wiele mniej *malicii* niż ci się wydaje, ale wierz mi: będziesz musiała wyteńczyć to wszystko, co masz. Wykorzystać do ostatniego grama. Więc przestań myśleć głupio i zacznij myśleć jak *malandro*. Bo przez tę głupotę zginiesz, i to nie tylko ty, ale wszyscy wokół ciebie.

Pokój zawirował wokół Marceliny, bryzgając wieloma rzeczywistościami, jak pies otrząsający się z wody.

– Czyli to jakiś halucynogen, coś jak ayahuasca.

– Zupełnie nie jak ayahuasca. *Iãos* od *beney* wierzą, że Daime stymuluje części mózgu odpowiedzialne za przeżycia duchowe. *Curupaird* pokazuje prawdziwą prawdę. Oko żaby jest tak czułe, że reaguje na pojedyncze fotony światła, pojedyncze zdarzenia kwantowe. Żaba widzi fundamentalną, kwantową naturę rzeczywistości.

Marcelina już miała warknąć: „A od kiedy to mestre capoeiry zna się na kwantowych teoriach?”. Bezczelność to bezpieczeństwo; była w miejscu znajomym i komfortowym jak dom, a mimo to jeden krok od dziedzińca, gdzie grała w wielką grę, do zielono-niebiesko-żółtej kuchni był przejściem do innego świata. Rio od zawsze było miastem przenikających się rzeczywistości, góry i morze, bloki mieszkalne wyrastające z gołej skały *morros*, kolidujące ze sobą masywy domów po milion reali i dobudówek dla nowożeńców w fawelach, piętrzących się jedna na drugiej. A tam, gdzie nakładają się różne rzeczywistości, pomiędzy nimi przelewa się przemoc. Heitor, do którego prywatnego życia wchodziło się przez książki, tyle razy usiłował tłumaczyć Marcelinie kwantowe teorie, przeważnie wtedy, gdy ona chciała tylko, by jej mówił, jak super wygląda jej tyłek w kolejnym obcisłym, siatkowym stroju. Dotarło do niej tylko tyle, że od tego zależy jej kariera oraz że są trzy interpretacje (gdy próbowała namówić go, żeby wciągnął kreskę ze szklanego stolika) i tylko jedna z nich może być prawdziwa; ale obojętne która okaże się

prawdziwa, i tak oznacza to, że rzeczywistość jest czymś całkiem innym, niż mówią nam zmysły i zdrowy rozsądek. Więc siedź cicho i słuchaj Mestre Yody.

– Coś, co jest w skórze żaby, pozwala naszym umysłom widzieć na kwantowym poziomie. Co widziałaś?

– Jakby wszystko miało taką aureolę, swoje inne wersje... – Zawahała się nad słowami, które miały wywrócić jej świat do góry nogami, rozbić w lśniący pył. – Z wielu światów.

„Są trzy podstawowe interpretacje teorii kwantowej”, powiedział kiedyś Heitor. Trzy dni wcześniej skończył się karnawał; wspaniałe miasto wciąż miało potężne zapasy rekreacyjnych narkotyków, do zażycia, nim schowa się pióra, cekiny i brokat, zanim świat pracy znów obejmie nad miastem ponurą władzę. Marcelina kręciła się po mieszkaniu na skrzydłach białego proszku Iguacu, ćwicząc kręcenie tyłkiem, umiejętność o której będzie musiała zaraz zapomnieć – do Nowego Roku i święta Yemanji. „Jest interpretacja kopenhaska, uważana za czysto probabilistyczną – kładzie bowiem dziwny, jak na fizykę, nacisk na obserwację, informację i umysł. Jest teoria fali wiodącej Brogliego-Bohma, zasadniczo nielokalna, według której każda cząsteczka wszechświata jest połączona w czasie i przestrzeni ze wszystkimi innymi. Na tę od razu rzucili się wszyscy newage’owi szarlatani, bo na oko wspiera ich mistycyzm. A Kwantowa teoria wielu światów Everetta rozwiązuje paradoksy, postulując olbrzymią, może nawet nieskończoną, liczbę równoległych wszechświatów, które zawierają każdy możliwy stan kwantowy”.

„Czemu ty mi to mówisz, czemu to ma być ważne, co to ma znaczyć, chodź tutaj i wciągnij ze mną trochę koki”, rozjazgotała się wtedy Marcelina. Nigdy nie zapomniała odpowiedzi Heitora.

„To znaczy jedno: jakkolwiek by to ujmować, jakkolwiek by na to patrzeć, ten świat to obłąd”.

I znów pokój, cała *fundação*, Chrystus na swojej górze, wszystko dostało skurczów wokół Marceliny. Widzę inne wszechświaty, równoległe Rio, inne Marceliny. A co z tymi, których nie widzę, z tymi, które na Rua Rabata Ribeiro okazały się trochę za wolne i dostały nożem? Upiła łyk mocnej, już zimnej kawy.

– Chyba musisz mi to po kolei wyjaśnić.

Mestre Ginga usiadł wygodniej.

– Bardzo chętnie. Nie uwierzysz, ale to wszystko prawda, każde słowo. Świat nie jest jeden. Jest wiele światów. Ty też nie jesteś jedna, jest cię wiele. Wszechświat nie jest jeden, jest wieloświat, który zawiera wszystkie możliwe kwantowe stany. Napisz sobie: dziewięćdziesiąt dziewięć, przecinek, dziewięć, dziewięć i tyle dziewiątek, aż ci się znudzi. Taki procent wszechświatów jest pusty, jałowy, jak eksperyment z abstrakcyjną geometrią i topologią. Dwuwymiarowy, pozbawiony grawitacji, niemożliwy. A z tego, co zostało, na samym końcu tych zer po przecinku, większość to wszechświaty, gdzie stałe fizyczne różnią się minimalnie, o jakiś ułamek w tym czy innym miejscu. Ale i tak ta drobna

różnica oznacza, że wszechświat od razu po Wielkim Wybuchu kolapsuje w czarną dziurę, albo w ułamku sekundy rozszerza się nieskończenie, tak że każda cząsteczką jest tak daleko od wszystkich innych, że sama jest dla siebie wszechświatem, że gwiazdy nie powstają, albo wypalają się raz-dwa-trzy. I w takim samym znikomym procencie tych wszechświatów, jaki stanowią one wobec całości wieloświata, stałe fizyczne są przypadkiem tak dostrojone, by pozwolić na zaistnienie czegoś najbardziej nieprawdopodobnego – życia, a potem życia inteligentnego, które buduje imperia, buduje piękne Rio, uczy się sztuk walki i robi programy telewizyjne, albo zapuszcza się w naturę wszechświata i odkrywa, że jest tak nieprawdopodobne. Spenetrowaliśmy dziesięć do trzechsetnej potęgi wszechświatów, a to i tak jest ledwo milimetr w głąb skórki multiwersum, to nawet nie wyczerpuje puli wszechświatów, w których istniejemy w jakiejś rozpoznawalnej dla nas samej formie. Każdy ma jakąś teorię. Zapytaj dowolnego taryfiarza w Rio, da ci swoją za darmo. Taryfiarze wiedzą, jak poprawić ten kraj, jak skompletować najlepszą *Seleção* i gdzie najlepiej zjeść. Ale liczy się coś innego. Jak użyteczna jest twoja teoria? Czy potrafi oprócz codziennych zjawisk wyjaśnić te dziwne i niesamowite? W fizyce jest to samo. Był Newton, potem Einstein, Bohr i Heisenberg, i każda kolejna teoria trochę lepiej tłumaczy to, co jest realne; ale wciąż bardzo daleko nam do ostatecznej Teorii Wszystkiego, takiej ostatecznej taryfiarskiej teorii, do której można by wetknąć wartości i odpowiedziałyby na wszystko, począwszy od pytania, dlaczego jest coś, a nie nic, aż po wyniki ostatnich meczów. Fizyka to teraz *roda*: wszyscy *malandros* stoją sobie, klaszczą i śpiewają, a dwie teorie wchodzą w środek i próbują się nawzajem przechytryć. I jest dwóch takich mocarzy, którzy myślą, że mają dość *malandragem*, żeby zostać Teorią Wszystkiego. Jedna to teoria strun, zwana też M-teorią. Naprzeciwko w ringu stoi Pędowa Grawitacja Kwantowa. Wyzywają się nawzajem, obserwują, próbują zmusić przeciwnika do głupiego błędu, żeby go ośmieszyć, tak jak ty ośmieszyłeś Jaira tym *boca de calça*. Goście od PGK krzyczą na struniarzy, że ich teorii nawet nie da się sfalsyfikować. Struniarze odkrzykują, że tamci to po prostu jakieś dredy w przestrzeni. I kto ma rację? Ja jestem tylko gościem, który prowadzi szkołę capoeiry i chciałby, żeby jakaś teoria wyjaśniła mu, co pokazuje taka jedna książeczka z żabą na okładce. A pokazuje w pytę równoległych światów. Mnie pasują te dredy w przestrzeni. Sedno Pędowej Grawitacji Kwantowej to założenie, że wszystko jest zrobione z przeplecionego czasu i przestrzeni. Wszystko da się zrobić z przeplecionych przez siebie pętli czasu i przestrzeni. Właściwie to nie są dredy, to raczej robienie na drutach. Ale czytałem na forach w sieci – czytam fora o fizyce, bo czemu by nie? – i w *terreiro* na Uniwerku Rio jest taki jeden gość, który mówi, że może to, co uznajemy za przestrzeń, to po prostu związki pomiędzy kawałkami informacji. Wszystko jest połączoną informacją w czasie – a jak się coś takiego nazywa? „Komputer”. Wszechświat to jeden olbrzymi kwantowy komputer, cała materia, energia, wszystko, co nas stanowi, to są chodzące na tym komputerze programy. Posłuchaj mnie jeszcze. Z tego, co wiem o kwantowych komputerach, one mogą znajdować się jednocześnie w dwóch sprzecznych stanach, i to pozwala im robić różne rzeczy, których nie potrafi zwykły komputer. Ale ja wiem, bo sam widziałem, że rzeczywistość to wieloświat

– taki komputer robi te obliczenia w wielu wszechświatach jednocześnie – właściwie cały wieloświat to jeden gigantyczny kwantowy komputer. Wszystko jest informacją. Wszystko jest... myślą. Nasze umysły są częścią tego. Nasze umysły działają w wielu wszechświatach naraz, może nawet we wszystkich. To właśnie pokazuje *curupairá*, sprowadza nasze postrzeganie na poziom, na którym uświadamiamy sobie, że jesteśmy elementami wieloświatowego komputera kwantowego. Ale posłuchaj, posłuchaj uważnie: skoro to wszystko jest informacją, skoro to tylko myśli i obliczenia, to tę informację musi dać się edytować, zmieniać. Możesz dopisać siebie do dowolnego świata w wieloświecie, w dowolnym miejscu, w dowolnym czasie. A do tego świata wpisała się inna wersja ciebie, która chce cię dopaść i zabić. Pomyśl, że to coś jakby policjantka. Militar. Należy do organizacji, która pilnuje wieloświata, chce utrzymać w tajemnicy prawdziwą jego naturę, chce, żeby kontrolę nad nią miała tylko mała, elitarna grupka. Ona zajmie twoje miejsce, z nadzieją, że stąd uda się jej nas wszystkich zinfiltrować i zlikwidować. Mówiłem, nie uwierzysz. Ale to jest najprawdziwsza prawda.

Marcelina odchyliła się do tyłu na krześle.

– Masz może, możesz może... strasznie mi się pić chce.

Mestre Ginga podszedł do lodówki. Zrobiło się już całkiem ciemno; niebieskie światło ze środka, gdy szukał tam skola, było aż bolesne. Marcelina podskoczyła, słysząc skrzyp opon na mokrej drodze. Każdy szmer, każdy szelest, każde drgnienie oznaczało wroga. Wypiła piwo. Było potwornie zimne, wspaniale prawdziwe i przemknęło przez nią jak deszcz przez ducha, niczego nie dotykając. Zadzwoniła komórka Mestre; powolna *ladainha* na głos solo i berimbau. Gdy mówił – basowe, krótkie zwroty – do Marceliny, po piwie, nagle coś dotarło.

– Gdzieś tam ja jestem, kurwa, tym gliniarzem. Gdzieś tam.

Mestre Ginga zamknął telefon. Po ścianie puszek spływała rosa.

– W pewnym sensie tak. Mamy taki termin, „admonitor”, dawny religijny termin. Jest pewna organizacja, można ją nazwać „zakonem”. Jest stara, o wiele starsza niż ci się wydaje, pochodzi z czasów tej książki. Zakon ma jeden cel: nie dopuścić do upowszechnienia wiedzy o wieloświecie, o tym, że w ogóle istnieje, że można przechodzić między światami. Mogę zrozumieć dlaczego: to kwestionuje wszystkie nasze poglądy, kim jesteśmy, skąd się wzięliśmy, wszystkie wielkie religie zamieniają się nagle w uspokajające bajeczki. A ludzkość nie jest w stanie znieść zbyt dużej dawki rzeczywistości. Zakon poniósł częściową porażkę, kiedy kwantowa teoria sama z siebie doszła do idei wielu światów, wciąż jednak trzyma się swojego głównego celu – kontroluje łączność i podróże w ramach wieloświata, czyli innymi słowy możliwość zmiany programów wszechświatowego komputera kwantowego. Tacy gliniarze pilnujący rzeczywistości. Lokalnie Zakon jest dziedziczny, członkostwo przechodzi z pokolenia na pokolenie w pewnych starych rodach, mających dostęp do najwyższych stanowisk państwowych, biznesowych i wojskowych. Gdy Lula został wybrany, to oni, po pierwsze, uścisnęli mu rękę i powiedzieli: „Gratulujemy, panie prezydencie”. A po drugie, zabrali go gdzieś na zaplecze i przedstawili naszym brazylijskim Sesmarias. Sesmarias działają powoli, za

wszelką cenę chcą uniknąć niepożądaney uwagi. Bo oni muszą żyć w tym świecie, nie wolno im przechodzić pomiędzy światami. Czasami jednak nadarza się okazja do zadania ciosu. Wtedy wzywają admonitora.

– I kiedy ja zaczęłam szukać Barbosy, to była właśnie taka okazja.

– Wykonałaś za nich całą czarną robotę. Wystarczyłoby cię skompromitować, a potem podmienić. A po wszystkim admonitor idzie sobie z powrotem w wieloświat.

– 1 to wszystko nie ma ze mną nic wspólnego, prawda? Po prostu akurat im przypasowałam, Zakon dostrzegł dogodną okazję, żeby się do ciebie dobrać?

– W multiwersum jesteś każdą osobą, którą mogłabyś zostać. Przystępczynią, matką, zamachowczynią, świętą. A może i bohaterką.

Chrzęst opon. Dwa razy zatrąbił klakson. Mestre Ginga uniósł wzrok. Wyszedł z małej kuchni, ostro pachnącej dendê. Drzwi się otworzyły, zamknęły; głosy na skraju słyszalności. Marcelina poczuła, że jasna kuchnia Mestre Gingi rozrasta się wokół niej, staje się wszechświatem, więzi ją w sobie, alienuje, izoluje. Heitor zwykł mawiać, że odkąd umarł Bóg, zostały nam tylko teorie spiskowe. To zimne złudzenie, ta księga duchów pasowała do jego twardego, ponurego światopoglądu – wir, hałas, kolor i życie miasta, wszystko to taniec marionetek utkanych z czasu i słów. Na stole leżała komórka Mestre Gingi. Komórka, piwo, kubek do kawy z logo drużyny piłkarskiej, księga z innego wszechświata. Brazylijska Ostatnia Wieczerza. Mogłaby wziąć ten telefon. Zadzwoić do Heitora.

Tylko on jej został. Kariera, przyjaciele, rodzina, wszystko inne jej odebrali, jakby ją obierali ze skórek, coraz głębiej i głębiej, coraz boleśniej i boleśniej. Mogłaby zadzwonić do Heitora, ostrzec go. Podnieść ten telefon. Wbić numer. Lecz sama mu powiedziała, że następnym razem to nie będzie ona. Nie uwierzy jej. Chyba że tamta już się z nim kontaktowała. Tamta, inna Marcelina. Twoje myśli są jej myślami, twoja siła jej siłą. Jesteś największym wrogiem siebie samej.

Skrzypnięcie furtki z kutego żelaza, kroki na płytkach chodnikowych. Otworzyły się drzwi kuchenne. Wszedł starszy człowiek, o włosach siwych, ale skórze wciąż lśniące, czarnej, postawie prostej, emanujący energią. Miał na sobie jasny lniany garnitur, spodnie z mankietami i wysokim stanem oraz jedwabną koszulę bez kołnierzyka. Za nim szedł Mestre Ginga. Każdym ruchem i każdym mięśniem dawał odczuć, że żywi do gościa ogromny szacunek. Marcelina poczuła, że powinna wstać. Stary człowiek uścisnął jej dłoń i usiadł ciężko na kuchennym krześle.

– Dobry wieczór pani, Senhora Hoffman. Miło mi widzieć, że wszystko u pani w porządku. To ja jestem człowiekiem, przez którego płakała cała Brazylia.

12 LUTEGO 2033

Dwóch taksówką. Dwóch linią 4 metra, oddzielnymi pociągami. Dwóch furgonetką – to najbardziej ryzykowne; dwóch już pojechało ciągnikiem siodłowym. Edson mototaksówką. I na sam koniec Fia. Za godzinę pojedzie busikiem na spotkanie w nieczynnym centrum handlowym. Niczym się to nie różni od show, myśli Edson. Wszystko sprowadza się do choreografii. Każdy uczestnik ma jednorazową, sklonowaną tożsamość i został rygorystycznie wyczyszczony z erfidów. Rachunek za usługi Hamilcara i pana Smileasa pochłonął jaguarową część wygranych na zakładach pieniędzy; lecz Edson i tak, przyciskając się do pędzącego środkiem korka motocyklisty, wyobraża sobie, że w nerki wbijają mu się szpony Aniołów Ciągłego Monitoringu.

Efrim sprawdziła restaurację trzydzieści sześć godzin przed godziną zero. Długie stoły, czysta, wykafelkowana podłoga, porządne jedzenie, nikt tu nie oszukuje, przyciskając wagę kciukiem. Teraz, w roli Edsona, wybiera wielki stolik przy oknie. Parking ciągnie się od frontu na tył, przez cały kwartał. Ekipa ma wejść tylnym wejściem.

Pierwsi Emerson i Wielki Kotlet. Uścisk dłoni, drobna kolacyjka, bogata w węglowodany, niskobiałkowa. Potem Edimilson i Jack Czekolada, ekipa z warsztatu. Tu pojawia się pierwsze ryzyko, ich wóz to zaparkowana 27 6 na ulicy furgonetka na lewych tablicach. Tu nikt nie powinien się zainteresować, Edson jednak nerwowo postukuje w stolik długimi, szczupłymi palcami.

– Proszę, zjedzcie coś dobrego. – Edson daje mechanikom zwitek reali.

Sam nic nie je – płacąc mototaryfiarzowi, łyknął sobie małe *corajoso*, które teraz zaskakuje, z typowymi lekkimi mdłościami. Żołądek podchodzi mu do gardła, gdy widzi, jak mechanicy nabierają sobie furę mięsa z *churrascarii*. Weź się w garść, Edson. Waguinho i Furação w ciężarówce przyjadą do celu o umówionym czasie. A gdzie Indycza Noga i Łakoć? Wywołuje godzinę w rogu iSzkieł. Fia już wyjechała z *fazendy*. Pan Morel wysadzi ją przy *rodoviarii* w Itaparacá; stamtąd co dwie minuty odchodzi coś do miasta. Wybrał to stare centrum handlowe, bo jest pod dachem, niewidoczne dla kamer, ale jest wielkie, na uboczu i pełne dziwadeł – wolałby, żeby ona za długo tam sama nie łąziła.

Gdzie Indycza Noga i Łakoć?

Nagle całe *corajoso* Edsona migoce i gaśnie. Wchodzi sześciu gliniarzy, siadają przy stoliku, na udach wielkie pistolety. Studiują menu.

Dwa pożegnania.

– Oj. Moja mama.

W Cidade de Luz jest taki zwyczaj, że o zachodzie słońca kobiety wychodzą z domów na spacer. Pojedynczo lub parami, trójkami lub czwórkami, stopy w sportowych butach wkładanych tylko na tę okazję, łokcie pompują aerobowo, przemierzają uświęconą tradycją trasę – krętą główną drogę, dawną główną drogę, biegnącą równoległe do *rodovii*, potem

długie podejście pod górę Rua Paulo Manendes, gdzie jakieś ekonomiczne ciśnienie sprawiło, że zagnieździły się tylko sklepy z częściami do aut i zaopatrzeniem dla weterynarzy. Mężczyźni też wychodzą na taki spacer. Wyruszają pół godziny później i zawsze w przeciwnym kierunku, żeby spotkać się z nimi twarzą w twarz. I nieodmiennie są to młodszy mężczyźni, albo świeżo rozwiedzeni.

Edson, w szybkim niemieckim aucie, dogonił Donę Hortense i jej koleżanki pod Centrum Zaopatrzenia Weterynarzy „Szczęśliwy Kot”. Zjechał do krawężnika tuż przy niej. Dona Hortense spojrzała spod ronda białego kapelusza alfonsa.

– Edson? To ty? Miło, że przyjeżdżasz się ze mną zobaczyć, zamiast tylko przysyłać po rzeczy tego nieuka Łakocia.

– Daj spokój, mam, wiesz, że mam kłopoty.

– Nic nie wiem. Właśnie o to chodzi. – Koleżanki patrzą na niego jak na gliniarza czy windykatorka.

– Mam, nie tutaj. – Edson otwiera drzwi.

Dona Hortense wślizguje się do samochodu, przesuwa dłonią po skórzanej tapicerce.

– Ładne. Twój? Skąd go masz?

– Od jednego znajomego. Mam, ja muszę wyjechać.

– Tak właśnie myślałam.

– Daleko, bardzo, bardzo daleko. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie, ale raczej długo.

– Ojej, Edson, mój skarbie. Chociaż zadzwoń do mnie, weź telefon, powiedz, że jesteś cały i zdrowy.

– Mam, nie mogę. – Świat szybko ciemniał, a Edson, w półmroku samochodu, za spolaryzowanymi szybami, pomiędzy nieregularnymi latarniami Cidade de Luz, pomyślał, że matka chyba płacze.

– No jak to, tam nie mają telefonów? To list wyślij, albo coś.

– Mam...

– Edson, co to ma być? Boję się o ciebie.

– Nic mi nie będzie i na pewno wrócę. Obiecuję. Znajdę sposób, żeby wrócić. Jeszcze mnie do Książki nie wpisuj.

– A co powiedzieć ludziom?

– Nic. Ani słowa. Teraz daj mi całusa. Podwieźć cię do domu czy zostawić z dziewczynami?

– O, jak już masz taki wielki, elegancki samochód, to podwieź mnie do domu – mówi Dona Hortense.

I znowu pożegnanie.

– To chyba najbardziej romantyczna rzecz, jaką w życiu słyszałem – powiedział pan Morel.

Geografia to nie tylko wielkie, powolne procesy, trwające eony i dotyczące płyt tektonicznych. Geografia może się odbyć w jeden wieczór – nienaruszony wieczorem

trawnik z rana jest poprzecinany ścieżkami, zawsze w mistyczny sposób wytyczającymi najkrótszą drogę do sklepów lub na przystanek autobusowy. Przez parę dni, odkąd Fia ukrywa się w *Fazendzie Alvaranga*, stara suszarnia, gdzie chowa się na zimę leżaki, stała się Azylem *Sextinho* i Pana Morela.

– Ostatnie miejsce, gdzie by jej szukali; świat, z którego przyszła.

– Ale ty, *Sextinho*? Wygląda na to, że paskudny jest ten jej świat. Szare niebo, zanieczyszczenie, zrujnowany klimat.

Świat Fii był dziwny i trudny, ale właśnie w takich różnicach kryją się możliwości, które może wykorzystać człowiek interesu i sprytu, żeby się dorobić. O ile jest tam jeszcze Ilhabela i ocean, żeby opływał fundamenty domu, on to osiągnie. Marzenie przesunęło się w bok.

– Ale za to nie ma Aniołów Ciągłego Monitoringu.

– Nie ma aniołów. A wytatuujesz sobie na brzuchu taki komputer? – To był żart. Pan Morel dobrze zna niechęć Edsona do wszystkiego, co narusza świętość jego skóry. – Aha, i jeszcze jedna kwestia. Ty tam będziesz.

– No oczywiście, że będę.

– Nie rozumiesz: gdzieś w tamtym mieście już będzie Edson Jesus Oliveira de Freitas.

To była jedna z pierwszych rzeczy, które przyszły Edsonowi do głowy, kiedy podejmował decyzję o powrocie z Fią do jej São Paulo. Nigdy nie był w stanie oprzeć się odbiciu w lustrze: jak będzie w nim wyglądać? Bogatszy, lepiej prosperujący, wielki biznesmen, żonaty, martwy? Albo, co gorsza, biedny jak mysz kościelna *favelado*? Tego by nie zniósł. To nie będzie dobra wróżba, spotkać ducha samego siebie, ale jak miałyby się przed tym powstrzymać? Duch, który jest mu bliższy niż jakikolwiek bliźniak i dalszy niż najdalsza gwiazda. On sam, co do atomu. Musiał To zrobić.

– Nie pierwszy raz przybiorę nową tożsamość – rzucił nonszalancko, choć był zdenerwowany, w żyłach czuł lód. – Może nawet zostanę *Sextinho*.

– Wiesz co jest głupie i bezsensowne? Ja też chcę tam iść. Całe życie nauczam o multiwersum. Znam teorię, znam matematykę, one dowodzą tego dokładniej i bardziej elegancko niż jakikolwiek prymitywny ludzki zmysł, a i tak chciałbym zobaczyć to na własne oczy. Przeżyć. Wtedy dopiero będę naprawdę wiedział. Jeśli miałbym powiedzieć ci jedną rzecz o fizyce, *Sextinho*, powiedziałbym, że fizyka to pasja. Fizyka to miłość. Bo czemu ktoś miałby to robić, tłuć głową o ścianę prawd, które ledwo rozumie, jeśli nie dla miłości? Fia mówi, że kiedy wchodzisz w superpozycję, doświadczasz wszystkich wszechświatów jednocześnie. To odpowiedź na tyle pytań. Ale ty, draniu jeden, nawet nie docenisz tego, co będziesz widział. Idź, mój bohaterze. Spraw się dobrze.

Pośród rdzewiejących słuchawek prysznicowych, aluminiowych siatek i wyciętników do sprzątnięcia liści z basenu, obok budy robota-sprzątacza, pan Morel objął Edsona i przytulił. Dzieciak był taki wąty, taki chudy i kruchy, a mimo to tak silny, nic tylko ścięga i żyły. Ciężko się go obejmowało.

– A ja mam ostatnie pytanie – powiedział Edson. – Myślisz, że to boli, jak się przechodzi?

Łakoć i Indycza Noga wtaczają się spóźnieni osiemnaście minut, roześmiani, zawadiaccy i dumni. Edson patrzy na nich lodowato; już mają się roześmiać z jego miny, lecz widzą, że reszta też się nie uśmiecha.

– Czemu się spóźniliście?

– Strasznie głodni byliśmy, poszliśmy coś zjeść i wypić...

– Piliście?

– Edson, daj spokój...

– Zwracacie uwagę na siebie i na mnie. Jesteśmy kumplami, którzy umówili się po pracy coś zjeść. Więc teraz, jedliście czy nie, idźcie sobie coś wziąć z bufetu. I zero piwa. Akcja jest bezalkoholowa.

Przez cały czas obserwuje gliniarzy, którzy idą do bufetu po dokładkę. Zwyczajne psy, grube i uprzejme; są tacy sami jak Edson i jego ekipa, przyszli po pracy przekąsić coś z kumplami. Edimilson i Jack Czekolada, mechanicy, opowiadają historie z boksów Interlagos. Edson prawie ich nie słyszy; każda sekunda przeskakująca na stoperze w rogu jego iSzkiał jest dłuższa od poprzedniej, aż cyferki zamierają jak krople w zamrażarce.

Nie mogę. Nie dam rady. Ja sobie to wszystko wymyśliłem.

Wtem widzi sam siebie, jak odsuwa talerz, wstaje, poprawia mankiety, stroszy włosy i mówi:

– Wszyscy skończyli? To idziemy.

Zajebista sprawa, to *corajoso*.

Fala uderza, kiedy naciąga na twarz bandanę. Serce wali, oddech ma płytki, szybki, palący żywym ogniem. To nie *corajoso*; to normalna, płynna adrenalina, roztopiona w czaszce. To jak dopięcie super transakcji, jak wymyślenie Biznesplanu Numer Jeden, który klei się w najdrobniejszych szczegółach.

Indycza Noga wyciągnął q-nóż. Dwa ogniste ruchy i tylna brama już nie wisi na zawiasach. Emerson i Wielki Kotlet opuszczają ją łagodnie na ziemię. Reszta wchodzi, gdy lasery próbują im zeskanować siatkówki. Macie pecha, militarzy – wszyscy mają na iSzkłach kradzione skany oczu. Gdy rozlegają się alarmy, *uuu, uuu, uuu, uuu*, przylatuje dron; śmigła tak nisko nad Edsonem, że ten czuje, jak strumień zaśmigłowy burzy mu starannie postawione na żel włosy. To dawny dron od śledzenia korków Radio Sampa, który dostał się Hamilcarowi i panu Smilesowi w ramach jakiegoś *jeitinho*. Potem przystosowali go do swoich szemranych potrzeb. Krąży jak mały szpieg z kreskówki i rozpyła tyle różnego DNA, że mógłby wysadzić budżet każdej firmy kryminologicznej, która zajmie się analizą miejsca przestępstwa. Wspaniałe chłopaki-cwaniaki.

W bazie samochodowej może i jest nocna zmiana, ale militarzy są szybcy – czyli dziś na Globo Futbol nie leci nic ciekawego – i przygotowani sprzętowo na frontalny atak. Wielki

Kotlet i Emerson strzelają z ukrycia – paraliżują dwóch pierwszych. Emerson, w odróżnieniu od swojego młodszego o sześć szczebli brata, z przyjemnością odsłużył wojsko. Żandarmi jeszcze nie zdążyli paść na ziemię, gdy dopadają ich Łakoć i Indycza noga. Indycza Noga przytyka q-nóż do gardła oszołomionego mundurowego. Nie jest w stanie mówić, nie jest w stanie się ruszyć, może tylko śledzić oczyma roztańczone ostrze. Niebieskie na niebieskim. Edson czuje szczytny – słyszał kiedyś, że od paralizatorów tak się robi. Ze strachu też. Teraz to już scenariusz z zakładnikami – pozostałych czterech strażników rzuca broń i podnosi ręce. Czas i geografię znają równie dobrze, jak Edson – dwadzieścia sekund, może trzydzieści, jeśli akurat zjedli porządną kolację, ma na ocenę zagrożenia regionalne centrum. Kolejne trzydzieści na ustalenie właściwej reakcji, następne dwadzieścia na powiadomienie jednostek. Nie będą podzlecać tego jakimś *seguranças* – żandarmeria sama za bardzo lubi sobie postrzelać. Drony obserwacyjne znajdują się nad celem w dwie minuty od alarmu. Jednostki naziemne w pięć minut. Edson ma jednak wszystko wyliczone co do sekundy – furgonetka z warsztatu przelatuje przez leżącą bramkę, podjeżdża do uszkodzonej naczepy *Catering gotowego/chłodzonego*. Edimilson już uruchomił hydrauliczny podnośnik i unosi lewą stronę naczepy jakby był superbohaterem, Kapitanem Pit-stopem. Jack Czekolada z elektrycznym kluczem w piętnaście sekund zdejmuje koło. Emerson i Wielki Kotlet odciągają na bok poprzecinane półopony i wytaczają z furgonetki nowe. Żandarmom szczęki opadają na widok takiej szybkości i sprawności.

– Trzeba wam było ich widzieć na Interlagos – mówi Łakoć, celując bronią w zbitych w gromadkę zakładników.

– Ty debil – rzuca Indycza Noga.

Pierwsze koło już siedzi. Drugie. Edson zerka na stoper odliczający czas – ciężarówka powinna już tu być. I oto jest, objeżdża skrzyżowanie z dwoma aromatycznymi beknięciami z chromowanych rur wydechowych. Waguinho skręca w stronę dziury w płocie, zawraca i podjeżdża „na gazetę” do naczepy; Emerson i Wielki Kotlet wskakują za nią. Edson pakuje się do szoferki ciężarówki obok Waguinho i Furaëio. Podczepiają naczepę, Waguinho rusza, *Catering gotowy/chłodzony* toczy się za nim. Gdy mijają bramę, Edson widzi, jak Łakoć i Indycza Noga cofają się do otwartych tylnych drzwi furgonetki. Emerson i Wielki Kotlet wskakują za nimi w ostatniej chwili. Militarzy od razu sięgają po broń, Edimilson jednak skręca, zarzuca i wyjeżdża na ulicę. Edson w bocznym lusterku widzi, jak furgonetka skręca w przeciwną stronę. Podpalą ją i rozproszą się na piechotę. Edson widzi, jak dron od DNA przelatuje nad dachem ciężarówki, pnie się w górę i znika pomiędzy zbiornikami wodnymi na budynku. Ściąga bandanę, rozpięta się w fotelu. Kolba pistoletu napiera mu na mięśnie brzucha jak erekcja, twarda i niespodziewana. Nigdy go nie wyciągnął. Zachował choć tyle honoru, że w ogóle nie pokazał broni. Opiera głowę o zagłówek, wytrzeszcza oczy na widok obrazka ze świętym Marcinem i różańca dyndającego z lampki pod sufitem. Emanuje z niego niewypowiedziana radość; ledwie opanowuje kipiącą, rozdygotaną energię. Udało mu się. Udało. Ukradł z bazy Żandarmerii São Paulo Zona Norte cztery kwantowe komputery. Chciałby być już z Fią. Chciałby, żeby

czekała na niego w punkcie zbiórki, żeby tylko on odbijał się w jej wielkich, mangowych oczach; chciałby, że rzuciła się z rozłożonymi ramionami na maskę ciężarówki Waguinho i Furação ze słowami: „Edson, jesteś wielki, największy malandro ze wszystkich malandros, jesteś prawdziwym Panem Rozstajnych Dróg. O tym, czego dokonałeś, będzie się przez lata mówiło na wszystkich *ladeiras*; o, ten Edson Jesus Oliveira de Freitas, to był cwaniak, to był malandro”.

Pamiętacie tego Edsona Jesusa Oliveirę de Freitas, szurniętego syna Dony Hortense? Co się z nim dzieje? Tak będą mówić. Gdzie on się podział?

Przyciąga jedno kolano do siebie, obejmuje rękoma. Ekran w szoferce pokazuje zjeżdżające się pod bazę policyjne radiowozy. Może i nie namierzą ich po erfidach, ale mają opis naczepy i pewną orientację, dokąd może jechać. Czy to syreny? A wyjcie sobie, wyjcie, militarzy, ile tylko chcecie. Za chwilę wykręcę wam jeszcze jeden numer, najlepszy, na zakończenie. Na drugim końcu miasta Hamilcar i pan Smiles, parkujący za piekarnią, która robi świetne *pão de queijo*, zerkają na ikonkę na swoich iSzkłach i rozsiewają sklonowany erfidowy identyfikator *Cateringu gotowego/chłodzonego* po pięćdziesięciu autach w swoim sąsiedztwie. Niezła sztuczka i dość kosztowna, ale po opłaceniu Hamilcara i pana Smilesa zostało jeszcze dość drobnych, żeby starczyło na sześć szlifowanych amazońskich szmaragdów. Mieszkają teraz w nawilżonym, zwiniętym lateksie w jelicie grubym Edsona. Tam, po drugiej stronie, przyda mu się jakaś wymienialna waluta.

Oto i ona, siedzi na murku w miejscu, gdzie najjaśniej pada światło z sąsiadującego boiska piłkarskiego. Zauważa ciężarówkę wynurzającą się ze strumienia czerwonych świateł pozycyjnych; podskakuje w beztrudnej radości. Mały plecaczek fika jej na plecach. Edson nie potrafi wyprzeć z głowy obrazu majteczek w Hello Kitty. Ciężarówka wtacza się na parking obok ślepych, powybijanych witryn i stalowych belek restauramy, wjeżdża w światło i staje ze stęknieniem pneumatycznych hamulców.

– Świetne miejsce wybrałaś – mówi Fia. – Stada kiboli, co na mnie gwizdali, kupa meneli i ćpunów.

Po czym podbiega i całuje go mocno w same usta, tam gdzie stanął, jak już wyskoczył z szoferki na asfalt. Staje przy tym na palcach. Może to ulga, może aura sukcesu, a może to schodzi *corajoso*, ale Edson ma wrażenie, że boisko zmieniło się w ulewę spadającego na niego światła, fotonów, rzeczywistych i pozornych, opływających go, oczyszczających, odbijających się lekko od poplamionego betonu, splątanych jak kocie kłaki z innymi zyciami, innymi historiami. Miasto ze swoimi dziesięcioma tysiącami wiezowców wiruje wokół: jest osią całego Sampa, całej Brazylii, całej Ziemi i wszystkich jej kopii w całym wieloświecie – przez jedną chwilę, na parkingu nieczynnego centrum.

Fia przesuwa palcem wzdłuż burty naczepy, zatrzymując się na wykrojonej w niej wielkiej, okrągłej dziurze. Nachyla się ostrożnie, zagląda do środka. Edson wie, co ona myśli. „Tutaj zginęłam”.

– Tył jest otwarty – mówi.

Pamięć to jeden Judasz. Edson tyle razy wspominał wewnątrz naczepy *Cateringu*, a teraz,

gdy Fia znajduje wyłączniki świateł i podświetla poszczególne elementy, kanapa stoi nie tam, gdzie pamiętał, jest większa i w innym kolorze, ekspres do kawy jest po drugiej stronie blatu, stołki barowe pokrywa skóra zebry, a nie jaguara, a spiralne schodki kojarzą się raczej z kiczem w stylu kung-fu, niż guangzhou-cybercool. Mimo to Edson czuje się jak na pierwszej randce – to jego lokal i zaprasza ją do siebie. Obchodzi wszystkie meble, dotykając ich, gładząc, mocno zafascynowana śladami pozostawianymi przez palce w nagromadzonej przez tygodnie warstwie kurzu.

– Dziwne to, strasznie dziwne. Tutaj o wiele bardziej ją czuję.

Zadziiera głowę, patrzy na plastikową kostkę w górze, aż sapie z zachwytu i wbiega po kręconych schodkach. Edson patrzy, jak uwija się w pracowni, budząc kwantowe procesory. Błękitny poblask kwantowych kropek rozciągniętych wskroś wszechświatów podświetla jej ostrym kontrastem kości policzkowe, przydając im japońskiego charakteru. Widział już tu ducha, zjawę w pustym laboratorium, kwantowe echo.

Edson przyłącza się do Fii w podświetlonym niebieskim sześcianie.

– Moi ludzie chcą wciągnąć naczepę pod dach. Tutaj jest niebezpiecznie.

Fia macha ręką. A co mnie to. Nieznacznie wystawia język w skupieniu. Edson chwyta się filaru, gdy *Catering* z szarpnięciem rusza; Fia machinalnie utrzymuje równowagę.

– To powinno być w galerii sztuki. – Brzmi, jak oszołomiona zachwytem, bredząca w ekstazie. – Cztery kwantowe rdzenie na kropkach kwantowych. I ona to wszystko zbudowała... ze złomu? W moim świecie, q-komputer z Uniwerku São Paulo... to tutaj wyprzedza o dziesięciolecia wszystko, co mamy. Jakby było z przyszłości. Każda część jest tutaj piękna.

– A dasz radę to uruchomić?

– Języki i protokoły są inne, ale jakoś zdekoduję.

– Ale uruchomisz?

– Zobaczymy.

Zrzuca długi płaszcz. Tatuaż na odsłoniętym brzuchu lśni odbitym kwantowym światłem. Trybiki w trybikach zaczynają się kręcić. Fia czuje wzrok Edsona.

– To tak naprawdę jest tylko dla efektu. – Stuka w klawisze, nachyla się w niebieskie światło. Marszczy czoło, porusza ustami, czytając coś z ekranów. Edson w życiu nie widział jej tak pięknej. – Znajdują wspólny kanał komunikacji. O! – Podskakuje, uśmiecha się. – Jesteśmy. – Wali w klawisze; po skórze przesuwają się rozwirowane tryby. – No! No! Dawaj, *puta* jedna! – Wali otwartą dłonią w biurko. Ciężarówka gwałtownie staje, jakby to poczuła. Fia podnosi rękę. – Co ja narobiłam?

Głosy niosące się echem po gołych stalowych belkach rdzewiejącego centrum. Głosy, których Edson nie rozpoznaje. Zbiega z hukiem po spiralnych schodkach, ostrożnie wystawia głowę przez wyciętą kwantowym nożem dziurę. Prosto w twarz patrzy mu czarna jak grzech szyba hełmu z wyświetlaczem HUD w środku. Pod nią szeroki uśmiech. Pod uśmiechem lufa karabinka szturmowego. Hełm, wiele hełmów. Ciężarówkę otaczają uzbrojeni i opancerzeni *seguranças*. Tylne wrota naczepy otwierają się gwałtownie – kolejna dwudziestka *seguranças* z bronią szturmową. Ten wyszczerzony macha karabinem

w stronę tyłu ciężarówki.

– Spieprzaj stąd, *favelado*.

6-15 SIERPNI 1733

Wokół wahadła zawsze zbierał się tłum. Falcon skinął głową swojej widowni, regulując łożę teleskopu i nakręcając zegary. Dziecięce głosy, podkreślone basowymi nutami dorosłych mężczyzn, dla których była to słynna atrakcja, wyskandowały powitanie. Falcon wycelował nocną lunetę ponad linię drzew i zanotował czas wschodu na drewnianej deseczce. Jutro porozmawia z Zembą o zapewnieniu jakiegoś papieru. Obserwatorium, służące Falconowi także za bibliotekę i dom, stało o pięć minut drogi przez las od *quilombo*. Wykarczowano trochę drzew, by zapewnić widoczność nocnego nieba, a polana stała się popularna także wśród par, które chciały podziwiać księżyc czy łagodną wstęgę Drogi Mlecznej. Machnięciem rysika wybrał trzech widzów do otwarcia dachu i obsługi zegarów; teleskop wymagał ochrony przed codziennym deszczem i regularnego smarowania, żeby w delikatne jak włos mechanizmy nie wdała się pleśń. Jeszcze raz wskazał rysikiem, tym razem dziewczynkę w pierwszym rzędzie, z dziecięcym ciałem i pączkującymi piersiami.

– Jak się nazywa to ciało niebieskie i dlaczego jest ważne? – Posługiwał się już *lingua geral* na tyle wprawnie, że mógł odgrywać rolę ponurego belfra, która niezmiernie go bawiła.

Dziewczynka się zerwała.

– *Aiuba*, to jest świat Jowisz i ma dookoła księżyce, takie jak nasz, i te księżyce tworzą zegar.

Aiuba. Falcon myślał z początku, że to zaszczytne miano, nadane z szacunku dla jego pięciorakiej roli: geografa, architekta miasta, doktora fizyki, archiwisty Cidade Maravilhosa i profesora Uniwersytetu Rio do Ouro: nauczyciela, mędrca, astronoma. Mocno się rozczarował, dowiedziawszy się, że oznacza to w tupi jego bladą, ogoloną głowę. Dawno ustalił na podstawie tablic Cassiniego miejscową długość geograficzną i skalibrował trzy chronometry Huygensa; setki obserwacji, zapisanych *genipapo* na ścianach, potwierdziły jego teorię. To, co odprawiał, było mszą dla nauki, memento przypominającym, że fizyczne dowody obowiązują tak samo w dżungli nad Rio do Ouro, jak w paryskich salonach. Przekonywał do wartości empiryzmu siebie i swoich widzów, Iguapá, Manao, Caibaxé oraz zbiegłych niewolników. Rzadko myślał teraz o La Condamine i jego ekspedycji; może o pracy konkurenta dyskutuje się teraz żywo pomiędzy akademikami, podczas gdy on tkwi w tym lesie i pewnie już tu zostanie; lecz tamten i tak zostanie ośmieszony, bo jego tezy nie są empirycznie prawdziwe. Falcon zaś, w swym obserwatorium z bambusa i sitowia, powtarza swój wielki eksperyment i obwieszcza: „Widzicie? Tak wygląda wasz świat”.

– Teraz zaobserwujemy satelity Jowisza.

Ogromne kule, nawet przez podróźny teleskop wyraźnie spłaszczone na biegunach. Jako

w niebie tak i na ziemi.

– Podajcie mi dziennik.

Dziewczynka Caibaxé, opiekunka księgi, klęknęła obok Falcona z dziennikiem i rzeźbionym drewnianym kałamarzem na skórzanej poduszce. Falcon zapisał datę, godzinę, warunki. Tylko tyle kartek zostało. Właściwie, po co w ogóle stawiać te znaczki, skoro prawda, którą reprezentują, jest w najlepszym razie częściowa? Jezuita, który dostał obłędu po sakramentalnych leśnych środkach, sugerował jakiś głębszy porządek – że ten spłaszczony świat jest tylko jednym z fantastycznej – być może nieskończonej – wielości światów, bardziej lub mniej się od siebie różniących. Jak można obiektywnie udowodnić taką organizację wszechświata? A przecież, jeśli jest fizyczny, musi się poddawać matematycznemu opisowi. To dopiero będzie wyzwanie dla geografa, który starzeje się w samotności, z dala od pamięci innych uczonych. Obliczenia zajęłyby całe wolne miejsce na ścianach domu i całą podłogę. Caixa narzekałaby i ciskała w niego różnymi drobiazgami. Lubiła czystość, porządek w domu i nie tolerowała jego niechlujstwa.

– O tej porze w Paryżu jest dokładnie dwadzieścia siedem po jedenastej – zaintonował Falcon. – Puszczam wahadło. Na mój znak uruchomicie zegary.

Odciągnął ciężarek wahadła, aż jego drut zrównał się z linią na goniometrze. Puścił je i uniósł chusteczkę, o której śnieżną biel Caixa specjalnie w tym celu dbała. Trzy dłonie opadły na dźwigienki chronometrów. Wahadło kołysało się, odmierzając czas, przestrzeń i rzeczywistość.

– Nie mogę ci zapewnić więcej papieru.

Huk działa udaremnił jakiegokolwiek protesty Falcona. Zemba wychylił się zza wału i przytknął do oka lunetę – dawniej kieszonkową lunetę Falcona.

– Lufa i łożo są nienaruszone – obwieścił. – Myślę, że możemy spróbować z pełnym ładunkiem. I z kulą. – Odkąd mianował się głównym obrońcą Cidade Maravilhosa, Zemba coraz bardziej zachowywał się jak udzielny książę ludu N’gola Imbangala.

Falcon wspiął się na wał, by obserwować, jak kanonierzy Iguapá biegną do wielkiego działa, wyrzezanego z jednego pnia kamiennego mahoniu, na łożu do prób. Patrzył, jak zawinięty w papier ładunek – papier mu zarekwirovano, podobnie jak lunetę – znika w lufie tego monstrum.

– Rozumiem, że wśród tych wilgotnych wyziewów potrzebny jest suchy ładunek, ale zaczęliśmy przykładać się do tej obrony tak bardzo, że zaniedbujemy to, czego bronimy – zauważył łagodnie, gdy ekipa ładowała działą kulą.

Wytworzenie jednej drewnianej kuli zajmowało cieśli cały dzień – musiał toczyć ją i toczyć, by osiągnąć odpowiednią gładkość. Zemba najpierw drwił z pomysłu Aiuby – drewniana armata, przecież rozprysnie się na tysiąc drzazg za pierwszym strzałem, bardziej śmiertelna niż podłożona przez wroga mina. Obliczenia Falcona wytrzymały jednak i drwiny i proch strzelniczy. Mimo to, irytowało go, że ten potężny mąż – świetny generał i groźny wojownik – szanuje jego naukę tylko o tyle, o ile da się ją wykorzystać do celów

wojskowych. „Techne, ta dziwka Nauki”, mrucał.

Zemba zaprojektował w odebranych Falconowi szkicownikach ogromne i potężne fortyfikacje. Pierwszą linią monstrualnego systemu były typowe dla Iguapá pułapki i sidła. Gigantyczne kozły hiszpańskie najeżone zatrutymi szpikulcami, w szeregach po dwadzieścia spychały napastników w mordercze pola ognia krzyżowego pomiędzy bunkrami z ogromnymi, samopowtarzalnymi kuszami. Wewnętrzny pierścień ziemnych umocnień wzorowanych na europejskich gwiazdzistych fortach ział ogniem z balist i wiadrami rozżarzonych kamieni na niedobitki. W samym środku – zygzakowate okopy mieszczące trzech ludzi na szerokość, z których mogły atakować falangi *quilombistas*, chronionych przez nabijane skórzane przeszywanice *ichcahuipilli* i puklerze, uzbrojonych we włócznie z twardego drewna. Piesi łucznicy stanowili wsparcie, zdolne razić na wielką odległość. Te klasyczne umocnienia przeraziłyby rzymskiego legionistę, Zemba pragnął jednak wzmocnić je niszczycielską siłą nowoczesnej artylerii. Dekret wymuszony na miejskich *aiuri* nakazał wszystkim korzystać z publicznych latryn, z których dobywało się później saletrę: Falcon z trudem przypominał sobie chemiczne sposoby na uzyskiwanie czarnego prochu, który jednak w parnym klimacie Rio do Ouro syczał tylko i dymił na panewce, póki Falcon, kręcąc z papieru kapiszony do straszenia dzieci, nie wpadł na pomysł owijania i tamtych ładunków w papier. Teraz takie ładunki, o różnym ciężarze, wisiały susząc się na belkach suszarni, niczym albinotyczne nietoperze.

Kanonierzy rozwinęli długi lont. Zemba podpalił go wolnopalnym knotem. Falcon poczuł, że ziemia zatrzęsała mu się pod stopami. Wybuch, który musiał być słyszalny w samym Sio José Tarumás, wycisnął mu powietrze z płuc i rozum z głowy. Zemba w okamgnieniu znalazł się na posterunku z lunetą przy oku, Falcon skoczył tuż za nim. Armata odskoczyła o kilkanaście sążni w zarośla, ale stała nienaruszona na łożu.

– Mamy, na Świętą Panienkę, mamy artylerię.

Falcon nie potrzebował podanej mu lunety, by zobaczyć, jak wzdłuż zakreślonego przez kulę łuku gałęzie kołyszają się, a potem jedna po drugiej łamią się i spadają.

Nawet przy swojej stacji pomiarowej nad rzeką wciąż słyszał gromy artylerii. „Rzeka” była szumnym określeniem dla leniwego strumienia, szerokiego ledwie na osiem kroków, wpływającego do Rio do Ouro pokrytej zielonym dywanem tibuchiny. Trzymając przy nodze zarepetowany pistolet na wypadek pojawienia się kajmana, Falcon patrzył, jak Caixa wchodzi do wody, po uda, po brzuch, miękkie listki tibuchiny w kształcie łez ocierają się o jej małe piersi, dochodzi do dalszego słupka wskaźnikowego. Złota na zielonym tle. Zachwycała go. Nauczył ją liter, cyfr, odczytywania nieba, recytowania po francusku. Ta mała piaszczysta łacha, gdzie las niespodziewanie wychodził na rzekę, należała do niego, tak rzekł *Mair*. Często się z nią tu kochał, na równi przyciągany i odpychany miękką, korzenną pulchnością jej ciała i nieludzkim kształtem złotej czaszki. Kochała się chętnie i chętnie obdarzała miłością, choć wyobraźni za wiele nie miała, za to w porównaniu z typowymi kobietami tego ludu była wierna. Najbardziej i tak uwielbiał to miejsce w nocy, gdy każdy kwiat tibuchuny i każda ciemno kwitnąca lilia wodna skrywały isierkę świetlika – powstawał istny świetlny dywan, cały przeciwny brzeg skrzył się świetlikami,

a nad nimi świeciły gęsto rozrzucone gwiazdy.

Caixa podała mu pomiar. Cały czas się podnosi, choć to nie sezon powodzi. Z uśmiechem brnęła przez wodę ku niemu, a zielony dywan rozstępowała się wokół gładkiego, bezwłosego wzgórka jej płci. Wspomniał, jak ją pierwszy raz ujrzał, nieśmiałą, uśmiechniętą, wypchniętą naprzód przez przyjaciółki, żeby szła obok białego człowieka o niezwykłych oczach. Zaproponował, że poniesie przez chwilę kosz, który dźwigała na pasie założonym na czoło; gniewnie odsunęła się od niego i nie podchodziła aż do wieczora, kiedy lud Iguapá dowlókl się do pierwszego obozowiska.

Jakże szybko poczucie pielgrzymki ustąpiło milczącemu stoicyzmowi i determinacji każącej stawiać nogę za nogą, a potem, po dniach, po tygodniach, bezradnej złości. Pół dnia lud Iguapá mozolnie człapał przez *várzeę* Rio Iguapará i Rio do Ouro. Ostatni, najmłodszy, najstarszy, najślabi dobili do reszty wiele godzin po ułożeniu się Maira i jego straży przybocznej, *pagés*, na spoczynek. Niektórzy w ogóle nie dotarli.

Lud Iguapá znał głód. *Várzea*, tak bogata w roślinność, żywiła skąpo. Jedzenie pohukiwało i pogwizdywało na wysokich gałęziach drzew *virola* i *envira*; na ziemi jednak, w wilgotnym cieniu, strzegły go groźne kolce; owoce i pnącza wywoływały mdłości, zatrwały lub sprowadzały obłądne wizje. Całe plemię wykarmiły żelazne racje maniokowej mąki Falcona – Caixa wydzielala je oszczędnie, pilnując, by nikt nie odbierał ich groźbą starym i chorym. Manaosi ponuro meldowali, ile zapasów jeszcze zostało; Falcon wszystko notował i ze smutkiem czynił rachunki. A Zemba już wtedy izolował go od Quinna. Dopiero dzięki wielkiemu uporowi i sile Manaosów udało mu się przebić przez orszak *pagés* do Proroka.

– Musisz im dać czas na odpoczynek, żeby zapolowali i odzyskali siły.

– Nie mogę, musimy iść, ja widziałem.

I w końcu szli, pędzeni szaleńczą desperacją. Nie było innego wyboru: trzeba było zarzucić na ramię zwinięty hamak, naciągnąć pasek na pokryte pęcherzami czoło i popychać dzieci przed sobą. Caixa chętnie dzieliła się z Falconem swoim brzemieniem. Skrzynie z żelaznymi racjami opróżniono i wyrzucono. Falcon kroił futerały swoich przyrządów, okładki książek, buty, rzemienie, sakwy, wszystko, co można było gotować, by zmieścić na tyle, żeby dało się przeżuć i zapewniło odrobinę wartości odżywczych. Ludzie głodowali, lecz żaby były nakarmione – święte *curupairds* w dziurkowanych glinianych słojach. Starcy z nagłym westchnieniem siadali z boku ścieżki, nie mogąc się ruszyć, nie chcąc, by ich ruszano – zostawali, zielen zamykała się za nimi, a na ich twarzach malowała się ulga, tylko ulga. Falcon włókl się noga za nogą, zadreńczając się intelektualnym poczuciem winy – jego przyrządy, instrumenty, mosiądz, heban i szkło; żelazne i ołowiane kule, książki na wpół spleśniałe w oprawach, ubrania, pamiątki – trzeba by to wszystko wyrzucić i zapomnieć. Za każdym razem jednak dochodził do tego samego grzmiącego sprzeciwu. Nie, nie wyrzuci tego, nigdy w życiu – albowiem, gdy wszystko inne sprowadza się do czynności zwierzęcych, mechanicznych, tylko te rzeczy świadczą wobec obojętnego roślinnego imperium, że ich wyprawa to coś więcej niż przemarsz mrówek.

Wtem Quinn, brodaty patriarcha o błędnym wzroku, jak prosto z Księgi Powtórzonego

Prawa, opierając się na lasce, obwieścił: „To jest to miejsce”.

Falcon ledwie był w stanie sformułować pytanie.

– Co zobaczyłeś?

– Zobaczyłem dość, przyjacielu. – Odwrócił się do swoich ludzi, powoli wchodzących w mały krąg słońca, w miejscu, gdzie ścięte drzewo odsłoniło kawałek nieba. – To jest Cudowne Miasto. Zbudujemy kościół, wyhodujemy rośliny i będziemy tu żyć w pokoju i obfitości. Nikt, kto tu przyjdzie, nie zostanie odtrącony. Zaczynamy wypalanie.

Tej nocy, pośród dymu i iskier, Caixa przyszła do doktora Roberta Falcona i już nigdy go nie opuściła.

Msza się zakończyła. Kobiety, mężczyźni, dzieci z głowami ściśniętymi drewnem i skórą wyszli z kościoła i, chlupiąc bosymi stopami, wśród srebrzystego wieczornego deszczu przeszli przez wąskie alejki pomiędzy *malocas*, po kostki w płynnym błocie, a przechodząc obok Aiuby, pozdrawiali go dotknięciem czoła. Falcon zanurkował pod ociekającą wodą strzechę. *Iâos*, oblubienice i oblubieńcy świętych, cały czas tańczyli na wypolerowanym stopami glinianym klepisku, każdy i każda z emblematem swojego świętego – mieczem o trzech ostrzach; łukiem myśliwskim; kłami pekari; maską kusacza, suma, żaby. Muzycy na podwyższeniu wprawili się w trans: bębny, gliniane okaryny. Będą grać przez resztę nocy, a *iâos* będą przed nimi wirować, aż padną na bębny, a z dłoni popłynie krew. Wielka kolumnowa hala Nossa Senhora de Todos os Mundos cuchnęła kadzidłem, potem i leśnymi lekami. Falcon przeszedł między tancerzami jak upiór, przystając, by się przeżegnać i ucałować kostkę ukrzyżowanego Chrystusa, pod nogami mającego kobietę w ekstazie, globy w każdej dłoni i na czole; pod jej stopami z kolei była złota żaba – Pani Wszystkich Świątów. I z powrotem na deszcz i przez dziedziniec do przedsionka. *Pagés* czekali na werandzie, złote twarze otwarcie wyrażające podejrzliwość wobec Falcona, zazdrość wobec jego przywilejów.

– Nie widziałem cię podczas mszy, bracie. – Quinn zdjął stułę, ucałował ją, zawiesił na kołku.

– Znasz moje zdanie. Niewiele tu widzę Chrystusa.

W kulminacyjnym punkcie mszy, po wielu godzinach bębnienia i tańców, Quinna poniósł tłum wiernych, przekazując go sobie nad głowami z rąk do rąk, on zaś wykrzykiwał prorocтва. Nawet w najgorszych chwilach Długiego Marszu Falcon nie widział go tak wycieńczonego.

– Jakby moje oczy nie miały powiek. Widzę wszystko i wszędzie. I to mnie trawi, Falcon. Apostołowie byli silniejszymi ludźmi ode mnie; dar Ducha Świętego spala tych, którzy go posiadają.

– Ale to za każdym razem kosztuje cię więcej, czyż nie? Przestań. To cię zniszczy, jeśli nie fizycznie, to przynajmniej w rozumie – powiedział po francusku Falcon.

– Nie mogę – szepnął Quinn. – Nie wolno mi. Muszę tego robić coraz więcej i więcej,

jeśli mam w końcu zamienić bierną obserwację w czyn i dołączyć do innych wędrujących pomiędzy światami.

– To jest kompletny nonsens, ty już popadłeś w obłąd. A *quilombo* brakuje przewodnika, który nim pokieruje.

– Nie jestem jedynym takim podróżnikiem, zresztą, jakże mógłbym być jedyny, skoro na niezliczonych światach bardzo podobnych do tego ojciec Luis Quinn SJ przyjął *curupairę* i wziął w dłonie osnowę i wątek rzeczywistości? W historii zaś musiało być – i będzie – wielu takich, co podróżują między światami i czasami.

– Ależ, Luis, to dopiero jest nonsens. Podróżować w czasie, jakby przechodziło się z pokoju do pokoju? Od razu przychodzi na myśl paradoks: po prostu zdeptując w lesie jednego motylka, w przeszłości, możesz wyzwolić ciąg zdarzeń, wskutek których zaistnienie Luisa Quinna, jezuita, będzie po prostu niemożliwe, a już w ogóle nie będzie mógł podróżować w czasie.

Quinn złożył ręce przed twarzą, jak do modlitwy.

– Oczywiście. A gdzie miałbym się udać, jak nie do tej jedynej chwili, która ukształtowała moje życie? Wszedłem i natychmiast wróciłem do tej gospody w Porto. Spojrzałem sobie w twarz i zobaczyłem własną minę, gdy stanąłem oko w oko z widmowym przybyszem z zaświatów – z jego własną, wychudzoną, postarzałą postacią ubraną w księżą czerń, człowiekiem, który pisze na ścianie „Manę, Tekel, Fares” i idzie dalej. Niewiele trzeba, by powstrzymać rękę, by odstawić na stół śmiercionośny kufel, opuścić kompanów, chwiejnym krokiem wyjść z ciepła na ulicę. Widziałem, jak padam na kolana i błagam o przebaczenie, a niemniej, za każdym razem, gdy przewracam strony z powrotem do obecnego czasu, stwierdzam, że nic się nie zmieniło. Jest w tym jakieś prawo – możemy się cofać w czasie, ale nigdy nie wchodzimy do historii naszego własnego świata, zawsze do jakiegoś innego, takiego, w którym pojawia się niczym zjawa i znikam, by nigdy nie powrócić, naruszyłoby to bowiem reguły tego wielkiego Cenzora, wymagającego, byśmy pisali historię dla innych, lecz nigdy dla siebie.

– Teraz ty mnie obrażasz – rozjuszył się Falcon. – To już jest zupełne szaleństwo. Gdybym miał broń, zastrzeliłbym cię, żebyś nie Zaraził tym szaleństwem innych. Twierdzisz, że fikasz sobie beztrąsko ze świata do świata, z czasu do czasu, samym kaprysem myśli, błędnym ognikiem, ognistym rydwanem – i jednym machnięciem ręki ścierasz cały mój świat – racjonalizm, proces naukowy, cała poznawalność i przewidywalność fizycznego świata staje się tylko pianą złudzeń nad pustką... czarów. Boży kaprys, władza słowa i myśli nad przyziemną rzeczywistością.

– Oj, Falcon, Falcon, a jeśli ten świat jest zbudowany właśnie z czegoś takiego? Ze słowa i myśli?

Falcon walnął pięścią w główny filar chaty.

– To jest prawdziwe, Quinn. To jest rzeczywistość.

Quinn uśmiechnął się słabo.

– Jeśli symulakrum jest odpowiednio szczegółowe, jak możemy to poznać?

– Oj, na miłość boską! – Falcon zerwał się na równe nogi. W drzwiach ukazały się złote

twarze, cofnęły się, gdy łypnął na nie wrogo. – Woda się znowu podnosi. Tylko po to przyszedłem, żeby ci to powiedzieć. Chcę wziąć kanoe i grupę moich Manaosów, żeby porobić pomiary poza miastem.

– Rozmawiaj z Zembą. On przewodzi obronie miasta.

– Życzę sobie rozmawiać z tobą. Życzę sobie, żebyś mnie zapytał, czemu chcę kanoe z obsadą, dlaczego chcę badać podnoszącą się wodę. Stałeś się nieobecny, odległy i wyniosły, Quinn. Obstawiałeś się pułkownikami i doradcami, którzy izolują mnie od ciebie, a także od twoich ludzi.

Zasłona z kory na drzwiach poruszyła się. Wszedł Zemba, jego skóra błyszczała od deszczu.

– Wszystko w porządku?

– Nic się tu nie stało – odparł Falcon. – Ja tylko mówiłem ojcu Quinnowi, że jadę na rekonesans w górę rzeki, żeby zbadać rosnący poziom wody.

– Wszystkie takie ekspedycje muszą zatwierdzać ja, jako odpowiedzialny za bezpieczeństwo.

Falcon zjeżył się.

– Nie jestem twoim niewolnikiem. Dobranoc panom.

ROBERT FRANÇOIS ST. HONORÉ FALCON – DZIENNIK EKSPEDYCJI, 8 SIERPNI 1733

Często mam wrażenie, że jedynym istotnym elementem mego dziennika jest ta data w tytule. Zbyt łatwo te dni zlewają się w wieczną terażniejszość, bez przeszłości, z przyszłością nieodróżnialną od terażniejszości, niepowiązane z ludzką historią. Jednak najważniejszym obowiązkiem kronikarza jest umiejscowić swoją historię w nurcie ogólnego czasu. Piszę więc „8 sierpnia 1733” i łączę się tym samym z ogółem ludzkości.

Jakże dobrze jest być na środku rzeki, w dziesięcioosobowym kanoe, z Juriparim obok mnie, Caixą za plecami, mając przed sobą rozpostarte wszelkie roślinne bogactwa Rio do Ouro. Cidade Maravilhosa stało się dławiące i wrogie, nie w sensie fizycznym, tego nie tolerowałyby nawet Zemba i jego wojskowa koteria, ale w sensie wpływu na moje cechy, mój zawód, moje poglądy. Miasto Cudu jest Miastem Ślepej Wiary. Pokładałem nadzieję w aiuri, tej radzie mądrych indiańskich morbichas i ebomis spośród czarnych zbiegów, myślałem, że pokierują społecznością mądrze i rozsądnie, teraz jednak pod wpływem Zemby zastąpili ich pagés i młodzi wojownicy. To rada, gdzie starsze i rozsądniejsze głowy – do których się zaliczam – są zakrzykiwane przez młodych nadgorliwców. Taka rada nie służy społeczności.

Jest piąty dzień wyprawy, płyniemy teraz z nurtem. Wyruszyliśmy spod cidade z przyzwoitą szybkością, pocieszeni na duchu, i pokonywaliśmy dziennie dwadzieścia francuskich mil w górę rzeki, docierając do górnego Rio do Ouro, niezbadanego dotąd przez żadną paulistańską bandeirę. Są tu plemiona índios, którzy nigdy w życiu nie widzieli białej twarzy, a mimo to we wszystkich napotkanych kanoe – Juripari odkrył, że uproszczony język waika pozwala na podstawowe porozumiewanie się – wiedzieli o Cudownym Mieście i wielkim caraiba, co umie wędrować między światami.

Z początku byłem niepokieszony, stwierdziwszy, że poziom Górnej Rio do Ouro jest niższy niż pod Cidade Maravilhosa, dokładnie odwrotnie niż oczekiwaliby się od rzeki zbierającej wodę przede wszystkim z górnych dopływów. Jednakże prawdziwy uczonek, widząc fakty przeczące teorii, zawsze dostosowuje teorię do rzeczywistości. Kolejne pomiary poniżej miasta pokażą, czy rzeka zbiera się z dopływów dolnych. Mam jeden komplet pomiarów, z miejsca około trzech mil poniżej quilombo, zgodnie z moim uproszczonym schematem dorzecza Rio do Ouro – a około piętnastu mil wzdłuż nurtu rzeki – i wydaje się, że potwierdzają moją ogólną hipotezę. Kolejne pomiary, wykonane w miejscu, gdzie będziemy obozować dziś wieczorem, przypieczętują to...

– *Aïuba!*

Przez stulecia powodzi Rio do Ouro, opływając wysoką skałę, wyłobiła sobie szerokie zakole, niemal zatokę. Kanoe Falcona szło blisko urwiska, po czym wyłoniło się zza niego i stanęło oko w oko z flotyllą. Falcon dostrzegł wiosła, błyszczący mosiądz, odbłask słońca na stali, kapelusze z piórami.

– Szkarłat i żółcień! – krzyknął. – Portugalscy żołnierze!

Manaosi szybko, zręcznie odwrócili się w kanoe i wbili wiosła w wodę. Lżejsza, zwinniejsza łódź Falcona była w stanie uciec ciężko obciążonym wojennym łodziom, lecz miała dużo do nadrobienia; gdy odwrócił się i sam także chwycił za wiosło, by pomóc, tamci złapali za szable. Rozpoczęła się pogoń. Głuche pyknięcie, głośniejsze niż z muszkietu – fontanna wody wytrysnęła o parę długości wiosła na lewo od nich. Kolejne – tym razem dostrzegł, jak kula z wyciem przelatuje nad wodą i odbija się od niej trzykrotnie.

– Do wiosła, jeśli wam życie miłe! – zawołał Falcon. Dobył z kieszeni lunetę.

Sześć obrotowych działek w ciężkich, trzydziestoosobowych wojennych kanoe. Gdy przyglądał się żołnierzom – w każdej z przednich łodzi po kilkunastu, piechota kolonialna, paradne bluzy połatane i poplamione pleśnią po tygodniach na wodzie – działko odezwało się po raz kolejny. Kula odskoczyła od wody z bryzgiem piany, który przemoczył Falcona i przeleciał nad kanoe pomiędzy Juriparim i manaoskim zbiegiem zwanym Ucalayi. Na razie pomagało im, że są wąskim celem, a Portugalczycy strzelają płasko, lecz zaraz kanonierzy nabijają działo nie kulą, lecz siekańcami i urządzają im rzeźnię.

– Caixa! Muszkiety.

Ona już ubijała wyciorem proch w pierwszym z dwóch muszkietów, które udało się Falconowi uratować przed rekwizycjami Zemby. Kobieta z umiejętnościami to bezcenna perła. Falcon wymierzył w czerwono-złotą banderę kapitanatu na rufie środkowego kanoe. Przed nią siedział oficer w galowym mundurze i trójgraniastym kapeluszu z piórami, ponuro ściskając burty kanoe. Falcon rozpoznał kapitana de Araújo z Barro do São José do Rio Negro. Prosty strzał, lecz celownik Falcona przeskoczył na kanoniera w żółtej bluzie pochylonego nad dziobowym działkiem.

– Nie ruszać łodzią!

Wyliczenie było delikatne; nie poruszali wiosłami, więc strzał był pewniejszy, ale z konieczności wchodzili w zasięg strzałów ich muszkietów. Przy pierwszej okazji Falcon z hukiem i chmurą dymu wystrzelił. Przygotowany przez Zembę ładunek wypalił jak należy. Kanonier podskoczył i opadł na dno wojennego kanoe, trafiony idealnie w czubek głowy. Prześladowcy zaryczeli szyderczo. Odpowiedziało pięć folgierzy, kule spadły ze wszystkich stron kanoe, niektóre tak blisko, że chlusnęło wodą do środka. Wioślarze przycisnęli; ciemna rzeczna woda rozstąpiła się przed dziobem. Caixa podała Falconowi drugi muszkiet i zabrała się za nabijanie pierwszego. Muszkieterzy w kanoe z Indianami strzelali teraz na większą odległość, ryzykownie i niecelnie – wystarczało to jednak, żeby i Falcon miał trudności z mierzeniem. I coś, czego się obawiał: wzdłuż łodzi z działkami podawano sobie worki siekańców.

– Nie ruszać, mam go, mam go...

– *Aïuba*, nie możemy już tracić przewagi... – odezwał się Juripari.

– Spokojnie, spokojnie...

Kapitan znalazł się idealnie w jego celowniku. Pozbawić przywódcy to uciąć głowę. Falcon pociągnął za spust. Kurek opadł, zaiskrzył krzemień. Falcon ujrzał, jak kapelusze ulatują z głowy dowódcy do wody; potem żarzące się żagwie opadły na panewki.

– Padnij! Wszyscy padnij!

Woda uniosła się wokół Falcona, jakby pękła niczym szkło, z draśniętych nadburci posypały się drzazgi, lecz kadłub, dzięki Bogu, wytrzymał; kula odbiła się od nieustępliwego pnia drzewa. Westchnienie; Juripari, niepomniernie zdziwiony, że brak mu boku głowy, osunął się do wody.

– Odciażyć łódź! – rozkazała Caixa w *lingua geral*.

Zapasy, woda, drugi muszkiet, wszystkie ładunki i kule poza garstką, jak dla snajpera, wszystko poszło za Juniparim. Falcon patrzył z ołowianym sercem, jak czarna woda zamyka się nad jego wspaniałymi, dokładnymi, cywilizowanymi instrumentami. Zwinął swój dziennik w ciasny walec i wcisnął do bambusowej rury, którą przygotował na takie właśnie okoliczności: została zatkana tak ciasno, że była wodoszczelna, *in extremis* można ją było wrzucić do wody z wątplą nadzieją, że któregoś dnia ktoś ją znajdzie i zwróci do Paryskiej Akademii Nauk. Kanoe pomknęły naprzód. Pirogi wyłoniły się z dryfującej ściany dymu i rzuciły się w pościg. Falcon leżał płasko na rufie, wyglądał znad nadburcia, żeby nie prowokować muszkietierów do nieostrożnych strzałów. Jedna jedyna Caixa wystawiała głowę, wypatrując na *várzei* punktów obserwacyjnych.

– Osłaniajcie mnie! – krzyknęła.

Falcon otarł krople z zielonych okularów i wycelował w pierwszego muszkietera. Broń wypadła żołnierzowi z rąk, rozbita przy zamku. Caixa dotknęła lontu węgielkiem z tygielka Falcona; rakietę sygnałową przeleciała mu z wyciem nad głową i eksplodowała krótkim deszczem gwiazd. Huk przetoczył się nad lasem; z gniazda niezdarnie powypadały spłoszone hoacyny. Żołnierze wymienili migowe sygnały; dwa ostatnie kanoe zawróciły.

Wtem z obu brzegów spadły dwa lśniące bełty, jak grom z jasnego nieba. Przeszyły oba uciekające kanoe. Z lewego dobiegł przenikliwy krzyk. Bełt z balisty przebił indiańskiemu wioślarzowi udo – straszna, śmiertelna rana. Woda zafalowała i rozstała się, wyłoniły się liny. Niewidzialni obrońcy zaczęli przyciągać bezbronne kanoe do brzegu. Żołnierze usiłowali przerąbać liny bagnietami, znaleźli się jednak w zasięgu samopowtarzalnych kusz. Nawałnica bełtów rozprawiła się z załogami, a na tych, którzy rzucali się w wodę, żeby ratować życie, polowali patrolujący brzeg łucznicy. Wysokie do pól uda buty żołnierzy napełniały się wodą i ściągały ich pod czarną taflę.

Pościg przerodził się w pogrom, uwięzione kanoe krążyły, strzelając do *várzei* i usiłując się wycofać. Dwa razy jeszcze wypaliły balisty Zemby, raz przewracając całe wielkie kanoe. I żołnierze, i *índios* zawyli żałośnie, gdy wojownicy Iguapá weszli po pas do wody, strzelając do nich jak do ryb zatrutymi strzałkami. Falcon stwierdził, że cały dygocze z podniecenia i czystej, beznamiętnej skuteczności, z jaką obrońcy Cidade Maravilhosa zabrali się do wycinania napastników w pień. Jednak jego radość była niepełna i krótka.

Bo choć żołnierze Zemby odparli atak wodą, najemni *caboclo* i *índios* tymczasem napadli i podpalili uprawy manioku.

Chłopak popychał pirogę drągiem pomiędzy drzewami. Olejowa lampka na dziobie – knot osadzony w glinianym naczynku – rzucała odblaski na czarną jak noc wodę. Oczy kajmana błysnęły czerwono i schowały się pod wodę. Pośrodku kruchej łupinki stał Luis Quinn, ciemny na tle ciemności. W oczach chłopca płynął ponad zatopionym lasem. Nad wodą niosły się strzępy głosów, ożywionych i zniecierpliwionych; światła obserwatorium to ukazywały się, to chowały, gdy chłopiec lawirował pomiędzy korzeniami i figowcami. Ryba wyskoczyła z wody, chlupnęła, błysnąwszy bladym brzuchem.

– Tutaj – powiedział cicho Quinn.

Piroga zatrzymała się bez jednej fali. Quinn wysiadł do sięgającej mu po kolana wody i poszedł ku światłu i głosom. Obserwatorium zbudowano na wzniesieniu, żeby miało niczym nieprzesłonięty widok nieba; teraz była to jedyna ważniejsza budowla powyżej poziomu wody, zatem to w nim naturalnie zebrali się *aîuri*. Gdy brnął przez wodę, a sutannę oblepiały mu liście, w polu widzenia Quinna migotały inne światy, tak bliskie, że można by ich dotknąć. Wodne światy. Głosy rady było już wyraźnie słychać.

– Do rana przeleje się przez wały. – Wchodząc do obserwatorium, usłyszał melodyjny głos Zemby.

– Niech Bóg i Najświętsza Paniienka mają w opiece nas wszystkich.

Aîuri Cidade Maravilhosa zasiedli w demokratycznym kręgu na podłodze wielkiego pomieszczenia. Wokół nich jak armie mrówek kłębiły się obliczenia i twierdzenia Falcona. Quinn strząsnął z nóg przemoczone skórzane sandały i zasiadł pomiędzy nimi. Z rąbka czarnej szaty na drewnianą podłogę kapała woda. Radni przeżegnali się.

– To jest zdecydowanie wywołane sztucznie – powiedział Falcon łamanym *lingua geral*. Nawet w słabym świetle palmowych lampek nosił swoje okulary. Quinn zauważył Caixę kucającą w głębszym cieniu pod ścianą chaty. Służebnicę. – Gdyby mojej ekspedycji pozwolono kontynuować zgodnie z planem, bez wątpienia dotarlibyśmy do... do... – wtrącił francuskie słowo.

– Do tamy – powiedział Quinn w *lingua*.

– Tak, do tamy. Jest oczywiste, że Rio do Ouro przegrodzono tamą po to, żeby zalać *quilombo* i nas pokonać – odparł Falcon. – Zbudowanie takiej konstrukcji, bo przeliczyłem sobie wstępnie, jaka potrzebna jest wielkość i siła, wymaga armii robotników. W pobliżu mamy tylko jednego człowieka, który może zapędzić do pracy całe narody.

– I do wojny – dodał Zemba. Zwrócił się do Quinna: – Czy Mair widział? Mair tam był, kiedy portugalskie robaki paliły nasze zbiory? Myślałem, że cię tam zobaczymy, jak prowadzisz nas do bitwy, niosąc wysoko krzyż. Lecz ja cię nie widziałem. Ktoś widział Maira? Ktoś z obecnych?

Młode koguty Zemby zapiwały za jego plecami. Quinn zwiesił głowę. Spodziewał się tej reprimendy; była słuszna i sprawiedliwa, lecz jego duma, przeklęta, szatańska duma wciąż chciała podnieść głowę. Dostrzegł w dłoni cynowy kubek, jak widział go w wielu światach – w światach, w których powstrzymał się od zabójstwa; jednak w tym świecie nic

nie dawało się zmienić.

– Mnie... nie było.

Pochwycił zdziwione spojrzenie Falcona. Między *añuri* przeszły szmery; zakołysali się i poruszyli na cienkich, wypchanych kapokiem poduszkach. Olejowe płomyki pochyliły się na knotach, gdy obserwatorium zakołysała nagły ciepły powiew.

– Musicie mi zaufać: nasze trudności to jedynie fragment większego konfliktu, wojny toczonej we wszystkich światach i wszystkich czasach, tak potężnej, że nie jestem w stanie objąć jej rozumem.

– Aha, trudności. No, to wszystko tłumaczy.

Pomiędzy światami przeskoczyły płomienie.

– Nie jestem w stanie wam tego wyjaśnić. Sam to ledwo rozumiem. Nic nie jest takie, jakie się wydaje. Nasze istnienie to mgła złudzenia, a mimo to w tysiącu światów widzę *quilombo* pomiędzy ogniem i wodą, pochodnią i powodzią.

Konsternacja wśród starszych, gniewne pomruki wśród młodszych mężczyzn.

– I znalazłeś rozwiązanie wśród tych tysięcy światów?

Mimo wszystkich swoich piór i ozdób Zemba wydał się teraz mały, skurczony, rozpaczliwie próbujący odzyskać u swoich ludzi dawny status. W takich momentach właśnie jesteśmy najniebezpieczniejsi, pomyślał Luis Quinn – szermierz – gdy na oczach przyjaciół depcze się naszą dumę.

– Bo jeśli dobrze rozumiem, armaty portugalskiego kapitana i ludzie Diego Gonçálvesa mogą bez problemu przepłynąć przez nasze umocnienia i wybić nas do ostatniego dziecka.

– Nie muszę iść pomiędzy światy, żeby znaleźć na to odpowiedź – odparł Quinn. – Doktorze Falcon.

Francuz poprawił okulary na nosie.

– To bardzo proste. Tama musi zostać zniszczona.

Młodzi agresywni zaczęli wykrzykiwać pytania.

– Cisza – zagrzmiął Zemba. – A jak można to zrobić?

– To też jest proste. Odpowiedni ładunek prochu, umieszczony w punkcie tamy, gdzie jest największe ciśnienie hydrostatyczne, spowoduje przerwanie, które szybko zniszczy ją w całości.

Zemba przysiadł w kucki, podpierając się łagą.

– A ile prochu potrzeba?

– To też policzyłem. To prosta analiza liniowa; z każdą godziną ciśnienie na tamie narasta, zmniejszając ilość potrzebnego materiału wybuchowego. Jednakże z każdą godziną atak robi się coraz bardziej prawdopodobny; jeśli zaatakujemy w ciągu jutrzejszego dnia, sądzę, że zawartość naszej prochowni wystarczy, żeby przerwać tamę.

– Czyli cały nasz proch.

– Tak właśnie mówią obliczenia.

– Nasza artyleria, muszkiety...

Falcon pomagał wcześniej *quilombistas* wciągnąć potężne mahoniowe działo po śliskich, błotnych stokach wzgórza zwanego Nadzieją Świętych. Teraz mówił Zembie, że

działa są bezużyteczne – gorzej niż bezużyteczne, bo zajmują ważne strategiczne pozycje.

– A jeśli nie wystarczy, będziemy bezbronni.

– To obliczenie już nie do mnie należy.

Zemba zaśmiał się tubalnie, aż zatrzęsł się cały dom.

– *Aîuba*, dajesz mi do wyboru niewielką szansę i żadnych szans, tylko o włos lepiej niż porażka. A jak mamy ten ładunek tam dowieźć?

– Cały nasz magazyn da się przewieźć w sześciu dużych wojennych łodziach.

– Będziesz mieć najlepszych sterników – powiedział Zemba i machnął ręką na swojego przybocznego, który natychmiast zniknął z obserwatorium.

– Z konieczności będą musieli płynąć nocą... nasz wróg bez wątpienia już posuwa się bazyliką i flotą wojenną w górę rzeki. A pod tamą... – Falcon pokręcił głową. – Gdy ją zobaczę, zapewne szybko będę mógł obliczyć najsłabszy punkt konstrukcji.

– Oczywiście, ojciec Gonçalves nie zapomniałby o postawieniu tam strażników właśnie na taki wypadek – powiedział Luis Quinn. – Doktorze, będziesz liczyć, a tam tymczasem odbędzie się walka. Nie, tam jest potrzebny ktoś, kto natychmiast zobaczy, w którym miejscu podłożyć ładunek.

Po kręgu *aîuri* przeszły krzyki niepokoju i protestu.

– Cisza! – zagrział raz jeszcze Zemba. Uderzył laską władzy w deski podłogi. – Mair ma rację.

– Ja będę wiedział, gdzie podłożyć proch; ja będę wiedział, gdzie Gonçalves ustawił strażników. I choć przysięgłem nie dotykać miecza, bywają czasy, gdy trzeba przysięgę odłożyć na bok. Bóg potępi mnie bardziej, jeśli sprzeniewierzę się danemu słowu czy jeśli nie obronię swojego ludu? – Po czym mruknął po irlandzku: – Proszę o najtrudniejsze z zadań.

– Postanowione – powiedział Zemba. – Atak na tamę poprowadzi Mair. Przygotuję proch, kanoe i najlepszych wojowników, tyle stali, ile jesteśmy w stanie dać. Sam zaś przygotuję się do obrony Bożego Królestwa. Niech nas mają w opiece Jezus Chrystus i Święta Pani.

Aîuri rozeszło się, starsi zdrtwili od siedzenia na podłodze.

– Luis. – Falcon podał Quinnowi krótką, grubą bambusową rurę na plecionym sznurku. – Przechowasz to dla mnie?

– A co to jest?

– Historia *quilombo* Cidade Maravilhosa; niekompletna i w podłym stylu, zbyt emocjonalna i pozbawiona jakiegokolwiek naukowego obiektywizmu, niemniej prawdziwa. Jeśli nie uda się przerwać tamy, jeśli ładunek okaże się za mały; jeśli, Boże broń, zawiedziesz, wrzuc to do rzeki i pomódl się do Boga, który nam jeszcze pozostał, by szczęśliwie wylądowało w czyichś rękach.

Przez plecione ściany przesączał się poblask wczesnego świtu. Quinn zapalił cygaro.

– Ostatnie na jakiś czas – rzucił.

Falcon poczuł na ramieniu dotknięcie: Caixa, jej złota twarz mówiła mu, że według niej zrobił wszystko, co mógł, i niczego więcej od niego nie chce. Zastanowił się, czy ona nie

jest czasem przy nadziei. Pod jaśniejącym niebem rozległ się okrzyk, ptaka, ale nie ptaka z *várzei*. Podjął go drugi głos, potem trzeci, aż korony drzew rozbrzmiały jazgotem, niczym wyciem małp. Zemba podbiegł do balustrady, wyciągnął lunetę, lecz Falcon już obrócił wielki teleskop obserwatorium i przepatrywał nim linię horyzontu pomiędzy bocianimi gniazdami strażników Cidade Maravilhosa. I krzyknął. W obiektywie, odległe, ale rozświetlone wschodzącym słońcem, szły do nich anioły – ogromne anioły w czerwieni, zieleni i niebiańskim błękicie, z orężem świętej wojny w dłoniach. Sunęły ku nim ponad koronami drzew.

**ŚWIĘTA PANI
WSZYSTKICH ŚWIATÓW**

11 CZERWCA 2006

Wypalone szkielety maszyn budowlanych wciąż dymiły, pomarańczowa farba poczerniała i była złuszczone do gołego metalu. Już dobrali się do nich *pichaçeiros* ze swoimi niespożytymi małymi wałeczkami. Ja, ja, ja. Wołanie z Rocinhi do całego świata. Betonowe bryły muru wytrzymały ogień, wytrzymały nawet młoty pneumatyczne, wykruszone do prętów zbrojeniowych, ale wciąż niepokonane. Więc je skolonizowano. Co dziesięć kroków czarny znak ADA, Amigos dos Amigos, obejmujący teren w posiadanie. Walczyło z nim czerwone logo CV, Comando Vermelho – oba graffiti starały się zamazać nawzajem. Wojny feudalnych panów – wielka fawela była jednym z ostatnich ocalałych średniowiecznych miast-państw. Sto dwadzieścia pięć tysięcy ludzi żyło udrapowanych na tym siodle pomiędzy dwoma potężnymi *morros*; bloki pięły się do jedenastu pięter, balkony obwieszane praniem, spoglądające z góry na mniejsze wieżowce bogatych São Conrado i Gávei. W zaułkach i *ladeirach* kłębiły się jak szczury białe plastikowe rury wodociągowe i czarne kable energetyczne, zwieszające się z przechylonych słupów tak nisko, że nawet dzieciaki w inteligentnych szkolnych koszulkach i dresowych spodniach musiały kucać, żeby przejść pod nimi.

Policja nawet nie spojrzała, gdy Marcelina Hoffman przyłączyła się do tłumu idącego w stronę ulicznego targowiska. Za nowym murem faweli biali wcale nie byli rzadkością, nie większą niż w mieście. Każdy mógł tam wejść – ludzie z São Conrado też gdzieś muszą chodzić po tanie mięso i kokainę. Mur był tylko po to, żeby chronić przejeżdżające samochody przed rykoszetami i zabłąkanymi kulami. Żadnego innego powodu, tylko strzelaniny, zabłąkane kule. Każdy może stąd wyjść, o dowolnej porze, w godzinach pracy. Pięknie umięśnieni surferzy szli z deskami pod pachą na plażę pod Barra da Tijuca. Japonkami miażdżyli odłamki szkła i puste łuski. Policja patrzyła na nich raczej z zawiścią niż wrogością. Słońce prażyło, niebo było błękitne, była fala i był spokój, jak na Rocinhę.

Z dziesięciu okien i werand dolatywało dziesięć różnych reggae; z rana znów spadł deszcz, tworząc kałuże na foliowych dachach straganów, zamienionych w zdradliwe rzeki, wylewające się przez krawędzie płacht na spłoszonych, roześmianych kupujących. Marcelina przycisnęła się do stołu, na którym leżały całkowicie rozczłonkowane dwa jagnięta – przejeżdżała wycieczka, bladzi jak ściana *gringos* w dwóch hummerach koloru khaki, z otwartym dachem, opancerzonych jak na Bagdad. Obdarte ze skóry owcze czaszki szczyrzyły diabelskie siekacze, gałki oczne wybałuszały się: *LOIRA*. Miały rację; zjeżdżała cały zielony glob, była nawet po drugiej stronie mostu Tijuca, ale po raz pierwszy obcas jej Manolo powstał w faweli. Marcelina dorastała u podnóża wielkiej Rocinhi, mimo to była tu turystką, tak samo jak ci *ianques* w pancernych wozach do zwiedzania. I pomyślała: czemu właściwie my się wstydzimy? Czemu potępiamy tych turystów w jeepach z pałkami, którzy jadą przez targowisko, jakby byli na safari; Brazylia walczy z

niepowstrzymaną falą fawelizacji; burzymy te rudery, stawiamy mury i tworzymy nowe oficjalne *bairros*, jakbyśmy maskowali tatuażem blizny po okropnej chorobie wieku dziecięcego, jednej z tych, które *ianques* zlikwidowali dziesiątki lat temu. Nie chodź do nich, nie patrz na nich, nie mów na nich, jakby to byli jacyś debile w rodzinie, taśmą klejącą przywiązani do łóżka w ciemnym pokoju; ale oni nie są przeszkodą na drodze Brazylii do przyszłości. To właśnie oni są przyszłością. Oni są naszym rozwiązaniem na ten wiek, pełen strachu i niepewności.

Sklepek z komórkami. Człowiek lepiący maniokowe placki na małym przeszkłonym wózku. To jest to miejsce. Marcelina oparła się o witrynę i obserwowała krzątanicę Rocinhi. Wszystkie te światy, oddzielne lecz przenikające się. Czuła się dumna z własnego filozofowania. Godne samego Heitora.

Mototaksówka minęła ją raz, zawróciła, wróciła. Motocyklista, szczupły chłopak barwy *morena-fechada*, w tutejszym mundurku, składającym się z bermudów, koszykarskiej koszulki i japonek, zahamował tuż przy niej.

– Ty jesteś Físico – powiedziała Marcelina.

– Pokaż mi – rozkazał chłopak.

Marcelina wyciągnęła żabkę, którą kupiła w drogim sklepiku z czekoladą w Centro. Moto-chłopak czekał. Rozwinęła złotą folię i wetknęła czekoladkę do ust. Nadtopiona od upału, zostawiła jej na dłoni ślad, niczym trop jakiejś zwierzyny łownej. Chłopak kiwnął głową, niech wsiada na siodełko pasażera. Oplotła go rękoma w talii, on klaksonem przebił się przez tłum kupujących. Po drugiej stronie asfaltowej serpentyny Estrada de Gávea mototaksówka poczuła się w swoim żywiole, jak małpa, wśród stromych zaułków zygzakujących pomiędzy surowymi, szarymi, popstrzonymi graffiti blokami. Amigos dos Amigos. Minęło pół roku odkąd Bem-Te-Vi padł z rąk policji, tych ostatecznych rozstrzygających w wojnach pomiędzy narkotykowymi baronami, jednak CV, przejmując teren, tak naprawdę nie wyszła poza główne arterie. Średniowieczne prywatne armie walczące dla feudalnych panów o panowanie nad renesansowymi miasteczkami na wzgórzach. Miały nawet mury obronne. I telefony komórkowe. I działającą kanalizację i wodociągi.

Psy skakały i ujadły; kobiety dźwigające pod górę plastikowe reklamówki usuwały się na bok, między schodki prowadzące do bloków; w pokojach od frontu paliły dziewczyny, strzepując popiół pomiędzy żaluzjami w oknach. I wszędzie dzieci, dzieci, dzieci. Marcelina przekrzykiwała wycie mozolącego się silnika:

– Naprawdę jesteś fizykiem?!

– A czemu nie? – odparł chłopak, skręcając w jeszcze bardziej stromą *ladeirę*.

Motor podskakiwał na płytkich, zdeptanych stopniach. Palce nóg Marceliny ocierały się o mokry od deszczu beton.

– A niczemu. Tylko to się wydaje trochę, ten... – Obojętne, co powie, pokaże tylko swoje uprzedzenia dziewczyny z Zony Sul. Dlaczego fizyk od Pędowej Grawitacji Kwantowej nie miałby mieszkać na Rocinhi?

Znaleźli się już wysoko, pomiędzy ruderymi oblepiającymi niemal pionową skałę widać

było linię drzew. Marcelina spojrzała na połąć płaskich dachów, pełnych niebieskich zbiorników na wodę, talerzy satelitarnych i sznurów z praniem. Fawela była dziko, niekontrolowanie płodna; powyżej linii zabudowy wyrastały nowe domy, nowe sześciany z cegły i betonu, palety cegieł i zaprawy unosiły się na bloczkach ku półnagim murarzom. Físico zatrzymał się przed narożną *lanchonete*, tak nową, że Marcelina czuła zapach świeżej farby. A i tak Comando Vermelho już obsikało teren, malując czerwone „CV” na ochrowej ceglanej ścianie. Właściciel skinął głową; bosonogi chłopczyk wyskoczył na zewnątrz, żeby popilnować motocykla.

– Dalej na piechotę.

Pomiędzy oknami i drzwiami ział ciemny podcień. Za metalowymi kratami ryczały telewizory; Marcelina zauważyła, że ani jeden nie był nastawiony na ostry, głośny Canal Quatro. Niespodziewane schodki wyszły na małe podwórko; ustawione nierówno jedno na drugim mieszkania wyzierały ciekawsko na otwartą przestrzeń. Na kłębowisku kabli elektrycznych, napiętych, jakby podtrzymywały całą konstrukcję, przysiadły dwie papugi. Teraz w dół, kolejnymi schodkami, do ciemnego korytarza, obok malutkiego, oświetlonego neonem barku z siedzeniami wbudowanymi w ścianę zaułka, naprzeciwko blaszanego kontuaru. Mostek przecinał strumień pogrzebany pod betonowymi fundamentami faweli, bystry i spieniony, spływający z zielonego, wilgotnego *morro* do kanału. W górę, jeszcze wyżej, w przesmyk jeszcze węższej i jeszcze bardziej stromej *ladeiry*. Físico uniósł rękę. Marcelina poczuła ciężar i życie faweli w dole; tutaj, na górze, na samym szczycie Rocinhi, byli chyba tylko we dwoje. Puste, ciemne bloki mieszkalne, niesamowite w swoim milczeniu. Jeszcze wyżej i wyżej, jak w opowieści Raimundo Soaresa o Beckhamie. Nagle usłyszała głośny stukot, rytm, od którego dostała gęsiej skórki. Piłka do nogi spadła na szczyt *ladeiry* z wysokiego piętra, odbiła się, trafiła w ścianę i zaczęła zeskakiwać zygzakiem po stromych stopniach. Físico wszedł pod nią, złapał. Gestem zaprosił Marcelinę na górę. Wyszła za zakręt *ladeiry*. Na górze stromych schodów, ciemny na tle intensywnie błękitnego nieba, stał Moaçir Barbosa.

Człowiek, przez którego płakała cała Brazylia.

W ciągu dziesięciu lat wspinania się po szczeblach hierarchii Canal Quatro, od gońca po samodzielnego producenta, Marcelina siłą rzeczy stykała się z eklektyczną kolekcją sław – Christina Aguilera, Shakira, Paris Hilton, nawet Gizele Bündchen, Ronaldo, Ronaldinho, cały zespół CSS, Bob Burnquist, Iruan Ergui Wu i tyle aspirujących gwiazdek pop i aktorzyn z telenoweli, że nie była w stanie ich spamiętać. Tremy wobec nich wyzbyła się już za pierwszy razem, gdy musiała zorganizować wszystko, czego zażyczyła sobie w kontrakcie rozpuszczona celebrytka – taka marka wody, w takiej temperaturze oraz krewetki dla pieska. Wiele imponowało, ale żadna nie budziła podziwu, póki Moaçir Barbosa nie wyszedł z legendy i nie zasiadł za stolikiem w Fundação Mestre Ginga. Przełknij ślinę, powstrzymaj łzy. W dzieciństwie zerwano ją z łóżka, żeby mogła spojrzeć na Franka Sinatrę, ale tamte błękitne oczy nie poruszyły jej tak, jak Barbosa, siadający ciężko, z bólem, w aluminiowym krzeselku. To była śmierć i zmartwychwstanie; ten człowiek w jasnym garniturze przecierpiał piekło i wrócił. Zupełnie jakby sam Jezus

zmarłychwstały zszedł ze swojej góry ponad tym chłodnym, chłodnym domem.

– Czytałaś? – Położył palec na księdze.

– T-trochę. Niedużo. – Jąkała się. Jak trzeciego dnia w pracy, gdy wybałuszała oczy na Mariah Carey.

– Będzie musiało wystarczyć. – Barbosa wsunął książeczkę za pazuchę. – Tak naprawdę tylko po nią przyszedłem. I widzisz, znalazłaś mnie, ale narobiłaś wszystkim strasznych kłopotów, a sobie to już w ogóle. I nic pożytecznego z tego nie wynikło. Ginga jutro cię przyprowadzi i zajmiemy się tym.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Narobiłaś bałaganu, będziesz musiała go posprzątać. – Barbosa wstał tak samo sztywno, jak siadał, a mimo to, jak wszyscy dawni sportowcy, miał w sobie jeszcze sprawnego ducha, zwinną i zgrabną *orixá* szybkiego jak kot bramkarza. Na odchodnym, w drzwiach, rzucił jeszcze pytanie: – Ty byś to zrobiła?

– Co takiego?

– Postawiłabyś mnie przed sądem, tak jak Soares naopowiadał po gazetach?

Marcelina po raz pierwszy w życiu poczuła, że zawodzi ją zawodowa umiejętność kłamania.

– Tak. Od początku taki był pomysł.

Barbosa zaśmiał się. Jedno tubalne parsknięcie.

– Myślę, że okazałoby się, że to ja postawiłem Brazylię przed sądem. Jutro. Nie jedz za dużo i nie pij alkoholu.

– Senhor Barbosa...

Starszy pan zatrzymał się w drzwiach.

– Czy to prawda? Z tymi słupkami od bramki...

Uśmiech.

– Nie należy wierzyć we wszystko, co opowiada Soares, ale tanie znaczy, że to wszystko kłamstwa.

Górna Rocinha otworzyła się przed bramkarzem Barbosą. Na podejrzanych ulicach pootwierały się drzwi, rolety, kraty i siatki. Chude jak patyki młodociane matki z dziećmi na biodrach witały starszego pana; młodzi, hardzi faceci z tatuażami *soldados* nad tyłkami z szacunkiem mówili mu „Dzień dobry”. Barbosa uchylał kapelusza, uśmiechał się, wziął sobie *pão de queijo* z bufetu, *cafezinho* z wózka. Físico deptał mu po piętach.

– Nie chce mi się stąd wyprowadzać. Dobrze się tu mieszka, ludzie mają czas, troszczą się o siebie nawzajem. Za stary już jestem, dość się przeprowadzałem, potrzeba mi było wreszcie trochę spokoju. Pięć lat dobrze mi się żyło, wygląda na to, że więcej chcieć nie powinienem. Trzeba mi było powiedzieć Feijão, że umarłem.

Marcelina zapytała:

– A czemu pan musi się wyprowadzić?

Barbosa stanął.

– A jak myślisz? – Wrzucił pusty plastikowy kubeczek do paleniska dogładanego przed dwóch małych chłopców. – Powinniście być teraz w szkole, uczyć się czegoś pożytecznego, jak moja koleżanka – powiedział do nich. – No cóż, teraz chociaż zrozumiałaś.

– *Curupaird*, Zakon? Wcale nie...

– Cicho bądź. Nie mówi się o tym przy niewiernych. I wcale nie o to mi chodziło. Zrozumiałaś, jak to jest: mieć wszystko, być królem Głowy Cukru, a potem mieć wszystko odebrane, tak że nawet najlepsi przyjaciele się do ciebie nie odzywają.

Ale rodziny ci nie zabrali, pomyślała Marcelina. Rodzinę ci zostawili.

Co za zbieranina ten spiszek – znieawidzony mundialowy bramkarz, fizyk z faweli, *mestre capoeiry* w średnim wieku no i jeszcze producentka telewizyjna ze zniszczonym życiem. Konstrukcja z byle czego nad niezmierną otchłanią, tym był ten świat: ulice, spódnica dachów rozpostarta pod nimi niczym komunijna sukienka, błękitne morze, błękitne niebo, zielony las na wzgórzach, nawet futbolówka, którą Físico niósł z niezdatnością młodego kujona, wszystko to było plecionką ze słów i liczb. Pod tym lazurowym niebem solipsyzm wydawał się taki bezsensowny. Ale w takim świecie się znalazła, a intryga była w sam raz nieporadna i niepewna, jakby i źli, i dobrzy nie do końca w nią wierzyli. I bohaterowie, i złoczyńcy ledwo co nadający się do swoich ról – tak to właśnie działa w prawdziwym świecie. Rozwiązanie godne faweli, zaimprovizowane ze znalezionych materiałów.

Físico otworzył małe, zielone drzwi w nowej murowanej ścianie i zapalił gołą żarówkę.

– Poczekaj tutaj.

– Ciasno tu trochę.

– Nie będzie długo.

– Musimy parę spraw załatwić – dodał Barbosa.

Marcelina usłyszała szczęknięcie kłódki na skoblu.

– Ej! Ej!

Klitka miała betonową podłogę, byle jak pomalowane, chropowate ceglane ściany, dwa ogrodowe krzeselka i lodówka do piwa wypełniona wodą w butelkach, podłączona z boku do kabla z żarówką. Drzwi z nierówno pokrytych farbą desek przybitych do belek w kształcie litery Z, mimo to tłumiące uliczne odgłosy równie skutecznie jak głuchota. Przez szczeliny między deskami przeświecało światło. Samotna wśród swoich lęków, pomyślała Marcelina. O to właśnie chodziło. *Descanso* – ostudzenie głowy. Miejsce gdzieś pomiędzy, w mroku własnej czaszki. Minęło pół godziny. To była próba. Przejdzie ją, ale nie tak, jak by sobie życzyli. Wyciągnęła cyfrowy notatnik i rysik.

Kochany Heitorze.

Skreśl to.

Heitor.

Zbyt obcesowe, jakby wołać psa.

Querido. Nie. Hej. Zbyt młodzieżowe. Witam. Zbyt e-mailowe. Coś jak SMS-owe skróty Adriano.

Powiedziałam, że nie będę się kontaktować i po tym poznasz, że to naprawdę ja. Wreszcie zabrzmiało jak Marcelina Hoffman. Piszę, bo możliwe, że już nigdy się nie zobaczymy. Naprawdę nigdy. Zbyt melodramatycznie. Co, musi go chwycić pierwszym zdaniem, tak jak przy sprzedaży programu? Rysik zawisł nad ikonką pogrubiania. To ma... co to ma być właściwie? Wyznanie?

List miłosny.

Niech tak będzie.

Dzięki temu jest mi łatwiej, bo to takie tchórzliwe wyjście; nigdy nie będę się musiała zmierzyć z tym, co tu do Ciebie napisałam. Gładkie słowa, ale to prawda: przeczyta to i powie: „Cała Marcelina”. To głupie: siedzę tu i próbuję coś do Ciebie napisać, i do głowy przychodzi mi tyle rzeczy, jedna za drugą, ale tym razem własna ręka nie pozwala mi w nie do końca uwierzyć. Śmieszne, co? Potrafię przekonać kogoś do całej masy pomysłów, w które tak naprawdę nie wierzę, ale kiedy przychodzi do pisania o czymś ważnym, czymś prawdziwym, nagle się blokuję.

Zdradziecka ręka znów się zawahała, z rysikiem gotowym, by usuwać. W co niby nie wierzy? W tego wielkiego, staromodnego, prostodusznego, ponurego, romantycznego, pesymistycznego, pełnego nadziei i katastrofalnie niemodnego prezentera wiadomości z kwadratową głową. W jego książki. W jego gotowanie. W jego wina, jego czas, jego zdolność słuchania. Jego wielkie, delikatne dłonie. Jego upodobanie do deszczu. Jego wieczną dostępność, o ile pozwoli sytuacja krajowa i międzynarodowa. Jego o wiele zbyt dużo garniturów i koszul i wiecznie przyzwoitą bieliznę. Jego erotyczność, nienowoczesną i nienarzucającą się, za to w starym, dobrym stylu burleskową, zdeprawowaną, dekadencją. Bardziej brudną i bardziej romantyczną.

*Zobaczyła, jak rysik pisze: *Dzięki Tobie czuję się kobietą*. Omal nie skazała tego na niebyt. Ale to prawda. Naprawdę. Tyle czasu paliła ją żrąca zawiść wobec sióstr, ich mężów, ich poczucia bezpieczeństwa, że nie dotarło do niej, że sama ma mężczyznę, ma poczucie bezpieczeństwa; nowoczesny związek, nie coś z półki z poradnikami, podpisanej „XXI-wieczna panna młoda” albo „Hot Teenz”. Dojrzała relacja, wyrosła ze współdzielonych godzin pracy i części ciała, a jednak: mężczyzna, związek, miłość.*

*Dłoń jej zadrżała. Pisała powoli: *Wiesz dobrze, że wpakowałam się w coś bardzo niedobrego – gdybym Ci powiedziała, co to jest, tylko byś się przeraził, a i tak nie byłbyś w stanie nic zrobić. Teraz wszystko zależy tylko ode mnie. I strasznie, strasznie się boję. Nic nie poradzę. Okazało się, że muszę grać heroinę, a to nie jest rola dla mnie. Ja specjalizuję się w menelach z przyczep kempingowych od Jerry’ego Springera i aferach z celebrytkami klasy Ż. I okazuje się, że nie ma żadnych gotowych scenariuszy, wszystko muszę wymyślać na bieżąco. Jednak robiłam to przez całe życie. To właśnie umiem najlepiej. I umiem to sprzedać. Ale naprawdę nie wiem, jak się to wszystko skończy. Nie chcę o tym myśleć. Barbosa: to naprawdę byłby program stulecia, ale zupełnie inny, niż**

wszyscy myśleli. Naprawdę mogłabym być dumna.

Niezbyt to wygląda na list miłosny. A może jednak tak? Taki typowy dla Marceliny list miłosny, dwie strony mendzenia i stękania o sobie, a na końcu dopisek: *Tak swoją drogą: kocham Cię. Chyba od bardzo dawna Cię kocham. A Ty też tak masz? Potrafisz kochać kogoś, nie wiedząc o tym?*

Byłoby naprawdę świetnie, gdybyśmy oboje tak mieli, czysto, schludnie, nic z tych żenujących wariactw, żadnego wydzwaniania i zasypywania SMS-ami. A potem oczywiście zaczynam myśleć: czy to mnie kochasz? I nie wiem, która z tych odpowiedzi jest gorsza: w jednym wypadku jestem głupia i Ci się narzucam, a w drugim ja nie wiedziałam, a Ty nie powiedziałeś. Ech! Muszę lecieć. Kocham Cię. Życz mi powodzenia. Niestety, chyba nie jestem dobrą super bohaterką.

Kciuk czekał nad przyciskiem „Wyślij”. Przydałoby się coś lepszego. On zasługiwał na coś lepszego. To Lisandry umawiały się e-mailami i zrywały SMS-ami. Pokaż, że masz trochę *malicii*.

Skrzypnięcie, bolesny klin światła rozszerzył się do równoległoboku dnia. Físico stanął w świetle. Marcelina pstryknęła „Zapisz” i wsunęła notatnik do torebki.

– No dobrze – powiedziała. – To chodźmy.

Bateria grała już od dwóch godzin, miarowe, dwutonowe cykanie *agogô* zaczęło się jeszcze przed zachodem słońca i rozeszło po mieście siecią komórkową – jako wezwanie do modlitwy. *Barracão* Kościoła Świętej Curupairy było dużym salonem na pierwszym piętrze nowego bloku mieszkalnego. Zwinięto tanią wykładzinę, meble zsunięto pod ścianę. Składany kuchenny stolik służył za ołtarz ustawiony pod wielkiri oknem z zapierającym dech widokiem w dół rozświetlonej Rocinhi, aż po wieżowce São Conrado. Przykryto go jasnozłotym obrusem, na którym rozstawiono *assentamento* – kawałki ciasta, stożki żółtej farofy, spodeczki z piwem, małe pomarańcze z powtykanymi kadzidełkami. Medaliki, nalepki z piłkarzami, losy Jogo do Bicho{9}, centavos i papierosy. Powietrze było duszne, aż bolała głowa od kadzidlanego dymu sączącego się ze skradzionych z kościołów kadzielnic oraz pachnących świec w szklanych słojach. Ołtarza pilnowali przysadziści święci i *orixás*; większość miała indiańskie rysy i trzymała w dłoniach amazońskie rośliny i zwierzęta, a pod stopami – węże i kajmany, niczym atrybuty hinduskich bogów. Jedyna nieznaną Marcelinie postać była prawie naturalnej wielkości podobizną Indianki, nagiej, lecz pomalowanej złotem, i owiniętej, niczym symbol dolara, wężogłowym pnączem w kształcie litery S. Żonglowała planetami. Marcelina rozpoznała Saturna po pierścieniach, Jowisza – po sterczących na patyczkach księżycach. Pani Wszystkich Światów. Głowa węża przyciskała się do jej wżgórka łonowego. Figura miała sporo lat, drewno było popękane, upstrzone dziurkami po kornikach, jednak sam styl i staranność wykonania zdradzały pochodzenie z czasów wiary objawionej. Sprzątacze zamiatali podłogę, dwóch małych uliczników z miotłami z gałązek. Szmer świętego oczyszczenia uspokajał

Marcelinę.

Bateria zajmowała lewy róg sali pod oknem, bębniarze byli już mocno zaawansowani w improwizacji, zmieniali tempo, robili liczne przejścia. Drzwi do kuchni naprzeciwko prowadziły do zaimprovizowanej *camarinhi*. Marcelinę, jako kandydatkę na *zembę*, wpuszczono do *fundamentos*, które na oko składały się z Barbosy, siedzącego przy blacie, z kawą, i czytającego z komórki wyniki meczów piłkarskich. Obok kuchenki gazowej z butlą stała mosiężna klatka, w niej była złota żaba – wybałuszone głupkowate oczy, drgające podgardle. Nadziany na szpilkę i przyczepiony do prętów klatki szarańczak wiódł ją na pokuszenie. Przeznaczenie zaś określał stojący na palniku staroświecki mosiężny czajnik.

Przywołani bębnami *egbé* schodzili się od zmroku; przeważnie mężczyźni, tylko parę kobiet. Przystawali, żeby oczyścić się kroplą święconej wody z kropielnic przy drzwiach. Wszyscy ubrani na biało – biżuteria i zegarki i tak zdradzały, że przychodzą spoza Rocinhi. Wielu namalowało sobie na twarzy pionowy złoty pasek, od czoła po podbródek. Marcelina miała na sobie koszulkę ze stójką, wyciętą z tyłu, oraz spodnie do capoeiry, wszystko śnieżnobiałe – Físico zorganizował jej to na mieście. Spodnie trochę obcierały w kroku, ale poza tym udało mu się trafić z rozmiarem. Zrobiło się już całkiem ciemno, wielka fawela była mgłą światła spływającą z zielonych szczytów do morza. *Bateria* uderzyła z pełną siłą. *Terreiro* aż się zatrzęsło, kubki zagrzechotały na wieszakach, otworzyły się drzwi lodówki. Marcelina zerknęła do *barracão* i zobaczyła, że przed ołtarzem zaroilo się od biało odzianych tańczących – jak w dowolnym klubie na Łapie o czwartej nad ranem. Już był tłok, a od tyłu walili kolejni. Niektóre kobiety miały na sobie suknie ślubne, śnieżnobiałe, dziewicze; precisnęły się na sam przód *barracão* i zawirowały, już opętane przez *orixás*. Ujrzała, jak pojawia się Mestre Ginga, pośpiesznie się żegna i przeciska pod ścianą do *camarinhi*. Ucałował Barbosę w oba policzki i położył na stole długi, płaski przedmiot zawinięty w liście bananowca.

– *Awo* – powiedział, widząc zaciekawione spojrzenie Marceliny. Tajemnica.

Teraz *alabé* wzywał, *egbé* i *bateria* odpowiadali, ona zaś poczuła, że muzyka otwiera w niej gwałtownie jakieś wewnętrzne drzwi, przez które przepływają lęk i niepokój, zamieniając się w ekscytację i nadzieję. Bębny chwyciły ją, uniosły. Nawet spontaniczne szaleństwo i zapomnienie *réveillon*, w którym biorą udział dwa miliony dusz, tak jej nie zakreśliło, nie wywołało głęboko ukrytego *axé*, nie sprowadziło łez na policzki, nie zatrzęsło całym ciałem aż po jajniki. Barbosa dotknął delikatnie jej dłoni, wstał z miejsca. Poszła za nim, a za nią Mestre Ginga. Przed wyjściem z *camarinhi* zapalił gaz pod czajnikiem.

Marcelinę przywitała ściana dźwięku. Uniosła pięści: Mick wchodzący na scenę na plaży Copacabana, patrzy na niego pół Rio. *Egbé* dostało amoku – ponad fizycznym łomotem bębnów, tak głośnym, że aż bolało, ze złotych twarzy wydobył się ryk. Zemba! Zemba! *Iãos* w sukniach ślubnych zawirowały w *bolar*, głębokim opętaniu duchem świętego. Daime w Recreio dos Bandeirantes to było pilnowane przez ochronę szaleństwo klasy średniej; *terreiro* Curupairy – prawdziwy duch; *axé* płomieniało na betonowej

podłodze, od lampy do lampy. Marcelina zawirowała, wyszarpnięta poza czas – przestrzeń się rozciągnęła, czas skurczył; może tańczyła, może zatraciła się na jakiś czas wśród śnieżnobiałych postaci; nagle znalazła się z powrotem przy ołtarzu. Barbosa uniósł białą laskę. Bębny i głosy zamilkły, zamarły. Przemówił językiem, którego Marcelina nie rozumiała – trochę *índio*, trochę kościelna łacina, ale sens był dla niej oczywisty, te wołania, te odkrzykiwane refreny – była zembą, wojowniczką, obrońcą *egbé*. Barbosa podprowadził ją do przodu ołtarza. Ludzie wymruczeli coś na powitanie. Mestre Ginga przyniósł z kuchni miedziany czajnik, przechodząc między *assentamento* i bębniarzami, odtańczył drobny, szybki, bardzo *malandragem* stepujący płas. *Alabé* zaczął bić w *agogô*; *bateria* podjęła, szelest skóry ocierającej o skórę. Mestre Ginga uniósł czajnik wysoko, na oczach wiernych, którzy znów zaszemrali jak morze. Barbosa wziął go od niego; Mestre Ginga, szybki jak tylko *corda vermelha* szybki być może, chwycił Marcelinę, unieruchomił jej ręce. Nie posiadała się z podniecenia. Barbosa uniósł czajnik do jej ust. Otworzyła je gorliwie, chętnie. To była najbardziej erotyczna rzecz w jej życiu. *Pae do Santo* Barbosa kapnął jej na czubek języka trzy krople naparu. *Curupaird* była śmierdząca, gorzka, Marcelina skrzywiła się, usiłowała ją wypluć. Za trzecim splunięciem wokół niej rozpostarł się wieloświat.

Barracão było obłądną mgłą, masą nałożonych na siebie pokojów, jeden w drugim, jeden ponad drugim, a mimo to wszystkie dostępne jednocześnie. Oczy postrzegały, a umysł wirował. Jeszcze więcej i więcej ludzi, ludność całego miasta, całej Ziemi, stłoczona w tym jednym pomieszczeniu. Oślepiąca bielą; Marcelina uniosła rękę, żeby osłonić oczy, i zobaczyła wokół niej aureolę z tysiąca innych rąk. Montaż. To wszystko montaż, przycinanie niekończących się taśm, żeby wydobyć sens. Patrząc na wskroś przez białe *barracões*, widziała inne pokoje, zasiadające do stołu rodziny, telewizory, posiłki spożywane na sfatygowanych kanapach. Silniki od samochodu na dywanie. A za tym wszystkim ciemny las. Zakręciła się, rozpylając wokół siebie alternatywne obrazy okna. *Rocinha* była jak cały wszechświat gwiazd – galaktyka światła za galaktyką. Krzyknęła, a jej duchy i echa zrobiły to samo. Ciężenie było nieubłagane – zaraz spadnie naprzód w te świetlne chmury. Za nimi inne miasta, inne Rio, całe inne geografie. Widziała bezkresny ocean; widziała świetlne archipelagi; widziała zielone kordyliery i wielkie pampasy.

Odwróciła się do Barbosy. Widziała go żywego, martwego, nieobecnego, widziała go skąpanego w chwale, bohatera, największego bramkarza w historii Brazylii, ministra w rządzie, ambasadora dobrej woli ONZ. Widziała go wytropionego i upokorzonego w telewizyjnym paśmie największej oglądalności; widziała starego człowieka, który zdejmuje czapkę, kurtkę i wchodzi w fale na Ipanemie; widziała dwadzieścia milionów palców zawieszonych nad czerwonymi guzikami pilotów – winny czy niewinny?

Potem *curupairá* dotknęła ośrodków słuchu i otworzyła je. Jeden głos, dziesięć głosów, chór, kakofonia. Nabożna cisza *barracão* zmieniła się w ocean spokojnych oddechów, stała się huraganem. Marcelina zatkała uszy dłońmi, krzyknęła. Krzyk rozbrzmiał w milionie wszechświatów, w każdym wyraźny i słyszalny. A poza krzykami były jeszcze głosy, jej własny głos. Zacisnąwszy powieki, żeby nie widzieć chaosu wieloświata, Marcelina

zmusiła się do skupienia na tych odległych głosach, do wyodrębniania ich po kolei. Oto odkryła sposób na poruszanie się w multiświecie – czuje się różne rzeczy, zależnie na czym się człowiek skupi. Skupisz się na *terreiro*, na świątłach faweli – i widzisz geograficznie. Skupisz się na osobie, na Barbosie, na brzmieniu własnego głosu – i możesz przeskakiwać od życia do życia, ignorując odległości i czas. Kluczem był umysł. Góra, dół, początek, koniec – to wszystko wytwory myśli.

Z lękiem otworzyła oczy. Stała w chmurze własnych jaźni, lustrzanym labiryncie Marcelin Hoffman przed, za, z lewej, z prawej, w górze, w dole, ale wszystkie złączone z nią i ze sobą nawzajem. Jeden umysł, jedno życie w całej swojej pełni. Widziała siebie jako gwiazdę, wydawcę programów, szefową kanału, reżysera telenoweli, producentkę pop wideo. Widziała siebie jako dziennikarkę, projektantkę mody, *gatinhę* na imprezie. Widziała się mężatką, w ciąży, otoczoną dziećmi; widziała się rozwiedzioną alkoholiczką; widziała się na dnie; widziała się martwą, o wiele częściej niżby chciała; w szybkim niemieckim samochodzie, napadniętą, z przedramieniem ściśniętym paskiem w toalecie, z nożem w rękę, nożem, który przecina wszystko. O, ta, właśnie ta. Szybka jak błyskawica, uciekająca spod jej wzroku, przeskakująca ze świata do świata. Ona sama. Jej wróg. Antymarcelina, łowca, policjantka, policja.

Widzę cię, pomyślała. I w tym objawieniu przejrzała całą mgłę kwantowych obliczeń, dostrzegając fundamentalną osnowę rzeczywistości, splecione włókna czasu i obliczeń. Wspomniałszy, jak siedziała za sceną razem z obsługą techniczną i patrzyła na Niesamowitego Ganimedesa, słynnego z nieudolności iluzjonistę z Beija-Flor – a matka miała zaraz zagrać w fosie dla orkiestry na swoim lustrzanym Wurlitzerze – zobaczyła, na czym polegała magiczna sztuczka. Była prosta, naprawdę prosta. Wszystko było takim montażem. Brało się próbkę stąd, próbkę stamtąd, sklejało razem, wygładzało na złączeniu jakimś efektem montażowym. Nowa rzeczywistość. Niewinna, promieniejąca zachwytem, wyciągnęła rękę, by dotknąć tej rzeczywistości.

Mestre Ginga znów otoczył ją ramionami; palce otworzyły siłą usta, milion otwartych ust, miliard palców. Kawa. Marcelina zadławiła się, omal nie zwymiotowała, zgięła się wpół w silnych, żyłastych ramionach Mestre Gingi. Stada wszechświatów rozpierzchły się jak rój motyli.

– Kawa – burknęła, zginając się w mdłościach tuż nad *assentamentos*.

– Bardzo się mylisz, jeśli myślisz, że to kawa – powiedział Mestre Ginga, powoli ją puszczając. – Nawet te trzy krople to może być za dużo.

– Ja wszystko widziałam – oznajmiła Marcelina. Oparła się o brzeg ołtarza, roztrzęsiona, z pochyloną głową, z jasnych włosów kapał pot. – Byłam... tym wszystkim.

Skurcze czuła w każdym mięśniu. Nie spociała się tak na żadnej *jogo*. Powoli docierało do niej, że wokół ma salę pełną czekających na coś wiernych – oczekujących na słowo z wieloświata.

– Widziałam... ją...

– I ona cię widziała – powiedział Barbosa. – Już wie, kim jesteś.

– Zembą.

– Jeszcze nie jesteś zembą.

Cyk, cyk, powiedziało *agogô*, zaczynając nowy rytm. *Iâos* zakołysały się, zakręciły z lewa na prawo, rozwiewając spódnice. *Físico* przyszedł z *camarinhi*, niosąc owinięty w liście przedmiot. Położył go nabożnie na ołtarzu. Wokół Marceliny zamigotały odłamki innych światów. To zawsze już tak będzie? Podejrzewała, że tak. Na skraju pola widzenia, niczym mroczek w oku, który nieustannie umyka, gdy próbuje się na niego spojrzeć, czuła obecność Antymarceliny – i czuła, że i ona wyczuwa jej obecność. *Curupairá*, zgromadzenie *egbé*, Barbosa ujawniający się jako *Pae do Santo* tego *terreiro*, wszystko to miało ją przygotować na ten kulminacyjny punkt. Marcelina odwinęła suche, pachnące kurzem liście bananowca. Skórzana pochwa była długości przedramienia, z wyszytą podobizną Pani Wszystkich Światów. Ujęła rękojęść.

– Ostrożnie – ostrzegł Barbosa.

Ostrze wysuwało się jak jedwab ślizgający się po szkle. Miała wrażenie, że tak naprawdę nie dotyka wnętrza pochwy, lecz pływa w niewidzialnej warstwie czegoś przypominającego olej. Klinga była długa, zakrzywiona, wspaniale groźna. Przysunęła ją do oczu. Jedyнным dźwiękiem w *barracão* było zegarowe cykanie *agogô*. Przyjrzała się dokładniej: brzeg był rozmyty, nie dawało się na nim skupić wzroku, jakby pulsował i kipiał, jak rozfalowane od ciepła powietrze na granicy postrzegania. Zamachnęła się, zadała szybki cios. Poczowała elektryczny zapach, zobaczyła za nożem błękitną smugę.

– Już coś takiego widziałam.

– Standardowa rytualna broń Zakonu – powiedział *Físico*. – Wygląda jak nóż, ale sądzimy, że to broń informacyjna. Tnie aż po poziom kwantowy. Rozplątuje zwoje pędowej grawitacji kwantowej. To jest technologia, która jest naszym fundamentem, fundamentem wszystkich światów multiwersum. I myślę, że nie tylko naszego – to fundament całego wszechświatowego komputera kwantowego.

Marcelina okręciła się z nożem w zamaszystej *capoeira armada*. Czy ten wizg to rozchodzące się szwy wszechświatowych obliczeń?

– Skąd to wzięłeś?

– Przyszło razem z księgą. Dopiski mówią, że Pani Wszystkich Światów wyłowiała to z dna Rio Negro.

I jeszcze raz wieloświat zapulsował wokół Marceliny. Cięcie. Montaż. Nie jesteś już bezbronna. Nie jesteś już ofiarą. Trzymała nóż wysoko nad głową. *Egbé* rozkrzyczeli się. *Iâos* wirowały, podtrzymując halki. *Bateria* podjęła dyskusję z *agogô*, gdy Marcelina paradowała wokół ołtarza z nożem w górze.

– Zemba! – ryknął Mestre Ginga, a *terreiro* powtórzyło za nim.

– Zemba! Zemba! Zemba!

Kiedy Rocinha Taxi Company zabierała Marcelinę z góry do miasta, w stronę zalanego światłem owalu Jockey Clubu, pogoda zepsuła się całkiem. Palce niskich chmur

wyrastających z wielkiej dłoni stratusa rozpostarły się nad miastem i napały na *morros*. Zanim taksówka zjechała nad lagunę, rozpadało się. Marcelina kręciła się nerwowo pośrodku tylnego siedzenia, wciąż rozpalona krótką wizją po curupairze. Każdy błysk reflektorów przejeżdżającego auta, każde mignięcie różowych i żółtych neonów rzucały cienie z innych wszechświatów. Z kwantowym ostrzem zatkniętym za gumkę białych spodni do pół łydki, w obcisłym topie, Marcelina wkręciłaby się za darmo do dowolnego klubu w Rio. Była śmiercią wcieloną. Była łowcą. Była poza modą. Kierowca został poinstruowany, by zawieźć ją do bezpiecznej kryjówki, którą Mestre Ginga miał na Santa Teresa, lecz kiedy jechali Avenida Borges de Medeiros, odbijającą się ciemno, deszczowo w lagunie, Marcelina nachyliła się pomiędzy przednie fotele i powiedziała:

- Podjedzie pan jeszcze w jedno miejsce?
- No nie wiem, *mestre* powiedział...
- Chcę tylko coś zostawić. Pięć minut, góra. Blisko, na Rua Tabatingiera. Po drodze.
- No dobrze, to chyba możemy.

Marcelina wbiegła po stromych betonowych schodach, niemal przylegających do zbocza *morro*, skacząc lekkomyślnie po dwa stopnie. Miłość tak robi człowiekowi. A deszcz ją siekł. Dobry deszcz. Kochany deszcz. Na ciemnym ogrodowym patio Heitora, prostokącie betonu między tylną częścią budynku a ociekającą wodą gołą skałą, już robiły się kałuże. Spragnione światła i troski pnącza pociły się deszczem. Kod do drzwi znała na pamięć. Palec zatrzymał się jednak o milimetr nad chromowanym przyciskiem.

Drzwi były nieznacznie uchylone.

Odsunęła się od nich i przywarła do ściany. Puściła sobie na telefonie informacje na żywo z Canal Quatro.

„...Policja informuje, że Maré i Parada de Lucas są dziś spokojne, zbrojne incydenty wróciły do normalnego poziomu. Mówił Fagner Meireilles, »Zniszczenie i pożoga« na żywo z za militarnego kordonu”. Sycząc przez zęby, Marcelina przyciszyła dźwięk. „Oddaję głos do studia”. I oto Heitor, stał przed rzuconą green-screenem gigantyczną mapą Brazylii. „Jedyny prezenter na świecie, który musi pilnować koloru skarpetek”, mawiał.

Marcelina odesłała go w mrok. Jeden kontakt z siecią wystarczył, by radość zmieniła się w lęk, w lęk tak silny, że aż dziwne, że ktokolwiek może go poczuć i przeżyć. Bolała ją każda część ciała. Świetnie by się było teraz wyrzygać, mimo że byłaby to tylko gorąca żółć, zimna kawa i narkotyki z *terreiro*. Czuła wokół siebie migotanie wieloświata, chmurę *orixás* i aniołów. Teraz. Oto jest ta chwila. Wyciągnęła ostrze, opadła w postawę *ginga*. Powoli, powoli, pchnęła drzwi. Ostrożnie jak kot posuwała się przez wypełniony książkami przedpokój. Sztywna, cały czas jest tak sztywna, a nie ma czasu, żeby się rozgrzać. Z zimna prosto w gorącą akcję. To nie będzie *jogo*, żadna gra.

Światła były zgaszone, ale kucnąwszy w obronnej postawie *cocorinha*, dostrzegła przemykającą na tle świetlistej panoramy laguny ciemną sylwetkę. Zniszczenie miało być całkowite – miała stracić pracę, rodzinę, przyjaciół, ukochanego. A potem, po kolei – Físico, Mestre Ginga, bramkarz Barbosa: całe *terreiro*, wszyscy co do jednego ludzie, którzy znali tajemny kształt wieloświata i wiedzieli o chroniącym go Zakonie. W którymś

momencie miała zgiąć także Marcelina Hoffman. Ten moment nadszedł właśnie teraz.

Malandros, mestres, cordas vermelhas, wszyscy wielcy tancerze i mistrzowie, dajcie mi teraz *malicii*.

Wstała, zapaliła górne światła i wtoczyła się jednoręczną *aú* na środek pokoju. Podniosła się do *gingi*, z ostrzem w pogotowiu.

Na moment oślepiły ją światła w aneksie kuchennym, sylwetka tak czarna, jak ona sama biała. Oczywiście. To była bitwa podstawowych żywiołów. Ona. Bardziej podobna niż jakakolwiek bliźniaczka. Curupairowe wizje wciąż migotały dookoła, tak że przez moment zobaczyła siebie oczyma zabójczyni, anielicę *loirę*, białą capoeirzystkę. Jesteśmy sobą nawzajem. Jeden umysł, rozsieczony po stu miliardach wszechświatów. Po czym Antymarcelina skoczyła jak jaguar. Marcelina uniknęła ciosu prostą *resistencią*, zawirowała w kopnięciu *S-dobrado*. Stopa musnęła głowę przeciwniczki. Marcelina przetoczyła się, jedną ręką podparła na podłodze, drugą z całych sił ścisnęła kwantowe ostrze – i przeskoczyła do roztańczonej, obronnej *gingi*.

Antymarcelina zaatakowała ją szaleńczą falą cięć, wycinających z powietrza w mieszkaniu małe, krótkie błyskawice. Marcelina kuciała, robiła przewroty, nurkowała, raz za razem unikała świetlistego ostrza. Ma tylko jedną przewagę. Jedną, jedyną: *malicię*. Jej przeciwniczka nie tańczyła capoeiry. Nie miała *jeito*.

Zamaszysty koszący ruch przeciął szklany stolik do kawy na dwie przewrócone połówki. Marcelina zrobiła przewrót ponad skórzaną sofą i znów weszła w *gingę*.

– Powiedziałaabyś coś może? Moje imię? Czy, kurwa, cokolwiek.

Przeciwniczka uśmiechnęła się i trzema ciosami zrobiła z sofy kupę skóry, sprężyn i wypełnienia. Marcelina uświadomiła sobie, że nie doceniła siły jej broni. Może uciekać, może tańczyć, lecz Antymarcelina będzie cięć, cięć, aż przebije się przez wszystko i wszystkich, będzie iść dalej, aż jej zabraknie sił na capoeirę.

Straciłaś inicjatywę. Czas przestać się bronić. Ale ja nie jestem zabójczynią.

Jesteś, jesteś. Popatrz tylko.

Wyprowadziła cios pięścią, *asfixiante*, w jej nos, potem machnęła ostrzem. Antymarcelina uniknęła ciosu i uderzyła swoim ostrzem w bok noża Marceliny. Błysk światła, pisk kalecznej rzeczywistości. Marcelina zobaczyła, jak odcięte ostrze jej noża błyska w powietrzu, spada-czubkiem w dół, wbija się w podłogę i znika. Wyobraziła sobie, jak spada przez wszystkie mieszkania w dół, piętro po piętrze. Nawet lity beton i skała nie będą w stanie go zatrzymać. Miała tylko nadzieję, że pod spodem nikogo nie będzie.

Antymarcelina uśmiechnęła się słodko, uniosła własne, nienaruszone ostrze. Zaprosiła ją gestem. Kończymy.

Marcelina Hoffman uciekła. *Jeito*. Uliczny spryt. Prawdziwy *malandro* wie, kiedy walczyć, a kiedy nie. Rozcięta sofa, przepołowiony stolik do kawy – to da się wytłumaczyć, da się uzyskać odszkodowanie. Za to trup, który wygląda jak twoja kochanka i skompromitowana producentka telewizyjna – to jest koniec kariery.

Marcelina pogasiła światła (wszystkie te głupie sztuczki działały, to właśnie była

kwintesencja *malandragem*, ta *boca da calça* i szarpnięcie za nogawki, przez które przegrał arogancki Jair – to co głupie i oczywiste zauważa się na końcu) i wybiegła z holu windowego. Trzaśnięcie drzwiami ją zdradzi, ale parę sekund, których tamta będzie potrzebować na przecięcie zamka, da jej trochę czasu i dystansu. Popędziła w górę schodami ewakuacyjnymi. Dwa piętra wyżej usłyszała, jak drzwi upadają na beton. „Jestem tancerką, nie biegaczką!” – krzyknęła sama do siebie. Tupot kroków na gołym betonie. W górę, jeszcze wyżej, jeszcze. Jezus Maria, jak ta *curupairá* wyżeła ją ze wszystkich sił. *Curupairá* i cała ta nerwówka, niebezpieczeństwa, tajemnice i objawienia z ostatnich dwóch tygodni. Od Piątku Burzy Bluzgów do Niedzieli Walki o Życie. Wyskoczyła przez ostatnie drzwi na dach. Trochę miejsca. Miejsca na walkę. Heitor ją tu przyprowadził, z szampanem i koką, kiedy sprzedawał *Polowanie na UFO*. W nocy, w deszczu, było tu niesamowicie pięknie: pasma i obłoki łagodnego światła, strumień białych i czerwonych świateł na okrążającej lagunę drodze, cichy szmer opon na mokrej nawierzchni, a ponad tym, ponad wszystkim, ciemny masyw *morro*.

Drzwi rozwarły się z hukiem. Idzie nemezis. Marcelina przetoczyła się do pozycji obronnej. Antymarcelina przełożyła nóż do morderczej pozycji. Walczyły, przesuwając się w tył, w przód, atak, kontratak, na pełnym kałuż dachu, ślizgając się na sypkim żwirze, potykając o kable od anten satelitarnych i rurki od wody. Marcelina unik za unikiem podprowadzała zabój czynię do gołej skały *morro*, o centymetry od krawędzi dachu. Nad nią, niczym piszczałki organowe wznosiły się stabilizujące skałę filary. Do pomostów, na których stały, prowadziły ścieżki techniczne. Wskoczyła na murek wokół dachu i przeskoczyła przez szczelinę, prosto na skałę. Przeciwniczka poszła za nią, lecz Marcelina już była na półce serwisowej, niebezpiecznej, wąskiej, gdzie jedyną ochroną była poręcz z łańcucha. Nagłe szarpnięcie omal nie zrzuciło jej w przepaść; Marcelina zachwiała się, przywarła do mokrej skały. Łańcuch, który omal jej nie ściągnął, poleciał w ciemność pomiędzy płaskie dachy bloków mieszkalnych w dole. Wróg zajął jej w twarz. Ostatkiem sił Marcelina wbiegła po schodkach na sam szczyt *morro*. W dole rozciągało się całe Rio, laguna jak owal mroku, jak oprawiony w złoto agat. Leblon, Gávea, rozjarzona struga Rocinhi; Ipanema jak świetlista kreska przecięta ciemnymi wzgórzami, za nią zakrzywiona lśniąca szabla Barra da Tijuca. Po lewej światła Copacabany, złoty naszyjnik pomiędzy słończonymi *morros*.

Antymarcelina wyłoniła się zdyszana znad schodków.

– Załatwmy to tutaj – powiedziała Marcelina. – Żadnego uciekania, żadnych podstępów. Załatwmy to i tyle.

Antymarcelina pokręciła głową, strzepując wodę ze złotych włosów. Marcelina dygotała, przemoczona do szpiku kości – ale tak, to się tu skończy, wysoko ponad Rio de Janeiro, z dala od wzroku świata. Przeciwniczka rzuciła się na nią. Dobra była, ale brakowało jej *jeito*, brakowało *malandragem*. Marcelina opadła w *bandę*, ścisnęła nogami nogi tamtej, wykręciła. Antymarcelina padła jak długa. Marcelina poprawiła kopnięciem w bok głowy. Antymarcelina zawyła, ale przetoczyła się do szermierczego przysiadu. Odstraszyła ją, siekąc i dźgając kwantowym ostrzem. Złą sztukę walki sobie

wybrałaś, pomyślała Marcelina, przechodząc w *gingę*, zwinięta w kłębek jak jaguarundi. Prawdziwy capoeirzysta zawsze przedkłada dobry unik nad dobry cios.

– Wiesz co – powiedziała – to, że guzik cię obchodzi los każdego, kto stanie ci na drodze, to jeszcze rozumiem. To niepotrzebne okrucieństwo. Sama tak kiedyś miałam. Jeszcze ujdzie. Ale w życiu, nigdy ci nie wybaczę tego, że jakaś część mnie zechciała, kurwa, zostać gliniarą.

Antymarcelina uderzyła. Czubek q-noża musnął wewnętrzną stronę przedramienia Marceliny. Nie bolało, nie było szoku – potem zobaczyła krew wypływającą z długiego, płytkiego cięcia. Antymarcelina odwróciła ostrze w dłoni, natarła powtórnie. Marcelina przykucnęła w obronnej *cocorinha* i wtedy to dostrzegła. Prosty, piękny ruch, czysta *malandragem*. Chwyciła Antymarcelinę za nogawki i szarpnęła do góry. Tamta wrzasnęła i wypadła za krawędź półki.

Marcelina patrzyła na własną twarz, z rozszerzonymi oczyma, spadającą pomiędzy ulewnymi strugami. Już nie krzyczała, milczała, a kwantowe ostrze wycinało w powietrzu błękitną smugę. Patrzyła, jak jej inne ja uderza w krawędź dachu i odbija się, lecąc w jeszcze ciemniejszą przepaść.

Długo stała w siekącym deszczu, licząc oddechy. Dobre to było, uspokajało serce.

Licz oddechy, raz, dwa, trzy. Nie myśl o tym, co zrobiłaś. Nie myśl o tym, co widziałaś we własnych oczach, kiedy spadałaś w ciemność między blokami. Zginęłaś. Przegrałaś. Wygrałaś, ale wygrywając, przegrałaś. Wieloświat użył wobec ciebie najbardziej *malicioso* ciosu. To twój trup tam leży. Cały czas słychać było policyjne syreny, widać było objeżdżające ciemną lagunę migające koguty.

Marcelina Hoffman, kontrowersyjna producentka z Canal Quatro, która niedawno zyskała ogólnokrajową sławę, proponując urządzenie telewizyjnego sądu nad Moaçirem Barbosą, skompromitowanym bramkarzem, znaleziona martwa w niedzielę w nocy u podnóża Morro dos Cabritos. Śledztwo jest w toku, według policji nie można wykluczyć samobójstwa. Adriano Russo, dyrektor progradnowy w Canal Quatro mówi, że Senhora Hoffman miała ostatnio poważne problemy służbowe i osobiste, przez co zachowywała się nieobliczalnie.

Wyobraziła sobie Heitora czytającego to z promptera. Zachowałby się profesjonalnie. Jak zawsze. Później ją będzie opłakiwał. Rodzina urządzi jakiś pogrzeb. Policja zatrzyma sobie kwantowe ostrze i będzie przez dziesiątki lat potajemnie łamać sobie głowę, jak telewizyjna producentka weszła w posiadanie noża, który tnie wszystko.

Spojrzała w ciemność, gdzie leżał martwy jej wróg. Przegrała, ale cię pokonała. Ty też nie żyjesz.

Kroki na mokrych kamieniach.

Marcelina ustawiła się w pozycji obronnej. Mężczyzna w luźnym, ciemnym ubraniu, bezkształtny na tle nocy. Biała kreska pod szyją, czyżby koloratka?

– Jak pan chce, niech pan mnie sobie weźmie. I tak już nie żyję. – Stała prosto, rozłożyła ręce.

– Sama ze sobą nigdy pani nie wygra. – Potężny, o białej skórze, z ciemnymi włosami,

zapadniętymi policzkami; wychudzony, pomyślała, od czegoś więcej niż tylko wieku. Jego portugalszczyzna miała dziwny, archaiczny, sztywny akcent.

– Czyli kim pan jest? Zakon czy gracz?

– Byłem kiedyś admonitorem. Teraz jestem gościem. Podróżnikiem. Badaczem. Być może werbownikiem.

– Badaczem czego?

Uśmiechnął się. Marcelina dostrzegła teraz, że mężczyzna ma niezwykle blade niebieskie oczy.

– Pani dobrze wie.

Syreny były już bardzo blisko.

– A werbownikiem?

– Na cóż się rekrutuje? Tylko na wojnę, prawda?

Syreny zamilkły.

– Proszę pójść ze mną – powiedział ksiądz. – Tutaj. Teraz. Ma pani tylko jedną szansę. Będzie to oznaczało, że porzuci pani wszystkie swoje nadzieje, wszystko, co pani kochała. Ale już i tak to pani utraciła, a jakaś możliwość powrotu będzie. Zawsze jest jakaś możliwość powrotu. Toczy się wojna, o wiele większa, niż pani myślała. Większa niż była pani w stanie pomyśleć. To pani szansa, żeby stworzyć wszechświat. Bo pani jest stwórcą. Proszę ze mną. Stworzy pani rzeczywistość.

Marcelina poczuła, że wieloświat rozpościera się wokół niej jak skrzydła, każde pióro jednym wszechświatem. Ksiądz odwrócił się; przed nim otworzyło się miliard drzwi.

– Kim pan jest?! – krzyknęła Marcelina.

– Czy to ważne?

Co z tego będzie? Dziewczyna, która wróciła z martwych, zajebisty byłby to program, ale producent przecież nie może być gwiazdą we własnym programie. Mąż, piękne dzieci, dzidziusie, wspaniała kariera – to się nigdy nie zdarzy. Jedyna rzecz, na jaką było ją stać.

– Nie policjantem?

– Och nie – odparł ksiądz. – Nic z tych rzeczy.

– No to w porządku – stwierdziła Marcelina Hoffman i weszła za nim pomiędzy światy.

18 KWIETNIA 2033

Piłka wisi nieruchomo w wierzchołku łuku. Za nią na stop-klatce – idealne morze, idealny zachód słońca, idealne niebo. Ręka wyciąga się i z całej siły przebija ją nad siatką. Dziewczyna w czerwonej bejsbolówce i takich samych stringach rzuca się, odbiera piłkę obiema pięściami. Jej partnerka idzie za wolejem, doskonale wylicza wyskok i ścina piłkę w sam środek piaskowego boiska przeciwnika. Mięśnie ud, mięśnie brzucha, ramiona, wszystko idealnie zarysowane. Tyłeczki – matematycznie wyliczone krągłości. Piersi wysokie, jędrne i duże, ale poruszają się jak prawdziwe. Kości policzkowe ostre jak noże. Nosy spłaszczone, wargi wypuczone do buzi-buzi.

Są tak piękne, że aż głupio, lecz Edson na nie nie patrzy. Siedzi chłopaczka od kokosów spacerującego po plaży z maczetą i przerzuconymi przez ramię łupami. Ładnie zbudowany, mięśnie jak u pływaka, w sam raz, ale nie za dużo, naturalne, nie chirurgiczne. Oglądając się, widzi obserwującego go Edsona, zerka mu w oczy. Kiwnięcie głową. Załatwione. Dziś wieczorem. Edson odwraca się i schodzi z plaży w zachodzącym słońcu na bulwar. Za nim, spomiędzy roślin wybiegają robociki, by zagrabić piasek, wymazując wszelkie ślady jego obecności. Piękności nawet nie odwrócić wzroku od siatkówki.

Plaże, stwierdził ze smutkiem Edson, są bardzo przereklamowane. Za nim wznosi się tytanowo-szklany klif *Oceanusa*. W pionie sto pięćdziesiąt metrów odwróconego porządku społecznego. Przy samej plaży penthouse’y, potem restauracje, bary z widokiem, kluby, kasyna, sklepy z luksusowymi markami, uważające się za zbyt ekskluzywne, by mieścić się w gigantycznym wąwozie z centrum handlowym *Dżungla! Dżungla!* Dalej apartamenty i hotele; jeszcze wyżej biura i firmy; dalej centra medyczne i wytwórnie; a nad tym wszystkim lotnisko, zajmujące większość półtorakilometrowego pokładu głównego, oprócz części dziobowej, przeznaczonej na pole golfowe.

Statek-gigant pływa tuż poza granicą brazylijskich wód terytorialnych, dwieście kilometrów od Pernambuco, trzymając się południowego wybrzeża Brazylii. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców mówi trzydziestoma językami; portugalski, jedyny, który rozumie Edson, zalicza się do rzadszych i dziwniejszych. Dwanaście milionów ton nośności potrafi przebić się przez huragany, cyklony, tajfuny. Reaktor atomowy w samym środku nadaje im nieustanną, leniwą prędkość ośmiu węzłów – w sam raz, by w trzy lata opłynąć wszystkie szelfy kontynentalne świata, eksterytorialnie, w wyłączeniu spod państwowych jurysdykcji, port wolnościowy i raj podatkowy dla korporacji w pełnym tego słowa znaczeniu. Błąd kategoryzacji – nie statek, lecz pływające po oceanie miastopństwo.

Kiedy *seguranças* kazali mu klęknąć z rękoma na karku i pochylić głowę, był pewien, że zostało mu parę sekund życia. Karabinki szturmowe stały nad uczestnikami napadu na bazę samochodową, a najemnicy tymczasem zakładali plandekę na *Catering*

gotowy/chłodzony. Dwóch facetów w czerni powlekło Edsona po chropowatym betonie, zdrapując mu pastę z czubków eleganckich butów, po czym wrzuciło na tylne siedzenie cichego, czarnego samochodu, który mówił „pieniądze” skuteczniej niż jakiegokolwiek logo na masce. Fia już tam siedziała, zapięta, wierząc się nerwowo.

– Poprosiłam ich, żeby ciebie też wzięli – szepnęła, gdy auto i ciężarówka wyjechały z pustego centrum. – To nie jest Zakon, nic im nie zrobią, oni szukają tylko nas. To znaczy mnie.

Edson zrozumiał. Gdyby to był Zakon, z całego centrum handlowego nikt by nie przeżył. W grze był jeszcze trzeci gracz.

Po trzeciej bramce nad *rodovią* domyślił się, że jadą na lotnisko. Konwój minął strażnika-*militara* i wjechał na terminal towarowy. Samoloty dyspozycyjne „Embraer” stały na pasie, ze skrzydłami o zmiennej geometrii złożonymi jak u węzówek. Kobieta w bardzo ładnie skrojonym kostiumie zaprowadziła Edsona i Fię do samolotu. Prezentacja procedur bezpieczeństwa, którą wykonała, gdy kołowali, była tyleż deklaracją jej absolutnej władzy nad gośćmi, co instrukcją postępowania w przypadku lądowania na wodzie. Edson ledwo zauważył, gdy samolot wzniósł się ponad ziemię. Pierwszy raz opuścił miasto, w którym się urodził. Zahipnotyzowało go jedno jedyne słowo na znaczku w klapie kobiety: *Teixeira*.

Każdy człowiek interesu ma swoich świętych patronów. Edson ma takich, którzy doszli do czegoś od zera: *favelado*, który został legendą futbolu; chłopak z Minas Gerais, uwodzący cały kraj swoim głosem; Paulistano, który zrobił ze swojego straganu z *kibe* ogólnonarodową sieć; Alcides Teixeira.

Urodził się jako jeden z bezrolnych chłopów – czyli ten wielki brazylijski archetyp, rolnik z północno-wschodniego *sertão*, który, jak wielu przed nim, udał się na wędrowną do Srebrnego Miasta. Jednak jego legenda zaczynała się tam, gdzie kończyły się wszystkie inne: po raz pierwszy ujrawszy na oczy wieżowce Fortalezy i rozciągające się wokół nich fawele jak strupy, powiedział: „Ja do lizania butów, a żona na ulicę” – i razem z żoną wsiedli do autobusu powrotnego. Kierowca nie policzył im za bilety. Do tej pory nikt nigdy nie jechał z powrotem. Alcides Teixeira wziął pożyczkę startową z MST, Związku Bezrolnych i obsiał pięćset hektarów biednego jak mysz kościelna *sertão* modyfikowanym genetycznie rzepakiem. Po trzech latach miał intensywną uprawę na trzech tysiącach hektarów. Po pięciu podpisywał umowy na dostawy z Petrobrasem, Ipirangą i nazwał się EMBRAÇA. Dwadzieścia sześć lat później na czterech kontynentach zieleniła się jego soja i zółcił się rzepak – podkradał się także chłodnymi, chłodnymi zboczami do *Fazendy Alvaranga*. Tego kalibru człowiek powinien być w złotym kręgu wtajemniczonych w tajemny porządek multiwersum. Fia zaś jest w swoim świecie specjalistką od wieloświatowego modelowania ekonomicznego. Tam, gdzie jest jakaś różnica potencjałów, jakaś granica, da się na niej zarobić pieniądze.

Z głową rozwirowaną od planów i możliwości, Edson patrzył przez okienko na świt, rozlewający się światłem po zacienionej ziemi, rozpalający ją i rozświetlający. Poczł, że oddech więźnie mu w gardle. Drogi to srebrne druty. Rzeki to złoto. Rysunek cieni zmieniał

się z każdą chwilą. Potem zobaczył błękitną krzywiznę oceanu. Przycisnął twarz do szyby. Wielkie morze, coraz większe. Grzywacze, białe łódki. Łąd już zniknął, został tylko otwarty przestwór i opadający ku niemu samolot. Skrzydła zmieniały kształt, rozprostowując się z przelotowego skosu. Edson poczuł, jak wysuwa się podwozie. Grzywacze zbliżały się nieuchronnie. Ścisnął podłokietniki. Przecież tam nic nie ma. Jak to było z tym wodowaniem? Jeszcze niżej. Silniki zawyły, pilot zadarł dziób, samolot Teixeira gładko i elegancko opadł na śnieżnobiały pas oznaczony śladami opon. Z boku parkują inne embraery, wieża kontrolna, nawet malutki terminal. Garniturzyca wstała z miejsca, zanim samolot się zatrzymał. Stała w przejściu, trzymając się oparcia.

– Witamy na *Oceanusie*.

Córki Alcidesa Teixeiry były jak boginie. Tak je stworzono. Krekamey i Olinda – operacyjnie wysokie i blade, ospałe dłonie, złote uda. Stworzenia w rodzaju Edsona Jesusa Oliveiry de Freitas były poniżej ich godności, za to otworzyły wydłużone, migdałowe oczy tak szeroko, jak pozwalała plastyka, na widok cybernetycznych kółek obracających się powoli na brzuchu Fii.

Tego jednego nie kupicie, *putas*.

Alcides Teixeira osobiście oprowadzał wycieczkę, pokazując biura i firmowe apartamenty. Bohaterowie przeważnie są niżsi niż sobie człowiek wyobrażał, lecz tak kiepskiej cery Edson się nie spodziewał. *Sertão* wżarło mu się w ogorzałe od słońca zmarszczki i dzioby po trądziku. Być może bogactwo, które osiągnął, pozwalało mu powiedzieć: „I w dupie to mam”.

– A tu będziecie pracować.

Śliczni, umięśnieni chłopcy w odblaskowych kombinezonach EMBRAÇA już instalowali kwantowe rdzenie w ogromnym szklanym pomieszczeniu wysoko nad wodą. Niebieskie, niebieskie szkło. Fia krzyczała na nich: „Nie tutaj; jak z tej strony statku będzie słońce, gównu będzie tu widać”.

– Strasznie się namęczyliśmy, żeby was złapać – powiedział Alcides Teixeira. – Ciągłe mi uciekaliście.

– Bo myśleliśmy, że to... Zakon – odparł Edson.

Teixeira, Alcides Teixeira, Alcides Teixeira z EMBRAÇA stał tuż obok niego, na tyle blisko, by poczuć zapach jego wody po goleniu, i rozmawiał z nim. Prześliczne córki poruszały się przed nim jak zjawy. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że czuł zażenowanie, uświadomiwszy sobie, że *pistoleiros* na Liberdade, przed którymi udało mu się Fię uratować, okazali się prywatnymi ochroniarzami Teixeiry. Bardzo sprytnie uciekali przed własnym wybawieniem.

– Synu, skoro wiemy o Fii, wiemy i o Zakonie. Damy sobie radę z bandą starych królewskich *fidalgos*.

Edson zaryzykował:

– Proszę pana, jeśli mogę coś powiedzieć... zawsze był pan dla mnie wzorem. Ja sam też jestem biznesmenem. – Zawsze miej przy sobie wizytówki. Pierwsza zasada biznesu. Wcisnął jedną Alcidesowi Teixeira.

– Łowca talentów, rozrywka. Bardzo ładnie, synu. – Wskazał brodą swoje prześliczne córki. – A widzisz te dwie? Dwie rozpuszczone cholery, jedna i druga. Wszystkie pieniądze wydały na cycki i dupę. – Krekamey, ta wyższa, bardziej blond i dziwniejsza, najeżyła się. – Jeśli chcesz, znajdzie się tu dla ciebie robota. Znajdziemy ci pole do popisu dla twoich zdolności, synu.

– Jeśli można, wolałbym wykorzystywać moje zdolności, pracując sam dla siebie. – Edson już w trzydzieści minut po wylądowaniu poznał *Oceanusa* na tyle dobrze, by wiedzieć, że to statek śmierci. Śmierci dla niego i dla wszystkich jego nadziei. Zostanie tu utrzymankiem, rozleniwia się, utyje, będzie ćpał, chlał i wylegiwał się na plaży, zamieni się w wielkie nic. Jakby umarł.

Alcides Teixeira nachmurzył się, nieprzyzwyczajony, że mu się odmawia; potem wyszczerzył się od ucha do ucha i klepnął Edsona po wątych ptasich plecach.

– Oczywiście, oczywiście. Sam bym tak odpowiedział. Paulistanos zawsze bardzo szanowali etos pracy.

Edson jedzie ruchomym chodnikiem przez kręgosłup wielkiego statku. Widoki na głównym bulwarze oszałamiają – tak je zresztą zaprojektowano. Równe półtora kilometra długości i pięćdziesiąt metrów w pionie. Ściany pokrywają barokowe galeryjki i kopuły, restauracje zwieszają się spod dachu jak plecione ptasie gniazda. Powietrze przecinają kładki, szyby wind, ruchome schody. W powiewie klimatyzacji poruszają się mobilne rzeźby. Powietrze jest świeże od ozonu i soli. Główna ulica wychodzi na centralne atrium *Dżungli! Dżungli!* – zalesione serce *Oceanusa*; ogromne katedralne okna Świtu i Zmierzchu po dwóch stronach statku zalewają tę rozćwierkaną, rozspiewaną, kapiącą wodą i śmierdzącą masę listowia stuprocentowo autentycznym, nadającym się do fotosyntezy światłem. Skrzeczą ary, śmigają tukany, trzepoczą rajskie ptaki. Sklepy to maleńkie, wysadzone klejnotami gniazdeczka wśród liści. Za szybami witryn widać marki, dla których i Edson i Efrim mogliby zabić, wie jednak, że od dotyku jedwabiu, na który nie zarobił, dostałby bąbli na plecach. Zresztą, Efrim ostatnio staje się obcą osobą, kobietą, z którą kiedyś miał elegancki, przyjemny romans. A i Edsonowi powoli obojętnieje ta obfitość.

Spacer do domu z plaży przez klimatycznie oświetlone ekologie *Oceanusa* jest niesamowity, Edson wie jednak, że Fia się tu męczy. Nie udaje, że rozumie, co ona robi na piętrach Naukowo-Badawczych – podejrzewa, że nawet pan Morel by mu tego nie wyjaśnił – ale wie, co widzi, gdy ona dowleka się do domu z pracy i pada na kanapę, by siedzieć zwinięta w kłębek przy oparciu, z ponurą miną oglądając na iSzkłach *Świat gdzie indziej* albo pustosząc lodówkę i przybierając na wadze. A o seksie w ogóle już nie ma mowy.

Edson znajduje sobie więc zajęcie. Trzeba przecież jakieś mieć.

Ochroniarz na poziomie mieszkalnym to chłopaczek z Maceio. Ogląda *Bang! Bang!* na swoim przezroczystym pulpicie. Pogardza Edsonem, ale musi uszanować identyfikator Teixeira na jego iSzkłach. Większość siły roboczej na *Oceanusie* jest zwieziona z północnego wschodu.

To tym chcemy się stać? – myśli Edson. Eksporterem taniej siły roboczej? Brazylia, kraj przyszłości – i ciągle tylko przeszłości.

W apartamencie są luksusy, o których Edsonowi się nawet nie śniło w jego wyobrażonym domu nad morzem w Ilhabeli – inteligentna ściana, jacuzzi, fotele do masażu i zmieniające kształt łóżko, które uczy się wzorców snu swoich użytkowników i dopasowuje do nich. Edson sypia jednak na rozkładanej kanapie w salonie. Ona ciężko pracuje, musi się dobrze wyspać, powtarza sobie. Co rano budzi go słońce wpadające przez szklaną ścianę. Przynosi Fii poranną kawę, a swoją bierze na balkon, żeby patrzeć na wyłaniającą się z morza światłość. Nawet buzi nie dostanie. To jest to, panie Edsonie Jesusie Oliveiro de Freitas, mówi sobie, siadając na balkonowym fotelu i czując ciepło na twarzy. To jest właśnie to, o czym marzyłeś.

– Wiesz co?

Apartament jest ciemny, ale oświetla go Księżyc i woda – *Oceanus* przepływa przez wielki pas fosforescencji. Edson unosi rękę do wyłącznika.

– Nie zapalaj.

Fia siedzi na balkonie, zwinięta w kłębek pod ścianką działową, w majtkach i bezrękawniku. W świetle oceanu Edson widzi, że znowu płakała. Wie, że cały czas się boi – jest pracownikiem naukowym z doktoratem, który dzięki szczęściu i desperacji przewędrował z jednego świata do drugiego, a tu oczekuje się od niej, że pokieruje najznakomitszymi teoretykami, na jakich stać Teixeirę z jego pieniędzmi. Boi się, że oni to wiedzą, że któregoś dnia jeden z nich nonszalancko zapyta: „A kto ci powiedział, że się do tego nadajesz?”. Edson całe życie poświęcił na to, by wyprzedzić o krok takie właśnie pytanie.

– Nic ci nie jest?

– Nic. Chcesz wiedzieć, Ed?

Zaczęła go tak przezywać. Edsonowi się to nie podoba, to nie jest tożsamość, którą sam sobie wybrał. Ale i tak zdejmuje buty, zrzuca bluzę. Powietrze jest miękkie, ciepłe jak skóra, ze słonym posmakiem. Nigdy nie wyobrażał sobie, że morze może pachnieć tak dziwnie – jakby nienawidziło lądu i wszystkiego, co z niego pochodzi.

– Chcę wiedzieć co?

– Chcesz wiedzieć, co Zakon trzyma w tajemnicy? Dowiedzieliśmy się. To coś naprawdę niesamowitego. Powiedz mi, Edson, czemu my jesteśmy sami? Czemu ludzie to jedyne inteligentne istoty we wszechświecie?

– Ja kojarzę taką dyskusję. Pan Morel mi o tym opowiadał, to się jakoś nazywało. Paradoks kogoś tam.

– Paradoks Fermiego, o to ci pewnie chodzi. Zapamiętaj to, a ja zadam pytanie numer dwa: dlaczego matematyka jest taka dobra w tłumaczeniu fizycznej rzeczywistości? Co

takiego mają w sobie liczby i logika?

– No jest ta teoria o komputerze kwantowym...

– To też ci pewnie pan Morel powiedział?

– Nie naśmiewaj się z niego. Już ci mówiłem. Nie śmieję się z niego.

Fia aż podskakuje, słysząc zajadłość w jego głosie.

– Przepraszam, dobra, nigdy i tak tego nie zrozumieć. Nieważne. Ale dlaczego w ogóle kanwą rzeczywistości mają być obliczenia? Czemu niby rzeczywistość to miałyby być jeden wielki system modelowania, czym to się różni od wielkiej, bardzo skomplikowanej gry komputerowej? Czemu to wszystko ma wyglądać jak nieprawdziwe? Może to jest nieprawdziwe? Albo to jest powtórka? Może tych inteligentnych obcych nie ma, bo to, co bierzemy za nasz wszechświat, to tylko ogromna kwantowa symulacja. Powtórka. Wszystkie te światy to powtórki.

Edson wsuwa ramię za jej plecy.

– Daj spokój. Musisz się położyć. Zmęczona jesteś.

– Nie, Edson, posłuchaj. W moim świecie, zanim zniszczyliśmy Amazonię, była taka legenda stamtąd. Według niej, świat stworzył jaguar, ale nie za dobrze mu wyszło; tak, że trzeciego dnia się skończył, i my – cały nasz świat, wszystko, co wydaje nam się realne – jesteśmy tylko snami z tamtej trzeciej nocy. To prawda, Edson. To prawda. My jesteśmy takimi snami. Duchami. Zastanów się sam, jeśli uniwersalny kwantowy komputer potrafi dokładnie zasymulować jakąś rzeczywistość, dowolną liczbę razy, to jakie jest prawdopodobieństwo, że jesteśmy w pierwszej z tych symulacji, tej oryginalnej, a nie którejś z następnych. Wiesz, jakie jest? Mogę ci podać. Policzyliśmy. Jest takie, takie małe... Prawdziwy wszechświat umarł dawno temu, a my jesteśmy tylko duchami, na końcu czasu, blisko śmierci cieplnej. Wszystko chodzi coraz wolniej i wolniej, ale nigdy się nie zatrzyma, będzie się w kółko powtarzać, a my nie możemy się z tego wydostać. Nie jesteśmy ludźmi. To właśnie Zakon chce przed nami zataić. Nie jesteśmy ludźmi. Jesteśmy duchami ludzi, symulowanymi w ogromnym kwantowym modelu. Wszyscy. Wszystkie światy, wszystkie wszechświaty.

– Fia, daj spokój, źle się czujesz. Idź się położyć, pomogę ci.

Nie chce, żeby gadała o Zakonie, o ich Sesmarias, o zabójcach. Przynosi wodę z wnęki kuchennej. Paskudnie smakuje woda na tym statku, jak morska, która przeszła przez zbyt wiele pęcherzy. Dodaje do niej parę drobiazgów z farmakopei. Za ciężko pracowała. Gada głupoty, wariactwa.

– Spokojnie. Śpij.

Solidna dziewczyna się z niej zrobiła, nabrała ciała na byle jakim jedzeniu, braku ruchu i tęsknocie za domem. Edson pomaga jej się położyć.

– Ed, boję się.

– Cii, śpij, wszystko będzie dobrze.

Zamyka oczy. Już śpi. Edson poprawia jej poduszkę pod głową. Długo patrzy, jak Fia nurkuje w sen, niczym moneta w głęboką wodę. Potem wkłada wyglansowane buty, poprawia modną gniecioną koszulę i idzie na spotkanie z chłopaczkiem od kokosów. Niech

sobie będzie fałszywy ten świat, niech się składa z kłamstw i pozorów. Ale w nim się znaleźliśmy i w nim musimy sobie urządzić nasze żalosne życie.

Chłopak od kokosów umówił się z Edsonem na samym końcu pokładu, gdzie jest dwupoziomowe pole do ćwiczenia golfa. Okalające je siatki są oświetlone reflektorami, zabłąkane światło odbija się także od stalowego morza daleko w dole. Gwizd.

– Hej a.

– Heja.

– Opóźniło się. Najpierw przyjedzie coś innego.

Układ biznesowy jest całkiem niezły. Nocnymi lotami przylatują na statek nowi pracownicy, a razem z nimi środki na nastrój z Pernambuco. Nie są nielegalne – na eksterytorialnym *Oceanusie*, gdzie korporacje rządzą jak kolonialni donatorzy, mało co jest nielegalne. Ani też szczególnie legalne. *Oceanus* to szara strefa o napędzie atomowym, a Edson porusza się po takiej gospodarce jak kot po faweli. Na wspomagacze osobowości zawsze znajdzie się rynek – Edson zapuścił już korzenie na piętrze klubowym i ma biznesplan, przewidujący podwojenie liczby osobowości na *Oceanusie* w sześć miesięcy. Jezus Maria, przecież te śmiertelnie nudne androidy potrzebują charakterów jak mało czego. A dzisiaj, dzisiaj, dzisiaj, z farmafabryczek w Recife ma przyjechać osiem kilo – wszyscy wiedzą, że na północnym wschodzie robią najlepszy towar.

Światła na ciemnym niebie. Zbliżają się szybko. Teraz dźwięk silników. Edson wychowywał się na ścieżce podejścia do lotniska, więc dawno zauważył, że dźwięk samolotu nigdy nie nasila się płynnie, z szeptu przez hałas, do ryku, ale skokowo staje się słyszalny. Kwantowy dźwięk. Pasuje do fałszywego wszechświata Fii.

– To jest ten inny lot – mówi Kokosiarz. Ma układ, *jeitinho*, z pracownikami lotniska.

– Nie brzmi jak samolot – zauważa Edson.

Czarny jak smoła helikopter, widoczny tylko, gdy na gładkich jak u jaguara burtach błysnie światło księżyca, przesuwają się nad *Oceanusem*. Edson i Kokosiarz widzą ukazujące się na kadłubie zielono-żółte gwiazdy Brazylijskich Sił Powietrznych. Opada, ale nie ląduje, zawisa półtora metra nad płytą. Otwierają się drzwi. Wyskakuje człowiek, opada lekko na pas. Wstaje i znika w okamgnieniu. W tej samej sekundzie helikopter wznosi się i odlatuje znad *Oceanusa*. Dygoce na tle nieba, po czym włącza maskowanie i wtapia się w noc.

– Kurwa mać – mówi Kokosiarz.

– Idziemy – rzuca Edson. – Chowamy się.

Jaja skurczyły mu się jak z zimna. Coś tu jest nie tak. Jaja nigdy go nie zawiodły. Nawet kiedy występował jako Efrim. W wieży kontrolnej zapalają się światła, *seguranças* biegają bezładnie, nie mając pojęcia co się właściwie stało i co mają robić. Biegająca postać zatrzymuje się niecałe pięć metrów od kryjówki Kokosiarza i Edsona, schowanych za plastikowym transparentem powitalnym. Odwraca się. Rozproszone światło pola

golfowego obrysowuje jakiś przewieszony przez plecy przedmiot – z początku Edsonowi wydaje się, że to kość, kręgosłup, coś dziwnego. Potem rozpoznaje w tym łuk, odlany i wymodelowany dla konkretnych dłoni. A kiedy człowiek lekko, zwinnie, bezgłośnie zbiega po ewakuacyjnych schodkach, Edson dostrzega coś jeszcze: ten nie do pomylenia błękitny blask, rzucający na oko przez strzały w kołczanie. Mają kwantowe groty.

Yanzon, kiedy miał dwanaście lat, potrafił trafić w oko małpę na szczycie największego drzewa w dżungli, między gęstymi liśćmi. W tamtych czasach panowała epidemia i małp się raczej nie jadło, Yanzon robił to tylko po to, żeby się popisać celnością. Gdy piąta pandemia zredukowała plemię Iguapá do dwudziestu ludzi, Yanzon poważił się na długi spływ białą i czarną wodą do Manaus. Utrzymywał się z ulicznego strzelania z łuku do tarczy i zakładów. A kiedy już nikt nie chciał się zakładać, znalazł się mecenas, który zaczął go szkolić, by reprezentował Brazylię na olimpiadzie. W 2028 roku, w Luzonie, zdobył złote medale we wszystkich łuczniczych dyscyplinach. „Robin Hood z Rio do Ouro”, rozpisywały się gazety. „Ostatni z Iguapá”. Jednakże pamięć miasta Manaus przepływa jak rzeka, więc Yanzon pograżyłby się w niskopłatnych dorywczych pracach i okazjonalnym alkoholu, gdyby nie pewien arystokratyczny *alva*, który pewnego dnia stanął w jego drzwiach i zaproponował pracę z perspektywami na podróże, o jakich mu się nie śniło. Dawna dusza Yanzona nie zdziwiła się nawet: Iguapá od zawsze wiedzieli o labiryncie światów i przechodzących pomiędzy nimi *caraibas*.

Teraz zaś z lekkością zbiega po technicznych schodkach prowadzących z lądowiska do serca wielkiego statku. Dotyka oprawki swoich iSzkieł: na siatkówkę pada schemat w kolorach zachodzącego słońca. Widzi poprzez grodzie, przez zamknięte kabiny, przez ściany i sufity. Niesamowita technologia – świat, gdzie jedną myślą da się zlokalizować każdego i wszystko. Świat, gdzie grzech nigdzie się nie skryje. Ani muzyka, ani telewizja. Ani filmy. Nie po raz pierwszy zastanawia się, co by mogła osiągnąć jego Brazylia, gdyby nie siedem plag.

Prawą dłonią ściska łuk. Obrzydliwie piękny sprzęt do mordowania. Bloczkowe łączysko jest wydrukowane cząsteczką po cząsteczce z węglowych nanowłókien i pasuje mu do ręki jak modlitwa do bólu; osie na końcach łączyska są z tkanego diamentu. Bloczki z czystego tytanu dają sto kilogramów siły przy szybkim jak błyskawica, bez wysiłku, naciągnięciu cięciwy. Żyroskopy w pustych komorach majdanu nadają niesamowitą stabilność i tłumią wszelkie drgania – Yanzon jest w stanie złożyć się, wycelować i mieć trzy strzały w powietrzu oraz jedną na podstawce, zanim pierwsza z nich wbije się w cel. Widząc go, powiedziałyby się „Piękny i groźny łuk”, ale słowa nawet nie zdążyłyby opuścić ust, a Yanzon przeszyłby cię na wylot strzałą. Naprawdę groźny jest nie łuk, lecz są strzały.

Yanzon, ostatni strzelec Iguapów, pierwszy myśliwy Zakonu, dociera na Avenida Corporação. Główna biznesowa aleja statku jest chłodna, klimatyzowana i pachnie

cyprysami. Dotknięcie oprawki okularów oślepią oczy zabezpieczeń, lecz podwójne, barokowe drzwi EMBRAÇA opierają się temu kodowi. Tak to jest, jak się coś pozostawi dziedzicznej arystokracji. Amatorzy. Sesmarias z Buenos Aires mogliby to zrobić, ale boją się, że znowu przyjdzie Zemba, tak jak wtedy w kościele, kiedy zniszczyła tę rodzinę z São Paulo. A niech przyjdzie. Yanzon od dawna nie może się doczekać, żeby się z nią zmierzyć: jej sztuka walki kontra jego kwantowy łuk. Zabić naukowców, zniszczyć q-rdzenie, potem helikopter zabierze go z powrotem do kwantowego komputera Zakonu, a stamtąd pojedzie sobie do domu we Florianopolis, przy plaży. W Brasilii trzeba by spróbować coś kupić Rosemeri na szóste urodziny. Niezłe byłyby takie okulary, ale pewnie ze wszystkim będą niezgodne. Takiej ważnej figury jak ten tutejszy biznesmen nigdy się czysto nie likwiduje, lecz Yanzon każdą grubą rybę widział jako żebraka w innym świecie.

Drzwi są zakodowane kwantowo. Amen. Co kwant złączył, kwant niech rozdzieli. Wyciąga q-nóż i jednym oszczędnym gestem wycina drzwi z framugi. Dwie połówki przez chwilę jeszcze wiszą, potem przewracają się w tył na tkany trawiasty dywan recepcji. Gdy podeszwy butów Yanzona miażdżą twarze rzeźbionych, barokowych aniołów i demonów, w rozszerzonym polu widzenia eksploduje pełno bezgłośnych alarmów.

Edson tłucze w przycisk wzywający windę. Każdy uliczny zmysł, każdy gen *malandragem* mówi, żeby nigdy nie ufać windom, kiedy zależy od tego twoje życie i twoja miłość. On jednak widział, co jest na dole schodów. Przyjechała: *bing*. Głupia, głupia, głupia Al windy – guzik mnie obchodzą twoje instrukcje bezpieczeństwa. Moja dziewczyna jest na dole, a z nią admonitor Zakonu z q-łukiem. „Damy sobie radę z bandą starych królewskich *fidalgos*”, powiedział Alcides Teixeira. Nie dacie. Ich nie obchodzą wasze pieniądze, nie obchodzi ich wasze imperium, polityczne wpływy ani władza. Oni są poza prostą ekonomią.

Winda życzy Edsonowi dobrej nocy. Drzwi otwierają się na chaos. Wielkie barokowe wrota siedziby EMBRAÇA, przywłaszczone z kościoła w Olindzie, leżą na ziemi. Miga dwadzieścia lampek alarmowych, spanikowany system zraszaczy zlewa wodą kontuar recepcji z egzotycznego drewna. Nikogo za nim nie ma. A co to na dywanie, czy to czubki palców? Tupot nóg, głosy trzeszczące w krótkofalówkach. *Seguranças* Teixeiry zastrzela wszystko, co się rusza. Idź stąd, Edsonie Jesusie Oliveira de Freitas. Jednak ten sekundowy rekonesans przynosi mu odrobinę otuchy. Admonitor idzie najpierw przez piętra biznesowe. Jeszcze się zdąży dotrzeć do mieszkania.

Yanzon widzi biegnących dwoma korytarzami ochroniarzy. Zabije jednego, drugi wtedy ucieknie. Jego broń jest kosztowna, nawet jak na Zakon, i trzeba ją oszczędzać na obowiązkowe cele. Zadanie na tym poziomie wykonane, wszystkie cele obsłużone; i Szkoła

śledzą przez ścianę dwie kolejne sylwetki. Jednym tchem, jednym morderczym ruchem wyciąga strzałę z magnetycznego kołczana, zakłada, naciąga. Skomplikowane bloczki i dźwignie łuku przesuwiają się z molekularną precyzją. Strzela. Strzała z kwantowym grotem przelatuje przez ścianę, pokój, ścianę, biegnącego ochroniarza, zewnętrzną przestrzeń siedziby EMBRAÇA i wypada przez szklaną ścianę *Oceanusa*. Błysk błękitnego światła i człowiek nie żyje, leży, brocząc krwią na przyszczą czarną gumę. Yanzon wychodzi zza rogu, z nową strzałą na cięciwie. Ten, który przeżył, przerażony podnosi ręce, rzuca broń i, tak jak było do przewidzenia, ucieka. Yanzon mamrocze krótką modlitwę za zmarłego. Bogu, co boskie. A jeśli nie znał pana naszego Jezusa Chrystusa, to musi się przygotować na Jezioro Ognia. Yanzon jeszcze nie widział wszechświata, który nie znałby zbawczej mocy Chrystusa. Widział za to prawdziwe, niewyobrażalnie prawdziwe, przejawy tej mocy. Świecące piktogramy ochrony Teixeira poruszają się chaotycznie.

Spanikowani, przerażeni. Yanzon prześlizguje się przez ich niezdecydowanie i zbiega awaryjnymi schodami po dwa stopnie, na piętra mieszkalne.

Fia mruczy coś w chemicznym śnie – ciche, dziecięce pomruki.

– Teoria ekwiwalencji obliczeniowej. Jeśli cokolwiek może być komputerem, to wszystko może być komputerem. Aj!

Edson potrząsa nią jeszcze raz.

– Wstawaj!

Z twarzą wciśniętą w poduszkę mamrocze:

– Co tam daj spokój daj mi spać.

– Przyszedł Zakon.

Siada raptownie, oczy wytrzeszczone, zelektryzowana, przytomna na tysiąc procent.

– Co takiego?

Edson zatyka jej usta dłonią. Dźwięki, zapachy, powietrze, elektryczność – wszystkie zmysły z faweli mówią mu: „tu idzie śmierć”. Łapie i Szklą, swoje, jej i rzuca na łóżko, a Fię ściąga na podłogę. Najstarsza i podstawowa wśród sztuczek wszystkich *malandro* – oni bowiem za bardzo ufają swoim erfidom i Aniołom Ciągłego Monitoringu. W chwili, gdy przytyka dłoń do jej ust, łóżko przeszywają dwa rozbłyски zjonizowanego błękitu. Buchają dwa kłęby pierza i pianki. Edson wyteża swoje zmysły rodem z *cidade*, na sam skraj postrzegania, wychwytuje mikroskopijne zmiany ciśnienia, szelesty na pograniczu słyszalności, kwantowe zmiany w szczelinie światła pod drzwiami.

– Poszedł. Teraz za mną. Nic nie mów.

Trzymając ją za rękę, wybiega na balkon. Co to za durne, durne, durne mieszkania dla bogatych ludzi, z jednym wyjściem. Wychyla się przez balustradę. W górze wisi czarny helikopter. Czeka na podjęcie admonitora. W dole długi, długi spadek w żelazne morze. Edson wskazuje kciukiem sąsiedni apartament.

– Tam.

Dzwony z wysokim stanem i koszula z marszczonym przodem to nie jest najlepszy strój do łażenia jak małpa po ścianie półtorakilometrowego statku wycieczkowego ważącego dwanaście milionów ton. Edson wskakuje na balustradę, chwytając się wspornika i z modlitwą do Exu na ustach przerzuca się na sąsiednią balustradę.

– Pikus. Tylko nie patrz w dół.

Fia wytrzeszcza oczy, widząc przepaść, po czym przechodzi za nim jednym niezgrabnym ruchem.

– Ej! Popatrz na to!

Edson przykłada palec do ust. W apartamentach ze wszystkich stron zapalają się światła. Słyszy dalekie alarmy, pojazdy poruszające się nad głową i daleko w dole. Wielki statek zaroił się od ludzi jak mrowisko polane kwasem z akumulatora. Łowca jeszcze tu jest.

Yanzon, admonitor Zakonu, idzie teraz, nie napotykając oporu, przez mieszkalne ulice *corporação* Teixeiry, niszcząc wrogów Zakonu. Alarmy zaczynają go denerwować, musiał też zlikwidować paru co odważniejszych *seguranças*; jednak udało mu się zaprowadzić w siedzibie EMBRAÇA lęk i szacunek. Pokazano mu kiedyś Porządek, którego pilnuje Zakon. Kiedy przechodzi i składa się w superpozycję ze swoimi alter ego, ten Porządek jest prawdą. Jest jeden ogólnowszechświatowy umysł, a wszystko to jego aspekty. Prałaci, prezydenci, papieże i premierzy nazywają to Paruzją, końcem świata, ale prosty człowiek wiary łatwiej zrozumie nazwę „Boże Królestwo”. Wróg twierdzi, że to kłamstwo, powtarzany bez końca sen, kręcący się coraz wolniej w miarę jak wieloświat traci rozpęd – Wróg chce go przerwać, obudzić śniących. Wróg mówi, że to wolność i nadzieja. A dla Yanzona to pycha, zniszczenie, nieskończony upadek w ostateczny, wieczny chłód. Sen niekoniecznie musi być fałszem.

Zerka w górę. Przez stropy widzi Alcidesa Teixeirę, który próbuje uciec razem z ekipą swoich ochroniarzy. Małe, sensoryczne duchy, uzbrojone po zęby, obwieszane sprzętem. Mało to znaczy wobec łowcy, który potrafi strzelać przez stalowe grodzie. Zakłada strzałę na cięciwę q-łuku, celuje w sufit. Okręca się. Wiele kontaktów. Zbliżają się szybko. Komandosi *Oceanusa* znaleźli go. Yanzon opuszcza łuk i rusza biegiem. Teraz jego zadanie to zniszczyć kwantowe procesory i dotrzeć do punktu ekstrakcji. Albo się zabić. Zakon od zawsze rozumiał, że agenci giną razem ze swoimi tajemnicami. Jedno zręczne, szybkie cięcie kwantowym ostrzem, niemal przypadkowe i nonszalanckie. Wiele razy sobie wyobrażał, jak to będzie. Wyobraża sobie, że ciało rozchodzi się gładko, subtelnie, na poziomie kwantowym, tak bezboleśnie, że aż się dziwisz, kiedy zaczyna buchać krew. Całkowicie bezboleśnie. W ogóle bez bólu. I bez grzechu. W ogóle bez grzechu.

Edson liczy okna. Jedenaście, dwanaście.

– Niedobrze mi – mówi Fia.

– Tutaj.

Za zasłoną palą się światła. Gdyby miał q-nóż, mógłby elegancko przebić się do środka, wyciąć w szybie schludne koło, które wpadłoby razem z nim na łóżko w sypialni. Ale nie ma – ma za to pewność, że budowniczo *Oceanusa*, na płacy minimalnej, zbudowali to równie tandetnie i byle jak, jak wszystko inne budowane dla bogatych ludzi. Chwyta się belki, buja się na niej i z wymachu kopie. Cała rama okna wylatuje ze ściany i przechyla się do środka.

– UCIEKAJ! – wrzeszczy Edson do gołego dwudziestoparoletniego faceta stojącego w osłupieniu na środku pomieszczenia.

Technik wydaje krótki okrzyk i chowa się w łazience. Według wyliczeń Edsona, powinni być teraz naprzeciwko klatki schodowej. Nawet admonitor nie może być tak szybki, by ustrzelić ich oboje podczas krótkiego sprintu od drzwi do schodów. Niemożliwe. Na pewno. Otwiera raptownie drzwi. W korytarzu roi się od komandosów z ochrony *Oceanusa*. Lasery celowników omiatają ściany, podłogi, sufit. Muskają obcas Edsona, pchającego Fię w górę po schodach.

– Poziom komputerów kwantowych – odzywa się Fia.

– Wiem – mruczy ponuro Edson. – Z tego statku jest tylko jedno wyjście. Umiesz je włączyć? Musisz.

Wypadają z klatki schodowej dokładnie w momencie, gdy zza rogu wyłania się Yanzon. Ratuje ich tylko fakt, że powinni już nie żyć. W tej chwili zdumienia Fia atakuje skaner bezpieczeństwa, Edson przepycha ją przez drzwi i oboje padają na podłogę. Błękitne groty tną powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą były ich głowy, i przebijają się przez podłogę jak błyskawice.

– Daj spokój, on może się tu przebić jak nóż przez masło.

Wewnętrzna śluza otwiera się na mrugnięcie Fii. W środku są cztery ukradzione kwantowe procesory i bałagan większy niż porządnicki i dokładny Edson widział w życiu. Babskie pisemka, kosmetyki, napoje, puszki, papierki po jedzeniu, zmięte chusteczki, skarpetki, buty, długopisy, kubki po kawie z zaskorupiałymi fusami i pleśnią na dnie.

– To ma być to? – pyta. Brama do wieloświata.

Fia już ściągnęła koszulkę, gestem, który Edsonowi zawsze wydaje się niezwykle, niezwykle sexy – wokół trybików na brzuchu, gdy zaczynają się kręcić, migoczą aureole szarego światła. Kwantowe rdzenie odpowiadają widmowym światem innych wszechświatów. To jest *terreiro*, myśli. Śmieciowe czary. Głośny huk mówi Edsonowi, że łowca jest już w zewnętrznej części laboratorium. Oczywiście. Może i są dla niego niewidzialni, ale on ma na celowniku tylko te komputery. Zakon działa z jezuicką starannością. A do tego pomieszczenia bez okien prowadzą tylko jedne drzwi. Nie. Milion drzwi, miliard drzwi. I w tym mgnieniu myśli otwierają się. Edson aż się zatacza, mruga oślepiiony srebrnym światłem. Postaci w świetle, gubi się w lustrzanym labiryncie, we wszystkie strony ciągnie się od niego nieskończony szereg, tysiące innych Edsonów. Ci

najbliżsi to lustrzane odbicia, lecz wraz z odległością pojawiają się drobne różnice w ubraniu, stylu, postawie – a ci dalsi, widziani oczyma zażawionymi od blasku wieloświata, równie dobrze mogliby być aniołami, świetlistymi jak *orixás*. Czuje ich, zna ich, ma dostęp do każdego szczegółu ich życia, wystarczy tylko spojrzeć. Są z nim splątani. On ich poznaje, a oni poznają jego i jeden po drugim zwracają się ku niemu. Widmowy wiatr rozwiewa rude włosy Fii – jest jak *Mae do Santo*, a wszystkie jej siostry na nią patrzą. Edson zauważa, że niektóre drzwi są puste. Słyszy skrzypnięcie plastikowych płyt rozchodzących się w kwantowej skali. Okręca się, odwraca, widzi jak q-ostrze domyka koło. Płyta na ścianie zwała się do środka, odcięta. Bursztynowe i szkła zabójcy kipią danymi, trajektoriami, morderczymi krzywymi, a wszystko to niepotrzebne, bo ma ich tuż przed nosem, przed sobą, na celowniku łuku.

– Teraz, Fia, teraz, wszystko jedno gdzie! – wrzeszczy, gdy łowca napina cięciwę, strzela.

Nagle czas zestala się, tężeje – strzała odpływa od łuku, wycinając w powietrzu linię rozjarzoną promieniowaniem Czerenkowa. Edson widzi, że pruje prosto w jego serce. Nagły przeskok, kwantowy skok i strzała jest już w innym miejscu, w innych drzwiach, przemieszcza się z migotem ze wszechświata do wszechświata, a prawdopodobieństwo zabicia tego Edsona Jesusa Oliveiry de Freitas maleje do zera, gdy Edson łączy się w superpozycji ze wszystkim naraz. Łowca wydaje nieartykułowany, gniewny okrzyk, rzuca swój niesamowity łuk i wyciąga q-nóż. I nagle w tym miejscu ponad światami jest z nimi jeszcze czwarta osoba – niska blondynka, *loira*, magiczna capoeirzystka – tysiąc, milion jej sobowtórów, szarżujących przez wieloświat. W jednej chwili jest o wszechświat stąd, w następnej pojawia się, zdyszana, tuż obok Edsona.

– Witam ponownie – mówi i zatrząskuje mu na nadgarstku jedną obrączkę kajdanek.

Nurkuje pod wirum q-ostrza mordercy, trafia go potężnym kopnięciem w splot słoneczny, tak że wypada, zataczając się, z najświętszego sanktuarium; zatrząskuje drugą obrączkę kajdanek na przegubie osłupiałej Fii.

– Wylądowalibyście dwieście kilometrów w głębi Atlantyku – mówi. – Tam nam jesteście na nic.

Szarpie za łańcuch spinający Edsona z Fią. Drzwi rozwierają się szeroko. Spadają przez wszystkie drzwi naraz w srebrne światło. Przez Edsona przelatuje miliard żyć, miliard śmierci. Ma ochotę płakać, sikać, rzygać, śmiać się, modlić, ejakulować w ekstazie. Wtem stoi w świetle, oświetlony słońcem na mokrym od deszczu betonie, przy niskim murku okalającym pomnik człowieka w stroju piłkarza, dzierżącego dumnie pochodnię, z tych, które widuje się tylko na pomnikach i w logo partii politycznych. Człowiek jest z brązu, a na bokach cokołu widnieją plakietki z tego samego obrzędowego metalu. Nazwiska, legendarne, galaktyczne nazwiska. Jairzinho i Ronaldo Fenômeno. Sócrates i tamten drugi Edson – Arantes do Nascimento. A przed sobą ma łukowatą bramę triumfalną z wymalowanego na biało-zielono i pokrytego pleśnią betonu, ze słowami „Stadio Mario Filho”.

Edson znalazł się w miejscu, w którym nigdy nie był. Na stadionie Maracanã.

– Rio? – pyta ze znużeniem Fia, jakby brakowało jeszcze jednego cudu czy okropności, żeby położyła się w wilgotnym rynsztoku i przykryła śmieciami.

– Co tu się dzieje? – zachodzi w głowę Edson, marszcząc czoło na widok spatynowanych tabliczek. Gdzie jest *Seleção* z 2030, tutaj wygrali, albo z 2018, w Rosji? Który jest teraz rok?

– To są dosyć trudne pytania – odpowiada blondynka. – Bo widzicie, tak naprawdę teraz nie jest żaden rok. Jesteśmy jakby poza czasem, to tylko przypadkiem wygląda jak Maracanã z moich czasów. Tam, skąd ja pochodzę, my jeszcze nie wygraliśmy. Przeciwnie, przegraliśmy. I właśnie o to chodzi. I to nie jest naprawdę Rio. Wystarczy, że pójdziesz na koniec parkingu i zobaczysz.

Edson omal nie ścina Fii z nóg. Kajdanki – zapomniał, że są skuci. Fia wciąż rozgląda się oszołomiona, otępiała, na końcówce dwóch tabletek usypiających firmy Teixeira.

– Oj, cholera, przepraszam was za to – mówi kobieta. Grzebie w kieszeni spodni, szuka kluczyka. – Nie chciałam, żebyście się rozdzielili, bo w życiu byśmy was nie znaleźli.

Dwa naoliwione szczęknięcia, kobieta przypina lśniące, chromowane obrączki do paska. Edson rozciera nadgarstek. W życiu nie chciałby się zbliżyć na taką odległość do czegokolwiek policyjnego.

– A kim ty jesteś? Z policji jakiejś, czy coś? – rzuca przez ramię, idąc po bruku.

– No nie, nie z policji – warczy kobieta.

Edson odkrył tymczasem dziwną rzecz: gdy stoi pomiędzy masztami flagowymi wieńczącymi murek i kręci głową, drzewa i budynki po drugiej stronie ulicy przesuwają się razem z nim.

– Co to ma być?

Fia jednocześnie pyta:

– A gdzie podziali się ludzie?

– Kawa – mówi kobieta. – To trzeba wytłumaczyć przy kawie.

Zamawia trzy *cafezinhos* u starego, czarnego faceta o siwych jak gołębek włosach, stojącego za małym blaszonym straganikiem pod kolumnadą, której Edson chyba wcześniej nie widział. Kawa jest czarna, słodka i gorąca jak wrzątek, w małym, przejrzystym plastikowym kubeczku, ale ci *cariocas* nie umieją robić kawy. Paulistanos, to co innego: hodują kawę, więc się znają.

– Pomyśl, że to coś w rodzaju dekoracji do filmu, tylko solidnej i prawdziwej aż do spodu – wyjaśnia capoeirzystka; staruszek opiera się łokciami o blat swojego straganu. – Prawdziwej jak mało co. Taka bezpieczna kryjówka, azyl. Mamy ich setki, może i miliardy. Akurat ta przypadkiem jest w kształcie stadionu Maracanã z roku 2006. Ja tam nie jestem specjalną fanką piłki, ale ta lokalizacja ma dla nas dość szczególne znaczenie. Mam takich miejsc na pęczki, ale to jest coś w rodzaju naszego biura. Siedziba firmy, można by powiedzieć. Twierdza Samotności.

Fia powoli obraca się wokół, wytrzeszczając mangowe oczy.

– Kieszonkowy wszechświat – mówi. – Bardzo cwane. Dostałaś się do kwantowego komputera multiwersum i zhackowałaś go.

– Tak, to bardzo mały wszechświat, tak jak mówiłam, w sam raz tyle, żeby zmieścił się stadion. Chętnie bym dorzuciła plażę, Głowę Cukru, Copę, ale nie można dawać się ponosić ambicji. Zakon wie, że my gdzieś tu jesteśmy, tylko że na razie nie potrafi nas znaleźć.

Edson zgniata plastikowy kubeczek i ciska go przed siebie. Wiatr turla go z grzechotem po popękany beton.

– Ale to było prawdziwe, a kawa była gorąca i bardzo kiepska. Jak to możliwe, że robisz coś z niczego? Przecież mogłem to poczuć, dotknąć, i tak dalej.

– To nie jest „z niczego” – mówi staruszek za stoiskiem z kawą. – To czas i informacja, dwie najprawdziwsze rzeczy.

– Umiecie przeprogramowywać kwantowy komputer multiwersum – mówi Fia z błyskiem w oczach.

Blondynka i staruszek zerkają po sobie.

– Widzisz, sama doszłaś – odpowiada *loira* z bezczelnym uśmiechem. – Wiedziałam, że nie mylimy się co do ciebie. Dobra, to teraz chyba możemy już iść do środka. To może być z początku trochę takie... dezorientujące, ale z czasem się człowiek przyzwyczaja.

– Zaraz, zaraz – odzywa się Edson. Fia, capoeirzystka i kiepski kawiarz już są przy niebiesko-białej kolumnadzie. – Zanim gdzieś pójde, powiedz, kim ty jesteś?

Kobieta podnosi ręce, kręci głową, zła sama na siebie.

– Oj, wiecie, kompletnie zapomniałam. Tyle mam rzeczy na głowie, że już nie ogarniam. – Wyciąga rękę do Edsona. – Jestem Marcelina Hoffman i jestem tak zwaną Zembą. Coś jakby superbohaterką. Pojawiam się w ostatniej chwili i ratuję ludzi. A teraz chodźcie ze mną, jest jeszcze masa rzeczy do pokazania.

Edson krótko ściska podaną dłoń. W wykafelkowanym holu ogląda się za siebie – już nie widzi stoiska z kawą; plac migoce ledwie widocznymi sylwetkami, których należy się raczej domyślać – stary czarny mężczyzna, niska biała kobieta, *decasségui*, chłopaczek koloru *cor-de-canela* w eleganckim białym garniturze.

– Czyli Brazylia naprawdę w 2030 wygrała? – Staruszek idzie za Edsonem pochyłym tunelem wejściowym. Edson zwalnia kroku, czeka na niego. Tamten szepcze: – Ona tak naprawdę nie ma pojęcia o piłce. Telewizja to jest jej specjalność – była jej specjalność.

– Pewnie, wygraliśmy – mówi Edson. – Ze Stanami.

– Ze Stanami? – dziwi się staruszek, a potem wybucha śmiechem, tak bolesnym i tak chrapliwym, że Edsonowi wydaje się, że ma atak serca. – *Ianques* grają w piłkę? W Pucharze Świata? I jaki był wynik?

– Dwa jeden.

– Ha! A z Urugwajem?

– Od roku 2010 nie wyszedł z grupy.

Staruszek wali pięścią w drugą dłoń.

– He, he, he. Synu, niesamowicie ucieszyłeś starego człowieka. Niesamowicie. –

Chichocze bulgotliwie przez całą drogę zagiętym korytarzem obwieszonym zdjęciami sławnych i wspaniałych. Edson przystaje: coś przykuwa jego uwagę w fotografii bramkarza łapiącego spektakularnie piłkę. I data. 16 lipca 1950.

– To pan, prawda?

– Na oryginalnej Maracanie tego nie ma. To znaczy, na tej w moim świecie. W ogóle nigdy nie było takiego zdjęcia.

Marcelina przytrzymuje drzwi do łoża prezydenckiej. Edson wchodzi w oślepiające światło. Pozdrawia go dwieście tysięcy dusz. Chwieje się, potem bierze się w garść i schodzi rozważnie, z godnością po wyłożonych czerwonym dywanem schodach, aż do balustrady, przy której stoi Fia, promieniejąca od uwagi widowni. „*Senhors, senhoras*, oto na trybunę wchodzi Edson Jesus Oliveira de Freitas! Superstarrrrrrrr!”

– Mówiłam wam, to trochę może przytłaczać – powiedziała Marcelina.

Chwilę po tym, jak tyrania wzroku mówi mu: „Dwieście tysięcy kibiców”, uszy przekazują coś zupełnie innego i o wiele dziwniejszego. Na tym wypełnionym po brzegi stadionie panuje całkowita cisza. Ani jednego okrzyku, ani klaksonu, ani grzmotu perkusji, ani skandowania kibicowskiej samby. Ani racy. Ani komentatora krzyczącego „*Goool do Brasil!*”. Stadion duchów. Gdy uszy uzgadniają zeznania z oczyma, Edson widzi na wysokich, niemal pionowych trybunach coś w rodzaju zjawisk pogodowych, jakby kibice podawali sobie w wielkim kręgu gigantyczne jedwabne transparenty – fale oscylujące pomiędzy światami, między rzeczywistościami, między Fluminense i Flamengo, między dziesięcioleciami. Na tej wyjętej z czasu i przestrzeni Maracanie pojawiają się i znikają kibice z miliona wszechświatów.

– Okazało się kiedyś, że nie da się pracować przy tym hałasie – mówi Marcelina.

Na dole, w świętym kręgu zielonej murawy, toczy się mecz. Edson instynktownie wie, co to jest za mecz. Nie ma ważniejszego meczu. Ale nie jest to jeden Feralny Finał, tylko tysiące, rozmigotanych, to jeden, to drugi, zjawy piłkarzy przeskakujące z innych wszechświatów, strzały na bramkę sięgające w najdalsze zakątki wieloświata. Edson patrzy, jak przeklinany Barbosa ponuro wyciąga piłkę z siatki; potem rzeczywistość przeskakuje i wykopuje ją ponad napastnikami, długim podaniem do Juvenala.

– Ja już się przyzwyczyłem – mówi Moaçir Barbosa. – Statystycznie wygrywamy. No ale wiesz co? Dwa jeden z USA? Do tego nie mogę się przyzwyczyać.

Edson unosi ręce z poręczą.

– No dobra, świetnie, ja już jestem gotowy uwierzyć, że jestem w jakimś bąblu poza czasem i przestrzenią, albo w prywatnym kieszonkowym wszechświecie, albo coś tam jeszcze, ale mam jedno pytanie. O co w tym wszystkim chodzi?

Marcelina klaszcze. Dźwięk rozbiega się po magicznie cichej Maracanie.

– Dobre pytanie!

– A odpowiedź?

– Wszechświat, to znaczy, ten oryginalny wszechświat, ten, w którym wszyscy żyliśmy za pierwszym razem, umarł dawno temu. Właściwie to nie umarł, on nie umrze, po prostu rozszerzy się tak bardzo, że wszystkie cząstki znajdą się tak daleko od siebie, że właściwie

każda stanie się własnym wszechświatem. Do tej fazy jeszcze nie dotarliśmy; niemniej wszechświat jest już tak stary i zimny, że ma za mało energii, żeby podtrzymać życie czy jakikolwiek inny proces, z wyjątkiem kwantowych obliczeń. Ale inteligentne istoty zawsze próbują znaleźć jakieś rozwiązanie, jakieś wyjście, żeby nie umrzeć razem z gwiazdami. Dlatego stworzyły gigantyczną kwantową symulację własnej historii i weszły do niej. I tym sposobem przeżywamy to życie w kółko, raz za razem, coraz wolniej, gdy wszechświat stygnie do zera bezwzględnego, aż w końcu wszystko się zatrzyma i zamrzemy w wiecznej terażniejszości.

Edson, jak zawsze chudy, jak zawsze niedożywiony, dygocze w swoim eleganckim białym garniturku *malandro*.

– Ale ja żyję – mówi.

– Tak. Nie. Odpowiednio dokładna symulacja jest nieodróżnialna od rzeczywistości. Dopiero kiedy się popatrzy z bliska, pojawiają się pęknięcia.

– Kwantowe dziwactwa – dodaje Fia.

– I na to nie ma rozwiązania. Kwantowa natura symulacji będzie zawsze zdradzała jej prawdziwą naturę. Po to właśnie założono Zakon, żeby pilnował tej wiedzy.

– Fia powiedziała, że Sesmarias to są stare rody *fidalgo*. To od jak dawna my o tym wiemy?

– Chyba zawsze byli na świecie ludzie, którzy rozumieli wieloświat. Ale Zakon powstał dopiero w połowie osiemnastego wieku, kiedy francuski podróżnik przywiózł z Amazonii zioło, które pozwala umysłowi działać na poziomie kwantowym.

Edsonowi kręci się w głowie. Dosyć tego, dosyć. Ja chcę słońce, chcę piwo, chcę moją Królową Podbijania Piłki i dobry deal.

– Czyli my nie żyjemy. Jesteśmy duchami, więc po co to wszystko? I tak wszyscy na koniec umrzemy.

Czuje, że Fia chwyta go za rękę, ścisną.

– Wcale nie musi tak być – mówi. – Cała dostępna energia idzie teraz w zasilanie wieloświatowego komputera kwantowego.

– Zakon nazywa go „Paruzją”.

– Ale można by tę energię wykorzystać do czegoś innego. Czegoś nieprzewidywalnego. Losowego zdarzenia kwantowego, jak to, które doprowadziło do napompowania tego wieloświata. Nowego stworzenia. Ale najpierw trzeba by wyłączyć symulację. Wyłączyć Paruzję.

– Zaraz, zaraz, zaraz – odzywa się Edson. – Jak to wyłączycie, to wszyscy umrzemy.

– Może nie – stwierdza Fia, zagryzając dolną wargę, nieświadomie, jak to ona, co Edsonowi wydaje się słodziutkie i sexy jednocześnie. – „Czarna dziura naprawdę ma włosy”. Osobliwość mogłaby pozwolić na zachowanie informacji.

– Wiesz, ja nie jestem naukowcem – mówi Edson.

– Ja też nie – dodaje Marcelina. – Ale zrobiłam parę naukowych programów. Głównie o operacjach plastycznych.

– O to właśnie walczymy – mówi Fia, oczy jej płoną, sięga nimi na koniec

wszczęświata i dalej, odbijają to nowe światło. – Śmierć w chłodzie i ciemności albo nadzieja na odrodzenie w ogniu.

– Powinnaś scenariusze pisać – zauważa Marcelina. – Świetne to. Bardzo poetyckie. Tego właśnie boi się Zakon; o to walczymy w całym wieloświecie, o szansę na coś innego, coś magicznego. A takie miejsca jak to, to jest zawsze jakiś początek, taki drobiazg na początek. Edson. Muszę chwilę pogadać z twoją dziewczyną. W cztery oczy.

Edson odwraca się z powrotem ku niekończącemu się meczowi. Jaskrawa, świeża murawa, niebo, które tylko w Rio jest takie niebieskie, tyle kolorów tłum: wszystko to duchy, echa. Nawet jego własna dłoń na poręczy wydaje się tak cienka i materialna, że aż prześwituje. Odwraca twarz do słońca. Jest zimne.

– Mnie też to przeraziło jak nie wiem, synu – mówi Barbosa. Opiera się na poręczy, z godnością spluwa za krawędź łoża prezydenckiej. – Ale wszystko jedno jak to wygląda: to jest świat, w którym żyjemy. I jak to ludzie, dostosujemy go do siebie. Może wszystko zacznie się od nowa, a może umrzemy i to będzie koniec, żadnego nieba, żadnego piekła, nic. Wiem jedno, na pewno nie jestem w stanie w kółko przeżywać tego, co mi się przydarzyło. W nieskończoność, coraz wolniej i wolniej, póki świat nie zamrznie. To dopiero jest śmierć. A to... to jest nic. – Rozgląda się. – Szybko poszło. Zostawię was teraz, młodziaki. – Wchodzi po schodach, mija Fię na czerwonym dywanie.

– Zaproponowała ci pracę, prawda? – mówi Edson.

– To już powoli standard.

– 1 przyjęłaś?

– A jakie mam wyjście? Ktoś taki jak ja ma inne wyjście?

– Ale nie ktoś taki jak Edson.

Nie jest w stanie na niego spojrzeć. W dole, w milionie wszechświatów, Augusto unosi wysoko w powietrze puchar Julesa Rimeta, na oczach milczącej Maracany.

– Nie mogę podjąć tej decyzji za ciebie.

– A próbowałaś w ogóle?

– To zbyt niebezpieczne. Ty nie jesteś graczem, ja jestem, dobre to czy złe. Nie możesz pójść ze mną. Ale wrócisz, potrafimy odesłać cię z powrotem, to jest bardzo łatwe. Nawet ja to umiem. A Zakon już mnie szuka.

– Ale już nigdy cię nie zobaczę, prawda? Skoro Zakon cię ściga...

Kręci głową, zagryza wargę. Zaraz będą łązy. Dobrze, myśli Edson. Zasługuję na nie.

– Ed.

– Nie nazywaj mnie tak. Nie cierpię tego. Mów tak, jak się nazywam. Edson.

– Edson, ty masz dom, możesz do niego wrócić. Masz rodzinę, tylu braci, Donę Hortense, ciotkę Marizete i kupę przyjaciół. Masz Carlinhosa... pana Morela. On cię kocha. Nie wiem, co by bez ciebie zrobił.

– A może – odpowiada Edson, zagryzając usta, bo już czuje, co się zaraz stanie, a nie chce, żeby ona to widziała, nie wtedy, gdy jest urażony, wściekły – a może ja cię kocham?

Fia przykładła dłoń do ust, próbuje wypchnąć jego słowa z powrotem w niewypowiedziane.

– Nie mów tak, nie, nie masz pojęcia, co czuję, jak to słyszę? Jak możesz tak mówić? Strasznie to brzmi. Edson, ja już raz dla ciebie umarłam. Ja to nie ona. Nigdy nią nie byłam.

– Może to ciebie kocham – mówi Edson.

– Nie! – wykrzykuje Fia. – Przestań to powtarzać. Idę, bo muszę, i muszę szybko. Nie możesz przejść ze mną. Nie szukaj mnie, nie próbuj się ze mną skontaktować. Ja cię nie będę szukać. Wracam do martwych.

Odwraca się i idzie w górę po czerwonym dywanie. Marcelina otwiera drzwi. Edson wie, co jest za tymi drzwiami – wszystkie światy wieloświata. Kiedy tam wejdzie, zniknie pomiędzy nimi i nigdy już jej nie odnajdzie. Wróci do swojego gabinetu za domem Dony Hortense, w szanowanej, ciężko pracującej dzielnicy Cidade de Luz. Zamieszanie wokół kwantowych rdzeni ucichnie, bo policja znajdzie sobie łatwiejszy łup do obrabiania. Będą inne Królowe Podbijania Piłki, inne drużyny siatkonogi, no i *De Freitas Global Talent* ma jeszcze cały ten biznes z jadłodajniami Habibi. A w te rzadkie pogodne noce jesienią i wczesną wiosną będzie spoglądał ponad Anioły Ciągłego Monitoringu w gwiazdy i niewyraźną smugę Drogi Mlecznej, widząc ją tam, dalej niż gwiazdy, a mimo to oddzieloną tylko jednym splotem światów. Drzwi się zamykają. Fia już w nie wchodzi. Jeszcze jeden krok i przepadnie na zawsze. I łapie się na tym, że pędzi po tych schodach, po tym czerwonym dywanie, ku zamykającym się drzwiom.

– Nie! – krzyczy. – Nie!

18 SIERPŃNIA – 3 WRZEŚNIA 1733

We wschodzącym słońcu *quilombistas* stanęli jak jeden mąż na wzgórzu Nadziei Świętych, milczący, wpatrzeni w boskie anioły sunące ponad lasem ku nim, w słonecznych aureolach. Nagle Zemba uderzył włócznią o tarczę, przebiegł między szeregami, *iâos* za nim, z krzykiem, w podskokach, dumny i wściekły.

– Co z was za *pacas*, że stanęliście i rozdziawiacie gęby na widok drewnianych kukieł? Dla świecidełek, błyskotek dacie się zakuć w kajdany? Walczyć, wy *pacas*! Tu jest Miasto Boga. Tu! – *Iâos* w ślubnych strojach także się rozkrzyczały: głosy rozległy się tu i ówdzie, coraz więcej, aż nagle całe wzgórze wrzasnęło jak jeden mąż. Falcon poczuł ten okrzyk w gardle – okrzyk dumy, sprzeciwu i śmiechu. Sam także się przyłączył – wzgórze Nadziei Świętych, całe czerwone od tłumy, który krzyczy w słońce.

Wzgórze wciąż rezonowało potężnym okrzykiem, gdy Falcon zaczął sprowadzać swoich Manaosów na dół do zalanego lasu. Pod błotnistą powierzchnią czaiły się zdradzieckie pułapki – zostały tam dawne okopy i sidła, jeden nieuważny krok i wojownik tonął w głębokiej wodzie, bezradny wobec wrogiego miecza. Falcon tylko raz obejrzał się za siebie, kiedy zauważył, że anioły się zatrzymały. Między drzewami mignęła mu Caixa w pierwszym okopie. Rozdawała zębate drewniane noże kobietom i dzieciom pod swoim dowodzeniem. Chwilę później *várzea* zatrzęsa się od huku artylerii i gwizdu pocisków z moździerzy. Wzgórze, gdzie Zemba ulokował ocalałą artylerię, buchnęło dymem i czerwoną ziemią. Grudy ziemi spadły na nich jak deszcz, jednak, gdy rozwiął się dym, Falcon znów usłyszał bojowe okrzyki. Pośpiesznie wykonane pod wodzą Zemby ziemne umocnienia wytrzymały: *ballisteiros* i *trebuchistas* tańczyli na przedpiersiu, powiewając ufarbowanymi *urocum* męskościami na pohybel aniołom.

Gwizd ptaka; Tucuru uniósł lewą rękę, zamachał nią. Wróg w polu widzenia. Falcon wyteżył wzrok, spojrział w półmrok, lecz dojrzał tylko przemoczonego leniwca, patykowatego, ponurego, wiosłującego w poprzek rzeki niczym przerośnięty pająk. Wtem, w nagłym objawieniu, jak wtedy, gdy rozrzucone po niebie gwiazdy niespodziewanie ułożą się w gwiazdozbiory, dostrzegł sunące przez zasypaną liśćmi wodę dzioby wojennych kanoe. Wyciągnął miecz. Jego łucznicy kryli się w gęstych zaroślach. Strzelą dwa razy, a potem się wycofają, żeby nękać wroga z innego punktu. Bliżej. Trzeba dopuścić ich bliżej. Jeszcze bliżej.

– Za Cudowne Miasto! – zawołał Falcon.

Pięćdziesięciu łuczników wystrzeliło, a druga strzała była w powietrzu, zanim pierwsza trafiła w cel. Wszystko w milczeniu. Zaraz potem las eksplodował ścianą armatnich pocisków, a powietrze zmieniło się w kłębowisko kul i siekańców. Jedną salwą zmienili Falconowi połowę żołnierzy w krwawe strzępy.

– Na drugą pozycję! – krzyknął.

Za prowadzącymi szturm kanonierkami tłoczyły się kolejne kanoe, więcej niż był sobie w stanie wyobrazić. Korona i Kościół połączyły siły w misji, której celem nie było zniewolenie, lecz całkowite zniszczenie.

– Panie, zmiłuj się nad nami – wymamrotał. Wbrew wszystkiemu musi teraz, musi niezbędnie, zyskać jeszcze odrobinę na czasie. – Kryć się i ognia!

Szereg kanonierek wystrzelił znów, posuwając się pomiędzy drzewami. Posypały się gałęzie, liście i drzazgi, śmiertcionośna ulewa rozbitych siekańcami drzazg. Falcon, z mieczem obijającym się o nogę, pobiegł przez sięgającą do ud wodę. Uniósł wzrok, gdy przez gałęzie przeleciała ze świstem salwa twardych jak żelazo drewnianych kul. Procarze ze wzgórza Nadziei Świętych strzelali na oślep po stromym balistycznym torze. Krzyki po portugalsku; wioślarze osłonili głowy drewnianymi tarczami. Manao obok Falcona wykorzystał chwilę nieuwagi, by się odwrócić i wpakować strzałę kanonierowi. Odezwał się muszkiet, Indianin okręcił się na pięcie, strzała poszła w niebo. Upadł w pokrytą liśćmi wodę, pierś broczyła krwią. Gdy kanonierzy nabijali swoją morderczą broń, otworzyli ogień nadrzewni strzelcy Zemby. Świetnie się spisywali ze swymi powtarzalnymi kuszami, lecz każda historia kończyła się tak samo: huk garłacza, chmura dymu, ciała spadające z drzew jak czerwone owoce. A łodzi ciągle przybywało. Falcon rozejrzał się po gęstwinie ciał w wodzie. Już padały ofiarą piranii. Została mu ledwie jedna czwarta łuczników. Krwawa jatka.

– Odwrót! – Wrzasnął Falcon. – Do okopów! *Sauve qui peut!*[\[10\]](#)

Kanoe sunęły pomiędzy wierzchołkami drzew. Iście biblijna scena, pomyślał Quinn: zwierzęta uczepliły się kurczowo samych szczytów zatopionych drzew, każde jak wyspa sama w sobie. Woda cuchnęła rozdętymi trupami topielców. Musiało tu powstać prawdziwe miasto, żeby pomieścić i wyżywić wszystkich robotników – te chaty pierwsze zniknęły pod wzbierającą wodą, tak że po budowniczych nie pozostał żaden ślad. Quinn próbował wyobrazić sobie setki potężnych drzew ścinanych na pale, tysiące ton ziemi przerzuconej drewnianymi narzędziami i siłą ludzkich mięśni. To już nie biblijne przedsięwzięcie: to dzieło o egipskich proporcjach.

Mocno przed świtem wykradli się z Cidade Maravilhosa w płataninę zalanych koron. Quinn najpierw poczuł, a dopiero potem zobaczył – jakby był to owiewający *várzeç* wiatr spomiędzy światów – potężną ciemną masę poruszającą się za maskującymi gałęziami; wiosła unoszące się i opadające jak nogi monstrualnego leśnego krocionoga. Nossa Senhora de Várzea, atakująca otwarcie, pewna swojej strategii. Ojciec Gonçalves uparcie trwał w grzechu, w swojej szatańskiej arogancji. Po Świętej Lasu Zalewowego biegały ciemne, poszukujące cienie, ciemne w porannym półmroku niczym jaguary; stał tam i potężny szereg kanoe, dla wojujących wiernych Miasta Boga. Quinn przycisnął palec do ust; przybocznicy zrozumieli w okamgnieniu. Odłożyli na łódź zdradzieckie, głośnie wiosła i zaczęli przeciągać ją wzdłuż lian i gałęzi, aż niebiański zastęp zniknął z pola widzenia.

Otwarta woda przed dziobem; tama – ciemną linią pomiędzy niebieskim niebem i nakrapianym zielono, ciemniejszym błękitem powodzi. Prostota jej geometrii łudziła zmysły – widziana z kanoe, z każdej odległości wydawała się taka sama. Quinn nie potrafił ocenić odległości.

O ćwierć francuskiej mili na południe płynął patrol. Quinn obejrzał kanoe przez lunetę, gdy wychyły z zielonej gęstwiny po południowej stronie zalewu, lekkie trzyosobowe pirogi, idealnie przystosowane do przechwytywania, obsadzone przez co najwyżej dwunastoletnich chłopców, wymalowanych we wzory jak dorośli wojownicy; dorośli wojownicy właśnie szturmowali Cidade Maravilhosa. Przekazywali sygnały błyszczącym metalem. Odpowiedziały inne błyski i nagle świat wokół nabrał perspektywy: tama była dosłownie o strzał z łuku, a woda o wiele wyższa niż się spodziewał – sięgała prawie do szczytu potężnych kłód. Z szłasów z liści palmowych ustawionych pod ziemnymi wałami wybiegły postacie – w wodę wokół kanoe uderzyło kilka pierwszych strzał. Quinn wycelował tam lunetę: staruszkowie, najlepsze dni polowań już mają za sobą. Otworzył wzrok na inne światy, na tamę za tamą za tamą, na spiętrzoną za nią całą wodę świata. Pokażcie mi, gdzie najlepiej, gdzie trzeba, pokażcie kardynalną wadę tej konstrukcji. I nagle ujrzał ją tak wyraźnie, jakby anioł stanął na kopule świątyni. Punkt nieco na północ od środka wielkiego, łagodnego ziemno-drewnianego łuku, w miejscu, gdzie pomiędzy palami ziała odrobinę większa szczelina. Właściwa odpowiedź wybrana ze wszechświatów zawierających wszystkie możliwe odpowiedzi.

Na rozkaz Quinna łucznicy Iguapá otworzyli ogień osłonowy, on zaś tymczasem okrzykami zachęty wyciskał ostatnie poty z wiosłarzy. Kanoe zderzyły się z potężnymi drewnianymi pomostami. Quinn z wraskiem wspiął się na tamę i, trzymając oburącz miecz, rzucił się na strażników. Niektórzy, co odważniejsi, podnieśli bojowe pałki; potem wiek i rozsądek przeważały i uciekli na południowy koniec tamy.

– Niech uciekają – zarządził Quinn. – Ze starcami i dziećmi nie wojujemy.

Podczas gdy pomiędzy pomostami Iguapá wiązali kanoe w ciasną tratwę, tak, aby beczki znalazły się jak najbliżej konstrukcji, Quinn analizował budowę tamy. Górna powierzchnia miała osiem kroków szerokości i była pokryta glinianym klepiskiem na wiklinowym podkładzie. Ziemny wał, już porośnięty bujnym leśnym zielskiem, był nachylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Do glinianego, ciurkającego wodą korytka martwej Rio do Ouro było z dziesięć wysokości dorosłego człowieka. Po raz kolejny zdumiał się energią i wizjonerstwem swego przeciwnika. Czy jakakolwiek ilość materiału wybuchowego zdoła wysadzić taki ogrom ziemi i drewna, takie skupienie woli i mocy? Wystarczy jednak najmniejsza wyrwa. Reszty dokona sama woda, nieprzeliczona masa wody nagromadzona w zalewie w dolinie Rio do Ouro.

Strzała wbiła się w glinę piędziesiąt od jego stóp. Od południowego brzegu odbiło osiem wojennych kanoe. Wiosłowały szybko ku tamie, żeby mieć ją w polu ostrzału łuczników.

– Zdziwiłbym się, gdyby ojciec Gonçalves powierzył ochronę swojej tamy wyłącznie starcom i dzieciom – stwierdził Quinn. – Rozwijać lont; nie ma chwili do stracenia.

Ładowanie się zakończyło. Iguapá wygramolili się na zapórę; Waitacá wetknął koniec

lontu do jednej z beczek i rozwijał go za sobą, a łucznicy Quinna osłaniali ich strzałami. Starcy przypomnieli sobie o swoim honorze i podnieśli pałki do ataku. Quinn i Waitacá pobiegli na północny brzeg; posiłki przestały strzelać i wiosłowały teraz prosto do bomby.

– Trzeba ją już wysadzać – powiedział Waitacá.

– Jesteśmy za blisko.

– Mair, teraz albo nigdy.

– Boże, bądź miłościw – szepnął Quinn, biorąc starannie pilnowaną wolnopalną żagiew i dotykając nią końca sznura.

Lont dopalił się w okamgnieniu. Ogłuszający, oszałamiający grzmot rzucił Quinna i Iguapá na ziemię. Pozbawiony tchu, ogłuszony, zobaczył wielką falę wzbijającą się spod tamy i jednocześnie uderzającą w nią; słup wody wzbił się nad tamę na jej wysokość, licząc od dna rzeki. W białych grzywaczach koziołkowały ciemne przedmioty – wojenne kanoe, uniesione łatwo jak liście przez leśny strumyk.

– Jezu, bądź miłościw.

Zalała go spieniona woda; wokół posypały się drewniane drzazgi. W głowie zadzwoniło od huków; rozboleło go całe ciało. Powoli pozbierał się na nogi. Po drugiej stronie tamy starcy wstrzymali atak. Chłopcy Guabirú stali osłupiali w swoich łupinkach. Posiłki, które przetrwały wybuch, rozpaczliwie pływały w kółko, szukając powywracanych łodzi. Chmura dymu i pary rozwiała się. Tama wytrzymała. Świat zawisł: potem starcy znów rzucili się do ataku, a chłopcy zawrócili, by pomóc rozbitkom w wodzie. Tama wytrzymała.

Falcon, kapiąc wodą z każdego rąbka i szwu, rzucił się przez szczelinę w bambusowej palisadzie do bezpiecznej kryjówki pierwszego okopu. Pod policzkiem poczuł suchą ziemię. Do skóry odsłoniętej przez opadnięte pończochy poprzysysały się pijawki. *Pagé* posmarował miejsca po nich maścią ze zmielonej kory. Nad głowami nieprzerwanie latały kamienie, drewniane kule i bełty. Nagle usłyszał ze szczytu wzgórza głośniejszy trzask i, zignorowawszy pijawki, wstał w samą porę, by zobaczyć przelatujące łukiem nad głową pięć salw gorących kamieni, które z imponującym sykiem pary wylądowały pomiędzy kanonierkami. Gdy trebusze nakręcano i ładowano świeżymi, rozżarzonymi w ogniskach na wzgórzu kamieniami, odezwały się balisty, dżgając łodzie ognistymi grotami. Falcon obmyślił ich powłokę, z lepkich żywic i gum – śmiertelnie groźną dla kanonierek wyladowanych kulami i prochem. Trafieni, musieli zмагаć się z lepkiem ogniem pod nawałą pocisków z proc i trujących strzałek; gdy jedna z kanonierek wybuchła, po wzgórzu przeszedł radosny okrzyk, potem drugi, gdy folgierze wycofały się pod osłonę *várzei*, by stamtąd miarowo ostrzeliwać artylerię Zemby.

Falcon przedostał się na samą górę przez połączone ze sobą okopy, mijając bataliony chłopców o zaciętych twarzach; Iguapá, złotych, z dziwnymi czaszkami; Caibaxé z płytkami w wargach, choć byli za młodzi, żeby przejść oficjalne pasowanie na mężczyznę, wojna jednak z każdego chłopca czyni męża; Manaosi o czołach i czubkach głów wygolonych w osobliwe tonsury. Każdy ścisnął włócznię i drewniany nóż, czekając, cały czas czekając, aż przybocznicy Zemby, Imbangala, rzucą słowo. Falcon padł na ziemię, ścisnąjąc rękoma

ogoloną głowę, gdy huknęła kolejna salwa. Poczł pod brzuchem, jak trzęsie się całe wzgórze. Ślepa, zwierzęca panika; czego się trzymać, gdy trzęsie się sama ziemia?

Stłumiony ryk głosów za plecami. Radosny bojowy okrzyk Guabini. Poprawiwszy zielone okulary, Falcon zobaczył na wzgórzu pobojowisko – autobus rozbity, dwie balisty podpalone. Mimo to artylerzyści Zemby odezwali się jeszcze: gorące kamienie poleciały przez liście. Zaczęli też strzelać z ciężkich łuków, leżąc na plecach, z łukiem opartym o stopy, naciągając cięciwę całą siłą obu rąk.

Zemba we własnej osobie czekał, z odwodami i krzyżem Świętej Wszystkich Światów, w okopie za baterią. Dziewczęta-łączniczki nieprzerwanym potokiem przybiegały i wybiegały, przynosząc meldunki, wynosząc rozkazy.

– *Aîuba?*

– Generale, woda cały czas się podnosi. Wysunięte pozycję za godzinę będą pod wodą.

– Wiem o tym. Sugerujesz, że Mair poniósł klęskę?

– Sugeruję tylko, żeby ewakuować kobiety i dzieci, starców, chorych i niedołącznych, póki jest droga wyjścia.

– W lesie niechybnie zginą.

– Tutaj niechybnie zginą. To nie jest *entrada*. To jest zniszczenie.

Zemba zawahał się, ale tylko na chwilę.

– Ewakuować kobiety i dzieci.

Gońcy, kucający mu u stóp, pochyłili głowy, by lepiej skupić się na jego słowach. Falcon zbiegł, zygzakując, na dół do okopu, żeby przekazać nowinę Caixy i jej oddziałowi.

– Ja cię nie zostawię – powiedziała stanowczo. Kobiety i najmniejsze dzieci wyszły z okopu, niemowlęta zapłakane, niewytrzymujące strachu. – Musi ktoś na ciebie uważać.

Na wzgórze spadł nowy grad pocisków z moździerzy. Dym i kurz opadły, bateria milczała. Ze wzgórza dobiegł potężny okrzyk. Zemba stanął z uniesioną włócznią, mając przed sobą uniesiony wysoko krzyż Nossa Senhora de Todos os Mundos, smażąc się na słońcu. Falcon odwrócił się i zobaczył wyłaniające się z głębi lasu łodzie. Było ich tyle, że pomiędzy kadłubami nie było widać wody; Portugalczycy na krwawo i żółto, Guabirú ze skórą wymalowaną *genipapo*. Kanonierki prowadziły ogień zaporowy, jednak okrzyk i tak rozbrzmiał ponownie: podjęli go kapitanowie i *iâos* Imbangala, podjęła go Caixa u jego boku, a wreszcie i sam Falcon. Wyciągnął miecz i przeskoczył nad okopem, z wrzaskiem idąc na wroga.

Quinn stał bezmyślnie, nieruchomo jak gipsowy święty. Do tego świata nigdy jeszcze nie zawędrował: do bezgłośnej, pełnej desperacji krainy, gdzie nie sięgała bitewna pieśń, bitewne uniesienie, radość z walki, z trzymania w dłoniach cudzego życia, z tego życia skracania. Tu była porażka. Tu była klęska; popielaty, cichy świat. Prawdziwa pokora i posłuszeństwo, świat, gdzie klęka się przed nieuniknionym, bez dumy i skrępowania całuje w pierścień. Patrzył, bezmyślnie, niepomny padających strzał, na zaporę. Wtem coś

jęknięto, jakby wyrywano światu zęby. Po powierzchni zalewu przeszło drgnienie, kolejne, trzecie, czwarte. Potężne pnie twardych drzew, odpornych jak żelazo, trzasnęły z siłą eksplozji. Quinn poczuł, że tama trzęsie mu się pod nogami. W glinianej nawierzchni pojawiły się pęknięcia; wierzchołki wzmacniających pali nachyliły się ku wodzie.

– Mair, mnie się zdaje...

Waitacá nie musiał kończyć ostrzeżenia. Quinn, Iguapá, starcy, chłopcy w łódeczkach, wszyscy uciekli, gdy szeroki na dwadzieścia kroków odcinek tamy wykrzywił się, a potem pękł, buchając strumieniem spienionej wody. Połamane pnie drzew pofrunęły jak gałązki; z każdą sekundą napór wody powiększał wyrwę, zabierając wodę i drewno. Szczelina stała się przepaścią – kolejne części tamy ustępowały i spływały z wodospadem.

– Ludzie! Na matkę światów, ratować ludzi! – krzyknął Waitacá.

Guabirú z przewróconych łodzi usiłovali płynąć do brzegu, do wywróconych kanoe, do rozpadającej się tamy, prąd był jednak zbyt silny. Ich krzyki dołączyły do trzasku pękających belek i huku wody, która porwała ich ze sobą i wrzuciła do zabójczego młyna pełnego drewna i ziemi. Quinn wyszeptał modlitwę i ucałował krzyżyk różańca; po czym ziemia pod jego stopami zaczęła pękać i rozstępować się; popędził na północny brzeg. Za jego plecami tama rozpadła się na części, okręciła i spłynęła po skarpie, rozpadając się na wielkie kawały oblepionej gliną plecionki. Zmieniła się w jeden wielki wodospad, zalew – w młynówkę pełną połamanych gałęzi i potopionych zwierząt, rzeka w dole – w spieniony, biały jak śmietana, burzliwy prąd. Drewniane pale wyskakiwały z wody jak rakiety, by zaraz się zanurzyć i pójść na dno, fale zmiatały z brzegu kolejne krzaki i drzewa. Rio do Ouro żłobiła sobie nowe koryto przez *várzeę*; teraz porywała i wielkie głązy, by dołączyć je do niszczycielskiej lawiny wody i drzew.

Quinn wdrapał się po ziemnym wale łączącym zaporę z *terra firme*. Poczuł, że w pierś uwiera go bambusowa rurka Falcona. Wyciągnął ją, zważył w dłoni. Wyobraził ją sobie w falach potężnej powodzi, która z czasem się uspokaja, a walec podskakuje w nurcie, niezauważony pomiędzy potężnymi pniami. Z Rio do Ouro do Iguapará, z Iguapará do Catrimani, Rio Branco, Rio Negro, Amazonki. Do morza, by dać się zanieść prądem na brzegi Irlandii czy Portugalii, gdzie fale wrzucą go na biały piasek. To jeszcze nie koniec tej historii. Wsunął rurkę z powrotem pod czarną suknię.

Na ten ziemny wał wyciągnięto kanoe, powyżej linii powodzi. Lekkie pirogi.

– Waitacá, czy da się popłynąć w drugą stronę, pod prąd?

Waitacá przyjrzał się rzece, której koryto zmieniało się z każdą sekundą niszczenia tamy ojca Gonçálvesa.

– Dałoby się przez *várzeę*, jeśli ostrożnie.

– Mnie potrzeba szybko.

– Da się i ostrożnie, i szybko.

– No to świetnie. Waitacá, potrzebuję was przy wiosłach. Muszę jeszcze udzielić pouczenia ojcu Diego Gonçálvesowi.

Buciorzy żołnierzy i bose stopy *índios* chlupnęły w wodę, gdy kanoe dobiły do brzegu, przepłynąwszy przez zalaną palisadę. Łucznicy odrzucili łuki i wzięli w dłonie noże, by walczyć w zwarciu. Zbocze wzgórza stało się jedną lawiną rozwrzeszczanych, wyjących Indian, po części biegnących, po części ślizgających się, po części przewracających się podczas szarży; na czele pędził Zemba, w biegu ciskając lekkimi oszczepami. Bardziej leciał niż biegł, przeskakując przez ciała i na wpół zalane okopy. A pomiędzy *índios* – doktor Robert Falcon, z mieczem wyciągniętym przed siebie jak kirasjer, wykrzykujący słowa nienawistne i nieprzyzwoite, o które nie podejrzewałoby się członka Akademii Nauk.

Dwa szeregi zwały się ze wstrząsem, aż zadygotało całe wzgórze Nadziei Świętych. Falcon znalazł się z mieczem naprzeciwko szarżującego portugalskiego żołnierza. Zrobił unik w bok, zamachnął się i podciął mu nogi. Caixa dokończyła dzieła włócznią. Falcon cisnął jej zbrojny w bagnet muszkiet, sam zabrał zabitemu miecz. Gdy próbował jego ciężaru i wyważenia, znikąd pojawił się Guabirú z włócznią. Caixa nadziała go prosto na bagnet, zakręciła muszkietem. Indianin zawył potwornie i zsunął się z ostrza. Z aprobatą kiwnęła głową.

Uzbrojony w dwa miecze Falcon szalał na linii frontu jak demon, przebijając się prawie do sztandaru bitewnego wroga, z obrośniętą roślinami nagą kobietą, ale na każdego powalonego pojawiało się trzech nowych, a do brzegu cały czas dobiegały nowe łodzie, z rekrutami *índio* w niekompletnych mundurach – bluzie, pludrach, czasami tylko trójgraniastym kapeluszu. Przeskakiwali lekko z łodzi na łódź i rzucali się do walki. A woda cały czas się podnosiła.

Zemba dowodził swoim ludem jak niestrudzony człowiek-legenda z dżungli; krzyż Pani Wszystkich Światów szedł szturmem przez pole bitwy, tu robiąc śmiały wypad, tam markując atak, a potem uderzając pełną parą. Jednak nad wodami panowała Pani Lasu Zalewowego, a napastnicy szli czerwoną falą. Miasto Boga zepchnęło Miasto Cudów za pierwszy, potem za drugi okop. Falcon wyzbył się wszelkiej myśli, wszelkiego rozumu, wszelkiego języka: siał zniszczenie i śmierć dwoma ostrzami, i to było dobre. Bardzo dobre to było. Poznał właśnie chroniczny grzech Quinna, w całej jego ekstazie i ohydzie. Jak to jest: być tylko tu i teraz, tylko we własnej skórze, chłonać władcze życie wszystkimi zmysłami, w każdej sekundzie stawać nad przepaścią, gdy decyduje się: zabijesz, czy zostaniesz zabity, mieć luksus tej całkowitej władzy nad innym życiem. Sztuka Obrony, czy choćby sztuczki z boksowaniem nogami, których wyuczył się od dokerów, były bladymi kastratami wobec bitewnej ekstazy.

Nad krwawym wzgórzem zafalowały pióra. Krew i żółć i lśniący miecz.

– Araujo! – zawołał Falcon, przekrzykując bitewny zgiełk. – Teraz będziesz miał swój pojedynek.

Kolonialny oficer wybiegł mu na spotkanie, gdy Falcon odrzucał drugi, zdobyczny miecz. Araujo wyprostował się gwałtownie, zadarł połą, wyszarpnął pistolet ze swojej oficerskiej sakwy. Caixa rzuciła się między Falcona i lufę. Wystrzał, kłęb dymu. Padła na twarz, przekoziółkowała. Francuski, portugalski, *lingua geral*, Iguapá – wrzaski Falcona

stały się nieartykułowane. Caixa wstała chwiejnie na nogi, zaraz jednak uśmiechnęła się i rozprostowała lewą rękę, pokazując mu krwawy stygmat w miejscu, gdzie przeszła kula.

– Mężu, zabij go!

Araujo cisnął bezużytecznym pistoletem w Falcona, który zręcznie się uchylił. Rozłożył zapraszająco dłonie i przybrał postawę. Araujo zasalutował i odpowiedział tym samym. Nowa salwa z moździerzy zawyła nad wzgórzem, ale nie pozostało po niej nic poza zdruzgotanymi ciałami i rozbitym drewnem. Falcon zamarkował atak, potem uderzył. Araujo, mimo swej europejskiej dumy, nie był adeptem Sztuki Obrony. W pięciu ruchach Falcon wytrącił mu broń. Spadła, wirując, na czerwoną ziemię, a portugalski kapitan poczuł sztych na swojej piersi.

– Senhor, zdaję się na pana miłosierdzie, jak *fidalgo* wobec *fidalgo*.

– Senhor, niestety, żaden ze mnie *fidalgo* – odparł Falcon i przeszył go jednym pchnięciem.

Tumult na dole; Falcon, wycierając miecz o pelerynę Araujo, obejrzał się i zobaczył, że potężny krzyż Nossa Senhora de Todos os Mundos kołysze się szaleńczo pośrodku kręgu portugalskich *índio*-rekrutów. Zemba skakał, wirował, włócznia i skórzana tarcza rozmazywały się w zasłonach i unikach. Ludzie wokół padali, zataczali się zakrwawieni, przeszyci, lecz z każdą chwilą przybywało ich więcej i więcej. Falcon puścił się pędem, z mieczem w pogotowiu. Czuł Caixa u boku, ze zranioną ręką owiniętą apaszką kapitana Araujo, z włócznią trzymaną nisko, żeby dźgać wroga w kiszki. Straszna i wspaniała kobieta. Krzyż zachwiał się, padł, Zemba zaraz chwycił go z powrotem, przycisnął do tylnej strony swojej sfatygowanej tarczy.

Falcon rzucił się w krąg żołnierzy, ciął raz za razem. Zemba krzyknął, wygiął się w tył, padł na kolana, brocząc krwią z podciętych ścięgien pod kolanami. Na jego twarzy odmalowały się bezbrzeżny smutek i zdumienie.

– Zabierz ich stąd, poprowadź, tu już koniec – wysapał i cisnął krzyżem na tyczce jak oszczepem.

Za Panią Wszystkich Światów zatrzepotały wstążki i serpentyny. Caixa uniosła zakrwawioną rękę i złapała go.

Zemba uśmiechnął się, a oczy miał pełne łez. Pomocnik w tanga i bluzie piechoty przeszył mu kark włócznią. Grot przeszedł na wylot. Zemba padł twarzą naprzód w wodę, cały czas uśmiechając się.

Nad Cidade Maravilhosa stał słup dymu i ognia, widoczny na mile w górę i w dół Rio do Ouro. Znów odezwały się ciężkie działa Nossa Senhora da Várzea. Quinn i Waitacá wiosłowali miarowo, dyskretnie, od korzenia do gałęzi. O milę w dół rzeki, ukryty za przewróconym pnem Quinn przepatrzył całą bazylikę przez lunetę. Gonçaves uznał, że baterie moździerzy – portugalski kanonier i Guabirú ładowniczy – będą stanowić wystarczającą obronę. Wschodni kraniec bazyliki był niepilnowany, a zamaszyste przypory pełne barokowych ozdób pozwalały łatwo się skryć. Waitacá i Quinn przeciągnęli łódź wzdłuż nich, ręka za ręką, aż do wielkiego otworu, przez który wychodziła cuma. Wypatrzyli go wcześniej przez lunetę, z odległości, i bez słowa zgodzili się, że to będzie

najdogodniejsze wejście. Waitacá chwycił linę cumowniczą, zarzucił na nią nogi i popęzł po niej jak złoty leniwiec. Miecz Quinna zaklinował się na moment w wąskim oczku; szcęknął nim i już był w środku, w cuchnącej, dusznej komorze rufowego kabestanu.

– W pierwszej kolejności uwolnij niewolników – powiedział Quinn. – Wtedy łatwo opanujecie baterie mózdzierzy.

Waitacá pochylił głowę i wyciągnął stalowy nóż. Resztę znał na pamięć. Przeciąć liny cumujące, potem poprowadzić niewolników spod pokładu do ataku na tyły armii Gonçalvesa.

Powierzyłem ci najtrudniejsze z zadań, pomyślał Quinn. A mnie pozostaje najkonieczniejsze z nich. Głosy ministrantów znad lawaterza; obmywali kielich i patenę do mszy na cześć zwycięstwa. Quinn, czarny na tle czerni, prześliznął się obok jak duch.

Spodziewał się ataku na duszę ze strony Nossa Senhora da Várzea, ale dla wyciszonych, wyostrzonych zmysłów był on jak fizyczny cios. Przeszedł środkiem nawy, niebo po lewej stronie, potępienie po prawej, sąd ze wszystkich stron. Chrystus rozpościerał ramiona na gigantycznym lektorium. Przeszyte cierniami serce stało otworem. Quinn wyciągnął miecz. Za ławkami chóru na ołtarz padał snop światła; głowę ukrzyżowanego amazońskiego Chrystusa zwieńczono dziwnymi narzędziami tortur. W blasku Pani Lasu Zalewowego – kłęząca sylwetka w zgrzebnej czerni. Huk mózdzierzy rezonował w bazylice jak w bębnie. Świetlista suknia świętej drżała; z sufitu sypały się okruchy farby, spadając na dół złotem i maryjnym błękitem. Quinn przeszedł przez chór, trzymając miecz nisko u boku.

– Zamordujesz mnie w mojej własnej katedrze, jak świętego Tomasza Becketa?

– Jestem admonitorem ojca de Magalhães i rozkazuję ci w imię Boże poddać się mojej zwierzchności.

– O ile pamiętam, już raz ci odmówiłem. Odmawiam ponownie.

– Cisza. Dość tego. Wrócisz ze mną do naszego Zakonu w Salvadorze.

– Zakonu w Salvadorze. Niektórzy z nas są jednak powołani do wyższych celów.

Gonçalves stanął na nogi i odwrócił się do swego poucyciela. Pani Lasu Zalewowego obejmowała go swą kapą z zieleni.

– I upierać się przy tym będziesz, ty żałosny, mały człowieczku.

– Zatem muszę cię przymusić – powiedział Quinn i uniósł miecz, żeby ostrze zabłysło licznymi światełkami z retabulum.

– Nie zastaniesz mnie nieprzygotowanym. – Ojciec Diego odsunął komżę, ukazując przypasany do boku hiszpański miecz z koszową rękojeścią.

– W Domu Bożym – powiedział Quinn, cofając się ze zdradzieckich przejść ołtarza i chóru w otwartą nawę.

– Ależ wszędzie jest Dom Boży. Jeśli jest godny i sprawiedliwy w tym chlewie, który nazywasz miastem, a kapitan de Araujo równa teraz z ziemią, to tym bardziej tutaj. – Gonçalves przechylił głowę, tym dziwnym, irytującym ptasim ruchem, słysząc na zewnątrz nagły jazgot głosów, strzałów i brzęk stali. Oczy rozszerzyły się w furii.

– Twoi dawni niewolnicy siekają twoich artylerzystów – odparł Quinn. – Dosyć już, dosyć zwłoki. Spróbujmy się tu i teraz, twój mistrz przeciwko mojemu, Leon przeciwko

Toledo.

Wybiegł na środek nawy. Gonçalves skrzeknął jak polujący ptak, odrzucił krępującą komżę i wyciągnął miecz. Rzucił się na Quinna, ostrze zatańczyło w łańcuchu migotliwych cięć, na które Mair nie był przygotowany. Zepchnął go w tył, w stronę narteksu. Quinn, stękawszy z wysiłku, stanął w postawie obronnej, przeszedł do ataku i zepchnął Gonçalvesa z powrotem, prawie pod lektorium. Rozdzielili się, pozdrowili, okrążyli nawzajem. W dusznej bazylice pot zalewał im oczy.

I znów do walki. Miażdżącym szturmem wzdłuż lektorium Quinn przejął inicjatywę, udało mu się trafić Gonçalvesa w bok, ten pozbierał się jednak szybko i zepchnął go z powrotem, rewanzując się na draśnięcie cięciem wzdłuż linii włosów – nieprzewidzianym, nie do obrony ciosem, od którego ledwo się uchylił – inaczej na pewno pozbawiłoby go czubka czaszki. Poczuł, jak podłoga kołysze się pod nim, zobaczył niepewność odbitą w szczupłej, chłopięcej twarzy ojca Diego.

– Odcięli cumy – wysapał. – Dryfujemy.

Obaj poczuli, jak bazylika obraca się w nurcie, pochwycona przez opadającą wodę. Quinn z irlandzkim okrzykiem rzucił się na Gonçalvesa; *jeté* poparta masą i brutalną siłą. Gonçalves odbił dżgający go miecz; Quinn poleciał na podłogę, a Hiszpan rzucił się na niego; uratował go tylko instynktowny blok, aż iskry poleciały z obu ostrzy. Pozbierał się, ale natychmiast musiał odskakiwać pod samą podstawę ambony. Zaatakował ponownie, dwóch jezuitów zaczęło przesuwac się tam i z powrotem wzdłuż bocznych kaplic. Quinn jednak jasno uświadomił sobie, poczuwszy chłód i skurcz jąder, że za bardzo wyczerpały go niszczenie tamy i pościg za pływającą bazyliką. Przewagę siły i postury już wyczerpał, a w samej sztuce władania mieczem Gonçalves nad nim górował.

Kontratak był natychmiastowy. Quinn cofnął się przez otwarte serce Chrystusa do prezbiterium; sądził, że wąskie rzędy wysokich ław powstrzymają baletowe zapędy Gonçalvesa. Walczyli, przemieszczając się tam i z powrotem między ławami, strącając psalterze i mszały, aż Quinn został zepchnięty pod sam ołtarz. Nie potrafił już się wydostać. W sercu nabrzmiała wściekłość, złość, że zginie w tym głupim, pełnym próżności miejscu, pod tym pogańskim ołtarzem, i to z ręki małego, zniewieściałego Hiszpana, że wszystko, czego dokonał, obróci się wniwecz w tym pustym, milczącym lesie. Przywołał furie, dawnego demona i sprzymierzeńca. Ten zapłonął gorąco i błogo w jego duszy. Po namyśle jednak odepchnął go. Gonçalves wiedział o jego dawnym cierniu; będzie przygotowany taktycznie na falę prymitywnej furii i niepowstrzymanej pasji. Quinn otworzył wewnętrzne oko, zajrzał w światy. Jedno mignięcie, jeden błysk, ale wystarczyło, by dowiedzieć się wszystkiego o zamiarach Gonçalvesa. Spychając go z powrotem spod ołtarza, przez cały chór i otwarte serce Jezusa do nawy, wyprzedzając mieczem każdy jego ruch, zobaczył na jego twarzy złość i niepokój. Pomiędzy rozpostartymi ramionami Chrystusa z Várzei, kończącymi się bliźniaczymi apokalipsami sprawiedliwych i potępionych, Quinn zablokował miecz Gonçalvesa, wytrącił go i odkopnął w głąb nawy.

– Klęknij i poddaj się – wydyszał, celując mu mieczem prosto w oko. – Klęknij i poddaj się władzy Towarzystwa Jezusowego.

Gonçalves padł na kolana. Ani na moment nie odrywając wzroku od Quinna, sięgnął pod sutannę; po różaniec, żeby go ucałować i się poddać. Quinn zobaczył błysk światła. Pół ostrza jego miecza spadło na posadzkę. Gonçalves uniósł nóż.

– Myślisz, że powołaliby nas do obrony Królestwa, nie zadbawszy o należyte uzbrojenie?

Drugim zamaszystym cięciem zrobił z miecza Quinna bezużyteczny kikut, jednocześnie gładko przecinając stojak z wotywnymi lampkami pod figurą Nossa Senhora Aparecida. Lampki spadły, potoczyły się, rozlewając płonący olej. Języki płomieni zaczęły lizać podstawę lektorium. Gonçalves przykucnął w pozie nożownika. Quinn pośpiesznie oddał rękaw swojej szaty i rozpostarł go jak pelerynę matadora.

– Sprytne – powiedział Gonçalves, tnąc z wypadu. Ostrze pozostawiło w powietrzu dymiący błękitny łuk. – Ale raczej nieskuteczne.

Quinn jednak już widział, jak ogień pnie się po kracie lektorium, jak sięga figury Chrystusa. Okrężnymi krokami odsunął się od ostrza, dbając, aby Gonçalves cały czas miał rozwijający się pożar za plecami.

– Kiedy Wróg cię usidlił?

– Twój błąd. Ja nie jestem Wróg. Ja jestem Zakon. Zakon ma maszyny i energię, które nie obejmie się wyobraźnią; myślałeś, że tak bez pomocy zbudowałem tę tamę?

Finta, cięcie, czubek ostrza drasnął tkaninę. Quinn pozwolił sobie na ukradkowe zajrzenie do wieloświata. W zbyt wielu światach zobaczył, jak klęczy, rozpruty, z wnętrzościami na kolanach. Gdzieś tam, pośród obfitości światów krył się też sposób na ojca Diego Gonçalvesa. Hiszpan doskoczył, ostrze z innego świata śmignęło z wyciem, chcąc rozciąć go od barku po pas. Quinn rzucił się w tył i dostrzegł ten moment, gdy światy zbiegają się do jednej, oślepiającej prawdy. Zarzucił Gonçalvesowi płótno na głowę, oślepiając go. Chwycił za drugi koniec, szarpnął, okręcił go. Gonçalves zatoczył się i padł w tył, prosto na płonące lektorium. Ażurowa przegroda przechyliła się. Gonçalves zdarł płótno z twarzy, uskoczył od ognia. Za wolno i za późno – ogromny, płonący Jezus w płomienistej aureoli, z rozpalonym sercem, z ogniem lejącym się z wyciągniętych palców, zamieniającym w czyściec niebo i piekło zarówno, przewrócił się i obalił go na posadzkę.

Quinn osłonił ramieniem twarz i zrobił krok w stronę piekielnej pożogi. Takiego stosu nie przeżyje nikt. Płomienie przeskakiwały po filarach od anioła do anioła, lizały kraty klerestorium, pieściły zworniki sklepienia. Balkony chóru i ażury już płonęły; Luis Quinn, u kresu sił, oniemiały z podziwu, patrzył, jak płomienie wzbijają się i pochłaniają Świętą Panią Várzei. Bazylika rozpadała się, ze sklepienia leciały rozżarzone belki i węgle, opadał dym. Dławiąc się, wybiegł z drewnianego piekła. Z ogłuszającym hukiem zawałił się dach, a płomienie skoczyły pomiędzy stróżujące anioły na masztach, podpalając żagle. Quinn sycił wzrok obrazem zniszczenia. A prąd z każdą chwilą znosił kościół coraz dalej od bezpiecznej przystani, coraz bliżej do wodospadu za zniszczoną tamą. Wskoczył do wody. Kanoë wychyły spod osłony lasu; wśród Guabirú zalśniła złota twarz. Popłynął w stronę Waitaki – wtedy ogień dotarł do prochowni. Apokaliptyczny wybuch spłoszył wszystkie ptaki w całym zalanym lesie. Zerwały się z krzykiem. Quinn zobaczył jeszcze,

jak anioły Nossa Senhora lecą do nieba, wyrzucone wysoko w powietrze siłą wybuchu; potem spadły, koziółkując. Odłamki rozpalonego drewna wpadły z sykiem do wody wokół Quinna; gdy dłonie wciągały go do kanoe, zobaczył rozplomieniony masyw Nossa Senhora da Várzea powoli kręcący się i odpływający z prądem.

Teraz to już był pogrom. Krzyż Pani Wszystkich Świątów stanął w okopie obok zniszczonego wzgórza, na znak nadziei dla ludzi. Portugalscy strzelcy wyborowi strzelali z muszkietów, Guabirú dobijali rannych. Falcon oparł się na mieczu, nagle przytłoczony ciężarem świata. Poczuł chęć, by położyć się pomiędzy martwymi, niech go zaliczą w ich poczet. Wezbrane wody były pełne trupów, już wzdętych. Opuścił głowę i zobaczył, że woda odpływa mu spod popękanych, przemoczonych butów. Ucieka spod stóp. Trupy poruszały się, wirowały, osiadając w zagłębieniach *várzei*. A anioły, potworne zwiastuny gniewu Bożego na masztach Nossa Senhora da Várzea, poruszały się. Bardzo powoli, choć nabierając pędu, sunęły z prądem.

Falcon stał już na suchym lądzie.

„Widzę *quilombo* między ogniem i wodą, pochodnią i powodzią”, powiedział kiedyś Mair.

– Ale nie tutaj! – krzyknął Falcon. – Nie w tym świecie!

Teraz armia Nossa Senhora da Várzea uświadomiła sobie, że wokół ich kanoe opada woda. Odwrócili się, ujrzeli anioły znikające za drzewami. Wzbił się słup dymu, z każdą sekundą czarniejszy i gęstszy. Niebo od południa rozświetlił potężny rozbłysk, na moment przyćmiewając słońce. Kłęb dymu w kształcie grzyba poszybował ku niebu; parę sekund później wybuch zatrzęsł wzgórzem Nadziei Świętych. Na twarz Falcona powoli wypłynął uśmiech, który przerodził się w szalony, wspaniały śmiech.

– Na nich! – zaryczał, kręcąc mieczem młynka nad głową. – Ostatnia szarża w imię Maira! Na nich!

Kanoe sunęło lekko po białej wodzie. Był szary poranek po deszczu, chmury wisały nisko, na drzewach wisały strzępki mgły. Mżyło; tulili się więc do siebie nad samą wodą, ciemną, pełną zgnilizny i piany. Łódź lawirowała pomiędzy wielkimi głazami i połamanymi pniami leśnych drzew, powciskanymi pomiędzy skały, na wpół zagrzebanymi w mule. Wioślarze trzymali się szaro-białego kanału, pieniacego się pomiędzy dwiema przewróconymi skałami, każdej wielkości kościoła. Ustawiony na dziobie złoty krzyż kołysał się, ale nie upadał. Lśnił niczym latarnia, jakby miał własne światło.

Człowiek na brzegu znów podniósł ręce, ale dym z jego ogniska był już nie do pomylenia. Bóg jeden wie, gdzie on w taki dzień znalazł coś palnego, pomyślał Robert Falcon. Podejrzewał jednak, że chodziło mu raczej o dym niż o ciepło.

Sternik dobił małą pirogą do brzegu. Falcon przebiegł po kamieniach. Brzeg był zasłany liśćmi, gałązkami, całymi gałęziami i konarami, utopionymi, wzdętymi zwierzętami, śmierdzącymi rybami. Usłyszał tarcie kadłuba o kamienie. Caixa wyszła z łodzi i zdecydowanym ruchem wbiła krzyż Pani Wszystkich Światów w gruby piasek.

– Doktor Falcon.

Luis Quinn siedział na kamieniu, z żarzącym się cygarem w garści. Między drzewami falował obłoczek mgły.

– Ojciec Quinn.

Uściskali się krótko, oficjalnie.

– No cóż, przeżyliśmy – powiedział Falcon.

Quinn miał przewieszoną przez ramię bambusową rurę na pleconym sznurku, zawierającą historię Cudownego Miasta.

– Niezmiernie się cieszę, przyjacielu, że nie usłuchałeś mnie i nie powierzyłeś tego wodzie – dodał Falcon. – Historia Cudownego Miasta może i się zakończyła, za to historia Miasta Boga dopiero się zacznie.

– Za pozwoleniem: to będzie całkiem odrębna historia – odparł Quinn. – Ta historia ma do przebycia długą drogę.

– Oczywiście. Wiesz dobrze, że już powstają o tobie legendy. Mair przepowiada przyszłość. Mair ma nóż, który przecina wszystko, nawet serca ludzi i ich sekrety, żeby odczytać ich najgłębiej skrywane pragnienia. Mair potrafi chodzić pomiędzy światami i z jednego końca czasu na drugi. Mair powtórnie przyjdzie w godzinie największej potrzeby swojego ludu i wyprowadzi ich z tego świata do lepszego, gdzie maniok rośnie przez cały rok, łowy są łatwe i wiecznie obfite, do świata, gdzie wstępu nigdy nie będą mieli *bandeirantes* i *pais*.

– Legend się spodziewałem, ale tej ostatniej nie.

Zza szerokiego zakola rzeki wyłoniła się awangarda floty Cidade Maravilhosa, kołysząca się na białej wodzie.

– A czego się spodziewałeś, skoro zniszczyłeś twierdzę wroga, a potem, gdy losy bitwy się odwróciły, gdy już prawie zwyciężyliśmy, zniknąłeś z pola bitwy?

Falcon zdarł sobie wtedy głos do cna, stojąc na wzgórzu z mieczem w dłoni. Caixa wymachiwała podniszczonym krzyżem Pani Wszystkich Światów, powtarzając zagrzewające okrzyki Falcona we własnym języku. Zniszczenie Nossa Senhora da Várzea sparaliżowało armię Miasta Boga. Guabirú padli na kolana w krwawe błoto, ściskając w dłoniach różańce. Wielu już uciekło z pola bitwy. Portugalscy żołnierze wystraszyli się, widząc, jaką przewagę liczebną ma wróg. A woda opadała, uciekała spod nóg żołnierzom, spod trupów, wyciekała z okopów bystrymi strumieniami i drobnymi potoczkami, spływała spod wyciągniętych na brzeg kanoe.

– Na nich!

Jeden okrzyk i ostatni ocalali z *quilombo*, czerwoni i czarni, wypadli znad skalnego grzbietu, wymachując bronią, kijami, mieczami, zdobycznymi bagnietami, wiwatując, śmiejąc się. Ponieśli Caixa na ramionach, Panią Wszystkich Światów ponad ich głowami,

potem zabrali i Falcona. Portugalczycy ustawili się w obronny szyk, lecz kontratak zepchnął ich na drugą falę nadchodzących z *várzei* wojowników, którzy minęli oszołomionych Guabirú i zaszli ich tłumnie od tyłu. Plemienne więzy wygrały: zdumieni Guabirú, widząc, jak szarżują ich wyzwoleni pobratymcy, sami chwycili za broń i przyłączyli się do ataku. Falconowi mignęła na skraju lasu postać w jezuickiej czerni. Portugalski szyk załamał się; zaczęli uciekać do łodzi. Iguapá popędzili za nimi, tnąc i tłukąc żołnierzy, usiłujących ściągnąć ciężkie kanoe na głębszą wodę. Teraz ze wzgórz zaczęły schodzić kobiety i dzieci, kobiety dobijały rannych, dzieci zabierały trupom wszystko, co było cenne. Ogień bitwy dogasł. Falcon oparł się o miecz, wyczerpany do szpiku kości, zdeglustowany rzezią, która odbyła się pod ciemnym okapem lasu. Nikt z tych ludzi już nie zobaczy São José Tarumás. A za tym zimnym przemyśleniem przyszło jeszcze bardziej mrozące – Falcon też już nie zobaczy Paryża, nie będzie przekomarzał się z Marie-Jeanne w Tuileries, nie wejdzie na wieże bazyliki Fourvière ze swoim bratem Jeanem-Baptiste. Jego światem będzie zieleń i pleśń, woda, skwar i sączące się przez liście światło, mgły i opary oraz szare, płaskie meandry nieskończonych rzek. Kanoe, łuki, zwierzęta, które się słyszy, lecz widzi tylko przez chwilę, świat bez rozległych widoków, którego horyzont sięga tylko do następnego drzewa, następnej liany, następnego zakrętu rzeki. Świat roślinny, rozległy i powolny.

Luis Quinn raz jeszcze dźgnął smużkę ognia.

– A zastanawiałeś się, co trzeba zrobić z Miastem Boga?

– Zniszczyć je.

Po twarzy Quinna przemknęło zdziwienie. Po chwili jednak powiedział:

– Tak, oczywiście. Jest za wielkie i zbyt narażone na atak. Trzeba ich porozdzielać, odesłać z powrotem do dżungli.

– Jak myślisz, jak długo uda się odpierać *bandeirantes*?

– Przez jedno pokolenie, przy odrobinie szczęścia. Czerwonego męża i tak szybciej zniszczą choroby, nie łowcy niewolników.

– Każdy jest bezradny wobec własnej legendy, ale jedną rzecz mógłbyś dla mnie zrobić, w miarę możliwości: zdementuj, proszę, opowieść, że przyjdę powtórnie i zabiorę ich do Nowej Jerozolimy.

Mijała ich teraz główna część flotyli, rodziny i grupki przyjaciół, plemiona i ludy, wszyscy płynęli wzburzoną wodą wśród mgły; dzieci w kruchych łupinkach z kory, pekari i paki w załadowanych na tratwy bambusowych kłatkach, święte żaby *curupairá* w terakotowych garnkach, worki wypełnione całym maniokiem, jaki udało się uratować z dwukrotnie zniszczonych pól. Jaskrawożółty dziób tukana przywiązanego do grzędy na dziobie rodzinnego kanoe stanowił przepiękny kolorowy akcent. Przeprowadzenie się przez wodospady zajęło wiele dni, kanoe zjeżdżały na lianach po śliskich glinianych pochylniach, przerażoną zwierzynę opuszczano w kłatkach lub uprzężach, ludzie schodzili naokoło krętymi ścieżkami, zdradliwie śliskimi od wody, wyrąbanymi naokoło reszek tamy, wciąż imponująco sterczących z Rio do Ouro.

Wokół koryta rzeki zebrała się niezliczona masa łodzi, szara rzeka była od nich aż

czarna; jedna po drugiej wodowały i przepływały pomiędzy dwoma głazami. Niektórzy rozpoznawali Maira na skale i, mijając ich, unosili wiosła w geście pozdrowienia. Za nimi, do przesmyku kierowały się tratwy więzienne – pojmani Guabirú pilnowani przez folgierze ze zdobytych portugalskich łodzi. Może uda się wziąć za nich okup przy negocjowaniu przymierza miast – Cidade Maravilhosa razem z osłabionym przez wojnę Cidade de Deus.

– Jak słusznie mówisz, każdy jest bezradny wobec własnej legendy – stwierdził Falcon. Sam już nie był Aîubą, żółtogłowym, Francuzem, ale obrońcą Miasta Cudów, zembą; a Caixa, bohaterka wojenna, była Senhorą da Cruz, chorążym nowego ludu.

– Będę wracać jak tylko będę bezpiecznie mógł – obiecał Quinn. – Wciąż jestem w tym nowicjuszem, są sztuki i dyscypliny, o których nie mam pojęcia. To wojna, ale mój zakon od zawsze był żołnierskim zakonem.

Falcon poczuł na twarzy zacinający ciepły deszcz. Zamrugał i otworzył oczy, zobaczył kalejdoskop. Każdy kamień, każde drzewo, każdy ptak i obłok mgły, Luis Quinn, jego kij, jego ogień, wszystko rozszczępiło się na tysiąc odbić, które wydawało się, że znajdują się jednocześnie z tyłu za przedmiotami i jakimś sposobem wszystkie obok siebie, prawie identyczne, choć różniące się większymi lub mniejszymi szczegółami. Nie zdążył nawet zrozumieć, co widzi, gdy odebrano mu wizję.

– Da się tym manipulować – dodał Quinn. – Ja jestem w tym mniej niż nowicjuszem, w porównaniu z innymi międzyświatowymi wędrowcami; ale potrafię dość, żeby podzielić się z ludźmi tym, co widzę.

– Ten chaos, ta niepewność, ten przytłaczający zmysł wzroku rozgardiasz, jak ty w ogóle odróżniasz, co jest w tym prawdą, a co fałszem? Jak w ogóle jesteś w stanie trafić z powrotem do prawdziwego świata?

– Sęć w tym, że to wszystko są prawdziwe światy. Żyjemy w ostatniej, wypowiedzianej szeptem sylabie czasu, śnie wewnątrz snu. Nasze życie, nasze światy, wszystko to już wcześniej zaistniało tysiąc, dziesięć tysięcy razy. Zakon uważa, że musimy śnić dalej, że inaczej czeka nas chłód i śmierć. Niektórzy jednak sądzą, że powinniśmy się obudzić, że to jedyny sposób na ujrzanie światła. Bo, choć nasze życia przeżyliśmy już dziesięć tysięcy razy, choć nasz świat odradza się raz po raz, za każdym odrodzeniem wkrada się jakaś skaza, jakiś błąd, coś się niedokładnie powiela. Taka sztuczka wroga, jeśli wolisz. W naszym świecie i naszym czasie tym błędem jest *curupairá*, która otwiera nam okno do wielości światów i leżącej za nimi rzeczywistości. Jest naszą nadzieją.

Większa część Cidade Maravilhosa minęła już spienioną cieśninę; teraz w nurt wpłynęły dzieciaki, wyszczerzone i mokre w maleńkich, sunących lekko po wodzie pirogach. Zamachały do Caixy; ta stała prosto, ściskając zranioną ręką krzyż Pani Wszystkich Światów. Falcon pokręcił głową.

– Nie jestem w stanie uwierzyć w taki świat.

– Świat będzie trwał, wierzysz w niego czy nie. – Quinn wstał. – Muszę się zbierać. Czekają na mnie. – Wskazał głową skraj lasu, ciemny i ociekający wodą.

Falcon wyobraził sobie, że widzi tam w półmroku dwie kobiety – jedna biała z burzą

jasnych loków, druga o azjatyckich rysach i cerze, a włosach ciemnoczerwonych. Pod osłoną lasu czekał też czarny mężczyzna. Wszyscy migotali niczym mgła na granicy postrzegania. Zawrócił i zszedł po kamieniach nad wodę. Gdy odwrócił się ponownie, pozostał tylko tłący się ogieniek.

Lud Iguapá przepłynął, ostatnie łódeczki dzieci rozplynęły się we mgle. Caixa wstawiła krzyż z powrotem na dziób łodzi, jako galion; wioślarze napaarli na wiosła. Waitacá krzyknął; coś uderzyło od spodu w łódź. Falcon przez chwilę myślał, że to przewrócone kanoe, ciężka wojenna łódź. Wyniosło ją z nurtu na płyciznę. Wioślarze wyciągnęli ten przedmiot.

Twarz anioła, beznamiętna choć uśmiechnięta, spojrzała w górę na szybko sunące wiehcie szarej mgły. W rękach trzymał miecz o trzech ostrzach. Był to anioł upadły z masztów Nossa Senhora da Várzea. Falcon odepchnął go w głąb nurtu. Wzburzona, bystra, szemrząca na kamieniach woda poniosła go w dal.

SŁOWNICZEK

Abiá – nowicjusz, który nie przeszedł inicjacji.

Agogô – metalowy instrument perkusyjny, dzwonki osadzone na łukowatym uchwycie, używane w *candomblé* i capoeirze.

Aiuri – rada plemienia.

Alabé – pierwszy bębniarz, prowadzący rytm; mężczyzna-kapłan w *candomblé*.

Aldeia – wioska indiańska z misją, przeważnie jezuicką.

Alva – określenie koloru skóry: czysto biały, uważany w Brazylii za rzadkość.

Assentamento – zbiorowisko przedmiotów, ziół i napojów, czczone i uzupełniane jako środek łączności między człowiekiem a *orixá*.

Axé – moc przemiany – magia, siła sprawcza świata.

Bahiana – pochodząca ze stanu Bahia, ostatnio także określenie quasi-tradycyjnego stroju kobiet z Salwadoru.

Baile – „taniec”; w Rio określenie zaimprowizowanej ulicznej imprezy przy przenośnym nagłośnieniu; wykształciły one popularny w Rio, nieustannie ewoluujący gatunek muzyczny *baile funk*.

Bairro – oficjalna dzielnica miasta.

Bandeirantes – członkowie awanturniczych ekspedycji (*bandeiras*) w głąb brazylijskiego interioru, w czasach portugalskiego podboju Brazylii. Trudnili się m.in. handlem i zdobywaniem niewolników, poszukiwaniem bogactw naturalnych.

Barracão – główne pomieszczenie obrzędowe w *terreiro*.

Bateria – sekcja perkusyjna „szkoły” samby.

Bauru – paulistańska kanapka na gorąco, z szynką i serem, często w słodkiej bułce.

Berimbau – pochodzący z Afryki instrument strunowy ze struną napiętą na kiju i tykwą rezonansową. Używany w capoeirze.

Bicha – dosłownie „dziwka”, ale znaczy raczej „królowa”.

Bolar – „tarzać się” w transie, opętaniu; przeżycie niezbędne do dostąpienia wtajemniczenia *ião*.

Caboclo – mieszaniec indiańsko-biały, przeważnie zaliczający się do biedoty. We współczesnej Brazylii określenie lekko pogardliwe.

Cafezinho – „malutka kawa”, mała, mocna, słodka i na wynos.

Caiçara – nadbrzeżna wioska lub obóz dla niewolników.

Camarinha – najświętsze miejsce w *terreiro*, zarezerwowane dla *Mae do Santo* i jej partnera. Także: w kolonialnej Brazylii – rada miejscowości.

Candomblé – afrobrazylijska religia oparta na oddawaniu czci *orixás*.

Catadores – nielegalni zbieracze śmieci.

CBF – Brazylijska Konfederacja Piłki Nożnej, oficjalny związek tego sportu.

Cidade Maravilhosa – „cudowne miasto”; także nieoficjalny „hymn” miasta Rio.

Conselho Ultramarino – królewska rada zarządzająca kolonialną Brazylią.

Corde vermelha – „czerwony sznur”; najwyższy poziom w capoeirze, odpowiadający czarnemu pasowi w innych sztukach walki.

Cor-de-canela – kolor cynamonu – jeden z rozpoznawanych i klasyfikowanych w Brazylii 134 kolorów skóry.

Crente – „wierny” – członek dowolnej z licznych w Brazylii sekt chrześcijańskich.

Decasségui, dekasegi – jap. „pracujący za granicą”, potoczne określenie ludzi pochodzenia japońskiego, którzy reemigrowali z Ameryki Południowej do Japonii (przyj. tłum.).

Dendê – palma, olejowiec gwinejski, którego owoce i olej wykorzystuje się w ofiarach dla *orixás*.

Descanso – „ochłonięcie”, odpoczynek po wejściu do *terreiro*.

Doces – słodczyce, ciastka, w Brazylii często podawane na śniadanie.

Donator – na wespół feudalny władca kolonialnego kapitanatu.

Ebó – składanie ofiar dla *orixás*.

Ebomi – starszy w *terreiro*, adept od co najmniej siedmiu lat.

Egbé – społeczność skupiona wokół *terreiro*.

Eke di – opiekun, przeważnie opiekunka *terreiro*, która nie wchodzi w trans, ale pomaga ludziom owładniętym przez *orixás*.

Engenho – młyn do trzciny cukrowej, w tym także plantacja, budynki, niewolnicy i zwierzęta pociągowe.

Entrada – wyprawa po niewolników.

Enxofrada – określenie koloru skóry, bladożółty.

Escaupil – używana przez *bandeirantes* „zbroja” ze skóry lub tkaniny, wypchana włóknem kapoku, uważana za ochronę przed strzałami.

Exu – pan skrzyżowań i wejść, pośrednik między ludźmi i bogami, aspekt dynamiczny. Często zastawany u wejścia do *terreiro* i przedstawiany w postaci typowego ulicznego cwaniaka z Rio.

Farofa – zasmażana mąka z manioku, mająca posmak orzechów.

Favela – powstała spontanicznie dzielnica nędzy, slums.

Fazenda – rezydencja na plantacji kawy, cukru lub hodowli bydła.

Feijoada – brazylijska potrawa narodowa, długo duszony gulasz z mięsa, czarnej lub innej fasoli, wędzonych kiełbasek i podrobów.

Feitor – kupiec lub właściciel drobnej manufaktury.

Fidalgo – portugalska szlachta.

Furacão – huragan.

Furo – przesmyk pomiędzy dwoma korytami rzeki.

Futebol – prawdziwa piłka nożna, królewska gra.

Futsal – halówka, pięciosobowa odmiana piłki nożnej rozgrywana w hali, cięższą, słabiej odbijającą się piłką. Bardzo szybka, bardzo popularna, bardzo dobra.

Gafieira – impreza taneczna lub sala do takich imprez. Paulistański odpowiednik *baile* z Rio.

Gatinha – młoda, energiczna kobieta.

Gelosias – drewniane okiennice na piętrach kolonialnych domów.

Genipapo – *Genipa americana*, roślina rodząca jadalne owoce, których sok jest używany także do barwienia skóry na czarno lub ciemnoniebiesko (przyp. tłum.).

Guarana – owoce brazylijskiego pnącza, zawierające dużo kofeiny, z których wytwarza się wiele pobudzających produktów, w tym bardzo popularne i bardzo słodkie napoje energetyczne.

Ianques – Amerykanie, dosłowna transkrypcja słowa „Yankees”.

Ião – adept typowej synkretycznej afrobrazylijskiej religii.

Igapó – tereny od czasu do czasu zalewane przez rzekę.

Irmão – (portug.) brat (przyp. tłum.).

Jacaré – kajman.

Jeito, jeitinho – cwaniactwo, dosłownie „spryt”, wyrażenie określające talent do znajdowania rozwiązań przez obchodzenie reguł i konwencji społecznych. Także „układ”.

Jogo – „taniec” lub mecz capoeiry. W odróżnieniu od innych sztuk walki, capoeirę się „tańczy”, co podkreśla jej płynną, uliczną, *malandro*, estetykę.

Kapitanat – jednostka podziału administracyjnego kolonialnej Brazylii; obszar pomiędzy dwiema równoleżnikowymi liniami, idącymi w głąb lądu aż do południka ustalonego linią demarkacyjną z terytoriami hiszpańskimi w traktacie z Cordesillas. Rządzona przez donatora.

Kibe – smażone w głębokim tłuszczu mięsne klopsiki, pochodzenia bliskowschodniego. Często podawane na śniadanie.

Ladeira – stroma, schodkowa, uliczka w faweli. Przeważnie dostępna tylko dla pieszych i motorowerów.

Lanchonete – stragan z jedzeniem lub mała kafejka.

Lavrador de cana – drobny hodowca trzciny cukrowej, posiadający co najwyżej kilku niewolników.

Lingua geral – „wspólny język”, uproszczona wersja języka tupi używana jako język wehikularny. W XVIII-wiecznej Brazylii była powszechniejsza niż portugalski.

Loira – biała kobieta o jasnych włosach.

Maconha – marihuana.

Mae do Santo – kapłanka *candomblé*.

Malandragem – idee *maícia* i *jeito* z capoeiry, traktowane jako filozofia życia.

Malícia – termin z capoeiry, oznaczający „spryt, cwaniactwo, na ulicy i w walce”, czyli m.in. umiejętność zauważenia i wykorzystania nieuczciwej przewagi, jeśli się zdarzy.

Maloca – indiański dom dla wielopokoleniowej rodziny.

Mameluco – synonim *caboclo*, używany przeważnie w wojsku.

Moqueça – pochodzące z Bahii danie oparte na mleku kokosowym i dendê, przeważnie z owocami morza.

Morbicha – wódz wioski.

Morena-fechada – kobieta o bardzo ciemnej skórze, prawie mulatka.

Morro – strome pagórki Rio.

Mulatinho – jasnoskóry mieszaniec rasy białej i czarnej.

Orixá – bóstwo, siła natury, boski przodek, archetyp – wszystko to i domyślnie o wiele więcej; idea bóstwa w bahiańskim *candomblé*.

Pae do Santo – kapłan *candomblé*.

Pai – ojciec (przyp. tłum.).

Pão de queijo – bułeczka serowa, brazylijska obsesja.

Paulista – mieszkaniec/mieszkanka São Paulo (stanu).

Paulistano/a – mieszkaniec/mieszkanka São Paulo (miasta).

Patúia – amulet odstraszaający złe duchy, noszony podczas capoeiry.

PCC – najważniejszy paulistański gang przestępczy. W Rio fawele są podzielone pomiędzy ADA (Amigos dos Amigos) oraz CV (Commando Vermelho, Czerwona Brygada).

Peças – dosłownie: „sztuki”; dawne kolonialne określenie niewolników.

Pelourinho – słup do chłostania niewolników, także okolica w Salvadorze, w której stał.

Pichação – znak w formie graffiti; w Brazylii przeważnie malowany wałkiem.

Pistoleiro – płatny zabójca.

Preto – czarny, kolor lub osoba. W Brazylii określenia rasowe są używane swobodniej i mniej nacechowane politycznie niż na Północy.

Putá – dziwka, obecnie używana raczej w sensie „mendy”, „jędzy”.

Reconçavo – najwcześniej zasiedlony obszar wokół Bahia de Todos os Santos, serce kolonialnej Brazylii.

Reducone – grupa tubylczych wiossek, *aldei*, których mieszkańcy razem pracowali pod jezuickim nadzorem.

Réveillon – masowa ceremonia na plaży w Rio, podczas której Yemanji ofiarowuje się kwiaty. Cieszy się chyba większą popularnością niż karnawał, choć jest o wiele mniej skomercjalizowana.

Roda – koło, w którym odbywa się capoeira.

Rodovia – szosa.

Rodoviária – dworzec autobusowy.

Sampa – tak paulistanos mówią o swoim mieście.

Seleção – reprezentacja Brazylii w piłce nożnej.

Sertão – stepowy region północno-wschodniej Brazylii.

Soldado – żołnierz, w szczególności żołnierz gangu.

Taipa – cegła z suszonego błota.

Tanga – pierwotnie trójkątny kawałek materiału, zakrywający genitalia, noszony przez obie płcie; obecnie, styl kostiumu kąpielowego.

Teniente – porucznik (przyp. tłum.).

Terra firme – położony wyżej las, prawie nigdy nie jest zalewany.

Terreiro – „kościół” lub świątynia *candomblé* i *umbandy* – przeważnie święte pomieszczenie urządzone w miejskim lub podmiejskim domu.

Travesti – transwestyta.

Uakti – mityczny leśny potwór z Amazonii.

Umbanda – remiks bahiańskiego *candomblé*, praktykowany w Rio/ São Paulo, na ogół przez białych.

Vaqueiro – pasterz.

Várzea – tereny zalewowe rzeki.

Yemanjá – bóstwo Jorubów; „matka, której dzieci są jak ryby”, przyswojona przez *candomblé* jako bogini morza, czczona (od niedawna) podczas noworocznych obrzędów na plaży w Rio.

PODZIĘKOWANIA

Danieli Prodohl, Paulo Prodohlowi i Cleusie Nascimento, za pomoc przy języku portugalskim i zażarte kłótnie nad *doces* dotyczące różnych językowych subtelności. Wszelkie rażące błędy to wyłącznie moja wina.

Zackowi Appletonowi, za pomoc w kwestii biopaliw.

Heidi Hopeametsy i Syksy Rasanen, za lunch, capoeirę i fizykę.

WYBRANA LITERATURA

Intelektualnym ojcem chrzestnym tej powieści jest książka Davida Deutscha *The Fabric of Reality*. Ma już parę lat, ale to jedna z najbardziej oszałamiających intelektualnie rzeczy, które czytałem.

Zdumiewająco trudne okazało się natomiast znalezienie anglojęzycznych książek o Brazylii. O Kubie, kraju, który dałoby się zgubić w zalewie Itaipu, jest ich dziesięć razy więcej. Niemniej wymienię kilka z nich, które uznałem za szczególnie wartościowe.

John Hemming, *Red Gold*. Niezrównana, wspaniała i ponura, autorytatywne kompendium historii brazylijskich Indian.

David G. Campbell, *A Land of Ghosts* to pięknie napisany, ludzki opis ekologii i ludów zachodniej Amazonii.

Robert M. Levine i John J. Crocitti, *The Brazil Reader*, nieoceniona choćby za sam opis stu trzydziestu czterech kolorów skóry.

Euclides da Cunha, *Rebellion in the Backlands (Os Sertões)*. Klasyczna, niesamowita historia XIX-wiecznego powstania w mieście Canudos i jego brutalnego stłumienia.

Alex Bellos: *Futebol. Brazylijski styl życia*^{11}. Brazylijski korespondent „Guardiana” stworzył najlepszą książkę opowiadającą o narodowym brazylijskim sporcie, będącą jednocześnie zwięzłym poradnikiem, jak zostać Brazylijczykiem. Otwarcie przyznaje się do zaczerpnięcia próbek z jego autorytatywnej relacji o Fatalnym Finale. Nie ma w niej ani jednej nudnej strony.

Peter Robb: *A Death in Brazil*. Fascynujące dziennikarskie studium korupcji politycznej na północnym wschodzie, a oprócz tego książka historyczna, podróżnicza, a nawet kucharska.

ŚCIEŻKA DŹWIĘKOWA

DO BRASYL

Siri: *No Tranco*

Suba: *Tantos Desejos (Nicola Conte remix)*

Samba de Coco Raizes de Arcoverde: *Godê Pavão*

Acid X: *Uma Geral*

Bebel Gilberto: *Tanto Tempo*

Suba: *Na Neblina*

Fala: *Propozuda R'n'Roll*

Salomé de Bahia: *Taj Mahal (Club Mix)*

Céu (feat. Pyroman): *Malemôlencia*

Milton Nascimento: *Travessia*

Carlinhos Brown/ Mestre Pintado do Bongo: *Ai*

Bebel Gilberto: *Sem Contenção (Truby Trio remix)*

Mylene: *Nela Lagoa*

Tijuana: *Pula*

Carlinhos Brown: *Água Mineral*

Pagode Jazz: *Sardinha's Club*

Suba: *Você Gosta*

Bonde Das Bad Girls: *Montagem Skollboll*

Suba: *Abraço*

Milton Nascimento: *Cio da terra*

„Brazylia to nie jest poważny kraj”.

Charles de Gaulle

UCZTA WYOBRAŹNI

NIE ISTNIEJE CHYBA ŻADEN WSPÓLCZEŚNIE PISZĄCY TWÓRCA FANTASTYKI NAUKOWEJ, KTÓRY MÓGŁBY RÓWNAĆ SIĘ TALENTEM, INTELIGENCJĄ I ROZMACHEM Z IANEM McDONALDEM (...) I CIESZYŁBY SIĘ RÓWNIE WIELKIM UZNANIEM KRYTYKÓW. „BRASYL” TO KLASYCZNY McDONALD: IMPONUJĄCA SZYBKIM TEMPEM, CHOĆ PEŁNA GŁĘBOKICH MYŚLI, HISTORIA PRZYGODOWA, BADAJĄCA KWANTOWY WSZECHŚWIAT, ŁĄCZĄCA PEŁNOKRWISTE, WIARYGODNE POSTACIE Z HIPNOTYCZNYM JĘZYKIEM I NARRACJĄ. POWIEŚĆ SKŁADA SIĘ Z TRYPTYKÓW, KTÓRYCH KOLEJNE ROZDZIAŁY PRZESKAKUJĄ MIĘDZY TERAŹNIEJSZOCIĄ, BLISKĄ PRZYSZŁOŚCIĄ I XVIII WIEKIEM, A ICH BOHATEROWIE TO: UZALEŻNIONA OD BOTOKSU PRODUCENTKA REALITY TV – MARCELINA HOFFMAN, PLAYBOY I KOMBINATOR, „CZŁOWIEK INTERESU” – EDSON ORAZ ZAKONNIK LUIS QUINN POSZUKUJĄCY W AMAZOŃSKIEJ DŻUNGLI ZBUNTOWANEGO KAPŁANA. CAŁA TRÓJKA JEDNOCZY SIĘ W WALCE O KSZTAŁT SAMEJ RZECZYWISTOŚCI NASZEGO ŚWIATA. McDONALD ODMALOWUJE BRAZYLIE – CZY RACZEJ: BRAZYLIE – TEJ HISTORII Z WŁAŚCIWYM SOBIE POŁOTEM I PORYWA CZYTELNIKA W PODRÓŻ JAK ŻADEN INNY AUTOR.



ISBN 978-83-7480-530-8



9 788374 805308

cena:
39 zł

WYŁĄCZNY
DYSTRYBUTOR

fk
JAK ODKRYWACZ

Wydawnictwo
MAG

Więcej informacji o publikacjach Wydawnictwa MAG w Internecie na stronie: www.mag.com.pl

{1} *Ônibus 174 (Autobus 174)* – brazylijski film dokumentalny o młodym człowieku ze slumsów Rio, który przez cztery godziny trzymał pasażerów autobusu jako zakładników. Całość była na żywo transmitowana przez telewizję (przyp. tłum.).

{2} *Fleshbeck Crew* – grupa grafficiarzy, pionierów ruchu streetartowego w Rio de Janeiro (przyp. tłum.).

{3} *Penal Laws* – drakońskie prawa narzucone w Irlandii, aby zmusić irlandzkich katolików i prezbiterian do przejścia na anglikanizm (przyp. tłum.).

{4} *Ćwiczenia duchowne św. Ignacego Loyoli*; luźne parafrazy oparte na wersji wydawnictwa WAM, 2000 (przyp. tłum.).

{5} Tylko jeśli Quinn tłumaczy z języka angielskiego, nie z łaciny – wtedy „two standards” to zarówno dwa sztandary, jak i podwójny standard. Łacińskie „vexillis” to tylko sztandar (przyp. tłum.).

{6} *Pau de brasil*, brezyłka ciernista – drzewo, z którego uzyskuje się cenne drewno oraz czerwony barwnik (przyp. tłum.).

{7} *Saci-pererê* – jednonogi, czarnoskóry bóg-żartowniś z brazylijskiego folkloru, niekiedy uważany tylko za denerwującego figlarza, gdzie indziej za groźnego i złośliwego (przyp. tłum.).

{8} Rubens „Rubinho” Barrichello – brazylijski kierowca rajdowy, który ścigał się w Formule 1 oraz w IndyCar (przyp. tłum.).

{9} *Jogo do bicho* – „gra w zwierzęta”, gra hazardowa nielegalna w większości stanów Brazylii, rodzaj prowadzonej przez gangsterów loterii, wyróżniającej się tym, że można w niej postawić dowolną kwotę (przyp. tłum.).

{10} *Sauve qui peut!* (fr.) – Ratuj się, kto może! (przyp. tłum.).

{11} Wydanie polskie: Wydawnictwo Kopalnia, 2014 (przyp. tłum.).